

*Polska Fundacja Katyńska składa serdeczne podziękowanie
córcie Józefa Mackiewicza, pani Halinie Mackiewicz,
za zezwolenie na druk tej książki z przeznaczeniem wpływów z jej sprzedaży
na budowę cmentarzy wojskowych w Katyniu, Miednoje i w Charkowie.*

JÓZEF MACKIEWICZ

KATYŃ – ZBRODNIA BEZ SĄDU I KARY

Zebrał i opracował Jacek Trznadel

Wpływy z rozpowszechniania tego dzieła
przeznaczone są na budowę polskich cmentarzy wojskowych
w Katyniu, Miednoje i Charkowie
Nr konta: Polska Fundacja Katyńska
PKO BP XV O/Warszawa, 10201156-5988-270-1

POLSKA FUNDACJA KATYŃSKA
WYDAWNICTWO ANTYK MARCIN DYBOWSKI
WARSZAWA 1997

ZESZYTY KATYŃSKIE NR 7

Polska Fundacja Katyńska

Niezależny Komitet Historyczny Badania Zbrodni Katyńskiej:

ISSN 1426-4064

ISBN 83-905877-1-8

© Halina Mackiewicz, Polska Fundacja Katyńska, Zeszyty Katyńskie 1997

© Opracowanie: Jacek Trznadel, 1997

Nakład sfinansowany przez Polską Fundację Katyńską
wykonany przez Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski

ISBN 83-86482-32-X

Wydawnictwo ANTYK Marcin Dybowski
05-806 Komorów, ul. Klonowa 10a
tel. / fax (Warszawa) 7580359

Księgarnia ANTYK, Warszawa, Pl. Trzech Krzyży 3, tel. 6220297

Tom pierwszy

MORDERCY Z LASU KATYŃSKIEGO

(pierwsze wydanie polskie)

CZEŚĆ I:

OD SPISKU POLITYCZNEGO DO BEZKARNEJ ZBRODNI

ROZDZIAŁ I

NAJWIĘKSZY SPISEK PRZECIW POKOJOWI ŚWIATA

Koniec lata i jesień roku 1939, w tej części globu ziemskiego, gdzie wybuchła druga wojna światowa, odznaczyły się wyjątkowo ciepłą i równą pogodą. O tej porze w Polsce wszystkie przedmioty na ziemi, i nawet dalekie horyzonty płaskiego kraju, nabierają ostrości konturów. Widoczność z nieba jest wspaniała i kto leci samolotem, ma pod sobą wyraźnie zarysowaną mapę, na której z trudem jedynie daje się ukrywać obiekty wojskowe. Ten zatem, kto chce wojny, nie może sobie wymarzyć lepszych do jej prowadzenia warunków.

Że Adolf Hitler jej chciał, nie ulega dziś żadnej wątpliwości, a wszelkie warunki, do atmosferycznych włącznie, zdawały się mu sprzyjać i w jego zamiarze utwierdzać. Jedna mu tylko okoliczność pozostała do rozważenia, ta mianowicie, że za granicami Polski, na którą napad rozpracowany już był w najdrobniejszych szczegółach przez niemiecki sztab generalny, leży Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich. Acz siła bojowa tego mocarstwa nie była na ogół wysoko szacowana, wszakże jego wielkość, ustrój totalitarny, bogactwa naturalne, przestrzenie niezmierzone itd. stwarzały czynnik, który w każdym, najlepiej przewidzianym planie wojennym, pozostawał wielką niewiadomą. Ponieważ zaś stosunek Związku Sowieckiego do Niemiec (zwłaszcza w okresie zajmowania¹ Czechosłowacji) i Niemiec do Związku Sowieckiego był raczej wrogi, przeto wybuch konfliktu stawiał Hitlera przed alternatywą

¹ W oryginale autora: „okupacji”. (przyp. wyd.)

kolidującą z jego zasadniczą koncepcją wojny błyskawicznej (*Blitzkrieg*). Groził mu długotrwałą wojną na dwa fronty (*Zweifrontkrieg*), której Hitler za wszelką cenę chciał uniknąć. Należy przypuszczać, że nawet za cenę odstąpienia od swoich dalszych zamiarów wojenno-imperialnych.

W ten sposób, mimo największego napięcia wojennego, jakie przeżywała Europa, wytworzył się układ polityczny, w którym zagadnienie: wojna czy pokój? zależało nie tylko od złej czy dobrej woli Hitlera, dyktatora Niemiec, ale i od złej czy dobrej woli Stalina, dyktatora Związku Sowieckiego. W rezultacie zaś od jego decyzji opowiedzenia się po jednej lub drugiej stronie.

Sytuację podobnie oceniały mocarstwa zachodnie. Toteż Wielka Brytania i Francja wysłały do Moskwy swych delegatów, z zamiarem przeciągnięcia Sowieców na swoją stronę. Wobec notorycznej nieprzyjaźni, jaką żywiła Moskwa względem Berlina, zdawało się, że delegacje te nie napotkają na większe trudności i niektórzy sprawę traktowali jako z góry przesądzoną. Tymczasem Sowiety wysunęły cenę zbyt wygórowaną. Pertraktacje się przeciągały. Raptem...

Mikołaj Iwanowicz Kudinow, major Armii Czerwonej, który w roku 1942 dostał się do niewoli niemieckiej, a po skończonej wojnie napisał wspomnienie pt. *Dlaczego nie chcę wrócić do Związku Sowieckiego*, w następujący sposób szkicuje dzień 24 sierpnia 1939 roku:

Stałem ze swoim pułkiem w garnizonie miasta Kalinin, gdy dnia 24 sierpnia ukazała się w gazetach wiadomość o zerwaniu rokowań z misjami alianckimi i o przybyciu do Moskwy pana von Ribbentropa. Wiadomość ta wydałaby się fantastyczną, gdyby nie była wydrukowana na pierwszej stronie „Izwestii”. Od lat już bowiem czytaliśmy tylko rzeczy najgorsze w odniesieniu do hitlerowskich Niemiec. To też kilku oficerów pozwoliło sobie w chwili, gdy trzymali gazetę w ręku, wysoko podnieść brwi, ale nie pamiętam, by który z nich odezwał się przy tym choć słowem. Nie leży bowiem w zwyczaju obywatela sowieckiego komentować w rozmowach prywatnych posunięć rządu. Komentarze do wydarzeń politycznych wyczytuje się w tej samej gazecie, najczęściej już dnia następnego i wtedy wszystko stać się powinno jasnym. – W zastygłej ciszy rynsztoków odbijał się niezmacony niczym błękit nieba. Na placu, przed jedną z dawnych cerkwi, przerobionych obecnie na gmach kina, przyjaciel mój z drugiego batalionu powiedział, uderzając ręką po zadrukowanym papierze:

„Ot, to jest ciekawe.”

Została podpisana umowa przyjaźni i pakt o nieagresji na lat 25 pomiędzy ojczyzną mas pracujących, Związkiem Sowieckim, i narodowo-socjalistycznym państwem Hitlera. Jednocześnie dowie-

dzieliśmy się z komentarzy, że wrogami pokoju i ładu społecznego na świecie są „plutokraci Anglii i Francji”.

Nie tylko jednak obywatele sowieccy, wytresowani psychicznym terrorem, ale zdawało się że i cała wolna Europa, w pierwszej chwili, na wiadomość, że dnia 23 sierpnia 1939 roku podpisany został układ pomiędzy Związkiem Sowieckim a Hitlerem, zastygła w zdumieniu. Niespodzianka była tak piorunująca, przygotowana w tak wielkiej tajemnicy, że nie spodziewali się jej ani delegaci mocarstw zachodnich bawiący w Moskwie, ani ambasador Jego królewskiej Mości, Sir William Seeds. Na drugi dzień próbował on, angielskim zwyczajem, ratować sytuację flegmatycznym konceptem:

– Moi panowie, nie ma się czym przejmować. Jestem przekonany, że pan Mołotow, z roz targnienia jedynie, sięgnął do niewłaściwej teczki swego ministerialnego archiwum.

Ale mylił się fatalnie Sir William Seeds. I jakkolwiek wielki ma wpływ na bieg wypadków dziejowych słynne, angielskie poczucie humoru, ale tym razem nie zdołało odwrócić, ani zapobiec straszliwej katastrofie.

Niebawem wyszło na jaw, że ambasador Wielkiej Brytanii już od trzech tygodni daremnie zabiegał o audiencję u pana Mołotowa, który nie miał dla niego czasu, bo właśnie prowadził najbardziej poufne i przyjacielskie rozmowy z ministrem Ribbentropem, który przybył po kryjomu w samolocie, przelatując nocą nad terytorium Litwy i Łotwy.

Być może daleka wyda się droga od daty w roku 1890, w którym to roku subiektowi sklepu bławatnego w Rosji, nazwiskiem Michał Skriabin, urodził się syn, Wiaczesław – do potwornego mordu oficerów polskich, których zwłoki odnaleziono w Katyniu, ale życie nas uczy, iż łańcuch związków przyczynowych nie urywa się nigdy.

Wiaczesław Michajłowicz Skriabin, który w roku 1914 przyjął pseudonim Mołotow, od dziecka już odznaczał się charakterem skrupulatnym i metodycznym. Zawsze z góry wiedział, do czego dąży, i w późniejszych latach nie należał do ludzi, którzy przez roz targnienie sięgają po niewłaściwą teczkę. W życiu jego zdarzył się jednak wypadek, którego skutek, jak twierdzą niektórzy, bardziej bezpośrednio przyczynił się do następnego obrotu rzeczy. Oto rewolucjonista Mołotow poznaje w Odessie elegancką i bardzo zamożną Żydówkę, Paulinę Karp. Kobieta ta umiała fascynować i błyszczeć w każdym towarzystwie, zarówno swych bogatych krewnych, jak wśród konspiracyjnych zebrań rewolucjonistów, w których uczestniczył Mołotow. Doszło do małżeństwa. Pani Paulina stała się

nie tylko podpora i towarzyszką swego męża, w łatwej zresztą i nie-ryzykownej jego karierze rewolucyjnej w okresie caratu, ale również natchnieniem. Przejście Rosji w państwo dyktatury proletariackiej wprowadziło ją, zawsze szykowną, w środowisko najwyższej hierarchii partyjnej w Moskwie. Ze swej strony stała na czele Trustu Produkcji Kosmetycznej, co najbardziej odpowiada jej estetycznym upodobaniom.

[w oryginale zdjęcie w tekście, z opisem:] ²

Pani Mołotow, z domu Karp, podczas zimowej przejażdżki saniami w r. 1939.

Gdy na trzy miesiące przed wybuchem drugiej wojny światowej jowialny Litwinow, zbyt zniewieściały pod wpływem amerykańskiego liberalizmu, odwołany zostaje ze stanowiska Komisarza Spraw Zagranicznych ZSSR, a na jego miejsce mianowany uparty Wiaczesław Michajłowicz, pani Mołotow otwiera w Moskwie salon już nie kosmetyczny, a dyplomatyczny. W tym to salonie daje się poznać jako zdecydowana przeciwniczka „zgniłej plutokracji Zachodu”, natomiast entuzjastka polityki silnej ręki i bezwzględności środków dążących do celu. Taką w istocie, powinna być komunistka.

W dalszym ciągu, kolejną zawilych, nigdy nie dających się przewidzieć losów, właśnie w salonie Żydówki Pauliny Karp-Mołotow, dochodzi do przyjaźni, a później do umowy i współdziałania hitlerowskich Niemiec ze Związkiem Sowieckim, powstaje największy spisek polityczny naszych dziejów, który w rezultacie kosztował życie wiele milionów Żydów, a doprowadził bezpośrednio do tej najpotworniejszej zbrodni, jakiej nie znają historie wojen, a której długoletnią zagadkę postaram się w tej książce rozwiązać.

Minister Spraw Zagranicznych III Rzeszy Niemieckiej, pan von Ribbentrop, fetowany jest w Moskwie z wielką ostentacją. W prasie ukazują się entuzjastyczne artykuły i liczne zdjęcia, na któ-

² W oryginalnym maszynopisie, stanowiącym podstawę obecnego, pierwszego polskiego wydania, Autor przypinał zdjęcia wewnątrz tekstu. Ponieważ wydawca dysponował jedynie kserokopią niezbyt dużej jakości, zdjęć tych nie można było skopiować do obecnego wydania. Te zdjęcia, które udało się odnaleźć z innych źródeł, zostały umieszczone – ze względów technicznych – na osobnej wkładce. Czytelnik skojarzy je z łatwością ze wzmiankowanymi w tekście. Aby jednak nie naruszać toku wykładu Autora, za każdym razem sygnalizuję w tekście miejsce, gdzie w oryginale znajdowało się zdjęcie. Jeśli chodzi o zdjęcia, wiernosci tekstowi Autora nie dochowało zresztą żadne ze znanych mi wydań obcojęzycznych. (przyp. wyd.)

rych zamienia serdeczne uściski dłoni ze Stalinem, Mołotowem i innymi dygnitarzami Związku Sowieckiego.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Dziś już wiadomo, że nie zbliżenie z Mussolinim, ale pakt ze Stalinem w roku 1939, umożliwił Hitlerowi podbój Europy. Na zdjęciu Stalin, trzymając w serdecznym uścisku dłoń Ribbentropa, podkreśla swą radość z sojuszu bolszewicko-hitlerowskiego, w sierpniu 1939, w Moskwie.

Na czymże jednak, na jakich realnych korzyściach wzajemnych oparła się ta przyjaźń, tak niezbędną dla agresywnych planów Hitlera? Co ofiarował, czym okupił Adolf Hitler przychylną neutralność Sowietów, w jego napadzie na Polskę i w uzyskaniu tych ogromnych korzyści gospodarczych, politycznych i militarnych, które mu ułatwiły później prowadzić wojnę przeciw Anglii i Francji? Pakt o nieagresji podpisany dnia 23 sierpnia 1939 r., zredagowany w formie stereotypowej, przewidzianej dla tego rodzaju aktów politycznych, nic o tym nie mówi. Ale odpowiedź na to pytanie nie daje na siebie długo czekać. Okazało się, że Hitler w zamiarze zaatakowania Polski bynajmniej nie kupił żadnej neutralności, a po prostu zawarł z Sowietami spółkę, której celem stała się łączna napaść na poszczególne kraje Europy Wschodniej, obejmujące pas od Oceanu Lodowatego do Morza Czarnego i podział łupów, według ustalonego planu.

Jednocześnie z oficjalnym traktatem podpisany zostaje następujący dokument:

TAJNY PROTOKÓŁ DODATKOWY DO PAKTU O NIE-
AGRESJI MIĘDZY NIEMCAMI A ZWIĄZKIEM SOWIECKIM,
PODPISANY W DNIU 23 SIERPNI 1939 R.

Z okazji podpisania paktu o nieagresji między Rzeszą Niemiecką a ZSSR podpisani pełnomocnicy obu stron poruszyli w ściśle poufnej wymianie zdań sprawę wzajemnego rozgraniczenia sfer interesów obu stron. Wymiana ta doprowadziła do następującego wyniku:

1) Na wypadek przekształcenia terytorialno-politycznego obszaru należącego do państw bałtyckich – Finlandia, Estonia, Łotwa i Litwa, północna granica Litwy tworzy automatycznie granicę sfery interesów niemieckich i ZSSR, przy czym obie strony uznają roszczenia Litwy do terytorium wileńskiego.

2) Na wypadek terytorialno-politycznego przekształcenia terytoriów należących do państwa polskiego, sfery interesów Niemiec i ZSSR będą rozgraniczone w przybliżeniu przez linię Narew-Wisła-San. Kwestia, czy w interesie obu stron uznane będzie za pożądane utrzymanie niepodległości państwa polskiego, zostanie definitywnie zdecydowana dopiero w ciągu dalszego rozwoju wypad-

ków politycznych. W każdym bądź razie, oba rządy rozwiążą tę kwestię na drodze przyjacielskiego porozumienia.

3) Jeżeli chodzi o południowy wschód Europy, to ze strony rosyjskiej podkreśla się zainteresowanie Besarabią. Ze strony Niemiec stwierdza się zupełnie *désintéressement* odnośnie tego terytorium.

4) Protokół ten będzie traktowany przez obie strony ściśle tajnie.

Podpisali:

Za Rząd Rzeszy: J.J. von Ribbentrop

Jako pełnomocnik Rządu ZSSR: W. Mołotow

Moskwa, 23 sierpnia 1939 r.

(do tajnego protokołu dołączono kilkanaście map Polski i państw Bałtyckich, z dokładnym wykreśleniem sfer wpływów ustalonych przez kontrahentów.)

Ten lakoniczny, tajny, nikomu jeszcze wówczas nie znany dokument, wytworzył dopiero bazę wypadową dla agresji dwóch dyktatorów i stał się początkiem drugiej wojny światowej.

W tym czasie, nikt na szerokim świecie nie interesował się laskiem sosnowym, położonym na wzgórzu, nad urwistym brzegiem Dniepru, zwanym Kozie Góry, a stanowiącym część większego kompleksu leśnego Katynia, w pobliżu Smoleńska. Jakże niewspółmiernie małe było w tym czasie zdarzenie, które przytrafiło się Marfie, dziewczynie ze wsi Nowe Batioki. Uniosła ona drut kolczasty otaczający Kozie Góry w poszukiwaniu grzybów i napadł na nią wartownik, a później przybiegł wielki pies. A przecież winna była wiedzieć, co wiedzieli wszyscy okoliczni mieszkańcy, że wstęp na teren ten jest zakazany przez NKWD, gdyż stanowi miejsce egzekucji ludzi podejrzanych o nieprzychylny stosunek do reżimu bolszewickiego.

ROZDZIAŁ II.

ZDRADZIECKI NAPAD ZWIĄZKU SOWIECKIEGO.

Poprzez strzepy traktatów do oklamania bezbronnych jeńców.

Wojna, która wybuchła dnia 1 września 1939 roku atakiem Hitlera na Polskę, trwała już przeszło dwa tygodnie. W tym czasie Polska sama jedna odpierała całą machinę wojenną Niemiec, co do której nikt przedtem nie przypuszczał, że stanowi aż tak wielką potęgę. Zachodni Alianci, schowani za linią Maginota, nie ruszyli się w obronie sojusznika, kontentując się na razie czysto formalnym wypowiedzeniem wojny, której wyraz ograniczony został do zrzućcenia nad Niemcami ulotek. Późniejsze doświadczenia wykazały, iż oczywiście niepodobieństwem było, aby Polska sama odeprzeć mogła napór armij niemieckich skutecznie. Trzymała się jednak wciąż, choć resztkami sił.

Była noc z dnia 16 na 17 września. Moskwa, jakkolwiek jedna z największych stolic europejskich, nie zna życia nocnego państw zachodnich. Moskwa spała. Spała tak jak mogła, jak się tego nauczyła od czasu jej bolszewizacji, to znaczy niewygodnie, ciasno, z jednym uchem w poduszce, drugim wyostrzonym na najlżejszy szmer, dobiegający z klatki schodowej, po której w każdej chwili rozleć się mogły stąpania agentów. Normalnie jarzyły się nieosłonięte żarówki w biurach NKWD i licznych więzieniach. Normalny mrok zalegał we wszystkich innych instytucjach. I tylko nienormalny ruch panował w gabinetach i kancelariach NKID (Narodnyj Komissariat Inostronnych Diel – Ludowy Komissariat Spraw Zagranicznych). Nic o tym nie wiedział poseł polski, p. Grzybowski. Pochylony był nad odbiornikiem radiowym, usiłując, przed udaniem się na spoczynek, złapać ostatnie jeszcze wiadomości z placu boju. W tej chwili ostro zadzwonił telefon.

– Hallo!?

– Ludowy Komissariat Spraw Zagranicznych prosi pana ministra o natychmiastowe przybycie.

Poseł polski spojrzął na zegarek. Była pierwsza w nocy. Odłożył słuchawkę bez słowa.

Gdy się zjawił w gmachu komisariatu, Mołotow, stojąc i nie prosząc go również o zajęcie miejsca, odczytał notę. Pierwsze już

słowa razily jak piorunem. Na chwilę gabinet i jasne plamy lamp zawirowały w oczach posła polskiego. Jedną ręką wsparł się o poręcz fotela, drugą przesłonił oczy. Później powiadano, że płakał. To nieprawda. To tylko światła żarówek stały się na sekundy nieznośnie kłujące. Ale chwila słabości minęła. Pan Grzybowski, błady i wyprostowany doczekał końca odczytywanego tekstu, nie słysząc go, a jednak rozumiejąc jednocześnie dobrze. Chodziło o zagładę jego ojczyzny... W kilkanaście minut potem radio moskiewskie nadać miało już na cały świat fakt zdecydowany: Sowiety do spółki z Hitlerem postanowiły dokonać rozbioru Polski, unicestwiając jej niepodległość. W nocy swej i późniejszej mowie Mołotow stwierdził, że:

Państwo Polskie przestało istnieć. Armia Czerwona otrzymała rozkaz przekroczenia granic polskich, aby wyciągnąć bratnią rękę do narodów Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy

– czyli ziem stanowiących wschodnią, integralną część Polski.

W rzeczywistości była to bratnia ręka, ale wyciągnięta do Hitlera. Rzecz cała ukartowana była już w sierpniu, we wspomnianych salonach pani Pauliny z domu Karp, Mołotowej, z panem von Ribbentropem. Stąd późniejsza linia podziału Polski pomiędzy Niemcy i Sowiety przeszła do historii pod nazwą linii „Ribbentrop-Mołotow”.

Ale o tej porze, gdy wskazówka dobiegała wpół do trzeciej, w nocy 17 września, szczegóły te nieznanne były światu i nie mógł o nich również wiedzieć poseł Grzybowski. Gdy w gabinecie Ludowego Komissariatu Spraw Zagranicznych nastąpiła krótka chwila ciszy, przerywana jedynie tłumionym oddechem podnieconych ludzi, poseł Grzybowski, odczuwając ucisk w gardle i brak śliny w ustach, wiedział o jednym tylko, że mianowicie Sowiety postanowiły zadać cios w plecy Polsce, walczącej z Hitlerem. Zdobywając się na wysiłek woli oświadczył tylko:

– Protestuję i odmawiam przyjęcia noty do wiadomości!

Gdy powrócił do siebie i ochłoniął z pierwszego, ogłuszającego wrażenia, mógł dopiero objąć cały bezmiar zdrady i pogwałcenia elementarnych paragrafów wszystkich umów łączących Związek Sowiecki z Rzeczpospolitą Polską. Siadł też natychmiast do zredagowania formalnej noty protestu.

Zanim jednak świt dosięgnął szczytu kremlowskich wieżyc, o godzinie 4²⁰ rano, czyli dokładnie co do minuty o tym czasie, w którym przed siedemnastu dniami wojska Hitlera przekroczyły granicę polską od zachodu, przekroczyła ją Czerwona Armia od wschodu. Gąsienice kilku brygad czołgów, podkowy kawalerii, kor-

pusy zmotoryzowane, za którymi maszerowało kilkadziesiąt dywizji pieszych, deptały i darły na strzępy następujące umowy i zobowiązania sowieckie względem Polski:

1) Traktat Pokojowy, podpisany w Rydze dnia 18 marca 1921 roku, wraz z dokładnym wytyczeniem wschodnich granic Polski. (Uznane dnia 15 marca 1923 r. przez państwa alianckie, uchwałą Konferencji Ambasadorów, w wykonaniu art. 87 Traktatu Wersalskiego. Przez Stany Zjednoczone w dniu 5 kwietnia 1923 r.)

2) Układ z dnia 9 lutego 1929 r., zawarty pomiędzy Polską, ZSSR, państwami bałtyckimi i Rumunią.

3) Pakt o nieagresji pomiędzy Polską a ZSSR, podpisany w dniu 25 lipca 1932 r.

4) Protokół z dnia 5 maja 1934 r. prolongujący Pakt o Nieagresji do dnia 31 grudnia 1945 r.

5) Konwencja podpisana w Londynie, dnia 3 lipca 1933, w sprawie dokładnej definicji agresora.

6) Wszystkie zobowiązania wypływające z szeregu międzynarodowych umów i paktów.

[mapka w oryginale, z opisem:]

Napad na Polskę Niemiec i Sowieców we wrześniu roku 1939.

Tegoż samego, dramatycznego dnia, ambasadorowie Polski w Paryżu, Waszyngtonie i Londynie ogłosili komunikaty. Komunikat ambasadora polskiego w Londynie, Edwarda Raczyńskiego, brzmiał w końcowym ustępie:

Przez akt agresji popełnionej bezpośrednio dzisiaj rano, rząd sowiecki pogwałcił w sposób widoczny pakt... (itd. – następuje wyliczenie) Z mocy konwencji zawartej w Londynie 3 lipca 1933 r. Rosja Sowiecka i Polska zgodziły się na definicję agresji, która określa wyraźnie, jako akt agresji każde wdarcie się na terytorium jednej ze stron, uzbrojonych wojsk drugiej strony. Osiągnięto również zgodę co do tego, że żadne względy natury politycznej, militarnej, gospodarczej lub inne, nie mogą w żadnym wypadku służyć za pretekst lub usprawiedliwienie aktu agresji.

Tak więc dokonując dzisiaj aktu agresji, rząd sowiecki jest sam przez się skazany na określenie go, jako gwałciciela swych zobowiązań międzynarodowych, wbrew wszystkim zasadom moralnym, na których Sowiety zamierzały oprzeć swoją politykę zagraniczną od chwili dopuszczenia ich do Ligi Narodów.³

³ Cytowane za: *The Polish White Book*, Republic of Poland, Ministry for Foreign Affairs, Roy Publishers, New York. (przyp. wyd.)

Wiadomość o podstępnej napaści i pogwałceniu tyłu traktatów i zobowiązań ze strony Sowieców, uczyniła w Europie wrażenie przynębiające, które niebawem przeszło w falę oburzenia. Do posła brytyjskiego, akredytowanego przy jednym z państw Europy Wschodniej, zgłosił się dziennikarz z prośbą o sprecyzowanie ewentualnego stanowiska Anglii, wobec jawnego wystąpienia Sowieców po stronie hitlerowskich Niemiec. Dziennikarz nie mówił po angielsku, a poseł znał Rosję zarówno przed rewolucją, jak Rosję bolszewicką, i władał znakomicie językiem rosyjskim, zrozumiałym również dla dziennikarza. A że poseł był człowiekiem impulsywnym, więc na pytanie dziennikarza wykrzyknął po rosyjsku:

– Tolko pokonczim s odnim, primjoms'a za druguju swo-
locz! (Gdy tylko skończymy z jednym, zabierzemy się do drugiej
kanalii!)

Wykrzyk ten w sposób dosadny ilustruje ówczesne odruchy oburzenia, ale jak się później pokazało, dowodzi, iż poseł brytyjski nie był w dostatecznej mierze zorientowany co do zamiarów i stanowiska swego rządu...

Powszechnie spodziewano się jakiegoś stanowczego kroku ze strony Wielkiej Brytanii, która przecie świeżo zawarła z Polską układ o wzajemnej pomocy w wypadku naruszenia suwerenności jednego z tych państw, przez państwo trzecie. Wystąpiła też w obronie Polski wobec Niemiec. Dlaczegoż zatem nie wypełnia swych zobowiązań nadal i nie broni Polski przed Sowiecami, które na nią napadły? Dlaczego nie wystąpi chociaż z uroczystą deklaracją czy innym aktem dyplomatycznym? Pytania podobne zadawał sobie szary człowiek ulicy europejskiej, a odpowiedzią na nie było:

Milczenie.

Dopiero z biegiem czasu okazało się, że Anglia nigdy nie wyzbyła się nadziei przecignięcia na swą stronę Sowieców i w tym kierunku, w kierunku oderwania ich od sojuszu z Niemcami, a nie bronięcia Polski przed inwazją sowiecką, szły jej wysiłki. Okazało się dalej, że już zawierając w r. 1939 układ z Polską o wzajemnej pomocy, dołączyła doń tajny wówczas protokół, który wykluczał obronę jej przed agresją inną niż niemiecką, a zatem nie zobowiązywał do obrony przed Sowiecami. Dlatego Anglia nie uczyni żadnego gestu (patrz Załącznik Nr 1), a później okaże się jeszcze, jak dalece stanowisko to wpłynie na utrudnienie rozwiązania zagadki zniknięcia jeńców polskich i ostatecznego wyświeatlenia zbrodni katyńskiej...

Tymczasem dojrzewają już pierwsze, konkretne okoliczności, zacieśnia się koło, gromadzi splot związków przyczynowych i tylko pół roku dzielić nas będzie od chwili, gdy zniknie wszelki ślad i słuch po 15 tysiącach jeńców polskich, wziętych do niewoli

przez Armię Czerwoną. A wzięci oni zostali wskutek wspólnej akcji niemiecko-sowieckiej przeciw Polsce.

Pomiędzy Berlinem i Moskwą wymieniane są nowe wizyty i rewizyty, serdeczne uściski dłoni, depeşe gratulacyjne.⁴

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Rewizyta w Berlinie. Ludowy Komisarz Spraw Zagranicznych ZSSR, Wiaczesław Mołotow, omawia z Hitlerem wspólną linię polityczną Związku Socjalistycznych Republik Rad i Niemiec.

Dnia 22 września podpisana zostaje sowiecko-niemiecka umowa graniczna, która ustala podział Polski wzdłuż środkowego biegu Wisły. Jednakże linia ta była prowizoryczną. Do ostatecznego wytyczenia historycznej linii „Ribbentrop-Mołotow” dochodzi w tydzień później, układem z dnia 28 września 1939 r. Układ ten zresztą dotyczył nie tylko Polski i prócz oficjalnego brzmienia zawierał:

DODATKOWY TAJNY PROTOKÓŁ Z DNIA 28 WRZEŚNIA 1939 R. DO UKŁADU GRANICZNEGO I PRZYJAŹNI, ZAWARTEGO TEGOŻ DNIA W MOSKWIE POMIĘDZY RZESZĄ NIEMIECKĄ I ZWIĄZKIEM SOWIECKIM:

Niżej podpisani pełnomocnicy stwierdzają zgodę Rządu Rzeszy Niemieckiej i Rządu ZSSR na następujące:

Tajny protokół dodatkowy, podpisany dnia 23 sierpnia zostaje zmieniony w jego pierwszym punkcie w ten sposób, że obszar państwa litewskiego wchodzi w sferę wpływów Związku Sowieckiego, podczas gdy z drugiej strony województwo lubelskie i część województwa warszawskiego wchodzi w sferę wpływów Rzeszy Niemieckiej.

(Porównaj mapę do dzisiaj podpisanej umowy granicznej i przyjaźni.)

⁴ Na posiedzeniu Rady Komisarzy Ludowych ZSSR w dniu 31 października 1939 Mołotow oświadczył, co następuje:

„Rząd angielski zadeklarował, iż celem wojny prowadzonej przeciwko Niemcom jest ni mniej ni więcej, jak tylko zniszczenie hitlerizmu. Wynika z tego, że Anglicy i Francuzi wypowiedzieli Niemcom pewnego rodzaju wojnę ideologiczną, która nasuwa podobieństwo do dawnych wojen religijnych... Absolutnie nic nie usprawiedliwia tego rodzaju wojny. Można przyjąć lub odrzucić koncepcję ideologiczną hitlerowską, podobnie jak każdy system ideologiczny. Jest to sprawa opinii publicznej. Ale trzeba, by świat wreszcie zrozumiał, że nie wolno niszczyć żadnej ideologii przemocą, nie wolno jej gwałcić drogą wojny. Jest rzeczą nie tylko nierozsądną, ale wręcz zbrodniczą prowadzić wojnę celem zniszczenia hitlerizmu, pod maską walki o dobro demokracji. (przypis autora)

Z chwilą gdy Rząd Sowiecki poczyni specjalne kroki na terytorium litewskim, celem zrealizowania swych interesów, obecna niemiecko-litewska granica zostaje zreaktyfikowana w ten sposób, że terytorium litewskie, które leży na południe i południowy zachód od linii zaznaczonej na załączonej mapie przypadnie Niemcom.

Protokół ustala dalej, że obowiązujące umowy gospodarcze między Niemcami i Litwą nie ucierpią z powodu wyżej wymienionych kroków Rządu Sowieckiego.

Za Rząd Rzeszy: J.J. Ribbentrop

Pełnomocnik. Rządu ZSSR: Mołotow

W ten sposób dokonano nie tylko podziału Polski, ale i Litwy, co już ludzko przypominało rozbiory poczynione w wieku XVIII, a dotyczące tych obydwóch krajów.

Ale powróćmy do wypadków, które rozpoczęły się dnia 17 września 1939 r. Wojska sowieckie wkroczyły na terytorium Polski, rozpoczynając początkowo fałszywe pogłoski wśród ludności, że idą rzekomo na pomoc Polsce w walce z Niemcami. W wielu miejscowościach, których łączność z ośrodkami państwa została zerwana, doszło do dezorientacji wśród oddziałów wojskowych, i te dały się oszukać zapewnieniom sowieckim. W większości jednak, poszczególne jednostki polskie stawiały zacięty, choć rozpaczliwy opór, gdyż przewaga sił sowieckich była miażdżąca. Bez względu jednak na zachowanie i stanowisko, jakie zajęły oddziały polskie, wszystkich pozostałych przy życiu oficerów i żołnierzy czekał ten sam los: n i e w o l a .

W tym czasie Armia Czerwona dopuściła się szeregu gwałtów, mordów, rabunku i innych bezpraw, zarówno w stosunku do zagarniętych oddziałów polskich, jak też ludności cywilnej.

Pierwszą ofiarą agresji sowieckiej padł oczywiście polski Korpus Ochrony Pogranicza (KOP). Żołnierze i oficerowie mordowani byli bądź na miejscu, bądź też brani do niewoli i deportowani w głąb Rosji. Z liczby tych, którzy przeszli te dzieje, a którym następnie udało się zbiec, uniknąć niewoli czy w inny sposób przedostać się na emigrację do formujących się tam oddziałów polskich, wielu złożyło obszerne relacje. Zebrane w całość, ponumerowane, skatalogowane, stanowią dziś ogromne archiwum, przechowywane skrzętnie poza granicami dzisiejszej Polski, zagarniętej przez Sowietów już całkowicie. Z archiwum tego czerpię kilka wyjątków.

Jeden z żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza (nr kartoteki 5573) informuje:

Po zabraniu nas do niewoli, kazano nam podnieść ręce do góry i gnano biegiem dwa kilometry. Przy rewizji rozebrano do naga

i zrabowano wszystko, co kto miał wartościowego. Po rewizji ustawiono nas w czwórki, przesłuchano, spisując personalia, przy czym nie obeszło się bez wymysłów, następnie gnano nas 30 kilometrów bez odpoczynku i wody. Kto był słabszy, nie mógł nadażyć, dostawał uderzenie kolbą, padał na ziemię, a jeżeli się nie mógł podnieść, przebijano go bagnetem. Takich wypadków zauważyłem cztery. Dokładnie pamiętam, że kapitan Krzemiński z Warszawy został kilka razy pchnięty bagnetem, a następnie do leżącego inny żołnierz sowiecki strzelił dwa razy w głowę.

Wszędzie gdziekolwiek armia sowiecka napotykała opór ze strony wojska lub ludności cywilnej, rozprawiała się nieraz w sposób bestialski. W Grodnie wymordowano, broniących się tam uczni i podchorążych w liczbie 130. Jednego z uczniów przywiązano do czołgu i ciągnięto głową po bruku. W pobliżu Grodna, koło miasteczka Sopoćkinie, zamordowano dowódcę Okręgu Korpusu III, generała Wilczyńskiego i towarzyszących mu oficerów.

W pobliżu Augustowa zamordowano dwudziestu policjantów.

Szczególnie liczne akty terroru i morderstw dokonane zostały w pobliżu Wołkowyska, Świsłoczy, Oszmiany i Mołodeczna. Oto dosłowne brzmienie jednego z protokółów:

Doszło do krwawych starć w okolicy Oran. W rejonie polskim zginęło ogółem 150 oficerów w walkach, zaś 120 wziętych do niewoli bądź rozstrzelano na miejscu, bądź też wywieziono, mimo iż przedtem obiecywano im wolność.

Do poważniejszych utarczek doszło pod Kowlem. W fortecy brzeskiej, opanowanej przez Niemców, bronił się wciąż jeszcze jeden z fortów i ten był ostrzeliwany zarówno przez artylerię niemiecką, jak sowiecką.

Wstrząsające sceny rozbrajania i maltretowania oficerów polskich rozegrały się w Chodorowie, Nowogródku, Sarnach, Kosowie Poleskim, Złoczowie, Bohatyniu i Tarnopolu. Jeden z obserwatorów pisze:

Sam byłem świadkiem zajęcia Tarnopola. Widziałem, jak żołnierze sowieccy polowali na oficerów. Między innymi, jeden z dwóch przechodzących koło mnie żołnierzy, opuściwszy swego towarzysza, począł biec w przeciwnym kierunku, a na zapytanie dokąd śpieszy, odpowiedział: „Zaraz wrócę, tylko zabiję tego burzuję” i wskazał na człowieka ubranego w płaszcz oficerski bez oznak.

Z Bohatynia (województwo stanisławowskie) złożono następującą relację:

Wojska sowieckie wkroczyły około godziny 16-tej i natychmiast przystąpiły do okrutnej rzezi i bestialskiego znęcania [się] nad ofiarami. Mordowano nie tylko policję i wojskowych, ale też tzw. „burżuazję”, nie wykluczając kobiet i dzieci. Tym spośród wojskowych, którzy uszli szczęśliwie śmierci i zostali po prostu tylko

rozbrojeni, rozkazano ułożyć się na mokrej łące poza miastem. Leżało tam około 800 osób. Karabiny maszynowe ustawione były w ten sposób, że mogły strzelać nisko nad poziomem. Kto podniósł głowę, zostawał zabity. Tak przetrzymano ich przez całą noc. Następnego dnia pognano wszystkich do Stanisławowa, a stamtąd w głąb Rosji.

Dowódcą armii sowieckiej, tzw. „frontu ukraińskiego”, operującej w Polsce, był marszałek Timoszenko, którego nazwisko głośne było w pierwszej połowie wojny niemiecko-sowieckiej, a następnie znikło ze szpałt gazet. On to wydał w roku 1939, po przekroczeniu granicy polskiej odezwę do żołnierzy, której tekst w języku polskim brzmiał, jak następuje:

ŻOŁNIERZE! W ciągu ostatnich dni armia polska została ostatecznie rozgromiona. Żołnierze miast: **Tarnopol, Halicz, Równe, Dubno** w liczbie przeszło 6.000 dobrowolnie przeszli na naszą stronę. Żołnierze, co pozostało wam? O co i z kim walczyć? Dlaczego narażacie życie? Opór wasz jest bezskuteczny. Oficerowie pędzą was na bezsensowną rzeź. Oni nienawidzą was i wasze rodziny. To oni rozstrzelali waszych delegatów, których posłaliście z propozycją o poddaniu się. Nie wiercie swym oficerom. Oficerowie i generałowie są waszymi wrogami, chcą oni waszej śmierci!

Żołnierze! Bijcie oficerów i generałów! Nie podporządkujcie się rozkazom waszych oficerów. Pędźcie ich z waszej ziemi. Przychodźcie śmiało do nas, do waszych braci, do Armii Czerwonej. Tu znajdziecie uwagę i troskliwość.

Pamiętajcie, że tylko armia czerwona wyzwoli naród polski z nieszczęsnej wojny i uzyskacie możność rozpoczęcia nowego życia.

Wiercie nam! Armia Czerwona Związku Radzieckiego to wasz jedyny przyjaciel.

Dowódca Frontu Ukraińskiego S. Timoszenko

Odezwa ta, poza tym że zawierała świadomy fałsz o rzekomej delegacji żołnierzy, która następnie miała być rzekomo rozstrzelana przez oficerów, nie wywarła większego wpływu na żołnierzy polskich, którzy do końca zachowali życzliwy stosunek do swych oficerów. W rezultacie jednak armia polska, wzięta w dwa ognie pomiędzy Sowiety i Niemcy, została rozbita.

Ilu spośród jej żołnierzy i oficerów dostało się w ten sposób do niewoli sowieckiej?

Zanim nastąpi odpowiedź na to zasadnicze dla sprawy pytanie, należy przeskoczyć w inną dziedzinę, na pozór nie mającą nic wspólnego z działaniami wojennymi. Mianowicie w dziedzinę mentalności i metod sowieckich, tak dalece różnych od powszechnie

stosowanych przez resztę narodów świata. Bolszewizm posiada swą własną moralność i własną sprawiedliwość, wynikającą z odmiennego światopoglądu i bazującą na odmiennym kompleksie rozumowym. Racją tej moralności nie są uznane przez wszystkich zasady, podstawą sprawiedliwości sowieckiej nie jest obiektywizm w ocenie postępu, a wyłącznie i tylko subiektywna korzyść, służąca celom partii, jej państwu w osobie Związku Sowieckiego i wszelkim pochodnym stąd konsekwencjom. Dlatego wybór środków, dążących do upatrzonego celu, zależy idealnie tylko od ich skuteczności. Dlatego metody, stosowane przez bolszewizm w każdym działaniu, należą do metod absolutnie bezwzględnych, w dosłownym tej bezwzględności pojęciu. Omówienie to niezbędne jest, aby zrozumieć, a poniekąd usprawiedliwić wielotorowość akcji sowieckiej, która obok przemocy i gwałtu dopuściła się, w tym feralnym miesiącu wojny, niesłychanego, nieuzasadnionego na pozór oszukaństwa.

Oto bowiem równoległe z rozpuszczoną początkowo wersją, że Armia Czerwona idzie na pomoc Polsce w jej walce z Niemcami, a jednoczesnym terrorem i łamaniem lokalnych ognisk ostatniego, rozpaczliwego oporu oddziałów polskich, biegła jeszcze inna, trzecia akcja: fałszywych obietnic, a nawet zapewnianych gwarancji, że zarówno oficerom jak żołnierzom, po złożeniu przez nich broni i lojalnym zarejestrowaniu się w kancelariach wojskowych sowieckich – poręczony będzie wolny wybór, bądź udania się spokojnie do domu, bądź przekroczenia granicy rumuńskiej lub węgierskiej, dla połączenia się z armią polską, tworzoną na emigracji do dalszej wojny z Niemcami.

Celem tej fałszerskiej akcji było zapobieżenie, aby element który doktryna bolszewicka traktuje jako klasowego wroga, a moralnie najodporniejszy wobec najeźdźcy, nie rozproszył się samorzutnie po kraju, nie ukrył w nim i nie stanowił następnie źródła podziemnego oporu. Innymi słowy, aby ten element „klasowo wrogi” utrzymać na powierzchni, zebrać go jak pianę i w myśl zasad i metod bolszewickich zniszczyć.

Akcję tę, z różnym skutkiem, przeważnie jednak dobrym, zapoczątkowano jednocześnie w wielu miejscach okupowanego kraju. Na wielką skalę zastosowano ją dopiero w aferze lwowskiej.

Wyglądało tak, jakby natura sama, na widok tylu niesprawiedliwości i tylu klęsk spadłych na jeden kraj, ściągnęła brwi i prawie równocześnie z uderzeniem sowieckim od wschodu nicbo się zachmurzyło, wiatr co prędzej jął zrywać liście z drzew, a deszcze dokuczać zarówno zwycięzcom jak zwyciężonym. Dnia 12 września Niemcy podeszli pod Lwów i otoczyli go zwartym pierścieniem, ale miasto się nie poddało. Nie poddało się też, gdy nade-

szła klęskowa wiadomość o wiarołomnym napadzie sowieckim, gdy żołnierze poczęli stać w błocie, a krew padłych w obronie ojczyzny rozwadniała się w kałużach deszczu.

Dowódcą obrony Lwowa był generał Langner.

JAK MARSZAŁKOWIE TIMOSZENKO I SZAPOSZNIKOW OSZUKALI GEN. LANGNERA.

General Langner nie poddał Lwowa Niemcom. Gdy jednak z drugiej strony, od wschodu, w sukurs armii niemieckiej nadeszła armia sowiecka, sytuacja wytworzyła się oczywiście kompletnie beznadziejna. Niemcy po nadejściu bolszewików zrazu wycofali swój wschodni pierścień oblężenia, następnie ustąpili całkowitą inicjatywę Armii Czerwonej.

Dzień 21 września 1939 r. był dziesiątym dniem oblężenia, bez jakiegokolwiek widoku powodzenia dla obrońców, a wobec załamania całego kraju dalsza walka nie miała wartości strategicznej. Broniono się z nawyku, z poczucia żołnierskiego honoru. Właśnie w południe tego dnia zabielała przed liniami polskimi flaga parlamentariuszy sowieckich. Oficerowie bolszewicy uśmiechali się do brotliwie i dawali do zrozumienia, jakoby cała ta walka pomiędzy Armią Czerwoną i [armią] polską stanowiła jedynie wynik jakowegoś tragicznego nieporozumienia.

Na czele delegacji sowieckiej przybył osobisty przedstawiciel marszałka Timoszenki, generał Iwanow, w asyście kilku wyższych oficerów i zażądał bezpośredniej rozmowy z dowódcą obrony Lwowa. General Langner, w towarzystwie generała Rakowskiego, majora Jawicza i kapitana Czycyryna, podjął się rokowania, zaznaczając, że wobec bezcelowości dalszego przelewu krwi, gotów jest kapitulować, ale...

– Ależ naturalnie! – podchwycił gen. Iwanow. – Ja z góry wiem, co pan chce powiedzieć. Upoważniony jestem przez generała Timoszenkę – tu z lekka pochylił głowę – do zakomunikowania panom, że warunki kapitulacji będą jak najbardziej łagodne i honorowe.

– Co pan nazywa honorowe?

– Ja? Hm... a przy jakich panowie obstają?

– Jeżeli chce pan odpowiedzi ostatecznej i skonkretyzowanej w punktach, musimy się uprzednio naradzić.

– Nie trzeba. Ja w imieniu generała Timoszenki proponuję panom: wszyscy żołnierze i oficerowie po złożeniu broni będą wolni i będą mogli udać się do domów, albo jak zechcą, na granicę rumuńską i węgierską, skąd mogą się przedostawać na własną rękę do

Francji, do nowo organizowanej armii polskiej. Więcej powiem: ci, którzy zechcą wrócić do domu, otrzymają ze strony władz sowieckich wszelką pomoc, środki lokomocji i żywność na drogę.

O lepszych warunkach nie można było oczywiście marzyć. Umowa została podpisana. Kapitulacja nastąpić miała nazajutrz, dnia 22 września, o godzinie trzeciej po południu.

Gdy generał Langner przechodził korytarzem gmachu Dowództwa Okręgu Korpusu Lwów, jakiś głos zduszony odezwał się z mroku:

– Generale! Oni nie dotrzymają żadnych warunków. Oni nas wszystkich wymordują jak psów...

General nic nie odpowiedział. Może nie słyszał? W ciemnym korytarzu zacichały kroki jego butów, wraz z lekkim pobrzękiem ostróg.

Naiwność, łatwowierność? Czyżby nie znany był generałowi tekst odezwy, skierowanej do żołnierzy polskich, przez tegoż samego Timoszenkę, w imieniu którego przemawiał gen. Iwanow? Odezwa ta nieznana była w oblężonym Lwowie. Czas był odmierzony. Czasu było mało. A nazajutrz już było za późno.

Gdy wszyscy oficerowie polscy, w myśl rozkazu, po złożeniu broni w gmachu DOK, wymaszerować mieli w zwartych szeregach z miasta, ulicą Łyczakowską w stronę Winnik, skąd ruszyć zamierzali na granicę rumuńską, otoczył ich nagle kordon wojsk sowieckich z bronią gotową do strzału i nasadzonymi bagnietami.

– Maszerrrować! – i popędzono wszystkich w kierunku rogatki miejskiej.

– Co to ma znaczyć!? – zaprotestował generał Langner wobec generała Iwanowa. – A gdzie wykonanie warunków?!

– Ach, niech się pan nie przejmuj! Warunki wykonane będą co do joty. Tu chodzi o własne dobro oficerów. O ich bezpieczeństwo. Uniknięcie nieporozumień z naszymi oddziałami po drodze, różnymi bandami, czas wojenny... pan mnie rozumie? Pójdziecie panowie do Tarnopola najpierw, a stamtąd jak ustalono: kto do domu, kto przez granicę.

Tarnopol.

Małe miasto w południowo-wschodniej części Polski. Kolczaste druty. Wszystkich oficerów traktują jak jeńców. Złe przeczucie coraz głębiej zakrada się w serce, ale nikt jeszcze nie śmie

przed sobą samym, a cóż dopiero głośno wobec towarzyszy, siac zważenia i defetyzmu. Jakże by to była możliwa podobnie potworna zdrada? I ludzie zapominają o doświadczeniach, o faktach, o umowach poważniejszej treści, które zostały zdeptane, podarte, poszły w niepamięć, jak pójdą liście, które tu spadając, szemrzą dziś pod nogami, zgniją przez zimę, a wiosną ich już nie będzie. Ludzie wierzą zazwyczaj w to, w co chcą wierzyć.

Dnia 24 i 25 września gen. Langner domaga się wyjaśnień, wypuszczenia wszystkich na wolność, rozmowy z samym Timoszenką. Istotnie, Timoszenko zgłasza się przy telefonie:

– Owszem, wiem o wszystkim. Umowa będzie dotrzymana, hm, niewątpliwie... Ale zachodzą pewne okoliczności... Ja też jestem zależny od Moskwy... Ja się postaram wyekspediować pana generała osobiście i bezpośrednio do Moskwy, dobrze?

– Bardzo bym o to prosił.

– Doskonale.

Mija następny dzień i jeszcze następny. Trzeci się wlecze jak plucha po mokrej ścianie więziennego baraku. Ale istotnie: dnia 28 września gen. Langner, w towarzystwie gen. Rakowskiego i mjra Jawicza, siadają do samolotu. Śmigła zapuszczone. Kłania się od wiatru trawa i marszczą kałuże wody deszczowej.

W powietrzu. Lot trwał długo i był męczącym. Rzuciło, chmury, słaba widoczność. Wreszcie Moskwa. Ta sama Moskwa, która... ech, lepiej nie myśleć. Ale droga oficerów polskich nie prowadzi do Moskwy. Z lotniska wiozą ich do miejscowości Kuncewo, położonej o godzinę jazdy od stolicy. Tu dom osobny, otoczony mocnym parkanem. Rodzaj „daczy” rosyjskiego stylu, a wokół straż w uniformach NKWD, przy pistoletach na pasie. Znowu dni się wloką. Znowu jesienny deszcz dzwoni o szyby, choć właściwa jesień dopiero się zaczyna. Tymczasem tam, w kraju, tysiące jeńców czeka na rozstrzygnięcie swego losu. Ale czy czeka jeszcze? Co się z nimi właściwie dzieje? Czy te pertraktacje nie zakrawają raczej na jakieś kpiny, bo niby po co ta zwłoka? Mija jeden, drugi, trzeci dzień na daremnym wyczekiwaniu. Wreszcie czwartego dnia podjeżdża elegancka limuzyna.

– Dokąd mamy jechać?

– Generał Szaposznikow prosi.

Generał Szaposznikow, ten sam słynny generał sowiecki, wslawiony pierwszą kampanią fińską, późniejszy szef sztabu generalnego, uśmiecha się zza biurka, wstaje, obchodzi go i wita się grzecznie, zapytując na wstępie:

– Panowie pała? Proszę bardzo. – Podsuwa najlepsze papierozy z tego gatunku, który jest dostępny tylko jednej setnej części procenta obywateli sowieckich. – Słyszałem właśnie – mówi, gładząc wierzchem dłoni wygolone policzki – słyszałem, że panowie przylecieli. Czym mogę służyć? – I odchyła się w wygodnym fotelu, puszcza dym, opiera rękę na poręczu. Tak, ot sobie normalnie, pogodnie. Jasny dzień wpada przez okno. Dziś nie pada. Białe obłoczki toczą się po sinym niebie.

Oficerowie polscy są zmęczeni i przytłoczeni. Ich mundury wymięte. Ich ojczyzna stratowana... On „słyszał”...

– Chciałem przypomnieć panu generałowi o warunkach kapitulacji – mówi gen. Langner – jakie podpisaliśmy z przedstawicielem generała Timoszenki. Domagamy się ich spełnienia.

Wówczas Szaposznikow pochyla się z lekka ku przodowi i odpowiada uroczystym, wyraźnym głosem, a nawet bierze ze stołu ołówek i podkreśla każde słowo mocnym uderzeniem jego tępego końca:

– Wszystkie warunki będą dotrzymane. Cały świat, proszę panów, wie o tym, że nikt tak jak Związek Sowiecki nie potrafi dotrzymać raz powziętych umów.

Kpiny? Nie, patrzy prosto w oczy, wzrokiem, w którym czai się zmęczenie, ale nie dostrzec śladu ironii.

Nastala cisza. Cisza z tej kategorii, o której się zwykło mówić, że dzwoni w uszach. Toteż obecni drgnęli nagle, gdy otwarły się drzwi gabinetu, jakkolwiek otwarły się one również bardzo cicho. W progu stanął człowiek, w mundurze, ze wzrokiem wlepionym pytająco w generała Szaposznikowa.

– Panowie pozwolą herbaty? – spytał generał.

– Nie, dziękujemy.

Szaposznikow machnął ręką, uzbrojoną w ołówek, postać znikła, drzwi się zamknęły.

– Tak, ot więc... – podjął z westchnieniem. – Ta sprawa załatwiona. Ale ja mam... to jest właściwie chciałem zapytać przy okazji... – tu spojrzął na Langnera. – Pan generał zna dobrze dawne fortyfikacje polskie na bylej granicy, prawda? Proszę mi powiedzieć... – i spod akt, leżących na stole, wyciągnął mapę.

– Czyż mógłbym coś więcej wiedzieć dziś niż to, co panowie wiedzą sami? – odpowiada Langner. – Wszystkie forty są przecie w waszych rękach. Ja na pewno ich tak dobrze znać nie mogę, jak wy je znacie.

– Hm, to prawda. – Szaposznikow zniechęconym ruchem odrzuca mapę i wydaje się nagle, że przedmiot przezeń poruszony miał być tylko zagajeniem jakiejś innej rozmowy. Jakiej? Do niej nie dochodzi. Pyta natomiast:

– Czy mają panowie jeszcze jakieś sprawy, żądania?

– Nic więcej. Chcieliśmy tylko interweniować w sprawie przyspieszenia wykonania warunków umowy i wypuszczenia na wolność wszystkich oficerów i żołnierzy, jak to było przewidziane.

– Ja też nic więcej nie mogę powiedzieć ponad to, co powiedziałem – rozkłada ręce Szaposznikow. – Ze swej strony daję słowo, że wszystko będzie w najlepszym porządku. Panowie powrócą i sami się przekonają na własne oczy. Być może wasi ludzie są już wolni w tej chwili.

Tymczasem powrót oficerów polskich znów się przedłuża o kilka dni. Sprawa władzom sowieckim nie wydaje się być tak pilną, jak generałowi Langnerowi. Lot powrotny do Lwowa odbywa się w lepszych warunkach atmosferycznych, ale pasażerowie, wyczerpani nerwowo, przeocząją niektóre widoki, jak na przykład linię kolejową, biegnącą od dawnej polskiej stacji granicznej, Zdobunów-Szepietówka, która z góry wygląda jak cienka niteczka. A szkoda. Gdyby się przyjrzeliby baczniej, dostrzegliby niewątpliwie długie gąsieniczki wagonów towarowych, sunących w kierunku Berdyczowa i Kijowa, a za nimi pasmo dymów od lokomotyw, które je ciągną z wysiłkiem. Co może być w tych wagonach? Towary, maszyny wywożone z Polski? Nie dojrzeć wprawdzie z tej wysokości, nie przebić wzrokiem dachu, ale domyśleć się było można, czy nie?... Nie! Oficerowie polscy, choć są zmęczeni i zdenerwowani, ale w gruncie dobrej myśli. Wiozą przecie ze sobą uroczyste słowo generała Szaposznikowa.

Można więc sobie wyobrazić ich zdumienie, gdy we Lwowie dochodzi ich wieść, że znaczne kontyngenty rozbrojonych oficerów i żołnierzy polskich już są po cichu wysyłane, rzekomo w głąb Rosji! Generał Langner nie daje tym pogłoskom wiary:

– To tylko „rzekomo” – mówi – to nie może być prawdą. Przecież mamy umowę na piśmie. Przecież mamy zapewnienia generała Timoszenki i słowo generała Szaposznikowa!

– Niech pan sprawdzi, generale – odpowiada informator.

A sprawdzić można łatwo, gdyż właśnie we Lwowie mieści się obecnie sztab Timoszenki. Generał Langner, który korzysta jeszcze z prawa wolnego poruszania się po mieście, udaje się tam

natychmiast. Timoszenko nie odmawia audiencji, ale wyjaśnia grzecznie:

– Co do wykonania warunków umowy, nie otrzymałem jeszcze instrukcji z Moskwy.

Nazajutrz:

– Nie mogłem uzyskać połączenia z Moskwą.

Na trzeci dzień:

– Proszę zaczekać kilka dni.

Po kilku dniach:

... Generał Langner zostaje aresztowany w swym mieszkaniu, a przed drzwiami postawiona straż NKWD.

Żaden z warunków podpisanej umowy nie został dochowany przez stronę sowiecką. Większość rozbrojonych żołnierzy, wszyscy oficerowie, wszyscy funkcjonariusze policji i cała żandarmeria wojskowa, oraz ludzie z Korpusu Ochrony Pogranicza, wepchnięci zostali do bydłących wagonów i wywiezieni w głąb Rosji. Nie były to zatem warunki przewidziane w umowie, ale warunki w jakich traktuje się gdzie indziej najgorszych przestępców: poganiani kolbami i bagnietami, w ciasnocie, brudzie, głodzie i straszliwie spragnieni, jechali na wschód do nieznanego celu. Tylko nielicznym udało się zbiec. W tej liczbie samemu generałowi Langnerowi, który w przyszłości przedostanie się do Rumunii.

Tak się zakończył pierwszy akt dramatu.

Słusznie powstać może pytanie: po co władze sowieckie zadały sobie tyle trudu i zachodu w tej grze fałszu i kłamstwa? Po co im była potrzebna ta cała gra na zwłokę? W jakim celu? Przecież mogły, nie podpisując żadnej umowy i nie łamiąc słów swych generałów i marszałków, otoczyć wszystkich przemożną siłą zbrojną i wywieźć od razu! A jednak chodziło im o zwłokę. Chodziło, aby nie spłoszyć, nie utrudnić sobie akcji wyłapywania możliwie największej ilości oficerów. Nie wszyscy bowiem znajdowali się już za drutami. Wielu ukrywało się jeszcze w przebraniach cywilnych. Gdyby zatem wieść o masowej deportacji w głąb Rosji rozeszła się w kraju zbyt wcześnie, masa ludzi, na których zniszczeniu zależało bolszewikom, postarałaby się o ucieczkę i bardziej bezpieczne schronienie. Nikt by się nie zgłosił dobrowolnie do rejestracji. Tymczasem na mieście wciąż wisiały obwieszczenia, które obiecywały zarówno oficerom rezerwy, jak czynnej armii polskiej, w wypadku zarejestrowania, traktowanie na równi z oficerami Armii

Czerwonej i zupełną swobodę. Naiwnych było dużo. Jeszcze w dniach 9 i 10 grudnia, więzienie lwowskie, tzw. „Brygidki” liczyło około 2 tysięcy oficerów polskich, których tam wtrącano, gdy się zjawiali dobrowolnie na rejestrację. Następnie maska nie była już potrzebna. Deportowano ich jawnie.

W zbrodni katyńskiej i zagadce, otaczającej przez lata wojny sprawę zaginięcia jeńców polskich, jeden element jest bezsporny, ten mianowicie, że wszyscy oni znajdowali się w okresie przed zniknięciem w niewoli i na terytorium sowieckim.

W poprzednim rozdziale figurowało pytanie: ilu jeńców polskich deportowano do Rosji? Nigdy zupełnie dokładnie ich cyfra nie będzie znana. Oficjalne źródła sowieckie, w rok potem, w rocznicę najazdu na Polskę (patrz Załącznik Nr 2) ogłosiły, że we wrześniu roku 1939 wzięto do niewoli:

10 generałów, 52 pułkowników, 72 podpułkowników, 5.131 oficerów niższych stopni, 40.966 podoficerów i 181.223 szeregowych. Cyfry te jednak zdają się nie obejmować policji, żandarmerii i Korpusu Ochrony Pogranicza. O deportowanych później, na skutek „rejestracji” i indywidualnych aresztowań, w miesiącach zimowych 1939/40, źródła sowieckie również nie wspominają. W istocie zatem liczba ogólna musiała przekraczać wymienioną w rocznicę najazdu, przez źródła sowieckie.

Co się z tymi ludźmi stało?

ROZDZIAŁ IV.

PIĘTNAŚCIE TYSIĘCY JEŃCÓW ZNIKA BEZ ŚLADU.

Trzy obozy i tajemnica ich rozładowania. Korespondencja i gazety. Uratowani spod Smoleńska. Późniejsze relacje grup „specjalnych”.

Niezmierzone się wydają obszary Rosji od granic Polski po Ocean Spokojny, od Oceanu Lodowatego po pustynie i stopy centralnej Azji. Niezmierzone wydają się wszelako tylko temu, kto ich nigdy nie mierzył. Temu, kto je zna raczej z literatury, niżli z życia dzisiejszego Związku Sowieckiego. Niezliczone też wydać się mu mogą ludy, ich losy powikłane, ich odrębności na tej rozciągniętej przestrzeni ziemskiej. Człowiek patrzący z zewnątrz, czy chociażby turysta uprzywilejowany, któremu przypadkowo wolno było zwiedzić Związek Sowiecki i przejechać się po nim wszcz i wzdłuż, wynosi często poczucie widzianego ogromu i zdaje się jemu, że pojedyncze indywiduum ginie w tym obszarze, jak kropla w morzu. Zdaje mu się ponadto, że nic łatwiejszego jak dać nurka w tę masę ludzi, języków i przestrzeni, aby się ukryć przed światem, wypłynąć gdzieś w drugim końcu 1/6 globu ziemskiego i znowu zniknąć pod powierzchnią, zmieszać z tłumem, być nierozpoznany.

Nie ma nic błędniejszego ponad ten pogląd na „dzisiejszą” Rosję, która Rosją przestała być przed 27⁵ laty i przeobraziła w obecny Związek Socjalistycznych Republik Rad. Nie ma nic trudniejszego ponad schronienie się w niej przed wszechobecnym okiem władz, biurokracją policji porządkowej, a zwłaszcza politycznej. „Niezmierzone obszary Rosji” są w rzeczywistości wymierzone dzisiaj z dokładnością do metra kwadratowego przestrzeni. W Sowietach nie ma rzeczy, przedmiotu martwego czy żywego, który by nie był zarejestrowany, skatalogowany, zanotowany w ten czy inny sposób. Totalitarno-policyjna władza przenika tu każdy kąt, każdą duszę ludzką i o najbiedniejszym pastuszkach, pasającym owce, władza nie tylko wie, że istnieje na świecie, że mieszka w takim kolchozie, takiego kraju, wiele zarabia, co je i pije, ale nawet co mówi, nawet co myśli! W Sowietach każdy człowiek ma nie tylko swój cień, podążający za nim we dnie, gdy świeci słońce, ale i swoją kartotekę. A ta idzie za nim zarówno w dnie słoneczne, jak słotne i chmurne, i

⁵ Najprawdopodobniej ustęp ten autor pisał w r. 1945, we Włoszech. (przyp. wyd.)

śnieżne zawieje, nie opuszcza go w nocy, gdy śpi oddychając niespokojnie i trzyma na wiecznej więzi, której zerwać niepodobna.

W Sowietach nic się nie dzieje bez woli i rozkazu władz. Potęgę tej władzy stanowi właśnie jej wszechobecność. Natomiast łatwość, z jaką rządzi milionami obywateli, wynika z narzuconej im ignorancji i nieruchawości.

Nie ma dziś bowiem bardziej ciemnego kraju na świecie, niż te „niezmierzone obszary” Związku Sowieckiego. Chłop tu, bez zezwolenia, nie ma prawa opuścić swej wsi, robotnik fabryki, mieszczanin miasta.⁶ Co się dzieje za horyzontem jego, przykutej do warsztatu pracy, egzystencji, o tym przeciętny obywatel może się tylko domyślać, nigdy zaś wiedzieć na pewno. Fakt ten właśnie stwarza sytuację, w której władza państwowa rządzić może nie tylko wszechwładnie, ale bez żadnej kontroli moralnej czy fizycznej.

W ten sposób w Sowietach, istotnie może w każdej chwili zniknąć z powierzchni poszczególne indywiduum ludzkie lub ich tysiące, jak przysłowiowa kropla w morzu, ale tylko i wyłącznie za sprawą i wiadomością władz. Szeroki zaś ogół nigdy się o tym nie dowie, już z tej prostej przyczyny, że „szerokiego ogółu”, w naszym rozumieniu tego słowa, w Sowietach nie ma.

I tylko jak kropla po kropli wydrążyć może kamień, tak samo lat trzeba na to, aby zdobyć jakąś prawdę o Sowietach, którą władza chce ukryć. Lat trzeba, aby tę wiadomość ułożyć z lamigłówek, ludzkich domysłów, plotek, wrażeń, opowieści, wspomnień, w pewną logiczną, syntetyczną całość.

⁶ Dekretem z dnia 27 grudnia 1932 (Zbiór praw 1932, 84-516) wprowadzającym system przymusowych paszportów wewnętrznych, wszystkim obywatelom Związku Radzieckiego cofnięto prawo swobodnego podróżowania i poruszania się w granicach państwa. Nieobecność każdego obywatela w jego miejscu zamieszkania w przeciągu 24 godzin winna być niezwłocznie meldowana odnośnym władzom policyjnym. Wjazd lub wejście do miast o znaczeniu przemysłowym i strefy je otaczającej (od 20 do 100 km) wymaga specjalnych zezwoleń.

Dekret z dnia 8 czerwca 1934 r. (Ogłoszony w "Izwestijach" 9.VI. 34) brzmi:

„W wypadku dezercji osoby wojskowej, dorośli członkowie jego rodziny, jeżeli są współuczestnikami tego aktu zdrady lub jeżeli wiedzieli o zamierzeniu i nie donieśli odnośnym władzom, ulegną karze więzienia od lat 5 do 10, oraz konfiskacie mienia. Inni dorośli członkowie rodziny pozbawieni zostaną prawa wyborczego i deportowani do odległych miejscowości Syberii.”

Dekret z dnia 26 marca i 24 lipca 1940 r. wprowadza, za samowolną zmianę zatrudnienia, opuszczenia miejsca pracy, spóźnienia i lenistwo – karę ciężkich robót przymusowych. (przyp. autora)

Ażeby zatem odpowiedzieć na pytanie: co się stało z około 200 tysiącami jeńców polskich, wywiezionych do Rosji na jesieni i [w] zimie roku 1939/40, należy zabiec o lata naprzód, gdy po długich poszukiwaniach i żmudnym gromadzeniu tysięcy relacji, obliczeń, sprawozdań, udało się wreszcie wyrobić mniej więcej konkretny, a częściowo nawet wcale dokładny obraz.

Losy szeregowych były różne (patrz: Załącznik Nr 3). W większości jednak wypadków zwolnieni zostali do domów, po pewnym czasie, w niejednorodnych okresach i po ciężkich przejściach więziennych.

Natomiast główna masa oficerów, oraz policji i żandarmerii, osadzona została w trzech wielkich obozach jenieckich:

W **Kozielsku**: około 4.500 oficerów różnych stopni.

W **Ostaszku**: 6.567

W **Starobielsku**: 3.920 wojskowych

Razem: 14.987

Cyfra ta oczywiście nie może być traktowana jako bezapelacyjnie dokładna. Mogło być o kilkuset więcej, albo mniej.

Z tej ogólnej liczby władze sowieckie wydzieliły następnie z poszczególnych obozów pewną ilość jeńców, którą przeniosły do obozu w miejscowości Griazowiec, pod Wołogdą. Osoby te później wydstały się na wolność i im właśnie zawdzięczamy większość relacji z okresu istnienia wymienionych trzech obozów.

W ten sposób wiadomym jest, że w Starobielsku znalazło się około 8 generałów, około 100 pułkowników i podpułkowników, 360 lekarzy wojskowych i reszta, przeważnie oficerów niższych stopni.

W Kozielsku, na ogólną ilość około 4.500 oficerów, było 6 generałów⁷, prawie 400 lekarzy, 29 księży katolickich, kapelanów wojskowych, reszta oficerów różnych stopni i... początkowo trzy kobiety. Dwie z nich zostały wywiezione w okresie wcześniejszym, w nieznanym zresztą kierunku. Trzecia, porucznik-pilot wojsk polskich, pozostała do końca, tzn. aż do rozładowania obozu.

W Ostaszku znalazła się przeważnie policja, żandarmeria, oraz Korpus Ochrony Pogranicza, w tej liczbie około 400 oficerów. Było też sporo więźniów cywilnych, głównie spośród sędziów, prokuratorów, ziemian itd.

⁷ Prawdopodobnie tylko 4: Smorawiński, Bohaterewicz, Wołkowicki i kmr Czernicki. (przyp. wyd.)

[w oryginale mapka ZSSR, z oznaczeniem miejsc obozów dla jeńców polskich, z opisem:]

Trzy obozy, z których zaginęli jeńcy polscy w Sowietach.

Kto przeszedł osobiście lub kto czytał chociażby opowieści o łagrach jenieckich, turmach, obozach koncentracyjnych w Rosji Sowieckiej, opowieści i relacje, które w dużym stopniu przeniknęły już do świadomości czytelników zarówno Europy Zachodniej, jak obydwu Ameryk, dla tego dzieje ludzi zamkniętych w tych trzech obozach, ich życie codzienne, *régime* tam panujący itd. nie będą przedstawiać specjalnej ciekawości. Dziś Związek Sowiecki więzi w obozach koncentracyjnych od 15 do 20 milionów ludzi. Poza tym wszystkie jego więzienia są z reguły przepelnione. Na obszarze całego państwa rozrzucone są ponadto obozy pracy przymusowej. Losy tych więźniów podobne są z grubsza do siebie. Baraki, przez których ściany wiatr pogwizduje i zimą śnieg nawiewa. Albo stare poklasztorne mury i cerkwie, z których wygnano Boga i poustawiano nary dla więźniów. Pluskwy, wszy, brud. Ciasnota, brak wody. Wyżywienie ledwo wystarczające do utrzymania się przy życiu. Kłaczaste druty. Karabiny maszynowe na wieżyczkach. Brutalne traktowanie. Niskie, pochmurne niebo od wczesnej jesieni do późnej wiosny. Mrozy zimą. Gorąc latem. Straszliwa, ponura beznadziejność i tęsknota za krajem, za wolnością. Od czasu do czasu pogadanki i odczyty przymusowe, w których opowiada się o radosnym, szczęśliwym życiu w Sowietach, oraz o nędzy, głodzie, ucisku i prześladowaniach w „państwach kapitalistycznych”. Poza tym zakaz sprawiania obrządków religijnych i wspólnych modlitw. Nade wszystko zaś: badania, badania, badania bez końca, apele, ankiety, sprawdzanie liczb, kartoteki i znowu śledztwa.

To też ogólne relacje z okresu istnienia tych obozów, aż do wiosny roku 1940, różnią się między sobą mało i nic prawie nie wnoszą dla wyjaśnienia późniejszego zniknięcia jeńców. Podkreślić by jednak wypadalo, że o ile los zamkniętych w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie, podobny był do miliona losów innych więźniów w Sowietach w ogóle, o tyle w szczególności istniała kompletna analogia pomiędzy tymi trzema obozami, zarówno w odniesieniu do wewnętrznego rygoru, jak ogólnego traktowania.

Lecz oto w powodzi tych ponurych, acz małoważnych dla sprawy faktów, nagromadzonych w późniejszych relacjach, istnieje pewne szczegółowe sprawozdanie porucznika Młynarskiego, osadzonego w Starobielsku wraz z innymi, a następnie przeniesionego do obozu w Griazowcu, które z pewnych względów zasługuje na dosłowne przytoczenie jednego z ustępów:

W połowie grudnia 1939 roku zezwolono nam korespondować. Walka o te elementarne prawa trwała od najpierwszych dni po przybyciu do obozu. Obiecywano nam stale, że już, że może ju-

tro... W połowie grudnia zezwolono wreszcie. Adres odbiorcy musiał być napisany w języku danego kraju, obok zaś fonetycznie w pisowni rosyjskiej: 1) ZSSR 2) Łagier wojennoplennych 3) Starobielsk 4) Pocztyj jaszczik nr 15. 5) Imię i nazwisko w brzmieniu polskim, bez stopnia wojskowego.

Pisać wolno było raz na miesiąc. Już w końcu grudnia zaczęły napływać pierwsze odpowiedzi z kraju, a nawet z zagranicy.

W marcu 1940 r. zezwolono na wysyłkę po jednej depeszy. Sądzę, że była to ostatnia wiadomość, jaka z obozu Starobielska dosięgła rodziny. Napływ poczty nadchodzącej wzrastał z tygodnia na tydzień. Poczta ta nie była reglamentowana terminami, rozdawała ją w miarę napływu.

Poczta wychodząca urwana została około 10 kwietnia 1940 r., nadchodząca zaś trwała jeszcze do dnia 26 kwietnia, po czym wszystko ustało.

Szczegóły przytaczane tu przez porucznika Młynarskiego są bardzo ważne. Albowiem fakt zezwolenia jeńcom na korespondencję, potwierdzony następnie w konfrontacji z innymi relacjami więźniów, jak też tysiącami rodzin w kraju, pod okupacją niemiecką i sowiecką – stanowić będzie na następne miesiące, a nawet lata, jedyny, acz jeszcze słaby początkowo wątek, nić do kłębka mrozącej krew zagadki...

Zdarzyło się jednak, iż tenże porucznik Młynarski, w zeznaniu swoim, składanym wojskowym władzom polskim w dniu 1 listopada 1941 roku, wspomniał o jeszcze jednej okoliczności, nie domyślając się nawet, że dla późniejszego wyjaśnienia sprawy będzie ona miała wagę nicomal decydującą. Mówiąc mianowicie o propagandzie sowieckiej wewnątrz obozu, oświadczył dosłownie:

Propaganda o charakterze ogólnym, państwowym, była importowana do obozu za pośrednictwem radia, pism codziennych moskiewskich („Prawda”, „Izwestija”), paru charkowskich, oraz filmów. Prócz wymienionych gazet rosyjskich, przysyłano szczególnie obficie „Głos Radziecki”, redagowany skażoną polszczyzną w Charkowie czy Kijowie. Bibuły te psuły nam krew, lecz po przeczytaniu przydawały się ogromnie.

Tak, tak, gazet sowieckich mieli wszyscy pod dostatkiem, Na marginesie jednak należy sobie dobrze zapamiętać „Głos Radziecki”. Tytuł pisma komunistycznego w języku polskim: „Głos Radziecki”. Ale to już sprawa przyszłości...

Jesteśmy w środku zimy roku 1940. Zima, która rozpoczęła serię wyjątkowo mroźnych w tej wojnie. Z dusznych baraków i kamiennych budynków, zatłoczonych ciżbą jeńców, więźniów bez winy, internowanych bez prawa, wydobywają się tumany pary i zgni-

tego powietrza. Życie tych ludzi obraca się w dalszym ciągu w tempie wahadła: od rozpacz do nadziei, od nadziei do rozpacz.

Na froncie zachodnim trwa cisza, ale Związek Sowiecki, w wykorzystaniu swego sojuszu z Hitlerem, po zajęciu pół Polski i obsadzeniu bazami wojskowymi państw bałtyckich, dokonał kolejnej agresji na Finlandię. Istnieje przysłowie, że „tonący chwytą się nawet brzytwy”. W związku z kampanią fińską, ludzie tonący w Sowietach czepiali się jakichś mglistych nadziei. Ale Finlandia mogła być dla nich tylko tą brzytwą, niczym więcej. Po kilku miesiącach bohaterskiego oporu, w marcu, przegrywa wojnę.

Tegoż samego marca 1940 roku wyruszył pierwszy transport oficerów polskich z obozu w Kozielsku, skierowany do... Smoleńska.

Dokument, zawierający relację w tej sprawie, znajduje się w rękach rządu polskiego w Londynie i tak samo jak inne, znany jest najwyższemu czynnikom brytyjskim:

Pod wieczór dnia 8 marca 1940 roku, żołnierze straży obozowej w Kozielsku zaczęli zabierać z poszczególnych baraków niektórych oficerów. Po stwierdzeniu tożsamości wymienionych w wykazie, enkawudziści kazali im niezwłocznie zabierać swe rzeczy i popędzając w ordynarny sposób, poprowadzili pojedynczo do budynku administracyjnego, gdzie dokonano bardzo szczegółowej rewizji. Następnie grupami po 2-3, pod konwojem dwóch uzbrojonych strażników, wyprowadzono z obozu ku odległej o 8 kilometrów stacji. Było około 20 stopni mrozu i marsz z rzeczami, po ciemku, po okrytej osłizgłym śniegiem, wyboistej drodze, był bardzo uciążliwy, szczególnie ze względu na stałe popędzanie przez konwojentów. Gdy jeden z jeńców, starszy pułkownik w stanie spoczynku, zaczął tracić siły, konwojent brutalnie go popędził, wymyślając i drwiąc.

Po trzydniowej podróży, podczas której pociąg dłużej wstawał na stacjach, niż znajdował się w ruchu, jeńcy dotarli do odległego o 200 km Smoleńska...

Tam ich wylądowano z wagonu, ustawiono w szeregi, po czym jeden z konwojentów pouczył ich, że w czasie marszu mają iść w porządku, nie porozumiewać się ze sobą, nie rozglądać, nie zostawać w tyle. Przy najmniejszym zaś usiłowaniu ucieczki, za co będzie uważane pół kroku w bok, konwój, bez uprzedzenia będzie strzelał. Po przejściu przez tory, zatrzymano jeńców przy bocznym wyjściu na ulicę i kazano uklęknąć w głębokim śniegu. Gdy po kilkunastu minutach przyjechał autobus, malowany na czarno, kazano jeńcom wstawać z kłęczek i siadać do autobusu.

Autobus był specjalnie przygotowany do przewożenia więźniów. Wzdłuż niego, środkiem, przechodził wąski korytarz, po którego obu stronach były liczne, niskie, wąziutkie drzwiczki. Po wejściu jeńca na korytarz, znajdujący się tam enkawudzista nakazywał

mu szybko włożyć tyłem do przeznaczonej celi-kabiny. Przedziały te były nieoświetlone i tak ciasne, iż ledwo się mógł zmieścić w nich skulony człowiek. Było to pierwsze zetknięcie jeńca ze słynnym w Sowietach autobusem więziennym, tzw. „czernyj woron” (czarny kruk). Niektórzy z jeńców, zdenerwowani i zmęczeni nieustannym znęcaniem i tajemniczością drogi i poczynąń sowieckich, wzdragali się przed wejściem do tego ciemnego otworu. Tych konwojent wypchał brutalnie, zatrzaskiwał drzwiczki, zamykał je i wywoływał następnego.

Należy zaznaczyć, że z baraków w Kozielsku zabierano jeńców pojedynczo, odprowadzano zaś na stację i wieziono pociągiem po 2-3. Na skutek tak ścisłej izolacji nie wiedzieli oni nic o swoich współtowarzyszach podróży. Zobaczyli się wszyscy nawzajem dopiero w Smoleńsku.

O ile w czasie podróży, każdy z jeńców na próżno usiłował domyślać się powodów swego wywiezienia z Kozielska, analizując przebieg swego życia, a w szczególności pobytu w niewoli, obecnie, w autobusie usiłowali oni wysnuć pewne wnioski o swym przyszłym losie, przez analizę składu grupy, do której trafili. Jednakże i ta metoda okazała się zawodną. Zespół ludzi był tak różnorodny, iż trudno było dopatrzeć się jakiegoś logicznego kryterium, które by ich mogło razem połączyć.

Ogółem w grupie było 14 oficerów, w tym płk Stanisław Libkind-Lubodziecki, prokurator Sądu Najwyższego, płk kaw. Starzeński, b. attaché wojskowy polski w Belgii, kpt. Radziszewski, referent PKU, porucznik marynarki wojennej, Graniczny, b. powstańca śląski.

... Po kilkunastu minutach jazdy autobusem, więźniów wylądowano na niewielkim podwórku, otoczonym wysokimi gmachami o zakratowanych oknach.

... W ten sposób, dnia 13 marca 1940 roku, po południu, na podwórzu więziennym w Smoleńsku, grupa jeńców, wywieziona z Kozielska w dniu 8 marca, została rozdzielona i odtąd już nic nie wiadomo o ich losach.

Z całej grupy odnalazł się tylko jeden jeńca, który ze Smoleńska powieziony został na śledztwo do Charkowa, a któremu następnie udało się wydostać z ZSSR i on złożył właśnie powyższą relację.⁸

W niecałe trzy tygodnie po opisanym wyżej zdarzeniu w Smoleńsku, a mianowicie dnia 3 kwietnia 1940 roku, następuje początek gremialnego rozładowania obozu w Kozielsku i wywożenia stamtąd jeńców, różnymi grupami od 60 do przeszło 100 osób. Rozładowanie to trwa do dnia 12 maja.

⁸ Relacja płk Libkind-Lubodzieckiego, por. *Zbrodnia Katyńska w świetle dokumentów*, 1982, s. 51-52. (przyp. wyd.)

Nieomal jednocześnie poczęto wywozić w identyczny sposób jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa.

Ten fragment dramatu jest stosunkowo najlepiej znany. Zna-ny jest dlatego, że wspomniani już jeńcy, którzy dostali się następ-nie do obozu w Griazowcu, a stamtąd po roku 1941 wyszli na wol-ność, złożyli nie tylko obszerne raporty, ale nawet niektórzy ogło-sili je drukiem. Wówczas jednak, gdy je drukowano, nie mogły wy-wołać spodziewanego efektu, stanowiły bowiem tylko ogniwa luźno wyrwane z całości łańcucha, nękającej świat ponurej zagadki.

Tak na przykład oficer polski, ukrywający się pod pseudo-nimem Jana Furtka,⁹ opublikował w piśmie amerykańskim „Nowy Świat” obszerną relację o rozładowaniu obozu w Kozielsku:

Byłem jednym z jeńców polskich w obozie w Kozielsku. W pierwszych dniach kwietnia 1940 roku władze sowieckie przystąpiły do likwidacji tego obozu. W tym czasie było w obozie przeszło 4.000 oficerów. Likwidacja odbywała się w ten sposób, że formo-wano grupy złożone z około 100-300 osób, które kolejno wywożono. Wyjazdy dobywały się w nieregularnych odstępach czasu.

Oczywiście wszyscy snuli przypuszczenia, co to wszystko znaczy i dokąd są wywożeni. Mimo całej nieufności, przeważało zdanie, że wyjeżdżający powracają do kraju. Tak zresztą twierdzili w rozmowach z nami politycy i niżsi funkcjonariusze obozu. Mó-wili oni wprost, że wywożeni będą oddani Niemcom, a nawet wymieniano Brześć, jako miejsce gdzie mają być przekazani władzom niemieckim.

Pamiętam, że pierwszym, którego wyczytano w naszym blo-ku, był kpt. art. Bychowiec, komendant bloku. Po pierwszym niepo-koju, wśród odjeżdżających zapanowała radość. Kiedy w jednym z transportów odjeżdżali generałowie Minkiewicz, Smorawiński i Bo-haterewicz, sowieckie władze obozowe urządziły dla nich obiad po-żegnalny w „klubie”, a następnie wyjeżdżających zęgnął okrzykami cały obóz.

Osobiście opuściłem obóz w Kozielsku w dniu 26 kwietnia 1940. Grupa, w której wyjeżdżałem, liczyła około 170 osób. Przed wyjazdem wszystkich członków grupy starannie zrewidowano. W czasie oczekiwania na rewizję podszedł do naszej grupy komisarz obozu Dymidowicz, przeglądając grupę i odezwał się w te słowa: „No, znaczyt wy choroszo popali” – „znaczy, żeście dobrze trafili”. Nie orientowaliśmy się, co oznaczają te słowa, czy były myślane i-ronicznie czy szczerze. Dzisiaj widzę, że te słowa były istotnie szczerze i byliśmy tą szczęśliwą grupą, której udało się uniknąć rze-zi... (patrz: Załącznik Nr 4)

⁹ Prawdopodobnie chodzi o Władysława Jana Furtka, więźnia griazow-ca. Jeśli tak, nie jest to właściwie pseudonim. (przyp. wyd.)

Za bramą obozu załadowano nas na samochody ciężarowe, którymi drogą okrężną przez las, z dala od wsi, przewieziono nas na bocznicę stacji kolejowej w Kozielsku. Tam załadowano nas do wa-gonów więziennych i wagony zamknięto. Zestaw wagonów składał się z 5-6 wagonów więziennych, przy czym nasza grupa została po-mieszczona w dwóch wagonach. Na bocznicę staliśmy w zamknię-tych wagonach około 2 godzin.

Orientując się według słońca, odjechaliśmy pociągiem z Kozielska w kierunku południowo-zachodnim. Po kilku godzinach dojechaliśmy do stacji węzłowej Suchiniczi. Po postoju zmieniliśmy kierunek jazdy na północny-wschód. W czasie przejazdu leżałem na górnej półce przedziału. Na ścianie wagonu zauważyłem napis wyry-ty ołówkiem, względnie zapałką, następującej treści:

„Dwie stacje za Smoleńskiem wysiadamy – ładujemy na samochody” i data, której drugą cyfrę trudno było odczytać. Mogło to być: 12, albo 17 kwietnia.

Ale z okresu tego pozostały nie tylko subiektywne, indywi-dualne relacje i opisy. Jeżeli chodzi o Kozielsk, to ci którzy wyszli do Griazowca, ułożyli wspólnie szczegółową tabelę wywożonych transportów, na podstawie poczynionych wówczas adnotacji, z od-nośną datą, liczbą i wymienieniem niektórych nazwisk osób, które w poszczególnych transportach pojechały. (patrz: Załącznik Nr 4).

Dokąd w kwietniu-maju wieziono ludzi z Kozielska?

We wspomnianym artykule, Jan Furtek nadmienia o odkry-tych na ścianie napisie: "Dwie stacje za Smoleńskiem wysiadamy"...

Analogiczny napis widział pewien adwokat wileński, który aresztowany przez władze sowieckie, jechał dnia 27 czerwca 1940 roku z Molodeczna, przez Mińsk do Połocka, w wagonie więzien-ym. Leżąc na półce, stanowiącej środkową kondygnację przedzia-łu, przeczytał ku swemu zdumieniu, napis po polsku, na suficie wagonu, ołówkiem chemicznym:

„Wyładowują nas pod Smoleńskiem do samochodów”.

Istnieje prócz tego świadek naoczny. Profesor Uniwersytetu Wileńskiego, Stanisław Swianiewicz, zmobilizowany w charakterze oficera rezerwy, w stopniu porucznika, podczas wojny 1939. Po klęsce dostaje się wraz z innymi do Kozielska. Dnia 29 kwietnia 1940 r. z partią 300 innych oficerów, załadowany zostaje do wago-nów i przybywa do stacji koło Smoleńska. W międzyczasie do władz smoleńskiego NKWD nadeszła depeusza, iż zaszło nieporozumienie, gdyż prof. Swianiewicza należy odstawić na śledztwo do Moskwy, w związku ze sprawą polityczną. Na tej to zatem stacyjce, wydzielają profesora-porucznika z grupy reszty jeńców i umieszczają osobno, tak jednak że udało mu się obserwować przez okienko, co się dzieje

na zewnątrz. Przyłgnął doń twarzą i nie odrywa oczu od widoku. Stacja mała. Miejscowość lesista. Wokół wznoszą się ku niebu wysokopienne sosny. Przed wagony zajeżdża autobus o zaciągniętych oknach i do niego ładują oficerów. Profesor nie wie, czy to jest dobre czy złe, że go samego pozostawili w wagonie? Czy lepszy, czy gorszy czeka go los? Tamtych w każdym razie wiozą gdzieś w nieznaną lesistą okolicę...¹⁰

Stacja tą była stacja Gniezdowo, położona około 14 kilometrów na zachód od Smoleńska.

Gdy to się działo pod Smoleńskiem, obóz w Starobielsku rozładowywano również i wywożono... dokąd? Odpowiedzieć na to pytanie trudno jest ściśle.

O losach Starobielska, o jego ludziach-więźniach, którzy tam siedzieli i o jego końcu, nikt tak obszernie i ładnie nie napisał, jak mjr Józef Czapski, malarz, literat i wojskowy w jednej osobie, który tam był (patrz: Załącznik Nr 5). W swojej książeczce pt. *Wspomnienia Starobielskie* w ten sposób kreśli okres tajemniczego rozładowania obozu:

Już od lutego 1940 roku, zaczęła krążyć pogłoska, że nas roześlą z tego obozu. Władze nasze w obozie rozsiewały pogłoski, że Sowiety oddają nas Aliantom, że wysyłają do Francji, byśmy się mogli tam bić. Podrzucano nam nawet oficjalny papierek sowiecki z trasą naszej podróży przez Bendery. Raz obudzono nas w nocy, pytając, kto z nas włada językiem rumuńskim i greckim. Stworzyło to wszystko taki nastrój nadziei, że kiedy w kwietniu zaczęto nas grupkami po kilkudziesięciu czy kilkunastu wywozić, wielu z nas wierzyło święcie, że jedzie na wolność.

Nie można było dojść w żaden sposób, według jakich kryteriów dobierano grupy, wysyłanych z obozu. Mieszano wiek, roczniki, rangi, zawody, pochodzenie socjalne, przekonania polityczne. Każda nowa wysłana partia zadawała kłam naszym, takim czy innym domysłem. W jednym byliśmy zgodni wszyscy: każdy czekał gorączkowo tej godziny, kiedy ogłoszą nowy spis wyjeżdżających.

Byłem jednym z ostatnich, którzy opuścili Starobielsk. Już na stacji zaczęły się niespodzianki: zapchano naszą partię do więź-

¹⁰ Profesor Swianiewicz przewieziony został do Moskwy i osadzony w więzieniu, skąd nie chciano go wypuścić nawet po roku 1941 i ogłoszeniu tzw. "amnestii" dla wszystkich Polaków. Z więzienia udało się go wydostać jedynie na skutek kilkakrotnych interwencji dyplomatycznych. (przypis autora)

Stwierdzenie niezupełnie ściśle. Po uwięzieniu na Łubiance, prof. Swianiewicz otrzymał wyrok pobytu w łagrze, skąd został zwolniony po interwencjach, w czerwcu 1942. (przyp. wyd.)

niarek po kilkunastu, w wąziutkich przedziałach, prawie bez okien, z grubo zakratowanymi drzwiami. Obsługa wagonu była rzeczywiście bardzo brutalna. Zasadniczo wypuszczano nas dwa razy na dobę do klozetu. Karmiono śledziami i wodą. W wagonach panował upał. Ludzie mdleli i najbardziej charakterystyczną była zupełna obojętność, najwidoczniej wdrożonych do tego konwojentów. Zawieziono moją partię do obozu w Pawliszczew Bor. Tam spotkaliśmy kilkuset kolegów z Kozielska i Ostaszkowa. Było nas razem około 400. Po paru tygodniach wywieziono nas wszystkich dalej do Griałowca nad Wołogdą, gdzie przebywaliśmy do sierpnia 1941 roku.

Mieliśmy prawo korespondowania raz na miesiąc z rodzinami. Warunki, w których żyliśmy, były lepsze niż w Starobielsku i byliśmy początkowo przekonani, że taki sam los spotkał wszystkich innych naszych kolegów, że zostali oni rozesłani do podobnych obozów, rozsypanych po całej Rosji. Mieszkaliśmy tam w starym budynku po-klasztornym, starożytna zaś cerkiew tego klasztoru wysadzona była dynamitem.

Książeczka mjr Czapskiego, przetłumaczona na kilka języków, cieszyła się swojego czasu dużym powodzeniem, jakkolwiek konkluzją jej są tylko domysły.

Dzisiaj wiadomo jest o wiele więcej. Wspomniany już porucznik Młynarski pełnił funkcję adiutanta, przy tzw. „starszym” w obozie Starobielskim. Tymi „starszymi” byli kolejno: mjr Zalewski, mjr Niewiarowski i mjr Chrystowski. Dnia 5 kwietnia 1940 roku był nim mjr Niewiarowski.

O godzinie 9 rano podchodzi doń komendant sowiecki obozu, ppłk Bierieszkow, w towarzystwie komisarza politycznego Kirszyna, i zawiadamia, że nastąpi rozładowanie obozu i dzisiaj odjechać ma pierwsza partia 195 ludzi.

– Dokąd? – pyta mjr Niewiarowski.

– Dokąd?... – przeciąga w odpowiedzi Bierieszkow. – Domoj! Do domu. Pojedziecie do obozów rozdzielczych, a potem do siebie, do żon, he, he, he...

Transporty zaczęły rzeczywiście odjeżdżać codziennie. Odprawy odbywały się w rannych godzinach, w obszernej izbie komendanta bloku nr 20. Tam dokonywano szczegółowej rewizji. Dienne partie wahały się od kilkudziesięciu do 240.

Pewnego dnia por. Młynarski zapytał Bierieszkowa:

– Dlaczego jedzie najwyżej 240 osób? Przecież przywieźliście tu nas tysiącami, to i odwieźć możecie tak samo.

– Nie można – odpowiedział. – Teraz wojna na całym świecie. My musimy być w pogotowiu. Taboru brak.

Przyszeli dzień 26 kwietnia. Nagle transporty ustały. Aż do dnia 2 maja, w którym wywieziono kilkudziesięciu. Następnie znowu przerwa i 8, 11, 12 maja opuścili Starobielsk ostatnie transporty. Tym spośród jeńców, którzy – jak się okazało później – trafili do Griazowca, kazano się surowo trzymać na uboczu, „osobno” od reszty.

Gdy pozostający zegnali tych, co odjeżdżali, komendant obozu zwykł był mówić ironicznie:

– Wy wszyscy prędko spotkacie się razem!

Co jednak rzucano się w oczy, to fakt, że do poszczególnych transportów dobierano z różnych bloków. Specjalnie zwracano uwagę, ażeby razem nie jechali bracia i ludzie z jednej „paczki”, którzy się ze sobą zżyli. Zwracało to uwagę dlatego, że ciągle na ten temat zgłaszano pretensje i prośby w komendzie obozu, a słyszano zawsze tę samą odpowiedź:

– Niczego! Spotkacie się niedługo...

– Gdzie? – pytano wówczas.

Dnia 25 kwietnia odczytano w bloku nr 20 „listę specjalną”, na której figurowały 63 osoby. Wsadzono ich do wagonów i powieziono na Woroszyłowgrad. Później stacja Charków. Postój. Jednemu z więźniów udało się przez szczelinę wytknąć na zewnątrz oczy, później nos i usta. Koło wagonu przechodził miarowym krokiem robotnik kolejowy, machinalnie obstukujący młotkiem koła pociągu.

– Towarzyszu! – szepnął więzień. – To Charków?

– Daa... Tak Charków. No, przygotujcie się do wychodzenia. Bo tu wszystkich „waszych” wyladowują i wiozą gdzieś samochodami.

– Dokąd?

Kolejarz wzruszył ramionami. Splunął pod koła i poszedł dalej.

To wszystko, co wiadomo.

„Grupa Specjalna” nie została jednak wyladowana w Charkowie, a dotarła do owego Griazowca, gdzie... nie zastała nikogo z kolegów tego samego obozu.

To, co się odbywa w tym czasie w Ostaszkowie, jest bliźniaczo podobne do wypadków, które zachodzą w Kozielsku i Starobielsku. Obóz Ostaszkowski też leży w murach poklasztornych, z tą różnicą, że na wyspie jeziora. Z lądem łączy go most. I oto tak samo, począwszy od dnia 4 kwietnia 1940 r. formuje się tam grupy,

takie same grupy jeńców, tak samo rewidowane, tak samo traktowane, tak samo zapewniane, że pojedą do domów... Tak samo wydzielano się tam niektórych, którzy dotarli następnie do obozu w Griazowcu, a reszta włączona do wagonów więziennych, wywieziona została...

dokąd?!...

Starszy posterunkowy policji polskiej, A. Woronecki, opowiadał następnie o swej rozmowie z jednym z wartowników. Ten przyjął odeń szczyptę sowieckiej, podłej machorki w poczęstunku, i w zamian za to „zdradził”, jak twierdził, tajemnicę:

– Waszych towarzyszy wy już nie zobaczycie.

– A gdzie oni?

– To nieprawda, że ich powieźli do domów i nieprawda, że ich rozesłali po innych obozach na pracę.

– A co jest prawdą?

Wartownik wyrównał skrawek gazety, który mu służył za bibułę, z namaszczeniem oblizał, zakleił, przyklepał, z watnych szarawarów dostał zapalniczkę typu domowego wyrobu, skrzesał ognia i dopiero, gdy puścił dym nosem, wycedził przez zęby:

– Ich potopili.

Oczywiście, wartownik mógł żartować.

Wachmistrz żandarmerii (J.B.), który siedział w Ostaszkowie od początku, a którego późniejsza relacja znajduje się w archiwum „Armii Polskiej na Wschodzie”, pod nr 11.173, potwierdza wszystko, co opowiadają inni:

Transporty formowano po 60 do 300 osób w grupie. Razu pewnego zaszedł był do piekarni, z kierownikiem której, niejakim Nikitinem, pozostawał w przyjaznych stosunkach. Oczywiście tematem dnia było rozładowanie obozu.

– Dokąd nas powiozą, nie wiesz? – zapytał wachmistrz.

– Na siewier, bratku, na północ gdzieś was wiozą – odpowiedział Nikitin.

Wachmistrz trafił następnie do małej grupy „specjalnej”, którą powieziono z całym transportem bieżącym, dnia 28 kwietnia 1940 r., złożonym z 300 policjantów polskich. Pojechali istotnie na „siewier”. Dojechali do stacji Bologoje, która leży na linii kolejowej Leningrad-Moskwa. W Bologoje wagon z grupą „specjalną” odczepiono i skierowano na Rzew. Gdy odjeżdżali, widział, że cały

skład pociągu, zawierający jeńców polskich, stał jeszcze na szynach stacji Bologoje.

Z masy jeńców trzech wspomnianych obozów, władze sowieckie wydzieliły i przewiozły, najpierw do obozu w Pawliszczew-Borze, a następnie do Griazowca:

Z Kozielska 200 osób.

Z Ostaszkowa 120 osób.

Ze Starobielska 86 osób.

Razem 406 osób, które łącznie z kilkudziesięciu wywiezionymi indywidualnie, na dalsze badania do więzień moskiewskich, w różnych okresach poprzedzających likwidację obozu doczekały się „amnestii”, na skutek ugody polsko-sowieckiej z 30 lipca 1941 r. i uzyskały wolność.

Reszta, tzn. około 14.700 ludzi, w tej liczbie około 8.400 oficerów, od wiosny roku 1940 przepadła bez wieści i śladu.

ROZDZIAŁ V

NIEPOKÓJ OGARNIA RODZINY W KRAJU.

**Nagle urwanie korespondencji. „Miejsce pobytu niezna-
ne”, mówi prokurator.**

Skąd jednak wiadomo, że owych blisko 15 tysięcy ludzi zniknęło właśnie z wiosną roku 1940? Że nie później, nie wcześniej, a tylko od kwietnia-maja tego roku, wieść o nich wszelka zginęła?

Była to pierwsza wiosna drugiej wojny światowej, dlatego być może tylu ludzi zachowało ją wyraźnie w pamięci, a wśród nich i ja, osobiście. Gdy świat cały skoncentrował swój wzrok na wypadki, toczące się w Zachodniej Europie, u nas, pod okupacją sowiecką, żyło się cicho i ponuro, na drzewach pączkowały dopiero pierwsze liście.

Chlebem powszednim była nadzieja. Żywiono się nią i przyklejono ją do kartek kalendarza. Spodziewano się dużo po tej wiosnie, która zawiodła oczekiwania wszystkich. Same złe wieści nadchodziły. Aż wreszcie dla wielu, ta najgorsza:

„Żadnych wiadomości z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa!!!”

Z początku mówiło się o tym ze smutkiem, później z troską, w końcu z trwogą. Jeżeli przyjąć, że każdy z zaginionych 15 tysięcy pozostawił tylko trzy osoby spośród bliskiej rodziny w kraju, żony, matki, ojców, dzieci, rodzeństwo itd., które się o niego troszczyły, da to już liczbę 45 tysięcy ludzi zżeranych niepokojem. A w praktyce było ich więcej! Niepokój ten powstał w maju r. 1940, a następnie wzrastał z każdym miesiącem.

Należy bowiem przypomnieć, że jeńcom zamkniętym w tych trzech obozach wolno było korespondować z rodzinami i rodzinom wolno było do nich pisać. Jak sprawa ta była regulowana wewnątrz obozów, wiemy z licznych relacji, a zwłaszcza szczegółowego raportu por. Młynarskiego.

Osobiście znałem dziesiątki osób i miałem krewnych, którzy z okupowanego kraju korespondowali z jeńcami tych obozów. Nagle od kwietnia przestały nadchodzić listy. W maju oczekiwano ich jeszcze, kładąc spóźnienie na karb źle funkcjonującej poczty sowieckiej. Ale wciąż nie było odpowiedzi. Dopiero zatroskano się

poważnie, gdy szereg listów wróciło z adnotacją pocztową: "Zwrot. Adresat nie znaleziony"... Inne przepadały w ogóle.

Pamiętam początek czerwca 1940 roku, gdy przyszła do nas sąsiadka z jakąś wymiętą kartką w ręku. Była to pocztówka, adresowana do Kozielska. Zbrukana palcami niechlujnych urzędników, nosząca ślady jakichś nieokreślonych adnotacji i stempel "zwrot".

– Bardzo się niepokoję – powiedziała. – Ostatni list miałam od męża z końca marca. Teraz czerwiec i... – wyciągnęła rękę z kartką. – Jak pan myśli, co mogło się przytrafić? Co się z nimi stało? Bo to nie on jeden. Wiem, że inni też nie otrzymują żadnej wiadomości.

Obracałem machinalnie kartkę w ręku. Widziałem pierwsze jej słowa, napisane grubym, wyraźnym pismem: „Najukochańszy mój Władeczk...” Jakiś kleks widniał w dole kartki. Kobieta, śledząc mój wzrok, powiedziała:

– Ach, to Staś chciał się dopisać do swego tatusia, ale nie potrafił. Co z nim teraz, z tym tatusiem Stasia? – uśmiechnęła się w zakłopotaniu, jakby użyła niewłaściwego zwrotu.

– Jeszcze nie ma powodów do niepokoju – odrzuciłem. – Znamy przecież bałagan w Sowietach. Te ogromne przestrzenie, trudności komunikacyjne. Wywieźli ich może gdzieś daleko. Miejsca mogą przejść, zanim wiadomość nadejdzie.

Tak oto właśnie, tymi przestrzeniami, tym obszarem byliśmy zasugerowani, jak tyłu innych, którzy sądzą, że w Sowietach błądzić można jak ryba w morzu, jak zwierzę w puszczy. Gdzieś, kiedyś wypłyną... Wiadomo, że nadzieja – mówi nasze przysłowie – jest matką głupich i głupią była ta nadzieja, że jeńcom nic się stać nie może, bo przecież Sowiety nie prowadzą nawet wojny, nie wypowiedziały jej też Polsce. Że właściwie nie są to jeńcy nawet, a internowani raczej. Że jeżeli można nie respektować konwencji międzynarodowych, to w każdym razie nie podobna też przekroczyć pewnej granicy moralności międzynarodowej. Może są chwilowo w złych warunkach, ale przecie żywi, jakkolwiek ślad i słuch po nich zaginął.

Pocieszaliśmy się i martwili na przemian, w kraju. Ale gdy się od kwietnia-maja 1940 roku urwało, listów już więcej nie było nigdy.

Niepokój w kraju udzielił się tym w Giazowcu, którzy znaleźli się w jednym, nowym obozie, wydzieleni z poprzednich trzech, w składzie „grup specjalnych”. Oni w dalszym ciągu korespondo-

wali z rodzinami w kraju, a oto co w tej sprawie pisał mjr Czapski, w wymienionej już książeczce:

Zaczęliśmy się niepokoić o los naszych współtowarzyszy, dlatego że prawie w każdej kartce z Kraju otrzymywaliśmy coraz bardziej niepokojące zapytania, co się dzieje z kolegami naszymi ze Starobielska, Ostaszkowa i Kozielska.

Na podstawie tych kartek stwierdziliśmy już od lata 1940 roku, że jesteśmy jedynymi jeńcami z tych trzech obozów, od których dochodzą wieści.

W końcu roku 1939 władze sowieckie deportowały, wraz z masą ludności polskiej, do Kazachstanu, obywatelkę polską Aleksandrę Urbańską. Mąż jej, nauczyciel z zawodu, ppor. Ryszard Urbański, osadzony został w obozie w Kozielsku. Żona znalazła się w miejscowości Rodnikówka, Aktiubińskiej Oblaści (obszaru administracyjnego). Stamtąd korespondowała regularnie z Kozielskiem. Począwszy jednak od marca 1940 r. korespondencja się urwała. Zrozpaczona żona zwróciła się raz i drugi do władz. Powiedziało jej, że to załatwia NKWD. Napisała więc podanie, prosząc o wyjaśnienie miejsca pobytu męża. Podanie to długo krążyło po kancelariach sowieckich, aż skierowano je do... Smoleńska.

Na tym podaniu funkcjonariusz smoleńskiego NKWD uczynił adnotację tej treści:

Powiadomić, że został przeniesiony do nieznanego obozu, w dniu 6.V.40 r.

Ja ten dokument później widziałem. Mam wszelkie dane przypuszczać, że znajduje się w tej chwili w ręku władz alianckich, łącznie z szeregiem innych.¹¹

Jeden z żołnierzy polskich na emigracji, który pragnie zachować nazwisko swoje w tajemnicy, stwierdza:

Ojciec mój, starszy posterunkowy policji polskiej w Zdobunowie, został aresztowany przez władze sowieckie i osadzony w obozie w Ostaszkwie. Stąd pisał stale listy.

Dnia 13 kwietnia roku 1940 cała nasza rodzina, tzn. matka, siostra i ja, deportowani zostaliśmy przez władze sowieckie ze Zdobunowa do Kazachstanu. Stamtąd usilowaliśmy się skomunikować z ojcem, ale daremnie. Na żaden z listów nie nastąpiła odpowiedź. Zaniepokojeni zwróciliśmy się do władz lokalnych, a później do centralnych, do NKWD, prokuratury itd. z prośbą o wyjaśnienie

¹¹ Ppor. Ryszard Urbański, nauczyciel, znaleziony został w Katyniu pod Smoleńskiem i zwłoki jego opisane zostały w niemieckim zbiorze dokumentów, pod numerem rejestracyjnym 3.220. (przypis autora)

miejsca pobytu ojca. Jedno z podań skierowałem osobiście na ręce Stalina. Nie było żadnej odpowiedzi. Gdy już straciłem wszelką nadzieję, wiosną roku 1941 nadeszło pismo od prokuratora rejonowego w Ostaszkuwie, treści takiej:

„Obóz, w którym przebywał wasz ojciec, został zlikwidowany wiosną roku 1940. Obecne miejsce pobytu ojca nie wiadome.”

ROZDZIAŁ V

PIERWSZE POTWIERDZENIE PONURYCH DOMYSŁÓW

„Zrobiliśmy wielki błąd”. Sowieckie plany polityczne.

Mijają letnie miesiące roku 1940. Wypadki wojenne do tego stopnia absorbują zainteresowanie całego świata, że nikomu na myśl by nie przyszło interesować się losem 15 tysięcy jeńców polskich, nawet gdyby wiadomość o ich tajemniczym zniknięciu z rejestrów więziennych Związku Sowieckiego dotarła do szerokiej opinii państw demokratycznych. Zniknęli? Znajdą się! Przecież piętnaście tysięcy ludzi, w mundurach obcego państwa, internowanych na terenie innego państwa, zarejestrowanych, zaprowiantowanych, korespondujących z rodzinami, nie może się zapaść pod ziemię! Tak by niewątpliwie wypadła opinia rzeczoznawców wojennych na Zachodzie, gdyby im wypadło zabrać głos w tej sprawie.

Tymczasem wojna z Hitlerem przybierała niepokojący obrót.

Tymczasem w dalszym ciągu nikt nie wie nic o zaginionych. Ani towarzysze niedoli, przeniesieni do innych obozów, ani rodziny w kraju, ani polskie czynniki rządowe na emigracji. Żadnego śladu, żadnej wieści, najmniejszej wskazówki, która by mogła rozjaśnić tajemnicę.

I oto nagle okoliczność, ze strony najmniej spodziewanej, bo najwyższych czynników sowieckich, rzuca nie tylko światło, ale zarazem potwierdza najbardziej ponure i odpychane od siebie domysły. Historia tego zdarzenia miała się, jak następuje:

W roku 1939, gdy Armia Czerwona, idąca w sukurs wojskom niemieckim, okupowała wschodnią Polskę, zajęła również Wilno. W Wilnie, podobnie jak w innych miastach, rozlepiono afisze, wzywające wszystkich oficerów polskich, zarówno armii czynnej, jak rezerwy, do dobrowolnej rejestracji. W mieście znajdował się podówczas pułkownik wojsk polskich, Berling. Nazwisko to później stanie się głośnie, acz z innych względów. Wówczas był tylko oficerem, zajmującym poślednie stanowisko w armii. Berling nigdy nie był człowiekiem wybitnym, natomiast bardzo ambitnym. Miał zaś pewne przyczyny, ażeby być rozgoryczonym na przeszłość. Wytoczono mu, na krótko przed wojną, sprawę honorową w sądzie wojskowym, wielce drażliwą. Chodziło o postępek jego względem żony, postępek nie licujący z godnością oficera, a tak głośny, że nie dał się utrzymać w tajemnicy czterech ścian prywatnego jego mieszkania. Wyrok zapadł dla płk Berlinga nieprzychylny, to też pomstował on głośno na „stosunki panujące w korpusie oficerskim”.

W Wilnie znalazł się podczas wojny przypadkowo. Udziału w kampanii niemieckiej nie brał. Gdy przeczytał rozlepione na murach obwieszczenia władz sowieckich, lojalnie zgłosił się do tych władz i oczywiście, zamiast spodziewanego prawa powrotu do domu, został z miejsca aresztowany, jak inni oficerowie polscy i wywieziony w głąb Rosji. Do dziś nie jest rzeczą zupełnie jasną, jak cel miał na oku rząd sowiecki, wydzielając „specjalne grupy” spośród jeńców różnych obozów? Do czego miał służyć w przyszłości rezerwat kilkuset ludzi, zgrupowanych w obozie w Griazowcu? Przypuszczać jedynie można, iż na podstawie pewnej konfidencji, obserwacji i niezbyt zresztą dla Sowietów szczęśliwego wyboru, dokonanego przez agentów politycznych, czuwających nad masą jeńców polskich (którą traktowano jako „kontrewolucyjną”) zamierzano wyłonić pewną kadre, powołną przysłym, politycznym planom rządu sowieckiego w odniesieniu do Polski. Jakim planom? Rozmowy początkowe, prowadzone z „wybrańcami”, były dosyć mętne. Z czasem jednak krystalizują się coraz bardziej i to w stosunku nie do wszystkich, a do „wybranych spośród wybrańców”.

W Griazowcu rozpoczęto intensywną propagandę komunistyczną i pilnie obserwowano jej skutki i oddźwięk, jaki budziła wśród uwięzionych. Na podstawie tej obserwacji obdarzono specjalnym zaufaniem pułkowników: Berlinga, Bukojemskiego i Górczyńskiego, łącznie z dwunastoma jeszcze oficerami. Jeżeli się zważy, że ogólna liczba trzymanyh w ścisłej niewoli sięgała piętnastu tysięcy, to te piętnaście osób stanowiło zaprawdę odsetek znikomy...

Pogawędki polityczne, jakie prowadzono z tymi oficerami, miały początkowo charakter względnie niewinny. Szły po dawnemu w kierunku dyskryminowania dawnej Polski, poniżania jej roli w Europie, przedstawiania jej „zacofanego, antysocjalnego systemu”, przy równoczesnym podkreślaniu epokowych zdobyczy w dziedzinie dobrobytu, wolności i innych szczęśliwości ustroju bolszewickiego. Nie trudno się domyśleć, że przy stosowaniu tego rodzaju systemu porównawczego, przekonywanie, nawet najbardziej oportunistycznie usposobionych ludzi, szło nieco opornie. Niebawem jednak, coraz częściej ponawiane pogawędki polityczne, przybrać miały charakter bardziej konkretnych rozmów. Dnia 27 września 1940 r. Hitler podpisał pakt o nieagresji pomiędzy Niemcami, Włochami i Japonią.

Dnia 7 października 1940 r. wojska niemieckie wkraczają do Rumunii.

Sytuacja stawała się naprężona i dla Związku Sowieckiego, dotychczasowego sojusznika Niemiec. Hitler przestał koordynować swe posunięcia z Moskwą, a pan Ribbentrop konsultować pana Mołotowa. Zdawała się wylaniać niepokojąca możliwość takiej konfiguracji politycznej, w której Sowietom, wobec zwycięskich Nie-

miec, przypadnie rola nie podmiotu, a przedmiotu. Z drugiej zaś strony, Związek Sowiecki, w obliczu ciągłych zabiegów wokół niego Wielkiej Brytanii, poczuwał się do możliwości przerwania steru politycznego. Na odległym jeszcze horyzoncie zarysowywać się zaczęła możliwość zbrojnego starcia z Niemcami. Sowiety tego nie pragną. Chcą raczej żyć w zgodzie z Hitlerem, ale czy Hitler zechce z nimi tę zgodę utrzymać?

Pomiędzy Niemcami i Związkiem Sowieckim leży Polska. Jeżeli by do konfliktu doszło, Polska mogłaby stanowić ważki czynnik, do wygrania dla jednej lub drugiej strony. Żołnierz polski i oficer polski jest bitny, jest dobry.

W ten to sposób, równoległe do grupowania we Lwowie i Moskwie politycznej garstki uległych Kominternowi komunistów polskich (późniejszy „Związek Patriotów Polskich”), zaczęła kiełkować myśl tworzenia militarnej jednostki polskiej w rękach sowieckich.

Zważyć jednak należy, iż był to dopiero rok 1940. Sowiety, w gruncie rzeczy, czując się jeszcze za słabe, pragną wojny z Hitlerem uniknąć za wszelką cenę. Jeżeli zatem mowa być może o kiełkowaniu projektu polskiej jednostki bojowej, to jedynie w płaszczyźnie teoretycznej możliwości, na ewentualną przyszłość. Plan jednak rząd sowiecki pragnie mieć gotowy. I otóż w dziedzinie tych planów zarysowuje się wyraźne stanowisko Sowietów względem Polski, po raz pierwszy zapowiedziane w mowie Mołotowa w dniu 31.X.1939 r.,¹² które następnie z twardą konsekwencją doprowadzone będzie do końca.

Jasnym jest, że Sowiety, już w roku 1940, na wypadek konfliktu z Niemcami i szczęśliwego jego rozwiązania, nie zamierzały przywrócić państwom przez się okupowanym, ich poprzedniej suwerenności. Nie w traktacie Jałtańskim z roku 1944, a o cztery lata wcześniej, jesienią roku 1940, postanowiono w Moskwie, że przyszła Polska będzie już tylko terenem, w ten czy inny sposób związanym i zależnym od Związku Sowieckiego.

Do tego właśnie poczęły zmierzać, wyżej wzmiankowane rozmowy z grupą polskich oficerów:

¹² We wspomnianej mowie, cytowanej już na innym miejscu, Mołotow powiedział między innymi, co następuje:

„Jedno błyskawiczne uderzenie ze strony najpierw armii niemieckiej, a następnie Armii Czerwonej, wystarczyło, aby z tego okropnego produktu Traktatu Wersalskiego, jakim była Polska, zbudowana na prześladowaniach mniejszości narodowych nie pozostało nic. Cały świat zdaje sobie sprawę, iż nie może być mowy w przyszłości o wznowieniu starej Polski.” (przyp. autora)

– Przecież wasz tzw. „rząd londyński”, to operetka!

Na razie Berling, odczuwając wagę targu, o który szło, wykazał daleko idącą powściągliwość. Dnia 10 października 1940 roku, przewożą tę grupę do więzienia w Butyrkach w Moskwie. Ale traktują więźniów z wyszukaną, jak na stosunki sowieckie, grzecznością, udzielając wszelkich przywilejów. Przy tym wyżywienie jest wyjątkowo obfite. Dnia 13 tegoż miesiąca przetransportowano ich do jasnej, sympatycznej celi w więzieniu w Łubiance i tu rozmowy na temat możliwości konfliktu z Niemcami i ewentualnych jego konsekwencji, toczą się dalej. Poruszany jest też los deportowanej do Rosji ludności cywilnej, a także jeńców. Bardzo wyraźnie występuje już teza sowiecka, że ewentualna przyszła Polska, nie ma być tą Polską, która była, a jakąś nową...

Właśnie w tym czasie następuje doniosłe rozgraniczenie, a w praktyce rozszerzenie najważniejszego z instrumentów sowieckiej władzy i sowieckiego terroru: NKWD i NKGB.

W pierwszych latach rewolucji bolszewickiej powstała słynna tzw. „Czeka”, czyli „Czerezwyczajka” (Czeriezwyczajnaja Komissija do borby s kontrrewoluciej – Komisja Nadzwyczajna do walki z Kontrrewolucją). Ona to utopila Rosję w powodzi krwi i zabrała jej miliony ofiar. Po wojnie domowej, w kilka lat, przeobrażona została w GPU. (Głównoje Politiczeskoje Uprawlenije – Główny Zarząd Polityczny), mniej więcej odpowiednik niemieckiej „Gestapo”. Zła sława, jaką zyskała ta instytucja, zarówno wewnątrz, jak też na zewnątrz Sowietów, oraz tarcia w samym jej łonie, spowodowały przemalowanie szyldu z GPU na NKWD (Narodnyj Komissariat Wnutriennych Dieł – Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych). NKWD niczym się nie różniła do GPU, tak jak GPU niczym się nie różniło od „Czeka”. Jednakże po roku 1939, wobec wybuchu drugiej wojny światowej, oraz okupowania przez Sowiety nowych terytoriów (w czerwcu r. 1940 Sowiety dokonały kolejnej agresji na państwa bałtyckie, inkorporując je następnie do Związku Sowieckiego), zachodzi konieczność wzmożenia wewnętrznego terroru. Przeto NKWD zostaje rozszerzone, przez przydanie mu dobudówki, właściwej, kolosalnie rozbudowanej policji politycznej, pod nazwą NKGB (Narodnyj Komissariat Gosudarstwiennoj Biezopasnosti – Ludowy Komisariat Bezpieczeństwa Publicznego). Na czele NKWD stał w roku 1940 komisarz Beria, na czele NKGB komisarz Mierkułow. Oni to stanowili w Sowietach właściwą władzę wykonawczą, której kierunek działania nadawał Stalin, przy czynnym współudziale Molotowa.

Dnia 30 października 1940 r. Beria i Mierkułow zjawiają się osobiście w więzieniu na Łubiance w Moskwie i zapraszają na roz-

mowę trzech oficerów polskich: pułkowników Berlinga, Bukojemskiego i Gorczyńskiego. Komisarze sowieccy mówią o możliwości konfliktu z Niemcami, zarysowują strukturę przyszłej Polski (odpowiadającej mniej więcej stanowi obecnemu, tzn. po roku 1945), poruszają sprawę ewentualnej organizacji polskich oddziałów zbrojnych, podległych dyrektywom sowieckim.

Berling w zasadzie godzi się z tą koncepcją. Rozmowa przechodzi tedy w płaszczyznę bardziej konkretną. Mierkułow poruszył kwestię ilości oficerów, jaką by można wziąć pod uwagę przy tworzeniu przyszłych oddziałów polskich.

Beria się skrzywił w tym momencie, ale było już za późno. Berling, który oczywiście nie wiedział, podobnie jak inni, o zaginięciu jeńców z trzech poprzednich obozów, wypalił, że gotów jest przygotować spisy z pamięci tych oficerów, o których wie, że zostali uwięzieni na terytorium sowieckim.

Mierkułow zmilczał. Beria zaś, po kłopotliwym odchrząknięciu, wypowiedział głosem miarowym następujące ważne słowa:

– Nie, oni nie wchodzi w rachubę... Myśmy zrobili błąd. Błąd zrobili z nimi... (Dosłownie: „My sdielali oszybku, oszybku sdielali”.)

*

Rozmowa ta odbywała się w przestronnym gabinecie naczelnika więzienia. Po powrocie do celi Berling przytoczył szczegóły jej przebieg towarzyszom celi, którzy w niej udziału nie brali. Oczywiście wypowiedzenie Berii zostało potraktowane jako rewelacja. Zapadło grobowe milczenie. Pułkownik Gorczyński zwrócił uwagę, iż trzeba by te doniosłe słowa niejako zaprotokółować, chociażby w pamięci. Wynika z nich bowiem, że z większością oficerów musiało się coś stać.

– Co?

Nikt się nie odezwał.

Dopiero po chwili zagadnął któryś:

– Jakże on w rezultacie powiedział?

– Moim zdaniem, tak – zreferował Gorczyński – „Zróbcie spisy, ale dużo ich już nie ma. Zrobiliśmy wielki błąd... – Po chwili: – „Oddaliśmy ich Niemcom” czy coś podobnego.

Jak można było tego wyraźnie nie dosłyszeć

Oczywiście rząd sowiecki żadnych jeńców polskich Niemcom nie wydawał. Nikt ich nie widział, ani w Niemczech, ani w przejeździe przez Polskę. Na żadnej granicy takie przekazanie nie nastąpiło. Nie istnieje żaden dokument świadczący o tym akcie. Rząd niemiecki nigdy się nie przyznał do otrzymania tych jeńców, a rząd sowiecki w przyszłości nie tylko że nie podtrzymał tej wersji, ale w urzędowym naświetleniu (patrz: Część II) najwyraźniej stwierdza, że żadne przekazanie jeńców polskich stronie niemieckiej nie mogło mieć nigdy miejsca.

Oświadczenie Berii traktować należy zatem bądź jako indywidualny wyskok, celem zatuszowania nieprzyjemnego wrażenia, jakie na obecnych musiały sprawić jego słowa, bądź też były wynikiem uprzedniego już omawiania tematu, przez najwyższe czynniki sowieckie, które jeszcze przed wojną niemiecką zdecydowały, że w razie poruszenia sprawy jeńców polskich, odpowiedzialność za ich zaginięcie zepchnąć należy na stronę niemiecką. Prawdopodobnie jednak sprawy nie traktowano jako pilnej, a raczej jako hipotetyczną jej możliwość. Toteż nie została sprecyzowana i dlatego Beria wyrazić się mógł jedynie w słowach więcej niż mglistych.

Nazajutrz, dnia 31 października, piętnastu uprzywilejowanych oficerów polskich, z Berlingiem na czele, wywiezionych zostało z więzienia na Łubiance do miejscowości Małachówka, odległej o 40 km od Moskwy. Tam, w willi izolowanej od świata zewnętrznego zamieszkali pod nadzorem agentów NKWD, ale w warunkach tak dalece odbiegających od normalnych, obozowych, iż dom ten nazwali sami żartem „willą szczęścia”. Miliony obywateli sowieckich mogło im zazdrościć tych warunków życia...

Tymczasem w Małachówce zorganizowano dla nich „kursy polityczne”, zaopatrzone wprawdzie w książki i dano możliwość pracy umysłowej, ale w jednym tylko kierunku: przekucia swej mentalności na światopogląd komunistyczny.

Dzieje tej „willi szczęścia” to epepea nadziei, zdrady, rozpaczliwego opamiętania, oporu i załamania, hysterii, wewnętrznej walki z samym sobą, z kolegami, z twardym parkanem, który ich otaczał. Rzec można, iż spośród tych piętnastu, jedynie tylko Berling, szef ekipy, nie zawiódł pokładanych w nim przez Sowiety nadziei.¹³ Konsekwentnie i bez złudzeń wyparł się swej przysięgi żołnierskiej, ojczyzny i przeszedł całkowicie na usługi obcego pań-

¹³ Relację z pobytu w willi w Małachówce sporządził po latach wzorowo się tam zachowujący rtm. Narcyz Łopianowski. Por. Narcyz Łopianowski: *Rozmowy z NKWD 1940-1941*. Opr. A.K. Kunert. Warszawa 1990. (przyp. wydawcy)

stwa. Czy po nocach nie budziły go złe sny, w których koszmar szeptał na ucho: „Z nimi zrobiono błąd”?

Jaki błąd? Co za błąd? Kto zrobił?

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i podpisania układu pomiędzy rządem sowieckim i polskim w Londynie, zdawało się, że Sowiety zaniechają koncepcji Polski Czerwonej. Berling i towarzysze zostają w nowo utworzonej w Rosji prawdziwej armii polskiej. Ale on sam dezertuje wkrótce ze stanowiska służbowego w Krasnowodzku i powraca na usługi sowieckie. Rozkazem personalnym Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie, nr 36, skreślony zostaje raz na zawsze z listy oficerów polskich. W roku 1943 zostaje mianowany generałem, ale przez... Stalina. Staje wówczas na czele oddziałów polskich, formowanych nie przez władze polskie, ale sowieckie. Jest powolnym narzędziem tych władz. Robi karierę. Jest o nim głośno, gdyż rządowi sowieckiemu zależy na stworzeniu przeciwwagi niepodległemu rządowi i niepodległej armii polskiej na emigracji. Rok 1944 to szczytowy okres kariery Berlinga. Potem słuch o nim zanika stopniowo, aż zapada w nicość.

Co się stało z Berlingiem?

Sądzić wypada, iż gdyby był wówczas nie powtarzał i nie rozgłaszał słów komisarza Berii, może by w dalszym ciągu robił karierę. Ale rzecz stała się głośna. Przedostała do prasy i publikacji polskich na emigracji. Istnieją świadkowie i protokoły zaopatrzone w podpisy tych świadków.

Czy próbował wyprzeć się wszystkiego? Nie wiadomo, zresztą ta ostatnia okoliczność nie ma już znaczenia dla przebiegu dalszej sprawy.

ROZDZIAŁ VII

CZERWIEC ROKU 1941

Kłeska Armii Czerwonej. Władze sowieckie masakrują więźniów.

W dniu 22 czerwca 1941 roku, wzdłuż całej linii, rozgraniczającej na wschodzie Europy sferę okupacji niemieckiej od sfery okupacji sowieckiej, huknęły o świcie działa. Hitler napadł na Związek Sowiecki niespodzianie. Sowiety zbroili się gwałtownie, ale o tej dacie nie były jeszcze do wojny gotowe. Uderzenie stalowej pięści niemieckiej było tak potężne, że pod jej ciosem armia sowiecka szła po prostu w rozsypkę. Niebawem pierwsze porażki graniczne przeistoczyły się w masową klęskę. Niemcy otaczali całe armie. Liczba jeńców wzrastała w zawrotnym tempie. Padało jedno miasto za drugim, przelamywano linie obronne, zdobywano teren, fabryki, kopalnie, zasoby zbóż i bezcennych surowców.

Kłeska militarna Sowietów, ociążałość ich aparatu, bezradność dowództwa, unieruchomienie środków transportowych, przecięcie komunikacji, zniszczenie lotnictwa, wszystko to razem przybrało rozmiary w dziejach wojen dotychczas nieznane.

Wypadki wojenne z tego okresu należą do zupełnie innej dziedziny i nie dotyczyłyby nawet pośrednio interesującej nas sprawy, gdyby nie pewna okoliczność, związana z metodą odwrotu Armii Czerwonej. Chodzi o metodę zastosowaną przez władze sowieckie względem więźniów. Oto bowiem zachodzi znamieny fakt: w stadium ostatecznego rozprzężenia, w obliczu klęski, gdy armia szła w niewolę lub rozbiegała się po lasach, gdy władze sowieckie pozostawiają w wielu ośrodkach ogromne zapasy surowca i żywności, nie mogą nadażyć z wywiezieniem archiwów, porzucają akta – wykazują największą aktywność i zapobiegliwość, jeżeli chodzi o opróżnianie więzień. Co ich do tego zmuszało? Jakiś patologiczny kompleks terroru czy po prostu okoliczność, że jedyną organizacją działającą sprawnie i sprężysto na terenie Związku Sowieckiego było NKWD-NKGB? Trudno jest na to odpowiedzieć. W każdym razie rzucało się w oczy, że postanowiono nie dopuścić, aby Niemcy owdąnęli choćby jednym więźniem. Ewakuowano wszystkie więzienia, obozy koncentracyjne i pracy przymusowej. Tam zaś, gdzie zbyt szybkie posuwanie się Niemców uniemożliwiało ewakuację, dokonywano masowych egzekucji lub zwyczajnej masakry więźniów.

Reguła ta nie знаła wyjątków i dlatego w sposób jak najbardziej przekonywający i jaskrawy zaprzecza późniejszej wersji sowieckiej, o rzekomym pozostawieniu, rzekomych obozów jeńców polskich pod Smoleńskiem (patrz dalej: Komunikat Komisji Specjalnej, część II). Dlatego fakty poniżej przytoczone, jakkolwiek wydać się mogą pozornie odbiegające od sprawy zbrodni katyńskiej, w rzeczywistości związane są z nią najbardziej ściśle.

Wszystkie więzienia i obozy, bez względu na to, czy rozrzucone były na ogromnej przestrzeni ziem zabranych od Estonii do Besarabii, czy też na właściwym terytorium Związku Sowieckiego, spotkał ten sam los. Znaczna część więźniów, która przetrzymała martyrologię tej, czasem krew mrożącej ewakuacji lub masakry, a która później w ten czy inny sposób uzyskała wolność i mogła się wydostać z granic Związku Sowieckiego, złożyła obszerne relacje. Relacje te są różne co do okoliczności, identyczne co do metod stosowanych względem więźniów. Zeznania dużej ilości obywateli polskich, którzy przecierpieli niewolę lub okupację sowiecką, złożyły się następnie na ogromne archiwum, pozostające w posiadaniu polskich czynników na emigracji. Wykorzystując ten materiał, autor polski, Zwierniak, opracował książkę pt. *W więzieniach bolszewickich 1939-1942*. Dokumenty zawarte w rozdziale tego dzieła, zatytułowane *Ewakuacja więźniów po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej*, zaopatrzone są wszystkie w numery kartoteki. Obejmują one relacje z ewakuacji więźniów w Kijowie, Tarnopolu, Równem, wstrząsający opis marszu pieszego do Moskwy, ewakuację na Łotwie i pograniczu Finlandii, straszliwe przeżycia więźniów Berdyczowa, których usiłowano spalić żywcem. Praca ta dotychczas nie ukazała się w druku, z braku wydawcy.

Spośród innych relacji i sprawozdań, na wyszczególnienie zasługuje raport ppłk Janusza Prawdzic-Szlaskiego, który może służyć za klasyczny wzór metod sowieckich, wymienionych powyżej.

DROGA ŚMIERCI

Zostałem aresztowany dnia 21 lutego 1941 roku w Grodnie i wywieziony do Mińska. Po przeprowadzeniu badań i dochodzeń w Moskwie i Mińsku, trzymany byłem jako więzień polityczny w specjalnym więzieniu NKWD w Mińsku.

Z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Mińsk pozostawał pod silnym ostrzałem lotnictwa niemieckiego. Całe miasto płonęło. Odczuwaliśmy brak wody i pożywienia.

Wieczorem dnia 24 czerwca usłyszałem odgłosy mordowania aresztowanych. Słyszało się wyraźnie kolejne otwieranie cel, jęki, szamotanie i od czasu do czasu strzał. Później mówiono, że przemocą wlewano w usta więźniów truciznę. Ile osób zamordowano w ten sposób, trudno mi jest określić. Odgłosy zbliżających się kroków,

trząsku otwieranych drzwi, oraz jęków, przesuwają się coraz bliżej mojej celi...

W ostatniej chwili nastąpił jeden z największych nalotów niemieckich na Mińsk. Egzekucje przerwano. Po nalocie zaś otworzono wszystkie drzwi cel i kazano wychodzić na podwórko więzienne. Zaczęto otaczać nas silną strażą i pędzono biegiem przez płonący Mińsk. Grupa nasza liczyła około 200 osób. Grupę, w której byłem, trzymano na uboczu, jako najniebezpieczniejszą. Wśród nas znajdowało się również 7 lotników sowieckich, którzy szli z rękami związanymi na plecach drutem. Byli oni aresztowani w ostatniej chwili, posądzeni o szpiegostwo.

Zorientowałem się, że niedobrze będzie pozostawać w tej grupie nadal. Zdaniem swoim podzieliłem się z najbliższymi współtowarzyszami i zaczęliśmy pojedynczo uciekać, mieszkając się z więźniami poprzednio wypędzonymi z Mińska. Przeważnie moje okazało się słuszne. Po wymarszu z tego lasu, w dalszą drogę, grupę, do której poprzednio należałem, wystrzelano na miejscu.

Pędzono nas drogą na wschód, dzieląc na nowe grupy.

Obawiając się, aby nas nie rozpoznano, niektórzy zaczęli zmieniać swój wygląd zewnętrzny. Tak na przykład ja zamieniłem ubranie z innym nieznanym więźniem na gorsze. Dzięki temu, że na oddziale kryminalnym zachowały się jeszcze zyletki, towarzysze zgolili mi brodę i wąsy. Grupa, do której dołączyliśmy się, wynosiła około 3.000 osób. Składała się z osób różnego wieku, począwszy od starców, a skończywszy na dzieciach obu płci. Tak szliśmy. Widząc kolo siebie dziewczynkę lat około 12-tu, pytam ją, za co ją aresztowano? Z wielką powagą i zdziwieniem odpowiada:

„Za kontrrewolucję i szpiegostwo”. Pochodziła z Polski, z okolic Nieświeża.

Pędzono nas forsownym marszem. Kto nie mógł iść dalej, bez względu na to, czy to było dziecko, starzec, mężczyzna, zostawał na miejscu zamordowany.

Na tle tego koszmaru zdarzały się też cuda... Oto niejako pani Borkowska, z Lidy, staruszka, gdy upadła z wyczerpania, podszedł do niej enkawudzysta i tylko kopnąwszy nogą, powiedział:

„Już i tak zdychasz, szkoda dla ciebie kuli”.

Stało się jednak inaczej. Borkowska wyżyła. Spotkałem ją później, w roku 1942, w Lidzie.

W marszu pomagaliśmy z towarzyszem niedoli prezesowi Sądu Okręgowego w Łucku, Giedroyciowi, którego męczyła astma. Nie mógł iść. W końcu, widząc, że naraża nas samych na niebezpieczeństwo, przez ciągle opóźnianie w pochodzie, prosił, by go zostawić. Zdając sobie sprawę, że i tak dobiega ostatecznego kresu sił, a nie mając siły go nieść, zmuszeni byliśmy pozostawić go samego. W naszych oczach został zastrzelony. Coraz więcej ubywało z szeregów. Coraz trudniej było maszerować.

Przez całą drogę chodzili funkcjonariusze NKWD i po rozpoznaniu, wywoływali niektórych, odciągali na bok i rozstrzelali. Postoje były krótkie. Jeść nie dawano. Pragnienie męczyło szalone. Upał panował nieznośny. W marszu tym rozpoznano jednego z moich bliskich współpracowników organizacji podziemnej polskiej, znanego pod pseudonimem „Oskara”, byłego prezesa Bratniej Pomocy Wyższej Szkoły Handlowej. W naszych oczach odprowadzono go na bok i oddano doń trzy strzały. Za pierwszym strzałem nieszczęśliwy podskoczył, rozłożył ręce i upadł na krzaki. Enkawudzysta strzelił jeszcze dwa razy do leżącego i poszedł, nie zwracając uwagi. Przekonani byliśmy, że zginął. Jakież było moje zdumienie, gdy po powrocie do kraju zobaczyłem go zdrowego! Okazało się, że za pierwszym razem trafiony został w szczękę. A następne, oddane z lekceważeniem, chybiły.

Dopędzono nas do miasta Ihumeń i tu zatrzymano na podwórku więziennym. Jedna z grup znajdowała się już we środku. Doszło nas około 2 tysięcy, reszta wyginęła po drodze. Z moich znajomych rozstrzelano wielu, a między innymi Kazimierza Gumowskiego, Aleksandra Polanko i szereg innych. Droga ta nazwana została przez ludność miejscową: DROGĄ ŚMIERCI.

Na podwórku więziennym w Ihumeniu dano nam, po trzydniowej głodówce, po 100 gr. chleba. Podczas odpoczynku nadeszli agenci NKWD i zaczęli wywoływać nazwiska. Między innymi padło też moje. Dwóch naiwnych się zgłosiło. Natychmiast odprowadzono ich do łaźni, gdzie zostali zastrzeleni. Pod wieczór nadleciały samoloty niemieckie. Po tym nalocie zaczęto nas znowu dzielić na nowe grupy, według przestępstw. Jednych skierowywano na prawo, innych na lewo. Ja z kilkoma najbliższymi znalazłem się w grupie lewej. Grupa ta liczyła około 700 więźniów. Wyprowadzono nas z więzienia nocą, pod silną eskortą i pędzono w kierunku wschodnim. Po przejściu około trzech do czterech kilometrów weszliśmy w lasy. Usłyszeliśmy strzały z tyłu. Okazało się, że zaczęto strzelać do ostatnich szeregów kolumny, biorąc każdego za kolnierza i odrzucając zastrzelonego na bok. Wszyscy przyspieszyli kroku. Wtedy enkawudziści, znajdujący się po bokach, otworzyli ogień.

Upadliśmy. Właśnie w tym czasie nadjechały samochody z żołnierzami Czerwonej Armii, którzy w panice uciekali przed Niemcami. Słyszając strzelanie przed sobą, sądzili, że to dywersja niemiecka na tyłach i również otworzyli ogień zarówno po nas, jak naszej eskorcie. Dopiero po pewnym czasie doszli do porozumienia.

Eskorta NKWD przepuściła samochody, które dosłownie przejechały się po leżących na drodze więźniach. Gdy odjechały, nasi strażnicy zawołali:

„Uciekać do lasu. Będziemy strzelać!”

Leżałem na gościńcu obok Witolda Daszkiewicza z Lidy, trzymając go za rękę. Gdy chciał się poderwać po wydanym rozkazie, przytrzymałem go. Jednakże większość poderwała się i wtedy eskorta zaczęła strzelać z broni maszynowej, oraz rzucać granaty. Huk strzałów i wybuchów zgłuszył jęki rannych i konających. Za-

czeliśmy się czołgać do przydrożnego rowu, w którym też przeczekaliśmy największe nasilenie ognia. Później wyczołgaliśmy się z rowu i uciekli do lasu.

W ten sposób udało się nam ująć z rąk naszych katów. Była to noc z 27 na 28 czerwca 1941 roku. Po odbiegnięciu około jednego kilometra, zatrzymaliśmy się na odpoczynek na skraju jakiejś polany. Po krótkim czasie nadciągnęli inni niedobitkowie. Zebrało się nas 37 osób.

Grupa w Ihumeniu, odprowadzona na prawo, została wyprowadzona do lasu na polanę, otoczona bronią maszynową i ostrzelana. Ażeby nikt nie został żywy, sprowadzono samochody, które się po nich przejechały. Z grupy tej uratował się tylko jeden człowiek, ciężko ranny. Zabrali go do szpitala Niemcy. Po jakimś czasie powrócił do domu.

Grupa, która znajdowała się w samym więzieniu ihumeńskim, została uratowana przez ludność, gdy NKWD uciekło. Jedna z grup, która nie doszła do Ihumienia, wymordowana została przed miastem. Wydzielono z niej 11 więźniów kryminalnych, do których miał przemowę kapitan NKWD:

„Stalin darowuje wam życie i każe bronić ojczyzny”.

Między innymi, którym udało się podać za kryminalistów, znajduje się też porucznik Sankowski, przebywający następnie w obozie jenieckim w Niemczech, w Langwasser. Opisał on swoje przeżycia w pamiętniku. Co się stało z innymi grupami wypędzonymi z Mińska, nie wiem.

Po trzydniowej wędrówce przez lasy i bagna, zdecydowaliśmy się dojść do jakiejś wsi, zorientować się w sytuacji i pożywić się. Szczęśliwie wpadliśmy w strefę niczyją, następnie ogarnęły nas patrole niemieckie i skierowały do obozu w Mińsku.

Ppłk Szlaski wspomina, że ludzie okoliczni, drogę, którą przebył, nazwali „Drogą Śmierci”. Nazwa, trzeba to przyznać, równie banalna, jak... ścisła. Podobną drogę przebyło w tym czasie dziesiątki tysięcy innych więźniów. Nikogo nie chciano zostawić, nikogo wypuścić żywcem.

Dziś większość opinii publicznej świata, w obliczu wciąż opisywanych masowych mordów i obozów koncentracyjnych niemieckich, nie wie lub nie chce wiedzieć o czynach, jakich dopuścili się bolszewicy podczas swego odwrotu, latem roku 1941. Wzdłuż całego pasa granicznego rozsiane były liczne więzienia. Gdy je otwarto, po ustąpieniu Armii Czerwonej, zastano tam zwały trupów.

Oto co mówi relacja naocznego świadka ze wsi Waśkowicze, gmina Prozoroki, powiat Dżisna, województwo wileńskie, zarejestrowane w kartotece wspomnianych wyżej archiwów pod nr 15.741:

Gdy w r. 1941 bolszewicy cofali się przed Niemcami, usiłowali pozabijać wszystkich księży w parafii. Nasz ksiądz uciekł z miasteczka i ukrywał się na wsi. W parafii Jazno bolszewicy księdza ujęli.

A to z kartoteki pod numerem 15.744, mieszkańca miejscowości Wiazyń, powiat Wilejka:

Gdy otwarto więzienie w Wilejce, po ucieczce bolszewików, oczom ludności przedstawił się straszliwy widok pomordowanych przez NKWD więźniów. W jednej celi wisiał na drucie kolczastym trup człowieka, powieszono go za szczęki, w innej kilku mężczyzn i kobiet nagich, bez uszu, z wyklutymi oczyma. W ogrodzie przytykającym do więzienia spostrzeżono, iż ziemia jest świeżo zruszana. Po rozkopaniu jej znaleziono setki trupów ludzkich. Były to ofiary masowych mordów, popełnionych przez NKWD.

Bardziej słynnym był mord dokonany w Berezewczu, województwa wileńskiego, gdzie istniało duże więzienie. Siedzieli w nim przeważnie okoliczni włościanie, oskarżani o niechętny wobec władzy sowieckiej stosunek. Z chwilą wybuchu wojny więźniów nie zdołano ewakuować i po prostu wszystkich wymordowano. W kilka godzin po wkroczeniu Niemców otwarto bramy więzienia i naliczono w nim około 4 tysiące zwłok (patrz: Załącznik Nr 6).

Charakterystyczny był mord dokonany w sowieckim obozie koncentracyjnym w Prowieniszkach. Cała sprawa, na podstawie zebranych następnie informacji, dokumentów i opowiadań dwóch świadków, którym jedynie udało się ocalać z masakry, miała przebieg następujący:

Miejscowość Prowieniszki leży na terytorium Republiki Litewskiej. W okresie okupacji sowieckiej 1940/41 i stworzenia tzw. Litewskiej Socjalistycznej Republiki Rad, urządzono tam obóz koncentracyjny zarówno dla przestępców kryminalnych, jak i politycznych. W chwili wybuchu wojny niemieckiej część więźniów została wywieziona. Pozostało około 500 osób, pod strażą milicji litewskiej, zorganizowanej przez bolszewików. Jednakże w chwili gdy zdawało się, że Armia Czerwona opuściła już kraj, milicjanci zerwali sztandar czerwony i wywiesili o barwach narodowych litewskich. Po pewnym czasie do obozu zbliżyły się czołgi, które przez straż obozową wzięte były początkowo za czołgi niemieckie. Okazały się jednak sowieckimi...

Bolszewicy otoczyli obóz, wymordowali początkowo straż więzienną pod zarzutem zdrady, następnie wszystkim więźniom kazali się zebrać na podwórzu. Gdy to nastąpiło, wjechały czołgi i otwarły ogień z karabinów maszynowych. Zebrany tłum więźniów, ogarnięty przerażeniem, widząc się otoczonym, tłoczył się coraz bardziej, zbijając w kupę, przy czym każdy szukał ratunku i zasłony poza ciałami towarzyszy, bądź żywych jeszcze, bądź już trafionych.

W krótkim czasie 500 ludzi leżało pokotem na ziemi. Wtedy podeszli żołnierze i bagnetami dobijali lżej rannych lub dających jakikolwiek znak życia. Z ogólnej liczby zdołało ujść z życiem dwóch. Jeden ranny tylko, a następnie niedobity, drugi zaś w ogóle nie trafiony, który wszelako upadł, wymazał swoją głowę krwią i mózgiem obok zabitego i leżał nieruchomo, udając martwego. Tych dwóch złożyło właśnie szczegółowe relacje o przebiegu masakry.

Najgłośniejszym wszelako z masowych mordów dokonanych w Polsce przez władze sowieckie, była masakra więźniów lwowskich, w obliczu zbliżających się Niemców w r. 1941.

Fakt ten, podobnie jak inne tego rodzaju, wyzyskała szeroko propaganda niemiecka, zamieszczając w prasie obszerne relacje, fotografie i zapraszając dziennikarzy zagranicznych. We Lwowie zamordowano przeszło 1.200 osób, spośród tych tylko, kogo nie zdążono wywieźć w głąb Rosji.

Ze źródeł polskich nie zostały dotychczas zgromadzone w tej sprawie wyczerpujące materiały. Jedynie prof. Władysław Studnicki, który w okresie okupacji niemieckiej zbierał we Lwowie materiały, dotyczące okupacji niemieckiej, w wydanej następnie broszurze pt. *Rządy Rosji sowieckiej we wschodniej Polsce 1939-1941*, na s. 45 wspomina krótko:

W przededniu cofnięcia się władz i wojska sowieckiego ze Lwowa, pod wpływem natarcia Niemców, rozpoczęło się rozstrzelanie. Ofiarami tego w pierwszym rzędzie byli ci, których pozostawienie w kraju uważały władze sowieckie za najbardziej niepożądane. Rozstrzelanie odbywało się w sposób następujący: wywoływano więźnia, prowadzono do piwnicy, w drodze otrzymywał wystrzał w tył głowy, całkiem dla siebie niespodzianie. W ten sposób rozstrzelano 600 Ukraińców, 400 Polaków i 22 Żydów.

Podobnych mordów masowych dokonano, jak już wspomniałem, na ogromnej przestrzeni od Zatoki Fińskiej do Morza Czarnego. Nieco później jeden z masowych grobów, największy bodaj z dotychczas znanych, odkryto w mieście Winnica, na Ukrainie. Tam władze sowieckie wymordowały tych wszystkich Ukraińców, którzy uwięzieni byli za przejawianie narodowo-ukraińskich, niepodległościowych tendencji politycznych.¹⁴

¹⁴ Ofiary znalezione w grobach Winnicy pochodziły z okresu przedwojennego. Por. art. J. Mackiewicza na ten temat w t. II obecnej książki: *Klucz do Parku Kultury i Odpoczynku*. Por. także oficjalny dokument niemiecki: *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*. Berlin 1944. (przyp. wyd.)

Na tle nowej wojny i tych wszystkich krwawych wypadków, wstrząsających posadami świata, los 15 tysięcy wojskowych polskich internowanych, a traktowanych jak jeńcy na terytorium sowieckim, zaginionych bez wieści od półtora prawie roku zdawał się blednąć i sprawa ich zacichać. Ale właśnie ta nowa zawierucha wojenna, klęska sowiecka i jej skutki w układzie sił międzynarodowych, wyrzuciły zagadkę największej zbrodni na powierzchnię, jak fale, które wzburzone wichrem, wyrwają przedmiot dawno już po-
grzebany na dnie morza i okazują go oczom zdumionych żeglarzy.

ROZDZIAŁ VIII

NA ZMYLONYCH ŚLADACH ZBRODNI

Co mówi Stalin, Molotow, Wyszynski o tajemniczym zniknięciu oficerów polskich? Daremne poszukiwania. Noty dyplomatyczne i konferencje. Sowieckie aide-mémoire zamyka dyskusję.

Klęska sowiecka z każdym tygodniem, począwszy od pierwszego dnia wojny, przybierała większe rozmiary. Pod wpływem zmienionej sytuacji politycznej, Sowiety przechodzą do obozu Aliantów zachodnich, wołają o pomoc, której im Churchill istotnie nie szczędzi. W lipcu roku 1941 Sowiety, stojące nad brzegiem przepaści, gotowe są do wszelkich ustępstw i każdej ugody, byle się przyczyniła do powstrzymania zwycięskiego pochodu armii niemieckiej. W tych warunkach dochodzi do zbliżenia, a w rezultacie umowy, zawartej między rządem polskim w Londynie i Związkiem Sowieckim.

Przyczyn tego porozumienia jest wiele. Przede wszystkim wspólny wróg – Niemcy. Ale... Czyż Sowiety w stosunku do Polski nie okazały się takim samym agresorem, a z pewnego punktu widzenia, nawet gorszym? Niewątpliwie. Jednak rząd polski postanawia wykreślić z pamięci niedawną przeszłość i zdradę Sowieców, po pierwsze dopingowany do tego kroku przez W. Brytanię, po drugie, idąc za tendencją polityczną swego wodza naczelnego i premiera w jednej osobie, gen. Sikorskiego, który był zawsze zwolennikiem porozumienia z Rosją. Po trzecie, ze względu na realne, praktyczne korzyści, jakie ugoda podobna może przynieść Polsce, w postaci zwolnienia wszystkich jeńców i ogromnej masy deportowanej do Rosji ludności cywilnej polskiej, której cyfra, w obliczeniach prowizorycznych, sięgać powinna około półtora miliona ludzi.

Po czwarte wreszcie, rząd polski w Londynie nie wie, że 15 tysięcy jeńców polskich, w tym blisko 9 tysięcy oficerów, znikło bezpowrotnie z powierzchni ziemi...

Bo właściwie, kto o ich losie coś wie? Poza odnośnymi władzami sowieckimi nikt, nic konkretnego.

Rodziny w kraju, które nagle przestały otrzymywać listy, domyślają się zaledwie i odpychają od siebie ten straszliwy domysł ponurej zagadki.

Grupa jeńców, za drutami obozu w Griazowcu, domyślać się jedynie może, znowuż na podstawie listów z kraju.

Grupa płk Berlinga na podstawie słów, rzuconych przez komisarza Berię.

Ale rząd polski w Londynie miał tylko utrudniony i pośredni dostęp do rodzin w kraju. Żadnego dostępu do obozu jeńców w Griazowcu. Żadnego dostępu do grupy Berlinga w Malachówce.

W ten sposób, zawierając układ z Sowiecami, nie wysuwa innych postulatów, jak przywrócenie *status quo* sprzed roku 1939, i... w dobrej wierze żąda wypuszczenia na wolność wszystkich jeńców i deportowanych ludności cywilnej. Stanowisko to sprecyzowane zostało w:

a) nocie wręczonej przez polskie MSZ ministrowi Edenowi dnia 8 lipca 1941 roku.

b) projekcie układu polsko-sowieckiego z dnia 12 lipca tegoż roku.

W rezultacie, dnia 30 lipca 1941 roku doszło do podpisania układu polsko-sowieckiego, którego protokół dodatkowy brzmiał jak następuje:

1) Z chwilą przywrócenia stosunków dyplomatycznych, Rząd Związku Socjalistycznych Republik Rad udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim, którzy są obecnie pozbawieni swobody na terytorium Związku Socjalistycznych Republik Rad, bądź jako jeńcy wojenni, bądź z innych odpowiednich powodów.

2) Protokół niniejszy wchodzi w życie równocześnie z układem z 30 lipca 1941 r.

Dnia 14 sierpnia 1941 roku następuje podpisanie umowy wojskowej polsko-sowieckiej i od tej chwili do formujących się na terytorium ZSSR oddziałów armii polskiej poczynają napływać z obozów i więzień zwolnieni jeńcy polscy¹⁵ i ludzie cywilni, deportowani przez bolszewików w okresie inwazji na Polskę.

Wkrótce jednak dowództwo polskie w ZSSR, orientuje się, że brak jest wielu, znanych dobrze, oficerów, o których wiedziano z całą pewnością, że w r. 1939 trafili do niewoli sowieckiej. Na przykład brakowało oficerów z grupy gen. Andersa, na czele z szefem sztabu mjr Sołtanem, brakowało wieloletniego adiutanta gen. Sikorskiego, mjr Fuhrmana, brakowało wielu pułkowników, a nawet

¹⁵ Głównie internowani swojego czasu na Litwie i Łotwie, którzy wpadli w ręce sowieckie po anektowaniu tych państw przez Związek Sowiecki. (przypis autora)

generałów. Po upływie pewnego czasu zorientowano się też w braku szeregu oficerów niższych stopni. W dalszym ciągu, w miarę napływania jeńców wychodzi na jaw, że brakujących jest więcej, niż zgłaszających się. Skonsternowane tym stwierdzeniem władze polskie, zwracają się najpierw do sowieckich oficerów łącznikowych. Ci ze swej strony dają odpowiedzi wymijające, mówią coś o zwolnieniu znacznej ilości jeńców do ich ojczyzny jeszcze w roku 1940.

Ale władze polskie mają już kontakt bezpośredni ze zwolnionymi jeńcami z grupy obozu Griazowca. Od nich dowiadują się, że nieobecnych oficerów nie ma też w kraju, gdyż otrzymywali od ich rodzin alarmujące listy z zapytaniem o ich los. Tłumaczenie zatem oficerów łącznikowych sowieckich nie może być ścisłe. Rzecz trzymana jest na razie w dyskrekcji i wydane rozporządzenia do władz ruchu podziemnego pod okupacją niemiecką, aby wersja została sprawdzona. Być może Niemcy osadzili ich w obozach? Jednocześnie przy Dowództwie Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR utworzony zostaje specjalny referat, którego zadaniem jest sporządzenie listy zaginionych.

Zaznaczyć należy, iż mimo wielu poszlak, w tej pierwszej fazie kontaktu z władzami sowieckimi, przedstawiciele polscy nie chcieli kwestionować dobrej woli rządu sowieckiego. Przypuszczenie, iż tylu oficerów i szeregowych można było po prostu zgładzić, nikomu nie przychodziło na myśl. Przypuszczano natomiast, że powodem niezwolnienia jeńców jest niesumienność władz lokalnych, bądź też ogromne trudności komunikacyjne, z którymi Sowiety walczyć musiały podczas trwającej wojny.

Ambasadorem polskim w Moskwie wyznaczony został podówczas pan Kot, zresztą wyraźny zwolennik sojuszu z Sowiecami. Dziwnym zbiegiem okoliczności na jego to osobę przypadło gros starań, które rzuciły następnie niedwuznaczne światło na zagadkę katyńską. Dziwnym dlatego, że człowiek ten przeszedł następnie do quislingowskiego „rządu warszawskiego” pod rozkazami Moskwy i w r. 1945 został z jego ramienia ambasadorem w Rzymie... Ale wówczas działał jak inni w dobrej wierze, a jego rozmowy i interwencje, spisane i zaprotokółowane skrupulatnie, stanowią dziś archiwum organicznie związane ze sprawą Katynia i innych zbrodni.

Pierwsza z tych rozmów, na temat zaginionych jeńców, odbyła się pomiędzy nim i Wyszynskim, zastępcą Komisarza Spraw Zagranicznych Sowieców, w dniu 20 września 1941 roku.

Po siedmiu dniach, 27 września, ambasador Kot wręcza rządowi sowieckiemu notę, w której wymienia szereg wypadków:

- 1) przetrzymywania obywateli polskich indywidualnie lub grupowo w obozach pracy przymusowej i więzieniach,
- 2) uniemożliwianie im kontaktu z ambasadą polską,
- 3) uniemożliwianie obywatelom polskim swobodnego wyboru, oraz zmiany miejsca zamieszkania,
- 4) zmuszanie ich w dalszym ciągu do pracy w warunkach więźniów,
- 5) odmawianie wydawania świadectw amnestyjnych.

Panowie Kot i Wyszynski spotykają się znowuż dnia 6 października, a dnia 13 października 1941 r. ambasada polska składa ponowną notę w sprawie niewypełnienia zobowiązań sowieckich co do zwolnienia z obozów obywateli polskich.

Od 30 lipca, dnia podpisania umowy, upływa już dwa i pół miesiąca! Gdzie są oficerowie polscy w liczbie przeszło 8 tysięcy? Gdzie reszta jeńców, około 7 tysięcy? Pan Kot nie chce jednak doprowadzić do zadrażnienia i chce być cierpliwym. Zresztą do Rosji ma przyjechać sam generał Sikorski. Nazajutrz tedy po wręczeniu noty, dnia 14 października, mówi do towarzysza Wyszynskiego:

– Mam nadzieję, że gdy gen. Sikorski przyjedzie, znajdzie on już wszystkich swoich oficerów.

– Oddamy wam wszystkich ludzi, jakich mamy – odpowiada Wyszynski – ale nie możemy dać tych, których nie posiadamy. Na przykład Anglicy podają nam nazwiska swoich ludzi, którzy mają się znajdować w ZSSR, a których w rzeczywistości tu nigdy nie było.

I pan Wyszynski wzrusza ramionami, jakby pierwszy raz słyszał o tym, że w centrum Sowieców, gdzie się rejestruje nie tylko ludzi, ale ich czyny i słowa, miało się znajdować jeszcze w roku 1940 piętnaście tysięcy oficerów i szeregowych armii polskiej, zamkniętych w obozach. On, były najwyższy prokurator najbardziej policyjnego państwa na świecie!

Generał Sikorski pragnie dobrych stosunków z Sowiecami. Ma z tego powodu kłopoty wewnątrz własnego rządu i społeczeństwa, które nie może zapomnieć krzywd doznanych. Nie może strawić tego sojuszu z wrogiem. Sikorski traktuje aktualne względy polityczne za sprawę nadrzędną, zaś utyskiwania, protesty i pogłoski o zaginionych jeńcach za złe podszepty i defetyzm. Nie wierzy, żeby mogli zginąć bez śladu.

– Znajdą się! – powiada. – Przecież nie chcecie panowie wmówić, że rząd sowiecki kazał ich po prostu zamordować. Absurd! Niemożliwe.

W tej dobrej wierze oczekuje jeszcze na sprawdzenie w kraju, okupowanym przez Niemców. Wreszcie nadchodzi stamtąd wieść, wieść hiobowa: „Nikt poszukiwanych oficerów nie widział w kraju na wolności. Nie ma ich też w obozach jeńców niemieckich. Nikt nie słyszał o żadnym przekazaniu na granicy. Wszystkie rodziny potwierdzają zgodnic, że korespondencja z nimi ustala od kwietnia-maja roku 1940, gdy jeszcze byli z całą pewnością w rękach sowieckich”.

Sikorski każe się skontaktować z ambasadą polską w Moskwie. Ambada odpowiada, że na ślad tych ludzi w dalszym ciągu nie natrafiono. Wówczas premier polski, wciąż w płaszczyźnie przyjaznych negocjacji, zwraca się do ambasadora sowieckiego w Londynie z listem osobistym w dniu 15 października 1941 roku. Na list ten nie otrzymuje odpowiedzi... Wydaje więc polecenie podjęcia bardziej energicznych kroków w Moskwie.

Ambasador Kot udaje się tedy dnia 22 października, bezpośrednio do Molotowa. Powołując się na swe poprzednie rozmowy z Wyszynskim, mówi:

– Dalem szereg przykładów p. Wyszynskiemu, do jakich ośrodków nie dotarło zarządzenie amnestii i jakie kategorie naszych obywateli, jak na przykład oficerowie, sędziowie, prokuratorzy, policjanci nie zostali zwolnieni.

Molotow w odpowiedzi więcej odkrzękiwał, niż mówił. Nic dziwnego: jesień późna, zimno, głęboka Rosja. Ludzie chodzą przeziębieni. Opału brak. Wojna. Jednak z tego, co wykrękał, wyrozumieć można było słowa:

– W związku z wielkimi trudnościami transportowymi i administracyjnymi... w szeregu okręgów pozostali niewątpliwie w dotychczasowych miejscach zamieszkania...

[zdjęcie Molotowa w oryginale, z opisem:]

Molotow też nie wie, gdzie się mogli zapodzieć zaginieni jeńcy polscy? „W związku z wielkimi trudnościami transportowymi...” – mówi dnia 22 października 1941 roku, podsycając tym nadzieję na ich powrót.

Właściwie strona polska z odpowiedzi tej jest zadowolona. Ostatecznie Molotow to nie jakiś bezprizorny, bezdomny chłopak, który może gwizdać na wiatr, co mu fantazja przyniesie do głowy. Zbyt wysokie zajmuje stanowisko i zbyt odpowiedzialne są jego słowa, nawet przez zachrypnięte gardło wypowiedane. Należy zaś je rozumieć, jako potwierdzenie optymistycznych przewidywań, że

jeńców wywieziono prawdopodobnie na daleką północ i teraz nie ma technicznej możliwości ich sprowadzenia.

Pomimo tego ambasador Kot wręcza Molotowowi, w dniu 1 listopada, notę o treści poufnej. Chodziło w niej, aby sprawę jeńców jakoś załatwić, jeszcze przed przybyciem spodziewanym generała Sikorskiego. Jednocześnie Kot prosi o rozmowę Wyszynskiego, która odbywa się nazajutrz, dnia 2 listopada i jest czwartą z kolei na ten temat. Wspominając o zdaniu Molotowa, że zapewne tylko trudności techniczne stoją na przeszkodzie w powrocie jeńców, ambasador polski prosi o jedno:

– Czy nie można ułatwić choćby telegraficznego porozumienia z nimi? Przecież ktoś w końcu musi wiedzieć, gdzie się znajdują?

Wyszynski był tego dnia wyraźnie w złym humorze. Wzruszył ramionami:

– Więc gdzie, zdaniem pana, mogą być?

Kot wymienił kilka nazw domniemanych obozów. Wyszynski znowu wzruszył ramionami.

– Ileż czasu już minęło od podpisania umowy – podjął po chwili milczenia Kot – a tak wielu z naszych ludzi nie uzyskało wolności, która im się według prawa należy. Nie otrzymujemy od nich nawet listów lub depeesz. Nie mamy ich adresów. Tymczasem pan komisarz obiecał mi w rozmowie z dnia 14 października dostarczyć interesujące zestawienia nazajutrz.

– Istotnie powiedziałem to, ale 15 nastąpił wyjazd z Moskwy, w związku z czym rozluźniły się kontakty pomiędzy poszczególnymi urzędami. To właśnie wpływa na opóźnienie danych...

– Centrala NKWD lub „GULAG”¹⁶ posiadają odpowiednie dane. Proszę mi umożliwić wysłanie delegatów, którzy by w towarzystwie urzędników NKWD objechali obozy z tymi ludźmi, przyszlizli z pomocą i dodali otuchy, ułatwiając przetrzymanie zimy.

– Pan ambasador stawia kwestię tak, jakbyśmy chcieli jakichś obywateli polskich skrywać. Gdzież oni są?! – I Wyszynski trzepnął sobie po kolanach. Później odwrócił głowę i patrzył w okno. Za oknem cicho, bezszelestnie padał śnieg. Obydwaj panowie zapalili papierosy. Ambasador polski zaciągnął się dymem, poprawił na fotelu i oświadczył:

¹⁶ GULAG: Głównoje Uprawlenije Łagierej – Główny Zarząd Obozów. (przypis autora)

– Dane posiadane przeze mnie mam od naocznych świadków z zeznań i protokółów. Widzieli oni, że w takim czy innym czasie, tyłu lub tyłu naszych oficerów zostało wywiezionych w jakimś nieznanym kierunku. Gdybym dostał ściśle dane od panów, zużytkowałbym je. Przecież ludzie to nie para, nie śnieg, który teraz, oto, pada i na wiosnę się ulatnia...

Wyszynski odpowiedział:

– Pewna ilość osób ze spisów podanych przez pana ambasadora już się odnalazła, innych szukamy. Gdy będę miał resztę konkretnych nazwisk, mogę zwrócić się do kompetentnych władz i nawet ukarać kogo należy. Te sprawy należą do mnie, bo referat polski w Komisariacie Spraw Zagranicznych mnie właśnie podlega.

W dziesięć dni później, dnia 12 listopada, w piątej rozmowie z Kotem, Wyszynski oświadczył:

– W moim przekonaniu oficerowie są już zwolnieni. Chodzi tylko o stwierdzenie, gdzie są? Jeżeli by ktoś z nich nie znajdował się jeszcze na wolności, oczywiście będzie oswobodzony. Dla mnie problem ten w ogóle nie istnieje.

Ale oficerowie się nie zjawiali.

Bezsilny wobec ciągłych wybiegów, wykrętów i nowych wersji zgłaszanych przez stronę sowiecką, rząd polski zwrócił się do rządu brytyjskiego, prosząc o pośrednictwo.

Interwencja brytyjska nastąpiła w dniu 3 listopada 1941. Dnia 8 listopada komisarz Mołotow wystosował notę, w której znajdował się następujący ustęp:

Zgodnie z rozporządzeniem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z 13 sierpnia 1941 roku o amnestii, wszyscy obywatele polscy, którzy byli pozbawieni wolności jako jeńcy wojenni czy też na zasadzie innych dostatecznych powodów, są zwolnieni, przy czym określonym kategoriom zwolnionych jeńców i jeńcom wojennym, władze sowieckie udzieliły pomocy materialnej.

Z noty tej jednoznacznie wynika, że wszyscy jeńcy zostali zwolnieni. Gdzież są w takim razie generałowie, pułkownicy, tysiące oficerów niższych stopni?! Gdzie policja i żandarmeria, deportowana i osadzona w roku 1939 w obozie dla jeńców w Ostaszkowie?!...

Krążą plotki, że gdzieś w obozach koncentracyjnych na dalekiej północy. Ale oto dnia 14 listopada 1941 roku, ambasador sowiecki przy rządzie polskim w Londynie, Bogomołow, wręcza ambasadorowi polskiemu Raczyńskiemu notę, w której między innymi oświadcza:

Zwolnieni zostali wszyscy oficerowie polscy znajdujący się na terytorium ZSSR. Wyrażone zaś przez Pana Prezesa Rady Ministrów przypuszczenia, że wielka ilość oficerów polskich jest rozsiąta w północnych obwodach ZSSR, oparte są widocznie na nieścisłych informacjach.

W chwili, gdy pan Bogomołow w Londynie odbierał w ten sposób ostatnią nadzieję rządowi polskiemu na odnalezienie zaginionych jeńców, nadzieję, której kurczowo się trzymały władze polskie, wmawiając w siebie i we władze sowieckie, że tamci są pewnie gdzieś na dalekiej północy... tegoż 14 listopada ambasador Kot dociera do samego dyktatora Związku Sowieckiego, Józefa Stalina. Stalin przyjął go w obecności komisarza Mołotowa. Rozmowa ta, podobnie jak wszystkie poprzednie i następne, spisana została zaraz po jej zakończeniu.

Ambasador Kot, który tytułował Stalina per „Panie Prezydencie”, poruszył szereg bieżących spraw, wymagających uregulowania w tych, na nowo nawiązanych, stosunkach polsko-sowieckich.

Stalin ma zwyczaj podczas rozmów, zwłaszcza gdy kogoś słucha, kłaść przed sobą kawałek papieru i gryzmolić na nim ołówkiem różne postacie, figury, czasem liczby. Nikt właściwie dokładnie tym rysunkom się nie przyjrzał, albowiem dyktator jednej szóstej części globu nagle, nerwowym ruchem, zamazuje to, co narysował, najczęściej mnie papier zamazany, rzuca go w kąt, bierze czystą ćwiartkę i znowu rysuje. Rysuje, rysuje bez końca. Ale słyszy przy tym każde słowo, które się doń mówi, bo gdy co wtrąci, to zawsze na temat.

– Zabrałem już Panu Prezydentowi, zajętemu tak ważnymi sprawami, wiele czasu. Mam jednak jeszcze jedną sprawę, czy mógłbym ją poruszyć? – zapytał ambasador Kot.

– Proszę bardzo, panie ambasadorze – odpowiedział Stalin uprzejmie, kiwnął przy tym głową pochyloną nad papierem, na którym rysował pikę. Zwyczajną kozacką pikę.

– Jest pan autorem amnestii dla obywateli polskich w ZSSR. Czy zechciałby pan wpłynąć, aby ten gest został w pełni wykonany?

– O, czyż są jeszcze nie zwolnieni Polacy? – odrzucił Stalin, jakby o tym po raz pierwszy słyszał.

Mołotow, siedzący z drugiej strony stołu, ani mrugnął.

– Z obozu w Starobielsku, rozpuszczonego wiosną 1940, nie mamy jeszcze ani jednego oficera... – i Kot chciał dalej mówić o Kozielsku i Ostaszkowie, ale Stalin mu przerwał.

– Rozpatrzę sprawę. Jednak ze zwolnieniami różnie bywa. Jak się nazywał dowódca obrony Lwowa, jeśli się nie mylę, generał Langer?

– Generał Langner, Panie Prezydencie – poprawił ambasador.

– Słusznie, generał Langner. Zwolniliśmy go jeszcze w zeszłym roku. Przywieźliśmy go do Moskwy, rozmawialiśmy z nim. Tymczasem uciekł on zagranicę, bodaj że do Rumunii.

Mołotow potwierdza kiwnięciem głowy.

– Amnestia nasza nie zna wyjątków – ciągnął dalej Stalin – ale z pewnymi wojskowymi mogło się stać jak z generałem Langnerem.

– Mamy nazwiska i spisy – odpowiedział pan Kot – na przykład dotychczas nie odnalazł się generał Stanisław Haller, brak nam oficerów ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa, wywiezionych stamtąd w kwietniu-maju roku 1940.

– Zwolniliśmy wszystkich, nawet ludzi, których nam przysyłał generał Sikorski, by wysadzali mosty i zabijali sowieckich obywateli. Nawet te osoby pozwalnialiśmy. – Stalin zmiął papier i rzucił pod stół. – Zresztą to nie generał Sikorski ich wysyłał, tylko jego szef sztabu Sosnkowski.¹⁷

– A więc prośba moja do Pana Prezydenta – odezwał się znów ambasador Kot – polega na tym, aby zechciał wydać polecenia, iżby oficerowie, których potrzebujemy, byli zwolnieni. Posiadam protokoły o tym, kiedy ich z obozu wywożono.

– Czy istnieją dokładne spisy? – zapytał Stalin, z odcieniem wyraźnego zainteresowania. Wstał i zaczął przechadzać się wzdłuż pokoju. Tam i nazad, tam i nazad.

– Wszystkie nazwiska są zapisane u sowieckich dowódców obozów, którzy co dzień wszystkich jeńców wywoływali do apelu. Ponadto NKWD z każdym z osobna prowadziło dochodzenie. Nie oddany został ani jeden oficer ze sztabu generała Andersa, armii, jaką dowodził w Polsce.

Stalin zatrzymał się nagle, zapalił papierosa, wysłuchał uważnie ostatnich słów i podszedł do telefonu, stojącego na stole, przy którym siedział Mołotow. Szybkim ruchem zdjął słuchawkę z

¹⁷ Generał Kazimierz Sosnkowski nigdy nie był szefem sztabu gen. Sikorskiego, ale ministrem wojny w jego rządzie. Zaś później wodzem naczelnym. (przypis autora)

aparatu... i w tej chwili Mołotow, po którego twarzy przebiegł ledwo dostrzegalny uśmiech, powiedział:

– To nie tak się łączy... – i przesunął przełącznik, po czym siadł z powrotem, tym razem przy głównym stole konferencyjnym.

Cisza panowała w pokoju. Stalin dzwoni do NKWD.

– ... Tu Stalin. Czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni z więzień?... – chwila ciszy. Słucha. – No, bo tu u mnie jest ambasador polski, który mi mówi, że nie wszyscy... – słucha dłuższą chwilę, po czym odkłada telefon i wracając do stołu konferencyjnego zmienia temat rozmowy. Upłynęło może pięć, może osiem minut i nagle zadzwonił telefon. Stalin wstał sam. Słuchał. Raz tylko mruknął coś pod nosem, ale nie powiedział słowa. Odłożył słuchawkę, wrócił na swoje miejsce i tym razem milczał. Ambasador Kot uznał, że audiencja jego dobiegła końca.

Józef Stalin wyraźnie powiedział, że nie wie, gdzie są i co mogło się stać z jeńcami, którzy w roku 1939/40 przebywali w obozach w Kozielsku, Ostaszkowie i Starobielsku...

A jednak ze strony polskiej w dalszym ciągu nie dopuszczano myśli, by z liczby około 15 tysięcy brakujących jeńców, wszyscy mieli zniknąć na zawsze! Wbrew nocie posła Bogomołowa, wbrew wszystkim oświadczeniom sowieckim, które wyraźnie stwierdzały, że nie wiedzą nic o takich jeńcach. Nie wierzono władzom sowieckim, że zostali zwolnieni w r. 1940, nie wierzono też że ich nie ma na terytorium Związku Sowieckiego. Przeciwnie, pocieszano się, przypuszczając, że skazano ich na bardzo ciężkie warunki bytowania i teraz, rząd sowiecki, nie chcąc się do tego przyznać, usiłuje jakoś sprawę zatuszować przez jej odwlekanie, może przeprowadzić ją etapami... może istotnie zza kręgu polarnego nie jest w stanie ich dostarczyć. Zima. Straszna zima zapanowała nad krajem. W pocieszeniu tym jednak tliła się jednocześnie troska: jak oni tam żyją w tych mroźnych warunkach sowieckich obozów koncentracyjnych za kręgiem polarnym?!

Pierwsza rozmowa ze Stalinem odbyła się 14 listopada 1941 roku. Od tego czasu nie podejmowano żadnych kroków, w oczekiwaniu na przyjazd generała Sikorskiego do Rosji.

Dnia 1 grudnia ambasada polska przygotowała dla Sikorskiego: „Notatkę w sprawie internowanych żołnierzy W.P. z obozów w Starobielsku, Kozielsku i Ostaszkowie”. Notatka ta stwierdzała fakt niewątpliwy, iż ponad 98% wszystkich oficerów i żołnierzy

zostało z powyższych trzech obozów wywiezionych wiosną roku 1940 i ślad po nich zaginął.

Generał Sikorski przybył do Moskwy, przestudiował notatkę, wziął ze sobą generała Andersa, wówczas mianowanego dowódcą wszystkich oddziałów formowanych w Rosji, oraz ambasadora Kota i udał się na Kreml. Tam, a było to dnia 3 grudnia 1941 roku, przyjęty został przez Stalina, jak zawsze w obecności Mołotowa.

Gen. Sikorski: – ... stwierdzam wobec pana prezydenta, że jego oświadczenie o amnestii nie jest wykonywane. Dużo, i to najcenniejszych, naszych ludzi znajduje się jeszcze w obozach i więzieniach.

Stalin (rysując): – To jest niemożliwe, gdyż amnestia dotyczyła wszystkich i wszyscy Polacy są zwolnieni. (Ostatnie słowa kieruje do Mołotowa, a ten kiwa potwierdzająco głową.)

Gen. Sikorski: (sięga po trzymaną przez Andersa listę) – Nie naszą jest rzeczą dostarczać dokładne spisy naszych ludzi, pełne listy mają komendanci obozów. Mam ze sobą listę około 4.000 oficerów, których wywieziono siłą i którzy znajdują się jeszcze obecnie w więzieniach lub obozach. Ten spis nie jest pełny, zawiera bowiem tylko nazwiska, które się dało zestawić z pamięci. Polecilem sprawdzić, czy nie ma ich w kraju, z którym mam stałą łączność. Okazało się, że nie ma tam żadnego z nich, podobnie jak w obozach jeńców wojennych w Niemczech. Ci ludzie znajdują się tutaj. Nikt z nich nie wrócił.

Stalin: – To niemożliwe! Oni uciekli.

Gen. Anders: – Dokądże mogli uciec?

Stalin: – No, do Mandżurii na przykład...

Gen. Anders: – To jest niemożliwe, żeby wszyscy mogli uciec... Większość tych oficerów, wymienionych w spisie, znam osobiście. Są wśród nich moi oficerowie sztabu i dowódcy.

Stalin: – Na pewno zwolniono ich, tylko jeszcze nie przybyli.

Gen. Sikorski: – Rosja jest wielka i trudności również duże. Może władze lokalne nie wykonały rozkazu? Gdyby ktokolwiek wy dostał się poza granice Rosji, ten na pewno zameldowałby się u mnie.

Stalin: – Wiedziecie, że rząd sowiecki nie ma najmniejszego powodu, żeby zatrzymywać choć jednego Polaka.

Mołotow: – Myśmy zatrzymali tylko tych, którzy po wojnie dopuścili się zbrodni, wywoływali dywersje, zakładali stacje radiowe itp. O tych wam na pewno nie będzie chodziło.

Kot: – Oczywiście, że nie, ale prosiłem, żeby nam dano spisy tych ludzi, gdyż w bardzo wielu wypadkach oskarża się o to gorących patriotów i absolutnie niewinnych.

Mołotow potakuje.

Gen. Sikorski: – Dobrze by było, żeby pan prezydent dał publiczne wyjaśnienie w tej sprawie, żeby wywołać w Rosji Sowieckiej zwrot zasadniczy dla Polaków. Nie są to przecież turyści, ale ludzie wywiezieni siłą ze swych domów. Nie znaleźli się tu z własnej woli, lecz zostali deportowani i przeszli olbrzymie cierpienia.

Stalin: – To będzie załatwione. Specjalne zarządzenia zostaną wydane władzom wykonawczym, trzeba jednak zrozumieć, że prowadzimy wojnę.

[zdjęcie Stalina w oryginale, z opisem:]

„Nie wiem, gdzie oni są” – mówi Stalin dnia 3 grudnia 1941 r. – Może uciekli do Mandżurii?...”

Rozmowa ta jeszcze bardziej utwierdziła stronę polską w przekonaniu, że zaginieni jeńcy żyją i są przetrzymywani na dalekiej północy lub gdzieś na równie dalekim wschodzie, na co by wskazywały supozycje Stalina, że jeńcy „uciekli do Mandżurii”, a następnie jego słowa, że „wszystkich zwolniono”, że „jeszcze nie przybyli”, że wreszcie „wyda odnośne zarządzenia władzom wykonawczym”.

Po tej wizycie na Kremlu nastąpiła krótka przerwa w interwencjach dyplomatycznych. Natomiast ze strony polskich władz wojskowych, do poszukiwania na własną rękę wyznaczony został wspomniany już wielokrotnie mjr Józef Czapski (zwolniony z obozu w Griazowcu), który z pominięciem wszystkich władz pośrednich udał się wprost do generała Nasiedkina, komendanta wszystkich obozów koncentracyjnych (GUŁAG), następnie do generałów N-KWD Bzyrowa i Rajchmana (patrz: Załącznik Nr 7). Misja jego zakończyła się niepowodzeniem zupełnym. Żaden z tych dostojników sowieckich „nie wiedział”, co się stało, co się w ogóle stać mogło z 15 tysiącami jeńców polskich!

Tymczasem kalendarz przewalił już za Nowy Rok i wskazywał 1942.

Dnia 28 stycznia, rząd polski w Londynie wystąpił raz jeszcze z interwencją w sprawie zaginionych jeńców. Była to kolejna nota nr 49. Ze strony sowieckiej nie nastąpiła żadna na nią odpowiedź...

Czekano więc.

Czekano w styczniu, czekano w lutym. Usiłowano przecze-
kać zimę. Wciąż z oczyma utkwionymi w daleką północ. Ażeby zro-
zumieć to stanowisko strony polskiej, graniczące z zaślepieniem,
nieomal z maniackim uporem, z jakim wszystkie nadzieje uczepiono
do Koła Polarnego, należy nadmienić, iż tam właśnie, za tym Ko-
łem Polarnym, znajdowało się gros sowieckich obozów koncentra-
cyjnych, w których siedziało nie tysiące, ale miliony więźniów!
Nadzieja zaś podsycana była wciąż na nowo przez przybywających
stamtąd Polaków, pojedynczo i grupowo, którzy istotnie w przejeź-
dzie przez tundry i tajgi północy, gdzieś po drogach, po etapach, po
obozach przejściowych ubiegłych miesięcy natrafiali na ślady ja-
kichś jeńców polskich. Była to jednak pomyłka. Chodziło bowiem
wciąż o tych samych, nie z Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska,
ale z obozów internowanych w państwach bałtyckich, których wła-
dze sowieckie zagarnęły łącznie z tymi państwami i zesłały na da-
leką północ do ciężkich robót przymusowych. W tym rozgardiaszu
wojennym, płataninie dat i losów ludzkich, o taką pomyłkę było
łatwo. Myślano tedy, że gdy ruszą lody... Ale lody tam ruszają póź-
no.

Nie czekając tej daty, a śnieg jeszcze pokrywał grubą war-
stwą Rosję, dnia 18 marca 1942 roku, generał Anders, w towarzy-
stwie swego szefa sztabu, płk Okulickiego, znów prosi o audiencję
u wszechwładnego. Stalin przyjął ich na Kremlu i Mołotow był
naturalnie obecny.

Anders przedstawia sytuację tworzącej się armii polskiej w
Sowietach i mówi:

– Ale ciągle brakuje nam oficerów. Do tego czasu nie zja-
wili się wciąż oficerowie z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa.
Oni jednak muszą być gdzieś u was. Zebraliśmy dodatkowe dane i
wręcza dwie listy, które zabiera mu z ręki Mołotow. Gdzież oni
mogli się podziać? Mamy ślady ich pobytu nad Kołymą.

Stalin, paląc papierosa i bazgrząc na papierze, odpowiada:

– Ja już wydałem wszystkie rozkazy, by ich zwolnić. Mówią
nawet, że są na Ziemi Franciszka Józefa, a tam przecież nikogo nie
ma. Nie wiem, gdzie są. Na co nam ich trzymać? Być może znajdują
się w obozach na terenach, które zajęli Niemcy, rozbiegli się...

– To niemożliwe, o tym byśmy wiedzieli – wtrącił żywo płk
Okulicki.

– Myśmy zatrzymywali tych tylko Polaków, którzy są na
niemieckiej służbie – odparł sucho Stalin i zmienił temat rozmowy.

„Na terenach zajętych przez Niemców?” „Rozbiegli się?”
Skąd się mieli rozbiec? W jakim miejscu, z jakiego obozu? Kiedy
się na tych terenach mogli znaleźć?...

Oto po ośmiu miesiącach daremnych poszukiwań, po czter-
dziestu dziewięciu notach dyplomatycznych, po niezliczonych kon-
ferencjach, staraniach, zabiegach, prośbach – na które wszystkie
była tylko odpowiedź: „nie wiemy!”, albo: „oddaliśmy ich już w ro-
ku 1940” – Stalin rzuca, niezrozumiale na razie zdanie. Tak sobie,
en passant, puszczając jednocześnie dym z papierosa i odrywając
wzrok od bezmyślnego kawałka papieru, na którym rysował, tym ra-
zem, jakiegoś fantastycznego byka... Czy nagle wpadł mu ten po-
mysł do głowy, czy został ukartowany z góry? Czy miał to być
próbny balon, który w rok później stanie się podwaliną sowieckiej
wersji oficjalnej? Decydującym zwrotem w stanowisku sowieckim
wobec coraz bardziej drażliwej sytuacji wytworzonej naleganiem
strony polskiej? Raczej nie to ostatnie. Gdyż w późniejszych ne-
gocjacjach na ten temat i odpowiedziach oficjalnych, strona so-
wiecka nie powróci na razie do tego oświadczenia i nie podtrzyma
słów, rzuconych z papierosowym dymem przez Stalina. Wręcz
przeciwnie.

Gdy rząd polski złożył w sprawie zaginionych jeńców jesz-
cze jedno memorandum w dniu 19 maja 1942 r. i jeszcze jedną notę
w dniu 13 czerwca tegoż roku (patrz: Załącznik Nr 8), Ludowy
Komisariat Spraw Zagranicznych oświadczył w aide-mémoire, z
dnia 10 lipca 1942 r., co następuje:

Wiadomym jest, iż wielu obywateli polskich, którzy byli
zwolnieni jeszcze przed wydaniem dekretu o amnestii, wyjechało z
ZSSR do ojczyzny. Należy również zaznaczyć, iż wielu obywateli
polskich, spośród zwolnionych na podstawie dekretu, uciekło za-
granicę, przy czym niektórzy z nich zbiegli do Niemiec... Wreszcie
w związku z nie zorganizowanymi przejazdami w zimie 1941 roku, z
północnych obwodów ZSSR do południowych, które nastąpiły
wbrew wielokrotnym uprzedzeniom Ludowego Komisariatu, pewna
część obywateli polskich uległa w drodze chorobom i była wysadzo-
na na rozmaitych stacjach, przy czym niektórzy z nich zmarli w dro-
dze. Wszystkie te okoliczności mogły naturalnie spowodować, że
pewna liczba obywateli polskich nie dała o sobie znać...

Na dwa dni przed tym ostatecznym, zamykającym dyskusję,
oświadczeniem sowieckim, dnia 8 lipca, pan Kot, w towarzystwie
chargé d'affaires Sokolnickiego, złożył wizytę pożegnalną Wyszyn-
skiemu i w rozmowie, która miała raczej charakter prywatny, Wy-
szynski powiedział:

– Co do rzekomego przetrzymywania Polaków w więzie-
niach czy obozach, to muszę zapewnić pana ambasadora, że zbada-
łem tę sprawę i ich tam naprawdę nie ma. Oficerów nie ma ani na
dalekiej, ani na bliższej północy, ani gdzie indziej. Może są poza
ZSSR, może część zmarła... Wszyscy są oswobodzeni. Część została
zwolniona przed naszą wojną z Niemcami, część później.

– Co do oficerów – odpowiedział Kot – to muszę stwierdzić, że właśnie z kraju otrzymuję największą ilość zapytań od ich rodzin, pełnych niepokoju o ich los, bo ich tam nie ma. Nie ma ani jednego.

– Jeśli naszych jeńców zwolniono – wtrącił Sokolnicki – to proszę o dostarczenie mi spisu zwolnionych, oraz daty i miejsca zwolnienia. Rząd sowiecki wielokrotnie spisy jeńców sporządzał i dostarczenie listy nie może sprawiać trudności.

Wyszynski rozłożył ręce:

– Niestety takich spisów nie mamy.

Stosunki polsko-sowieckie zaczęły się psuć. Okazało się, iż rząd sowiecki, po powstrzymaniu pierwszego uderzenia niemieckiego, bynajmniej nie ma zamiaru zrezygnować z pół Polski, którą anektował przy poparciu tychże Niemców w r. 1939/40. Począł też czynić dalsze trudności w formowaniu armii polskiej. Daje temu wyraz ostatnia nota rządu polskiego, ostatnia przed zasadniczym zwrotem w całej sprawie, złożona w Moskwie dnia 27 sierpnia 1942 roku:

... To negatywne stanowisko rządu sowieckiego do dalszego rozwoju armii polskiej, znajduje również potwierdzenie w fakcie nie odnalezienia dotychczas jeszcze przeszło 8 tysięcy oficerów polskich, przebywających wiosną roku 1940 w obozach jeńców w Koziełsku, Ostaszku i Starobielsku, mimo tylokrotnych interwencji rządu polskiego i mimo iż częściowa lista tych oficerów została wręczona przewodniczącemu Rady Komisarzy Ludowych (Stalinowi), przez generała Sikorskiego w grudniu 1941 roku, oraz przez generała Andersa w marcu 1942.

Nie zmieniło już jednak to oświadczenie zasadniczego stanowiska rządu sowieckiego w sprawie tajemniczej zagadki zniknięcia jeńców polskich. To zasadnicze stanowisko sprecyzowane zostało w wymienionym aide-mémoire z dnia 10 lipca, w którym rząd sowiecki za przyczynę zaginięcia podaje tylko:

- 1) wyjechali do ojczyzny,
- 2) uciekli zagranicę,
- 3) zmarli w drodze.

O żadnej innej wersji ze strony sowieckiej nie było wtedy [wiadomo].

ROZDZIAŁ IX

STRASZLIWA REWELACJA RADIA NIEMIECKIEGO.

„Wszyscy zamordowani strzałem w kark! Pod Smoleńskiem wykopano 10 tysięcy oficerów polskich.”

I znowuż nieprzenikniona zasłona okryła los zaginionych. Nieprzeniknione milczenie panowało też w prasie światowej na ten temat, gdyż daremne poszukiwania rządu polskiego nie były rozgłaszane, jakkolwiek najwyższe czynniki angielskie i amerykańskie wiedziały oczywiście o przebiegu negocjacji, a rząd brytyjski sam interweniował w tej sprawie. Do prasy rzecz ta się nie dostawała w trosce, jak to się mówiło po cichu, o dobro jedności obozu Narodów Zjednoczonych, a jeszcze ciszej: w obawie szantażu ze strony sowieckiej. Ten szantaż w każdej chwili mógł się wyrazić groźbą zawarcia odrębnego pokoju pomiędzy Niemcami i Sowietami. W ten sposób minęła jesień roku 1942, przyszła zima i wreszcie wiosna 1943. Miesiące brzemienne w wypadki, od których zależeć miały przyszłe losy świata.

Wśród tych wypadków zaszedł też jeden, nieznaczący i prawie nieinteresujący. Niemcy, do nieskończonego łańcucha pogwałceń prawa międzynarodowego i wojennego, dodali jeszcze jedno ogniwo: oto na terenach zabranych poczęli przymusowo werbować ludność do akcji związanej bezpośrednio z działaniami wojennymi. W liczbie tych ludzi znalazło się sporo Polaków, robotników, woźniców, szoferów itd., częściowo zmobilizowanych do organizacji „Todt”. Wielu z nich wysłano na front wschodni jeszcze latem roku 1942.

A na froncie wschodnim leżał między innymi Smoleńsk, okupowany przez Niemców od lipca roku 1941. Dwanaście kilometrów na zachód od Smoleńska stacja Gniezdowo. Cztery kilometry od stacji Gniezdowo, tzw. las katyński, a w nim miejsce przezwane Kozie Góry czy też Kosogory. Opodal tych Kozich Gór mieszkał staruszek, chłop, Parfemon Kisielew, liczący sobie wówczas 72 lata.

Otóż mniej więcej w tym samym czasie, gdy rząd sowiecki wręcza swe aide-mémoire z lipca 1942, w którym oświadcza, że nie wie, co się stało z jeńcami polskimi... w tym samym mniej więcej czasie, gdy ambasador Kot rozmawia po raz ostatni z Wyszynskim... w tym samym czasie, gdy w mglistym Londynie rząd emigracyjny polski redaguje swą pięćdziesiątą którąś notę... – kilku Polaków, robotników przebywających na przymusowych niemieckich robotach pod Smoleńskiem, zaszło do chaty Parfemona Kisielewa. O czym tam rozmawiano w chacie, Kisielew nie powiedział nikomu jeszcze

w przeciągu następnych długich miesięcy. Po co miał gadać? Komu? Ludzie tam, na Wschodzie, nic są gadatliwi...

Wtedy był lipiec 1942 roku.¹⁸

I dopiero dnia 13 kwietnia 1943 roku, o godzinie 9 minut 15, czasu nowojorskiego, radio Berlin nadaje komunikat następującej treści:

Ze Smoleńska donoszą, że miejscowa ludność wskazała władzom niemieckim miejsce tajnych egzekucji masowych, dokonywanych przez bolszewików, i gdzie GPU wymordowało 10.000 oficerów polskich. Władze niemieckie udały się do miejscowości Kosogory, będącej sowieckim uzdrowiskiem, położonym o 16 kilometrów na zachód od Smoleńska, gdzie dokonały straszliwego odkrycia. Znalazły dół, mający 28 metrów długości i 16 metrów szerokości, w którym znajdowały się, ułożone w 12 warstwach trupy oficerów polskich w liczbie 3 tysięcy. Byli oni w pełnych mundurach wojskowych, częściowo powiązani i wszyscy mieli rany od strzałów rewolwerowych w tyle głowy. Identyfikowanie trupów nie będzie przedstawiało trudności, gdyż są one w stanie mumifikacji z powodu właściwości gruntu i ponieważ bolszewicy pozostawili na ich ciałach papiery osobiste. Już dziś ustalono, że wśród zamordowanych znajduje się m.in. generał Smorawiński z Lublina. Oficerowie znajdowali się początkowo w Kozielsku pod Orlem, skąd w lutym, marcu 1940 r. sprowadzeni zostali w bydłowych wagonach pod Smoleńsk, a stamtąd ciężarówkami zawiezieni do Kosogór, gdzie bolszewicy ich wszystkich wymordowali. Poszukiwania i odkrycia nowych dołów są w toku. Pod już wykopanymi warstwami znajdują się dalsze warstwy. Ogólna ilość zamordowanych oficerów obliczana jest na 10 tysięcy, co odpowiada mniej więcej całości korpusu oficerskiego, wziętego przez bolszewików do niewoli. Korespondenci pism norweskich, którzy byli na miejscu i mogli osobiście i naczynnie przekonać się o prawdzie tej zbrodni, donieśli o niej do pism swoich w Oslo.

[cztery zdjęcia w oryginale, z opisem:]

Większość zwłok posiadała przy sobie liczne drobiazgi i dokumenty osobiste, z których niektóre dobrze zachowane, co ułatwiało ich identyfikację.

[1] Przy zwłokach generała Mieczysława Smorawińskiego znaleziono książeczkę oszczędnościową PKO, legitymację krzyża „Virtuti Militari”, dowód tożsamości, papierosnicę, złoty pierścień

¹⁸ Jeden z tych robotników, Teofil Dolata, złożył zeznanie w 1990 roku. Spotkanie miało miejsce w kwietniu 1942 roku i w tymże miesiącu Polacy rozkopali jedną z mogił i umieścili na niej brzoźowe krzyże. Por. J. Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*. Warszawa 1994. (przyp. wyd.)

nek i 2 medaliki. Na zdjęciu legitymacja Kapituły Orderu „Virtuti Militari”.

[2] W kieszeniach zamordowanego St. Kapelana Jana Ziółkowskiego znaleziono kartę wizytową, legitymację odznaki Korpusu Ochrony Pogranicza, 2 książeczki do nabożeństwa, 2 fotografie, papierosnicę drewnianą, różaniec i 2 łańcuszki. Na zdjęciu legitymacja odznaki Korpusu Ochrony Pogranicza.

[3] Ogólny widok pola grobowego (niemieckie zdjęcie lotnicze), po rozpoczęciu prac ekshumacyjnych. Obok rozkopanych dołów wydobyte z nich zwłoki, poukładane rzędami, w oczekiwaniu na identyfikację. Na dalszym planie piaszczysta droga, przecinająca las od szosy smoleńskiej do domu wypoczynkowego funkcjonariuszów NKWD, zwanego przez miejscową ludność „daczą”.

[4] Wnętrze grobu: charakterystyczne warstwy trupów widziane z boku.

Była to wiadomość straszna. Zbrodnia, która nawet w wojnie, obfitującej w zbrodnie, wydała się zarówno co do ilości, jak przede wszystkim jakości swej przerastająca wszystkie inne. Pierwszym odruchem opinii świata demokratycznego było: nie dać jej wiary. Nie dać wiary przede wszystkim dlatego, że rozgłaszali ją Niemcy, na których sumieniu leżało już tyle popełnionych przez nich samych zbrodni! Oczywiście szerokie sfery tej opinii światowej nie miały nawet pojęcia o sprawie zaginięcia 15 tysięcy jeńców polskich w Sowietach, o rok przeszło trwających, bezowocnych poszukiwaniach, o wielu, wielu znanych już szczegółach, a jedynie nie publikowanych w prasie alianckiej.

Tymczasem w następnych już audycjach radio berlińskie przynosi nowe wiadomości:

W miesiącach letnich 1942 roku, kilku Polaków należących do oddziałów pracy przy armii niemieckiej, oraz osoby cywilne wyzwolone z niewoli bolszewickiej, dowiedziały się od ludzi miejscowych, że w pobliżu Smoleńska bolszewicy rozstrzelali Polaków. Z opowiadań tych ujawnia się dalej, że rozstrzelanych zakopywano przypuszczalnie w lesie katyńskim, na prawo od drogi prowadzącej od szosy Smoleńsk-Katyń do domu wypoczynkowego NKWD (dawniej GPU). Podobno na dworzec w Gniezdowie niejednokrotnie przychodziły transporty z jeńcami, oficerami polskimi, którzy następnie byli odtransportowywani ciężarówkami do pobliskiego lasu katyńskiego. Osoby te zainteresowały się bliżej losem swych rodaków i zaczęły kopać w pagórku, który na pierwszy rzut oka nie harmonizował z naturalnym otoczeniem krajobrazu i wydawał się dziełem rąk ludzkich. Niebawem natrafiono na zwłoki polskiego oficera, jak świadczył o tym mundur. Nie przypuszczano jednak początkowo, że natrafiono na grób masowy. Ponieważ oddział niemiecki, do którego byli przydzieleni owi Polacy, musiał udać się gdzie indziej, zaprzestano poszukiwań.

Sterroryzowana panowaniem bolszewickim ludność nie opowiadała chętnie o swoich przeżyciach z roku 1940. Dopiero wiosną 1943 roku docierają do władz niemieckich wiadomości o zwłokach w lesie katyńskim. Władze niemieckie podejmują wobec tego systematyczne, rozległe badania, które stopniowo pozwalają odtworzyć z przerażającą dokładnością wypadki poprzedzające ową masową zbrodnię. Powoli też ujawniają się potworne szczegóły. Złożone pod przysięgą zeznania licznych świadków jasno oświetlają stan rzeczy i pokrywają się z danymi, wynikającymi z badań ekshumacyjnych. Zeznania te udowadniają, że już od szeregu lat lasy katyński był używany jako miejsce straceń przez GPU.

W Londynie zapanowała konsternacja. Czynniki rządowe angielskie doskonale wiedzą, że liczba zamordowanych, podana przez Niemców, odpowiada mniej więcej liczbie zaginionych, których daremnie rząd polski poszukuje w Sowietach. Poza tym rząd angielski zna doskonale przebieg rozmów, treść not polskich i ... odpowiedzi na ten temat strony sowieckiej.

Wieczorem radio niemieckie nadaje treść zeznań Parfemona Kisielewa, z których świat się dowiaduje, co u niego w chacie robili robotnicy Polacy, latem 1942 roku. Mianowicie: doszły ich słuchy, że tu rozstrzelano oficerów polskich i że Kisielew wie coś o tym więcej, niż inni mieszkańcy, ponieważ mieszkał najbliżej. Przyszło doń przeto 10 Polaków z niemieckiego „Todta”. Było to w lipcu. Prosił o wskazanie miejsca. Wzięli ze sobą łopaty. Po stwierdzeniu i przekonaniu się na miejscu, zasypali z powrotem jamę i postawili dwa krzyże z drzewa brzoźowego.

Przez cały dzień 14 kwietnia trwa, po stronie Aliantów, kłopotliwe milczenie. Ale w czterdzieści osiem godzin po ogłoszeniu rewelacji niemieckich, rząd sowiecki, ten sam rząd sowiecki, który w przeciągu całego roku nie mógł dać jakiegokolwiek usprawiedliwionej wskazówki, gdzie się podzieli zaginioni jeńcy... ten rząd sowiecki, którego dyktator Stalin, jego ministrowie, szefowie policji politycznej NKWD, komendanci obozów i wszyscy inni funkcjonariusze olbrzymiego państwa, rozkładali tylko ręce i wzruszali ramionami... nagle teraz, za pośrednictwem urzędowej agencji „Tass”, podaje, jako o rzeczy notorycznie znanej:

Jeńcy polscy, o których mowa, osadzeni byli w okolicy Smoleńska w specjalnych obozach i zatrudnieni przy budowie szos. Nie zdążono ich ewakuować w chwili zbliżania się wojsk niemieckich, to też wpadli w ich ręce. Skoro obecnie znalezieni zostali jako pomordowani, to znaczy, że ich zamordowali Niemcy, a w celach prowokacji rozpuszczają oszczerczą wiadomość, że to zrobiły władze sowieckie.

I rząd angielski, jakkolwiek zna treść aide-mémoire rządu sowieckiego z dnia 10 lipca 1942 roku, najbardziej sprzeczną z tezą

obecną – poleca rozgłosić oświadczenie sowieckie. Dnia 15 kwietnia 1943 roku radio BBC, o godzinie 7 min. 15, nadaje komunikat treści następującej:

Radio moskiewskie oficjalnie i kategorycznie zaprzeczyło dziś wiadomościom rozpuszczanym przez Niemców o rozstrzelaniu przez władze sowieckie oficerów polskich. Te kłamstwa niemieckie wskazują, jaki los spotkał tych oficerów polskich, których Niemcy zatrudniali w r. 1941 przy budowach, w tamtych okolicach. Emisja moskiewska była przez cały czas gluszona przez Berlin.

Od tej chwili wersja sowiecka, powtarzana przez radio i prasę moskiewską ustala się w formie notorycznie znanej:

Zgrupowani od roku 1940 w obozach jenieckich pod Smoleńskiem i tam zatrudnieni, jeńcy polscy wpadli w ręce niemieckie w lipcu roku 1941 i rozstrzelani zostali przez nich w miesiącach sierpniu-wrześniu tegoż roku.

Ale opinia polska zareagowała inaczej niż oficjalne czynniki angielskie. Teraz już nie mogło chodzić li tylko o jakiś akt polityczny, ale o zajęcie stanowiska wobec ciosu, który dotyczył całego narodu: kilkanaście tysięcy spośród jego najlepszych synów wymordowano podstępnie i zrzucano jak nawóz do olbrzymich dolów, zasypano piaskiem!

W materiałach, gromadzonych już po wojnie w sprawie katyńskiej przez czynniki polskie w Londynie, znajduje się następujący ustęp, charakteryzujący reakcję społeczeństwa i opinii polskiej tamtejszego okresu:

Rewelacje radia niemieckiego wstrząsnęły do głębi polską opinią publiczną na emigracji. Z zestawienia nadchodzących wiadomości nie ulegało już żadnej wątpliwości, iż znalezione w Katyńiu trupy, są istotnie zamordowanymi oficerami polskimi.

Jednocześnie przestudiowano raz jeszcze notatki i protokoły z polsko-sowieckich rozmów w tej sprawie. Nabrały one w świetle rewelacji niemieckich wymownej treści.

Dopiero teraz stawały się jasne rozmaicie dotąd przez Polaków komentowane wypowiedzi i fakty, jak np.:

1) zakłopotanie Wyszynskiego przy poruszeniu z nim po raz pierwszy sprawy zaginionych jeńców podczas rozmowy w dniu 6.X.1941...

2) jego rozdrażnienie podczas rozmowy 14.X.1941 i obietnica oddania „wszystkich ludzi, jakich mamy”, z podkreśleniem, że nie możemy dać tych, których nie mamy...

3) niedotrzymanie przez Wyszynskiego kategorycznej obietnicy danej w rozmowie z dnia 12.XI.1941: „mamy zestawienie wszystkich żywych, albo umarłych. Obiecałem dane i dostarczę je...”

4) milczenie Stalina w czasie rozmowy dnia 14.XI. 1941...

5) jego nieprawdopodobne i wręcz dziwacznie brzmiące twierdzenie podczas rozmowy w dniu 3.XII.1941, że tysiące zaginionych jeńców z obozów sowieckich mogło zbiec do Mandżurii...

6) dziwne perypetie mjr Czapskiego w Czkałowie i Moskwie...

7) słowa Stalina podczas rozmowy 18.III.1942: „Nie wiem, gdzie są...”

8) twierdzenie aide-mémoire sowieckiego z 10.VII.1942...

Dnia 16 kwietnia 1943 roku zbiera się na posiedzenie Rada Ministrów Rządu Polskiego w Londynie. Dalszy przebieg wypadków, to długi szereg not, oświadczeń i posunięć dyplomatycznych, które wszakże w sposób precyzyjny charakteryzują postawy poszczególnych państw zainteresowanych, bądź w usiłowaniach rozwikłania zagadki, bądź też w usiłowaniach jej zaciemnienia.

ROZDZIAŁ X

DLACZEGO MIĘDZYNARODOWY CZERWONY KRZYŻ NIE PODJĄŁ BADAŃ W KATYNIU

Skomplikowana sytuacja polityczna. Sowieckie zerwanie i tajemnicza śmierć generała Sikorskiego w Gibraltarze.

Sytuacja polityczna po rewelacjach niemieckich była istotnie trudna. Polska, która pierwsza na świecie podjęła walkę z najazdem Hitlera i która, jak to powiedział prezydent Roosevelt, „stała się natchnieniem narodów”, dochowuje w dalszym ciągu wierności swym aliantom w wojnie z Niemcami i tej wierności i solidarności nie ma zamiaru zrywać, ani ze względów emocjonalnych, ani wyrachowań politycznych. Nie ma jednak na naszym niedoskonałym świecie rzeczy nieograniczonych. Więc i najbardziej wyrachowane względy polityczne też mają zakreśloną granicę, przez którą polityka danego narodu przekroczyć nie jest w stanie.

Wszystkim na świecie, którzy walczą z Hitlerem, w tej liczbie, a może przede wszystkim, Polsce, zależy na tym, aby rewelacje niemieckie okazały się nieprawdziwe. Ale rząd polski, jedyny spośród innych rządów zainteresowanych w tej sprawie, dźwiga na swych barkach odpowiedzialność za życie i śmierć swych obywateli, swych żołnierzy, i nie może rzucać ich losem jak kartą w grze politycznej, wbrew oczywistym zasadom sprawiedliwości i moralności ludzkiej. Tam, w kraju, dziesiątki tysięcy rodzin, matek, dzieci, ojców, oplakuje zaginionych jeńców, o których wiadomo teraz, że w niesłychanym pogwałceniu prawa i zwyczajów, obowiązujących cały świat cywilizowany, zabici zostali skrytobójczo, wrzuceni do dołów, zasypani ziemią, przez nieznanego, a tylko domniemanego sprawcę. Generalowie, pułkownicy, oficerowie, na których piersiach pozostały jeszcze ordery, krzyże, którymi ich ojczyzna obdarzyła i odznaczyła. Wobec tej strasznej zbrodni niepodobieństwem jest przejść do porządku i żaden rząd na świecie, który by się nie chciał okryć hańbą wobec własnego narodu, na takie postawienie sprawy by nie przystał. Rząd polski musi domagać się wyjaśnienia tej zbrodni.

Ale kto takiego wyjaśnienia podjąć się może w obecnie wytworzonej sytuacji politycznej? Kto, wobec zajęcia przez Niemców terenu, na którym zbrodni dokonano, gwarantuje bezstronność zbadania rzeczy na miejscu i orzeczenia?

W roku 1864 powstała, na mocy konwencji genewskiej, Międzynarodowa Organizacja Czerwonego Krzyża, która od 79 lat oddała niezliczone usługi ludzkości, wciąż na nowo uwikłanej w

krwawe między sobą rozprawy. Bezstronność, powaga i autorytet Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, nigdy nie były kwestionowane przez żaden naród na świecie. To też w cztery dni od ogłoszenia rewelacji katyńskich, dnia 17 kwietnia 1943 roku, ukazuje się następujący komunikat polskiej Rady Ministrów w Londynie:

Nie ma Polaka, który by nie był głęboko poruszony odkryciem koło Smoleńska wspólnych grobów oficerów polskich, których ślad zaginął w Rosji Sowieckiej, a którzy padli ofiarą masowej egzekucji.

Wiadomości tej propaganda niemiecka stara się nadać jak największy rozgłos. Rząd polski polecił posłowi polskiemu w Szwajcarii, aby zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, z prośbą o wysłanie delegacji, która by ustalić mogła na miejscu prawdziwy stan rzeczy. Pożądanym będzie, aby wyniki badań tej instytucji, której powierzone będzie zadanie wyjaśnienia sprawy i ustalenia odpowiedzialności były ogłoszone niezwłocznie.

Jednocześnie, tego samego 17 kwietnia, polski minister Obrony Narodowej, generał Kukiel, ogłosił komunikat, w którym streściwszy całokształt sprawy (Patrz Załącznik Nr 9), w ten sposób zakończył:

Jesteśmy przyzwyczajeni do kłamstw propagandy niemieckiej i zdajemy sobie sprawę z celu jej ostatnich rewelacji. Jednakowoż z uwagi na dokładne informacje dostarczone przez Niemców w sprawie znalezienia zwłok szeregu tysięcy oficerów polskich w pobliżu Smoleńska i w świetle kategorycznego oświadczenia, że zostali oni zamordowani przez Sowiety, na wiosnę roku 1940 – powstaje konieczność, aby zbadane zostały odkryte zbiorowe mogiły i aby fakty ustalone zostały przez odpowiednie czynniki międzynarodowe, tego rodzaju jak MCK. Rząd Polski zwraca się do powyższej instytucji, prosząc o wysłanie delegacji na miejsce, w którym polscy jeńcy wojenni mieli być zamordowani.

Uprzednio jednak, na tym samym posiedzeniu, rząd polski postanowił dokonać jeszcze jednej próby zwrócenia się do rządu sowieckiego bezpośrednio z prośbą o udzielenie wyjaśnień. W tym celu wystosowana została nota do ambasadora sowieckiego w Londynie. W nocy tej, po przypomnieniu, iż sprawa zaginionych jeńców była wielokrotnie poruszana, rząd polski zwracał uwagę, że nie otrzymał nigdy dokładnych wyjaśnień, dokąd ci jeńcy wywiezieni zostali w roku 1940 i gdzie przebywają. A w dalszym ciągu:

... Gdy tedy, jak się okazuje z sowieckiego komunikatu Biura Informacyjnego z dnia 15 kwietnia 1943 r., rząd ZSRR zdaje się posiadać znacznie więcej wiadomości w tej sprawie niż te, które były w swoim czasie komunikowane przedstawicielom rządu polskiego, zwracam się do pana ambasadora ponownie z prośbą o udzielenie rządowi polskiemu szczegółowych i dokładnych informacji co do losu jeńców wojennych...

Tylko fakty niezbite stanowić mogą, w słusznym do głębi poruszonej opinii polskiej i całego świata, przeciwwagę dla tak obfitych i szczegółowych twierdzeń niemieckich o odnalezieniu wielu tysięcy zwłok oficerów polskich pomordowanych pod Smoleńskiem wiosną roku 1940.

Na notę powyższą nie nadeszła żadna odpowiedź.

Tymczasem decyzja rządu polskiego, zwrócenia się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, dosięga zastępcę delegata Polskiego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, ks. Radziwiłła, dnia 17 kwietnia o godzinie 16-tej. Już o godzinie 16 minut 30 wręcza on notę polską przedstawicielowi MCK, panu Ruegerowi. Dowiaduje się przy tym, że już dnia poprzedniego, 16 kwietnia, nadeszła analogiczna prośba o podjęcie zbadania sprawy katyńskiej ze strony Niemieckiego Czerwonego Krzyża (patrz: Załącznik Nr 10).

Stanowisko Niemiec było w danym wypadku konsekwentne, ale również znamienne. Konsekwentne przez zwrócenie się do autorytatywnej i bezstronnej organizacji międzynarodowej z prośbą o zbadanie zbrodni. Znamienne przez fakt, że cieszący się nieskazitelną opinią i powagą w całym świecie Międzynarodowy Czerwony Krzyż, raz wysławszy na miejsce swoich delegatów, nie dałby się na pewno ani oszukać, ani tym bardziej przekupić, ani w inny sposób nakłonić dla wydania opinii niezgodnej z faktycznym stanem rzeczy. Wynikało z tego, że Niemcy musieli być zupełnie pewni potwierdzenia swej własnej relacji i nie obawiali się ujawnienia prawdy przed światem. Natomiast zależało im oczywiście, ze względów politycznych, na jak największym jej rozgłosie i propagandzie, która by obciążała rząd sowiecki.

Ale rząd sowiecki oświadczył, że nie jest winien tej zbrodni, której według niego dokonali Niemcy. Wobec jednak wspomnianych, obciążających go poszlak, winien był tym bardziej i bardziej jeszcze od Niemców zabiegać o to, by w jak najszybszym oświetleniu sprawy, przez apolityczny, autorytatywny organ, wszelkie nieporozumienia w tym względzie zostały wyjaśnione. To znaczy, winien był zabiegać, o ile... oświadczenie jego odpowiadało prawdzie.

Dalszy przebieg wypadków był następujący. Wobec złożenia przez obydwie strony wojujące, tzn. Polskę i Niemcy, odpowiednich wniosków, czego właśnie domagał się statut, uchwalony przez MCK na początku drugiej wojny światowej, na podstawie którego podjęte być mogły dochodzenia międzynarodowe, przedstawiciel MCK oświadczył delegatowi polskiemu, że wnioski te zostaną najprawdopodobniej przez zarząd MCK uwzględnione i zapowiedział zebranie odpowiedniej komisji dla wyznaczenia neutralnej delegacji już na dzień 20 kwietnia 1943 r.

Ale zebranie to nie miało się nigdy odbyć! Gdyż nagle następuje zasadniczy zwrot w stanowisku Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wskutek nacisku... rządu sowieckiego. Zamiast oczekiwane zebranie, zarząd MCK wystosowuje memorandum. Punkt trzeci tego memorandum brzmi, jak następuje:

3) stosownie do ducha memorandum z dnia 12.IX.1939 r., w zasadzie (MCK) nie mógłby wziąć pod uwagę udziału w technicznej procedurze identyfikowania zwłok przez wysłanie ekspertów, jak tylko za zgodą w s z y s t k i c h stron zainteresowanych.

Delegat polski interweniuje. Otrzymuje w formie prywatnych informacji wiadomość, że Czerwony Krzyż gotów był już do wysłania do Katynia komisji śledczej, która miała się składać z rzeczoznawców szwedzkich, portugalskich i szwajcarskich, pod przewodnictwem Szwajcara. Ale ze strony państw trzecich nadeszła sugestia, iż akt podobny będzie bardzo źle widziany przez Sowiety... Sowiety są zaś też „stroną zainteresowaną”. Wobec tego zarząd MCK stanął na stanowisku, że bez ich zgody podjąć badań nie można. Na razie nie ma innego wyjścia, jak to aby rząd polski sam lub za pośrednictwem aliantów zwrócił się do rządu sowieckiego, celem uzyskania odeń zgody na śledztwo. Oficjalne pismo w tej sprawie wysłane zostało również do Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Niech się stara o zgodę rządu sowieckiego za pośrednictwem „puissance protectrice”.

Sprawa jednak nabiera rozgłosu i nie da się jej trzymać w ramach dyskrecji. Wszyscy wiedzą już o mającym nastąpić orzeczeniu ze strony Międzynarodowego Czerwonego Krzyża i oczekują go z zainteresowaniem. Wobec tego zarząd MCK zmuszony jest do opublikowania oficjalnego komunikatu w dniu 23 kwietnia:

Niemiecki Czerwony Krzyż oraz Polski Rząd w Londynie zwrócili się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o współdziałanie przy identyfikacji zwłok, które według doniesień niemieckich znalezione zostały w pobliżu Smoleńska.

W obydwóch wypadkach MCK odpowiedział, że zasadniczo gotowy jest do udzielenia swej pomocy przy doborze ekspertów neutralnych, pod warunkiem jednak, że odpowiednie wezwania zostaną do niego skierowane przez wszystkie strony w tej sprawie zainteresowane, a to zgodnie z memorandum, które Komitet MCK przesłał 12 września 1939 do wszystkich narodów, biorących udział w wojnie, a w którym zostały sprecyzowane zasady mające się stać podstawą udziału MCK w tego rodzaju dochodzeniach.

Oczywiście że w danym wypadku pod słowem "wszystkie" strony, rozumiana była strona sowiecka. Tymczasem rząd sowiecki nie tylko że nie zgadzał się na podjęcie badań w Katyniu przez MCK, ale na dwa dni przed ogłoszeniem tego komunikatu, w dniu 21 kwietnia, radio moskiewskie rozgłosiło artykuł, jaki się ukazał

w „Prawdzie”, pod tytułem: *Polscy współpracownicy Hitlera*. W artykule tym, urzędowy organ partii komunistycznej zarzuca rządowi polskiemu ni mniej ni więcej jak... współpracę z Hitlerem! Równocześnie rządowa agencja „Tass” zaatakowała rząd generała Sikorskiego, twierdząc że jego apel do MCK świadczy, jak wielki wpływ w kołach rządowych polskich posiadają prohitlerowskie elementy.

To, w potocznej mowie, niesłychane, a w gruncie rzeczy tylko niespodziewane stanowisko rządu sowieckiego, wprawilo opinię publiczną zachodnią zrazu w osłupienie. Jasnym było, że podobne posunięcie nie tylko kompromitowało rząd sowiecki w oczach świata, ze względu na obawę, wykazaną przed bezstronnym śledztwem, ale potraçało o groteskę: Sowiety, które współpracowały z Hitlerem od roku 1939 do 1941, zarzucały rządowi polskiemu, który pierwszy na świecie oparł się agresji, że on właśnie jest zwolennikiem Hitlera.

Pozornie, oświadczenie „Tassa” istotnie wyglądało na jakieś nieporozumienie lub żart, ale rząd sowiecki dobrze wiedział, co czyni. Dobrze wiedział, że w tym okresie wojny nikt nie będzie miał zamiaru traktowania Związku Sowieckiego jako groteski... Rok 1942 i 1943 był okresem największych zabiegów Anglii i Ameryki o przyjazne stosunki z Sowiecami. Ubiegłego sierpnia Churchill bawił w Moskwie, gdzie ścisłał z serdecznością rękę Stalina i powiedział o nim największy komplement, na jaki Anglik zdobyć się może, że mianowicie dyktator bolszewicki „obdarzony jest ogromnym poczuciem humoru”... Za niespełna rok, od przytoczonych wyżej wypadków, król angielski Jerzy VI. prześle temuż Stalinowi do Teheranu honorową szablę o złotej gardzie.

Na tym tle problem skrytobójczego wymordowania 10 tysięcy oficerów polskich nabierał szczególnie nieprzyjemnego smaku, zarówno dla Londynu jak Waszyngtonu. Alianci zachodni chcieliby raczej całą sprawę zatuszować, a nie wyolbrzymiać, w każdym razie zlikwidować czym prędzej i wycofać z tematu opinii publicznej.

Churchill pokładał duże nadzieje w generale Sikorskim, którego cenił jako twardego polityka, ale zarazem jako zdecydowanego zwolennika zbliżenia z Rosją. Zbliżała się Wielkanoc. W nocy z Wielkiej Soboty na pierwszy dzień świąt, tzn. z 24 na 25 kwietnia 1943 r. został wykonany nacisk dyplomatyczny na generała Sikorskiego, aby złożył on uroczyste oświadczenie, że oficerowie polscy znaleźni w Katyniu nie mogli być zamordowani przez bolszewików i że cała sprawa jest wyłącznie tylko produktem oszczerczej propagandy niemieckiej. General Sikorski istotnie był zwolennikiem zbliżenia z Rosją. Zawarł on z Sowiecami pakt 30 lipca 1941

roku, w którym poszedł na najdalej idące kompromisy, puszczając w niepamięć złamanie traktatów, zdradziecki napad itd. Martyrologię setek tysięcy Polaków! Ale tym razem generał Sikorski powiedział:

Nie!

Stanowisko to nie powinno być nikogo właściwie dziwić. Generał Sikorski był złym czy dobrym politykiem, ale był nade wszystko żołnierzem prawym i dobrym Polakiem. Nie mógł tedy nie odpowiedzieć: „Nie!”, w obliczu nie tylko poszlak, ale pośrednich dowodów i wreszcie swego głębokiego przekonania, że jednak zbrodni dopuścili się bolszewicy.

W dwadzieścia cztery godziny po odrzuceniu tych sugestii i nacisku dyplomatycznego, punktualnie o godzinie 0¹⁵ w nocy z dnia 25 na 26 kwietnia, ambasador polski w Moskwie, p. Romer, wezwany został do Komisariatu Spraw Zagranicznych przez p. Mołotowa, podobnie jak przed trzema i pół laty ambasador Grzybowski i tak samo jak wówczas Mołotow odczytał notę.

Nota ta zawierała szereg inwektyw pod adresem rządu polskiego, opublikowanych już w „Prawdzie” moskiewskiej i urzędowym komunikacie „Tassa”, oskarżających ten rząd o „współpracę z Hitlerem” i zawierała oświadczenie zerwania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Związkiem Sowieckim i Polską. Przy czym stwierdzała, że bezpośrednim powodem tego zerwania jest zwrócenie się rządu polskiego do MCK w Genewie z prośbą o zbadanie mordu katyńskiego. Odnosny ustęp tej noty brzmiał:

Zrozumiałe, że takie „zbadanie” dokonywane za plecami rządu sowieckiego nie może wzbudzać zaufania wśród jako tako uczciwych ludzi...

... Na podstawie tego wszystkiego rząd sowiecki zdecydował się zerwać stosunki z rządem polskim.

Ambasador Romer postąpił również podobnie, jak jego poprzednik z roku 1939, tzn. oświadczył:

Odmawiam przyjęcia noty, stwierdzając jednocześnie, iż zawiera ona nieprawdę i oszczerstwa.

Ale cóż gest ten mógł zmienić w sytuacji narzuconej siłą! A siła była po stronie Sowietów. Dnia 2 lutego tegoż roku nastąpiła klęska Niemców pod Stalingradem. Sowiety roku 1943, to już nie Sowiety z roku 1941... Dlatego komunikat ich o zerwaniu stosunków z rządem polskim wywołał wyraźne zaniepokojenie w sferach alianckich. Cała sprawa przesunęła się z dziedziny kryminalnej w dziedzinę polityczną. Zerwanie to było pierwszym objawem niezgody, rozłamu w obozie Zjednoczonych Narodów. Do czego to mogło doprowadzić w przyszłości, gdyby Anglia i Stany Zjednoczone zechciały poprzeć stanowisko Polski? Do ... odrębnego pokoju pomię-

dzy ZSSR i Niemcami? Jakkolwiek małe było prawdopodobieństwo takiego obrotu rzeczy, jednakże Churchill pragnął uniknąć za wszelką cenę nawet cienia podobnej groźby.

Polska w tym czasie nie przedstawiała żadnej efektywnej siły materialnej. Kraj był okupowany przez wroga. Na zewnątrz rozporządzała zaledwie garstką wojska. Sowiety reprezentowały natomiast potęgę. Mocarstwa zachodnie widziały swój absolutny interes, gdyby miały dokonać wyboru pomiędzy Polską i Sowietami, raczej w sojuszu ze Związkiem Sowieckim niżli z Polską. Ale sytuacja polityczna nie była pfostrą. Wręcz przeciwnie, była bardzo skomplikowaną. Opuścić Polskę w jej słusznych sprawach, znaczyło przysporzyć argumentów propagandzie p. Goebbelsa. Znaczyło jednocześnie oburzyć opinię państw neutralnych, utwierdzić w sojuszu z Niemcami Finlandię, Rumunię, Węgry, Słowację, Bułgarię. Znaczyło zachwiać wiarę w dobro sprawy Jugosławii, Grecji, Norwegii, a nawet Francji... Na podobny wyłom moralny mocarstwa zachodnie nie mogły sobie jeszcze wówczas pozwolić. To też z ich strony podjęte zostały energiczne interwencje, celem polubownego zażegnania konfliktu.

Dnia 4 maja 1943 roku minister Eden w mowie wygłoszonej na temat wytworzonej sytuacji, oświadczył między innymi:

... Rząd Jego Królewskiej Mości poczynił wszelkie wysiłki w kierunku przekonania zarówno Polaków jak Rosjan o konieczności nie dopuszczenia do tego, iżby manewry niemieckie posiadały choć pozór powodzenia. Z największym żalem dowiedział się przeto, iż rząd sowiecki, w odpowiedzi na apel rządu polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, poczuł się zmuszony do zerwania stosunków z rządem polskim...

Ale były to już tylko słowa i słowa... Uczyniono jeszcze raz nacisk na generała Sikorskiego, aby przynajmniej wycofał swe żądanie skierowane do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Wycofanie to jednak stało się w międzyczasie bezprzedmiotowym wobec stanowiska Sowietów, które stanowczo odrzuciły interwencję Czerwonego Krzyża i wobec stanowiska tegoż Czerwonego Krzyża, który zgadzał się podjąć badania tylko pod warunkiem wyrażonej na nie zgody strony sowieckiej.

Tymczasem prasa państw neutralnych, szwajcarska, szwedzka i turecka, pisała już głośno, że potworny mord w Katyniu popełniony został przez bolszewików. Niebawem też niezależne pisma angielskie i amerykańskie wystąpiły przeciw stanowisku, jakie zajął rząd sowiecki (patrz: Załącznik Nr 11).

Do zażegnania konfliktu polsko-sowieckiego jednak nie doszło i dojść nie mogło. Sowiety odczuwały własną siłę. Wzmocnione

na froncie przez aliantów zachodnich, a jeszcze bardziej przez o-
błądną politykę Hitlera na ziemiach zabranych, której metody
zwróciły przeciwko Niemcom nie tylko całą Europę, ale zwłaszcza
podcięły skrzydła wszelkiej, poważnej akcji kontrrewolucyjnej na
terenach Rosji i antybolszewickiej w ogóle – Sowiety były już w sta-
nie odkryć karty swych istotnych zamierzeń w stosunku do Polski.
To też nie tylko z naciskiem podkreślały w następnych oświadcze-
niach, iż pół Polski, zagarniętej przez nich w roku 1939 na mocy
układu Ribbentrop-Mołotow, traktują jako integralną część Związku
Sowieckiego, ale jednocześnie przystąpiły do formowania bez żad-
nych obsłonek własnej polityki „polskiej”. W Moskwie utworzono
Związek Patriotów Polskich, złożony z komunistów. Zarazem, po
wycofaniu się z terytorium Związku Sowieckiego do Persji, tworzo-
nej przez gen. Andersa armii polskiej, w r. 1942 przystąpiono na
rozkaz Stalina do organizacji własnych, sowieckich oddziałów pol-
skich, nad którymi komenda powierzona została generałowi Ber-
lingowi.

W ten sposób rozpoczęła się realizacja tych planów, których
pierwszą zapowiedź wyczytać było można z mowy Mołotowa, jesz-
cze z października 1939 roku, a o których dalszym rozpracowaniu
debatował komisarz Beria i Mierkułow na jesieni roku 1940.

W takich warunkach możliwość bezstronnego i autorytatyw-
nego dla świata demokratycznego rozpatrzenia sprawy zaginionych
jeńców i odkrytych w Katyniu grobów – zostaje skutecznie storpe-
dowana. Chodziłoby jednak Sowiecom, ażeby wszelkie rozmowy na
ten temat w obozie Zjednoczonych Narodów znikły raz na zawsze.

Tymczasem stanowisko generała Sikorskiego jest w dalszym
ciągu nieugięte. W początku lata udaje się on na Bliski Wschód,
celem dokonania inspekcji stacjonujących tam wojsk polskich. Dnia
2 lipca, w siedzibie poselstwa polskiego w Kairze, zwołuje konfe-
rencję prasową, na którą przybywa znaczna ilość dziennikarzy egip-
skich, angielskich, amerykańskich, francuskich i polskich. Wieczo-
rem tego dnia, wychodząc na balkon, aby odetchnąć świeżym powie-
trzem, po całodziennym upale, przeciąga się i wyznaje w otoczeniu
najbliższych mu osób, że czuje się zmęczony, zawiedziony...

– Nazajutrz muszę wracać do Londynu, a jakoś dziwnie mi
się nie chce...

– Niech pan zostanie, generale, odpocznie jeszcze kilka
dni.

– O nie! – podrywa się Sikorski. – W Londynie czekają na
mnie bardzo pilne sprawy i rozmowy. Zresztą – uśmiecha się – tu, u
was w Egipcie jest strasznie gorąco.

Nazajutrz wylatuje samolotem z Kairu na zachód.

Dnia 4 lipca 1943 roku ginie w katastrofie samolotowej w
Gibraltarze, nigdy dotychczas dostatecznie nie wyjaśnionej, z której
ratuje się z życiem jeden tylko pilot.

ROZDZIAŁ XI

GŁOSY ZZA GROBU

Zanim jednak wypadki zaszły tak daleko, w Katyniu koło Smoleńska wre praca ekshumacyjna. Na trzy miesiące przed tragiczną katastrofą w Gibraltarze, z głównego grobu na Kozich Górach, który miał według wersji niemieckiej zawierać około 3 tysięcy zwłok, wydobyto kolejne, czterysta dwudzieste czwarte. Podczas rewizji tych zwłok, znaleziono ukryte w ubraniu naramienniki, odprute z munduru, bez dystynkcji, jeden medalik, rysunek ołówkiem, przedstawiający mężczyznę z brodą i podpisany: „Kruk Waław, Kozielsk 1940 r.” (Patrz Załącznik Nr 4) i notatnik. W notatniku tym zamordowany prowadził dzienniczek, z którego dało się, ze względu na łatwość, odcyfrować następującą, wstrząsającą opowieść:

8.IV.1940 r. Do tego czasu nic nie napisałem, bo uważałem, że nie ma nic szczególnego. Ostatnimi czasy, to jest pod koniec marca i z początkiem kwietnia, zaczęły się nastroje wyjazdowe. Uważaliśmy to za normalne plotki. Tymczasem plotka zrealizowała się. W pierwszych dniach kwietnia poczęto wysyłać transporty, początkowo niewielkie. Ze „Skitu”¹⁹ przeważnie... (nieczytelne) po kilkanaście osób. Wreszcie w sobotę 6-go zlikwidowano „Skit” i przeniesiono go do obozu głównego. Tymczasem ulokowano nas w bloku majorowskim. Wczoraj odszedł transport wyższych oficerów: trzech generałów, 20-25 pułkowników i tyluż majorów. Sądząc ze sposobu odprawy, byliśmy najlepszej myśli. Dziś przyszła kolej na mnie. Rano wykapałem się w łaźni, wyprałem skarpetki, chusteczki... (nieczytelne) do klubu „z wieszczami”. Po zdaniu „kazionnych” rzeczy, ponownie przeprowadzono rewizję w 19 baraku i stamtąd bramą wyprowadzono do aut, którymi dojechalśmy do stacyjki, nie do Kozielska (Kozielsk odcięty przez powódź). Na stacji załadowano nas do wagonów więziennych pod ostrym konwojem. W celi więziennej (która po raz pierwszy w ogóle widzę) jest nas trzynastu. Jeszcze nie znam mych przygodnych towarzyszy niewoli. Teraz czekamy na odjazd... Jak przedtem byłem nastawiony optymistycznie, tak teraz wnoszę, że ta podróż to wcale nic dobrego. Gorzej to, że nie wiadomo, czy będziemy mogli zbadać, w jakim kierunku będziemy jechać. Czekajmy cierpliwie. Jedziemy w kierunku Smoleńska.

Pogoda słoneczna. Na polach jeszcze dużo śniegu.

¹⁹ „Skit”, czyli pustelnia, było nazwą nadaną jednemu z budynków poklasztornych, w którym siedzieli jeńcy. (przypis autora)

9.IV.40. Wtorek. Noc spędziliśmy wygodniej niż w dawnych wagonach bydłych. Było nieco więcej miejsca i nie trzęsło tak okropnie. Dziś pogoda całkiem zimowa. Śnieg sypie, pochmurno. Na polach śnieg jak w styczniu. Nie można zorientować się, w którym jedziemy kierunku. W nocy jechaliśmy bardzo mało, obecnie minęliśmy większą stację Spas-Demjanskoje. Takiej stacji w drodze do Smoleńska na mapie nie widziałem. Obawiam się, że jedziemy na północ lub płn.wschód sądząc po pogodzie.

Jest za dnia tak jak dawniej bywało. Wczoraj rano dali porcje chleba i cukru, a w wagonie zimnej, przegotowanej wody. Teraz zbliża się południe, a nic nowego do jedzenia nie dają. Obejście się także... ordynarne. Na nic nie pozwalają. Wyjść do ustępu można wtedy, kiedy konwojentom podoba się, nie pomagają ani prośby, ani krzyki.

(W tym miejscu pamiętnik nawraca znowuż do wspomnień z Kozielska.)

... Jest godzina 14³⁰, zajeżdżamy do Smoleńska. Na razie stoimy na dworcu towarowym... Jednak jesteśmy w Smoleńsku.

Jest pod wieczór, minęliśmy Smoleńsk, dojechalśmy do stacji Gniezdowo. Wygląda tak, jakbyśmy tu mieli wysiadać, bo kręci się wielu wojskowych.

W każdym razie nie dali nam dotychczas dosłownie nic do jedzenia. Od wczorajszego śniadania żyjemy porcją chleba i skromną dawką wody.

Na tym urywa się pamiętnik.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Rozkopywanie największego grobu, który później, ze względu na jego charakterystyczną powierzchnię, przezwany będzie grobem „L”.

Gdy wydobyto w Katyniu zwłoki czterysta dwudzieste czwarte, zbliżał się już zmierzch. Prace tego dnia przerwano. Nazajutrz, jeszcze przed południem, wydobyto kolejne zwłoki czterysta dziewięćdziesiąte. Mundur nosił wyraźne dystynkcje majora. W kieszeniach znaleziono szereg przedmiotów: świadectwo szczepienia, rachunek, 2 medaliki, list pisany po rosyjsku, świadectwo lekarskie, kartkę z adresami i aż dwa notesy. Po skonfrontowaniu tych dokumentów ustalono bez wątpliwości, że zamordowanym był Adam Solski, major 57 pułku piechoty.

Notatnik majora Solskiego zawierał takie oto straszne słowa końcowe:

Niedziela. 7.IV.1940. Rano. Po wczorajszym dniu przydział do „Skitowców”. Pakować rzeczy! do 11⁴⁰, na odejście do klubu na rewizję. Obiad w klubie... (nieczytelne) Po rewizji, o godzinie 16⁵⁵

(nasz polski czas 14⁵⁵) opuściliśmy mury i druty obozu Kozielsk Wsadzono nas do wozów więziennych. Takich wozów, jakich w życiu nie widziałem. [mówią] że 50 % wagonów w SSSR spośród osobowych, to wozy więzienne. Ze mną jedzie Józek Kutyba, kapitan Paweł Szyfter i jeszcze major, pułkownik i kilku kapitanów, razem dwunastu. Miejsca najwyższej dla siedmiu.

8.IV. godz. 3³⁰ wyjazd ze stacji Kozielsk na zachód. 9⁴⁵ na stacji Jelnia.

8.IV.40 od godziny 12 stoimy w Smoleńsku na bocznicy.

9.IV. rano paręnaście minut przed 5-tą pobudka w więziennych wagonach i przygotowanie się do wychodzenia. Gdzieś mamy jechać samochodami. I co dalej?

9.IV 5 rano

9.IV od świtu dzień rozpoczął się szczególnie. Wyjazd karetką więzienną w celkach (straszne). Przywieziono gdzieś do lasu, coś w rodzaju letniska. Tu szczegółowa rewizja. Zabrano zegarek, na którym była godzina 6³⁰ (8³⁰) pytano mnie o obrączkę, którą [...] zabrano ruble, pas główny – scyzoryk...²⁰

Na tym pamiętnik się urywa.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Zwłoki majora Wojsk Polskich. Po oczyszczeniu naramienników, dystynkcje stopnia oficerskiego wyraźnie widoczne.

²⁰ Por. analizę, także tekstologiczną, pamiętnika Solskiego w książce: J.Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, jw. Tekst pamiętnika Solskiego poprawiono częściowo według wydania *Pamiętników katyńskich*, Ed. Spotkania 1990, oraz tekstów opracowanych w 1943 r. w Krakowie w biurze prof. Robla i odnalezionych w r. 1991 w specjalnej skrytce. (przyp. wyd.)

ROZDZIAŁ XII

ORZECZENIA I KULISY MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI EKSPERTÓW

Oberleutnant Slowentchik pisze do żony... Czaszka nr 526. Dr Markow i dr Palmieri.

Niemcy traktowali groby katyńskie jako kopalnię dla swej akcji propagandowo-politycznej, której usiłowali nadać jak najszerzy zasięg. Stosunki polsko-sowieckie już uprzednio tak dalece uległy zepsuciu, iż wymagały tylko wbicia ostatniego klina pomiędzy obydwie strony. Chodziło też Niemcom o urobienie własnej opinii w Rzeszy, bardziej jeszcze o propagandę pośród podbitych narodów Europy, a zwłaszcza Europy Wschodniej, którym wstrząsające fotosy z masakry katyńskiej miały w sposób plastyczny przedstawić los, jaki ich czeka pod panowaniem bolszewickim. Ale wygrywanie propagandowe niesłychanej zbrodni miało też na celu wstrząśnięcie sumieniem świata demokratycznego, który się połączył w sojuszu z bolszewikami dla wspólnej walki z Hitlerem.

Celem pobocznym było też przelicytowanie i usunięcie na plan drugi własnych, hitlerowskich zbrodni, które ze swej strony, z niesłabnącą energią reklamowane były przez prasę i propagandę Zjednoczonych Narodów.

Akcja niemiecka częściowo odniosła skutek. Zerwanie stosunków polsko-sowieckich i pierwszy w ten sposób rozłam w obozie aliantów, zapisała na swe dobro, w rubryce: sukces.

Dał temu wyraz Gregor Slowentchik, Oberleutnant przy Geheime Feldpolizei, przydzielony do akcji propagandowej w Katyniu. W liście do żony pisał:

... od rana do wieczora jestem ze swoimi trupami o 14 kilometrów od Smoleńska. Dzięki tym biednym chłopcom mogę coś zrobić dla Niemiec i to jest piękne... Katyń obciąża mnie pracą bez miary. Muszę wszystkim dyrygować, podejmować delegacje, przemawiać przez radio, poza tym opracowuję własną książkę pt. Katyń.

Slowentchik kończy swój list wyrażeniem dumy z sukcesu politycznego, polegającego na zerwaniu polsko-sowieckim.

Gregor Slowentchik był Austriakiem i w cywilu drobnym dziennikarzem wiedeńskim. Żona jego mieszkała w Wiedniu. List ten w jakiś sposób trafił do dossier norymberskiego procesu i pismo francuskie „Le Monde” ogłosiło z niego wyjątki, jako pośrednie

stwierdzenie faktu, że sprawa Katynia była li tylko inscenizacją niemiecką, niczym więcej.

Osobiście pamiętam, jak Slowentchik, wylazszy z grobu, przezwanego literą „L” (ze względu na kształt jego powierzchni) i otrzepawszy piasek, który zasypał jego ciężkie, policyjne buty, powiedział mi w cztery oczy, gdyśmy odeszli dalej, ponieważ z nieprzyzwyczajenia nie mogłem dłużej oddychać tym straszliwym, trupim odorem:

– Proszę pana, nie chodzi tu, po której stronie są nasze sentymenty. Pan jest Polakiem i może jest panu przykro, może pana boli, że robimy taką... no, powiedzmy, ordynarną propagandę na naszą korzyść z waszej tragedii. Ale chyba musi pan przyznać, że z naszego, niemieckiego punktu widzenia bylibyśmy chyba *auf den Kopf gefallen*, na głowę upadli, żeby natrafiwszy na taką gratkę propagandową, nie wyzyskać jej następnie, nie wygrać, nie ukuć z niej akcji politycznej!

Trzymałem wówczas ciągle chustkę zakrywającą nos i usta i prawdopodobnie Slowentchik nie widział, czy mu tę rację przyznaję, czy nie.

Ale sądząc obiektywnie, sprawa, z niemieckiego punktu widzenia, nie mogła podlegać żadnej dyskusji.

Jednakże rząd sowiecki, jak to przytoczyłem wyżej, już w drugim dniu rewelacji, odparowuje cios ogłaszając, że zbrodni dopuścił się nie on, a właśnie Niemcy. Hitlerowsko-bolszewickie klingi, równie symbolicznie jak upiornie skrzyżowane nad zwalami trupów oficerów polskich, błyskają nadal w pojedynku. Trzeciego dnia Niemcy zadają cięcie, zapraszając na arbitra Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Bolszewicy parują, paraliżując decyzję organizacji genewskiej. W odpowiedzi Niemcy zadają nowy cios, powołując „Międzynarodową Komisję przedstawicieli medycyny sądowej i kryminologii uniwersytetów europejskich”, która w dniu 28 kwietnia przybyła do Smoleńska.

Ale cios ten nie wypadł już tak efektownie, ponieważ poza jedynym dr Naville, profesorem medycyny sądowej w Genewie, który reprezentował Szwajcarię, kraj neutralny, wszyscy inni eksperci pochodzili z krajów europejskich bądź okupowanych przez Niemców, bądź też pozostających pod ich bezpośrednim wpływem politycznym. Tym niemniej powagę jej podnosił właśnie fakt, że Niemcy uprzednio zwrócili się z apelem do organizacji międzynarodowej i absolutnie niezależnej.

Komisja ta składała się z następujących członków:

Belgia: dr Speleers, profesor okulistyki uniwersytetu w Gandawie.

Bułgaria: dr Markow, docent medycyny sądowej i kryminologii w Sofii.

Dania: dr Tramsen, asystent instytutu medycyny sądowej w Kopenhadze.

Finlandia: dr Saxén, profesor anatomii patologicznej w Helsinkach.

Chorwacja: dr Miloslavich, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Zagrzebiu.

Włochy: dr Palmieri, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Neapolu.

Holandia: dr de Burlet, profesor anatomii uniwersytetu w Groningen.

Czechy: dr Hájek, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Pradze.

Rumunia: dr Birkle, rzeczoznawca medycyny sądowej rumuńskiego ministerstwa sprawiedliwości.

Szwajcaria: dr Naville, profesor medycyny sądowej w Genewie.

Słowacja: dr Šubik, profesor anatomii patologicznej w Bratysławie.

Węgry: dr Orsós, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Budapeszcie.

Komisji tej ze strony niemieckiej towarzyszyli: dr Buhtz, profesor medycyny sądowej i kryminologii we Wrocławiu, prowadzący z ramienia niemieckiego naczelnego dowództwa ekshumacje w Katyniu, oraz dr Costedoat, przydzielony do komisji z ramienia szefa rządu francuskiego w Vichy.

W dniu 31 kwietnia 1943 roku członkowie Komisji podpisali w Smoleńsku ²¹ ekspertyzę, a w pierwszych dniach maja ogłosili Komunikat, zawierający szczegółowy raport z dokonanych w Katyniu badań (patrz: Załącznik Nr 12).

²¹ Prawdopodobnie stało się to dopiero na lotnisku w Białymstoku, 1 maja, podczas powrotu Komisji. Por. zeznanie dr Tramsena w *Hearings...* (pełny zapis skrótu źródła na końcu, w Bibliografii Mackiewicza). (przyp. wyd.)

Raport Komisji potwierdzał na ogół znane już z publikacji niemieckich okoliczności, dotyczące zeznań świadków, stanu konserwacji trupów, zachowania mundurów, które pozwalało ponad wszelką wątpliwość ustalić, że zamordowani byli oficerami polskimi, dużą ilość dokumentów, listów, notatek, gazet itd., znalezionych w ich kieszeniach. Na specjalne jednak podkreślenie w raporcie Komisji zasługuje kilka szczegółów.

Komisja nie wspomiała ani jednym słowem, ani w formie afirmatywnej, ani hipotetycznej, o przypuszczalnej, ogólnej ilości znalezionych w Katyniu trupów, o której propaganda niemiecka twierdziła uprzednio, że wynosi 10 tysięcy, a następnie, że od 10 do 12 tysięcy. Natomiast pierwotny szacunek niemiecki, dotyczący największego grobu („L”), zredukowany został z liczby 3 tysięcy do 2 i pół.

Komisja skonstatowała ponadto różny stopień rozkładu zwłok i w ogólnym rezultacie potwierdziła jedynie fakt, że w obecnym stadium rozwoju medycyny sądowej trudno jest ustalić na podstawie tylko stanu zwłok, termin śmierci. Dlatego też jako rewelację w tej dziedzinie wypada podkreślić, przyjęte przez Komisję do wiadomości, odkrycie dokonane przez profesora Orsósa z Budapesztu. Uczony ten stwierdził mianowicie na podstawie doświadczeń, że czaszki ludzkie przebywające w ziemi ulegają przemianom w postaci złogów tworzących na powierzchni mózgu masę, podobną do glinki. Czaszki, przebywające w ziemi mniej niż trzy lata, nie ulegają tym przemianom. Natomiast znalezione w Katyniu czaszki częściowo je wykazywały.

[trzy zdjęcia w oryginale, z opisem:]

[1] Międzynarodowa Komisja ekspertów przy sekcji zwłok w lesie katyńskim.

[2] Komisja Międzynarodowa stwierdziła, iż zwłoki w grobie stanowią uciśniętą warstwę, częściowo zdeformowaną pod wpływem ciężaru i zlepione, złączone wzajem trupa ciecżą. Nie mogły być zatem ruszane od czasu, gdy je wrzucano do dołów.

[3] Dr Orsós, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Budapeszcie, który zna język rosyjski, rozmawia na miejscu zbrodni ze świadkiem, Parfemonem Kisielewem.

Wykopano zwłoki oficera, którego mundur wskazywał wyraźne dystynkcje porucznika. Nie miał przy sobie nic ponad dwa listy, ukryte na piersi, fotografię kobiety, medalik z Matką Boską. Nazwiska nie można było zidentyfikować, bo i listy były bez kopert... „Kochany...” zaczynał się jeden z nich, dalej w litery imienia wgrzyła się cieczeń trupa i przeżarła je, unicestwiła. Pozostał więc bez imienia nawet i tylko odznaczony kolejnym numerem ekshumacyjnym.

Tym to właśnie numerem zajął się specjalnie prof. Orsós. Czaszki, czaszka „kochanego...” przez kogoś, leży teraz na stole sekcyjnym, a profesor węgierski, w rękawiczkach gumowych, uzbrojony lancetem, obraca ją na wsze światy strony. Rzecz tak normalna w prosektoriach i tak wyświechtana w zestawieniach literackich. Uczony tłumaczy członkom Komisji wyniki swoich doświadczeń: numer 526 wykazuje najwyraźniej fenomen przemiany, jakiej ulega czaszka zwłok, które leżą w ziemi dłużej niż trzy lata. To znaczy, że numer 526, tym oto tu wystrzałem w tył głowy, po którym pozostał wyraźny wlotowy i wylotowy otwór kuli, zabity został nie później niż w roku 1940...

A w roku 1940, pod Smoleńskiem, mogli to uczynić tylko bolszewicy.

Bardzo też wyraźnie stwierdza Komisja, że zlepiania i złączenia zwłok przez trupa cieczeń i szczególne zdeformowania dzięki naciskowi, wskazują, że zwłoki te nie były, nie mogły być ruszane od czasu, gdy je wrzucono do dołów śmierci. Komisja jako termin dokonanego mordu jednogłośnie przyjmuje rok 1940.

W związku z tym jednoznacznym orzeczeniem, raz jeszcze wypada w tym rozdziale potrącić o Proces Norymberski. Oskarżyciel sowiecki na tym procesie, zaprezentował sądowi osobę profesora Markowa z Sofii, członka b. Komisji zwołanej przez Niemców. Markow, który przyjechał z Bułgarii, opanowanej dziś przez Sowiety, złożył zeznania, z których wnioskować było można, że Komisja ekspertów działała i ogłosiła Komunikat pod naciskiem władz niemieckich. Dnia 2 lipca 1946 roku agencja prasowa nadała z Norymbergi następującą wiadomość:

Jeden z członków tzw. Międzynarodowej Komisji, zwołanej przez Niemców dla rozpatrzenia zbrodni katyńskiej, stwierdza, iż została ona na odosobnionym lotnisku, otoczonym przez żołnierzy niemieckich, zmuszona do podpisania raportu, który całkowicie zdejmował z Niemców odpowiedzialność za tę zbrodnię.

Świadek ten, profesor Markow z Sofii, bułgarski członek Komisji, przedstawił sądowi, jak to Niemcy używali tzw. „ostrej psychologii” dla otrzymania podpisów od ekspertów, na dokumencie, którego ci eksperci nigdy nie mieli okazji przeczytać, ani tym bardziej napisać.

Markow został powołany przez Sowietów w celu ustalenia, że nie władze sowieckie, ale niemieckie zamordowały 11 tysięcy oficerów polskich pod Smoleńskiem.

Świadek opowiedział w dalszym ciągu, że został on odkomenderowany przez uniwersytet bułgarski do Komisji, stworzonej przez podobnych jak on profesorów państw satelickich Rzeszy. Do Katynia przybył dnia 29 kwietnia 1943 roku. Pozwolono im zbadać tylko 8 ciał w ciągu dwu dni i następnie zabrano do Berlina. Po

drodze właśnie cała grupa zatrzymana została na odosobnionym lotnisku i każdy z członków otrzymał już gotowy dokument ekspertryzy do podpisu. Stwierdził on, że zwłoki w Katyniu leżały co najmniej trzy lata, czyli od czasu, gdy tam nie było jeszcze Niemców. Wszyscy członkowie Komisji złożyli swoje podpisy, choć nie byli doszli do żadnych wniosków. „Nie miałem odwagi nie podpisać – oświadczył Markow – choć według mego zdania data śmierci nie była zgodna z prawdą.”

Wszystko to, co powiedział profesor Markow na sądzie w Norymberdze, było nieprawdą.²² Zaprzeczyli temu inni członkowie Komisji w rozmowach prywatnych, gdyż nikt ich na świadków nie zapraszał, ani o potwierdzenie słów profesora Markowa nie indagował. Nie ulega też wątpliwości, że i sam Markow podobnych rzeczy by nie opowiadał, gdyby nie musiał tak mówić pod naciskiem, wywieranym nań z zewnątrz. Jak w swej istocie wyglądały kulisy Międzynarodowej Komisji ekspertów, opowiada profesor Palmieri z Neapolu, któremu oddaję głos:

Komisja ta została powołana na skutek odmowy Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wzięcia udziału w śledztwie. Wiadomo zaś, że Międzynarodowy Czerwony Krzyż zmuszony był odmówić, gdyż nie otrzymał na udział w śledztwie mandatu ze strony rządu sowieckiego. Wobec takiego stanu rzeczy, rząd niemiecki zdecydował zarządzić śledztwo w zakresie własnych możliwości, powierając zbadanie zbrodni katyńskiej najbardziej znanym w Europie specjalistom z dziedziny medycyny sądowej. Do komisji tej zaproszony został również delegat rządu polskiego, który z zaproszenia wszelako nie skorzystał.

W Berlinie zebrało się trzynastu delegatów różnych państw. Uczni niemieccy nie wzięli udziału, jedynie prof. Buhtz, ordynariusz medycyny sądowej Uniwersytetu we Wrocławiu, odgrywał rolę łącznika pomiędzy Komisją i władzami niemieckimi.

Już na początku, na wstępnym posiedzeniu członków Komisji, ustalono zgodnie, że śledztwo prowadzone będzie wyłącznie pod kątem naukowym, wykluczając wszelkie momenty polityczne czy też polemiczne. Następnie zaś przystąpiono do opracowania pytań, do których Komisja powinna ograniczyć swe odpowiedzi:

- 1) identyfikacja zwłok,
- 2) przyczyna śmierci,
- 3) określenie terminu, w którym śmierć zadano.

Należy zaznaczyć, że przy opracowywaniu wniosków, które zostały zredagowane po osiągnięciu kompletnej zgody wszystkich

²² Prawdopodobnie jednak wiadomość o „odosobnionym” lotnisku była prawdziwa. Chodziło o „międzyładowanie” w Białymstoku. Por. przypis wyżej. (przyp. wyd.)

członków Komisji, oraz podczas zupełnie obiektywnych badań, Komisja trzymała się ściśle wyżej wymienionej wytycznej.

Członkowie Komisji posiadali zupełną wolność ruchu i otrzymali wszelkie środki techniczne, jakie mogły im być pomocne. Mogli osobiście schodzić do grobów, aby kierować pracami nad wydobywaniem zwłok, w miejscu i w warunkach, według własnego wyboru i uznania. Jednocześnie, lecz osobno, pracowała w Katyniu Komisja Polskiego Czerwonego Krzyża, przybyła z Warszawy, która doszła do tych samych wniosków.

Po swym powrocie do Berlina Komisja złożyła znane sprawozdanie na ręce dr Conti, szefa oddziału biura zdrowia Rzeszy, z czym została rozwiązana. Żadnego nacisku, ani sugestii ze strony władz niemieckich nie było.

Należy zaznaczyć, że prace członków Komisji były całkowicie bezpłatne. Żaden z członków nie otrzymał ani diet, ani honorariów, ani żadnych odznaczeń, ani też żadnych honorów akademickich czy jakiegokolwiek innego „surogatu” wynagrodzenia. Zostały im tylko wręczone bilety podróży, a rachunki w hotelach zostały bezpośrednio uregulowane.

Oświadczenie profesora Palmieriego jest jasne, wzbudzające zaufanie, a prawdziwość jego w każdej chwili poddana może być sprawdzeniu u pozostałych członków Komisji, pozostających poza zasięgiem władz sowieckich. Ale ani oficjalna opinia publiczna, ani tym mniej czynniki miarodajne alianckie, ani przedtem, ani potem i do dziś dnia – nie uznały orzeczenia tej Komisji za rozstrzygające zagadkę mordu katyńskiego. Fakt, że przed Trybunał w Norymberdze nie powołano w charakterze świadków wszystkich osiągalnych członków Komisji, a stanął przed nim tylko jeden z liczby trzynastu i to właśnie taki, który z własnej czy cudzej woli usiłował podważyć prawdomówność i rzetelność – świadczy w dostatecznej mierze o świadomej tendencji, z jaką postanowiono traktować orzeczenie Komisji.

Nie wniosło ono zatem do sprawy elementu decydującego, a kontrofensywa propagandy sowieckiej, podjęta z okazji tego orzeczenia, zdołała tyle osiągnąć, że nad rozkopaną, straszliwie cuchnącą ziemią grobów katyńskich, w dalszym ciągu wisiało widmo znaku zapytania. Nie był to jednak znak, podobny do innych znaków pisarskich. Jego punkt u dołu zdawał się mieć kształt kropli, gdyż była to żywa krew, którą ociekał.

WALKA O TRZECIE PYTANIE

Dalsze chwytły propagandy niemieckiej. Przeoczony szczegół w raporcie Voßa. Delegacje z Polski. Trup kobiety. Tajemnica wystrzelonych lusek. Krecia robota agentów sowieckich.

Wyzyskując straszliwy mord katyński dla propagandy, zakrojonej na światową skalę, władze niemieckie rozumiały naturalnie, że nad całą sprawą dominują trzy zasadnicze pytania, na które należy dać odpowiedź:

- 1) Kto są zamordowani?
- 2) Ilu jest zamordowanych?
- 3) Kiedy zostali zamordowani?

Odpowiedź na pierwsze pytanie, że mianowicie są to oficerowie polscy, wynikała z oczywistości i nie była, i nie jest kwestionowaną przez żadną ze stron zainteresowanych ani nikogo na świecie.

Na drugie pytanie: ilu? odpowiedzieli Niemcy: „od 10 do 12 tysięcy”. Szacunek ten w pewnym przybliżeniu odpowiadał ilości zaginionych jeńców, których poszukiwała strona polska. Nie był też kwestionowany przez stronę sowiecką.

Trzecie pytanie: kiedy? równoznaczne było z pytaniem najbardziej zasadniczym, a mianowicie: kto zamordował? Jasnym bowiem było, że podobnie masowej rzezi nie mogła wykonać osoba czy osoby prywatne, a jedynie organizacja państwowa. Ponieważ zaś mord dokonany został na terenie, który z biegiem czasu przechodził z rąk jednego państwa do rąk drugiego państwa, więc termin egzekucji pozwalał jednocześnie ustalić, które z tych dwóch państw winne jest jej wykonania. Ponieważ, dalej, strona sowiecka wyparła się kategorycznie tej zbrodni, a zarzuciła ją z kolei Niemcom, odpowiedź na to trzecie pytanie stała się na razie wyłącznym sporem, wokół którego zogniskowało się całe zagadnienie i na które Niemcy kładli cały nacisk w ujawnionych przez swą propagandę szczegółach śledztwa.

Dnia 26 kwietnia 1943 roku, a więc na dwa dni przed przybyciem Komisji Międzynarodowej, sekretarz niemieckiej tajnej policji polowej (Geheime Feldpolizei), Ludwik Voß, złożył na ręce sędziego, dr Conrada, w obecności urzędnika urzędu prawnego

armii, Bornemanna, zeznanie, dające się streścić w następującym ujęciu:

Pierwsza wiadomość o masowych grobach w Katyniu nadeszła w początkach lutego 1943 roku.

W lesie katyńskim stwierdzono kopce, które przy bliższym zbadaniu okazały się dziełem rąk ludzkich i obsadzone były sztucznie młodymi sosenkami. Próbné kopania, podjęte w okresie mrozów lutowych, ustaliły fakt istnienia masowych grobów.

Z powodu panujących mrozów nie mogła być podjęta praca na większą skalę.

Celem ustalenia szczegółów zostali zbadani mieszkańcy okoliczni w charakterze świadków.

Na rozkaz Głównej Komendy Armii (OKH – Oberkommando des Heeres) rozpoczęto rozkopywanie pierwszego grobu dnia 29 marca 1943 roku. Dotychczas zidentyfikowano 600 trupów. W pierwszym z masowych grobów znajduje się około 3.000 trupów. W grobach, leżących w bezpośredniej bliskości znajdować się musi, według oszacowania, dalszych 5.000 do 6.000 trupów.

Dotychczas przeprowadzona identyfikacja stwierdza jednoznacznie, że chodzi tu prawie wyłącznie o oficerów armii polskiej.

Notatki w pamiętnikach i notatnikach kończą się datą pomiędzy 6 i 20 kwietnia 1940 roku.

W zeznaniach tych Voß potwierdza na ogół okoliczności i daty, znane już z poprzednich komunikatów, natomiast po raz pierwszy od ujawnienia grobów i wbrew oficjalnej wersji niemieckiej, obniża szacunek ilości zamordowanych. Mówi mianowicie najwyżej o 9 tysiącach (3 tysiące + 5 do 6 tysięcy). Zarówno propaganda niemiecka, jak szeroka opinia przechodzi nad tym faktem do porządku, nie poświęcając mu żadnej uwagi. Tymczasem, gdyby się na przykład dodało, zamiast 3 tysięcy, tylko cyfrę 2.500 (na którą zredukowany został szacunek największego grobu przez Komisję ekspertów), nie do najwyższej liczby przewidywanej przez Voßa reszty zwłok, a do niższej, tzn. do 5 tysięcy, otrzymalibyśmy sumę: 7.500 zwłok. Czyż ta cyfra, w ten sposób wyrozumowana, nie odbiegała bardzo daleko od najwyższego szacunku 12 tysięcy propagandy niemieckiej?! Czy różnica ta nie była zastanawiająca, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że wynikała z zeznań rządowego funkcjonariusza? Jakże się to mogło zdarzyć, że Goebbels twierdził 12 tysięcy, a pan Ludwik Voß ośmielał się sugerować, że może tylko 8 tysięcy? Dziwnym też zbiegiem okoliczności, propaganda sowiecka, tak czuła na każdy szczegół śledztwa ogłaszanego przez Niemców, nie wyzyskała tej pierwszej, poważnej rozbieżności w oficjalnej wersji niemieckiej...

Być może, w ferworze walki o odpowiedź na trzecie pytanie, pytanie zasadnicze, wszystkie strony zapomniały o drugim. Być może... w tym się coś kryło? Ale co? Czy bowiem odpowiedź na drugie pytanie: „ilu?” mogła wkraczać w istotę pytania trzeciego: „kiedy (kto)?” O tym na razie nikt nie pomyślał.

Z każdym dniem propaganda niemiecka przybiera na sile. Ujawnia się wkrótce, że Niemcy, jeszcze przed ogłoszeniem swych rewelacji, tzn. przed 13 kwietnia 1943 roku, sprowadzili do Katynia delegację polską z okupowanej przez nich Warszawy i Krakowa. Delegacja ta, w skład której wchodził między innymi: przedstawiciel polskiej organizacji samopomocowej (RGO) E. Seyfried, dr K. Orzechowski, dr E. Grodzki, K. Prochownik i inni,²³ przyleciała samolotem do Smoleńska już dnia 10 kwietnia. Władze niemieckie udostępniły jej swobodny wgląd w dwa wówczas tylko otwarte groby, w znalezione dokumenty, listy, pamiętniki itp. Mogli rozmawiać z mieszkańcami okolicznych wsi, zatrudnionymi w Katyniu itd. Na podstawie tych oględzin, członkowie delegacji dochodzą do wniosku, że mord dokonany być mógł nie później, niż w kwietniu roku 1940.

[dwa zdjęcia w oryginale, z opisem:]

[1] Delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża w Katyniu, w połowie kwietnia 1943 r.

[2] Kanonik krakowski, ks. Stanisław Jasiński, delegowany do Katynia przez ks. Metropolitę Sapię, odmawia modlitwę za umarłych, nad ułożonymi szeregami wydobytych z grobu trupów.

Po kilku dniach przybywa do Katynia druga grupa polska, w charakterze techniczno-fachowym, do której wszakże przymknął kanonik krakowski, ks. Stanisław Jasiński, zaufany metropolity ks. Sapię, i redaktor Marian Martens. Poza tym sami lekarze i członkowie Polskiego Czerwonego Krzyża: dr A. Szebesta, dr T. Susz-Pragłowski, dr H. Bartoszewski, S. Klappert, K. Skarżyński, L. Rojkiewicz, J. Wodzinowski, S. Kolodziejski, Z. Bohowski i R. Banach. Ta druga delegacja, której część pozostaje następnie na miejscu i bierze udział w pracach rozkopywania i identyfikowania zwłok (patrz: Załącznik nr 13), również na podstawie znalezionych dokumentów i wypowiedzi świadków, dochodzi do przekonania, że mord mógł być dokonany nie później wiosny roku 1940.

²³ Mackiewicz pominął dwu ważnych członków tej delegacji: pisarzy, F. Goetla i E. Skińskiego. Pierwszego oskarżano o kolaborację, drugi był kolaborantem niemieckim. (przyt. wyd.)

Równocześnie z tą wycieczką, przybywa z Berlina wycieczka dziennikarzy zagranicznych: korespondent „Stockholm Tidningen”, p. Jaederlund ze Szwecji, korespondent „Der Bund”, p. Schnetzer z Szwajcarii, korespondent „Informaciones”, p. Sanchez z Hiszpanii, oraz szereg dziennikarzy państw okupowanych przez Niemcy. Tej prasowej wycieczce towarzyszyli przedstawiciel wydziału prasowego Urzędu Kanclerskiego Rzeszy, radca Schippert i sekretarz legacji, Lassler.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Wycieczka dziennikarzy zagranicznych, w tej liczbie przedstawiciele prasy szwedzkiej, szwajcarskiej i hiszpańskiej, przy jednym z grobów w Katyniu.

O ilości zwłok wcale się wówczas nie dyskutuje, ponieważ groby są ledwo napoczęte, rozgraniczenie ich nieznanne, ogólna zaś płaszczyzna pomiędzy poszczególnymi rozkopami raczej wskazuje, że szacunek niemiecki od 10 do 12 tysięcy powinien być słuszny. Natomiast dziennikarze, zapoznawszy się z całokształtem materiału dowodowego i nabrawszy przekonania, że mord popełniony być mógł nie później jak wiosną roku 1940, stawiają po raz pierwszy pytanie, nie poruszane dotychczas:

– Dlaczego bolszewicy pozostawili przy zwłokach wszystkie dokumenty i w ogóle wszystko, co nie budziło w oprawcach bezpośredniego pożądanego jako przedmioty wartościowe?

– Dlatego – odpowiada im niemiecki pułkownik von Gersdorff, który oprowadzał wycieczkę – że bolszewicy jeszcze w roku 1940 nigdy nie mogli przypuszczać, aby zwłoki zakopane, het, w głębi Rosji, pod Smoleńskiem, mogły być w niedługim czasie, przez jakiegoś ich nieprzyjaciela wykopane i zidentyfikowane.

Dziennikarze milkną, przekonani tym argumentem. Dalsze pytania byłyby nietaktem. Dziennikarze przypominają sobie bowiem dobrze, że jeszcze w roku 1940 Hitler był przyjacielem Stalina, a Stalin Hitlera... Zmieniając temat, proszą o dokonanie przy nich rozkopania grobu nienaruszonego dotychczas. Życzeniu temu staje się zadość i obecni przekonują się, że zlepią z sobą warstwa trupów dowodzi, iż oczywiście nie mogła być uprzednio przez nikogo ruszana. Nagle...

Było to istotnie rewelacją. Nagle jeden z dziennikarzy wskazuje na trupa i uwaga wszystkich koncentruje się na tym jednym:

Kobieta?!!

Tak jest – kobieta. Trup kobiety w masie trupów oficerskich. Nie wiadomo dlaczego, kilku dziennikarzy zdjęło kapelusze, choć nie oddali uprzednio tego holdu w stosunku do zamordowanych mężczyzn. Jeńcy sowieccy, zatrudnieni przy rozkopywaniu, patrzą z

ukosa i z zaciekawieniem. Nastaje cisza. Wiatr tylko szarpie oblokami gdzieś w górze i pcha je na północ, jakby czym prędzej chciał nawiać wiosny do tego ponurego kraju. Słychać, jak na odległej stronie kuje dzięcioł. Dziennikarze są przejęci. Niemcy skonsternowani. Jeden z nich poszedł do telefonu polowego, umieszczonego w prowizorycznym baraku.

Wieczorem usiłują zbagatelizować odkrycie i odwrócić uwagę dziennikarzy w innym kierunku.

Władze niemieckie tak dalece zaskoczone i zaniepokojone były odkryciem trupa kobiety w Katyniu, że fakt ten postanowiły przemilczeć i do końca nie ujawniły go w oficjalnych raportach. Zdawało się im bowiem, iż nieprawdopodobieństwo okoliczności, w których kobieta mogła się znaleźć w masie zamordowanych oficerów-jeńców, stanie się odskocznią dla nowych wątpliwości, podważy autentyczność relacji, zaciemni obraz odtwarzanego przebiegu wypadków, które dotychczas „klapowały” tak doskonale, będzie wymagał komentarzy, których Niemcy udzielić nie będą mogli. Bo Niemcy nic o tym nie wiedzieli i wiedzieć nie byli w stanie, że w obozie jeńców polskich w Kozielsku, do wiosny roku 1940, znajdowała się jedna kobieta, porucznik-pilot i że trup jej odnaleziony teraz w grobach katyńskich, nie obala i nie podważa, a przeciwnie potwierdza znane okoliczności!...

Jest jeszcze jeden szczegół, przemilczany przez wszystkie komunikaty propagandy niemieckiej. Szczegół bardzo istotny, i dlatego choć się o nim nie mówi głośno, mówi się po cichu: „gdzie się podziały łuski wystrzelonych naboju pistoletowych? Przecież na ich podstawie ustalić by można, jakiego państwa fabrykacji była broń i amunicja użyta do mordowania?”

Znany jest kaliber broni: 7,65. A nie znana jest marka? Mogło być rzeczą prawdopodobną, że mordercy sprzątl wystrzelone łuski. Ale jest rzeczą nieprawdopodobną, żeby na tyle tysięcy oddanych strzałów nie pozostał na miejscu pewien odsetek tych łusek. Zresztą, czyż eksperci fachowcy nie mogą dojść do jakiegoś wniosku na podstawie kul, które w bardzo wielu wypadkach tkwią jeszcze w czaszkach zabitych i znajduwane są obficie?

Ale Niemcy uparcie milczą w tej sprawie.

Co jest jednak zastanawiające, że i propaganda sowiecka, której uwagi nie mógł ująć brak tak ważnego szczegółu w śledztwie niemieckim, również nie podnosi tego tematu wcale...

Po pierwszej wycieczce dziennikarzy następują dalsze. Niemcy przywożą do Katynia różnych ludzi z całej Europy. Przywożą też z „Oflagów” (oficerskich obozów jenieckich) jeńców oficerów angielskich i amerykańskich. Przywożą grupę oficerów jeńców polskich. Początkowo próbowali ukuć z tego nową broń dla swej propagandy, proponując oficerom polskim wygłoszenie przemówień, odczytów, oświadczeń, nagranie na płyty, nadanie przez radio. Ale Polacy odmówili stanowczo i postawili swoje warunki, pod jakimi zgadzają się pojechać do Katynia: żadnych przemówień, wywiadów, nawet nie ogłaszanie nazwisk. Niemcy zgodzili się i warunków dotrzyмали.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Przywiezieni przez Niemców do Katynia oficerowie-jeńcy angielscy, kanadyjscy i Stanów Zjednoczonych, przyglądają się rezultatom dokonanej obdukcji zwłok.

Oficerowie polscy przywiezieni byli również w kwietniu. Przypuszczali, że mają przed sobą jeden wielki grób. Zmierzyli jego powierzchnię i głębokość. Na podstawie obliczeń doszli do przekonania, iż twierdzenie niemieckie o 10 do 12 tysiącach zwłok jest raczej słuszne. Porucznik pilot Rowiński zrobił nawet odręczny szkic tego domniemanego, wspólnego grobu.²⁴ Niemcy w niczym nie ograniczali ruchów i inicjatywy oficerów przy badaniu zwłok, dokumentów itd. Jeden z oficerów, leśnik fachowy, wszedł do grobu w miejscu, gdzie nad jego krawędzią rosła duża sosna. Zauważył bowiem, iż korzeń tej sosny wypuścił pęd w zwartą masę trupów. Uciał go i po przeprowadzonej ekspertyzie stwierdził:

Zgadza się. Pęd tego korzenia ma najmniej trzy lata.

A więc rok 1940.

Członkowie tych wszystkich wycieczek zapoznawali się z treścią zeznań, złożonych przez świadków, okolicznych mieszkańców, głównie w końcu lutego i w pierwszych dniach kwietnia. Na temat samego wzgórza Kosogory w Katyniu mówili: Kuźma Godunow, Iwan Kriwoziercew, Michail Żygulew.

Zeznali oni, że wzgórze znane jest powszechnie jako miejsce kaźni już od roku 1918. Dokonywano na nim egzekucji jeszcze za słynnej „Czeka”. Od roku 1931 teren został ogrodzony i specjalne

²⁴ Por. pilot Rowiński przybył do Katynia 17 kwietnia, we wstępnym okresie ekshumacji. W swoich notatkach mówi o „przypuszczalnym obszarze pochowania” i „przypuszczalnym... grobie masowym”. I ten właśnie obszar określa w szkicu terenu, zaznaczając 4 wykopane doły, z których dokonywano ekshumacji. (Hearings...) (przyp. wyd.)

tablice przestrzegaly mieszkancow, aby go nie przekraczac. Od roku 1940 Kosogory strzezone byly ponadto przez wartownikow i psy policyjne.

Na temat transportowania i likwidacji jeńców w roku 1940 zeznawal tenze Kriwoziercew, poza tym Matwiej Zacharow, Gregor Silwierstow, Iwan Andriejew, Parfemon Kisielew.

Kriwoziercew widzial w marcu i kwietniu 1940 roku, ze na stacje Gniezdowo przychodzily codziennie pociagi ze Smoleńska w skladzie 3 do 4 wagonow, z zakratowanymi oknami.

Zacharow, który pracowal na dworcu w Smoleńsku, stwierdza przybywanie wagonow z jeńcami w tym samym okresie. Byli to jeńcy w mundurach polskich. Transport jeńców w kierunku stacji Gniezdowo trwal 28 dni.

Silwierstow widzial przybywajace wagony na stacje Gniezdowo, nastepnie wyladowywano z nich jeńców w uniformach. Odbierano od nich bagaz ręczny i wrzucano go na ciężarówkę, więźniow zaś wsadzano do trzech aut więziennych i wieziono w kierunku Katynia. Nieraz auta nawracaly do 10 razy dziennie, kursujac pomiedzy domem wypoczynkowym w Kosogorach i Gniezdowem.

Andriejew widzial w marcu i kwietniu r. 1940 pociagi z aresztowanymi przybywajace na stacje Gniezdowo. Byli w nich polscy żołnierze, ktorzy poznawal po ksztalcie czapki. Wsadzano ich do aut i odwożono do Katynia.

Kisielew opowiada szczegoly, jak wskazal robotnikom polskim w r. 1942 miejsce kazni.

W grupie jeńców oficerow polskich, która zwiedzala Katyn, bylo sporo znajacych jezyk rosyjski i ci mogli swobodnie rozmawiac z wymienionymi świadkami, bez posrednictwa narzuconego tłumacza.

Pierwotne zeznania świadkow, ktorzy twierdzili, ze wzgorze Kosogory od dawna juz sluzyl za miejsce kazni, mogly byc latwo sprawdzone. Totez Niemcy zarzadzili rozkopanie miejsc wskazanych. Natrafiono na 11 grobow, a raczej dolow, ktorych powierzchnia dawno juz zlala sie z powierzchnia lasu. W dolach tych znaleziono zwloki w ubraniach cywilnych. Nie bylo ich duzo. Kilkadziesiat. Wszystkie wskazywaly na ten sam system mordy: strzal w potylicę. Stan rozkladu trupow wskazywal wielka rozpiętosć, co pozwalalo wnioskowac, ze egzekucje dokonane zostaly w roznych latach przed toczaca sie wojna.

Taki byl stan faktyczny w Katyniu, miejscowosci, o której nikt na szerokim swiecie nie slyszal przedtem, ze istnieje, a dzis

wiedziano, ze jest odlegla o 16 kilometrow od Smoleńska, a cztery od stacji Gniezdowo, ze rosna tam sosny, ze wiosna jest zimno jeszcze, ze Dniepr omywa jego lesiste wzgorze, ze stoi tam dom w stylu rosyjskiej „daczy”, który sluzyl za miejsce wypoczynku dla funkcjonariuszow Ludowego Komisariatu Spraw Wewnetrznych ZSSR, a którego fotografie budzily w niektórych dreszcz zgrozy, w innych watpliwosc lub lekcewazacy gest, zaprzeczajacy wszystkim tym rewelacjom.

Przez rozglosnie kontrolowane przez Niemcow na przestrzeni calej bez mala Europy, nadawano nieustannie nowe szczegoly. Radio niemieckie „Transocean” transmitowalo na caly swiat.

W odpowiedzi, propaganda sowiecka zmobilizowala wszelkie srodki, azeby odparowac ostrze twierdzen niemieckich. I Moskwa powtarzala z uporem: „Jeńcy oficerowie polscy wymordowani zostali przez bande katow hitlerowskich w sierpniu-wrzesniu roku 1941”.

Jednoczesnie z tym urzedowym oswietleniem sowieckim, które milczaco i bez komentarzy przyjete zostalo rozglosnie alianckie, szla rownolegla akcja podziemna w okupowanej przez Niemcow Europie. Celem tej akcji bylo obalenie, podwazenie czy chociazby wprowadzenie zametu w twierdzenia niemieckie, zaszczerpienie watpliwosci i podejrzen. Intensywnosc jej dzialania wskazywala wyraźnie na jednolity ośrodek nią kierujacy. A grunt byl podatny. Grunt, który przygotowali Niemcy przeciwko sobie samym. Brutalnosc ich metod, masowe egzekucje w obozach koncentracyjnych, piece krematoryjne, cala ich tupa, nieublagana polityka eksterminacyjna i cynizm programu „Nowej Europy” pod egida swastyki hitlerowskiej – wszystko to razem zmobilizowalo przeciw nim umeczona Europe, o wiele wczesniej zanim zdazyli nadac wiadomosc o potwornej zbrodni dokonanej pod Smoleńskiem. Ludzie wierza zazwyczaj w to, w co chca wierzyc. Propagandzie niemieckiej wierzyc nie chcieli.

Nawet we wschodniej Europie, która tyle wycierpiala pod okupacja sowiecka, w niepamiec juz szly tamte rany, pod ciosami zadawanymi przez okupacje niemiecka.

Ale Katyn byl zbrodnia nieslychana. Mogl naprawde wprowadzic zmianę nastrojow, gdyby jednoczesnie polityka niemiecka zechciala zmienic swe metody dzialania. W obliczu tego zagrozenia, agenci propagandy sowieckiej zdwoili wysilki i nie przebierali w chwytach, byle skutek wypadal na ich korzysc. Rozpuszczano najnieprawdopodobniejsze historie, sprzeczne nawzajem i sprzeczne nieraz z urzedowym stanowiskiem sowieckim, byle w ogolnym zamęcie wytworzyc stan zwatplienia w autentycznosc sledczych rezultatow katynskich.

Pewnego kwietniowego dnia tego roku, dnia, który był tak ciepły, jakby był letnim, przyszedł do mnie na werandę człowiek z pobliskiej wsi i jak przystało na rolnika, zaczął rozmowę od pogody. Gdyśmy następnie przeszli na, nieunikniony w tym czasie, temat aktualnych wypadków, zapytał:

– Czy to może być prawdą, co ludzie gadają, że Niemcy jeżdżą do każdej rodziny, o której dowiedzą się, że miała krewniaka w obozie w Kozielsku, spisują jego dane, żeby później mieć kogo ogłosić na liście, niby to zabitych w Katyniu? A tam, tam – wskazał ręką na wschód – podobno żadnych grobów i nie ma...

– Kto to panu mówił...

– Ot, ludzie gadają...

Innym razem gadali, że z obozów koncentracyjnych w Oświęcimiu przywieziono do Katynia trupy i ubrano je w mundury polskie.

Trzecim razem, że to Niemcy rozstrzelali jeńców, ale sowieckich.

Czwartym znów, że to rozstrzelani Żydzi.

Trzeba zwrócić uwagę, że każda z tych wersji obalała jednocześnie wersję sowiecką. Ale po pierwsze, ta ostatnia mało była znana pod okupacją niemiecką, ze względu na konfiskatę odbiorników radiowych, po drugie na terenie polskim nieszczególnie nadawała się do kolportowania... Zbyt dużo tu jeszcze, mimo wszystko, pamiętano, no, a poza tym... listy! Dlaczegoż, skoro by żyć mieli jeszcze pod Smoleńskiem, aż do sierpnia 1941 roku, wszelki śluch i ślad po nich zaginął, właśnie od wiosny roku 1940?!

Nie, ludzie kiwali głową i znowu zaczęli wierzyć w wersję niemiecką.

Ale agenci propagandy sowieckiej nigdy się prawie nie demaskowali jako tacy. Taktyką, nakazaną im zresztą z góry, było przenikanie do narodowych organizacji podziemnych. Stąd o wiele łatwiej i skuteczniej było im działać. Zwłaszcza przenikali do organizacji podziemnych tych państw, okupowanych przez Niemców, które sąsiadowały z Rosją, a które w planach imperialnej polityki Związku Sowieckiego miałyby być doń włączone po zwycięskiej wojnie.

Pewnej niedzieli usłyszałem wiadomość, że kolega mój, rotmistrz Konstanty Anton, z 4 pułku ułanów, uwięziony w Kozielsku i figurujący następnie w niemieckich spisach ofiar katyńskich, które były systematycznie ogłaszane – żyje.

– Ależ żyje, naprawdę! – mówiono. – Niech pan sprawdzi. Żona jego otrzymała list z Turcji. Znajduje się w armii polskiej na Bliskim Wschodzie.

Po tygodniu mówili już o tym wszyscy w okolicy i w mieście. Ja, który byłem w Katyniu i widziałem na własne oczy procedurę identyfikacji, z początku odniosłem się do wersji sceptycznie, wobec jednak jej uporu sam uwierzyłem, sądząc że Anton być może zamienił z kimś swe dokumenty. Ale nikt, w tej liczbie ja sam, nie poszedł sprawdzić do żony, która miała rzekomo ten list otrzymać. Trzeba znać psychologię, żeby operować w biały dzień takimi chwytami. Bolszewicy ją znają: każdy powtórzy, nikt nie sprawdzi. Sprawdziłem dopiero trzy lata później, we Włoszech. Dowiedziałem się, że Anton zginął z Kozielska bez wieści. Nigdy nie był w armii polskiej na Wschodzie, żona jego nie mogła nigdy odeń otrzymać listu, via Turcja...

W Warszawie ukuto taka plotkę: „Pewna pani, przeczytała w wykazie niemieckim nazwisko swego męża, jako ofiary katyńskiej zbrodni, podczas gdy w rzeczywistości aresztowany był przez Niemców i wywieziony do Oświęcimia. Poszła tedy („głupia!”) do Gestapo i... nie wróciła nigdy!” To już było sprytniej: tej wersji nikt nie mógł sprawdzić. I choć nikt też nie znał, ani nazwiska tej rzekomej pani, ani jej adresu, ani żadnych innych szczegółów, mityczny ten wypadek obleciał całą Polskę i powtarzany był jako autentyczny, z ust do ust. Oczywiście, była to nieprawda, gdyż po ostatnim sprawdzeniu, ani jedna osoba figurująca w spisie ofiar katyńskich, od roku 1940 nie była widziana nigdzie.

Ale chwytaly takie plotki. Nie tylko w szerokim świecie, ale nawet w Polsce, gdzie mimo iż ogólnie zdawano sobie sprawę z prawdopodobnego przebiegu tragedii – daleko jeszcze było do całkowitej pewności losu, jaki spotkał zaginionych jeńców.

MOJE ODKRYCIA W KATYNIU

Gazety znalezione ustalają datę mordu. Nie 10 i 12 tysięcy, a ... cztery! Tajemnica lusek się wyjaśnia. Żydzi świadczą...

W drugiej połowie kwietnia, krytycznego 1943 roku, mieszkałem w dalszym ciągu w swym małym, wiejskim domku, w odległości 12 kilometrów od Wilna i do miasta przychodziłem piechotą i rzadko. Za czasów okupacji sowieckiej zmieniłem swój zawód dziennikarza i literata na bardziej odpowiadający warunkom – zostałem mianowicie furmanem ciężarowego wozu. Za czasów okupacji niemieckiej siedziałem cicho na wsi i nie byłem niepokojony, jakkolwiek władze niemieckie nie mogły oczywiście nie wiedzieć o mojej egzystencji.

Na jakiś tydzień przed Wielkanocą, sprzedawałem na rynku w Wilnie palto letnie i tu spotkałem dawnego swego kolegę. Pracował on w charakterze akwizytora ogłoszeniowego w administracji wydawanego przez Niemców pisma w języku polskim, stąd miał kontakty i wiadomości często z pierwszej ręki.

Było ciepło. Wiosna. Podmuchy południowego wiatru wzniosły rtęć w termometrach. Ludzie wyszli bez watowanych palt, ale już bez tej nadziei na rychły koniec cierpień, jaką przywiązywano dotychczas do każdej, corocznej wiosny. Właśnie przeżywano wrażenia i komentarze do straszliwej, nowej zbrodni, odkrytej pod Smoleńskiem. – Poza tym wlokło się życie przygnębiające, głodne, biedne, raczej apatyczne. Ale mój znajomy błysnął oczyma na mój widok, łatwo było poznać, że z jakiegoś wewnętrznego podniecenia. Zaraz też, chwytając za guzik palta, które trzymałem w ręku, rzekł mi głosem przyciszonym:

– Od wczoraj telefonuje Klau. Werner Klau, szef biura prasowego przy Gebietskommissariat Wilna-Stadt, dopytuje, czy ktoś z pracowników nie zna przypadkiem twego adresu. Chcą cię zaprosić do Katynia.

Ktokolwiek się zetknął z organizacją podziemną w okresie panowania Gestapo, wie, jak bardzo utrudnione były kontakty wewnętrzne, ile czasu marnowało się nieraz w oczekiwaniu na porozumienie. Ze słów usłyszanych rozumiem od razu, że wyjazd do Katynia jest rzeczą pierwszorzędnej wagi, ale nie chcę tego czynić

²⁵ bez uprzedniego skontaktowania z władzami organizacji podziemnej. Mówię tedy:

– To bardzo dobrze. Mój drogi, postaraj się zawiadomić tego Klaua, że sam podejmujesz się mnie odszukać w ciągu trzech dni. Niech mnie nie szuka sam. Ja tymczasem te trzy dni wyyskam...

– Rozumiem.

„Jadzi”, łączniczki mojej z osobą zastępcy Komendanta podziemnej organizacji wojskowej, naturalnie nie ma tam, gdzie powinna być – w małej jadalni, mieszczącej się w suterynie, wzruszają tylko ramionami. „Roman”, zecer podziemnego pisma, oficjalnie kelner innej jadalni, z którym mam stały kontakt, jest co prawda na miejscu, ale nie może zapewnić natychmiastowego połączenia.

– Postaram się... – odpowiada.

„Zygmunt”, w hierarchii konspiracyjnej bardziej eksponowany, jest właśnie śledzony i musi zachowywać ostrożność, której zresztą nie zachowywał. W trzy miesiące później zawisł na własnych skarpetkach w celi więzienia śledczego Gestapo, nie wytrzymał tortur, zadawanych przy badaniu.

Okoliczności te nie mają oczywiście żadnego związku bezpośredniego ze sprawą Katynia, której poświęcona jest niniejsza książka, charakteryzują jednak nie tylko duże, ale i małe trudności, jakie w nieskończonym splecie piętrzyły się na drodze do wyjaśnienia prawdy. Po trzech dniach okazuje się, że wyjechał „komendant” i jest tylko jego zastępca.²⁶ Zanim zastępca komendanta dał wyraźny rozkaz: „jechać”, upłynął już dzień piąty i dopiero popołudniu szóstego, mogłem zasiąść w wygodnym fotelu przed biurkiem szefa niemieckiego biura prasowego.

Werner Klau, sam były dziennikarz berliński, przyjmuje mnie uprzejmie. Żadnych zobowiązań, żadnych podpisów, przymusu, deklaracji. Po prostu:

²⁵ W oryginale autor przekreślił dalszy ciąg zdania: *szlusznie, czy nieszlusznie, dziś wydaje mi się raczej... nieszlusznie*. Jednak pierwodruk tego fragmentu w piśmie „Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 10 (19 stycznia) – zawiera te słowa, zakończone wykrzyknikiem. (przyp. wyd.)

²⁶ W oryginale autor skreślił zdania: „Natomiast zdania różnych dygnitarzy podziemnych są podzielone. Jedni twierdzą, że jechać należy, inni, że byłaby to obraza naszego „sojusznika” i wpadanie na prowokację niemiecką.” (przyp. wyd.)

– Pan pojedzie i zobaczy.

Myli się jednak, kto sądzi, że machina administracyjna niemiecka pracowała sprężysto. Każdy totalizm zwiększa biurokrację i komplikuje rzeczy najprostsze. Mija więc jeszcze trzy tygodnie zawilej korespondencji pomiędzy Ostministerium w Berlinie, dowództwem frontu, Gestapo. Ja czekam.

W międzyczasie odnajduję b. profesora Uniwersytetu Wileńskiego, największy w Polsce autorytet w dziedzinie medycyny sądowej, dr Sengalewicz. Proszę, niech mnie przygotuje teoretycznie do rzeczy, które mam oglądać na własne oczy.

Profesor ściąga z półek wielką ilość książek. Pokazuje ilustracje. Tłumaczy i konfrontuje z wiadomościami, jakie dotychczas wyczytał w gazetach niemieckich na temat stanu trupów w Katyniu.

– Jeżeli gleba tam jest rzeczywiście gliniasto-piaszczysta, wytwarza częściową konserwację zwłok, znaną w medycynie pod nazwą „tluszczowosku”. Na pozór żadnych sprzeczności, ani zagadek w komunikatach niemieckich nie dostrzegam. I jeszcze jedna rzecz ważna: kieruje pracami ekshumacyjnymi i całokształtem badania, jak to wynika z gazet, profesor Uniwersytetu Wrocławskiego, dr Buhtz. To jest mój kolega jeszcze z czasów akademickich. Zupelnie prywatnie zapewnić pana mogę, że po pierwsze, jest to uczony na miarę europejską w tej dziedzinie, po drugie człowiek niewątpliwie uczciwy, który w żadnym wypadku nie położyłby swego podpisu pod sfałszowaną ekspertyzą. Niech pan z nim porozmawia, powołując się na moją z nim starą zażyłość.

– Dziękuję. A czy pana profesora nie zastanowił w komunikatach niemieckich fakt, że brak w nich jakiegokolwiek wzmianki o znalezieniu i pochodzeniu łusek, od wystrzelonych pocisków pistoletowych, którymi mordowani byli nasi oficerowie?

– Ach, właśnie! Zauważyłem. O tym chciałem powiedzieć. Przecież zabezpieczenie łusek należy do najkardynalniejszej podstawy każdego śledztwa w morderstwie, popełnionym z broni palnej. Nie rozumiem, dlaczego się o tym nie pisze...

Dopiero w drugiej połowie maja 1943 roku, wlecze nas poprzez powietrze pudło starej niemieckiej „JU 88”, samolotu o typie przestarzałym. Leci dwóch dziennikarzy portugalskich, jeden dziennikarz szwedzki. Z Warszawy Niemcy wyekspediowali ekipę dziesięciu robotników fabrycznych, ażeby się przekonali na miejscu i opowiedzieli rodakom. To są ich chwytły propagandowe, stosowane już od dłuższego czasu. Towarzyszy nam oficer Wehrmachtu, b.

attaché niemiecki w Tokio, będący łącznikiem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych. W takim składzie przedzieramy się przez chmury, wskutek nagłego oziębienia ociężałe gradem, śniegiem, deszczem. Wiatr dmie teraz z północnego wschodu, a więc w łeb maszyny. Podróż trwa długo, bardzo długo, ponad krajem zrujnowanym wojną. Myśliwce sowieckie polują o tym czasie w pasie przyfrontowym. Trzeba uważać. Jest źle, niewygodnie siedzieć w tej maszynie, przeznaczonej dla spadochroniarzy, mdło. Gdy lądujemy za Dnieprem, termometr wskazuje zaledwie 3 stopnie powyżej zera, pada drobny deszczyk.

– To dobrze – mówi oficer niemiecki.

– Dobrze, dlaczego?

– W ciepło panowie by nie wytrzymali przy grobach katyńskich.

Wszystko jest wokół rude od gliny, cegieł rozwalonych domów, rdzy, która rzuciła się na pobojowisko polamanych wozów, armat, czołgów i wszelkiego rodzaju żelazniwa, od spalonych łasków i całej tej zgnilizny, którą każda wojna pozostawia za sobą i wokół siebie. Ludzi cywilnych mało. A tam gdzie ich widać, obdarci są i bojaźliwi. Znając życie sowieckie, nie dziwię się temu, że każdy z mieszkańców Smoleńska stara się mówić jak najmniej, a jak najwięcej wrzuszać ramionami. Ale dziennikarzy zagranicznych to dziwi:

– Jak to! Oni, tu w Smoleńsku, w odległości 16 kilometrów od masowej zbrodni, nic o niej mieliby nie słyszeć?!

Obywatel smoleński stoi ponury i patrzy w ziemię usianą szkłem rozbitych okien, gruzem własnych domów i ma swoje myśli w głowie.

Ja się uśmiecham w zakłopotaniu, jakbym był współwinnym tych stosunków, panujących w Europie wschodniej. Rosjanin podnosi głowę i rozumiejąc mnie po wyrazie twarzy, uśmiecha się również blado, tak blado, jak to niebo zawieszzone nad krajem.

Plan sytuacyjny jest taki: na zachód od Smoleńska prowadzi linia kolejowa w kierunku Witebska, przez stację Gniezdowo. Mniej więcej równolegle biegnie szosa. Do tej stacji przywożeni byli jeńcy polscy w roku 1940, na wiosnę, to nie ulega już żadnej wątpliwości i przez nikogo nie jest kwestionowane. W Gniezdowie ich wyładowywano. Szosa biegnie dalej przez Katyń. Z Gniezdowa do lasu katyńskiego około 4 kilometrów. Po bokach wilgotne łaski, wyręby, na których wyrosły już pojedyncze brzoźki, olszyna. Wzrok mija je obojętnie, ślizgając się po mokrych badyłach, gałęziach, strzeli-

stych prętach jakichś krzaków. I tylko myśl pobudzana wyobraźnią kołuje po tej szosie do wtóru obracających się opon: „Tędy, tędy jechali ci ludzie”.²⁷

Raptowne zahamowanie przed bramą i druty kolczaste przecinają pasmo wyobraźni. Wszystko staje się naraz realne. Żandarm, z blachą na piersi. Deszczyk, który wciąż kropi. Ociekające sosny. Ptaszek, który słusznie o tej porze domaga się wiosny: „tiń-tiń-tiń!” A ponad tym wszystkim, straszliwy, dławiący odór trupi. Takim powietrzem nie oddaje żaden las na świecie i chciałoby się nagle krzyknąć: – Boże! co oni zrobili z naszej przyrody!

[dwa zdjęcia w oryginale, z opisem:]

[1] Droga do prac ekshumacyjnych, przy nie opróżnionych jeszcze grobach, prowadzi pomiędzy koszmarnie szeregi już wydobytych trupów, oczekujących swej kolejki na identyfikację i zbadanie.

[2] Przy rewizji zwłok: autor niniejszej książki (po środku) przegląda gazety i dokumenty wydobyte z kieszeni trupów. Obok dr Wodziński (z opaską Czerwonego Krzyża). Z prawa i lewa, członkowie polskiej delegacji robotniczej. Na prawo, w drugim szeregu, dziennikarz szwedzki (w okularach). [zdjęcie zamieszczone na odwrotnej stronie okładki niniejszej książki]

W chwili, gdy przybyłem do Katynia, rozkopano już wszystkie siedem grobów. Niektóre zostały opróżnione. Inne zastałem jeszcze w trakcie prac ekshumacyjnych, ale raczej na ukończeniu. Rzeczą pierwszą, która się rzuciła w oczy, było zaśmiecenie lasu wokół dołów już opróżnionych. Skąd zaśmiecenie to pochodziło, wyjaśniło się niebawem i jednocześnie naprowadziło mnie na najważniejsze odkrycie.

Ażeby uplastyczyć jego doniosłość, należy pokrótce przedstawić metodę prac ekshumacyjnych. Ogólne kierownictwo spoczywało w rękach niemieckich oczywiście. Ale bezpośrednie roboty wykonywane były przez wspomnianą już uprzednio ekipę Polskiego Czerwonego Krzyża, na czele której stał dr Wodziński z Krakowa. Do swej dyspozycji miał robotników zarówno wołnego najmu spośród mieszkańców okolicznych, jak też przydzielonych jeńców sowieckich. Trupy wydobywane z dołów śmierci układano szeregami na ziemi. Z szeregów brano po jednym, celem dokonania oględzin i zrewidowania. Mundury były przeważnie w dobrym stanie, rozpoznawało się nawet gatunek materiału, jedynie odbarwione. Wszystkie części skórzane, w tej liczbie buty, robiły na pierwszy rzut oka wrażenie gumowych. Ponieważ z reguły, każde zwłoki sklezione były niejako sokiem trupim, lepkim, strasznym, cuchnącym, więc o roz-

²⁷ W oryginale fragment skreślony: „w taką samą czy podobną wiosnę. Co myśleli. Co mówili, szeptali?” (przyp. wyd.)

pinaniu kieszeni, ani tym bardziej ściąganiu butów, mowy być nie mogło. Manipulacja odbywała się tedy w ten sposób, że specjali robotnicy, w obecności dyżurnego delegata Polskiego Czerwonego Krzyża, rozcinali nożami kieszenie i cholewy butów, bo w tych ostatnich też znajdowano nieraz ukryte różne przedmioty. Wszystko znalezione wydostawano na światło dzienne. Wszystko, co mogło stanowić wartość dowodową, pamiątkę dla rodziny, wskazówkę przy identyfikacji lub wartość materialną (dokumenty osobiste, legitymacje, pamiętniki, notatniki, listy, fotografie, medaliki, książeczki do nabożeństwa, kwity, medale, ordery, pierścionki itd.) składane było do specjalnie na ten cel przygotowanych kopert, zaopatrzonych kolejnym numerem. Także numer ewidencyjny przyczepiano następnie do zwłok, które o ile nie wykazywały specjalnego interesu dla ekspertyzy medycznej, odkładano zaraz do innego szeregu. Potem grzebano je w nowych, wspólnych mogiłach. Ale...

[dwa zdjęcia w oryginale, z opisem:]

[1] Typowa zawartość kieszeni zamordowanego: znak rozpoznawczy, karta pocztowa, banknoty polskie, skórzana sakiewka do tytoniu, portmonetka, kawałek zielonego ołówka, resztki gazety, paszport, pudełko sowieckich zapalek, grzebyk itp.

[2] Po oczyszczeniu zewnętrznym: naramienniki, polskie banknoty stużłotowe, odznaki, łańcuszki, monety, medale, ordery i krzyże wojskowe. Wszystkie przedmioty łatwe do rozpoznania. Napisy na banknotach czytelne.

Co się działo z resztą przedmiotów?

Człowiek żyjący, żyjący nawet w warunkach tak ograniczonego bytowania, jakim były obozy sowieckie, użytkuje masę przeróżnych drobiazgów. A więc szczoteczki, grzebyki, zapalaki, cygarniczki, jakieś pudełko, tytoń, papierosy, ołówki, żyletki, lusterka, portmonetki, bo ja wiem... na pamięć mi już nie przychodzi to wszystko biedne, skurczone, na wpół zgniłe... U jednego w mojej obecności wydobyto nawet pudełko prezerwatywów, z wyraźnym nadrukiem fabryki, i ten wstydlivy, intymny przedmiot jego życia, ogołocony tu, w tym potwornym lesie, w smrodzie i śmierci, w obliczu tragedii, u człowieka, którego czaszka przebita była kulą na wylot, wydawał się czymś straszliwie ludzkim, na tle tej nieludzkiej zbrodni. Do masy tych rzeczy dochodziły banknoty polskie, nie będące już w obiegu, a więc bezwartościowe. Znajdowano je nieraz w całych plikach. To wszystko wyrzucano z miejsca precz, w las, na jego podszycie liści borówkowych, wrzosu, czernic, na mech, pod krzaki jałowców. Ale łącznie z tym wyrzucano coś jeszcze:

gazety.

Wprawdzie zarówno Komisja ekspertów międzynarodowych (patrz Załącznik nr 12), jak późniejsze sprawozdanie sekretarza

Geheime Feldpolizei, VoBa (patrz Załącznik nr 14) i dr Buhtza (patrz Załącznik nr 15), słusznie zwracają uwagę na daty znalezionych przy zwłokach gazet, nie uwzględniły ich jednak w tym stopniu, na jaki zasługują, z punktu interesu dowodowego i rozwiązania zagadki:

Kiedy dokonano mordu? a więc: kto?

Zachowano kilka gazet, jako eksponaty, resztę rzucono w las. Ale w większości wypadków nie były to całe gazety. W większości wypadków były to części gazet. Papier gazetowy stanowi dla człowieka biednego, jakim jest jeńiec, materiał nieraz niezbędny dla licznych celów. Tak więc zastępuje brak portfela, portmonetki i w ogóle służy do opakowania przeróżnych przedmiotów, które się nosi w kieszeni, worku czy plecaku; zastępuje bibulkę do palenia, wkładki do butów, nawet ciepłe skarpetki itd. Otóż tych strzępów gazetowych, obok całkowitych lub części gazet, rozrzuconych po lesie, jako rzeczy bezwartościowych, była masa.

Oberleutnant Slowentchik, który nas oprowadzał, powiedział zataczając gestem ręki po lesie, ponad wrzosem i rozkopanymi dolami:

– Możecie sobie panowie brać stąd, na pamiątkę, wszystko, co wam się podoba.

Pochylony przerzucałem kawalkiem patyka w tych strzępach przesiąkniętych trupim odorem. I ja też nie od razu zwróciłem należytą uwagę na skrawki gazet. Dopiero gdy następnie udałem się na miejsce właściwej rewizji zwłok, dokonywanej przez dr Wodzińskiego, gdy raz i drugi z kieszeni trupa wydobyto przy mnie, gazetę... trzeci i piąty raz, i każda z datą: marzec-kwiecień 1940 roku – pojąłem siłę przekonywającą tego faktu. „Głos Radziecki”, sowiecka gazeta po polsku, przewijała szczególnie często pośród innych pism w języku rosyjskim. „Głos Radziecki”! Dziś mogę potwierdzić zeznanie porucznika Młynarskiego, który konstatował, że obozy jeńcze w r. 1940, specjalnie tą gazetą były obsyłane... Daty zaś nie budziły wątpliwości. Tu zaznaczyć muszę, że wszelki druk zachował się w grobach stosunkowo najlepiej. Niektóre z gazet wykazywały doskonałą wyrazistość, przebijając mniej więcej tak wyraźnie, jak przebijają litery drukowane poprzez normalnie zatłuszczoney papier.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Gazety wydobyte z grobów, w ich typowym stanie i wyglądzie.

U góry: „Głos Radziecki”, pismo komunistyczne w języku polskim, z dnia 28 kwietnia 1940 roku.

U dołu: dwa numery sowieckiej gazety „Raboczij Put” z dnia 1-go i 6-go maja 1940 roku, wydobyte z grobu nr 8. (patrz rozdział następny)

Wróciłem, wciąż z chustką przytkniętą do nosa, wyrzygałem się dyskretnie za pniem grubej sosny i znów grzebać począłem patykami w strzępach papierów porzrzucanych po lesie. Tam gdzie skrawki gazet nie wykazywały daty, odczytywałem ustępy depesz, opisy zdarzeń, z których wyraźnie wynikało, że dotyczą pierwszych miesięcy roku 1940. Nie późniejszych.

– „Więc nie ulega wątpliwości”. – Musiałem to mimo woli powiedzieć głośno, bo nachylony obok mnie robotnik z Warszawy zapytał:

– Co? – Zresztą uniósł dużą paczkę sklejonych banknotów stużłotowych, która pochłonęła jego uwagę.

Nie odpowiedziałem, zajęty całkowicie porządkowaniem swych rozważań.

Gazety w takiej ilości nie mogły przecie przetrwać w kieszeniach zamordowanych w ciągu półtora roku, gdyby jak chce wersja sowiecka, jeńcy żyli jeszcze w sierpniu roku 1941. Gazeta, nawet wroga, jest dla jeńca źródłem informacji, na które specjalnie jest łapczywy. Wobec tego przechowywanie starych gazet byłoby zupełnym absurdem i nonsensem, zwłaszcza w obliczu tak doniosłych wypadków, jakie przynosił każdy dzień toczącej się wojny światowej. A cóż dopiero wobec wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej, która w sposób bezpośredni mogła wpłynąć na los jeńców. No, zresztą, co tu dużo gadać, nonsensem i koniec! Zaś jako materiał użytkowy, do opakowań, do wkładek, do bibulki, przetarłyby się i zniszczyły, nie wytrzymałyby tego czasu. Tak, stare gazety nie mogły być przez nich przechowywane. Musieliby mieć nowsze. A takich, z datą późniejszą: nie było wcale.

Data zatem tych gazet, znalezionych przy zwłokach, tak biorąc na zdrowy rozum, uczciwie – wskazuje jednocześnie na nie ulegającą wątpliwości datę mordu: wiosna roku 1940. Chyba...

Chyba żeby istniała możliwość, przed publicznym pokazem tych trupów, dokonania w tajemnicy szczegółowej rewizji w ich kieszeniach i usunięcia gazet z datą późniejszą. Ale jak widzimy, nie wystarczyłoby samo usunięcie gazet późniejszych. Należałoby zapoznać zwłoki w gazetę z daty wcześniejszej. Wynikałoby zatem, iż Niemcy, kalkulując w tak niesłychanie skomplikowany sposób, jak to chce wersja sowiecka, musieliby zdobyć, zakupić czy w inny sposób uzyskać setki i setki gazet sowieckich, właśnie z marca-kwietnia 1940 roku i...

Wróciłem znowu na krawędź grobu. skąd wciąż jeszcze wydobywano zwłoki.

– Jest panu niedobrze? – zapytał Szwed.

Potrząsnąłem głową i patrzyłem. Przede mną rozwarły dół, a w jego czeluści, warstwami, ciasno, jak sardynki w pudełku, trupy. Mundury, płaszcze, mundury polskie, pasy, guziki, buty, zwichrzone włosy na czaszkach, usta poniekąd wpółotwarte. Właśnie przestał mżyć deszczyk i blady promień słońca jał się przepychać poprzez koronę sosny. „Tiń-tiń-tiń!” – zawołał ucieszony ptaszek. A promień padł w grób i na sekundę blysnął na złotym zębie otwartych ust jakiegoś trupa. Nie wybili mu jednak... „Tiń-tiń-tiń!” Straszne. Ręce i nogi nawzajem splecione, wszystko uciśnięte jak walcem. Poszarzale, martwe, szereg za szeregiem, setka za setką, niewinni, bezbronni żołnierze. Krzyż *Virtuti Militari* widać na samym przedzie. Głowa odwalona pod but kolegi. Tamten leży twarzą w dół. Ten jest jeszcze w czapce. Wyjątek. A tam dalej wszyscy w płaszczach i nie rozpoznać w tej lepkiej masie indywidualnych kształtów. Właśnie: masa, słowo tak ulubione w Sowietach.

– Odejdźmy stąd! – znów mówi Szwed, młody sympatyczny chłopak. – Pan jest strasznie blady. Tu naprawdę wytrzymać nie można. – Zdjął okulary, wytarł pot, choć było zimno.

Chwileczkę.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Tak, oto leżą w grobie... „Warstwami, ciasno, jak sardynki w pudełku... Wszystko uciśnięte jak walcem... Ubita masa trupów, ściśnięta, sklejona nawzajem trupim sokiem, zlutowana niejako wzajemnie...”

Ubita masa trupów jest do tego stopnia ściśnięta, sklejona nawzajem trupim sokiem, zlutowana niejako, że robotnicy, którzy schodzą w dół w moich oczach, aby wydostać kolejne zwłoki, muszą je bardzo ostrożnie podważać, a później siłą nieomal odrywać od pozostałej masy.

Nie! To niemożliwe! Żadna ludzka siła, żadna technika nie byłaby w mocy zrewidować, przeszukać, poodpinać kieszenie tych trupów, wyjąć z nich jakieś przedmioty, poukładać inne, ułożyć z powrotem, pozapinać, ucisnąć warstwa za warstwą! Domyślić się, aby niektórym pozawijać coś w specjalnie dobrane co do daty strzępy gazet, porobić im wkładki do butów!... Innemu wsadzić do kieszeni machorkę zawiniętą w „Głos Radziecki”, właśnie z 7 kwietnia 1940 roku!... Absurd. Zasypać na nowo i po miesiącu (tak chce wersja sowiecka, patrz: część II) odkopywać i pokazywać ekspertom, ubiegać się o udział Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w śledztwie!

A więc jednak nie ulega wątpliwości: zbrodni mogli dokonać tylko bolszewicy.

Przy zwłokach w Katyniu znaleziono około 3.300 listów i kartek pocztowych otrzymanych przez jeńców od rodzin w kraju, a kilka napisanych i nie wysłanych do kraju. Ani jeden z tych listów, ani jedna z tych kartek nie posiada daty późniejszej niż kwiecień 1940 r. Potwierdzają to rodziny w kraju, których korespondencja uległa raptownemu przerwaniu w tym czasie. Bolszewicy mogliby odpowiedzieć, że dla jakichś przyczyn zabronili jeńcom korespondować. Tego nie twierdzą, bo brak im ku temu uzasadnienia. Ale mogliby tak twierdzić – bez uzasadnienia. Natomiast w stosunku do gazet nie mają żadnego wytłumaczenia, żadnego, które by licowało ze zdrowym rozsądkiem ludzkim.

Praca postępuje naprzód. Zwłoki oderwane od masy idą na nosze, później do szeregu. Stamtąd znów na nosze i do oględzin. Jeden za drugim, jeden za drugim. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu, tysiące... Ile tych tysięcy?

Dokonanie tego drugiego odkrycia nie wymagało w istocie większego wysiłku, ze względu na dobiegające końca prace ekshumacyjne.

Nadmienić tu muszę i to z całym naciskiem, że Niemcy, wpuściwszy nas na teren właściwych dołów, dali kompletną swobodę ruchów, oglądania czego się chce, rozmawiania z kim się chce.

W chwili, gdy młody człowiek z opaską Czerwonego Krzyża na ramieniu, w ciemnych okularach, Polak, którego wziąłem za asystenta dr Wodzińskiego, a którego nazwiska nie znam do dziś dnia, szedł w kierunku jednego z grobów, rozkazując coś robotnikom, zbliżyłem się doń wprost i ująłem z lekka za rękę. Wszystko tu śmierdziało trupem. Las i pojedyncze drzewa, piasek, trawa, krzaki i żywi ludzie. Przede wszystkim powietrze, którym się oddychało. Zapewne też człowiek, którego zaczępiłem, przesiąknięty był trupim odorem od stóp do głowy i w ten sposób nie wyróżniał się niczym, a ciemne okulary czyniły twarz jego bardziej nieprzeniknioną od innych, ale poddałem się intuicji.

– Co tu jest nie w porządku? – zapytałem.

Odciągnął rękaw i odparł ostro:

– Co ma być nie w porządku?

– Coś, czego Niemcy nie ogłaszają w swych komunikatach... – I jednocześnie jednym tchem powiedziałem kim jestem, skąd i po co tu przybyłem.

Ciemne okulary zmierzyły mnie z wyrazem, którego oczywiście odgadnąć nie mogłem.

– Pan rozumie, że ja muszę wiedzieć – dodałem.

– Tak. Przede wszystkim fałszywa liczba.

Odjąłem od ust chusteczkę i trupi swąd uderzył mnie ze zdwojoną siłą. Wówczas, gdy toczyła się ta rozmowa, cyfra 10 do 12 tysięcy zwłok nie była kwestionowana. Niemcy ją podtrzymywali z uporem w każdym komunikacie.

– Jak to... nie ma tylu?

– Ale skąd! – wzruszył ramionami. – Odkopaliśmy wszystkich razem 7 grobów. Tu, jak pan widzi, leżą jeszcze nie tknięte warstwy trupów, ale dosięgliśmy już dna onegdaj. Tam, o, w wodzie podskórnej, w tym małym grobie, gdzie pływają takie zzieleniałe zwłoki, jest może jeszcze z pięćdziesięciu. Zaraz panu powiem: w przybliżeniu może, może dociągniemy do 4 tysięcy i 500 zwłok, ani jednego trupa więcej.

– Więc dlaczego Niemcy podali taką wygórowaną cyfrę?

Ruch, który uczynił, nie był nawet wzruszeniem ramion, raczej nerwowym tikiem:

– Załgali się. Teraz nie mogą się wycofać z obawy kompromitacji. Po drugie, może słyszeli, że nam tylu brakuje. Pan pewnie wie?

Przytaknąłem.

– No więc. Czynią rozpaczliwe wysiłki, rozkopują całe wzgórze, żeby znaleźć więcej, ale znajdują tylko pojedyncze, stare kościotrupy cywilnych Rosjan.²⁸

– Więc gdzie ta reszta?... – zapytałem machinalnie, jakbym mógł się spodziewać odpowiedzi, jakby on, człowiek w ciemnych okularach, mógł wiedzieć coś więcej ode mnie w tej sprawie.

– Bbba...! – i rozłożył ręce. Jedna z nich w tym ruchu zawisła nad grobem, druga wskazywała barak, kolo którego grzali się przy ognisku robotnicy. Rozumiał jednak pewnie tak samo jak ja, że obejmuje przestrzeń od Oceanu Lodowatego po pustynię azjatyckie, a więc obszar ogromny.

Gdzie reszta? Dziś wiemy już, że pytania tego rząd sowiecki pragnie uniknąć za wszelką cenę i dlatego uczepił się kurczowo fał-

²⁸ W oryginale zdanie skreślone: „Tego nam jednak rozgłaszać nie wolno.” (przyp. wyd.)

szywej cyfry, podanej przez propagandę niemiecką. Ale wówczas, w maju roku 1943, była to jeszcze rewelacja.

– A niech pan zapyta profesora Buhtza o liczbę – dodał nagle mój rozmówca. – Tak wprost. To zdaje się przyzwoity człowiek, ciekawe jestem, co panu odpowie.

W pół godziny potem, przedstawiłem się profesorowi Buhtzowi i powołując na prof. Sengalewicza, zapytałem:

– Wiele pan profesor oblicza trupów?

– O! to jest rzecz jeszcze dokładnie nie obliczona... – odpowiedział mi najuczciwiej, jak mógł odpowiedzieć oficer niemiecki, którego pogląd pozostawał w oczywistej kolizji z oficjalną propagandą.²⁹

W Katyniu ogniska, przy których grzeją się robotnicy, mają dwojakie przeznaczenie. Dają ciepło i dym, który choć na chwilę przegania trupie powietrze, jak gdzie indziej odpędza komary. Dlatego widać przy nich ludzi, którzy poddając się jego działaniu, mają zalawione oczy. Tam stoi właśnie słynny już dziś staruszek, Parfen Kisielew, pierwszy, który wskazał miejsce zbrodni. Inni spośród okolicznych mieszkańców, którzy świadczyli, a dziś zatrudnieni są przy robotach ekshumacyjnych, siedzą w kucki, niechętnym wzrokiem obrzucając „gości”. Ja ich rozumiem. Znowu i znowu mają opowiadać przez tłumacza, aż do znudzenia. Rzygać się im prawdopodobnie chce, nie tylko od wiecznego smrodu, ale i od tych ciągłych powtarzań, jedno i to samo w kółko. Co są temu winni, że widzieli! No widzieli, rzeczywiście, jak jechały auta więzienne, jak wracały po nowe partie jeńców. Jak znikwały wszystkie tu właśnie, w Kozich Górach, a były naładowane na rampie stacji Gniezdowo. Twarze ich ożywiają się znacznie, gdy bez tłumacza zwracam się do nich płynną ruszczyzną.

– Wy co, będziecie Rosjanin?

– Nie, Polak.

– Aaaa...

– To lepiej czy gorzej?

Uśmiechają się.

²⁹ W oryginale akapit skreślony przez autora: „Po upływie kilkunastu dni rzecz przestała być rewelacją. Zarówno raport policyjny sekretarza Geheime Feldpolizei Voßa, jak bardzo sumienne sprawozdanie prof. Buhtza, ustaliły oficjalnie, że w siedmiu grobach znaleziono 4.143 zwłoki. Tylko.” (przyp. wyd.)

Jeden zaczyna opowiadać. Rzeczy znane. Nagle spór wynika, gdy chodzi o liczbę aut, które transportowały jeńców z Gniezdowa do Katynia. „Cztery” mówi opowiadający.

– Nie bresz! – zaprzecza grzebiący patykiem w ogniu. Cztery „czernyje worony” (czarne kruki) były wszystkiego w smoleńskim NKWD. A jeździły tylko trzy. Czwarty zostawał w mieście. Przodem auto osobowe z enkawudzistami. A na samym końcu ciężarówka pod rzeczy. Tak było.

– Ty może widziałeś trzy, a ja widziałem cztery.

– Ze strachu pewnie, żeby i ciebie na Kosogory nie zawieźli.

Spór wydaje mi się nieistotny.

– A dawno tu już było miejsce kaźni, w Kosogorach, w Katyniu?

– Ooo, ho-ho-ho!! – odpowiadają prawie chórem i milkną.

– Ale nie zawsze – dorzucił któryś po chwili.

– No tak – przytaknął pierwszy. – Bywało też cicho. Ale drutem otoczone i straż chodziła z psami. Bywało, dziecko albo baba podlecze pod druty na grzyby. Jeżeli dziewczyna jaka młoda, to żołdat spódnicę jej na głowę, na ziemię i... he, he, he... – zaśmieli się złym, obleśnym śmiechem.

I nagle jeden z siedzącej grupy zaczął opowiadać, bardziej zwrócony do towarzyszy aniżeli do mnie:

– A pamiętacie jak Marfa z Nowych Batioków, w sierpniu to było, trzydziestego dziewiątego roku, poszła na grzyby, a strażnik: „stoj!” A później na ziemię, spódnicę do góry i gwałcić zaczął. Ona chciała krzyczeć, aż tu pies ogromniasty przyleciał i stoi nad nimi, język zwiesiwszy, i patrzy, i patrzy, i patrzy...

– Pewnie, że ślina jemu z tego języka leciała...

– He, he, he, he!

A Marfa w strachu, nie ma jak bronić się.

Wiatr odgonił dym i znowu nawiało trupim odorem. Każdy splunął po swojemu, kto na bok, kto w ogień i znowu zamilkli.

– A strzały, wtedy, jak rozstrzeliwali, było słychać? – pytam.

– Nie. Nie było. – Reszta potwierdziła skinieniem głowy.

– A ja słyszał. Ja słyszał – upiera się Kisielew.

To on jeden tylko słyszał. Nikt więcej.

– Jakże to tak do tej pory cicho było o tym wszystkim. Nikt nie wygadał?

– To pan nie wie, jak to u nas...

– Skąd może wiedzieć – przerwał Kisielew – człowiek z daleka, z zagranicy może przyjechał, a ty: „wie!”. U nas, proszę pana, język to trzeba...

– Ja wiem, wiem. I ja byłem pod Sowietami.

– No widzisz – odrzucił pierwszy – człowiek znaczy swój, rzecz rozumie dobrze. Dwa słowa jemu wystarczy.

Dziennikarz portugalski zbliżył się do ogniska i patrzył, słychając obcej mowy.

– Co oni mówią?

Wmieszał się tłumacz niemiecki. Ja odszedłem.

Profesor Buhtz lojalnie przyznaje, iż okoliczność jest zastanawiająca. Istotnie, nikt poza Kisielewem strzałów nie słyszał.

– Ja panom pokażę garaż. – Idziemy drogą w kierunku słynnej „daczy”, domu wypoczynkowego funkcjonariuszy NKWD. – Szukałem w tym garażu – ciągnie dalej profesor Buhtz – śladów kul. Myślałem, że jak to często bywa u bolszewików, służyć on mógł za miejsce kaźni. Wtedy się przed nim ustawia auta z zapuszczonymi motorami. Ale śladów kul nie ma. Ofiary strzelane były nad samym grobem. Strzały widocznie głuszył las, mały kaliber i duża odległość do najbliższych chat. Może i są jeszcze tacy, co słyszeli. Myśmy przecie nie wszystkich zbadali w okolicy. Zresztą sporo już nie ma. Poszli służyć, ewakuowali się z Armią Czerwoną.

„Dacza” istotnie robi wrażenie typowej rosyjskiej willi, znaleź pod tą nazwą. Taką, przed rewolucją, budowali sobie na letniska podmiejskie, bogaci kupcy. Widok stąd piękny. Można wreszcie odechnąć. Głęboko w dole płynie Dniepr, siny na tle bezlistnych jeszcze krzaków, które obsiadły urwisko jak szczecina. W dół zbiegają drewniane schody aż na dno jaru. Latem tu musi być ślicznie. Kąpać się można. Pewnie gdy nastaje ciepło i puszcza rośliny, pełno tu słowików. Jesienią czerwienią się zapewne jarzębiny, kalina, ciągną przelotne ptaki z biegiem Dniepru do Morza Czarnego i dalej, het na południe, wolne, poprzez kraj ten więzienny, a dziś tak straszliwy, poryty w bunkrach. Ciężko jest pewnie umierać, patrząc w tę przestrzeń Bożą. Z werandy na przykład:

[dwa zdjęcia w oryginale, z opisem:]

[1] Część lasu katyńskiego, zwana Kosogory (czasem „Kozie Góry”), gdzie dokonano masowego mordu, położona jest

pięknie nad Dnieprem. Na lewo, spomiędzy drzew na wzgórzu, przeziiera dom wypoczynkowy funkcjonariuszów NKWD.

[2] Słynna „dacza”, czyli willa. Dom wypoczynkowy dla funkcjonariuszy NKWD, w lesie katyńskim. Według niektórych wersji, tu odbywała się rewizja ofiar przed ich zastrzeleniem (patrz pamiętnik mjra Solskiego, rozdział XI: „... rodzaj letniska...”) Tu mieszkali i odpoczywali oprawcy, mordujący oficerów polskich.

Jakich to ludzi rodzili matki, którzy tu wypoczywali, później szli w las do katowskiej roboty i znów wracali na wypoczynek? Co? Jak myślicie, wróble na dachu, które teraz budujecie gniazda pod gontami? Świergocą coś, ale nie wyrozumieć ich słów. Milczą drzewa, krzaki, rzeka płynie.

Deszcz znowu pada. Dr Buhtz, opięty w mundur, ma trochę minę znudzoną. Oprawdzał tu już niejedną wycieczkę.

– Wracamy – mówi.

Wracamy.

– A jeżeli wolno mi zapytać, panie doktorze...

– Proszę bardzo. Ja od tego tu dziś jestem.

– Otóż interesuje mnie sprawa... czy nie znaleziono nigdzie wystrzelonych łusek? Nie dało się ustalić fabryki broni, z której ofiary były strzelane?

Twarz Niemca poważnieje.

– Nic konkretnego nie mogę jeszcze panu powiedzieć.

„Tajemnica łusek” rozwiązuje się również wkrótce.

Raz jestem przy trupie, w którego czole tkwi jeszcze kula. Dr Wodziński lancetem wyrzuca ją stamtąd, ja sięgam ręką i w tej chwili mówi mi ten młody człowiek w ciemnych okularach:

– O, kuli panu nie dadzą zabrać. Ani kuli, ani żadnej znalezionej łuski.

Obok stoi major niemiecki. Pytam go o pozwolenie. Wziął ten kawałek opancerzonego ołowiu i jakby ważąc w zamyśleniu na dłoni, odpowiedział wreszcie:

– Ja, ja, das können sie behalten – to może pan zatrzymać.

– Miał pan szczęście – szepnął ten w okularach.

Wieczorem jeszcze raz zapytuję wprost Slowentchika o łuski. Tłumaczy mi, że pewną ich ilość znaleziono istotnie, ale sprawa jest bez znaczenia... Broń dziś każdy może używać różną... Łu-

ski to żaden dowód... Wyraźnie wykrętne odpowiedzi. Co jednak w całej aferze jest najbardziej zastanawiające, to to, że ten szczegół śledztwa, pomijany w ten sposób przez propagandę niemiecką, jednocześnie... nie jest ani zaatakowany, ani poruszony przez czujną propagandę sowiecką. Pierwszemu lepszemu czytelnikowi komunikatów niemieckich o Katyniu, rzuca się w oczy brak jednego chociażby słowa o marce fabrycznej pocisków, a miałyby się nie rzucić aparatowi propagandowemu w Moskwie?

Rzecz w istocie miała się zawile, a jakże prosto zarazem.

Broń, użyta do rozstrzeliwania jeńców polskich w Katyniu, była pochodzenia niemieckiego...

Wystrzelone łuski, znalezione w większej ilości, wskazywały, iż użyto amunicji fabrycznej „Gustaw Genschow und Co” w Durlach, koło Karlsruhe (Baden). Gilzy znaczone były: „Geco 7,65.D.”

Jakiż z tego wniosek? Z punktu widzenia propagandy niemieckiej fatalny. Nic też dziwnego, że miejscowe władze niemieckie, prowadzące dochodzenie w Katyniu, były tym odkryciem zrazu skonsternowane, zszokowane po prostu. Prawdopodobnie w odpowiedzi na odnośny meldunek, nadszedł rozkaz, aby sprawę utrzymać w ścisłej dyskrekcji, aż do jej wyświechtania. Później dowiedzieliśmy się, że dalsze koleje były takie:

Ministerstwo propagandy zwraca się zapewne do OKH (Oberkommando des Heeres), Dowództwo Armii zwraca się do Głównego Szefostwa Uzbrojenia. Następuje biurokratyczna korespondencja, która pochłania długie tygodnie, gdyż zapewne szefostwo uzbrojenia dochodzić jeszcze musi w fabryce „Genschow” – cóż wychodzi na jaw?

Oto w latach zaraz po traktacie w Rapallo, aż do roku 1929, fabryka „Genschow” dostarczała wielką ilość tej amunicji Sowietom, która nota bene szła tranzytem przez Polskę. Jednocześnie do ostatnich lat przed wojną zaopatrywała w broń i amunicję, w ten sposób znaczoną, państwa bałtyckie i Polskę. Amunicja „Geco” opanowała nie tylko polski rynek prywatny, ale powszechnie używana była w wojsku. Bolszewicy zatem, okupując wschodnie ziemie Polski i zagarniając znaczne zasoby broni i amunicji, dostali w swe ręce wielkie zapasy tej właśnie amunicji pistoletowej.

Ale wyjaśnienie niemieckiego szefostwa uzbrojenia datowane jest dniem 31 maja 1943 r. (patrz Załącznik nr 14 i 15). Czyli nastąpiło po kilku dniach od mego wyjazdu z Katynia. Stąd rzecz zrozumiała, logiczna i życiowo wytłumaczalna, że sprawa przed 31 maja trzymana była w tajemnicy, a ogłoszona dopiero po tej dacie.

Natomiast przeciwnie, wyglądałoby bardziej podejrzanie, gdyby Niemcy mieli z a w c z a s u przygotowaną odpowiedź.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Wyjaśnienie tajemnicy łusek...

U góry: kule znalezione wśród trupów, bądź wyjęte z czaszek, w których częściowo jeszcze tkwiły. Niektóre wykazują charakterystyczne zdeformowanie. Obok znaleziony w grobie, cały nie wystrzelony nabój pistoletowy.

U dołu: gilzy, łuski wystrzelone, znajdujące obficie w grobach i lesie. Wszystkie znaczone są marką fabryczną: „Geco 7,65.D.”.

Bo czego dowodzi zaskoczenie władz niemieckich? Pośrednio, że nie one były sprawcami mordu katyńskiego... Bo gdyby zbrodni dokonali sami, jak to twierdzą bolszewicy, w celach prowokacji, to albo użyliby amunicji sowieckiej, której po klęsce Armii Czerwonej mieli pod dostatkiem, albo w inny sposób z a w c z a s u przygotowali wytłumaczenie, nigdy zaś nie byłiby zaskoczeni. W każdym razie Niemców o taką naiwność w dziedzinach zbrodni trudno byłoby posądzić!

Oto są przyczyny, dla których propaganda sowiecka sprawę amunicji użytej w Katyniu wolą pokryć milczeniem...

Jeszcze jednego odkrycia dokonałem w Katyniu, które acz pośrednio, ale jakże charakterystyczne, pozwala wysnuć wnioski i przyczynić się do wyświetlenia właściwych sprawców zbrodni. Chodzi tu o:

Żydów na listach ofiar katyńskich, ogłaszanych przez Niemców! Cała masa żydowskich nazwisk! Gdy przeglądałem te listy, powiedziałem do oficera niemieckiego z akcentem przekąsu, na jaki sobie pozwolić mogłem:

– Hm, ale Żydów też jest sporo...

– Taaak, owszem... no, ale czy to warto podkreślać?...

Ja też nic nie podkreślam. Ja po prostu konstatuję. Kto poznał z bliska zaślepioną, wściekłą, można by ją określić jako z pianą na ustach, antysemicką propagandę hitlerowską, która z absolutnym, nie dopuszczającym żadnego zastrzeżenia uporem, identyfikowała bolszewizm z żydostwem, ten dopiero wyobrazić sobie może, jak trudno było tejże hitlerowskiej propagandzie publikować dziesiątki imion i nazwisk żydowskich, na liście właśnie ofiar katyńskich!

W okupowanej Polsce rozklejano afisze o Katyniu, jako zbrodni: „żydowsko-bolszewickich katów”. W popularnej broszurce pt. *Masowy mord w lesie katyńskim*, kolportowanej przez propagandę niemiecką, znajdujemy taki ustęp:

I nie zdziwi już nikogo fakt udowodniony ponad wszelką wątpliwość przez wypowiedzenia świadków, że owymi katami byli bez wyjątku Żydzi.

Niemcy ustalali w dalszym ciągu, że kierownictwo egzekucji spoczywało w rękach czterech członków mińskiego NKWD i wymieniali z tych czterech trzech o żydowskim nazwisku: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham Borissowicz. Nawiasem dodać muszę, iż fakt że egzekucji dokonywało, specjalnie w tym celu delegowane, NKWD z Mińska, potwierdzi się w następstwie. Ale trzy przytoczone nazwiska, po prostu wychwycone zostały przez Niemców z archiwum NKWD w Mińsku, który zajęli raptownie. Zacytowali je na chybił-trafił.

Jednocześnie zaś, w liczbie tych, którzy padli ofiarą mordu, znajdujemy:

Engel Abram, Godel Dawid, Rozen Samuel, Guttman Izaak, Zusman Zygmunt, Frenkiel Izaak, Berensztejn Fajwisch, Press Dawid, Nirenberg Aleksander, Hirsztritt Izrael itd. itd. Ci więc mieli paść ofiarą „wyłącznie” żydowskich katów?

Sprzeczność jest tu rażąca, w najwyższym stopniu drażniąca propagandę hitlerowską. A jednak sami Niemcy je publikują. Wniosek stąd może być tylko jeden. Taki mianowicie, iż gdyby Niemcy w jakikolwiek sposób mieli fałszować dokumenty katyńskie, jak o tym twierdzi komunikat sowiecki, to nie może ulegać żadnej wątpliwości, iż w pierwszym rzędzie ukryliby nazwiska żydowskie. Jakże łatwo im było chociażby zniszczyć dowody i przy zwłokach Lewinsona Józefa, Glikmana, Epsteina i Rosenzweiga, napisać: „nierozpoznane”. A jednak nie uczynili tego i publikowali je łącznie z innymi. Nie mogli tego uczynić wobec zbyt dużej ilości świadków, których sami zaprosili.³⁰

Dowodzi to, jak wielką wagę przywiązywali właśnie do tej jawności i obiektywnego zbadania mordu katyńskiego. W tych warunkach nie mogli pozwolić sobie na ukrycie długiego szeregu dokumentów, które by następnie mogło rzucić cień lub podważyć zaufanie do całości śledztwa, wyzyskiwanego z takim nakładem energii przez ich propagandę na cały świat.

³⁰ Warto pamiętać, że internowani w niemieckich Oflagach oficerowie Polacy pochodzenia żydowskiego nie zostali poddani eksterminacji i przeżyli. (przyp. wyd.)

Potrafili zatuszować sprawę jedynego trupa kobiety, przemilczeć do czasu sprawę lusek, ale nie mogli sfalszować identyfikacji dziesiątków zwłok, wydobywanych w obecności delegatów Polskiego Czerwonego Krzyża i gości zagranicznych. – Niemcy za wszelką cenę pragnęli ujawnić prawdę o zbrodni katyńskiej, bo... tym razem zbrodnia dokonana została nie przez nich, a przez bolszewików.

Po powrocie z Katynia, pytano mnie wiele razy o „wrażenia”. Naturalnie wrażenie jest takie, o którym zwykło się mówić, że „mrozi krew w żyłach”. Stosy trupów nagich budzą najczęściej odrazę. Stosy trupów w ubraniu, raczej grozę. Może dlatego, że nici tych ubrań wiążą je jeszcze z życiem, którego je pozbawiono, a przez to stwarzają kontrast. W Katyniu znaleziono wyłącznie prawie wojskowych i to oficerów. Wymowność tego munduru robi wrażenie, zwłaszcza na Polaku. Odznaki, guziki, pasy, orły, ordery. Nie są to trupy anonimowe. Tu leży armia. Można by zaryzykować określenie kwiat armii, oficerowie bojowi, niektórzy z trzech uprzednio przewalczonych wojen. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w tej potwornej masie. Bo to nie jest masowe zagazowanie, ani ścięcie seriami karabinów maszynowych, gdzie w ciągu minuty czy sekund przestają żyć setki. Tu przeciwnie, każdy umierał długie minuty, każdy zastrzelony był indywidualnie, każdy czekał swojej kolejki, każdy wleczony był nad brzeg grobu, tysiąc za tysiącem! Być może w oczach skazańca układano w grobie poprzednio zastrzelonych towarzyszy, równo, w ciasne szeregi, może przydeptywano je nogami, ażeby mniej zajmowali miejsca. I tu doń strzelano w tył głowy. Każdy trup wydobywany w moich oczach po kolei, każdy z przestrzeloną czaszką, od potylicy do czoła, wprawną ręką, to kolejny eksponat straszliwego męczeństwa, strachu, rozpacz, tych wszystkich rzeczy przedśmiertnych, o których my, żywi, nie wiemy.

[zdjęcie w oryginale, brak opisu. Bliskie ujęcie leżących zwłok, stoi robotnik wydobywający zwłoki]

Rozmawiałem kiedyś z człowiekiem, którego strzelono w tył czaszki z małego kalibru i który żył jeszcze trzy dni, gdyż kula ugrzęzła gdzieś między zwojami. „To było – wyszeptal – to było, jakby szklanka pękła. dzyń! i koniec”. Być może...

Jeszcze jeden i jeszcze następny, i znowu, i znowu niosą trupy w kolejce odwrotnej, z góry do dna grobu, tak jak uprzednio wypełniali go od dna do góry.

Szarpiące, ekscytujące nerwy pytanie, jakaś drapieżna ciekawość, która później nie da spać przez wiele nocy, powraca za każdym, którego niosą: „Jak to wyglądało w szczegółach?”

Zdaje się, że każdego z jeńców uśmiercało trzech oprawców. Dwóch trzymało go z boków, za ręce, pod pachami. Trzeci strzelał. Jak przy operacji. Indywidualność ostatnich odruchów i cierpienie da się nieraz odczytać z tego, co po nich pozostało: wybite zęby, szczeka wytracona uderzeniem kolby, rany klute, sowieckim czterograniastym bagnetem. Wielu skrępowanych misternym węzłem sznura. Niektórzy mieli zarzucone na głowę mundury lub płaszcze, związane u szyi, a wewnątrz wypełnione trocinami, ażeby uniemożliwić krzyki. Usta otwarte, usta pełne piasku i oczodoly puste, które nie wyrażają już nic ponad śmierć.

Ale osobowość każdego nie wyraża się tylko mundurem, odznakami stopnia oficerskiego czy krzyżem na piersiach, albo schowanym w kieszeni. Przemawia nade wszystko wyrazem przedmiotów, które miał przy sobie do ostatniej chwili, a które jeszcze żyją, bo mówią literami, które można odczytać. Nazwisko za nazwiskiem... tysiące.

– Chce pan przeglądać tę listę? – zwraca się obojętnym tonem Niemiec, podsuwając długie kolumny maszynopisu.

.....
Ciszewski Tadeusz... Tego znałem z Brasławszczyzny.

Anton Konstanty rtm. To mój kolega z jednej klasy gimnazjalnej.

.....
Wierszyłło Tadeusz, porucznik. Numer 233.

Tadzio. Nie wiem dlaczego, na pamięć przychodzą mi raczej jego przywary, a nie strony dobre. A jakże! Tadzio, adwokat trochę z brzuszkiem, lubiący wypić, żyć wygodnie. „No, no – mówił – no, no” i podnosił brew do góry, gdy sekundował mi w pojedynku. „Ale ty, bracie, strzelasz... o włos i...” „Sprawiłem sobie buty długie” – mówił już w lipcu 1939 r. i kiwał głową. – „Wojna, widzisz, tego, a ja porucznik broni pancernej... Radzę i tobie... Jak chcesz zresztą. Panie Michale! Masełko i jeszcze jedna karafka”. Przy nazwisku w wykazie, figuruje: dwie pocztówki. Dwa listy. Jeden datowany 8 września 1939 r. na ośmiu stronach.

– Ośmiu stronach...

– Co pan mówi?

– Nic. List na ośmiu stronach...

– Co to, pański znajomy czy krewny? Który numer? Dwieście trzydzieści trzy. Jeżeli pan chce, może pan zabrać, albo odczytać list, powiedzieć później rodzinie.

– Nie, nie będę czytał.

A oto szwagier mój, Piotruś. „Nie bądź świnia – mawiał podsuwając półmisek – jedz, jak się należy!” Taki był jego zwyczajny, głupi żart. Zawsze, zawsze, zawsze wesoly. Rozplywa mi się jego uśmiech w pamięci, jak ta mgła za oknem, w której kąpią się teraz sosny. Numer 1078. Krahelski Piotr. W mundurze bez oznak. Listy i kartki pocztowe. Świadectwo szczepienia nr 318. To wszystko.

Następny: nr 1079. Kodymowski Stanisław Marian, ppor. List do żony, napisany w Kozielsku i nie wysłany. Książeczka żołdu. Zaświadczenie urzędnicze. Świadectwo szczepienia nr 1260. Tego nie znalazłem nigdy.

Następny...

Ten wykaz, leżący na stole prowizorycznym baraku, też już przesiąkł trupem. Duszno tu jest.

– Czy nie można okna otworzyć?

– Nie można – odpowiada podoficer niemiecki. Będzie jeszcze więcej śmierdziało. Z lasu.

{dwa zdjęcia w oryginale, z opisem:}

[1] Jedna spośród około 1.640 kart pocztowych, znalezionych w kieszeniach trupów, w jej charakterystycznym wyglądzie po wydobyciu z grobu. Pocztówka z okupowanej przez Niemców Polski, wysłana przez Bronisławę Zielnicką do swego męża w Kozielsku. Na zdjęciu łatwy do odczytania stempel poczty moskiewskiej, datowany 8.2.40.

[2] Świadectwo szczepienia wydane dr med. Chomickiemu Ludwikowi Antoniemu, synowi Adolfa, (u góry po rosyjsku, u dołu po polsku), nr 352, datowane w Kozielsku w grudniu roku 1939.

Listy, listy, listy. Listy od rodzin. Ogromna większość zachowana jeszcze w stanie możliwym do odczytania. Dużo jest takich, które przez jeńców zostały napisane w Kozielsku, ale już nie wysłane. Przy zwłokach znaleziono około 1.650 listów, 1.640 kartek pocztowych i 80 depeesz. Ani jeden z tych listów, ani jedna kartka, ani depeesza, nie posiada daty późniejszej niż kwiecień 1940 roku!

Kto ich nie miał w ręku, wydobytych z dołów śmierci, z masy poklejonych trupów – ten może jeszcze dopatrywać się w mordzie katyńskim sprawy, którą dziś należy traktować w płaszczyźnie politycznej rozgrywki. Kto je czytał, zaciskając usta i nos chustką, kto wdychał ich słodką woń trupią, nad zwłokami „kochanego”, do którego były pisane, dla tego nie ma i nie może być względów innych, jak obowiązek rzucenia prawdy w oczy świata.

Listy te były chowane na piersiach i w bocznej kieszeni, i w tylnej kieszeni, i w cholewach butów, zależnie od ówczesnej woli, żyjącego jeszcze adresata. Chowane jak relikwie. Dziś wystawione na pokaz i profanację wrogiej, niemieckiej propagandy.

W odległości dwóch kilometrów od Kozich Gór, w miejscowości Gruszczanka, Niemcy zorganizowali, na werandzie jednego z domów, wystawę eksponatów katyńskich, w gablotkach oszklonych, jak w muzeum. Charakterystyczne przedmioty i stan ich zachowania w grobach oglądać mógł każdy. Obok legitymacji, naramienników, banknotów, kwitów, odznak, orderów i masy różnych innych przedmiotów, były też listy. Propaganda niemiecka usiłowała zorganizować takie pokazy dla własnych celów politycznych. Ta rzecz daleka jest dziś od sprawy i w niczym jej nie zmienia.

Raz jeden miałem takie prawdziwe łzy w oczach, to znaczy nie od trupiego swędu i nie od zbawczego dymu ognisk, a tam właśnie, na werandzie domu w miejscowości Gruszczanka.

Było to trzeciego dnia pobytu. Wróciliśmy z Kozich Gór i w oczach miałem jeszcze widok, z którym zacząłem się oswajać, masy gnijących trupów. A tu za czystym szkłem gablotki – nadpsute kartki, rozpięte pineskami, o wielkim, bardzo czytelnym piśmie: listy dzieci do ojców.

8 stycznia 1940 r. Tatusiu Kochany!! najdroższy!... Czemu nie wracasz. Mamusia mówi, że tymi kredkami, coś mnie podarował na imieniny... Do szkoły teraz nie chodzę, bo zimno. Jak wrócisz, ucieszysz się pewno, że mamy nowego pieska. Mamusia nazwała go Filuś... Cześć.

12.II.40. Kochany Papo, pewnie wojna się prędko skończy. Bardzo za Tobą tęsknimy wszyscy i strasznie ciebie całujemy. Irka przycięła sobie włosy i Mama się bardzo gniewała. Czy mieszkasz w ciepłym domu, bo u nas brak opału. Mama chciała tobie posłać ciepłe rękawiczki, ale... W kwietniu przejedziemy do wuja Adama i napiszę wtedy Tobie, jak tam wygląda...

W kwietniu... w kwietniu roku 1940, Kochany Tatuś Czesia i Papo Irki, zastrzeleni zostali wystrzałem w tył głowy.

W OBLICZU NOWEJ ZBRODNI

W Katyniu znaleziono tylko jeńców z Kozielska. Liczba demaskuje mordercę!

Opuściłem Katyń w ostatnich dniach maja 1943 roku, po czterodniowym tam pobycie. Składając raporty polskim władzom podziemnym w Warszawie i Wilnie, spotkałem się już z mglistym przekonaniem, bazującym na uprzednich informacjach, że nie znaleziono tam wcale propagowanej przez Niemców liczby od 10 do 12 tysięcy zwłok i że w Katyniu leżą tylko oficerowie uprzednio uwięzieni w Kozielsku. Szczegółowych danych nie miał jednak nikt, ponieważ pochodziły one z okresu, gdy prace ekshumacyjne były jeszcze w pełnym toku. Moje dane były najbardziej ściśle, ale również nicostateczne.

Tymczasem już po kilku dniach, mianowicie 6 czerwca, Niemcy zakańczają pracę w Katyniu i w oficjalnych komunikatach, ogłoszonych zresztą z opóźnieniem, podają do wiadomości zarówno raport policyjny, jak eksperta, dr Buhtza, z których wynika, że w siedmiu grobach znaleziono 4.143 zwłoki.

Cyfra ta nie tylko nie pokrywa się z dotychczas lansowaną wersją niemiecką i z liczbą globalną zaginionych jeńców. Nie pokrywa się nawet z ilością jeńców w Kozielsku.

Gdzie reszta?

Rzecz wyjaśnia się zaraz. Bo oto na kilka dni przed wspomnianym zakończeniem prac ekshumacyjnych, dnia 1 czerwca, robotnicy natrafiają na nowy grób, ósmy z kolei. Jest to grób mały, według szacunku członków Polskiego Czerwonego Krzyża nie może zawierać więcej niż 100 zwłok. Pierwsze wydobyte zeń trupy nie mają na sobie ciepłej odzieży, ani płaszczy. Znaleziono przy nich gazety rosyjskie, „Raboczij Put” z dnia 1 i 6 maja 1940 roku, wskazują również, że zostali zamordowani później, w maju, w porze ciepłej. Zgadza się to najzupełniej z relacją dotyczącą rozładowania Kozielska, według której w dniach 10 i 11 maja 1940 roku, wywieziono sto osób, które następnie zginęły bez wieści (patrz: Załącznik nr 4). Jeżeli te sto osób dodamy teraz do cyfry 4.143, znalezionej w poprzednich siedmiu grobach, otrzymamy sumę, która odpowiada nicomal dokładnie liczbie jeńców zaginionych w Kozielsku.

W Katyniu znaleziono tylko obóz jeniecki Kozielsk.

Hipotetyczne zrazu przypuszczenia znajdują w późniejszym okresie całkowite potwierdzenie. Przede wszystkim, gdy listę zidentyfikowanych przez Niemców i ogłoszoną w ich pismach, skonfrontowano z prowizoryczną listą zaginionych, obejmującą 3.845 nazwisk, którą generał Sikorski wręczył Stalinowi 3 grudnia 1941 roku, okazało się, że lista ta zawierała 80 procent nazwisk zidentyfikowanych później w Katyniu, przy czym przy każdym z tych właśnie nazwisk figurowała adnotacja: „Kozielsk”. Porównanie zatem tych imiennych spisów zgadza się ze sobą podobnie, jak zgadzają się liczby zaginionych z Kozielska z ekshumowanymi w Katyniu.

Dalej stwierdzono fakt, że przy zwłokach znaleziono dużą ilość przedmiotów pamiątkowych, biedne drewniane cygarniczki, pudełka, służące za papierośnice itp., wszystkie z wrytym napisem: „Kozielsk”. Co zaś ważniejsza: pamiątniki i notatniki, również wyłącznie datowane z Kozielska. Tymczasem wiadomo, że w Starobielsku i Ostaszkowie jeńcy również wycinali sobie z drzewa różne drobiazgi, również pisali pamiątniki. Gdyby więc oni też znajdowali się w Katyniu, to biorąc pod uwagę tysiące zwłok, trudno sobie wyobrazić, aby nie znaleziono choćby kilku tego rodzaju przedmiotów datowanych z Ostaszkowa i Starobielska.

[zdjęcie w oryginale, z opisem:]

Drobiazgi z drzewa, wyrabiane przez jeńców polskich w obozie, z wrytym nadpisem: „Kozielsk”.

Drewniana cygarniczka z inicjałami K.H. posiada nawet datę: Kozielsk 1940. Podobnych przedmiotów, z adnotacją innych obozów, w grobach katyńskich nie znaleziono.

Wreszcie zwrócić należy uwagę na jeszcze jeden fakt znamienny: w obozie w Ostaszkowie zgrupowana została znaczna ilość jeńców spośród Polskiej Policji Państwowej. Jak wiadomo polska policja nosiła mundury koloru granatowego, zarówno barwą jak krojem już na pierwszy rzut oka znacznie różniące się od mundurów wojskowych. Otóż należy stwierdzić, iż na tę ogromną ilość szeregowych i oficerów policji, zaginionych z Ostaszkowa, żadnego z nich nie znaleziono pomiędzy odkopanymi zwłokami w Katyniu. Nie znaleziono ani mundurów, ani dokumentów policyjnych.

Wynika z tego, że obóz ostaszkowski, podobnie jak starobielski, nie był wymordowany w Katyniu i że liczba zwłok, tam znaleziona, jako odpowiadająca tylko ilości jeńców kozielskich, nie może przekraczać cyfry 4.143, ustalonej w siedmiu grobach, plus 100 szacowanych w grobie ósmym, co daje razem: 4.243, względnie, zaokrąglając 4.250.

Co jednak robią Niemcy? Zaklamawszy się w swej propagandzie, trwającej bez wytchnienia w ciągu przeszło półtora miesiąca, w obawie kompromitacji, nie chcą ustąpić z raz wyśrubowanej cyfry. W tym celu, po odkopaniu tego ósmego grobu o powierzchni 5,5 m na 2,5, przeglądają trzynaście zwłok, zasypują z powrotem i ogłaszają, że „upały i plaga much” stanęły na przeszkodzie dalszych robót ekshumacyjnych (patrz: Załącznik nr 14 i 15). W ten sposób nie sumują ostatecznego obliczenia ilości trupów, co daje im możliwość pozostawienia definitywnej ich cyfry otwartą i pozwala na dalsze, hipotetyczne podtrzymywanie tezy o „10 do 12 tysięcy zwłok”, pogrzebanych rzekomo w Katyniu.

Absurdalność tej tezy jest oczywista. Wynikałoby bowiem, że ten jedyny grób nr 8 (ponieważ innych, pomimo półtoramiesięcznych poszukiwań nie znaleziono) zawierać ma, według szacunku niemieckiego, od sześciu do ośmiu tysięcy zwłok, a jeżeli się weźmie ogólną ilość zaginionych, to nawet 10 tysięcy!...

Jak dalece teza niemiecka o „10 do 12 tysięcy”, od początku zbudowana była na dowolnych i fantastycznych podstawach, dowodzi między innymi jaskrawa sprzeczność, jaka zachodzi pomiędzy oficjalną propagandą niemiecką, a raportami samych Niemców, kierujących pracami w Katyniu. Przypomnieć należy, że już sekretarz niemieckiej policji polowej, Ludwik Voß, w swym sprawozdaniu z dnia 26 kwietnia 1943 roku, nie mówi o 10 czy 12 tysiącach zwłok, a tylko o 8-9 tysiącach. Natomiast w końcowym komunikacie, zamykającym śledztwo, tenże Ludwik Voß (patrz: Załącznik nr 14) stwierdza jedynie, że wydobyto 4.143 [zwłoki] i dodaje: „... w ostatnich dniach natrafiono w pewnej odległości na nowy grób, którego pojemność nie jest jeszcze znana”. A więc nie ma mowy nie tylko o „10 do 12”, ale i o poprzednich „8 do 9”, a tylko o 4.143 plus grób nr 8. Zgadza się to najzupełniej ze stanem faktycznym.

Najbardziej miarodajnym jest tu wszakże dr Buhtz. Otóż w sprawozdaniu swoim (patrz: Załącznik nr 15) stwierdza ostatecznie:

Wszystkie zwłoki, wydobyte z 7 grobów, zostały przepisowo pochowane w nowo wykopanych mogiłach, położonych na północny zachód od poprzedniego pola grobowego. 13 zwłok wojskowych polskich, wydobytych z grobu nr 8, zostało ponownie w nim pochowanych, po uprzednim dokonaniu sekcji, zbadaniu i zabezpieczeniu materiału dowodowego. (*Amtliches Material...*: Zbiór dokumentów niemieckich, s. 42)

Dalej zaś, na str. 47: „Zwłok wydobyto 4.143”. Potwierdzenie tej cyfry wypowiada raz jeszcze w streszczeniu, gdzie dodaje tylko taką uwagę:

Dalsza, znaczna liczba ofiar oczekuje na wydobyć, identyfikację i zbadanie.

Na przestrzeni całego swego sprawozdania, składającego się z 56 stronik książkowego druku, dr Buhtz ani jednym nawet słowem nie napomyka nie tylko o liczbie „od 10 do 12 tysięcy”, ale z widocznym zakłopotaniem pomija ten szczegół propagandy niemieckiej. Wszystko zaś, co może być ponad ustaloną cyfrę (4.143), określa skromnie: „znaczną liczbą ofiar”, która nie została jeszcze wydobyta.

Widzimy tu z jednej strony wyraźną niechęć popierania pierwotnej tezy propagandy niemieckiej, z drugiej, niemożność bądź co bądź zdezawuowania jej wręcz przez oficera, lekarza... niemieckiego. W każdym razie ogólnikowe określenie „znaczna liczba” w ustach kierownika prac badawczo-śledczych wydawałaby się nie na miejscu, gdyby liczba nie wydobytych jeszcze zwłok miała przekraczać dwa, albo trzykrotnie już wydobyte!

Wszystko to razem, utwierdza jeszcze raz w przekonaniu, że „upały i muchy” nie były przyczyną, ale – pretekstem do przerwania dalszych robót ekshumacyjnych, celem ratowania prestige'u propagandy niemieckiej.

[tutaj, w oryginale:] Szkic odręczny miejsca zbrodni. Na Kosogorach w Katyniu, w odległości 16 km od Smoleńska. [Por. w części ilustracyjnej, szkic z oryginału zastąpiono jednak szkicem z I angielskiego wydania książki.]

W tym ujęciu, po stwierdzeniu wyżej wymienionych faktów, cała sprawa przybiera nieoczekiwany obrót. Początkowe pytanie: „ilu?”, pytanie nie kwestionowane dotychczas przez nikogo ze stron zainteresowanych i samo w sobie ograniczone, wkracza nagle w dziedzinę najistotniejszego pytania: „kto zamordował?”...

Z chwilą ustalenia w Katyniu nie większej ilości ponad 4.250 zwłok zamordowanych oficerów z Kozielska, na ogólną ilość około 15 tysięcy zaginionych jeńców i biorąc pod uwagę analogię losów i termin rozładowania wszystkich trzech obozów – nie ulega żadnej wątpliwości, że tamci zamordowani zostali również, a również niewątpliwie przez tych samych sprawców, którzy dokonali zbrodni katyńskiej.

Bo gdybyśmy nawet, wbrew wszystkim oczywistym faktom przypuścili na chwilę, jak to twierdzą bolszewicy, że zbrodni katyńskiej dokonali nie oni, a Niemcy, to i tak pozostanie pytanie: kto zamordował resztę?

Co jednak robi wobec takiego stanu rzeczy rząd sowiecki?

Oto zachodzi okoliczność najbardziej paradoksalna w całej sprawie: rząd sowiecki podtrzymuje wersję propagandy niemieckiej, właśnie w jej jedynym, fałszywym przedstawieniu. Czyli z ogłoszonych przez Niemców rewelacji odrzuca całą prawdę, a zatrzymuje

tylko to, co jest kłamstwem: liczbę zabitych. Ponieważ propaganda niemiecka ogłosiła na zewnątrz cyfrę „od 10 do 12 tysięcy”, Komisja Sowiecka, która po wyparciu wojsk niemieckich ze Smoleńska zjeżdża do Katynia z początkiem roku 1944, korzysta z tego fałszu i biorąc za podstawę cyfrę średnią, ogłasza, iż w Katyniu leży 11 tysięcy trupów. Zrzucając zaś odpowiedzialność za mord na Niemców, jednocześnie:

1) Umiejscawia tam możliwie przybliżoną liczbę wszystkich zaginionych.

2) Uchyla najbardziej kompromitujące Sowiety pytanie – gdzie reszta?

Nadmienić wypada, że Komisja sowiecka (patrz: Część II) cały problem załatwia w sposób niesłychanie lekceważący krytyczną opinię, kompletnie lakoniczny i głośny, w dwóch zdaniach, które brzmią:

W mogiłach wykryto wielką ilość zwłok w polskich mundurach wojskowych. Ogólna liczba zwłok, według obliczeń biegłych sądowo-lekarskich, sięga 11.000.

Ani jednego słowa, kiedy i w jaki sposób dokonane zostało to „obliczenie całości”? Oczywiście, żadnego obliczenia całości nie dokonywano, co zresztą potwierdza sam komunikat sowiecki, który ustala, że Komisja wydobyla i zbadała tylko 952 zwłoki.

Rażąca bezceremonialność, z jaką bolszewicy przechodzą do porządku nad drażliwą sprawą, nie może zadowolić nikogo, komu zależy na ustaleniu i wykryciu prawdy.

Ale czy trzeba ją jeszcze wykrywać? Ta prawda jest... znana.

To, co z końcem maja i początkiem czerwca 1943 roku wiadomym jest tylko pojedynczym, wtajemniczonym osobom, już w pół roku później staje się rzeczą stwierdzoną, o której rząd polski w Londynie posiada najdokładniejsze relacje. Stąd wiadomość ta przenika do sfer alianckich i od roku 1944 czynniki decydujące świata, na podstawie tych relacji, sprawozdań, zestawień i konfrontacji uprzednich dokumentów, nie tylko wiedzą, że mord w Katyniu dokonali bolszewicy, ale dowiadują się w dodatku, że poza Katyniem dopuścili się zbrodni jeszcze większej, mordując w nieznanym miejscu więcej niż dwukrotnie taką liczbę bezbronnych jeńców.

Niestety jednak decydującym czynnikiem w obozie alianckim nie na rękę było ujawnianie nagiej prawdy. W dalszym ciągu zależało im raczej na współpracy z Sowietami i na propagandzie, która by opinii publicznej uzasadniała, ustrawniała niejako, sojusz państw demokratycznych z dyktaturą bolszewicką, czyli na przed-

stawianiu Sowietów w możliwie dodatnim świetle, a nie na opisywaniu popełnionych przez nich zbrodni. Toteż sprawa Katynia, która zwłaszcza po ustaleniu cyfry tam zamordowanych jeńców, nabrała zupełnie już definitywnych kształtów, nie tylko nie zostaje wytoczona przed forum publiczne w świetle prawdy, ale wręcz przeciwnie: stanąwszy w obliczu nowej, niewątpliwej zbrodni, dokonanej w innym miejscu Sowietów, decydujące wówczas czynniki alianckie dokładają wszelkich starań, aby sprawę zatuzować, natomiast z milczącą aprobatą przyjmują do wiadomości Komunikat Sowieckiej Komisji. Zaś w rok później zgadzają się na włączenie do aktu oskarżenia w Norymberdze sprawy mordu katyńskiego, kładąc swe podpisy obok podpisu Burdenki, przedstawiciela Sowietów, który w danej sprawie przedstawia, reprezentuje sprawcę zbrodni...

W ten sposób dochodzi do fałszerstwa, jednego z największych, jakie świat oglądał, a którego punkt szczytowy rozgrywa się na procesie norymberskim.

SPRAWY, O KTÓRYCH SIĘ NIE MÓWI

Sprawy tego rodzaju mają już to do siebie, że trudno jest o nich mówić nawet temu, kto by to chciał czynić na przekór milczeniu. Trzymane nie pod przysłowiowym sukniem, a wprost w ogniotrwałej szafie, zaopatrzone stemplem: „tajne”. Szeptane na ucho bez świadków, w każdej chwili mogące być w sposób najbardziej formalny zdezwuowane. Nie ma odpisów tej korespondencji. Nie ma protokółów z tych rozmów, prowadzonych przyciszonym głosem.

Dlatego czytelnika, który by oczekiwał w tym rozdziale jakichś drastycznych dekonspiracji, przygotować muszę z góry na rozczarowanie. Nie będzie w nim ujawniona treść intrygi, a raczej jej rezultaty.

Przed wszystkim powtórzyć tu należy, co już wielokrotnie było wspomniane: istota sprawy katyńskiej, wszystkie dokumenty ją ilustrujące i dowody przytoczone, nie są już rewelacją od kilku lat. Przetłumaczone na wiele języków, znane są dobrze wielu mężom politycznym w Londynie, Paryżu czy Waszyngtonie. Nie były i nie są tylko publikowane. Albo też publikowane w nie powiązanych fragmentach, nie obejmujących całości, nie pozwalających wolnej opinii świata na bezwzględne przekonanie – kto jest sprawcą największej, po eksterminacji Żydów, zbrodni w ostatniej wojnie.

Publikacja wszystkich danych była już raz gotowa jesienią roku 1945. Układ drukarski miał iść na maszynę. Zamiast tego poszedł do pieca i czcionki przepalono znów na metal, a książka się nie ukazała. Dlaczego?

Odpowiedź na to pytanie też nie będzie zawierała rzeczy nowych. Gdy komuś bardzo potężnemu na czymś zależy, wiemy z doświadczenia życiowego, iż zazwyczaj znajduje on środki i drogi, aby celu swego dopiąć.

Dziś rząd sowiecki jest jedną z największych potęg świata i zależy mu na tym, aby prawda o zbrodni katyńskiej do opinii tego świata nie dotarła. Czy rząd sowiecki przedstawił sprawę w ten sposób, że ujawnienie jej po stronie państw demokratycznych pociągnie za sobą komplikacje polityczne, oziębienie stosunków, czy tylko dowód złej woli i tolerowanie „propagandy faszystowskiej”? Przedstawienie podobne nie jest znane, ale prawdopodobne. Niemniej prawdopodobną wydaje się możliwość, że czynniki stojące dziś u steru rządu brytyjskiego, nawet bez interwencji sowieckiej, przewidując powikłania, wolą raczej nie dopuścić do ujawnienia prawdy, aniżeli zmieniać cokolwiek w swej polityce, która w od-

niesieniu do Sowietów oficjalnie nosi miano: „dobrej woli i zaufania”. Jakikolwiek by były jednak zakulisowe sprężyny, faktem pozostaje, iż na dowództwo polskich sił zbrojnych na emigracji, pozostające na służbie brytyjskiej, a bezpośrednio zainteresowane losem jeńców, którzy zginęli w Sowietach, uczyniony był nacisk, aby z poruszeniem całokształtu sprawy, co najmniej „odczekać”...

W tym stadium dochodzi do procesu w Norymberdze, którego akt oskarżenia włącza sprawę Katynia, ale jako zbrodnię popełnioną nie przez Sowiety, tylko przez Niemców.

Trybunał mianuje siebie „międzynarodowym” i ma sędzić zbrodniarzy wojennych w imieniu narodów świata. I oto zachodzi jedno z najbardziej gorszących widowisk, jakie znają dzieje ludzkości. Strona, która popełniła niesłychaną w historii wojen zbrodnię, wymordowania 15 tysięcy jeńców, zasiada nie na ławie oskarżonych, ale na ławie sędziowskiej tego międzynarodowego Trybunału.

Czy mamy tu do czynienia z jakąś pomyłką Sądu, niedopatrzaniem czy nieporozumieniem, które naraża na szwank dobre imię instytucji, mającej się stać symbolem Sumienia i Sprawiedliwości ludzkiej?

Nic podobnego. Ponura farsa reżyserowana jest z całą świadomością istotnego stanu rzeczy. Oto bowiem ogromne dossier sprawy Katynia, które się znajduje w rękach rządu polskiego w Londynie, przesłane zostało nie tylko, jak to nadmieniałem, licznym mężom stanu, ale również sędziom Trybunału zasiadającym z ramienia Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych i Francji. Wreszcie zgłoszone oficjalnie w postaci dowodów do sprawy. Sędziowie ci zatem mają okazję zapoznać się z nią w sposób najbardziej gruntowny. Ale nie czynią tego, bo nie chcą. I trybunał, który dopuścił do rozpatrzenia sprawy Katynia z oskarżenia sowieckiego, nie dopuszcza jednocześnie do rozpatrywania dowodów strony bezpośrednio zainteresowanej i poszkodowanej, jaką jest strona polska. W ten sposób gwałci nie tylko kardynalne zasady prawne, nie tylko elementarne poczucie sprawiedliwości, ale i własne, sędziowskie sumienie.

W dalszym ciągu procedury – zupełnie jawnie i po prostu – lekceważone jest i unikane wszystko, co by mogło przyczynić się do bezstronnego osądu sprawy Katynia. Nie zostaje powołany w charakterze świadków nikt z osób, które w latach 1941 i 1942 dokonywały poszukiwań zaginionych jeńców w Sowietach. Nikt z przedstawicieli ówczesnego rządu polskiego, uznanego przez wszystkie, prócz Niemców i satelitów, mocarstwa świata. Nikt z ludzi bezstronnych i neutralnych, którzy na własne oczy widzieli lub nawet uczestniczyli w ekshumacjach zwłok, badaniu świadków i sprawdzaniu dokumentów. Natomiast z liczby 13 ekspertów Komisji Mię-

dzynarodowej powołanej przez Niemców. dopuszczony zostaje jedyny prof. Markow z Bułgarii, właśnie pozostającej w zasięgu władzy sowieckiej. Dopuszczeni są w charakterze świadków obywatele sowieccy, jakkolwiek notorycznie wiadomo, że jako tacy podlegają normom prawnym przyjętym w ich państwie, ale nie przyjętym i nie uznawanym przez resztę świata cywilizowanego.

Dalej wiadomym się staje, że na świadka powołany ma być jeden z generałów polskich, który by mógł dużo powiedzieć, ale... czy to dlatego że podlega służbowo dowództwu brytyjskiemu czy dla innych jakichś nieznanych przyczyn do złożenia przezeń świadectwa prawdzie nie dochodzi...

Ze strony obrońców niemieckich dopuszczono kilku świadków bez znaczenia. Profesor Buhtz zginął od bomby lotniczej we Francji.

I oto mimo całej tej gorszącej procedury, Trybunał nie uważał za możliwe pójść aż tak daleko, aby ferować wyrok w tej sprawie. Sentencja tego wyroku nie obejmuje zbrodni katyńskiej, z tym większą zatem troskliwością zostaje zatuszowana w sposób, aby jak najmniej było o niej mowy. Nie mówi się też ani o wszczęciu dochodzenia, ani poszukiwaniu sprawcy.

Dlaczego? Przecież pamiętać należy, że Trybunał Norymberski miał karać nie specjalnie „Niemców”, ale „przestępców wojennych”!

Rzec by można, że ta straszliwa zbrodnia przeciw ludzkości, dokonana w Katyniu fizycznie doczekała się swego odpowiednika w zbrodni... moralnej przeciw ludzkości. Bo przestępca nie tylko nie został ukarany, ale dostąpił zaszczytu zasiadania w Trybunale Międzynarodowej Sprawiedliwości.

Jak jednak formalnie wygląda dziś sprawa Katynia? Formalnie, jak to wynika z rezultatu procesu norymberskiego, zbrodnia pozostała zagadką, a jej sprawca nie wykryty!...

[w oryginale zdjęcie, przedstawiające odsłonięte wnętrze masowego dołu śmierci w Katyniu; opis:]

Widomy dokument zbrodni wojennej, na którą Trybunał Norymberski opuszcza zasłonę tajemnicy i której sprawców nie chce dochodzić żadna instancja sprawiedliwości międzynarodowej...

Gdy te opowiedziane i nie opowiedziane wypadki rozgrywały się w zniszczonej od bomb Norymberdze, po innych, podobnie od bomb zniszczonych miastach północnych i środkowych Niemiec, błąkał się pewien młody człowiek, wzrostu raczej niskiego. Z wymizerowania i ubioru, na pierwszy rzut oka poznać w nim robotnika

cudzoziemskiego, z liczby milionów, które ta wojna i przymusowa deportacja zawlokła do Rzeszy. Z pasji, z jaką spluwał na bok, smarkał w dwa palce, nos i usta wycierał wierzchem dłoni, domyśleć się można, że pochodził raczej z Europy Wschodniej. Z wymowy zgadywało się, że to Rosjanin.

Rosjanin zdążający, po wygranej nad Niemcami wojnie, nie w kierunku wschodnim, gdzie leży jego dom, a w przeciwnym, na zachód, nie był wówczas w Niemczech zjawiskiem ani odosobnionym, ani tym bardziej wzbudzającym sensację. Dziesiątki, setki tysięcy jemu podobnych Rosjan usiłowało uciekać przed zbliżającą się do nich „ojczyzną mas pracujących”.

Ale o tym się też głośno nie mówiło.

Rosjanin, o którym wspominam, był istotnie robotnikiem, zaopatrzonemu w niemiecką „Arbeitskarte” i od połowy roku 1944 przebywał w miejscowości Dreilinden, pod Berlinem. Stąd dzień po dniu jeździł na pracę do warsztatów w Grünewald. Los jego był taki jak innych robotników: ciężka praca, mały zarobek, żywność na kartki, mieszkanie w barakach. W ostatnich czasach przed końcem wojny dzień i noc: bomby, bomby, bomby.

Wskutek ciągłych nalotów życie stawało się jeszcze bardziej uprzykrzone. W schronach było duszno i niewygodnie. Od niewyspania zaogniały się oczy, a oczy miał od urodzenia słabowite.

Gdy Armia Czerwona zbliżała się do Berlina, Rosjanin ten wolał iść przez gruzy, pod warkotem motorów na niebie, przeczekiwać bitwy na dnie rowu. Wolał jeść jeszcze mniej, nie spać wcale, byle nie dać się „oswobodzić” bolszewikom. Tak dotarł do Hamburga. Z Hamburga nawrócił do Bremen. Błąkał się dalej, już po ustaniu działań wojennych. Za towarzysza dobrał sobie byłego jeńca sowieckiego, któremu też nie śpieszyło się wracać do ojczyzny. Gdy tak wędrował bezdomny, ale szczęśliwy z uzyskanej wolności, pierwszej, prawdziwej wolności, jakiej zaznał w życiu, doszła go wieść, że w mieście Norymberdze rozpoczął się wielki proces, sąd sprawiedliwości ludzkiej nad zbrodniami popełnionymi w tej wojnie.

A człowiek ten wiedział o pewnej straszliwej zbrodni, więcej niż ktokolwiek inny zasiadający w Trybunale Norymberskim. Bo był to...

Iwan Kriwoziercew, mieszkaniec wsi Nowe Batioki (domu nr 119) pod Smoleńskiem, położonej opodal stacji Gniezdowo, a więc niedaleko lasku Kosogory.

Kriwoziercew, upojony hasłami wolnych demokracji, które to hasło spotykał teraz na każdym kroku, stąpając po gruzach hitlerowskich Niemiec, gotów był wreszcie uwierzyć w sprawiedliwość i

prawdę. Zdawało się mu, że jakoby i na nim ciąży obowiązek przyczynienia się do sprawiedliwości świata, po niezbyt długim, ale ciężkim swoim życiu.

Widać z tego, że Kriwoziercew, jakkolwiek dużo widział, był człowiekiem z gruntu naiwnym. A przygodny jego towarzysz, zwany przezeń Miską, były jeniec sowiecki, również nie więcej odeń biegły w polityce. Bardziej natomiast dziwić się wypada, że znaleźli naiwnego trzeciego, też Rosjanina, ale człowieka wykształconego, z zawodu inżyniera, znającego języki, który zgodził się służyć za tłumacza.

Poszedł więc z nim Kriwoziercew do pewnej komendy amerykańskiej w Bremen. Przyjął ich żołnierz, który w sposób nie przyjęty w Europie trzymał obydwie nogi na stole kancelaryjnym, żuł gumę, ręce miał założone na piersiach i zapytał, czego chcą?

– Mam coś bardzo ważnego do zeznania – powiedział za pośrednictwem inżyniera Kriwoziercew.

Żołnierz wypluł gumę, zapalił natomiast dobrego, amerykańskiego papierosa, zdjął nogi z biurka, krzywiąc się przy tym, bo mu odleżały, i poszedł szukać oficera.

Gdy Kriwoziercew zaczął następnie mówić, a inżynier tłumaczyć, Amerykanie najpierw ironicznie się uśmiechali. Gdy się śmieli, Kriwoziercew się zmieszał. Gdy jednak jeden z nich spoważniał i powiedział:

– Trzeba by go odstawić do linii rosyjskich, oni już tam będą wiedzieli, co zrobić i jak wykorzystać jego zeznania... – Kriwoziercew zbladł.

Dziś sam już nie pamięta, czy przestraszył się bardziej powagi tych słów czy ich treści...

Uciekł.

Odszukał swego przyjaciela Miskę i wybąkał przez zęby:

– Chodu stąd!

Wyszli z Bremen piechotą, później gdzieś wleźli do pociągu i pojechali przez zburzone Niemcy aż do...

W tej chwili, gdy to piszę, sytuacja polityczna w Europie jest jeszcze tego rodzaju, że nie mogę mówić, ani gdzie, ani w jakich okolicznościach spotkałem Iwana Kriwoziercewa, który właśnie w dniach, gdy zbrodnia katyńska znalazła się na wokandzie sądu w Norymberdze – opowiadał mi jej dokładny przebieg, w tajemnicy przed stróżami ładu publicznego.

SPOWIEDŹ IWANA KRIWOZIERCEWA

– Czy mam zacząć od początku?

– Od najwcześniejszego.

– Dobrze więc. Opowiem nie tylko o sprawie, ale i o sobie samym. Mieliśmy kiedyś 9 dziesięcin ziemi we wsi Nowe Batioki, w odległości 12 kilometrów od Smoleńska, na zachód, to znaczy w kierunku Witebska. Ziemi nie tak już dużo, ale starczało żarcia dla wszystkich i żyło się niezgorzej przed rewolucją bolszewicką, gdyż ojciec mój był człowiekiem upartym w pracy. Matka, z domu Zacharowa, pochodziła również z okolicznych mieszkańców. Rodzina nasza, która składała się poza mną z dwóch jeszcze sióstr, lubiana i poważana była w okolicy, co wnioskowałem z częstych odwiedzin, gdy zasypiając na wielkim piecu, przez mgłę snu widziałem ojca za stołem w towarzystwie sąsiadów, matkę uśmiechniętą... Żyło się dobrze. Żyło się trochę na uboczu od wielkich wydarzeń. Trakt do Witebska nie był zbyt uczęszczany. Z jednej strony ciągnęły się długie wsie, o chatach krytych słomą, jak to u nas... Z drugiej wielki las. Wyrósłem, na ten las patrząc. Nazywał się katyńskim. Należał wtedy do pana Koźlińskiego, Polaka. Część lasu, bliżej Smoleńska położona, zwana była Kosogory. Dalej Rozbojniczyj Kołodec (Studnia Rozbójnicza) i Czernyj Griez' (Czarne Błoto). Nazwy te w dzieciństwie wzbudzały dreszcz. Ale do lasu chodziło się zwyczajnie po chrust, po jagody, po grzyby, jak to do lasu...

Przedrewolucyjnych tych czasów, tak dobrze już nie pamiętam, albo jak przez sen. Powtarzam je z opowiadań. Sam urodziłem się w roku 1915. Ale mówiono mi, że z nastaniem rewolucji tylko niewiele zmieniło się na gorsze. Żyliśmy na uboczu. Las odebrano od pana Koźlińskiego i upaństwowiono, ale po chrust, jagody i grzyby chodziło się w dalszym ciągu.

Gdy miałem lat jedenaście, w roku 1926, nastąpiły pierwsze przeobrażenia, jakie pamiętam. Odebrano nam trochę ziemi i zostawiono 6 hektarów. Ojciec pracował dalej, tak jak jego dziad, pradziad, jak wszyscy wokół nas, którychśmy znali. Aż raptem w 1929 spada nieszczęście! Kolektywizacja.

Ojciec wszedł jednego dnia do chaty, pamiętam, czapkę cisnął o podłogę i usiadł przy stole, na ławie, podparłszy głowę spracowanymi, żylastymi rękami... Na któryś tam dzień dowiedział się, że zaliczono go do „kułaków”, to znaczy bogatych chłopów, a tych wszystkich zsyłano na ciężkie roboty przymusowe na daleką północ, do obozów koncentracyjnych. Wtedy się one tak nie nazy-

waly i nikt z nas nie slyszal jeszcze o Hitlerze, ale tak bylo. Wiedziano, czym to pachnie. I ojciec uciekl. Uciekl z matka i mlodsza siostra. Na Ural uciekli.

Ja ze starsza siostra zostalem. Ona miala lat szesnaście, ja czternaście. Pracowaliśmy w kolchozie. Po dwóch latach wraca ojciec z Uralu. Tęsknota go przywiodła. Zostal niezadługo aresztowany i osadzony w więzieniu.

– Za co?

– Na podstawie paragrafu 58, punkt 10. U nas zna się zazwyczaj tylko numer paragrafu, a nie jego treść.

Rzecz dziwna, po 9 miesiącach wraca. Wraca wprawdzie jako cień własny, zniszczony, zrujnowany fizycznie, niezdolny do ciężkiej pracy. Wraca apatyczny do rodzinnej wsi, w której był ongiś gospodarzem, a dziś parobkiem pańszczyźnianym kolchozu. Niedługo może zasiedzieć miejsca. Zaszczuty politycznie, zostaje wykluczony z kolchozu. Gdzieś tam na Uralu nauczył się był szklarstwa i próbuje zarabiać wstawianiem szyb. Ale czy komu potrzebne są całe szyby, w kraju przeistoczonym w nędzę, życie bez jutra? Starą, sowiecką gazetą zalepią dziurę. I taniej jest, i propaganda z tego idzie na całą wieś... He, he, he...

Jeszcze rok, dwa, błąkał się ojciec po okolicy, aż w roku 1934 zostaje ponownie aresztowany. Tym razem nikt nie zna nawet paragrafu i zresztą nikt się tym nie interesuje.

Ja jako tako przedzieram się przez te strzępy życia, które nam przypadły w udziale. Kończę szkołę i uczę się tokarki metalowej. Raz odwołują mnie od warsztatu, było to w roku 1937. List przyszedł – powiadają. Pismo urzędowe. Czytam. Odpowiedź na nasze zabiegi brzmi: „Miejsce pobytu ojca nie jest znane”. To u nas tak zawsze, gdy kogoś rozstrzelają bez sądu...

Przeżegnałem się tylko w kierunku Kosogor i powróciłem do warsztatu.

– Dlaczego Kosogor?

Bo myślałem, że może tam... Gdyż to miejsce, już od pierwszych lat rewolucji, stało się miejscem kaźni. Od czasu do czasu przywożono jakichś ludzi, na których nikt nie patrzył i patrzeć nie chciał. Rozstrzeliwano, zakopywano jak stali, jak padli, wyrównywano teren, a później ludzie ze wsi znowu chodzili po grzyby i chrust. Egzekucje zdarzały się rzadko. Aż w roku 1929, nie pamiętam już w jakim miesiącu, zjechała komisja GPU, zlustrowała ten las i wzięła w posiadanie. Od tego czasu otoczono go drutem. Od drogi zaś postawiono płot drewniany i bramę. Nad bramą wisiał szyld:

Запретная зона GPU. Вход посторонним лицам воспрещается.

(Zakazana strefa GPU. Osobom obcym wstęp wzbroniony.)

Rozstrzeliwano teraz częściej, ale też sporadycznie. Czasem las stał cichy. Ludzie oswoiwszy się już z tym sąsiedztwem, podłazili pod druty i chodzili po nim. Zdarzało się, że przyłapała kogoś warta. Obywał się poniekąd kolbą po karku, albo pięścią dostawał w zęby i uciekał. Na tym się zazwyczaj kończyło. Stąd jednak stało się wiadomym, że w środku lasu, nad Dnieprem, wybudowano dom, dachę. Stale w niej mieszkali jacyś ludzie z obsługi GPU. Znano już dozorcę, kucharza, służącą i szofera, który kursował często do Smoleńska. Latem przyjeżdżali tu urzędnicy GPU na wypoczynek. Tu też lokowano konwój, gdy przywożono skazanych na śmierć. Tu zamieszkiwali też oprawcy.

Z biegiem czasu sprawy te były wszystkim w okolicy wiadome, ale jak to przyjęto, nie mówiło się o nich głośno. Ja pracowałem wówczas na wsi, na przemian jako kowal, ślusarz, a gdy nie było pracy zawodowej, jako zwykły robotnik rolny. Z wojska zostałem zwolniony, ze względu na chore oczy. Dlatego nie poszedłem na fińską kampanię, a zimą roku 1940 wstąpiłem do kolchozu „Krasnaja Zaria” (Czerwona Zorza), który łączył w sobie następujące wsie: Nowe Batioki, Gniezdowo, Gruszczanka, Żyłki. Stale prawie przebywałem w Gruszczence. Posiadłem już krąg własnych znajomych i przyjaciół. Byli też krewni w okolicy. Znało się teren i pola, i lasy.

Zbliżała się wiosna roku 1940. Wyznaczono mnie do pracy przy inspektach, położonych opodal stacji Gniezdowo. Gdy podniosłem głowę z nad gnoju, w którym się wiecznie musiałem teraz babrać, widziałem wprost linię kolejową Smoleńsk-Witebsk. Do pracy wypadało mi chodzić po szosie. W ten sposób nie mogłem nie zauważyć, że od początku marca, w otwartych ciężarówkach, przywożono z więzienia smoleńskiego więźniów, kierując do Kosogorów. Jechali z kilofami, łopatami, wyraźnie na jakąś robotę. Na trzeci, zdaje się dzień, dowiedziałem się, że ludzie z naszego kolcho- rozmawiali z tymi więźniami.

„Co oni tam robią” – zapytałem.

„Kopią wielkie doły.”

Wtedy już GPU nazywało się NKWD. Ale to rzeczy nie zmienia. Nikt też nie pytał: „Po co te doły?” Każdy się domyślał. Ale żeby aż tyle robotników przywozić?! . Pokiwaliśmy głowami.

Był ranek, pamiętam, 14 marca 1940 roku. Pracowałem bliżej szosy i widzę, że jedzie po niej konwój samochodów. Przodem osobówka, potem „czerny woron” i jeszcze auto. Jadą w kierunku Kosogorów. Ja tylko tyle widziałem, ale siostra moja pracowała w „brygadzie ogrodniczej”, wożąc nawóz do inspektów, i droga jej wypadła koło samej stacji Gniezdowo. Spotkaliśmy się z nią na obiedzie. Ja jej mówię, że widziałem konwój aut więziennych. A ona mnie:

„Wiem, widziałam więcej od ciebie. Do stacji Gniezdowo przywieziono jeńców, Finów, i ładowano do «czarnego». Chrustalew też widział.”

Roman Chrustalew w tym samym czasie także woził nawóz i także koło stacji. Wieczorem tedy mówię do niego:

„Co to, Chrustalew, Finów wożą rozstrzeliwać?”

„To nie żadni Finowie – odpowiada. – To Polacy. Ja znam ich mundury.”

Rzeczywiście, Chrustalew był na wojnie polskiej, w roku 1920.

Ja Polaków nigdy nie widziałem i nic mnie z nimi nie łączyło. Tylko nagle przypomniałem sobie, co mówiono o starych czasach... później sobie ojca przypomniałem, a później przypomniałem naszą straszną krzywdę. Jakoś mi się serce ścisnęło...

Przerwałem Kriwoziercewowi i poszperałem w notatnikach. Jakoż zgadza się ta opowieść z zeznaniem oficera polskiego o transporcie, który opuścił Kozielsk dnia 8 marca 1940 roku i znikł następnie w murach więziennych smoleńskich, dnia 13 tegoż miesiąca.

– No i co było dalej? – pytam.

– Cóż dalej... – zamyślił się. – Dalej szły transporty cały kwiecień i wszystka ludność o tym wiedziała. Stąd też dowiedziano się wkrótce, choć ludność u nas nie jest gadatliwa, że wszystkie te transporty szły z Kozielska przez Smoleńsk.

Z okazji pewnej biesiady, przy wódce, opowiedział rzecz szczegółowo Siemion Andriejew, ślusarz ze stacji Krasnyj Bor, który znał dobrze kolejarzy. W Smoleńsku rozbija się transport na mniejsze składy, po dwa, trzy wagony. Stąd puszczają je dwiema liniami, z których jedna, tzw. Aleksandrowska, przechodzi bezpośrednio przez stację Gniezdowo, a druga tzw. Licharłowska, opodal. Ale od niej prowadziła bocznica. Zabieg ten czyniono dlatego, ażeby skład wagonów można było podstawić na ślepy tor, który w Gniezdowie jest krótki, nie mieszczący większego składu, za to

położony w północnej stronie stacji, z boku, nie tak bardzo na oczach ludności. Ze stacji też dokładnie nie dojrzeć, co się dzieje na tym ślepych torze. Tu od razu podjeżdżały zakratowane auta więzienne, w które co prędzej pakowano jeńców. Zaś odkryta ciężarówka zabierała ich rzeczy, jeżeli mieli jakie. Wszystko otaczał ścisły kordon NKWD z gotową do strzału bronią.

W kwietniu szedł jeden transport za drugim codziennie. W różnych porach dnia odwożono z Gniezdowa do Kosogorów w Katyniu, ale nikt nie słyszał, by wieziono w nocy. Krewny mój, Anani Andriejew, zagadnął pewnego razu znajomego enkawudzistę, który miał sobie powierzone pilnowanie przybywających transportów w Gniezdowie. Enkawudzista ten, którego nazwiska nie pamiętam, pochodził z katyńskiej gminy i był czas jakiś, do roku 1928 przewodniczącym sielsowietu (rady wiejskiej) w Syrlipieckowie. Później przeszedł na przeszkolenie do GPU. Miał się świetnie.

„Co to ma być z tymi Polakami? – spytał więc od niechcenia Anani. – Do obozów ich jakichś wieziecie, czy co?”

„Oboozów... – przeciągnął enkawudzista. – A gdzie ty widziałeś te obozy tutaj, co?”

„Obozów tu rzeczywiście nie ma żadnych”.

„No to po co zadajesz głupie pytania” – stuknął po cholewie trzymanym prętem i odszedł.

Anani więcej już nie pytał.

Ja natomiast znalazłem pewnego, który stale, jeszcze od roku 1937, był szoferem jednego z „czernych woronów” smoleńskiego NKWD. Nazywał się Jakim Razuwajew. W skróceniu zwano go: Kim. Od niego się dowiedziałem, że NKWD smoleńskie towarzyszy tylko transportom kolejowym od Smoleńska do Gniezdowa i dalej do Kosogorów w Katyniu. Egzekucji zaś samej, na miejscu, dokonują ludzie z NKWD mińskiego, specjalnie w tym celu sprowadzeni. Zarządzenie to miało niewątpliwie na celu zapobieżenie rozgłaszania szczegółów wśród ludności, która nikogo z Mińska oczywiście nie znała.

Z tym Kimem rozmawiałem później jeszcze kilkakrotnie. Gdy się egzekucje skończyły, dostał on jakąś wysoką nagrodę pieniężną, za którą kupił sobie motocykl. Przyjacielem jego był kierownik garażu NKWD. Razem z nim hulali następnie i pili na umór. Przy okazji wygadał się z tym lub owym, widać jednak, że organizacja wymordowania jeńców polskich, oparta była na systemie przekazywania funkcji z rąk do rąk, tak że jedna i ta sama osoba nie mogła wiedzieć o wszystkim na raz. Jedynie z domysłów, półsłówki lub przypadkowych informacji. Tak na przykład wiadomym było, że liczba mordujących, zrekrutowana ponoć z ochotników

mińskiego NKWD, wynosiła nie więcej niż 50 osób. Ale kto ją ustalił, powiedzieć nie mogę.

W tym czasie las wokół Kosogorów otoczony był gęstą strażą, nie tak jak przedtem, gdy chodzili tylko pojedynczy wartownicy, czasem z psami. Teraz nikt się nie mógł ani tam, ani na powrót przedostać, a po prawdzie powiedziawszy, ludzie przez cały kwiecień z daleka omijali to miejsce. A transporty szły codziennie...

Razu pewnego, pod wieczór to było, bo dobrze pamiętam, że zmierzch zapadał i od lasu ciągnęło chłodem, dnia 23 czy 24 kwietnia, szedłem po szosie w kierunku stacji, gdy jadące z tyłu maszyny właśnie zapaliły reflektory. Toczyły się ciężarówki, niektóre przykryte były brezentem, inne otwarte zupełnie. Ustąpiłem na brzeg rowu i patrzyłem. Naładowane były rzeczami. Jakieś kuferki, plecaki, płaszcze, futerka, kożuszki. Na każdej maszynie siedziało po dwóch enkawudzistów. Karawana ta minęła mnie. Długo jeszcze błyskały światła reflektorów. Późno było i poszedłem prędko do domu.

Ludzie w okolicy przycichli, zapanowało przygnębienie. Bo choć, jak powiedziałem, od dawna na Kosogorach rozstrzelivano skazańców, ale w takim tempie i takiej masie, jak w kwietniu roku 1940, nigdy jeszcze nie było. Strach chodził po prostu, jak to mówią, po kościach.

Kriwoziercew wypił łyk z butelki, przechylając się wstecz i zamilkł.

– A strzałów nie było słyhać?

– Nie. Ja nie słyszałem i moi znajomi też nie. Może kto i słyszał z przejeżdżających bliżej, a być też może, że zapuszczano motory, jak to u nich w zwyczaju, u NKWD. Kto tedy jechał szosą, też mógł słyszeć tylko szum motorów, uwagi nie zwrócił.

– Zgadza się – powiedziałem – z tym, co inni mi mówili w Katyniu. Ale dlaczego jedyny właśnie Kisielew upiera się, że on strzały słyszał?

Kriwoziercew podrapał się w czuprynę.

– Ja myślę, że stary, jak już raz zaczął gadać, to później się zapędził i może podkoloryzował. Ale... on mieszkał najbliżej. Tak, tak, Kisielew mógł też więcej wiedzieć od innych, a na pewno więcej niż zeznał w śledztwie niemieckim.

– A komunikat sowiecki twierdzi, że Kisielewa, zresztą wszystkich innych świadków też, Niemcy bili podczas śledztwa. Ni-

by to stary miał nawet utracić słuch od tego bicia i złamano mu jedną rękę.

Kriwoziercew się roześmiał...

– Ja już się domyślam, kto jemu tę rękę złamał! Zresztą ja panu teraz wszystko po kolei opowiem, jak to było, gdy Niemcy przyszli.

Wojska niemieckie zbliżyły się od południa. Szły brzegiem Dniepru. Było to zaraz po przełamaniu „linii Stalina”. W ten sposób minęły naszą okolicę. Dnia 16 lipca zaatakowali Smoleńsk, a zdobyli go, zdaje się, 19-go. Pierwsze patrole na naszym terenie pojawiły się dopiero po 10 dniach. W ciągu tego czasu panował zupełny chaos. Żadnej władzy. Urzędy i oddziały Armii Czerwonej znikły już dawno. Ludność, jak to ludność, rzuciła się do rabowania składów państwowych. Nikomu wtedy w głowie nie były Kosogory. Wszyscy biegli do Gniezdowa, gdzie mieścił się skład mąki. Każdy brał, ile mógł.

Wielkie też nadzieje pokładano początkowo w przyjsciu Niemców. Zwłaszcza starzy ludzie oczekiwali, że będzie to koniec bolszewizmu: „Niemcy później wyjdą i nastaną stare, dobre czasy”. Tak mówili.

Już od sierpnia tego roku okoliczna ludność chodziła sobie spokojnie po Kosogorach, zbierała drzewo i grzyby. Ja osobiście przebywałem ciągle na tym terenie, bo pilowałem tam drzewo dla Niemców. Wypadki były tak doniosłe, zmiany tak wielkie, że nikt o strasznej masakrze jeńców polskich nawet nie wspominał. Zresztą, czy to mogło interesować Niemców? Zupełnie nam do głowy nie przychodziło i nawet nie zastanawialiśmy się, czy wiedzieli, czy nie wiedzieli o tym?

W „daczy” NKWD w Katyniu zamieszkał jakiś wyższy wojskowy niemiecki. Rangi nie znałem. Ludzie mówili: „Jakiś generał”. Bóg jego wie, może i generał. Ale nikt nie przeszkadzał chodzić po lesie i robić, co kto chciał...

– Chwileczkę – przerwałem. – A czy w „daczy” nie mieścił się czasem jakiś oddział niemiecki pod nazwą: „sztab 537 batalionu roboczego”? Tak rzekomo twierdzą świadkowie wspomniani w komunikacie sowieckim.

– Nie. Sztab taki był, owszem, ale nie żadnego „batalionu roboczego”, tylko po prostu batalionu saperów niemieckich.³¹ Mieścił się on nie w Katyniu, a w Gniezdowie. Każdy w okolicy mógł wskazać palcem miejsce jego postoju. Stał on mianowicie w gmachu sanatorium „BWO”, to znaczy Białoruskiego Okręgu Wojennego, przy samej stacji.

– Skoro już wspominamy komunikat sowiecki, chciałbym raz jeszcze zapytać: czy żadnych, żadnych absolutnie nie było w okolicy obozów dla jeńców polskich? Może wcześniej, może później?...

– Żadnych i nigdy. Poza tymi [Polakami], wylądowanymi na stacji w Gniezdowie w roku 1940, nikt nigdzie nie tylko [ich] nie widział, ale nie słyszał nawet, żeby kto inny słyszał.

– Czy mogą istnieć zatem jakieś podstawy do twierdzenia komunikatu sowieckiego, że na jesieni roku 1941 Niemcy organizowali masowe oblavy na jeńców polskich, którzy rzekomo uciekli z rzekomych obozów?

– Łżą – odpowiedział krótko Kriwoziercew. – Właśnie przeciwnie, tak się złożyło, że żadnych oblav masowych w naszej okolicy nie było, choć, jak wiadomo, terror gdzie indziej był straszny. U nas jeden wypadek tylko się zdarzył, ale nie na jesieni roku 1941, a latem roku 1942. Było tak:

W dalej położonych okolicach poczęły się tworzyć partyzantki, organizowane przez agentów, przybyłych zza frontu. Otóż pewnego dnia zjawił się ze Smoleńska do Gniezdowa były student Smoleńskiego Instytutu Medycznego. Nazwisko jego wyleciało mi z głowy, ale znano go powszechnie, bo pochodził z sąsiedztwa. Nikt jednak nie wiedział wówczas, że jest na służbie niemieckiego S.D. (Sicherheits Dienst), Służby Bezpieczeństwa. Zgłosił się on do szeregu znajomych, których znał z przekonań komunistycznych. Zwłaszcza zaś udał się do studentki, nazwiskiem Czurkina, o przezwisku „Ninka”. Zaczął wyśmiewać się wobec niej z tchórzliwości miejscowych komunistów i zarzucać, że nic nie robią. A było to prowokacją. „Studentów – powiedział – u was dużo, a sensu z nich mało”.

Zdopingowana tym „Ninka” wygadała się, że tworzy się właśnie organizacja partyzancka, na czele której stanął były przewodniczący jacejki komunistycznej, znany pod pseudonimem „Pułkownik Sasza”. Opowiedziała też inne szczegóły. Prowokator wrócił do Smoleńska i wydał wszystkich Niemcom. Wkrótce potem

³¹ Był to oddział łączności 537 (Nachrichtenregiment 537), dowodzony w 1943 przez płk. Ahrenasa. (przyp. wyd.)

dokonano oblavy. Aresztowano około 30 osób, z których 11 rozstrzelano. Była to jedyna oblawa i trwała jedną noc.

Słucham dalej przerwane go opowiadania.

– Skoro już wspominałem o lecie roku 1942 – ciągnął Kriwoziercew – to muszę zaznaczyć, że właśnie w tym czasie po raz pierwszy usłyszałem znowu o sprawie wymordowanych jeńców polskich w Katyniu. Właśnie zjechali na nasz teren robotnicy polscy, którzy służyli w niemieckiej organizacji „Todt”. Wagony towarowe, w których mieszkali, stały koło tzw. Brieckawo Mosta, na skrzyżowaniu wspomnianych dwóch linii kolejowych, Aleksandrowskiej i Licharłowskiej. Pracowali głównie przy zbieraniu łomu żelaznego. Pewnego dnia znajomy mój, Aleksander Jegorow, powiedział:

„A wiesz, ci Polacy odkopali tam swoich, co ich, pamiętasz, rozstrzelali w roku 1940”.

Kiwnąłem głową i zmieniliśmy temat.

Z początkiem roku 1943 terror niemiecki zelżał. Na froncie zaczęło się im źle powodzić. W Smoleńsku pojawiły się różne druki w języku rosyjskim, wydawane przez Niemców, które miały ludność do nich lepiej usposobić. Ja, przyznam, czytałem te pisma chętnie, bo dawno już żadnych nie miałem w rękę. Do Niemców oczywiście nie mogłem się usposobić przychylnie, po tym wszystkim, co widziałem w ich postępowaniu. Ale bolszewizmu nienawidziłem tak samo jak mój ojciec, który przezeń zginął.

Otóż w pewnym numerze gazety rosyjskiej w Smoleńsku przeczytałem wiadomość, że w Sowietach tworzy się armia polska, ale generał Sikorski nie może się doszukać swoich oficerów.

Teraz mogę oświadczyć, że ja byłem właśnie tym człowiekiem, który pierwszy zawiadomił Niemców o masowym morderstwie popełnionym w Katyniu.

Pamiętam, jakby to było dziś, gdy złożyłem czytana gazetę do kieszeni i poszedłem do urzędu niemieckiej tajnej policji polowej (Geheime Feldpolizei) w Gniezdowie. Na jej czele stał oficer, nazwiskiem Voß. Zwróciłem się do tłumacza i powiedziałem:

„Sikorski szuka swoich oficerów, a oni leżą tu, w Kosogorach, pod ziemią”.

Tłumacz przyjął wiadomość obojętnie. Ja byłem podniecony, a jego obojętność rozczarowała i ubodła mnie. Rzuciłem tedy na odchodnym:

„Nie wierzycie, to ja sam odkopię!”

W tej chwili Voß odwołał tłumacza.

Do odkopywania się jednak nie zabrałem. Była zima. W ten sposób upłynęło jeszcze dwa tygodnie. Pewnego wieczoru, gdy wróciłem z pracy, zaszedł do mnie sąsiad i powiedział, że tłumacz z policji niemieckiej szuka mnie i każe zgłosić się jutro rano.

Było to dnia 17 czy 18 lutego 1943 roku, gdy się zjawiłem w urzędzie niemieckim. Prócz mnie wezwany został Iwan Andriejew i Grigorij Wasilkow. Ten ostatni pracował w miejscowej policji porządkowej, tzw. „Ordnungsdienst”. Wsadzono nas do wozu, wrzucono doń jeszcze kilofy i łopaty i pojechaliśmy do Kosogorów. Tłumacz, z drugim podoficerem niemieckim, przodem na motocyklu. Zaczekali nas u wjazdu do lasu, po czym pojechaliśmy do „daczy”. Tu stało kilku żołnierzy niemieckich. Podoficer kiwnął na jednego i coś zapytał. Tamten rozłożył ręce na znak, że nie wie. Wtedy tłumacz zwrócił się do mnie i rzekł:

„No, mówileś, że tu są zakopani oficerowie polscy, to pokaz teraz gdzie”.

Odpowiedziałem, że wiem, owszem, ale położenia mogił nie znam. Wtedy wtrącił Andriejew:

„Dokładnie będzie wiedział Kisielew. On tu mieszka opodal.”

„Lećcie po niego!” – rozkazał tłumacz.

Pobiegłem ja. Kisielew spał na piecu. Wstał jednak chętnie i powiedział:

„To rzecz wiadoma. Ich tu już latem Polacy rozkopali”.

„A teraz wykopiemy my” – powiedziałem.

„Dawno by pora – burknął stary – a to zupełnie jak grzech cięży na duszy.” Kisielew był człowiek pobożny.

Poszliśmy wszyscy razem za Kisielewem i ten wskazał ręką miejsce: „O, tu oni leżą”.

Była to największa z mogił. Teraz dopiero zauważyłem, że brzegi jej są nierówne i kontrastują z gruntem naturalnym. Poza tym jednak zamaskowana była wywróconymi drzewami i zasadzonymi, młodymi sosenkami. Zaczęliśmy kopać. Praca nie szła łatwo, wobec zmarzniętej ziemi. Pot lał mi się za kołnierz. Zrzuciłem kożuszek i w tej chwili zauważyłem postawiony krzyżyk z drzewa brzoźowego.

„Skąd ten krzyż?” – spytałem Kisielewa.

„Tam stoi jeszcze drugi – odparł – Polacy postawili.”

„Oj, tu śmierdzi strasznie trupem!” – zawołał Andriejew, który kopał na dnie jamy. Wasilkow zwrócił uwagę, że ziemia jest czarna, choć grunt wszędzie piaszczysto-gliniasty. Włazł teraz do jamy, ale nie mógł wytrzymać. Powróciłem do roboty, odrzuciłem czarną ziemię, a pod nią leżały... zwłoki w płaszczu wojskowym. Opuszczona łopata chrząsnęła. Zgiąłem się i wydobyłem guzik, z orłem.

„Jest!” – zawołałem do tłumacza i podałem mu guzik. Ten schował go do kieszeni, kazał przerwać robotę i wracać do Gniezdowa.

Gdy jednak Voß dowiedział się o rezultatach poszukiwań, kazał nam ponownie jechać do Kosogorów. Jamę rozszerzyliśmy. Voß własnoręcznie uniósł głowę jednego z zabitych, obejrzał, kazał przysypać trupy po wierzchu z lekką piaskiem, nam zgłosić się do urzędu policyjnego, sam zaś pojechał do Smoleńska.

Tego to dnia właśnie złożyliśmy pierwsze zeznania, które spisywał od nas naczelnik policji niemieckiej Gustaw Ponka, rodem z Wiednia. Wasilkow przestraszył się konsekwencji zeznania i nie chciał podpisać. Każdy z nas zresztą doskonale sobie zdawał sprawę, że w ten sposób podpisujemy na siebie wyrok ze strony władzy sowieckiej. A na froncie Niemcom działa się nie najlepiej... Ponka jednak nie nalegał i zwolnił Wasilkowa. Gdy ten wyszedł, zawahał się z kolei i Andriejew. Wtedy powiedziałem mu:

„Podpisz, bracie! Ja zeznam i podpiszę całą prawdę!”

Andriejew dał się przekonać i podpisał. W kilka dni później składaliśmy już obszerniejsze zeznania. W tym czasie Niemcy zorganizowali wywiady i zbierali zeznania od możliwie dużej ilości osób.

Po tygodniu czy dwóch przystąpiono do systematycznego rozkopywania grobów. Ja podjąłem się funkcji najmowania robotników spośród ludności miejscowej do robót przy ekshumacji. Od tego czasu ciągle byłem w Kosogorach i na moich oczach odbywała się praca do końca. Różnych komisji, delegacji i wycieczek przyjeżdżało dużo. Gdy nas świadków pytano, zwyczaj był taki, że Niemcy się usuwali. Pozostawał tylko ich tłumacz. Ale później zaproponowali nam, żebyśmy sobie wyszukali własnego, iżby nie było podejrzeń jakowegoś nacisku. Znaleźliśmy takiego. Był nim Eugeniusz Siemianienko, syn miejscowej mieszkanki, Emilii Siemianienko, Polki, z domu Kozłowskiej, zamieszkałej we wsi Nowe Batioki. Żadnego nacisku na nas Niemcy nie wywierali, ani podczas zetknięcia z delegatami, którzy przyjeżdżali, ani podczas śledztwa.

Gdyby kogoś terroryzowali lub bili, na pewno bym o tym wiedział. Nic jeden, to drugi by się wygadał. Nikogo nawet palcem

nie ruszyli. Zresztą po co? Zeznawaliśmy prawdę i tyle. A ta prawda była im na rękę. Co zaś do Kisielewa, to specjalnie mogę stwierdzić, że słyszał on na obydwie uszy, jednako przedtem, jak potem, choć był stary. Ręce zaś miał zdrowe. Po raz ostatni widziałem go dnia 24 września 1943 r. Żegnał się ze mną i ścisnął moją rękę swoją prawicą, a w lewej trzymał jakiś węzeł i w dodatku rączkę taczki. Czyli i tamtą musiał mieć zdrową. Ale... że dziś ma ręce połamane i został głuchym, temu się nie dziwię. Raczej temu, że jeszcze żyje, jeżeli żyje. A dlaczego? Zaraz opowiem.

Nikomiu z nas świadków nic się nie stało, prócz Aleksandra Jegorowa. Ten był stale zatrudniony przy ekshumacji i – kradł. Co znajdzie cenniejszego w kieszeni nieboszczyka czy cholewie butów, zaraz przywłaszcza. Zdobył jakieś złote monety, pierścionek... Przyłapano go na gorącym uczynku i rozstrzelano.³² Nas zaś wszystkich, którzy świadczyli, zawieziono do Gruszczenki i tam zanotowane nasze głosy na płytach. Zaczem raz jeszcze zaprzysiężono przed sędzią niemieckim.

Tymczasem odwrót armii niemieckiej stawał się nieuchronnym. Front się zbliżał. Co noc, co dzień wyraźniej było słyszeć od wschodniego horyzontu huk dział. Bolszewicy wrócą. Co wtedy z nami będzie? Z tymi zwłaszcza, którzyśmy wykryli zbrodnię, zeznali i zaprzysięgli prawdę? Ludzie kiwali głowami: „Marny wasz los”. Na każdym kroku przepowiadano nam zgon. Radzono uciekać.

Aż raptem... gadania te ucichły. Wręcz przeciwnie. Stąd i zowąd, z razu nieuchwytnie, dawały się coraz częściej słyszeć głosy pociechy i zachęty do pozostania. Mnie to tak łatwo nie było zwięść. Zwiertzyłem jakąś intrygę. Dziś nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że z tamtej strony frontu przyszła wyraźna instrukcja przez nasłanych agentów, aby wszystkich którzy powiedzieli coś o mordzie w Katyniu, a zwłaszcza zeznawali do protokołu niemieckiego i przed delegacjami, zatrzymać za wszelką cenę, abyśmy się następnie dostali w ręce władz sowieckich. Raz spotkałem w urzędzie gminnym Siergieja Nikołajewa, znanego mi zresztą dobrze komunistę. On to wziął mnie na bok i szepnął:

„Ty, Iwan, nie odjeżdżaj. Nie bój się niczego. My tu ciebie obronimy.”

³² Komunikat sowiecki za przyczynę rozstrzelania Aleksandra Jegorowa podaje rzekomo przezeń rozsiewane wątpliwości w autentyczność niemieckiej relacji. (przypis autora)

Jest to cała złożona, fałszywa całkowicie historia, którą opowiada Komunikat sowiecki. (przyp wyd.)

„Pomyślę jeszcze” – odpowiedziałem.

Kiedyś zaszedłem do chaty Kisielewa. Tam zastałem innego komunistę, kandydata do partii, Timofieja Siergiejewa, który prowadził ożywioną dyskusję ze starym. Urwał na mój widok. Przysiadłem na lawie i porozmawialiśmy o rzeczach błahych, aż w końcu pytam Kisielewa:

„No, a jak ty, Parfemon? Zostajesz? Jedziesz?”

Siergiejew nie dał mu przyjść do słowa:

„Kisielew – powiada – nigdzie nie pojedzie. On stary, nic mu nie zrobią. Opowie, że Niemcy zmusili go gwałtem do zeznań i na tym się skończy.”

Zauważyłem później, że koło Kisielewa ciągle się ktoś kręcił, bądź ze znajomych komunistów, bądź też nie znanych mi, obcych ludzi. Pilnowano go wyraźnie. Niewątpliwie stary wiedział najwięcej i na niego też zwrócono główną uwagę. Obstawiono go tak agentami, że w końcu pozostał w ich ręku... Musieli go strasznie bić później w NKWD, bo był to twardy człowiek, nabożny, i lubił prawdę mówić w oczy.

Zdaje się na drugi dzień odwiedziłem Matwieja Zacharowa, który w okresie niemieckim sprawował funkcję sołtysa wsi Nowe Batioki i też zeznawał w sprawie mordu katyńskiego. Był on moim wujem, bratem matki. Ciotka poczęstowała mnie wódką i wtajemniczyła:

„Przychodzili partyzanci i mówili, żebyśmy zostali. Nikomu z nas, powiadają, włos z głowy nie spadnie. Oni nas obronią.”

„A ja myślę, że trzeba uciekać” – odparłem.

„Ty, Wańka, dużo rozumny jesteś! – wykrzyknęła ciotka – ale w tym wypadku głupi. My zostajemy.”

Jednocześnie poczęto i mnie namawiać. Spotykałem się ciągle z tą samą śpiewką: „Zeznacie, że Niemcy was zmusili, bili, torturowali, że gadaliście pod przymusem, albo w ogóle nieprzytomni.”

Doszło do tego, że nawet Iwan Andriejew przyszedł do mnie jednego ranka z takim projektem:

„Jest u mnie pewien znajomy w chacie. Przesłany przez partyzantów. Namawia nas gorąco, żebyśmy uciekli do nich, do lasu, póki jeszcze są Niemcy. Oni nas przechowają, aż do przyjścia Czerwonej Armii.”

„Aż do przyjścia NKWD, chciałeś powiedzieć.” Andriejew podrapał się w głowę, a ja mówiłem dalej: „Czyś ty oszalał, czy

co!? Ty nie wiesz, co z nami zrobią?! Jeżeli nie za to, że zeznawaliśmy, to w każdym razie za to, że znamy prawdę!”

Andriejew zdecydował się w końcu uchodzić przed bolszewikami. Udało mu się przekonać tłumacza w urzędzie VoBa i ten go wziął razem. Dla mnie nie było już miejsca. W dwa dni później zabrałem matkę i małą siostrzenicę i uprosiliśmy niemiecką kolumnę samochodową, aby nas zabrała.

W Mińsku spotkałem Andriejewa i Eugeniusza Siemianienko. Co się z nimi dalej stało, nie mam pojęcia. Matkę swoją musiałem opuścić w Niemczech i ot, błąkam się teraz...

– Jeszcze jedno ważne pytanie: ile trupów wykopano w Katyniu?

– To przecie rzecz wiadoma. Trochę ponad cztery tysiące.

– A ten grób ósmy?

– To był zupełnie mały grób. Niemcy go zasypali. Po chwili dodał: – Pan przecie był tam.

– Tak – odpowiedziałem – zgadza się.

GDZIE WYMORDOWANO RESZTĘ JEŃCÓW POLSKICH?

Zagadka zbrodni katyńskiej została rozwiązana. Wiadomo, kim byli zamordowani, ilu ich było i kto ich zamordował.

Ponad cztery tysiące jeńców polskich, prawie wyłącznie oficerów, przebywających uprzednio w obozie kozielskim, zastrzelonych zostało przez bolszewików na wiosnę roku 1940.

Ponieważ jednak ogólna ilość jeńców zaginionych wynosiła około 15 tysięcy (ewentualnie 14.500) i zamknięta była nie w jednym tylko Kozielsku, ale Ostaszkowie i Starobielsku, powstało, jak wiemy, pytanie: co się stało z resztą jeńców, w Katyniu nie znalezionych, z tych dwóch pozostałych obozów. Ponieważ żaden z nich, z liczby około 10 tysięcy, nie dał o sobie znaku życia od wiosny roku 1940, mimo najenergiczniejszych poszukiwań i zabiegów, przeto nie ulega żadnej wątpliwości, że zostali również zgładzeni. Zgładzeni na terytorium sowieckim, a więc przez sowiecki aparat państwowy.

Mamy więc do czynienia, jak to wyżej wywodziłem, z nową, większą jeszcze co do liczby zamordowanych zbrodnią. Znamy w przybliżeniu liczbę ofiar. Znamy sprawcę zbrodni. Nie znamy tylko ścisłego miejsca, w którym została dokonana i towarzyszących jej okoliczności.

LOS Y OSTASZKOWA

Dnia 26 stycznia 1943 roku, do kancelarii placówki nr 5 Wojska Polskiego, które opuściło granice Związku Sowieckiego, zgłosiła się niejaka Katarzyna Gąszciecka. Kobieta ta, żona jednego z oficerów zaginionych, należała do tej licznej ludności polskiej, którą władze sowieckie deportowały przymusowo. Opowiedziała ona taką historię:

W czerwcu roku 1941 wieziono mnie wraz z około 4 tysiącami mężczyzn i kobiet, podobnie jak ja aresztowanych i deportowanych z Polski, przez Morze Białe. Płynęliśmy z Archangielska do ujścia rzeki Pieczory, na nowe roboty przymusowe, na nową katorgę. Siedziałam na pokładzie. Patrząc na oddalające się brzegi lądu, poczułam raptownie gryzącą tęsknotę za wolnością, za krajem rodzinnym, za mężem, za życiem w ogóle. Zaczęłam płakać. Nagle stanął przede mną jakiś młody Rosjanin, wojskowy, należący do obsługi barki i zapytał:

– Ty czego ryczysz?

– Płacę nad swoim losem. Czy i tego u was nie wolno, w waszym „wolnym” państwie? Nad losem swego męża...

– A on kim był?

– Kapitanem – odpowiedziałam.

Bolszewik roześmiał się drwiąco:

– Jemu już lzy nie pomogą. Wszyscy wasi oficerowie zostali tu potopieni. Tu, na Morzu Białym – i uderzył obcasem w deski pokładu. Następnie z całym cynizmem opowiedział, że on sam uczestniczył w konwoju transportującym około 7 tysięcy osób, w tej liczbie dużo policji polskiej i oficerów. Holowano dwie barki. Po wypłynięciu na pełne morze barki odczepiono i zatopiono. – Wszyscy poszli na dno – zakończył i odszedł.

W chwili, gdy to mówił, stał obok człowiek stary, również Rosjanin, również należący do obsługi barki, ale nie wojskowy. Gdy tamten się oddalił, starszek podszedł do mnie, oparł się o burtę, i cichym głosem powiedział kilka współczujących słów.

– To prawda – powiedział – co tamten mówił. Działo się to też w moich oczach. Obsługa przeszła na statek holowniczy. Barki zostały przedziurawione. Był to straszny widok – wytarł łzę i westchnął. – Nikt nie mógł się uratować.

Opowiadanie to zgadzałyby się w grubszych zarysach z szeregiem okoliczności, dotyczących obozu jeńców polskich w Ostaszkowie. Przede wszystkim fakt, że mowa była o policji, która wyłącznie zgrupowana była w Ostaszkowie. Poza tym cyfra „około 7 tysięcy”, wymieniona przez Rosjanina, pokrywa się z liczbą jeńców w Ostaszkowie, których jak wiadomo było przeszło 6 tysięcy. Wiemy dalej, że starszy posterunkowy policji polskiej, Woronecki, któremu z nieliczną grupą udało się trafić do obozu w Griazowcu, a stamtąd na wolność, słyszał od wartownika obozowego również o tym, że jeńców potopiono. Zeznania wachmistrza żandarmerii J.B., jakkolwiek nie mówią nic o potopieniu, wskazują na północ jako kierunek, w którym cały obóz ostaszkowski został wywieziony.

Istotnie, dowieziono ich do stacji Bologoje, położonej na północ od Ostaszkowa, a co później?...

Później, w okresie formowania Armii Polskiej w Sowieciech, a znanym dobrze z gorączkowych poszukiwań i wysiłków celem odnalezienia zaginionych, napłynęło dziesiątki wersji o tym, że jeńców polskich widziano lub słyszano o nich na dalekiej północy Rosji. Były też powtarzane z uporem wersje o ich potopieniu, o jakiejś mglistej katastrofie na Morzu Białym itp. Początkowo wierzyło, że wszystkich jeńców wywieziono na północ. Odkrycie Katynia przecięło pasmo tych wciąż klejonych hipotez. Z drugiej strony wyjaśniło się, że na północ istotnie wywieziono jeńców polskich z

roku 1940, ale nie na wiosnę, a jesienią, i nie z trzech wymienionych obozów, a z obozów internowania w państwach bałtyckich. W ogólnym zaś chaosie i późniejszej gmatwaninie wojennej poplątano jednych z drugimi. Ci zaś, z obozów internowanych w państwach bałtyckich, zostali wprawdzie deportowani, ale nie zostali wymordowani.

Na podstawie dotychczas istniejącego materiału, brakuje danych konkretnych, z których by można wyciągnąć wnioski ostateczne i twierdzić, że jeńcy z Ostaszkowa zostali rzeczywiście potopieni. Zeznania Katarzyny Gąszczickiej są ważne, ale nie wystarczające.

Oczywiście, gdyby jeńców z Ostaszkowa wieziono do Archangielska, ich droga prowadziłaby przez stację Bologoje. Ale...

Przeciwko tezie potopienia przemawiają względy rozumowe. Oto bowiem wiadomo, że losy wszystkich trzech obozów, zarówno w okresie ich istnienia, jak w terminie i sposobie rozładowania, wskazują na kompletną analogię. Identyczność metod, zastosowanych względem tych jeńców pozwala się domyślać, że o ich losie rozstrzygał jeden i ten sam rozkaz, wydany z góry, a który zapewne przewidywał nie tylko postanowienie wymordowania ich, ale i sposób, w jaki zbrodnia winna być wykonana.

W tej płaszczyźnie wydawałoby się rzeczą niekonsekwentną mordowanie jeńców z Kozielska w okolicy zaludnionej Smoleńska, w niedużym stosunkowo lesie katyńskim, i jednocześnie wiezienie sześciu przeszło tysięcy jeńców z Ostaszkowa aż do Archangielska, by ich następnie ładować jeszcze na barki i topić w morzu, skoro można ich było w ten sam, co w Katyniu, sposób, wystrzelać na terenie niezmiernych lasów po drodze, na terenie o wiele bardziej nadającym się do zatarcia śladów zbrodni, niż teren smoleński.

Te względy rozumowe przemawiają zatem, że jeńcy ostaszkowscy leżą gdzieś, zakopani w ziemi, opodal stacji wyladunkowej, podobnie jak jeńcy kozielscy leżą opodal stacji Gniezdowo.

LOSY STAROBIELSKA

Gdzie zginęło około 3.500 oficerów polskich ze Starobiel-ska? Na pytanie to nie da się odpowiedzieć inaczej, niż w sposób podobny, to znaczy z powołaniem się na analogię.

Jak wiemy, ostatni ślad, który pozostawiły po sobie transporty wywożone wiosną roku 1940 ze Starobiel-ska, znajdujemy na stacji w Charkowie. Potem on ginie. „Tu waszych wyladują” mówił kolejarz sowiecki. Może mówił prawdę, może kłamał. Jest to świadectwo bardzo niekompletne. Może bliżej, może dalej zastrze-

lono ich strzałem w tył czaszki i zrzucano do wspólnych dolów, zasypano ziemią, posadzono drzewka...

[mapka w oryginale, opis:]

Znane i nie znane drogi jeńców polskich w Sowietach od wiosny 1940.

CZĘŚĆ II

KŁAMSTWO KOMUNIKATU SOWIECKIEGO

W sprawie zbrodni popełnionej w Katyniu, rząd sowiecki, na rozkaz którego zbrodnia ta została dokonana, ogłosił, jak już wiadomo, szereg enuncjacji, w których się jej wypiera. Urzędowa wersja sowiecka twierdzi, że zbrodni wymordowania tysięcy oficerów polskich dopuścili się nie Sowiety, a Niemcy.

Po wyparciu wojsk niemieckich ze Smoleńska, w bliskości którego leży właśnie Katyń, zjechała tam „komisja specjalna” z ramienia rządu sowieckiego, która rzekomo poświęciła się badaniom na miejscu przestępstwa, i w rezultacie ogłosiła wyniki w komunikacie, który przytaczam w brzmieniu dosłownym.

Należy jeszcze dodać, że inscenizując to rzekome śledztwo władze sowieckie zaprosiły na nie szereg korespondentów gazet zagranicznych przebywających w Moskwie. Oto co o udziale tych korespondentów pisze znany literat i dziennikarz amerykański, W.L. White, na stronicy 133-134 swej książki, pt. *Raport on the Russian*, wydanej w New Yorku w r. 1945:

Większość angloamerykańskich korespondentów, biegłych obserwatorów, uwierzyła zanim jeszcze przybyła, że to Niemcy dokonali tego mordu.

Trudno było stwierdzić na pewno, kiedy zostali oni zastrzeleni, lecz jeden z bacznych reporterów spostrzegł, że ciało jednego z Polaków było odziane w długą, zimową bieliznę, i zwrócił na to uwagę przydzielonemu sowieckiemu lekarzowi. Lekarz ów nadmienił, że większość zwłok była ubrana w ciepłą bieliznę lub płaszcze, albo w jedno i w drugie. To wydawało się potwierdzać teorię, że Polacy ci musieli być zastrzeleni raczej w kwietniu 1940 r., jak to udowodniają Niemcy, niż sierpniu i wrześniu 1941 r. po wejściu Niemców, jak utrzymuje rząd sowiecki.

Gdy ten punkt widzenia poruszono wobec towarzyszących sowieckich oficerów, wywołało to u nich wyraźne zamieszanie, wreszcie Rosjanie wysunęli argument, że klimat w Polsce jest tak niepewny, że płaszcze z futrem i długa bielizna mogą być noszone i we wrześniu.

Reporterzy woleli wierzyć opowiadaniom swoich aliantów, które najoczywściej wskazywały na winę Niemców. Co więcej, moskiewska cenzura skreślała wszystkie zdania wyrażające jakąkolwiek wątpliwość.

Gdy reporter pisał: *"Nie jestem ekspertem lekarskim, ale doktorzy mówią, że stan tych ciał dowodzi, iż mordę dokonali Niemcy"* to cenzura wykreślała hipotetyczną część zdania (zaznaczona kursywą), zostawiając tylko suche stwierdzenie.

Skreślone zostały również wszystkie zdania wskazujące na jakąkolwiek wątpliwość opinii korespondentów – takie słowa jak „moim zdaniem”, „prawdopodobnie”, „dowody, jakie nam pokazano, wskazywały” z takim skutkiem, że sprawozdania, gdy dotarły do Ameryki, potępiały tak samo zdecydowanie Niemców, jak to czyniły wydawnictwa „Prawdy”.

Oficjalny komunikat Komisji Sowieckiej, ogłoszony następnie, brzmi, jak następuje:³³

[Dalej, na 26 stronach, oryginalny maszynopis książki J. Mackiewicza przynosi przedruk tekstu komunikatu sowieckiego, oficjalna nazwa: *Komunikat Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez niemieckich najeźdźców faszystowskich w lesie katyńskim jeńców wojennych – oficerów polskich*. (Moskwa 1944, 1945), zwanego też komunikatem Komisji Burdenki, dostępnego w wielu przedrukach, m.in. w książce *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów* (w wyd. 9, 1982, s. 114-143). Nie wydawało się celowe przedrukowywanie tutaj tego komunikatu, zwłaszcza że w następującej po Komunikacie analizie, w tekście Józefa Mackiewicza, autor przytacza znów istotne fragmenty Komunikatu. Komunikatu Komisji Burdenki nie przedrukował Mackiewicz także w pierwszym, angielskim wydaniu swojej książki z r. 1949. Nie ma go też w wydaniu niemieckim z r. 1983. Dalszy tekst Mackiewicza przedrukowuje się w całości.

W rosyjskim wydaniu książki Mackiewicza o Katyniu zamieszczono natomiast w tym miejscu (być może za uprzednią zgodą autora) także tekst *Noty rządu sowieckiego do rządu USA*, jako echo prowadzonych prac Komisji Kongresu w sprawie Katynia. Tłumaczenie tej krótkiej noty wprowadzono i do obecnego wydania. – Przyp. wyd.]

NOTA RZĄDU SOWIECKIEGO

DO RZĄDU STANÓW ZJEDNOCZONYCH

[przedruk tej noty ukazał się w dzienniku „Prawda” z 3 marca 1952 roku a następnie w piśmie „Nowoje Wriemia” z 5 marca 1952 r.]

³³ Zdaniem ostatnim autor zastąpił zdanie skreślone: „Po wyparciu wojsk niemieckich ze Smoleńska i ponownym wkroczeniu doń Armii Czerwonej, w początkach r. 1944 rząd sowiecki ogłosił następującą enuncjację, którą zamieszczamy in extenso:” (przyp. wyd.)

25 lutego Departament Stanu USA przesłał na ręce sowieckiego ambasadora w USA tow. Paniuszki list R. Maddena (z dołączoną do niego rezolucję Izby Reprezentantów Kongresu z 18 września 1951 r.), przedstawiającego się jako przedstawiciel Komisji Izby dla tak zwanego zbadania „sprawy katyńskiej”. W swoim liście Madden wyraził życzenie, otrzymania od rządu sowieckiego określonych dowodów, odnoszących się do zabicia jeńców wojennych, polskich oficerów, których zamordowali hitlerowscy przestępcy w lesie Katyńskim w roku 1941.

Z tego powodu 29 lutego Ambasada ZSSR przekazała Departamentowi Stanu USA notę następującej treści:

W załączeniu Ambasada zwraca przekazany przez Departament list Maddena z dołączonym do niego tekstem rezolucji Izby Reprezentantów z 18 września 1951 r. jako naruszające powszechnie przyjęte normy stosunków międzynarodowych i obraźliwe wobec Związku Sowieckiego.

Ambasada przypomina, że:

1) Sprawa zbrodni katyńskiej jeszcze w roku 1944 była rozpatrywana przez oficjalną Komisję i orzeczono, że dokonali jej hitlerowscy przestępcy, co zostało ogłoszone drukiem 26 stycznia 1944 roku;

2) Przeciwno takiemu wnioskowi Komisji rząd USA nie zgłaszał żadnych sprzeciwów w ciągu ośmiu lat, aż do ostatniego czasu.

Z tego powodu ambasada uważa za konieczne podkreślenie, że wskrzeszanie problemu zbrodni katyńskiej w osiem lat po zakończeniu prac oficjalnej komisji może mieć jedynie na celu zohydzenie Związku Sowieckiego i rehabilitację w ten sposób hitlerowskich zbrodniarzy.

W załączeniu wyżej wspomniany Komunikat oficjalnej komisji w sprawie zbrodni katyńskiej.”

Do noty dołączono „Komunikat Komisji Specjalnej do ustalenia i zbadania okoliczności rozstrzelania przez niemieckich najeźdźców faszystowskich w lesie katyńskim jeńców wojennych – oficerów polskich”, podpisany przez przedstawicieli Specjalnej Komisji: akademika N.N. Burdenkę, członków specjalnej Komisji: akademika Aleksego Tołstoja, metropolitę Mikołaja, Akademika W.P. Potiemkina, generała-lejtnanta A.S. Gundurowa i in. To oświadczenie Specjalnej Komisji było opublikowane w prasie sowieckiej 26 stycznia 1944 r.

„Prawda”, 3 marca 1952 r.

(z rosyjskiego przełożył Jacek Trznadel)

[w dalszym ciągu kontynuuje swój wywód Józef Mackiewicz:]

STWIERDZENIE FAŁSZU

Celem wymienionego komunikatu komisji jest uniewinnienie Sowietów z zarzutu popełnienia największej w tej wojnie zbrodni, jaką ze swego ciężaru gatunkowego i jakości jest niewątpliwie zbrodnia katyńska.

Celu zamierzonego komunikat ten nie osiąga, jak to wykaże poniżej, po dokładnej analizie zawartych w komunikacie twierdzeń, przypominając m.in. wiele znanych już czytelnikowi okoliczności.

SKŁAD KOMISJI SOWIECKIEJ

Wstęp *Komunikatu* zawiera listę osób wchodzących w skład *Komisji Specjalnej* sowieckiej. Przy omawianiu tego składu należy wspomnieć, że jakkolwiek analogiczna komisja powołana w tej sprawie przez Niemców składała się głównie z profesorów państw pozostających w wasalnej zależności od Niemiec, to wszakże weszli do niej również przedstawiciele nauki państw neutralnych. Poza tym rząd niemiecki nie sprzeciwiał się udziałowi w tej komisji oficjalnej reprezentacji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, a przeciwnie, zaprosił ją do udziału.

Rząd polski zwrócił się specjalnie do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o zbadanie sprawy mordu katyńskiego.

W ten sposób żadne z państw na świecie, w tej liczbie nawet Niemcy, nie stało na przeszkodzie oddania sprawy wykrytej zbrodni w ręce bezinteresownej, neutralnej komisji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, cieszącej się wszechświatowym autorytetem. Jedyne tylko rząd sowiecki się temu sprzeciwił. Stanowisko rządu sowieckiego uniemożliwiało Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi bezstronne zbadanie sprawy katyńskiej.

Natomiast rząd sowiecki w rok później powołuje komisję własną, w składzie następujących osób:

Burdenko N.N.
Tołstoj Aleksy
Metropolita Mikołaj
Gundurów A.S.
Kolesnikow S.
Potiemkin
Smirnow Mikołaj Mikołajewicz
Mielnikow

Wszystkie wymienione osoby należą do narodowości rosyjskiej i są obywatelami sowieckimi. W skład komisji nie wszedł ani jeden cudzoziemiec i ani jeden Polak.

Ponieważ wszyscy członkowie komisji są obywatelami sowieckimi, orzeczenia jej nie przedstawiają wartości obiektywnej, ani żadnej gwarancji bezstronnego wypowiedzenia, gdyż brak możliwości wypowiedzenia swobodnego własnego sądu przez obywateli sowieckich jest notorycznie znany.

FAŁSZYWA LICZBA ZABITYCH

Komunikat sowiecki głosi na wstępie:

„Ogólna liczba zwłok wedle obliczeń biegłych sądowo-lekarskich sięga 11.000.”

Jest to nieprawda. Albowiem ogólna liczba zwłok znalezionych w Katyniu nie przekracza 4.300.

Falszywą liczbę zabitych podali przede wszystkim Niemcy. Zapewne posiadali informacje o tym, że Rząd Polski i polskie władze wojskowe czynią starania w Sowietach, nie mogąc doszukać się brakujących 15 tysięcy jeńców, w tym około 9 tysięcy oficerów. Odnalazłszy tedy groby katyńskie, Niemcy, w przekonaniu, że wszyscy brakujący oficerowie zostali tu zgładzeni, jeszcze przed wydobyć zwłok, oceniając „na oko” z otwartych już dołów, ogłosili liczbę 10.000, następnie zaś podawali ją jako wahającą się pomiędzy 10.000 i 12.000.

Ponieważ Niemcy publikowali swe rewelacje dla własnych celów politycznych i propagandy antysowieckiej, leżało oczywiście w ich interesie podawanie jak największej ilości zabitych.

Niemcy zakroili swą propagandę na tak dużą skalę, że następnie wycofanie się na połowę i do 1/3 tej liczby zabitych, którą podali pierwotnie, mogłoby grozić poderwaniem zaufania do tej propagandy. Dlatego też zapewne postanowili zataić prawdziwą liczbę znalezionych zwłok i liczba ta dotychczas nie została nigdzie opublikowana.³⁴

³⁴ To ostatnie zdanie jest niezupełnie ścisłe i jakby koliduje z dotychczasowymi wywodami autora. W urzędowej publikacji niemieckiej *Amtliches Material* Niemcy podali liczbę wydobytych zwłok, bez szacunku (zw. grobu nr 8). Jednak, jak wykazałem w książce *Powrót rozstrzelanej Armii*, nie zwrócono dotąd uwagi, że spis niemiecki pomija wiele numerów i w efekcie wykazuje tylko liczbę 4.027 wydobytych zwłok (bez grobu nr 8)! Problemy list ofiar Katynia nie były poddane historycznej analizie. (przyp. wyd.)

Rząd zaś sowiecki nie mógł wiedzieć, że podziemne władze polskie w kraju posiadają już prawdziwą liczbę [zwłok] znalezionych w Katyniu.³⁵ Ogłaszając przeto liczbę 10.000 we własnej wersji, nie liczył się, że może być w tym punkcie zdezawuowany. Poza tym wersja niemiecka szła mu na rękę oczywiście, umiejscawiając w Katyniu mniej więcej wszystkich brakujących jeńców polskich. Gdyby nawet uznać, że „Katyn” zrobili Niemcy, ale podać prawdziwą liczbę ofiar, powstałoby pytanie, co się stało z resztą jeńców, w Katyniu nie znalezionych? Na to kompromitujące pytanie znowuż musiała być dawana odpowiedź przez rząd sowiecki. I oto dla uniknięcia właśnie tej odpowiedzi, komisja sowiecka podała fałszywą liczbę: 11.000.

LAS KATYŃSKI

Pod tym tytułem komunikat oświadcza:

Ludność okoliczna pasła bydło w lesie katyńskim i zbierała tam dla siebie opał. Żadnych zakazów ani ograniczenia wstępu do lasu katyńskiego nie było. Taki stan rzeczy w lesie katyńskim trwał aż do wojny.

Redakcja tych ustępów obliczona jest wyraźnie na czytelnika nie zorientowanego w topografii Katynia. „Las katyński” przyjęty został popularnie jako określenie miejsca zbrodni. Jest jednak pojęciem rozciąglym, ponieważ Katyn obejmuje rozległe grunta i nie w jednym miejscu, ale w wielu zalesione. A zatem „lasem katyńskim” można nazwać zarówno „Kozie Góry” czyli miejsce właściwej zbrodni, jak też inne tereny. Komunikat sowiecki w dalszym ciągu nie unika nazwy „Kozie Góry”, przeciwnie, używa ją często. Nie pisze jednak, że „na... „Kozich Górach” ludność okoliczna pasła bydło” itd., ale w „lesie katyńskim”, co mogło niewątpliwie odpowiadać prawdzie, nie zmieniając w niczym znanego faktu, że na teren miejsca zbrodni nikt spośród ludności wstępu nie miał. Tym bardziej, że miejsce to, właściwe „Kozie Góry” wokół Domu Wypoczynkowego funkcjonariuszów NKWD, było stałym miejscem kaźni, jak to stwierdziła okoliczna ludność i wykazały wykopane w roku 1943 liczne zwłoki ludzkie w różnych stadiach rozkładu, a sądząc ze szczątków ubrań, obywateli sowieckich.

„JEŃCY WOJENNI POLSCY W OKOLICY SMOLEŃSKA”

Pod tym tytułem komunikat sowiecki głosi, co następuje:

³⁵ Ilość zwłok znalezionych w Katyniu nie była objęta ścisłą tajemnicą Polskiej Podziemnej. Musieli o tym wiedzieć Niemcy. (przyp. wyd.)

Komisja Specjalna stwierdziła, że przed zajęciem Smoleńska przez niemieckich okupantów w zachodnich rejonach obwodu jeńcy wojenni Polacy, oficerowie i żołnierze pracowali przy budowie i naprawie szos. Jeńcy wojenni Polacy byli rozmieszczeni w trzech obozach specjalnych, zwanych: obóz Nr 1-ON, Nr 2-ON, Nr 3-ON, w odległości 25 do 45 kilometrów na zachód od Smoleńska. Zeznania świadków i dokumenty stwierdzają, że po rozpoczęciu się działań wojennych, wskutek wytworzonej sytuacji, obozów nie można było we właściwym czasie ewakuować i wszyscy jeńcy wojenni Polacy, jak również część straży i pracowników obozów wpadli do niewoli niemieckiej.

Oświadczenie to jest oczywistym kłamstwem, gdyż zabici w Katyniu oficerowie w żadnych obozach w okolicy Smoleńska osadzeni nie byli.

Charakterystyczne jest, że komunikat sowiecki podaje numery rzekomych obozów i ich odległość od Smoleńska (od 25 do 45 km), nie wymienia jednocześnie nazw miejscowości, w których miały się one znajdować. Nie podaje też, kiedy te obozy powstały, ewentualnie w jakim czasie mieli być przewiezieni do nich jeńcy. Nie tłumaczy też, dlaczego wymienione obozy miały nosić miano „specjalnych” i na czym mianowicie ta ich „specjalność” polegała.

Oświadczenie to stoi dalej w jaskrawej, krzyczącej wprost sprzeczności z faktem całego szeregu rozmów, które odbyli na temat zaginionych oficerów polskich z najwyższymi czynnikami sowieckimi generałowie Sikorski i Anders, ambasador Kot i rtm. Czapski. Wyczerpujący materiał znajduje się w rękach rządu polskiego na emigracji, jak również znany jest oficjalnym czynnikiem brytyjskim.

Wynika z niego między innymi, że ani Stalin, ani najwyżsi przedstawiciele władzy, NKWD, kierownictwa obozów i itd. – aż do ogłoszenia przez Niemców rewelacji katyńskiej ani jednym słowem nie wspomnieli o obozach jeńców polskich pod Smoleńskiem, mimo iż poszukiwania przeprowadzone przez nich dotyczyć mogły całej przestrzeni Związku Sowieckiego, wiążąc tak odległe miejscowości, jak od Ziemi Franciszka Józefa do granic Mandżurii.

Nie może być zatem w żadnym wypadku prawdą zeznanie niejakiego majora NKGB, Wietosznikowa, komendanta obozu Nr 1-ON, o czym głosi dalej komunikat sowiecki, że zwracał się do naczelnika ruchu smoleńskiej kolci Iwanowa, z prośbą o wagony dla wywiezienia jeńców, ani też prawdą zeznanie Iwanowa, że Wietosznikow takiego zgłoszenia dokonał. Znajomość stosunków sowieckich w ogóle, a zwłaszcza w zakresie działania Komisariatu Bezpieczeństwa NKGB i Komisariatu Spraw Wewnętrznych NKWD, wyklucza wszelką możliwość, ażeby w okolicach niedalekiego od Moskwy Smoleńska znajdować się mogło 11.000 (jak to twierdzi

wersja sowiecka) jeńców oficerów i żeby faktu tego nie dało się ustalić w ciągu paru lat. mimo rzekomo najusilniejszych starań i poszukiwań, przeprowadzonych przez osoby takie, jak Stalin, Mołotow, Wyszyński, gen. NKWD Rajchman, komendant wszystkich obozów (Gulagu) Nasiedkin i inni – podczas gdy wiedział o tym naczelnik ruchu smoleńskiego odcinka Iwanow i major NKGB, Wietosznikow. W dodatku Wietosznikow cofnąć się miał przed okupacją niemiecką w głąb Rosji, co wynika z jego własnych słów, a więc nie stracił kontaktu ze swymi przełożonymi. Miał on też rzekomo usiłować skomunikować się z Moskwą ze Smoleńska, co mu się nie udało, ale po wycofaniu się z miasta zajętego przez Niemców, leżało w jego obowiązkach zameldować o losie obozu jeńców władzom przełożonym, co też by niewątpliwie wykonał, gdyby ten obóz istniał naprawdę, a Wietosznikow był jego komendantem. W takim wypadku wspomniane władze sowieckie już w lipcu 1941 musiałyby posiadać dokładną relację.

Dodać należy nawiasem, że na tym tle wydaje się być rzeczą specjalnie nieprawdopodobną, aby te same władze sowieckie, które w przeciągu wspomnianych lat nie mogły odnaleźć miejsca pobytu 15 tysięcy jeńców polskich – już na drugi dzień po ogłoszeniu przez radio rewelacji niemieckich, mianowicie w komunikatach „Sowinfbiuro” z dnia 15 i 17 kwietnia 1943 r., nie tylko zdolne były poinformować cały świat o istnieniu rzekomych obozów pod Smoleńskiem, ale nawet udzielić szczegółowych informacji dotyczących losu tych jeńców. Komunikaty te poinformowały mianowicie, że obozy zostały zajęte przez Niemców, że jeńcy zostali przez nich rozstrzelani, że sfałszowano dokumenty przy nich znalezione i itp. szczegóły, wszystkie pochodzące z terenu okupowanego przez Niemców.

Można by przypuszczać, że chodziło tu zaledwie o przypuszczenia. Fakt jednak, że wszystkie te przypuszczenia zostały następnie w sposób iście cudowny potwierdzone w późniejszym brzmieniu komunikatu Komisji sowieckiej, nasuwa podejrzenie, iż zarówno komunikaty sowieckie z dni 15 i 17 kwietnia 1943 roku, jak komunikat Komisji z 1944 r., o istnieniu obozów pod Smoleńskiem, zredagowane zostały przez jedno i to samo źródło, a treść ich przesądzona, zanim jeszcze Komisja sowiecka do Katynia zjechała.

DLACZEGO WYŁADOWYWANO JEŃCÓW

W GNIEZDOWIE?

Ale dalszy szereg okoliczności podważa twierdzenie o istnieniu obozów, rzekomo zorganizowanych przez władze sowieckie wiosną 1940 r. dla jeńców polskich pod Smoleńskiem. Jedną z ta-

kich okoliczności jest fakt wyładowania jeńców na stacji Gniezdowo.

Skoro bowiem obozy położone być miały na zachód od Smoleńska w odległości 25 do 45 km, wydaje się rzeczą nieprawdopodobną, aby stacją wyładunkową dla tych obozów miało być Gniezdowo, położone zaledwie o 12 km od Smoleńska, na tej samej linii, przy której są rozmieszczone dosyć gęsto inne stacje, równie dogodne do wyładunku jak Gniezdowo. Nie istniała tedy logiczna racja, aby jeńców wozić samochodami od 12 do 32 km, skoro można było skrócić tę drogę o wiele, wyładowując o 2-3 stacje położone dalej na zachód. Tak by też niewątpliwie uczyniono, gdyby jeńców wożono ze stacji do obozów, a nie wprost z Gniezdowa do położonego o trzy kilometry lasku katyńskiego na stracenie.

SPRAWA EWAKUACJI RZEKOMYCH OBOZÓW

Powracając jednak do zeznań mjr Wietosznikowa na temat jego rzekomych starań ewakuowania obozów, nasuwa się przede wszystkim kompletny brak analogii z powszechnie przyjętą i szeroko w Sowietach praktykowaną metodą ewakuowania więźniów, która zilustrowana została obszernie w rozdziale VII, a rzekomą niemożnością ewakuacji jeńców polskich z rzekomych obozów pod Smoleńskiem. Ten brak analogii czy po prostu sprzeczność, podkreśla tym bardziej ówczesna sytuacja na froncie.

Wojenny komunikat sowiecki z dnia 16 lipca 1941 r. stwierdza:

Koło Witebska usiłowania nieprzyjacielskie, by penetrować teren na wschód, spełzły na niczym.

Należy zaś pamiętać, że według wersji sowieckiej trzy „specjalne” obozy jeńców polskich miały się znajdować o 25-45 km na zachód od Smoleńska, to znaczy 80-100 km na wschód od Witebska...

Ale jeszcze dnia 28 lipca 1941 r. komunikat sowiecki stwierdza:

Smoleńsk nadal utrzymywany.

Teraz powstaje pytanie: kiedy mjr Wietosznikow miał się zwracać z prośbą o wagony do świadka Iwanowa? Komunikat komisji sowieckiej wprawdzie nie podaje dokładnej daty, ale podaje ją natomiast specjalny wysłannik moskiewskiej „Wolnej Polski”, Jerzy Borejsza w swej korespondencji pod tytułem: *Śladami zbrodni*:

Dnia 12 lipca 1941 r. zwracał się doń (do Iwanowa) naczelnik jednego z obozów, z prośbą o danie wagonów.

A więc: 12 lipca. Tymczasem z przedstawienia sytuacji na tym odcinku frontu wynika jasno, że nie tylko 12 lipca, ale jeszcze 13 i 14, a prawdopodobnie i 15 lipca, obozy „specjalne” można było ewakuować, a jeżeli nie pociągami, to marszem pieszym, bez żadnych trudności. Obozy te mogły zupełnie łatwo w ciągu jednego dnia osiągnąć Smoleńsk, po czym miałyby dość czasu na dalszą, choćby bardzo wolną ewakuację w kierunku Moskwy, pod osłoną wojsk toczących bitwę o Smoleńsk.

Z przykładów, które zacytowane są w rozdziale VII, wynika że ewakuacja więźni z innych miejscowości odbywała się w znacznie nieraz trudniejszych warunkach i okolicznościach...

WSZELKA KORESPONDENCJA USTAŁA...

Poza tym fakt, że jeńcy polscy zgładzeni zostali już na wiosnę roku 1940, a nie jesienią 1941, że zatem nie mogli być widziani przy robotach szosowych pod Smoleńskiem jeszcze w lipcu i później roku 1941 przez wymienionych w komunikacie świadków – wskazuje okoliczność, że rodziny tych oficerów, którzy pierwotnie siedzieli w obozie w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie i których zabrano z tych obozów wiosną 1940 roku, przestały otrzymywać odtąd wszelkie od nich wiadomości. Natomiast otrzymały liczne listy, zwrócone przez pocztę sowiecką, z nadrukiem: RETOUR-PARTI.

Rotmistrz Czapski (patrz: *Wspomnienia Starobielskie*) stwierdza, że garstka jeńców polskich, która pozostała przy życiu i przewieziona została do obozu w Griazowcu, otrzymywała listy z kraju, w których osoby zainteresowane wypytywały się gorączkowo o los tych oficerów, z którymi przed wiosną roku 1940 jeszcze utrzymywały korespondencję, a która teraz ustała całkowicie.

To samo stwierdzają osoby z Polski. Rodziny tych jeńców nie otrzymały żadnych od nich listów po maju 1940 roku.

Gdyby zaś wymienieni oficerowie znajdowali się przy życiu, to aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej nie istniała żadna przeszkoda w utrzymywaniu podobnej jak dawniej korespondencji, chyba wyraźny zakaz ze strony władz sowieckich. Ale o zakazie takim nie wspominają żadne źródła sowieckie, ani komunikat Komisji Specjalnej. Wręcz przeciwnie, komunikat sowiecki twierdzi, że przy zwłokach znaleziono rzekomo listy z datą o wiele późniejszą niż kwiecień 1940. Fakt ten jest znamieny. Z jednej strony dlatego, że najbardziej autorytatywne źródło stwierdza, iż zakazu korespondencji nie było, z drugiej zaś stoi to w oczywistej sprzeczności z faktem, że korespondencja ustała. Powstaje więc pytanie, skąd w takim razie Komisja sowiecka doszła do posiadania listów wymienionych w punktach 1), 2), i 3) rubryki *Dokumenty znalezio-*

ne przy zwłokach? W sposób bardzo prosty. Listy wymienione w punktach 1) i 2) są to przesyłki wysłane z Polski. Poczta skierowała je zapewne do NKWD i tu zostały zatrzymane. Również autentyczny może być list Stanisława Kuczyńskiego, napisany 20 czerwca 1941 roku, a nie wysłany. Jak wiadomo bowiem, rtm. S. Kuczyński nigdy nie był w Kozielsku. Był w Starobielsku, ale zabrano [go] stamtąd już w grudniu 1939 r., [i] nikt go więcej potem nie widział. Zapewne osadzony został w więzieniu śledczym, a następnie stracony indywidualnie. Wszystkie jego rzeczy, a więc i nie wysłany list, znalazły się również w posiadaniu NKWD. Stąd łatwo było, przy metodach stosowanych przez tę instytucję, przewieźć te trzy listy do Katynia i podsunąć je zwłokom, albo... po prostu tylko zacytować.

Ale o tym, że wszelka korespondencja ustała, potwierdza jeszcze okoliczność następująca.

Zdrowy rozsądek wskazuje, że Niemcy po prostu nie ważyliby się na „prowokację” (o której mówi komunikat sowiecki) i rozbudzanie, że jeńcy zamordowani zostali wiosną roku 1940, gdyby istniała obawa, że wiele tysięcy rodzin tych jeńców posiada od nich listy z datą późniejszą niż wiosna roku 1940! Albowiem rodziny te byłyby świadkami, zaś listy przez nich posiadane stałyby się dowodami tak dalece kompromitującymi twierdzenia niemieckie, iż propaganda przez nich rozpętana w r. 1943, obróciłaby się przeciwko nim samym. Można by wprawdzie założyć przypuszczenie, że Niemcy potrafiliby na terenie przez nich okupowanym zmusić do milczenia rodziny jeńców, że względu jednak na ich znaczną ilość (około 15 tysięcy rodzin jeńców) byłaby to procedura wielce utrudniona i ryzykująca możliwością, że niektóre spośród osób zainteresowanych wyemigrowały lub zostały deportowane do Rosji jeszcze przed okupacją niemiecką, że inne zbiegną zagranicę lub w inny sposób doprowadzą do ujawnienia fałszu, ogłaszając rewelację w postaci listów późniejszych niż maj roku 1940!

„LICZNE OBLAWY NA JEŃCÓW POLSKICH”

Komunikat sowiecki zawiera między innymi ustęp następujący:

Obecność jeńców wojennych Polaków jesienią 1941 r. w okolicy Smoleńska potwierdza również fakt przeprowadzenia przez Niemców licznych obław na jeńców wojennych, którzy uciekli z obozu.

W dalszym ciągu przytacza zeznania rzekomych „świadków” o obławach, które przybrały charakter masowy specjalnie w poszukiwaniu jeńców Polaków. Wynikałoby z tego, że wielu jeńców Polaków uciekło z obozów, które pozostawili bolszewicy, a przejęli Niemcy. Jak wiadomo, w tym okresie teren zaplecza frontu nie-

mieckiego nie był przez Niemców dostatecznie opanowany i kontrolowany. Szerzyła się partyzantka. Całe rejony były przez nią zajęte. Obszerne lasy dawały dobre schronienia.

O sytuacji na zapleczu niemieckim w rejonie Smoleńska w ten sposób pisze urzędowy organ sowiecki „Izwiestija”:

Pomimo tego, że lepsi synowie Smoleńszczyzny poszli w szeregi Armii Czerwonej, wiele tysięcy dzielnych patriotów-partyzantów porwało za broń na wezwanie towarzysza Stalina, by gromić pulki niemieckie bez pardonu. Partyzanci śledzili za wrogiem dniem i nocą; bili Niemców we wsi w miastach, niszczyli ich u przepraw rzecznych, rozprawiali się z nimi na drogach leśnych, dokonywali śmiałych, heroicznych napadów na tyłach wroga, wysadzali mosty i składy.

A po wkroczeniu Armii Czerwonej:

... ludzie wyszli z lasów, jam, ziemianek...

M. Isakowski: *Na Smoleńszczyźnie*. „Izwiestija” Nr 224, z 22.IX.1945)

Trudno więc przypuścić, aby obracając się w tak łatwym do ucieczki terenie, żadnemu oficerowi polskiemu z liczby tych, którzy rzekomo uciekli z rzekomych obozów, nie mogło się udać przedostać do kraju, do innych rejonów, wreszcie przez front do Rosji i następnie do armii formowanej tam przez generała Andersa. Tymczasem ani jeden wypadek taki nie jest znany. Nie istnieje ani jeden oficer polski na świecie, który mógłby zeznać: „Byłem latem roku 1941 w obozie jenieckim pod Smoleńskiem i zostałem zagarnięty przez Niemców”.

Nieprawdę oczywistą, zawartą w Komunikacie sowieckim, przygwaźdża Iwan Kriwoziercew, który stwierdza, że żadnych obław na jesieni roku 1941 Niemcy nie organizowali w ogóle, a na Polaków w szczególności, których tam nigdy nikt nie widział i widzieć nie mógł, bo ich tam nie było.

ŚWIADKOWIE SOWIECCY

Inaczej przedstawia sprawę Komunikat sowiecki. Z treści jego wynika, że nie jeden tylko Wietosznikow i Iwanow, ale bardzo liczni świadkowie widzieli jeńców polskich, o czym wspominał już wyżej, a czego potwierdzenie znajdujemy w dalszym ciągu Komunikatu Komisji sowieckiej. Czytamy w nim mianowicie:

Obecność jeńców wojennych Polaków w obozach obwodu Smoleńskiego potwierdzają zeznania licznych świadków, którzy widzieli tych Polaków w pobliżu Smoleńska podczas pierwszych miesięcy okupacji do września 1941 roku włącznie.

Dalej zaś [następują] zeznania niejakiej Saszniewej, która widziała jeńców polskich, pracujących na szosach w ciągu 1940-1941 roku, a następnie, w następnych rozdziałach, jeszcze kilku świadków na ten temat. Całą zaś sprawę Komunikat ujmuje w tym duchu, jakby fakt istnienia obozów jeńców polskich i ich pracy na szosie był notorycznie znany i powszechnie wiadomy. Fakt ten jeszcze bardziej pogłębia sprzeczność z oświadczeniami dostojników sowieckich (patrz wyżej) i wykazuje całą absurdalność twierdzeń Komisji sowieckiej, jak również dowodzi, że wymienione w charakterze świadków osoby powiedziały nieprawdę.

Na temat „świadków” w Sowietach, zeznających w sprawach państwowych, należy powiedzieć to samo, cośmy już powiedzieli o członkach Komisji, a mianowicie że brak wolności w wypowiedaniu własnego sądu przez obywateli sowieckich jest notorycznie znany. Pod tym względem reżim sowiecki jest jedynym w swoim rodzaju i wyklucza wszelką możliwość, aby człowiek pozostający w zasięgu jego władzy mógł złożyć jakiegokolwiek oświadczenie niezgodne z wymogami ich władzy. Ogromna ilość środków i sposobów, jakie się w tym względzie stosuje wobec obywateli sowieckich, nie może być oczywiście przedmiotem rozważań niniejszych (patrz załącznik Nr 16). Iwan Kriwoziercew przytacza charakterystyczne szczegóły, świadczące, że władze sowieckie jeszcze przed ponownym zajęciem Smoleńska przygotowały się do odpowiedniego „obrabianie” świadków katyńskich i dlatego rozwinęły akcję za ich pozostawieniem na miejscu, celem dostania w swe ręce. Niewątpliwie też głuchota Kisielewa i jego złamana ręka powstały w tym pierwszym okresie po wkroczeniu władz NKWD. Poza wszystkim należy dodać jeszcze, że świadkowie figurujący w komunikacie komisji sowieckiej są w znacznym stopniu tymi samymi świadkami,³⁶ którzy wobec komisji niemieckiej i międzynarodowej komisji lekarskiej, jak też wobec licznych innych osób zwiedzających groby w Katyniu, zeznali coś wręcz odwrotnego.

SIERPIEŃ-WRZESIEŃ CZY WRZESIEŃ-GRUDZIEŃ

Kto jednak uważnie przestudiował komunikat sowiecki, dojść mógł do wniosku, że i sama „Komisja Specjalna” odniosła się

³⁶ Twierdzenie nieścisłe. Z siedmiu rosyjskich świadków, zeznających przed władzami niemieckimi, w komunikacie Burdenki przytacza się nazwiska jedynie dwu przesłuchiowanych. Dwu określa się jako zmarłych, o trzech wiadomo, że uszli na Zachód. Jednak Komunikat Burdenki wymienia nazwiska aż sześćdziesięciu świadków (w tym zapewne nazwiska wymyślone), a przesłuchano ich stu dziewięciu, jak świadczą tajne do niedawna *Regesty akt śledczych w sprawie Katynia*. Por.: J. Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, rozdz. *Rosyjscy świadkowie Katynia*. (przyp. wyd.)

do zeznań wymienionych w jej komunikacie świadków z dużym lekceważeniem, bądź też nie dała im wiary. A oto dlaczego.

Świadek Fatkow zeznał, że obławy na jeńców polskich, urządzone przez Niemców, ustały całkowicie po wrześniu...

Świadek Aleksiejewa stwierdza, że Niemcy dokonywali egzekucji w końcu sierpnia...

Świadkowie, tak sama Aleksiejewa i koleżanki jej, Michajłowa i Konachowskaja, na których to zeznaniach opiera się cała wersja o tajemniczym „Sztabcie 537 Batalionu Roboczego”, stwierdziły wspólnie i zeznały, że jeńcy polscy rozstrzelani zostali w miesiącach sierpnia-września.

Świadek, astronom Bazilewskij, opowiada o swej rozmowie z niejakim Mienszaginem, odbytej na początku września, a następnie, „w jakieś dwa tygodnie po wyżej opisanej rozmowie”, Mienszagin powiedział: „Z nimi [to znaczy z Polakami] zrobiono już koniec”. Wynika zatem z tego, że już około 15 września wszyscy jeńcy polscy mieli być rzekomo rozstrzelani. Ale należy wziąć pod uwagę, że komunikat sowiecki upiera się przy cyfrze 11.000 jeńców rozstrzelanych w Katyniu i powołuje się na zeznania innych świadków, którzy stwierdzają, że jeńców tych sprowadzano do Kozich Gór „w niewielkich grupkach po 20-30 osób”. Zarówno z ogólnej ilości jeńców, jak powolnego tempa ich rozstrzelania, należy wnioskować, że większość³⁷ ich rozstrzelano w każdym razie przed 15 września i w każdym razie również w sierpniu. I oto mimo wszystkich tych zeznań świadków, bardzo wyraźnych i jednoznacznych, komunikat komisji sowieckiej, w sposób wysoce lekceważący przechodzi nad nimi do porządku dziennego i stwierdza w orzeczeniu:

...rozstrzelanie to nastąpiło w okresie około 2 lat temu, to znaczy w miesiącach między wrześniem a grudniem.

Sprzeczność tego orzeczenia z zeznaniem świadków pogłębia jeszcze bardziej fakt, że niektórzy z nich wyraźnie stwierdzili, iż rozstrzelania dokonane zostały w sierpniu (o którym orzeczenie nie wspomina wcale), natomiast żaden z liczby stu nie wskazał na październik, listopad lub zgoła grudzień...

Ale sprzeczność tego orzeczenia wydaje się jednocześnie tajemniczą, jeżeli się zważy, że ani tekst komunikatu, ani orzeczenie biegłych, w najmniejszym stopniu nie tłumaczy i nie wyjaśnia, dlaczego właśnie te trzy miesiące, o których nie wspomina żaden z

³⁷ Słowem „większość” zastąpiono nie bardzo jasne słowo autora „gros”. (przyp. wyd.)

świadków, należy uważać za możliwy termin rozstrzelania jeńców polskich... Natomiast wyklucza miesiąc sierpień!

Pozorna ta zagadka nie jest jednak trudna do rozwiązania, jeżeli się przywoła na pamięć znane dosyć powszechnie fakty.

Mianowicie wersja sowiecka, od początkowych swoich komunikatów radiowych począwszy, upierała się przy terminie sierpień-wrzesień 1941 roku, kiedy to rzekomo Niemcy mieli rozstrzelać jeńców polskich. Ponieważ należy wnioskować, że komunikat komisji przygotowany był zawczasu, zanim Komisja ta zjechała do Katynia, i zeznania „świadków” wyreżyserowane z góry, więc też i termin sierpień-wrzesień utrzymany był w całej rozciągłości.

Zaszła jednak okoliczność nieprzewidziana: oto dziennikarze zagraniczni, którym zezwolono asystować w okresie pobytu komisji w Katyniu, zwrócili uwagę, że zwłoki poubierane są w ciepłą, zimową odzież. Stwierdzenie tego faktu i pytania skierowane na ten temat do członków komisji wywołały duże zamieszanie wśród obecnych Rosjan. Wiadomym jest bowiem, że odzież taką nosić jeszcze można w okolicach Smoleńska w ciągu kwietnia, gdy tam przeciętnie biorąc jest zimno, co by raczej potwierdzało wersję niemiecką o terminie mordu, natomiast odzieży zimowej nikt nie nosi pod Smoleńskiem w sierpniu, gdy jest tam ciepło, a nawet gorąco!

Początkowo usiłowano tłumaczyć korespondentowi, że klimat pod Smoleńskiem jest nader zmienny... Gdy wersja ta przyjęta została sceptycznym milczeniem, uratowano sytuację w ten sposób, że w orzeczeniu biegłych usunięto miesiąc sierpień, a zastąpiono go miesiącami późnej jesieni i grudnia. Najoczywiściej jednak nie podobna już było zmienić w ostatniej chwili tekstu zeznań świadków, których autentyczność podważona została w ten sposób przez samą komisję sowiecką!

SPRAWA DOKUMENTÓW

Wszystkie jednak przytoczone powyżej argumenty stanowią jedynie o ubocznych okolicznościach obciążających stronę sowiecką zarzutem popełnienia zbrodni mordu katyńskiego.

Czy istnieje jednak okoliczność wskazująca bezpośrednio na sprawców czynu?

Badanie morderstwa katyńskiego nie jest poszukiwaniem bezwzględnie nieznanymi sprawców. Najbardziej obiektywny sędzia czy obserwator nie znajduje się w pozycji detektywa, który nie wie nic i zaczyna od podejrzenia każdego. Takie bowiem masowe morderstwo mogło być dokonane tylko przez wielki aparat, dyspo-

nujący środkami wielkimi, aparat, który w ten czy inny sposób dostał kilka tysięcy zamordowanych ofiar pod swoją władzę, jednym słowem organizacja państwowa.

A zatem sprawcą mordu jest państwo, które w chwili jego popełnienia sprawowało władzę na tym terenie. Mówiąc inaczej: termin dokonania zbrodni wskazuje nam jednocześnie sprawcę.

Zbrodnia została wykryta. Kto jest sprawcą zbrodni? Na to pytanie odpowie automatycznie termin zbrodni.

A cóż się okazało na miejscu zbrodni? Oto że dla ustalenia tego terminu nie konieczne jest przyznanie [się] przestępcy, ani zeznania bezpośrednich świadków zbrodni, ani nawet ekspertyza lekarska i szereg innych okoliczności.

Zamordowani mieli przy sobie świadectwo swego personalnego życia, ograniczonego czasem, w postaci dokumentów, listów, kwitów, pamiętników i itp. przedmiotów, a przede wszystkim gazet, gazet z wyraźnie określonym terminem... Każdy człowiek nosi przy sobie zazwyczaj takie dowody, które posiadają swój wyraz i łączne z nim życie, a więc jego początek i koniec. O ile jednak w odniesieniu do jednostki, dokumenty takie mogą mieć charakter poszlaki zaledwie, przy ustalaniu terminu śmierci człowieka o tyle w odniesieniu do masy ludzi, do przeszło czterech tysięcy, nabierają cech dowodu, w chwili gdy ich masowa obecność jest absolutnie oczywista.

A więc życie tysięcy ofiar katyńskiego mordu, odczytane z dokumentów przy nich znalezionych, wyraźnie, w sposób nie budzący najmniejszej wątpliwości, w sposób zupełnie dla zdrowego sensu oczywisty urywa się i nie sięga poza maj 1940.

A w maju roku 1940 władzę na terenie Katynia sprawowało państwo sowieckie.

Można się uciekać do formuł prawniczych i dyskutować na temat dowodów bezpośrednich i pośrednich, pozytywnych i negatywnych, tym niemniej fakt pozostanie faktem, że ujmując rzecz życiowo i uczciwie, gwałtowne urwanie się korespondencji i ta ogromna ilość gazet, z daty: wiosna r. 1940, znalezionych przy trupach, z jednej strony, a brak jakichkolwiek dokumentów z datą późniejszą, w tej liczbie i gazet, w ciągu półtora następnego roku obfitującego w doniosłe wypadki, z drugiej strony, stanowi dowód niezbity.

Jakże się wobec tego niezbitego dowodu zachowuje państwo sowieckie? Zastania się Komunikatem Komisji Specjalnej, który usiłuje te wszystkie dowody nie tyle obalić, ile niejako je przeskoczyć. W tym celu konstruuje nową legendę o sfalszowanych doku-

mentach, traktując ją jednocześnie w sposób możliwie lakoniczny. Komunikat sowiecki głosi:

Obok poszukiwań „świadków” przystąpili Niemcy do odpowiedniej obróbki mogił w lesie katyńskim: do usunięcia z odzieży zamordowanych przez nich jeńców wojennych Polaków wszelkich dokumentów, oznaczonych dniami późniejszymi niż kwiecień 1940 roku, to znaczy po terminie, w którym zgodnie z niemiecką wersją prowokacyjną Polacy zostali rozstrzelani przez bolszewików; do usunięcia wszelkich dowodów rzeczowych, które mogły tę prowokacyjną wersję obalić.

Dochodzenie przeprowadzone przez Komisję Specjalną wykazało, że w tym celu Niemcy posługiwali się jeńcami Rosjanami w liczbie 500 osób, specjalnie dobranymi z obozu jeńców wojennych nr 126.

GDZIE SĄ GROBY TYCH 500 JEŃCÓW?

Następnie Komunikat narzuca twierdzenie, że wszyscy ci jeńcy sowieccy, którzy zajęci byli przy wydobywaniu zwłok, wyciąganiu im dokumentów, wsadzaniu nowych i itp. zostali przez Niemców rozstrzelani. Gdzie? O tym komunikat sowiecki milczy. W takim razie gdzie zostali zakopani? Też nie wiadomo. Mimo iż byłby to ważny przyczynek do wyświeatlenia sprawy w myśl wersji sowieckiej, mimo iż władze sowieckie panują w terenie i posiadają w swym rozporządzeniu doskonały aparat wywiadowczy, nie są w stanie ustalić, gdzie zostało zakopanych 500 żołnierzy sowieckich!

Nasuwa to przekonanie, iż cała historia z tymi 500 jeńcami bolszewickimi jest zwykłym wymysłem.³⁸

Komunikat przytacza szereg świadków, którzy stwierdzają, że 500 jeńców było zabranych z obozu nr 126, ale nie podają celu, w jakim ich zabrano, co robili ci jeńcy, co się z nimi stało? Jeńcy oczywiście zabrani być mogli z obozu nr 126, ale gdzież jest świadectwo, że zatrudnieni zostali przy odkopywaniu trupów, fałszowaniu przez Niemców dokumentów, a następnie rozstrzelani?

³⁸ Jeszcze w 1990 roku na wiosnę, gdy byłem w lesie katyńskim, po prawej stronie drogi leśnej wiodącej do nowego pomnika katyńskiego, znajdował się pomniczek z czarnego marmuru, upamiętniający 500 rozstrzelanych więźniów rosyjskich. Śladem komunikatu Burdenki przebudowywano i rzeczywistość. (przyp. wyd.)

JEDYNY ŚWIADEK MOSKOWSKAJA

Otóż cała konstrukcja, dotycząca najważniejszej części okoliczności mającej przekonać cały świat o niewinności sowieckiej, opiera się na jednym, jedynym świadku, niejakej Moskowskiej. Komunikat sowiecki podaje:

Dokąd w rzeczywistości skierowano 500 radzieckich jeńców wojennych z obozu nr 126 wynika z zeznań świadka Moskowskiej.

Obywatelka Moskowskaja Aleksandra Michajłowna, która mieszkała na przedmieściu miasta Smoleńska i w okresie okupacji pracowała w kuchni jednego z oddziałów wojskowych, złożyła 5 października 1943 roku podanie do Nadzwyczajnej Komisji Państwowej do ustalenia i zbadania zbrodni okupantów niemieckich, w którym to podaniu prosiła o przesłuchanie jej, gdyż ma do złożenia ważne zeznanie.

Komunikat sowiecki nie podaje bliższych danych personalnych świadka, jej adresu, kontentując się określeniem, że mieszkała na „przedmieściu Smoleńska”. Ten lakoniczny sposób potraktowania osoby głównego świadka przez Komisję sowiecką już budzi niejake podejrzania.

ZEZNAWAŁ W MARCU, CO BYŁO W KWIETNIU...

W dalszym jednak ciągu po zapoznaniu się z treścią zeznań Moskowskiej, dowiadujemy się, że ona sama osobiście nic nie wiedziała, a jedynie ma do powtórzenia, co mówił jej niejaki Jegorow, który w końcu przepadł bez wieści.

Ten ustęp komunikatu zasługuje na specjalną uwagę. Brzmi, jak następuje:

Wezwana przez Komisję Specjalną [Moskowskaja] opowiedziała, że w marcu 1943 roku przed pójściem do pracy weszła po drzewo do swojej szopy, znajdującej się na podwórzu nad brzegiem Dniepru, i zastała w tej szopie nieznanego człowieka, który okazał się rosyjskim jeńcem wojennym.

.... z rozmowy z nim dowiedziałam się rzeczy następującej: nazwisko Jegorow Mikołaj, leningradczyk. Od końca roku 1941 trzymany był przez cały czas w niemieckim obozie jeńców wojennych nr 126 w Smoleńsku. Na początku marca 1943 roku został on z partią jeńców wojennych, liczącą kilkaset osób, wysłany z obozu do lasu katyńskiego. Tam kazano im, w tej liczbie również Jegorowowi, rozkopywać mogiły, w których znajdowały się trupy w mundurach polskich oficerów, wyciągać te trupy z dołów i wyjmować z ich kieszeni dokumenty, listy, fotografie i wszystkie inne rzeczy...

Rzeczy, dokumenty i listy, wyjmowane z odzieży, która była na trupach, przeglądali oficerowie niemieccy. Potem oficerowie kazali jeńcom część papierów wkładać z powrotem do kieszeni tru-

pów, pozostałe zaś rzucali na stos wyjętych w ten sposób rzeczy i dokumentów, które potem palono.

Prócz tego Niemcy kazali wkładać do kieszeni trupów oficerów polskich jakieś papiery, które wyciągali z przywiezionych ze sobą skrzynek czy waliz (dokładnie nie pamiętam). Wszyscy jeńcy wojenni przebywali na terenie lasu katyńskiego w strasznych warunkach pod gołym niebem i pod wzmocnioną strażą...

Na początku kwietnia 1943 roku wszystkie roboty przewidziane przez Niemców zostały jak widać zakończone, przez trzy dni bowiem nikogo z jeńców nie zmuszano do pracy... Nagle wśród nocy wszystkich ich bez wyjątku zbudzono i dokądś poprowadzono...”

W dalszym ciągu Moskowskaja powtarza opowiadanie Jegorowa o rozstrzeliwaniu jeńców sowieckich, o tym jak jemu osobiście udało się uciec.

Moskowskaja zakańcza swe zeznanie: że następnego wieczoru, gdy wróciła do domu, dowiedziała się, że przechowywany przez nią Jegorow został ujęty przez Niemców i zginął bez śladu.

Ten ustęp komunikatu zasługuje na specjalną uwagę ze względu na zestawienie dat. Zawiera bowiem zdanie, na stronie 21 oryginalnego wydawnictwa: „opowiedziała, że w marcu 1943 roku... zastała nieznanego człowieka...” itd., [a] następnie o kilkanaście wierszy dalej, na stronie 22, przy powtarzaniu słów Jegorowa: „Na początku kwietnia 1943 roku wszystkie roboty...”

Z zestawienia tych słów wynika, że Moskowskaja w marcu 1943 roku rozmawiała z Jegorowem, który jej opowiadał, co się działo w... kwietniu tego 1943 roku...

Ale wyłącznie i tylko na słowach Jegorowa, powtórzonych przez Moskowskają, opiera się twierdzenie Komisji Sowieckiej, jak Niemcy usunęli z trupów dokumenty oznaczone datą późniejszą niż kwiecień 1940 roku.

CZY DOKUMENTY MOGŁY BYĆ SFALSZOWANE

Gdyby jednak mimo wszystko przyjąć, że Niemcy w marcu 1943 roku odkopali pomordowane przez siebie ofiary, aby usunąć a ich odzieży wszelkie dokumenty z datą późniejszą niż kwiecień 1940 roku, aby je później zaraz [zniszczyć], że w tym samym i w następnych miesiącach demonstrowali [je] przed licznymi delegacjami, to po pierwsze musiały powstać ślady tej pracy tak na zmasowanym wyglądzie zwłok, jak i na odzieży pomordowanych. Śladów takich nie było, jak to stwierdziłem osobiście, oraz liczni świadkowie, znawcy i eksperci.

W dalszym ciągu wylania się sprawa gazet, które zamordowani posiadali przy sobie w większej ilości. A obecność i charakter użytkowania tych gazet przez jeńców, unicestwienia w sposób kategori- ryczny możliwość zabiegu, który władze sowieckie imputują Niem- com, a tym samym przekreśla ostatecznie możliwość sfalszowania dokumentów znalezionych na trupach w roku 1943 (patrz rozdział XIV).

Zarówno relacje naocznych świadków, którzy dziś znajdują się na wolności i mogą zeznać w każdej chwili, jak również zdrowy sens wykazują, iż absolutną niemożliwością było w przeciągu mar- ca, jak to chce Komunikat sowiecki, w dodatku w okresie mrozu, śniegu i stwardniałej ziemi, zrewidować rzekome 11 tysięcy trupów, pozostających w grobie od lat, sprasowanych wzajemnie, zlepionych między sobą mazią i klejem trupim, poodpinać i pozapinać im z powrotem kieszenie, które do takiego zabiegu się nie nadawały, wyjąć niektóre dokumenty, przejrzeć, przeczytać, niektóre z nich powsadzać z powrotem, łącznie z nowo przywiezionymi itd.

Gdyby jednak wbrew oczywistemu zdrowemu sensowi uznać zabieg podobny za teoretycznie możliwy, to pozostawiłby po sobie, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, ślady tak dalece szyte białymi nićmi, iż trudno nawet wyobrazić sobie, aby rząd niemiecki na wi- dowisko takie mógł zwozić w licznych wycieczkach gości zagra- nicznych, Polaków z kraju i nawet zapraszać Międzynarodowy Czerwony Krzyż z Szwajcarii, ryzykując skompromitowanie się swej propagandy i skandal na rozmiar światowy, który w opinii tego świata mógłby wypaść na korzyść Związku Sowieckiego.

Ze wszystkich tych rozważań wynika jednoznacznie, że wersja sowiecka, zawarta w komunikacie komisji specjalnej, nie może odpowiadać prawdzie i jest świadomie spreparowanym fał- szem.

DLACZEGO MARZEC-KWIECIEŃ 1940,

A NIE CZERWIEC 1941

Do powyższych rozważań dodać należy czysto rozumowe przedstawienie następujących okoliczności.

Władze sowieckie cofając się przed napierającymi wojskami niemieckimi zabierały wszystkich bez wyjątku jeńców wojskowych i więźniów cywilnych, a tych których zabrać nie mogli – mordowali (patrz rozdział VII). Dokumenty i relacje zebrane w tej sprawie z jednej strony przemawiają przeciwko wersji sowieckiej o rzekomym pozostawieniu pod Smoleńskiem obozów jeńców polskich, z drugiej strony nasuwają pytania.

Dlaczego Niemcy, gdyby to istotnie oni, jak chce wersja sowiecka, wymordowali oficerów polskich pod Smoleńskiem na je- sieni roku 1941, a wiedząc bez wątplenia o metodzie uprowadzania jeńców i więźniów przez bolszewików, tudzież stykając się z nią na ich drogach odwrotu nie wyzyskali tej wiadomości i nie ogłosili, że oficerowie polscy w Katyniu wymordowani zostali przez bolszewi- ków nie w marcu-kwietniu 1940, a powiedzmy w czerwcu 1941? Po pierwsze, prawdopodobieństwo takiej wersji, jeżeli by chodziło o zatarcie śladów własnej zbrodni, byłoby większe. Po drugie, usunę- ło by cały szereg mogących się nasuwać sprzeczności i dowodów rzeczowych wynikających z półtorarocznej jeszcze egzystencji tych oficerów. Po trzecie, zbliżywszy w ten sposób terminy rzekomego i faktycznego wykonania zbrodni, unikało się ryzyka dyskusji na te- mat stanu zwłok i innych świadectw z dziedziny sądowo lekarskiej.

Były to okoliczności tak ważne, iż gdyby Niemcy istotnie wymordowali oficerów polskich w jesieni 1941 roku, a tylko zrzu- cili następnie winę na bolszewików wszystko przemawiało za usta- leniem przez nich daty lata 1941 roku, a nie daty wiosny 1940!

Na tle tak przedstawionego rozumowania wysunięcie przez Niemców dowolnej daty marzec-kwiecień 1940 roku, byłoby więcej niż lekkomyślnością, nota bene lekkomyślnością nie tyle niczym nie uzasadnioną, ale absolutnie nie zrozumiałą u tych Niemców, wy- specjalizowanych również ze swej strony w masowych mordach.

Ale w sprawie mordu katyńskiego Niemcom nie potrzebna była konstrukcja sztucznego zacierania śladów, ponieważ tej zbrodni dokonali nie oni, a bolszewicy.

CZĘŚĆ III

ZAŁĄCZNIKI

[Nie przedrukowuję tutaj wszystkich załączników książki Mackiewicza o Katyniu. Powszechnie znane a obszerne objętościowo, identyczne załączniki można znaleźć w różnych książkach o Katyniu, zwłaszcza w *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*. Jeśli załącznik nie został tutaj przedrukowany, ograniczono się tylko do podania źródła, w którym czytelnik odnajdzie cytowany przez autora załącznik. – Uwaga wydawcy]

Załącznik nr 1

ANGLIA ODMAWIA DEKLARACJI W SPRAWIE POLSKO-SOWIECKIEJ

Z noty Zastępcy Dyrektora Wydziału Politycznego francuskiego MSZ w sprawie okrucieństw sowieckich w Polsce z dnia 18 maja 1940.

Ambasador angielski zawiadomił Wydział Polityczny, iż Rząd Polski zaproponował Rządowi Brytyjskiemu opublikowanie wspólnej angielsko-francusko-polskiej deklaracji, protestującej przeciwko okrucieństwom dokonany przez Sowiety w Polsce.

Foreign Office uważa ogłoszenie podobnej deklaracji w obecnej sytuacji za niewskazane, ponieważ nie będzie ona miała żadnego praktycznego znaczenia, z drugiej zaś strony wywołać może skutki niekorzystne z punktu widzenia politycznego.³⁹

Załącznik nr 2

AGRESYWNY CHARAKTER DZIAŁAŃ SOWIECKICH

W POLSCE W ŚWIETLE ŹRÓDEŁ MOSKIEWSKICH.

Zaczepty charakter działań wojennych Armii Czerwonej w Polsce potwierdzają źródła sowieckie. W pierwszej rocznicę najazdu

³⁹ Maszynopis autora proponuje zamieszczenie tu fotokopii oryginału francuskiego z *Amtliches Material...*, 1943.

na Polskę, dnia 17.IX.1940 roku „Krasnaja Zwiezda” (nr 210) opublikowała artykuł, w którym między innymi pisze:

Minął rok, gdy oddziały Armii Czerwonej przekroczyły granicę Polski. Do historii czynów bojowych Czerwonej Armii na zawsze zostaną wpisane zwycięstwa pod Grodnem, Lwowem, huraganowe przełamanie i rozbicie warownego ośrodka Sarny, uderzenie na wroga pod Baranowiczami, Dubnem, Tarnopolem itd. ...Szybkość paraliżowała opór przeciwnika. W przeciągu 12-15 dni nieprzyjaciel był zupełnie rozbity... W tym okresie przez jedną tylko grupę wojsk frontu ukraińskiego wzięto do niewoli: 10 ~~generałów~~ 52 pułkowników, 5131 oficerów, 4096 podoficerów i 181228 szeregowych...

W tymże numerze zamieszczony jest drugi artykuł podpisany przez niejakiego Kożewnikowa, oskarżający Polskę o wywołanie wojny z Niemcami... Wspominając bitwę o Grodno konstatuje [się], że Armia Czerwona wzięła do niewoli: 66 oficerów i 1477 szeregowych.

Załącznik nr 3

ŻOŁNIERZE POLSCY W NIEWOLI SOWIECKIEJ.

Na podstawie ogromnej ilości relacji Referat Historyczny Kancelarii A.P.W. opracował w całości historię jeńców polskich w Sowietach. Z pracy tej podajemy niektóre wyjątki:

Przeżycia żołnierzy polskich w niewoli sowieckiej ze względu na swój zupełnie wyjątkowy charakter należą nie tyle do historii wojny polsko-sowieckiej, ile do dziejów martyrologii narodu polskiego. Los jeńców polskich w ZSRR od września 1939 r. nie ma odpowiedników w historii. Sowiety nie uznają konwencji genewskiej z r. 1929, wychodząc z założenia, iż postanowienia państw kapitalistycznych wkraczające w dziedzinę etyki, nie mają żadnej wartości.

Przy wzięciu do niewoli żołnierzy polskich bolszewicy natychmiast dokonywali podziału na oficerów i szeregowych, bynajmniej nie w celu traktowania oficerów zgodnie z art. 21 Konwencji Genewskiej, lecz po to aby wyłączyć niewątpliwych wrogów proletariatu. Do grupy oficerów dołączano często policjantów, żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, żandarmerię, straż celną i cywilnych sędziów i prokuratorów, oraz urzędników administracji państwowej.

Posądzenie szeregowego o posiadanie stopnia oficerskiego narażało na różne kary, bicie i tortury.

W tych obozach, gdzie oficerowie znajdowali się razem z szeregowymi, bolszewicy wyznaczali oficerów na roboty najbardziej przykre i połączone z upokorzeniem.

Posądzenie szeregowego o posiadanie stopnia oficerskiego było dla jeńca wojennego w ZSRR okolicznością obciążającą.

Jeńcy polscy w ZSRR, nie tylko oficerowie, ale i szeregowi, byli pozbawienie podstawowych praw, przysługujących każdemu jeńcowi, który nie jest przestępcą. Pod tym względem zwyczajnie sowieckie są w rażącej sprzeczności z uchwałami genewskimi.

Przede wszystkim, wbrew art. 8 Konwencji Genewskiej, który nakazuje stronom wojującym o wszelkim wzięciu do niewoli powiadamiać w najkrótszym czasie stronę zainteresowaną, za pośrednictwem biur informacyjnych – władze sowieckie nie tylko nie powiadamiały nikogo, kto z żołnierzy polskich znajduje się w obozach jeńców, ale przeciwstawiły się wszelkim próbom ustalenia stanu faktycznego.

W tych warunkach ustalenie dokładnej liczby jeńców staje się niemożliwe. Dlatego też sprawa jeńców polskich w ZSRR do dnia dzisiejszego nie jest ostatecznie wyjaśniona, jeżeli chodzi o szczegóły.

Szczególnie ciężkie dla jeńców były dwa okresy. Pierwszy – to początki niewoli, kiedy wielkie masy żołnierzy polskich trafiły do zupełnie nieprzygotowanych obozów i przechodziły wyjątkową poniewierkę, połączoną z chronicznym głodem. Wówczas tylko zdrowi i silni mogli wyjść bez szwanku, natomiast ranni i chorzy umierali masowo. Przykładem może służyć obóz w Szepietówce, gdzie – „ze względu na brak dostatecznej ilości ustępów, wszędzie spotykano brudy, a liczni ranni i chorzy porzuceni na korytarzach, pomimo nadludzkich wysiłków polskich sanitariuszek, leżeli dosłownie w kale...”

Praca jeńców w ZSRR odbywała się w warunkach całkowicie sprzecznych z postanowieniami Konwencji Genewskiej. Przeznaczono do niej nie tylko jeńców zdrowych i fizycznie silnych (art. 27-30), lecz słabych i chorych. Dzień pracy wynosił niekiedy 16 do 18 godzin, odpoczynek niedzielny przeważnie nie istniał.

Konwencja Genewska w specjalnym rozdziale (art. 31-32) omawia pracę niedozwoloną, którą jest praca mająca związek z działalnością wojenną lub w warunkach niezdrowych i niebezpiecznych. Większość obozów jeńców polskich w ZSRR była przeznaczona do prac związanych z działaniami wojennymi.

Pięć wielkich zespołów obozów na terenie sowieckiego Zagłębia Donieckiego i w rejonie Krzywego Rogu było rozmieszczonych przy kopalniach rudy żelaznej i węgla. Ruda i węgiel, wydobywane rękami żołnierzy polskich, szły do połowy roku 1941 do Niemiec. Na tym tle w obozie w Margańcu doszło do strajku, gdyż jeńcy nie chcieli pracować na korzyść Niemców.

Nie da się ustalić, ilu jeńców polskich zginęło w katastrofach w kopalniach sowieckich, ilu zostało inwalidami, gdyż władze sowieckie ukrywały stan umarłych i kalek.

Pierwsze obozy jeńców polskich, wziętych do niewoli przez oddziały Armii Czerwonej, powstały na terenie Polski i miały charakter prowizoryczny.

Okropne warunki obozów przejściowych wpływały na liczną ucieczki, które na terenie Polski były łatwe, jednak sporo żołnierzy wierzyło zapewnieniom bolszewików o zwolnieniu za kilka dni i czekało na przepustki.

Jeżeli chodzi o ruch większych grup jeńców w pierwszym okresie niewoli da się ustalić następujące kierunki. Z obozów na terenie Polski skierowano jeńców do Szepietówki, Kozielszczyzny, Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa. Do innych obozów, jak np. do Putywła, Griazowca, Suzdała trafiały małe grupy. Pierwotnie w obozach umieszczano oficerów razem z szeregowymi choć w różnych barakach, potem zaczęto tworzyć obozy oficerskie, usuwając w październiku 1939 roku szeregowych z Kozielska i Starobielska. Szeregowi z Kozielska zostali przeważnie wywiezieni do Polski, gdzie powstały liczne drobne obozy. Ze Starobielska, Putywła i innych obozów skierowano szeregowych do kopalni węgla i żelaza na południu ZSSR. Policjanci, KOP, żandarmeria w znacznej ilości zostali wysłani do Ostaszkowa, który w roku 1919-1920 był już obozem jeńców Polaków.

W ten sposób ruch jeńców oficerów był jednokierunkowy: z zachodu na wschód, ruch zaś szeregowych był bardziej złożony: najpierw z zachodu na wschód, potem dla jednych droga powrotna, dla innych kierunek na południe, dla jeszcze innych – na północ. Pewna stabilizacja zaznaczyła się w końcu 1939 roku i trwała do wiosny 1940 roku. W tym czasie jeńcy pojedynczo lub grupami byli przetrzucani z miejsca na miejsce, ale stan ilościowy obozów nie ulegał zmianie. Natomiast z wiosną 1940 roku rozpoczęła się likwidacja obozów oficerskich i podoficersko-policyjnego (Starobielsk, Kozielsk, Ostaszków) oraz obozów w południowych okręgach górniczych (Jelenówka, Karakub, Krzywy Róg, Marganiec, Zaporozże).

Przeprowadzona na rozkaz Dowódcy Armii Polskiej na Wschodzie ankieta wśród byłych jeńców wojennych w ZSSR pozwoliła na ustalenie 138 obozów jenieckich.

Zarysy dziejów poszczególnych obozów siłą rzeczy zostały skreślone bardzo nierówno, zależnie od posiadanych danych wydobytch z ankiety. Pomimo te niedokładności i nieuniknione usterki ogólny obraz losu jeńców zarysował się zupełnie wyraźnie, rozmieszczenie zaś obozów dało się odtworzyć ze znaczną ścisłością.

Większość obozów, przeważnie małe liczebnie, znajdowała się na terenie Polski. Obozów tych, według posiadanych relacji, było 90.

Na terenie ZSSR istniało 48 dużych, a niekiedy olbrzymich obozów, które były rozmieszczone na terenie trzech sowieckich republik: Ukrainiejskiej, Rosyjskiej i Komi ASSR.

Obozy na terenie największej sowieckiej republiki – rosyjskiej – były rozrzucone na olbrzymiej przestrzeni od centralnej

Rosji (Małachówka pod Moskwą, Kozielsk, Suzdal i in.) do Murmańska. Obozy na terenie obłasti Archangielsk – Kotlas i Urdoma były organicznie związane z obozami w Komi ASSR.

Resztę stanowiły obozy przejściowe, obozy, w których jeńców nie zmuszano do pracy poza murami obozów, oraz inne, których charakteru nie dało się ustalić na podstawie posiadanych relacyj.

Relacje te nie dają odpowiedzi na podstawowe pytanie: ilu żołnierzy polskich dostało się do niewoli sowieckiej? Całkiem pewne cyfry, dotyczących ostatnich dni istnienia czterech obozów, z których wyszli pierwsi żołnierze Polskich Sił Zbrojnych w ZSSR, są niewspółmiernie małe w stosunku do oficjalnych danych sowieckich, stwierdzają bowiem obecność mniej niż 10% wszystkich jeńców. Nasuwają one nowe pytania i wątpliwości.

Załącznik nr 4

TABELA TRANSPORTÓW Z KOZIELSKA

(wywożonych w kwietniu i maju 1940 r.)⁴⁰

3 kwietnia	62 osoby	m.in. J. Niemczyński, Wojciechowski
4 kwietnia	302 osoby	
5 kwietnia	280 osób	Fryga, Burdziński, Westerski, Wołoszyn
7 kwietnia	92 osoby	generałowie: Bohaterewicz, Minkiewicz, Smorawiński, płk Stefanowski, mjr Solski
8 kwietnia	277 osób	Kruk, Zalasik
9 kwietnia	270 osób	
11 kwietnia	290 osób	Wajda, Wajs, Bogusławski, Przygodziński, Iwanuszko, prof. Pieńkowski, Ulrichs, Skupień
12 kwietnia	204 osoby	Kotecki, Ochocki
15 kwietnia	150 osób	płk Pawlikowski, Bilewski
16 kwietnia	420 osób	kmdr Moszczeński, kpt. Trojanowski, Znajdowski, Sołtan
17 kwietnia	294 osoby	Roguszczak, ⁴¹ Liliental, Majewski

¹ Dzisiaj dysponujemy pełnymi spisami poszczególnych transportów, opublikowanych z archiwów rosyjskich NKWD. (przyp. wyd.)

¹ Brak tego nazwiska na listach katyńskich, także NKWD. (przyp. wyd.)

19 kwietnia	304 osoby	Józwiak, Handy, Leitgeber, Rumianek, Domania, Rzążewski
20 kwietnia	344 osoby	Kowalewicz, Prauza, Jabłoński, prof. Morawski, Paciorkowski
21 kwietnia	240 osób	dr Jakubowicz, kpt. Trepiak
22 kwietnia	120 osób	J. Zięcina
26 kwietnia	160 osób	(odnaleźieni w obozach Pawliszczew Bor i Griazowiec)
27 kwietnia	200 osób	
29 kwietnia	prof. Swianiewicz,	doc. Tucholski, por. Żółtowski, ppor. Korowajczyk

Razem 4.309

W maju wywieziono ostatnie trzy transporty, a mianowicie:

10 maja	50 osób
11 maja	50 osób
12 maja	95 osób

Razem 195

Z tych 195 osób odnalazł się transport ostatni (95 osób), wywiezionych podobnie jak transport z 26 kwietnia do Pawliszczew Boru.

W sumie zatem z wywiezionych 4.504 osób odnalazły się jedynie dwa transporty – razem 255 osób, oraz kilka osób, wydzielenych w drodze z transportów.

Nie odnalazło się zatem:

z wywiezionych w kwietniu	4.149 osób
z wywiezionych w maju	100 osób

CHARAKTERYSTYKA NIEKTÓRYCH

SPOŚRÓD ZAGINIONYCH

[fragment wspomnienia J. Czapskiego]

Wymieniony kilkakrotnie Józef Czapski, oficer, malarz, literat, więzień Starobielska, opisując następnie swe przeżycia i wrażenia, przytacza nazwiska i charakterystykę niektórych spośród współwięźniów, którzy zginęli bez wieści:

W samym Starobielsku było dziewięciu generałów: generał Stanisław Haller, generał Skierski, generał Łukowski, generał Franciszek Sikorski, generał Billewicz, generał Plisowski, generał Kowalewski i generał Piotr Skuratowicz. W Kozielsku było trzech generałów: generał Minkiewicz, generał Smorawiński i generał Bohaterewicz. Z nimi był też kontradmirał Czernicki. Z tych wszystkich generałów dwóch tylko ocalało, generał Jarnuszkiewicz, przewieziony zimą 1939-1940 roku do Lubianki, i generał Wołkowicki, który był później z nami w Griazowcu. Około 800 pułkowników i podpułkowników, około 500 majorów, około 2.500 kapitanów, około 5.000 poruczników i podporuczników całkowicie zniknęło z wyżej wymienionych obozów.

W Starobielsku było nie mniej niż 600 oficerów wojsk lotniczych. W obydwu obozach nie mniej niż 800 lekarzy. W Kozielsku przebywał znany neurolog, profesor Pieńkowski, wraz z lekarzem przybocznym marszałka Piłsudskiego, dr Stefanowskim, neurolog prof. Mateusz Zieliński, prof. Jan Nelken, dr Wroczyński, uprzedni wiceminister zdrowia, rzadki wypadek połączenia intelektualisty z idealistą. Również prof. Godłowski, który był następcą prof. Rose w Wilnie, jako badacz kory mózgowej.

Spotkałem też w Starobielsku znanego chirurga warszawskiego dr Kołodziejkiego. Dr Kołodziejki był schwyty przez bolszewików we wrześniu 1939 r. w Brześciu nad Bugiem. Został on wtłoczony wraz z kilku setkami innych oficerów do towarowego wagonu. Wozy zostały zaplombowane i „pasażerowie” zostali powiadomieni, że pociąg zostanie wysłany do Warszawy. Zamiast tego po 20 dniach podróży odbytej w warunkach wprost urągających higienie, zaplombowane wagony przybyły do Starobielska. Również słynny warszawski chirurg, Levittoux, był między ofiarami. Pomiedzy mieszkańcami obydwu obozów znajdowało się około 50 profesorów polskich uniwersytetów, w tej liczbie prof. Morawski z warszawskiej Politechniki; Tucholski, fizyko-chemik, którego specjalnością były materiały wybuchowe i który bywał wykładowcą w Cambridge; Piotrowicz, sekretarz Krakowskiej Akademii Umiejętności, któremu zawdzięczamy wspaniałe wykłady z dziedziny historii polskiej, tajnie przez niego wygłaszane w obozie w Starobielsku. Byli tam również inż. Eiger, wiceprezes antynazistowskiej ligi w Polsce i dwóch redaktorów żydowskiego pisma „Nasz Przegląd”,

którzy zdołali umknąć z okupowanej przez Niemców Polski. Zginęło 80% oficerów z Instytutu Badań nad uzbrojeniem, jak również 80% studentów Sekcji Uzbrojenia przy warszawskiej Politechnice, którzy służyli w wojsku. Żywa dusza nie wróciła z obsady wojskowego przeciwgazowego instytutu, którzy wszyscy z majorem Brzozowskim włącznie zostali wzięci do niewoli. Wiadomo o dwóch tylko osobach, które ocalały z pińskiej sekcji sztabu marynarki.

Chciałem wspomnieć tu nazwiska wielu, których dobrze znałem i oceniałem jako ludzi najwyższego poziomu umysłowego. Jednym z nich był Zygmunt Mitera, który był jedynym Polakiem, który otrzymał stypendium imienia Rockefellera i uzyskał amerykański dyplom inżyniera górniczego w Stanach Zjednoczonych. Jego zapal naukowy równał się osobistemu czarowi. W swoim fachu był jedynym polskim ekspertem... Ten także, wyposażony w wyjątkowe zalety serca i umysłu, zginął wraz z innymi.

Z lekarzy chciałbym wspomnieć o doktorze Dadeju, znanym specjalistcie chorób dziecięcych w Zakopanem (w polskim zimowym uzdrowisku). Był w Polsce dyrektorem wielkiego sanatorium dla gruźliczych dzieci. Na kilka lat przed wojną znany sowiecki profesor po wizycie w tym sanatorium, zapisał w książce szpitalnej następujące zdanie: „Chciałbym przenieść cały ten szpital wraz z jego personelem do Rosji Sowieckiej”. W 1931 r. ja towarzyszyłem w Zakopanem jednemu z najsłynniejszych, współczesnych historyków francuskich, Danielowi Halévy. Byliśmy również w tym szpitalu. Kiedy opuszczaliśmy ten zakład, Halévy powiedział: „Jeśliby taki szpital istniał w sowieckiej Rosji, cały świat by o tym wiedział. Jak to wytłumaczyć, że tak mało wiemy o waszych osiągnięciach?” Dr Dadej, który był duszą tego zakładu, wstąpił do wojska jako lekarz. Później pracował jako taki w październiku 1939 r. w Tarnopolu, po zajęciu tego miasta przez Czerwoną Armię. Pewnego dnia rozkazano jemu i jego kolegom być na specjalnym zebraniu w celu spisania ich danych osobistych. Tam to zostali aresztowani, zabrani na stację kolejową i wysłani do Starobielska. Wszyscy zginęli.

Również pamiętam kapitana Hofmana. Był to zawodowy żołnierz. Kończył w Belgii politechnikę, pracował kilka lat w Szwecji i był jednym ze specjalistów przeciwlotniczej artylerii. (...)

Jednym z moich towarzyszy pryczy był porucznik Skwarczyński, który w Polsce był jednym z wydawców nadzwyczaj ciekawego pisma dla młodzieży „Bunt Młodych” i „Polityki”. Był świetnym ekonomistą, organizował w obozie sekcję ekonomistów, którzy prowadzili dalej pracę oraz polityczno-ekonomiczne dyskusje bez książek, w nieprawdopodobnych warunkach, zawszeni, głodzeni, stłoczeni. On również zniknął, jak tamci. Później dostałem list od jego żony z Semipałatyńska w zachodnio-północnym Kazachstanie. Ona została wywieziona w dwa tygodnie przed urodzeniem dziecka, wraz z rodzicami męża, głęboko w kraj sowiecki podczas ostrych mrozów i w najgorszych warunkach. W dwa tygodnie po jej przyjeździe na miejsce zesłania dała życie dziecku, które później zmarło.

Jednym z wielu kapelanów, przebywających z nami w Starobielsku, był kapelan Aleksandrowicz, znany w Polsce jako wybitny kaznodzieja. Kulął na skutek rany w nodze. W pierwszym okresie wielu z nas zawdzięczało mu duchową pomoc i wielką pociechę, którą czerpaliliśmy z jego dobroci i braterskiej miłości... Wielebny ksiądz Aleksandrowicz zapłacił za tę rolę, którą grał między nami przez te pierwsze trzy miesiące. Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem był nagle nocą wywieziony razem z superintendentem (luterański biskup) Potockim i rabinem Steinbergiem.⁴² Wszyscy trzej zginęli. Wiem, że byli trzymani przez kilka tygodni w moskiewskim więzieniu i później w samotnej wieży w Kozielsku, a następnie wywiezieni w nieznanym kierunku.

Teraz chcę powiedzieć kilka słów o profesorze Ralskim (specjalista łącznawca), poprzednio wykładowcy na krakowskim uniwersytecie i profesorze poznańskiego uniwersytetu. Był on oficerem rezerwy w 8 pułku ułanów, w którym ja też służyłem podczas wrzesniowej kampanii 1939 r. Ralski zostawił żonę i córeczkę, o których nie miał wiadomości aż do marca 1940 r., kiedy się dowiedział, że Niemcy wypędzili jego żonę z mieszkania, pozwalając ze sobą zabrać tylko jedną walizkę, zaś wszystkie jego naukowe papiery, owoc wielu lat pracy, zostały zniszczone. Ralski odznaczał się równowagą ducha. Gdy jako więzień był przewożony przez śnieżne stopy ukraińskie w nieznane, głodny i cierpiący wskutek odmrożeń, umiał się oderwać od strasznej rzeczywistości. Z namiętnością naukowca obserwował śnieg i zioła trawek, wstające spod śniegu. Przypominam sobie, że podczas pobytu w obozie zaczął pisać książkę o łąkach. Był prawdziwym naukowcem, dla którego nauka przedstawiała nie tylko pole pracy, ale życie samo.

Chcę też wspomnieć kapitana Kuczyńskiego. Z samego początku był on jednym z najbardziej czynnych organizatorów i najlepszych towarzyszy. Był to młody oficer kawalerii, który ukończył architekturę, zostawił młodszą żonę w Warszawie. Podczas kampanii 1939 r. wyróżnił się jako świetny oficer w walkach pod dowództwem gen. Andersa. Był jednym z pierwszych, którzy zostali wywiezieni ze Starobielska jesienią 1939 r. Miał nadzieję w tym czasie, że zostanie wysłany do Turcji, gdyż był wnukiem jednego z najwybitniejszych organizatorów tureckiej armii. Jego pełne nazwisko było polsko-tureckie. miał nawet wysoki turecki tytuł. Nikt o nim nie słyszał od listopada 1939 r.

Całą zimę przebyliśmy w Starobielsku. Musieliśmy się podać różnym, licznym śledztwom... W lutym 1940 r. rozeszły się pogłoski, że opuścimy obóz.

⁴² Jak wynika z nie publikowanych *Regestów akt śledczych mordu katyńskiego* (ros.), prawdopodobnie chodziło najpierw o ścisłą izolację w samym obozie, z którego wysłano ich do Moskwy w marcu 1940. Wszyscy, w liczbie 10, zginęli prócz ks. F. Tyczkowskiego. Por. J. Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, jw.

Załącznik nr 6

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA ŚWIADKA

Sąd polowy 3 DSK L.Sow. M.p. , dnia 8 marca 1945 roku: Początek o godzinie 16⁰⁰. Obecni: Sędzia wojskowy Targosz Tomasz, por. aud., protokolant: kpr. Konopacki Aleksander. Świadek uprzedzony zgodnie z art. 81 kwpk o odpowiedzialności za fałszywe zeznania – podaje po zaprzysiężeniu nazwisko i imię: K... K... (następują dane personalne).

Przed wojną polsko-niemiecką, to jest przed wrześniem 1939 roku mieszkałem razem z rodziną na folwarku Otwałowszczyzna do marca 1940 r., kiedy to z gminy Gołubowicze ojciec mój otrzymał zarządzenie od władz bolszewickich, że cała rodzina nasza ma opuścić ten folwark i udać się, gdzie zechce. Ojciec całą moją rodzinę zawiózł do miasta Głębokie, odległego od naszego folwarku o 20 km i tam u znajomych zamieszkiwaliśmy do chwili wybuchu wojny bolszewicko-niemieckiej, w czerwcu 1941 r. W krótkim czasie wojska niemieckie zajęły Głębokie oraz okolicę. Następnego już dnia rano przygodni ludzie zaczęli rozpowiadać, że w miejscowości Berezwezc, leżącej około 3 km od Głębokiego, znaleziono 4.000 zwłok ludzkich, pomordowanych przez bolszewików przed opuszczeniem Berezwecza. Na tę wiadomość ludzie masowo szli do Berezwecza, ażeby oglądać zwłoki, ponieważ wiele osób z okolicy, aresztowanych uprzednio, siedziało w Berezweczu.

Ojciec mój, B.K., oraz kolega J.B., zamieszkały w Żolnierszczyźnie, pow. Dżisna, i ja, udaliśmy się do Berezwecza, gdzie na końcu tego miasteczka, w kilku budynkach otwartych można było oglądać ciała pomordowanych. Byłem w trzech izbach jednego budynku i w każdej z tych izb leżały zwłoki mężczyzn, poubranych w ubrania cywilne i ubrania wojskowe armii polskiej, kobiet oraz dzieci. Ile trupów było w każdej z tych izb, nie umiem powiedzieć, w każdym razie było ich dużo. W innych izbach i budynkach miały również znajdować się zwłoki, jednak ich nie oglądałem poza wymienionymi, chociaż dostęp dla ludności był otwarty dla wszystkich izb i budynków.

Te zwłoki, które ja widziałem, miały na szyi pętlę z drutu lub sznurka, bez względu na to, czy był to mężczyzna, kobieta, czy dziecko. Ponadto widziałem, że niektórzy dorośli ludzie mieli poobryzane palce, uszy i nosy, a u kilku mężczyzn zauważyłem igły pobijane pod paznokcie. Widziałem, jak wielu ludzi znajdowało swych krewnych wśród trupów.

Nie spostrzegłem na mundurach wojskowych zwłok żadnych odznak lub dystynkcji wojskowych. Mówiono, że wśród pomordowanych przeważnie są Polacy i Białorusini. Opowiadano, że z chwilą rozpoczęcia wojny sowiecko-niemieckiej w czerwcu 1941 r. tych kilka budynków, w których znajdowały się trupy, a które po-

przednio miały być więzieniem, zostało otoczone przez wojska bolszewickie i nie wolno było ludności cywilnej w pobliżu tych budynków przechodzić.

W izbach, w których oglądałem zwłoki, przedstawiały się one jako świeże i nie były w rozkładzie, ani też nie było je bardzo czuć. Natomiast z piwnic tych budynków wynoszono również zwłoki, które były już w początkowym rozkładzie i cuchnęły. Słyszałem, że dnia następnego wojskowe władze niemieckie zarządziły pochowanie wszystkich tych ciał, których nie zabrali krewni lub znajomi, na miejscowym cmentarzu w Berezwezu.

Powszechnie było wiadomo, że pomordowania tych ludzi dokonali bolszewicy przed opuszczeniem Berezweza, a w szczególności, że miały tego dokonać władze NKWD.

Bolszewicy opuścili Berezwez w godzinach wieczornych dnia poprzedniego przed przyjściem wojsk niemieckich.

[Jest to niepełny fragment dotyczący rzezi w więzieniu w Berezwezu, w czerwcu 1941, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej. Zeznanie drukowane obszerniej w zbiorze *Zbrodnia katyńska...*, wyd. 11, 1982, na s. 222-223.]

Załącznik nr 7

RELACJA MJR CZAPSKIEGO Z ROZMÓW

Z GEN. NASIEDKINEM, GEN. RAJCHMANEM

I NACZELNIKIEM NKWD BZYROWEM

Formowanie armii polskich w ZSSR zaczęło się we wrześniu 1941 r. w Tatiszczewie około Saratowa oraz w Tocku, na linii Kujbyszew-Czkałow. Do letniego obozu w Tocku napływały codziennie setki ludzi. (...) Stworzyliśmy coś w rodzaju biura informacyjnego. Od pierwszej chwili zacząłem pytać każdego przybywającego Polaka, czy nie pracował z kimkolwiek z naszych towarzyszy ze Starobielska, Kozielska czy Ostaszkowa. Wciąż wierzyliśmy jeszcze, że koledzy nasi przybędą lada chwila. (...) Ale nie tylko nikt wówczas nie przybywał, lecz nawet wieści o nich, o ich losie nie mieliśmy prawie wcale...

Czekaliśmy na kolegów naszych z dnia na dzień, dopełniając i rozszerzając listę zaginionych. W chwili przyjazdu Naczelnego Wodza do Moskwy w początku grudnia mieliśmy już listę, przewyższającą 4.500 nazwisk, którą gen. Anders zawiózł do Moskwy. (...)

W pierwszych dniach stycznia 1942 r. zostałem wysłany przez gen. Andersa do Czkałowa jako „upelnomoszczennyj dla niewowraszczennyh wojennoplennyh”, by próbować wyjaśnić sprawę u komendanta „Gułagu”, gen. Nasiedkina. W Czkałowie dowiedzia-

łem się, że adres „Gułagu” jest ukrywany i znów tylko przez niedyskrecję udało mi się trafić do komendanta tej instytucji. Jedynie tylko bardzo kateryczne listy generała do komendanta „Gułagu” oraz do naczelnika NKWD obłasti czkałowskiej, w których pisał o wydanym w jego obecności rozkazie Stalina o wypuszczeniu wszystkich byłych jeńców, umożliwiły mi audiencję. Miałem dwie rozmowy z gen. Nasiedkinem oraz jedną z naczelnikiem NKWD obłasti czkałowskiej, p. Bzyrowem. Nasiedkin w czasie pierwszej rozmowy był zaskoczony i dzięki temu chyba bardziej przystępny. Siedział na tle wielkiej mapy ZSSR, na której były wyrysowane wszystkie główne punkty obozów, którymi kieruje. Najwięcej gwiazd, kół i innych znaków oznaczających wielkie skupienia obozów, było na terenie ASSR Komi, na półwyspie Kola, na Kołymie. (...)

Nasiedkinowi przedstawiłem całą sytuację z trzech obozów jeńców wojennych. Powiedziałem mu, że niezwalnianie z obozów jeńców zwolnionych z rozkazu Stalina „pachnie sabotażem”. Mój rozmówca wyglądał, jakby się w tej sprawie rzeczywiście nie orientował, może udawał. (...) Będzie się starał sprawę dokładnie wyjaśnić i jutro da mi odpowiedź na moje zapytania. Pytałem się, czy nie wysłał więźniów na wyspę Franciszka Józefa i Nową Ziemię, jak to słyszałem od niejednego powracającego z niewoli więźnia. Generał zaręczył, że na wyspy nikogo nie posyła, że jeżeli tam są obozy, są to obozy pod innym kierownictwem, które nie podlegają mu, może obozy jeńców. (...) W mojej obecności generał wydał rozkaz telefoniczny, aby sprawę tych trzech obozów Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa dokładnie wyjaśnić. Wydając ten rozkaz, powtórzył słowa z listu gen. Andersa i „po prikazaniju tow. Stalina”. Na tym się skończyła moja pierwsza u generała rozmowa.

Koło godziny 11 w nocy tego samego dnia zostałem przyjęty przez naczelnika Bzyrowa. (...) Bzyrow przyjął mnie bardzo uprzejmie z pozorami, że chce mi pomóc. Przede wszystkim powiedział mi, że nie dowiem się o niczym gdzie indziej, jak u władz centralnych i najwyższych (rozmawiałem z nim przy dwu świadkach, enkawudzistach również). Dał mi do zrozumienia, że Mierkułow albo Fiedotow mogliby mi pomóc.

Na drugi dzień zostałem znów przyjęty przez gen. Nasiedkina. Moment zaskoczenia minął. Powiedział mi, że nic mi powiedzieć nie może, że tylko centralne władze mogą mi dać wyjaśnienie, że jeżeli mam jakiegokolwiek spisy (miałem ze sobą 4.500 nazwisk jeńców ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa), to żeby mu te spisy oddał, że je przesłał do Kujbyszewa. Robił wrażenie, jakby dostał ostrą wymówkę z Kujbyszewa, że w ogóle ze mną rozmawiał, co zresztą zostało potwierdzone tym, że przedstawiciel NKWD w kilka dni później zwrócił uwagę gen. Andersowi, że tego rodzaju podróże, jak moja do Czkałowa, są rzeczą niedopuszczalną w ZSSR, że prosi, aby tego rodzaju fakty się nie powtórzyły. Gen. Anders odpowiedział wówczas, że przyjmuje to do wiadomości i zamierza wskutek tego wysłać mnie do władz centralnych NKWD. Jeszcze jeden szczegół: oto po rozmowie z Bzyrowem zaczęłem podczas drugiej audiencji gen. Nasiedkina znowu o Nową Ziemię, że mam informa-

cje o znajdujących się tam jeńcach polskich. Otrzymałem właśnie tego dnia nowe rewelacyjne fakty, wskazujące na to. Nasiedkin zareagował wówczas całkiem inaczej niż dnia poprzedniego: „Jest nie wykluczone – rzekł dosłownie – że oddziały obozowe na północy, które mi podlegają, wysłały do tych wysp pewne nieliczne grupy, nie ma tam jednak mowy o wielu tysiącach, o których pan mówi.”

W połowie stycznia zostałem wysłany przez gen. Andersa do Kujbyszewa i do Moskwy w tej samej sprawie, z listami polecającymi mnie i sprawę – do gen. Żukowa. Gen. Anders pisał do jakiegoś stopnia sprawa zaginionych jeńców utrudnia organizację armii, jak bardzo moralnie przygnębia generała i jego współpracowników, dodał, że nie mogąc się sam zająć tą sprawą, wysyła mnie i prosi o pomoc, jak by to było dla niego. Że obaj ci sowieccy generałowie zajmowali bardzo wysokie stanowiska w NKWD, że mieli złeczone specjalne współdziałanie w tworzeniu armii polskiej, że gen. Rajchman w poprzednich swoich latach badał osobiście wielu naszych kolegów, liczyłem na to, że ci panowie, znając niewątpliwie istotnie sprawę, potrafią i zechcą mi pomóc, wyjednávają mi może audiencję u wszechpotężnego Berii i Mierkułowa.

Czekając w małej poczekalni na przyjęcie mnie przez Rajchmana, zauważyłem ze zdziwieniem, że przede mną został przyjęty były komendant obozu w Griazowcu, Chodas, i kwadrans przetrzymywany, potem wpuszczono mnie. Rozmawiałem naturalnie, jak zwykle, przy świadkach. Po przedstawieniu całej sprawy prosiłem Rajchmana, by zechciał pomóc mi w dostaniu się do Berii czy Mierkułowa. Otrzymałem uprzejmą odmowę. Przedstawiłem wówczas memoriał, który Rajchman wodząc ołówkiem po każdym wierszu, w mojej obecności przeczytał. Przedstawiłem tam dokładnie całą wiadomą nam historię obozów, aż do rozładowania ich, to jest do maja 1940 r. Po tym wstępie rzeczowym pisałem m.in., co następuje: „Od dnia ogłoszenia amnestii dla wszystkich polskich jeńców i więźniów 12 sierpnia 1941 r. przeszło prawie sześć miesięcy. Do polskiej armii napływają grupami i w pojedynkę polscy oficerowie i żołnierze, uwolnieni z więzień i obozów. Oficerowie i żołnierze, którzy byli zatrzymani przy próbach przejścia przez granicę po sierpniu 1939 r. albo aresztowani w terenie. Nie bacząc na „amnestię”, pomimo kategorycznej obietnicy danej w październiku 1941 r. przez samego Stalina, naszemu ambasadorowi Kotowi zwrócenia nam jeńców, pomimo kategorycznego rozkazu, wydanego przez Stalina w obecności głównodowodzącego polską armią gen. Sikorskiego oraz gen. Andersa, 3 grudnia 1941 r., odnalezienia i uwolnienia jeńców ze Starobielska, Kozielska i Ostaszkowa (poza wyżej wspomnianą grupą griazowiecką i kilku dziesiątkami uwięzionych oddzielnie i uwolnionych jeszcze we wrześniu), nie doszło do nas ani jedno wezwanie o pomoc od jeńców wojennych z wyżej wspomnianych obozów.

My wiemy, z jaką starannością i dokładnością przeprowadzono tę pracę NKWD, tak że nikt z nas jeńców wojennych nie przepuszczał ani na minutę, że miejsce przebywania 15.000 jeńców, w

tym ponad 8.000 oficerów, mogło być nieznanne wyższym instancjom NKWD.”

Następowało potem możliwie dokładne liczbowe zestawienie. (...) Generałowi Rajchmanowi nawet twarz nie drgnęła. Przeczytał memoriał z całkowitą flegmą i odpowiedział mi, że nic o losie tych ludzi nie wie, że nie należy to do jego resortu, że jednak żeby sprawić uprzejmość gen. Andersowi, postara się sprawę wyjaśnić i mnie zakomunikować. Prosił mnie, żebym czekał w Moskwie na telefoniczne wezwanie z jego strony. Pożegnanie było lodowate.

Czekałem 10 dni, po upływie tego czasu otrzymałem znów nocny telefon: mówił sam Rajchman, w tonie nagle nadzwyczaj uprzejmym zawiadamiał mnie, że niestety nie będzie mógł ze mną się widzieć, że niestety wyjeżdża na drugi dzień rano, że radzi mi jechać do Kujbyszewa, bo wszystkie materiały w tej sprawie zostały przesłane do zastępcy komisarza spraw zagranicznych, tow. Wyszyńskiego. Zdążyłem jedynie odpowiedzieć Rajchmanowi, że wiem dobrze, że Wyszyński nic mi nie powie, bo już do tej daty ambasador Kot osiem razy w tej sprawie u tow. Wyszyńskiego interweniował bez żadnego rezultatu. Na tym się skończyła moja wyprawa do Moskwy.⁴³

Załącznik nr 8

MEMORANDUM POLSKIE Z DNIA 19.V.1942

Dnia 19 maja 1942 r. Ambasada polska złożyła memorandum w sprawie wykonania Protokołu Dodatkowego do Układu Polsko-Sowieckiego z dnia 30.VII.1941, którego odnośne ustępy cytujemy:

... Aczkolwiek władze sowieckie są w posiadaniu dokładnych spisów swych byłych jeńców wojennych, którzy z nieznanych stron polskiej powodów dotąd nie mogą powrócić pod swe sztandary bojowe, na życzenie władz radzieckich i dla ułatwienia odszukania zaginionych oficerów – były złożone odpowiednie ich listy przez Naczelnego Wodza i Prezesa Rady Ministrów R.P. gen. Sikorskiego w dniu 3.XII.1941, oraz dowódcę P.S.Z. w ZSRR, gen. Andersa w dniu 18.III.1942.

Spisy powyższe zostały z dużą trudnością odtworzone z pamięci przez nielicznych byłych jeńców z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa, którym z różnych przyczyn – udało się uniknąć losu oficerów, wywiezionych z tych obozów przez władze radzieckie w roku 1940.

... zaden z tych ludzi nie wrócił dotychczas do szeregów, ani też nie dał o sobie znaku życia...

⁴³ Józef Czapski: *Wspomnienia starobielskie*. Rzym 1945.

Dnia 13 czerwca 1942 r. w związku z nowymi wiadomościami, jakie nadeszły do ambasady polskiej z dalekiej północy, wystosowała ona nową notę do rządu sowieckiego, której odnośne ustępy brzmiały:

...W szeregu rozmów z najwyższymi przedstawicielami władz ZSRR poruszona była kwestia przywrócenia wolności wojskowym, którzy znajdowali się w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie. Obozy te zostały w roku 1940 zlikwidowane, a jeńcy wywiezieni w nieznanym kierunku, w kwietniu i maju tegoż roku, i wszelki ślad po nich zaginął. NKID dotychczas nie udzielił Ambasady żadnych w tej sprawie wyjaśnień.

... Ambasada R.P. będzie bardzo zobowiązana za możliwie najrychlejsze udzielenie odpowiedzi w sprawie byłych jeńców wojennych z obozu Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa – tym bardziej, że od chwili zawarcia Układu z 30.VIII.1941. upłynęło już 10 miesięcy.

(Należy zaznaczyć, że nota powyższa złożona została po upływie 11 miesięcy od chwili okupowania przez Niemców Smoleńska... I na notę tę ambasada nie otrzymała w ogóle żadnej odpowiedzi.)

Załącznik nr 9

KOMUNIKAT POLSKIEGO MINISTRA OBRONY NARODOWEJ

Gen. M. Kukiel, polski minister Obrony Narodowej – wydał w dniu 17 kwietnia 1943 r. następujący komunikat, który bez ostatniego ustępu, zacytowanego w tekście książki, brzmi, jak następuje:

Dnia 17 września 1940 r. oficjalny organ Czerwonej Armii „Krasnaja Zwiezda” ogłosił, iż od 17 września 1939 r. Rosja sowiecka zabrała do niewoli 181.000 polskich jeńców wojennych, w tym było 10.000 oficerów służby stałej i rezerwy. Według wiadomości posiadanych przez rząd polski, w październiku 1939 r. utworzono na terytorium sowieckim trzy wielkie obozy jeńców: w Kozielsku, na wschód od Smoleńska, w Starobielsku koło Charkowa i w miejscowości Ostaszków koło Kalinina. W tym ostatnim znajdowali się funkcjonariusze polskiej policji i żandarmerii wojskowej. Z początkiem roku 1940 władze sowieckie zaczęły informować jeńców, iż obozy będą likwidowane, a jeńcy otrzymają pozwolenie na powrót do swych domów i rodzin. Sporządzono specjalne listy, stwierdzające dokładnie, dokąd poszczególni jeńcy pragnęli udać się po uwolnieniu. W tym okresie w obozie w Kozielsku znajdowało się 5.000 jeńców, a w tym 4.500 oficerów; w obozie w Starobielsku – 3.920, w tym 100 osób cywilnych, reszta zaś oficerowie, w których liczbie

znajdowało się blisko 400 lekarzy wojskowych, oraz w Ostaszkowie – 6.570 jeńców.

Dnia 5 kwietnia 1940 r. władze sowieckie przystąpiły do opróżniania obozów. Co kilka dni z obozów wywożono grupy od 60 do 300 osób i trwało to do połowy maja. O grupach wywożonych z Kozielska wiadomo, że wyjechały w kierunku Smoleńska. Jednak ze wszystkich obozów razem tylko około 400 osób zostało przewiezionych w czerwcu 1940 r. do miejscowości Griazowiec w okręgu Wołogda.

Gdy po zawarciu układu polsko-sowieckiego z 30 lipca 1941 r. i podpisaniu umowy wojskowej z sierpnia 1941 r. rząd polski rozpoczął formowanie armii polskiej w ZSSR, oczekiwano, że kadry oficerskie nowej armii utworzone będą głównie spośród jeńców, którzy znajdowali się w trzech wymienionych wyżej obozach. W sierpniu 1941 roku, gdy przybyła do Buzułuku, gdzie formowane były jednostki polskie, grupa oficerów polskich z miejscowości Griazowiec, nie przybył ani jeden z oficerów wywiezionych z Kozielska, Starobielska i Ostaszkowa w innym kierunku.

Ogólnie zabrakło 8.300 oficerów, nie licząc 7.000 innych jeńców, podoficerów, szeregowych i cywilnych, którzy znajdowali się we wspomnianych wyżej obozach w momencie ich likwidacji. Zaniepokojeni tym stanem rzeczy, ambasador polski przy rządzie sowieckim, prof. Kot, oraz dowódca wojsk polskich w Rosji, gen. Anders, zwrócili się z interwencją do odpowiednich władz sowieckich, prosząc o wyjaśnienie co do oficerów polskich z tych trzech obozów. Dnia 6 października 1941 r. ambasador Kot poruszył szereg razy sprawę jeńców wojennych w rozmowach z premierem Stalinem, z Mołotowem i Wyszynskim i domagał się dostarczenia spisów jeńców wojennych, jakie były sporządzone i utrzymywane w stanie aktualności przez władze sowieckie. Dnia 3 grudnia 1941 r. gen. Sikorski w czasie swej wizyty w Moskwie również interweniował w czasie rozmowy ze Stalinem w sprawie zwolnienia wszystkich jeńców polskich i wobec tego, że spisy nie zostały dostarczone przez władze sowieckie, doręczył Stalinowi niekompletną listę, zawierającą 3.843 nazwiska oficerów polskich, sporządzoną na podstawie zeznań ich kolegów. Stalin zapewnił gen. Sikorskiego, że postanowienie o zwolnieniu Polaków miało charakter ogólny i odnosiło się zarówno do osób cywilnych i wojskowych i że rząd sowiecki uwolnił wszystkich oficerów polskich. Dodatkowa lista, zawierająca 800 nazwisk oficerów, została doręczona Stalinowi przez gen. Andersa w dniu 18 marca 1942 r., ale ani jeden z oficerów wymienionych w obydwu spisach nie wrócił do armii polskiej.

Poza akcją przeprowadzoną w Moskwie i Kujbyszewie los polskich jeńców wojennych był przedmiotem szeregu interwencji, dokonanych przez amb. Raczyńskiego u amb. Bogomołowa w Londynie. Dnia 28 stycznia 1942 r. amb. Raczyński dostarczył amb. sowieckiemu notę rządu polskiego, zwracając raz jeszcze jego uwagę na bolesny fakt, że nie odnaleziono dotąd wielu tysięcy oficerów polskich. Ambasador Bogomołow w nocy z dnia 13 marca 1942 r. poinformował amb. Raczyńskiego, że zgodnie z dekretem wydanym

przez Prezydium Najwyższej Rady ZSSR z dn. 12 sierpnia 1941 r, i zgodnie z oświadczeniami komisarza ludowego dla spraw zagranicznych z 8 i 19 listopada 1941 r. zwolnienie Polaków przeprowadzone zostało w pełni i objęło tak wojskowych, jak i osoby cywilne. Dnia 19 maja 1942 r. ambasador Kot przesłał na ręce komisarza ludowego dla spraw zagranicznych memorandum, w którym wyrażał swoje ubolewanie z powodu odmowy dostarczenia spisów jeńców wojennych i wypowiadał swoją troskę co do ich losu, jak również podkreślał wartość, jaką oficerowie ci mogliby przedstawiać w operacjach wojennych przeciwko Niemcom. Ani razu ani rząd polski, ani ambasada polska w Kujbyszewie nie otrzymały odpowiedzi co do miejsca przebywania oficerów i innych jeńców wywiezionych z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie.

Załącznik nr 10

TELEGRAM NIEMIECKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA DO GENEWY

[Telegram ten, z dnia 16 kwietnia 1943, w którym Niemiecki Czerwony Krzyż prosi MCK o wysłanie delegacji do Katynia, został przedrukowany w całości w *Zbrodni katyńskiej...*, jw. s. 89]

Załącznik nr 11

GŁOSY PRASY O ZERWANIU STOSUNKÓW SOWIECKO-POLSKICH

Szwajcarskie pismo „Liberté” z dnia 27.IV.1943 zamieściło następujące uwagi:

Rząd sowiecki powinien był ze swej strony żądać, by Czerwony Krzyż wyjaśnił fakty i w ten sposób dowieść, że się nie obawia konfrontacji. Jednakże rząd moskiewski tego nie uczynił, natomiast zakomunikował rządowi polskiemu, że zrywa z nim wszelkie stosunki i zarzucił mu, że podjął i przywłaszczył sobie oskarżenie niemieckie. Zarzut ten jest nieuzasadniony. Rząd polski nie połączył się z Niemcami przeciwko Rządowi Sowieckiemu. Wprawdzie zwrócił się do Czerwonego Krzyża, aby ten zbadał oskarżenie niemieckie, lecz jakiegokolwiek inne stanowisko byłoby niezrozumiałe. Rząd polski postąpiłby niezgodnie z włożonym nań obowiązkiem, gdyby na wiadomość o niemieckim odkryciu masowych grobów polskich pozostał wobec tej wiadomości obojętny.

Rząd Sowiecki oświadczył w sprawie oficerów polskich, znalezionych w lesie katyńskim, że chodzi tu o ofiary Niemców. Dlaczego więc sprzeciwia się śledztwu? Dlaczego określa je z góry jako komedię? Wszystko to razem jest tylko ordynarnym pretekstem.

[tłumaczenie, być może autora, prawdopodobnie za *Amtliches Material...* – przyp. wyd.]

Korespondent „Manchester Guardian” pisał:

Polacy zwrócili się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża jako do jedyne kompetentnego dla spraw jeńców wojennych ciała, ale nigdy nie było mowy o czymś więcej, jak o ustaleniu identyczności zmarłych wojskowych. Propozycje rządu polskiego uczynione zostały z poczucia obowiązku wobec rodzin zmarłych, oraz z powodu nalegania opinii publicznej. Intencją tego było polepszenie stosunków polsko-sowieckich, a nie ich pogorszenie. Te same pojednawcze dążenia występują w żądaniach wypuszczenia ze Związku Sowieckiego obywateli polskich.

„New York Times” we wstępnym artykule:

Zerwanie między wielkim mocarstwem a sąsiednim krajem, przez ponury paradoks historii tym właśnie krajem, o którego niepodległość rozpoczęła się wojna, jest złym wstępem do generalnej próby współpracy. (...) Postępowanie tego rodzaju, jak to zrobiła Moskwa, na podstawie absurdałnego oskarżenia, że Rząd Polski współpracuje z hitlerowcami, jest tylko przypomnieniem innym mniejszym narodom tej spółki, która przede wszystkim podzieliła Polskę.

„Nineteenth Century” [czerwiec 1943] komentował:

Gdy fakt wykrycia grobów oficerów polskich podany został przez Niemców do powszechnej wiadomości publicznej, nastrój opinii publicznej w Polsce stał się tego rodzaju, iż niemożliwe było, aby Rząd Polski nie podjął żadnych kroków. Zwrócił się tedy do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wszczęcie dochodzenia. Czerwony Krzyż nie mógł tej prośbie zadośćuczynić bez zgody zainteresowanych mocarstw. Ze co najmniej Sowiety odmówią swej zgody, było z góry do przewidzenia. Odmowa ta zresztą nie jest nierozsądna. (...)

Jak się przedstawia sprawa z tymi 8.300 zaginionymi oficerami polskimi? Prośba polska do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża wydarła Sowiетom ich kategoryczne twierdzenie, że ci oficerowie wpadli do rąk niemieckich latem 1941 r. i zostali przez Niemców wymordowani. Jeżeli jednak rząd sowiecki wiedział, że tak się sprawa przedstawiała, dlaczego nie zakomunikował tej swojej wiadomości Rządowi Polskiemu, w odpowiedzi na wciąż ponawiane zapytania, które Rząd Polski w drugiej połowie 1941 r. i w początkach roku 1942 kierował do rządu sowieckiego? I dlaczego nie było nic wiadomo o losie tych oficerów od czasu, gdy słyszano o nich po raz ostatni (wiosna 1940) aż do chwili (lato 1941), gdy według sowieckiej wersji mieli być wzięci do niewoli przez Niemców. Poza tym

jest nie do pojęcia, jak 8.300 oficerów, którzy jako jeńcy znajdowali się w rękach sowieckich, mogło wpaść do niewoli niemieckiej bez wiadomości o tym władz sowieckich. Jeżeli ci oficerowie mieli być wzięci przez wroga do niewoli, to muszą istnieć jacyś świadkowie tego faktu, a poza tym winni być uznani za zaginionych już w krótkim czasie po tym. Rząd Sowiecki mógł więc z łatwością, jeżeli przypuszczał wtedy, że zaginęli oni w ten sposób, zakomunikować o tym fakcie w chwili podpisania polsko-sowieckiej umowy w r. 1941, zamiast mówić, że zostali oni wypuszczeni z obozów internowanych, tak że władze polskie wciąż liczyły się z ich przybyciem.

Sowiety odpowiedzialne są za 8.300 oficerów, ale dotychczas nie były w stanie udzielić wyjaśnień co do miejsca ich przebywania, poza nie potwierdzoną wersją, że zostali rzekomo zamordowani przez Niemców.

[tłumaczenie, być może autora, prawdopodobnie za *Amtliches Material...* – przyp. wyd.]

Załącznik nr 12

SPRAWOZDANIE KOMISJI EKSPERTÓW

[Sprawozdanie Międzynarodowej Komisji Lekarskiej zamieszczone jest w całości w zbiorze *Zbrodnia katyńska...*, jw. s. 144-147. Nie wydawało się celowe jeszcze raz przedrukowywanie go w obecnej książce, zwłaszcza że autor je omawia. – Uwaga wydawcy]

[4 zdjęcia w oryginale, opis:]

U GÓRY: Dwa wypadki potrójnego strzału w potylicę. Otwory wylotowe w czaszce, z charakterystycznym wyrwaniem kości.

U DOLU: Charakterystyczne otwory wlotowe kuli w potylicy zamordowanych.

Załącznik nr 13

POLSKI CZERWONY KRZYŻ W KATYNIU

Udział lekarzy i sanitariuszy polskich przy ekshumacji zwłok miał również charakter świadczenia wobec opinii światowej. Liczba ich wobec ogromu pracy została powiększona do dwunastu. Niemcom personel polski był przede wszystkim potrzebny przy identyfikacji zwłok, odczytywaniu znalezionych dokumentów, listów itp. Dla strony polskiej ekipa sanitarna polska stanowiła źródło

informacji z pierwszej ręki, zwłaszcza przy dostarczaniu odpisów dokumentów, których część następnie została przekazana przez polski ruch podziemny rządowi polskiemu w Londynie, gdzie przyczyniły się do rzucenia nowego światła na los jeńców oficerów polskich z obozu w Kozielsku.

Sekretarz generalny PCK, Kazimierz Skarżyński, w dniu 16.IV.1943 złożył zarządowi PCK raport z pobytu w Katyniu,⁴⁴ którym stwierdzał, że:

w pobliżu Smoleńska, w miejscowości Katyń, znajdują się częściowo odkopane groby oficerów polskich;

opierając się na oględzinach dotychczas wydobytych zwłok, można stwierdzić, że oficerowie ci zostali zamordowani strzałami w tył głowy, które sprawiają wrażenie niewątpliwie fachowej egzekucji;

sądząc z papierów, znalezionych przy zwłokach, mord nastąpił w marcu-kwietniu 1940 roku.

Na żądanie Niemców, by przekonany przez raport swych delegatów o prawdziwości katyńskiego odkrycia, Zarząd PCK wysłał swych przedstawicieli do „Oflagów” w Niemczech, w celu odpowiedniego poinformowania znajdujących się tam oficerów polskich, Zarząd PCK udzielił w dniu 19.IV.1943 pisemnej odpowiedzi, w której zaznaczył, że gotów jest do współpracy z władzami niemieckimi w granicach przewidzianych przez konwencję międzynarodową, żądał natomiast, by udział jego przedstawicieli ograniczył się tylko do charakteru informacyjnego, oraz by zostały przywrócone, zlikwidowane przedtem przez okupanta normalne jego agendy. W szczególności zaś pismo PCK domagało się:

1) by działalność PCK była ponownie przez władze niemieckie dopuszczona na wszystkie tereny, skąd było rekrutowane wojsko polskie, co dotyczyło równie polskich ziem zachodnich, oficjalnie wcielonych do Rzeszy Niemieckiej, jak również ziem wschodnich, nie włączonych do Generalnej Gubernii;

2) by jeńcom, w razie zwolnienia z obozu, wolno było pracować również na terenie GG, co było zakazane od roku 1941;

3) by jeńcy nie byli wydawani z obozów jenieckich władzom policyjnym za rzekomo popełnione przez nich przestępstwa, oraz by kilku oficerów, osadzonych w obozach koncentracyjnych, zamiast w obozach jeńców, natychmiast zwolniono.

⁴⁴ Por. Kazimierz Skarżyński: *Katyn. Paryż-Warszawa 1988, 1990. Editions Dembinski. (Zawiera raport K. Skarżyńskiego z czerwca 1943 i jego raport spisany na emigracji w roku 1946.)* – przyp. wyd.

Żądania te uwzględnione nie zostały i delegaci PCK do obozów jenieckich w Niemczech – „Oflagów” – nie pojechali. Wskutek tego władze niemieckie zmuszone były we własnym zakresie organizować delegacje do Katynia wśród oficerów polskich, przebywających w niemieckich obozach jenieckich.

Załącznik nr 14

KOŃCOWY RAPORT POLICJI NIEMIECKIEJ

Z DNIA 10.VI.1943

[Przekład z *Amtliches Material...* końcowego raportu policji niemieckiej, Sekretarza Policji Polowej, VoBa, z dnia 10.VI.1943 zamieszczony jest w całości w zbiorze *Zbrodnia katyńska...*, jw., s. 98-101. Nie wydawało się celowe jeszcze raz przedrukowywanie go w obecnej książce, zwłaszcza że autor go omawia. – Uwaga wydawcy]

Załącznik nr 15

SPRAWOZDANIE PROF. GERHARDA BUHTZA

[Przekład sprawozdania prof. Gerharda Buhtza z *Amtliches Material...* zamieszczony jest w całości w zbiorze *Zbrodnia katyńska...*, jw. s. 101-111. Nie wydawało się celowe jeszcze raz przedrukowywanie go w obecnej książce, zwłaszcza że autor go omawia. – Uwaga wydawcy]

Załącznik nr 16

JESZCZE RAZ O ŚWIADKACH SOWIECKICH

W omówieniu komunikatu komisji sowieckiej pominięty został cały szereg zeznań świadków sowieckich na różne okoliczności, które to zeznania tenże komunikat zawiera. Ocena wartości zeznań obywateli sowieckich, znajdujących się w zasięgu władzy sowieckiej, poruszona została kilkakrotnie. Dodać należy, że jeżeli w pewnych ustępach figurowała polemika z zeznaniami niektórych tylko świadków, to nie miała ona na celu podważenia treści ich zeznań, a treści samego komunikatu. Albowiem procedura sądowo-śledcza w Sowietach jest tego rodzaju, że nie tylko nie gwarantuje autentyczności zeznań świadków, ale nie przekonuje nikogo, czy ludzie wymienieni w tej procedurze w charakterze świadków egzystują naprawdę. Jakas zatem Michajłowa czy Konachowskaja mogą

istnieć istotnie, ale równie dobrze mogą nie istnieć wcale. A jeżeli istnieją, mogą zeznawać tak lub inaczej, mogą milczeć lub opowiadać, ale to tylko, co im odnośnie władze sowieckie opowiadać każą.⁴⁵ Jak dalece system ten jest w Sowietach rozpowszechniony i zresztą notorycznie znany, świadczyć może ogromna ilość przykładów z techniki sowieckiego przewodu sądowego, który w niektórych wypadkach okrywa tę technikę nawet śmiesznością i doprowadza do absurdu. Z liczby tych przykładów zacytować można kilka z głównych przed wojną na cały świat tak zwanych procesów moskiewskich, w czasie których oskarżeni przyznawali się do rzeczy fizycznie niemożliwych. I tak na przykład:

Oskarżony Dawid wskazał jako miejsce spotkania z Trockim nie istniejący w Norwegii hotel, Natan Lurie otrzymywał od nie istniejącego jeszcze w 1932 roku Gestapo instrukcje, a Bermann konspirował w roku 1932 ze zmarłym siedem lat przedtem emigrantem rosyjskim. Podobną rozmowę z nieboszczykiem przeprowadził w analogicznych prawie okolicznościach profesor Ramsin, a Piatakow leciał samolotem-widmo z Berlina do Oslo. Sąd zeznań tych nie kwestionował. [... w styczniu 1937 roku] oskarżony Lifschütz wyrecytował jednym tchem, iż w ciągu pięciu lat, to jest od 1932- 1936 spowodował 10.380 katastrof kolejowych, czyli pięć katastrof dziennie! A podobne zeznania mnożyć można w setki.

(Sylwester Mora, Piotr Zwierniak: *Sprawiedliwość sowiecka*, Rzym 1945, s. 58-59.)⁴⁶

Jeżeli w ten sposób zeznają w Sowietach oskarżeni, którzy w gruncie rzeczy nie mają nic do stracenia, to czegoż spodziewać się można po świadkach, którzy utracić mogą życie w wypadku złożenia niedogodnych dla władz zeznań?

Nie jest zatem w procedurze sowieckiej objawem niezwykłym, bądź wynikiem fatalnej omyłki w druku, że świadek (prawdopodobnie zresztą mityczny) Jegorow opowiadał w marcu, co się działo w kwietniu... ale jest objawem w tej procedurze z kategorii notorycznych.

Nie istnieją zaś żadne względy, dla których zeznania innych świadków, wymienionych w komunikacie komisji sowieckiej, miałyby budzić większe zaufanie niż zeznanie świadka Jegorowa.

⁴⁵ W 1990 roku w Gniezdowie spotkałem się z jednym ze świadków „komisji Burdenki”, Michaiłem Kriwoziercewem. Opowiadał, jak dano im w końcu 1943 r. gotowe, sfabrykowane oświadczenia do podpisania. (przyp. wyd.)

⁴⁶ Wydana pod pseudonimami praca Kazimierza Zamorskiego i Stanisława Starzewskiego. (przyp. wyd.)

POSŁOWIE

[do niemieckiego wydania tej książki, 1983]

W 1949 roku ta książka jako pierwsza mówiła o Katyniu. Ukazała się w ośmiu językach, ale od wielu już lat jest wyczerpana i z tajemniczego powodu znika z bibliotek i katalogów.

Recenzje z niej ukazały się w szesnastu językach – dosłownie na wszystkich kontynentach. Potem pojawiło się jeszcze wiele książek, zgodnie z prawdą opisujących zbrodnię katyńską. Szczególnie ważna była książka prof. J.K. Zawodnego: *Death in the Forest – The Story of Katyn Massacre*. Notre Dame Press, USA, 1962.⁴⁷ Zawiera ona mianowicie nadzwyczaj bogaty materiał, świadczący, do jakiego stopnia i jakimi sposobami wielkie zachodnie mocarstwa, sojusznicy Związku Sowieckiego w ubiegłej wojnie, pragnęły zakryć prawdę, nie dopuścić do jej ujawnienia i tym samym oczyścić Związek Sowiecki z oskarżenia o tę zbrodnię. Doszło do takiego paradoksu, jednego z większych w historii, że zwycięskie Zjednoczone Narody – pragnące występować w imieniu sprawiedliwości i ludzkiej moralności – dopuściły do Trybunału Norymberskiego, mającego sądzić zbrodniarzy wojennych, przedstawiciela sowieckiego, jednak w roli nie oskarżonego, lecz oskarżyciela.

To prawda, że obeszło się bez szczególnego skandalu w historii ludzkości, którym byłoby danie wiary oskarżeniu największych przestępców. Ale wszystko przezornie załatwiono po cichu i sprawę katyńską zdjęto z aktu oskarżenia. Było więc tak, jakby cały świat wiedział już, kto popełnił zbrodnię, a nie wiedział tylko najwyższy trybunał tego świata. Mówiąc po prostu, nie chciał o tym wiedzieć.

W końcu Niemców nie oskarżono o tę zbrodnię. Co z tego wynika? Cóż to więc znaczy, kto tego dokonał? Zamordowano 15 tysięcy oficerów internowanych na tym samym terytorium, a wyrażając to ścisłymi formułami prawnymi:

„Naruszono postanowienia czwartej konwencji Haskiej z 18 października 1907 roku o prawach wojennych, a także artykuł 6

⁴⁷ Wydanie polskie: *Katyni*. Z przedmową Z. Brzezińskiego. Paris 1989. Ed. Spotkania. (przyp. wyd.)

Karty Narodów Zjednoczonych, określający przestępstwa popełnione w czasie wojny.”

Sojusznicy znali sprawę Katynia, całą o nim prawdę, począwszy od pierwszych poszukiwań zaginionych bez wieści polskich oficerów. Już 7 lutego 1942 roku amerykański ambasador w Moskwie, admirał William H.S. Standley, otrzymał z polskich źródeł pierwsze doniesienia o zaginionych bez śladu. Skierował szczegółowe doniesienie do Departamentu Stanu w Waszyngtonie. 30 kwietnia 1943 roku attaché wojskowy przy amerykańskiej misji w Kairze, podpułkownik Szymański, przekazał na ręce kierownika wywiadu amerykańskiego George B. Stronga raport o przyznaniu się Mierkułowa i Berii, że popełnili oni „ogromny błąd”. Podobnie brzmiący raport przesłał podpułkownik L. Hulls swoim brytyjskim zwierzchnikom. Wiosną tego samego roku szef wschodnioeuropejskiej sekcji amerykańskiego wywiadu, pułkownik Downs Yeaton, zarządził utworzenie tajnej kartoteki, odnoszącej się do Katynia. Niedługo potem John F. Carter, szef ściśle poufnej sekcji przy osobie prezydenta Roosevelta, przekazał temu ostatniemu ustny raport, w którym potwierdził na podstawie zebranych przez siebie informacji, że doniesienia niemieckie są prawdziwe: masowy mord w Katyniu został popełniony przez bolszewików. Ale prezydent nakazał mu zachowanie tej sprawy w najściślejszej tajemnicy.

22 maja 1945 roku u generała Clayтона L. Bissella, zastępcy szefa wydziału G-2 ministerstwa obrony USA, zameldował się podpułkownik John H. Van Vliet, który razem z innymi jeńcami wojennymi, więzionymi w Niemczech, został wysłany przez Niemców do Katynia, dla obejrzenia ekshumacji. Zeznał o tym, co widział na własne oczy. Generał Bissell rozkazał mu zachowanie całkowitego milczenia i opatrzył meldunek tego oficera pieczęcią: „Top Secret”. Ten meldunek zaginął.

Tak więc państwa sojusznicze były w posiadaniu następujących informacji:

- 1) raport Szymańskiego;
- 2) raport wywiadu brytyjskiego;
- 3) wyczerpujące raporty wywiadu polskiego;
- 4) raport admirała Williama H. Standley'a, ambasadora USA w Moskwie, 1941-1943;
- 5) raport Johna F. Cartera, przekazany prezydentowi Rooseveltowi;
- 6) raport Anthony J. Drexela, ambasadora przy polskim i innych emigracyjnych rządach w Londynie;
- 7) raport podpułkownika J. H. Van Vlieta;

8) Memorandum, sporządzone przez ambasadora George H. Earle'a, byłego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Austrii i Bułgarii, w czasie wojny przebywającego w Turcji, w funkcji wysłannika prezydenta dla spraw bałkańskich.

Nie będę tutaj pisać o zagadkowej śmierci generała Sikorskiego. Wymagaloby to szerokich wyjaśnień. General zginął w tym samym roku 1943, w którym nie zdecydował się na ustępstwa w tej sprawie.

Gdy w maju 1944 roku ambasador George Earle spotkał się z Rooseveltem, by osobiście przekazać mu swoje memorandum, gdzie w pełni potwierdzała się wina bolszewików, Roosevelt powiedział mu: „To wszystko jest tylko niemiecką propagandą”. Ale Earle nie poddał się. W rok później, w marcu 1945, uzupełniwszy poprzednie dane, napisał do Roosevelta uprzedzając go, że zamierza opublikować wszystko, co jest mu wiadome. W odpowiedzi otrzymał list z Białego Domu, datowany 24 marca 1945, w którym Roosevelt wprost zabronił mu publikacji tego materiału. A niedługo potem Earle został wysłany „służbowo” na wyspę Samoa na Oceanie Spokojnym.

Gdy dziewięciu amerykańskich członków Kongresu polskiego pochodzenia wystąpiło z żądaniem ujawnienia prawdy o Katyniu, otrzymali odpowiedź, że chodzi tutaj o raporty „Top Secret”.

Dopiero moja książka zrobiła pierwszy wylom w powszechnej świadomości. Potem nie można już było utrzymać pełnego milczenia, tym bardziej, że pojawiły się jeszcze inne publikacje o Katyniu, a także i dlatego że zaszły określone polityczne okoliczności i powiązane z nimi nastroje, których nie będę tu omawiać.

18 września 1951 roku została utworzona „Specjalna Komisja Kongresu USA dla badania okoliczności masowego morderstwa w Katyniu”. Komisja wykonała olbrzymią pracę. Przesłuchała świadków kolejno w Waszyngtonie, Chicago, Londynie, Frankfurtcie, Berlinie i Neapolu – i znów w Waszyngtonie po powrocie Komisji z Europy. Pod przewodnictwem członka Kongresu Ray J. Maddena – od 11 października 1951 do 14 listopada 1952 roku – komisja przesłuchała 103 świadków, zbadała 220 dokumentów i dowodów rzeczowych, przyjęła do wiadomości z górą 100 pisemnych oświadczeń tych, którzy nie mogli osobiście stawić się przed komisją.

Ja wystąpiłem przed tą komisją w charakterze, po pierwsze, świadka, po drugie – eksperta oceniającego oficjalny sowiecki komunikat, w którym zbrodnię przypisywano Niemcom.

Pośród świadków pojawił się także zastępca szefa amerykańskiego wywiadu wojennego general Bissell. Na pytanie, dlaczego u-

krzył raport podpułkownika Van Vlieta, general prostodusznie odpowiedział: „Ten raport wydawał się „Top Secret”, gdyż w tym czasie prezydent Roosevelt starał się o pomoc Związku Sowieckiego w wojnie z Japonią. Był rozkaz, aby zapobiegać wszystkiemu, co mogłoby wywołać ochłodzenie stosunków sowiecko-amerykańskich. Polska nie mogła pomóc Ameryce w wojnie z Japonią, a Związek Sowiecki mógł. To jest rzeczowa strona zagadnienia!” Na pytanie, jak mogło się zdarzyć, że raport zniknął z wojennego archiwum, general Bissell nie potrafił dać odpowiedzi.

Komisja Kongresu wszechstronnie zbadała sprawę katyńskiego masowego mordy i jego sprawców. Nie tylko w pełni potwierdziło się to, co ja napisałem w swojej książce, ale ujawniło się także szereg szczegółów i dokumentów. Krok po kroku wyjaśniło się wszystko – w tej sprawie nie ma już tajemnic. Komisja Kongresu ogłosiła w kilku tomach rezultaty swych dochodzeń (na prawach rękopisu) – tutaj włączono wypowiedzi świadków, zdjęcia dowodów rzeczowych, fotokopie dokumentów, fotografie z miejsca kaźni, tabele, dane liczbowe, dokładny wykaz zaginionych oficerów, a także listę zamordowanych w Katyniu i potem ekshumowanych. Można dzisiaj powiedzieć, że sprawa wyjaśniona została w całej pełni. Nie ma już dziś najmniejszej wątpliwości, że ta zbrodnia została popelniona przez Sowiety.

W roku 1952 Komisja Kongresu jednogłośnie przyjęła uchwałę, aby rezultaty badania przedłożyć Narodom Zjednoczonym, w celu powołania międzynarodowego trybunału, który miałby osądzić sprawców przestępstwa. W wypadku, jeśli by plenarne posiedzenie Organizacji Narodów Zjednoczonych uchwaliło, że nie ma uprawnień do powołania takiego trybunału sprawiedliwości, komisja Kongresu postanowiła zwrócić się do prezydenta Stanów Zjednoczonych, żeby on z własnej inicjatywy powołał międzynarodowy trybunał sprawiedliwości, złożony z przedstawicieli wszystkich narodów, w tym także Niemiec i Związku Sowieckiego.

Wiele jest do powiedzenia o wymordowaniu ponad 4.000 polskich oficerów, których zwłoki odnaleziono w Katyniu. Należało jednak czynić poszukiwania, aby wyjaśnić, gdzie i w jakich okolicznościach wymordowano 10.000 pozostałych zaginionych polskich oficerów, których zwłok nie znaleziono w Katyniu, a których rząd sowiecki internował w obozach Starobielska i Ostaszkowa i którzy w tym samym czasie i w podobnych okolicznościach, jak oficerowie z obozu w Kozielsku w Katyniu, zostali wymordowani i zniknęli w dotąd nieznanych miejscach na powierzchni ziemi. Prześledzenie ich losu byłoby właściwie niezbyt trudne, gdyż od dnia ich wywiezienia nagromadziło się sporo informacji i bezpośrednich przekazów. Ponad 6 tysięcy jeńców wojennych z Ostaszkowa wywieziono na stację Bologoje na trasie kolejowej Leningrad-

Moskwa, gdzie ślad ich zgubił się w bezkresnych lasach, rozciągających się na północny wschód od stacji. Zaś oficerów ze Starobielska – wywieziono do miejscowości Dergacze, koło Charkowa.

Nic z tego, co wysunęła Komisja Kongresu nie spełniło się. Polityka Stanów Zjednoczonych po wojnie w Korei uległa zmianie. Wyrzekła się wszelkich dążeń do „oswobodzenia uciśnionych narodów spod komunistycznego jarzma”. Odnowiono współpracę ze Związkiem Sowieckim i politykę odprężenia, życzo sobie jak najlepszych stosunków w imię „pokojuowego współistnienia”.

Polityka ustępstw wobec komunistycznego bloku osiągnęła apogeum za czasów prezydentury Kennedy'ego i Nixona. Sprawa popełnionego w czasie wojny i po wojnie sowieckiego przestępstwa przestała interesować Białą Dom. Postanowienia Komisji Kongresu, odnoszące się do zbrodni katyńskiej zostały przekazane do archiwum.

O rozpoczęciu poszukiwań dotyczących okoliczności zamordowania przez Sowiety pozostałych 10 tysięcy polskich oficerów z obozów w Starobielsku i Ostaszkowie nie mogło już być mowy ani wtedy, ani dzisiaj.

W ten sposób doszliśmy do dzisiejszego paradoksalnego stanu. Nie jestem prawnikiem z wykształcenia. Nie wiem, czy zatajenie lub zatuszowanie widocznego przestępstwa ze strony nie pojedynczych osób, ale organizacji państwowych, a na domiar wielkiego mocarstwa, powinno być uznane za udział w przestępstwie. Gdy postępują tak najwyższe autorytety świata, uznają się zawsze za niewinnych. Jestem z wykształcenia przyrodnikiem, a mój profesor zoologii przedkładał mi: „Nigdy nie zapominaj, że przedstawienie jakiegoś stanu rzeczy, jakiejś prawdy, możliwe jest tylko na bazie porównania. Tylko wiedza porównawcza jest prawdziwą wiedzą, reszta to spekulacja”. Trzymam się tej zasady. Dlatego sądzę, że przestępstwo katyńskie, przestępstwo niewątpliwe, o którym – jak się to mówi – „wie cały świat” – jest prawdziwym kluczem do poznania naszej współczesności, którą nazwałem paradoksalną.

Jeśli wziąć pod uwagę, że obok tego przestępstwa – które zostało zatuszowane, na które przyrmyka się oczy, o którym nie lubi się już mówić, a także że nikt już nie myśli o tym, by szukać sprawców wymordowania 10.000 ludzi, nie wiadomo gdzie przez tych morderców zagrzebanych, gdyż przeszkadzają temu potężne aparaty wielkich mocarstw – istnieje taki fakt, że te same aparaty wielkich mocarstw od lat trzymają w więzieniu 88-letniego starca, który nikogo nie zabił, nikogo nie zamordował. A kto powiedziałby tylko słówko o jego uwolnieniu, zostały raczej uznany sam za przestępcę.

To Rudolf Heß, zastępca Hitlera, który w roku 1941 uciekł samolotem do Anglii, aby pertraktować z nią o pokój, a przecież pokój jest dzisiaj świętością! Jest oczywiście prawdą, że jego poglądy na każdą sprawę były dla mnie nie do przyjęcia, jak to jest z każdym socjalistycznym totalitaryzmem, choć nie wiem, czy on to jeszcze dzisiaj wyznaje. Ale komuniści na całym świecie mogą sobie chodzić na swobodzie, a Heß przecież nikogo nie zamordował. Jak objaśnić ten jego sprzeciw? Można go objaśnić w ten sposób, jak się mówi, że pragnął on przeciwną Wielką Brytanię na płaszczyznę antysowiecką. No dobrze, to inna sprawa, ale przecież nikogo nie zamordował. Czy jest większe przestępstwo od przestępstwa mordu?

Bądźmy szczerzy. Lubimy potępiać innych. Zaraz po wybuchu zarazy bolszewickiej moskiewski patriarcha Tichon rzucił na nich klątwę. Nię odegrało to specjalnej roli, ale mimo wszystko anatema rozbrzmiała z wysokości patriarchalnego stolca. A w Polsce żaden biskup, żaden prymas nie odprawił ani jednego nabożeństwa żałobnego za zamordowanych w Katyniu – czy także za tych z Ostaszkowa i Starobielska.

Kiedy został wybrany nowy papież, Polak, Jan-Paweł II, naród nie posiadał się z radości. Korzystając z tego wystąpiłem na łamach paryskiej „Kultury” z propozycją, aby poprosić Jego Świątobliwość o odprawienie uroczystego nabożeństwa żałobnego za dusze... Za dusze Polaków, zamordowanych w Katyniu i innych miejscach. Za dobrych Polaków, „kwiat Narodu”, jak w swojej pięknej książce o nich napisanej powiedział graf Czapski.

Moją propozycję podchwyciło kilka tysięcy Polaków w Ameryce i z prośbą o odprawienie żałobnego nabożeństwa przestali też do Rzymu pieniężną ofiarę. Prosząc o Mszę za dusze i tylko za dusze. Papież Jan-Paweł II odmówił jednak odprawienia uroczystej Mszy za pomordowanych i ta odmowa uzyskała całą powagę związaną z jego urzędem. Naturalnie nie określił głównej przyczyny, ale ona jest znana, chodzi przede wszystkim o to, aby nie pobudzać i nie rozgniewać komunistów. Bo nawet jeśli nie przypomina się, że to właśnie oni są sprawcami zbrodni – drażni ich samo wymienianie nazwy „Katyń”. Uważają przypomnienie tego słowa za agresję, za nagonkę na nich. A Papież jak i inni kochający pokój, pragnąłby „odprężenia” i miłości bliźniego.

Z Heßem jest nieco inaczej. Należy strzec go wszystkim siłami wielkich mocarstw, póki ten starzec nie zemrze w więzieniu.⁴⁸ W innym wypadku naruszono by „odprężenie”. Heß musi więc być

⁴⁸ W 1987 r. Heß popełnił samobójstwo w więzieniu w Spandau. (przyp. wyd.)

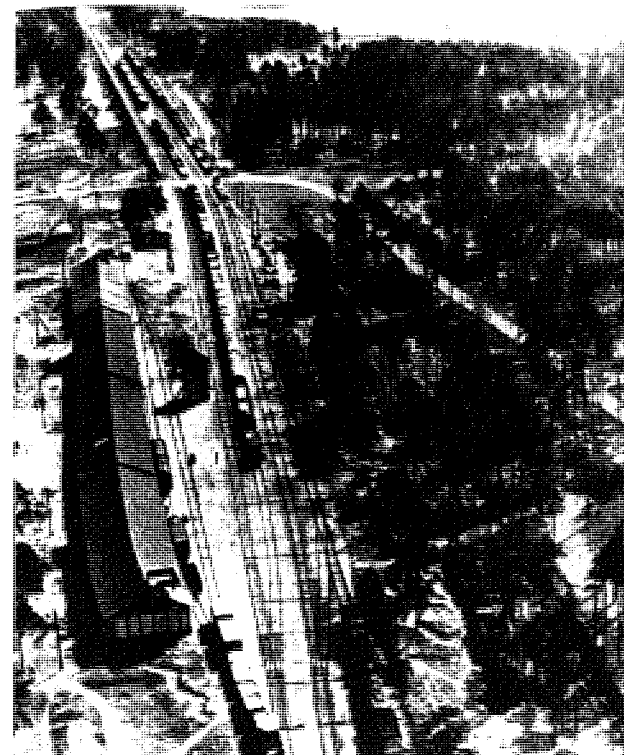
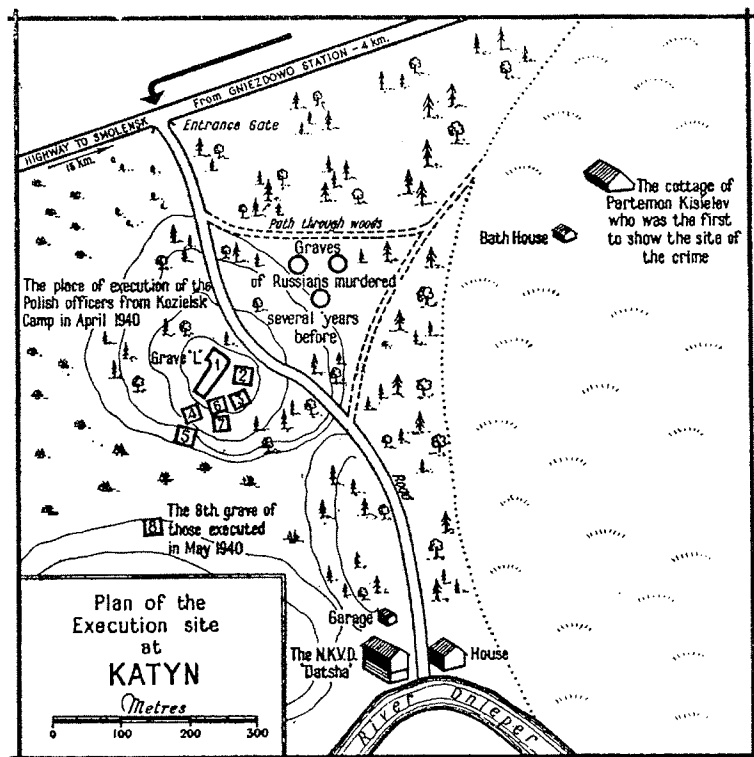
strzeżony, choć nigdy nikogo nie zamordował. Gdzie zaś pozbawiono życia 10 tysięcy ludzi, których obejmuje wspólne pojęcie „Katynia”, o tym pewnie nie dowiemy się rychło, a być może – nie dowiemy się nigdy.

Styczeń 1983

(Przełożył z niemieckiego Jacek Trznadel)

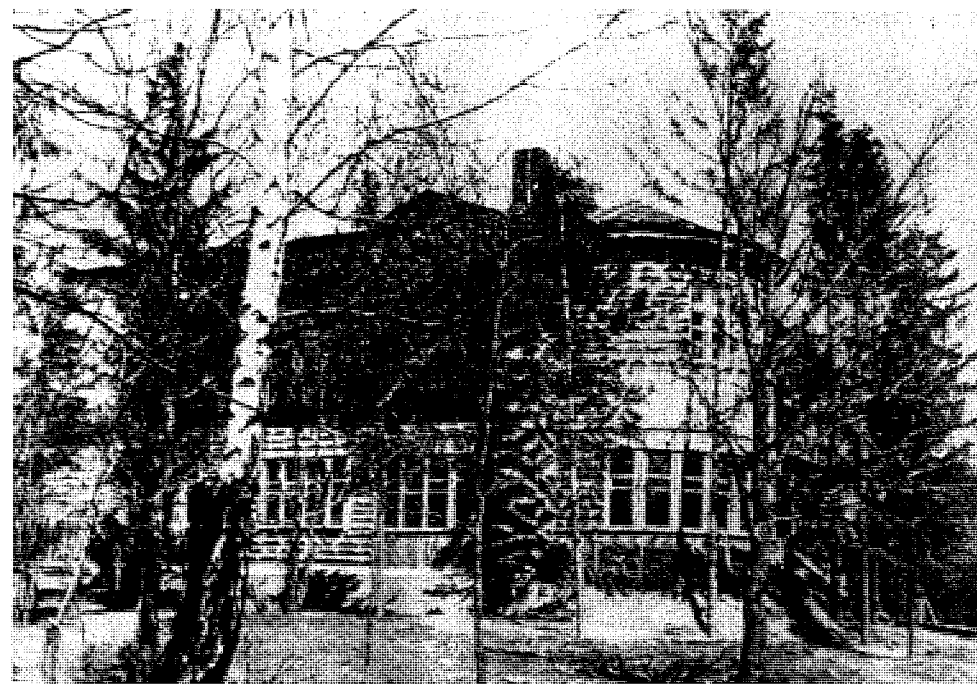
(Nachwort, 1983, do wydania *Katyn – ungesühntes Verbrechen*, Possev 1983; przeł. z polskiego Gotthold Rhode)

Szkic odręczny miejsca zbrodni z angielskiego wydania książki.



Zdjęcie lotnicze stacji w Gniezdowie z roku 1943.

Tzw. „dacza NKWD” nad brzegiem Dniepru, 1943.





Delegacja Polskiego Czerwonego Krzyża na miejscu grobów, 15.IV.1943.

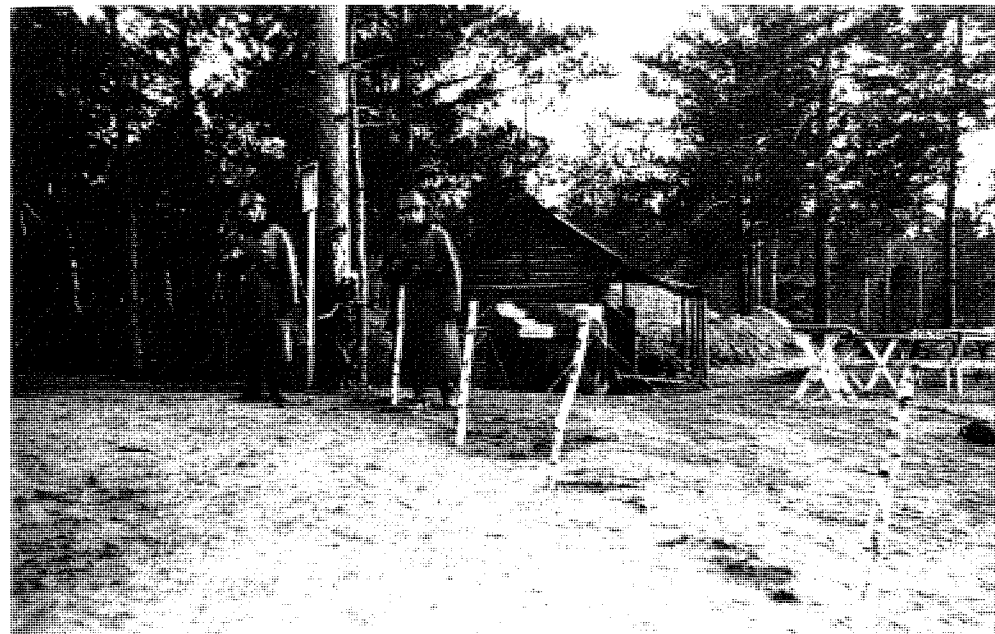


↑
Zakole Dniepru przy lesie katyńskim,
na wysokim brzegu „dacza NKWD”.

Rozkopywanie największego grobu
„L”, kwiecień 1943.



Delegacja P.C.K. na miejscu grobów, 15.IV.1943. Pierwszy z lewej: sekr. gen. K. Skarżyński.



Wartownicy przy drodze leśnej koło grobów, 1943.



Ks. S. Jasiński modli się nad zwłokami, 15.IV.1943 r.



← W odstłoniętym grobie widoczne warstwy zwłok. 1943.



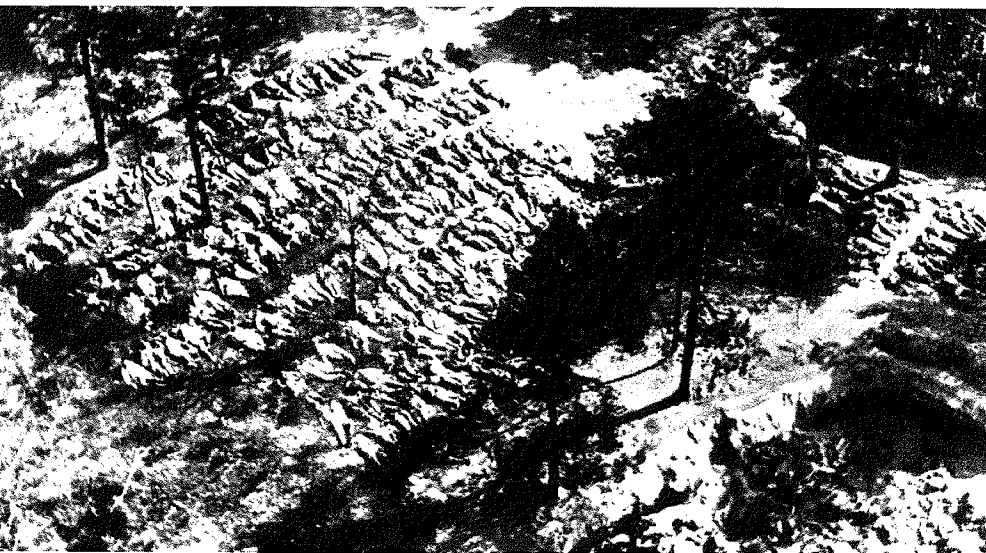
Odstłonięte wnętrze masowego dołu śmierci, 1943 r.



Nad masowym grobem pisarze zagraniczni, a wg Autora także dziennikarze, szwedzcy, hiszpańscy i szwajcarscy (po 16 kwietnia 1943).



Zdjęcie lotnicze grobów z rozłożonymi wokół zwłokami. U góry droga, w środku po prawej widoczny zarys grobu „L”. 1943.



Powiększony fragment zdjęcia lotniczego. Na dole, po prawej brzeg grobu „L”. 1943.



Oględziny wyjętych zwłok, ok. 15.IV.1943.



Prof. Buhtz (w mundurze) objaśnia badanie zwłok b. prem. Leonowi Kozłowskiemu. Po lewej w głębi I. Kriwoziercew?. 20.IV.1943.



... premier L. Kozłowski ogląda dowody rzeczowe, prawdopodobnie we wsi Gruszczenka.
... V mundurze por. Voß. 20.IV.1943.



Międzynarodowa Komisja Ekspertów, stoły sekcyjne. Z prawej, w dole, z papierosem prof.
... Drśós. 28-30.IV.1943.



Międzynarodowa Komisja Ekspertów, stoły sekcyjne. Z prawej, w dole, protokolantka
niemiecka. 28-30.IV.1943.



Dr Palmieri bada czaszkę nr 800. W głębi protokolantka niemiecka. 28-30.IV.1943.



↑
Sekcja zwłok. Od lewej dr Palmieri, dr Naville. Między nimi protokolantka niemiecka. 28-30.IV.1943.



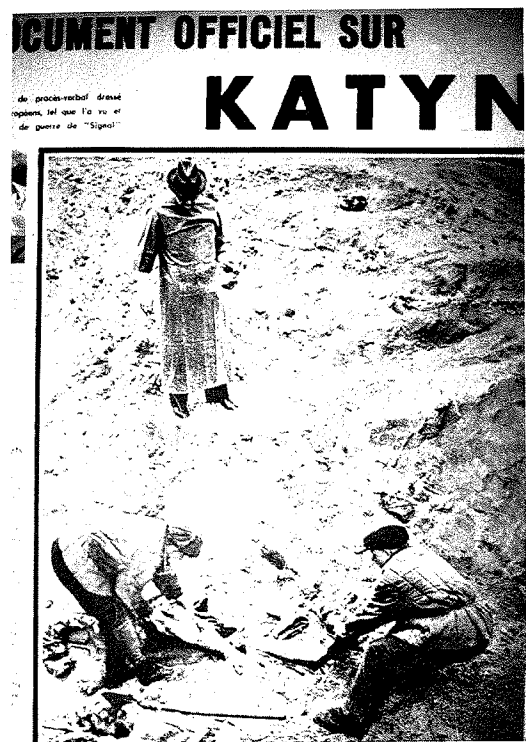
←
Sekcja zwłok. Prof. Orsós, prof. Saxén. 28-30.IV.1943.



↑
Prof. Hájek bada zwłoki, za nim prof. Subik, z dokumentem w ręku dr Wodziński. 28-30.IV.1943.



←
Parfen Kisielew jako „Świadek” i prof. Naville, na okładce francuskiej mutacji czasopisma „Signal” z czerwca 1943.



Prof. Orsós i robotnicy rosyjscy przy ekshumacji. 28-30.IV. 1943.



Sekcja zwłok, z prawej prawdopodobnie prof. Saxén. 28-30.IV. 1943.



Prof. Buhtz pokazuje dowody rzeczowe członkom Komisji Międzynarodowej. Widoczny prof. Palmieri, dalej na prawo prof. Naville. 28-30.IV.1943.



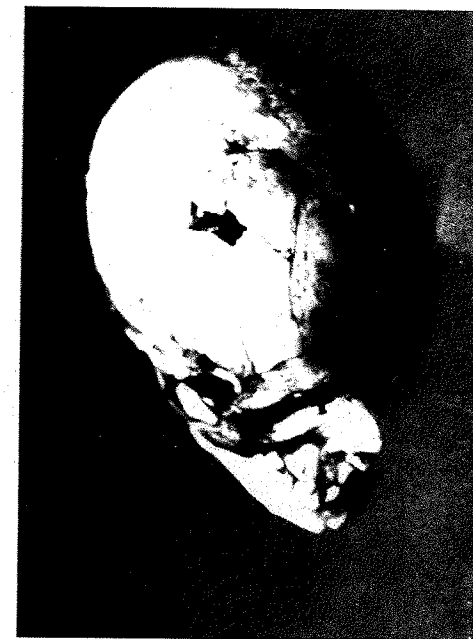
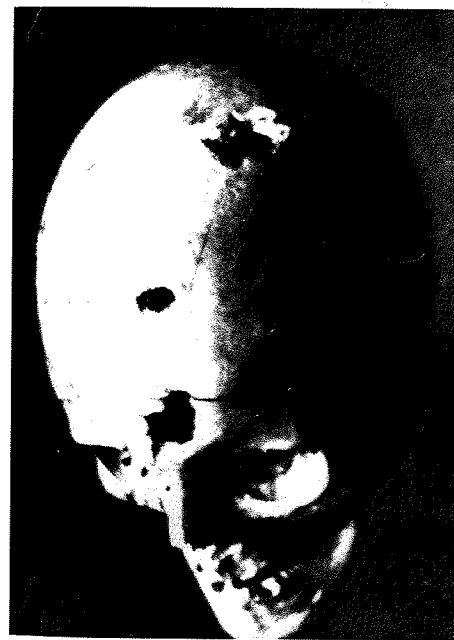
Członkowie Komisji Międzynarodowej rozmawiają z P. Kisielewem. Od lewej: prof. Speleers, tyłem prawdopodobnie I. Kriwoziercew, prof. Orsós, prof. Birkle, prof. de Burlet. 28-30.IV.1943.



Szczałki gen. Smorawińskiego i Bohaterewicza przed pogrzebem w obecności Międzynarodowej Komisji. Koniec kwietnia 1943.



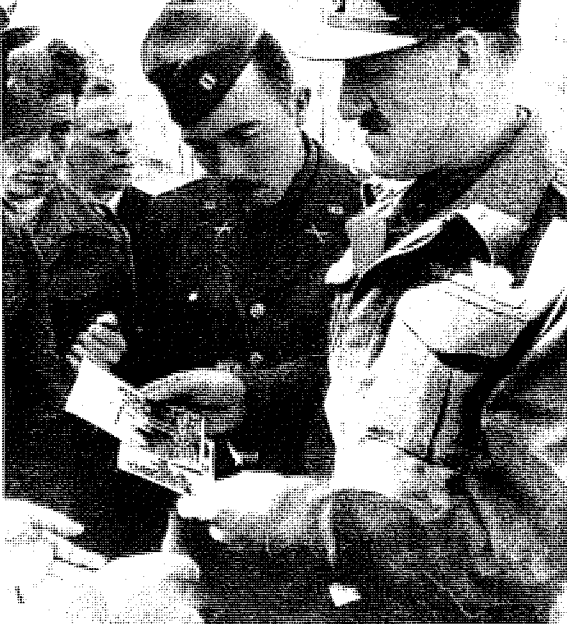
↑
Prof. Orsós rozmawia z Kisielewem. W głębi, w czapce z daszkiem być może dr Tramsen.



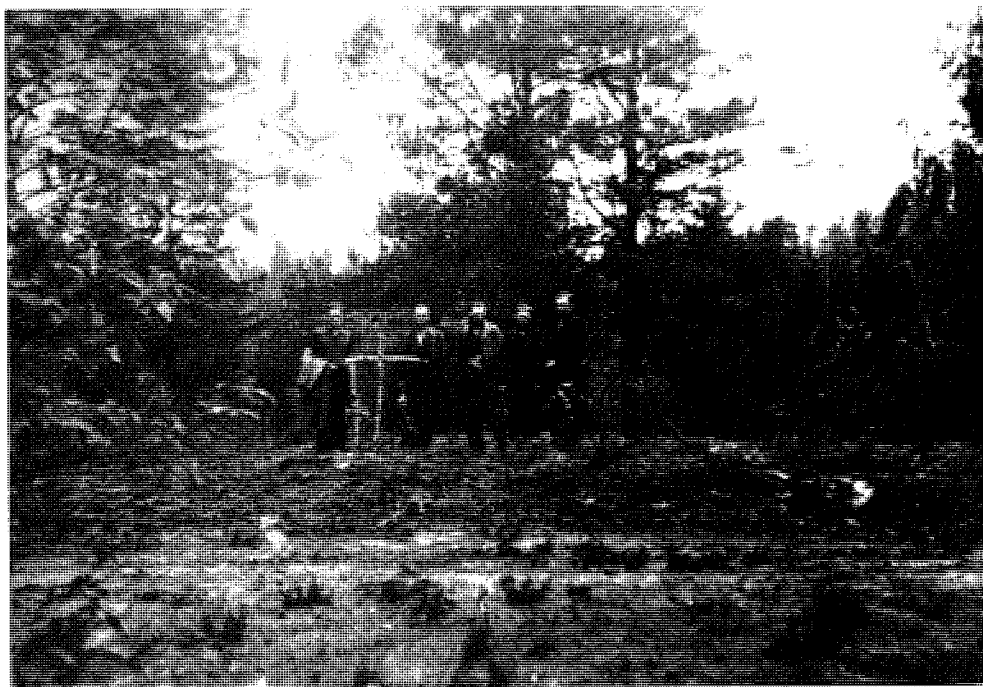
Czaszki z wielokrotnymi przestrzeleniami. 1943.

←
Zwłoki nie zidentyfikowanego majora. Widoczne naramienniki. 1943.

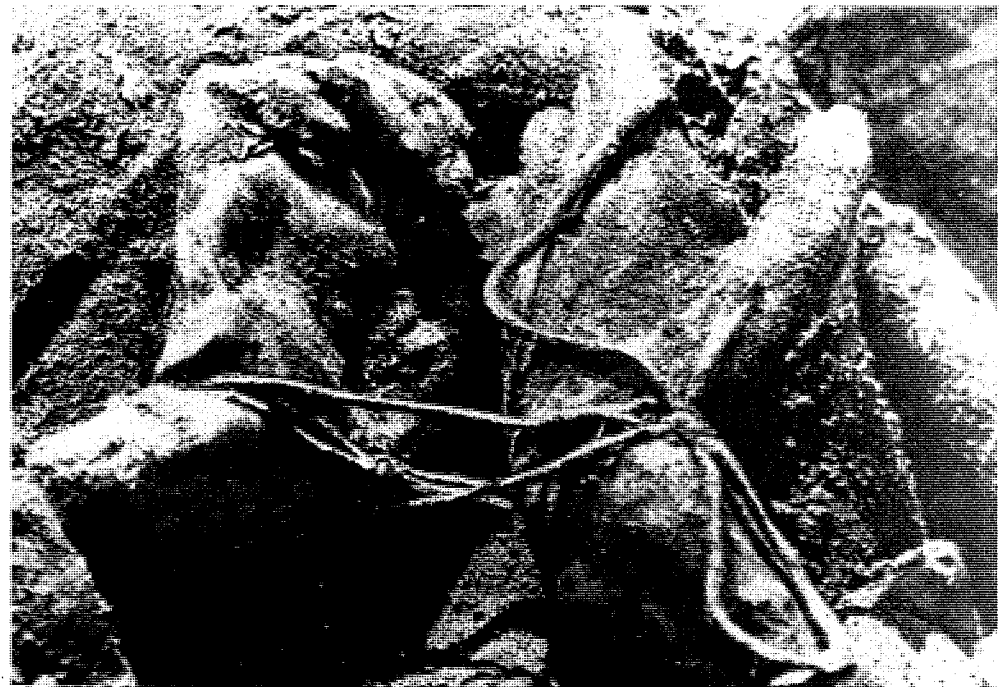
Oficerowie anglosascy z Oflagu przeglądają dokumenty w Katyniu (zdjęcia pierwotnych krzyży z mogił oficerów). 13.V.1943.



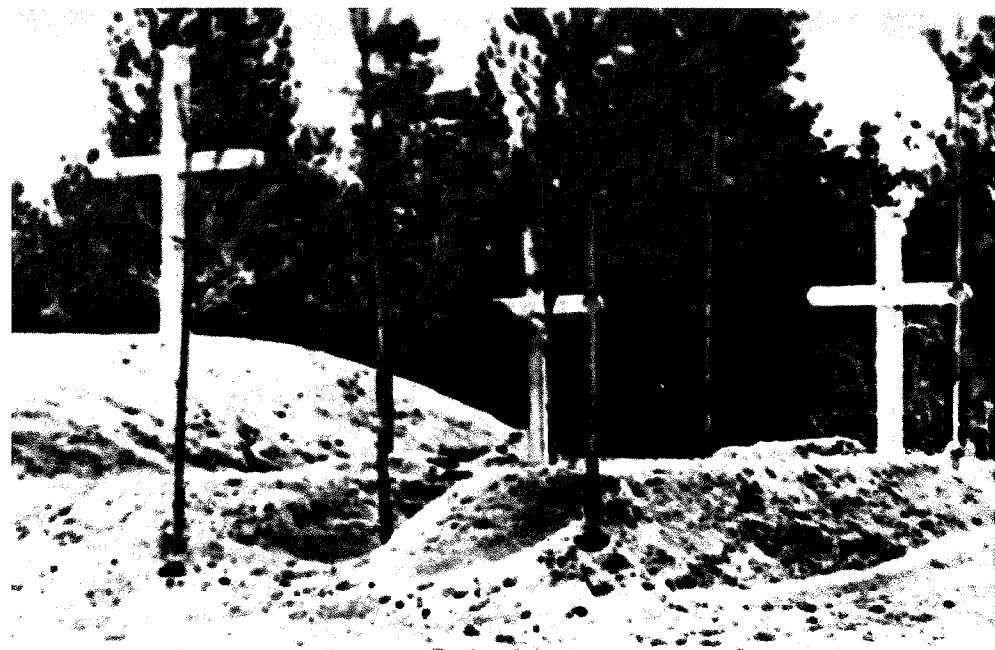
Zdjęcie z 1942, ujawnione w latach 90. Robotnicy Todta, którzy postawili brzoszowe krzyże, przy mogile oficerów w lesie katyńskim.



Oficerowie anglosascy z Oflagu nad jednym z grobów. 13.V.1943.



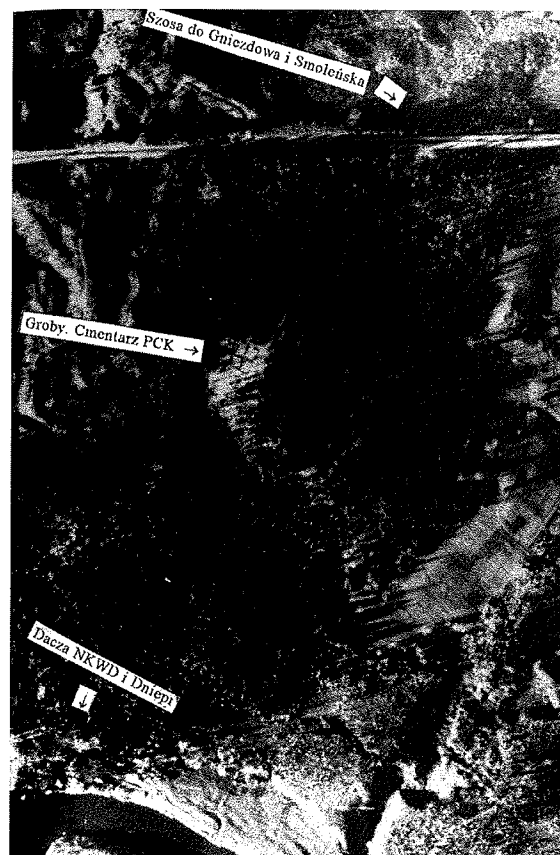
Ręce jednej z ofiar, widoczny sposób wiązania. Według H. de Montfort są to ręce gen. Smorawińskiego.



Tworzenie tzw. cmentarza PCK w lesie katyńskim. Duża pierwsza mogiła i dwie małe, generalskie, w maju 1943.



Końcowe prace przy tworzeniu cmentarza PCK, koniec maja lub pierwsze dni czerwca 1943.



Zdjęcie lotnicze Luftwaffe z jesieni 1943, widoczna szosa Smoleńsk – Witebsk, zakole Dniepru i mogiły, już prawdopodobnie bez krzyży.

Parfen Kisielew przed komisją Burdenki, bez brody; styczeń 1944.
↓





Tom drugi

WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY

(rozproszone szkice o Katyniu)



↑
Pomnik pierwszego „Memoriału” rosyjskiego, postawiony niedługo po wojnie.

Łże-pomnik sowiecki w lesie katyńskim, przy drodze do mogił polskich, poświęcony pamięci rozstrzelanych rzekomo przez Niemców jeńców rosyjskich. Zdjęcie z 1990 (Tomasz Kizny).

ukończone. Trafiłem na ich tok, jakkolwiek zbliżyć się wydają ku końcowi. – Był tedy chłodny dzień i nad Smoleńsk, od strony frontu ciągnęły szkwałowe chmury, zlewając deszczem okoliczne ruiny domów. Jechaliśmy do Katynia pośród tych ruin, zwalisk żelaza, wypalonych wozów i wagonów, sterczących sztab żelaznych i łózek żelaznych, tkwiących jeszcze w rumowiskach. Ludzie obcy twierdzili, że jest to pogoda najodpowiedniejsza. Zimno i deszcz, wiatr rozpędza swąd trupi, no i nie ma much. Można zatem wytrzymać. W pewnym miejscu szosa przekracza szyny kolejowe i biegnie wśród wyrębów. „Tu” – powiedział ktoś – „zaczyna się ta Golgota”...

– Przepraszam, jak to „tu”, to znaczy gdzie?

– To znaczy od stacji Gniezdowo. Na stację Gniezdowo przywożono naszych oficerów. Stąd tylko cztery kilometry do lasu katyńskiego. Te cztery ostatnie kilometry swego życia jechali tak samo jak my teraz, mijając te same drzewa, powiedzmy, tę oto czy tamtą brzoźkę, której wygląd chciałbym sobie zapamiętać, ale która, jak to bywa, zatraca się zaraz w pamięci wśród szeregu innych brzoźek i innych krzaków. Lasek Katyński nie jest duży. Obejmuje kilka hektarów. Dziś wjazd do niego strzeżony jest przez wartę, szlaban i tablicę z odpowiednim napisem. Droga gruntowa w głąb wyślizgana gumami samochodów. Stąd już tylko kilkanaście kroków. Przy wyjściu z auta uderza nas wewnątrz lasu, odpowiadającego strefie naszego klimatu, a więc takiego samego jak nasz, wileński, gdy się składa z młodych sosenek, brzoźek, mchu i świeżej, wiosennej trawy. Ale nie pachnie tam ani wilgotnym mchem, ani igliwem. Przytlacza ohydnie cuchnący, słodkawy, lepki swąd trupi. Był on pomimo zimna i wiatru tak dotkliwy, że cofnąłem się odruchowo o krok w tył i właśnie wtedy nastąpiłem na przedmiot, który się ugiął pod nogą. Była to czapka oficera polskiego o ciemnozielonym otoku naszej artylerii. Podniosłem ją i odłożyłem na dywanik rosnących w tym miejscu nieśmiertelników. Może zakrawa to trochę na patos, że zwróciłem uwagę na rosnące kwiatki...

– Proszę, proszę, niech pan opowiada dalej.

– A więc podłoże lasu w tym miejscu wygląda brzydko. Wygląda po prostu tak, jak powiedzmy, podmiejski lasek opuszczony przez majówki i wycieczkowiczów niechłujnych, którzy w niedziele rozkładają się pod drzewami, a później pozostawiają po sobie odpadki, niedopalki, papiery, śmiecie. W Katyniu pomiędzy tymi śmieciami rosną nieśmiertelniki. Przy bliższym przyjrzeniu stajemy przykuci niezwykłym widokiem. Nie są to bowiem żadne śmiecie. Osiemdziesiąt ich procent stanowią pieniądze. Polskie papierowe banknoty złotowe, przeważnie wyższych emisji. Leżą niektóre w paczkach po sto, po pięćdziesiąt złotych, po dwadzieścia. Leżą pojedynczo i drobniejsze, wojennej emisji dwuzłotówki, w jednym wypadku widziałem czerwońce. Wyblakłe, oblaźłe, przesiąkłe trupim

odorem i ciecżą trupów. Tuż obok cygarniczki drewniane, papierosy, strzępy sowieckich gazet, guziki z orłami, rękawiczki, kawałki mundurów, chustki do nosa, skórzane portmonetki... Wszystko to są rzeczy wydobyte z grobów. Dzieje się tak nie na skutek lekceważenia lub braku sumienności ze strony pracującej tu komisji Polskiego Czerwonego Krzyża, która przeciwnie, jak to opowiem dalej, z pełnym samozaparciem i poświęceniem pracuje nad zidentyfikowaniem pomordowanych i zachowaniem pozostałych po nich pamiątek. Dzieje się tak dlatego, że pomordowane tysiączne ofiary, rzucane były do straszliwych dołów łącznie z całym ich osobistym życiowym balastem codzienności. Jest tego strasznie dużo, co każdy człowiek nosi przy sobie i czym wypycha kieszenie za życia, gdy się to mu wydaje ważne. Ale po śmierci ważne są tylko rzeczy niektóre. Dla komisji przede wszystkim wszystko, co służy do zidentyfikowania zwłok, jak legitymacje, listy, pamiątniki itd. Poza tym wszystkie przedmioty metalowe, nie ulegające psuciu, podlegające oczyszczeniu, mogące pozostać drogą relikwią dla rodziny. Wszystko inne, bezwartościowe, na wół przegniłe, przesiąkłe na wieki już jadem rozkładu, usuwa się na razie na bok. I to leży. Leży teraz w postaci świadectwa, straszliwego, ponurego świadectwa, bezładnymi strzępami wśród drzewek lasu katyńskiego.

– A właściwe groby, czy doly z trupami, znajdują się obok?

– Tak, jest ich, a raczej było, siedem. W dwóch największych warstwa trupów sięgała dwunastu rzędów w głąb.

– I pan to widział?

– Czy widziałem! Straszliwy odór przyprawił mnie w pierwszej chwili o mdłości, zanim całym wysiłkiem woli zdołałem się opanować. Poszliśmy ścieżką usianą wydobytymi już rzędami trupów i tam, za grubą sosną, za wałem świeżo wykopanego piasku, spojrziałem w dół.

– Straszne...

– Straszne. Jeden, dwa, trzy trupy ludzkie robią już ciężkie i przygniatające wrażenie. Proszę sobie wyobrazić ich tysiące, tysiące, i wszystkie w mundurach oficerów polskich... Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb, warstwy ciał ludzkich jedne na drugich. W tej okropnej chwili przychodzi mi straszliwe porównanie ich do wielkiej skrzyni sardynek. Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami, to głową, sprasowane, spłaszczone w trupim soku, który na dnie niektórych dołów ustaje się nieraz w postaci zielonej, martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakieś ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogosławiony wiatr odegnał na przeciwną stronę grobu odurzający swąd. I nawet na chwilę wyjrzało słońce. Był to

moment, którego nie zapomnę nigdy, bo promienie tego słońca padły i zabłysły nagle na złotym zębie czyichś tam, w głębi, na w pół otwartych ust. Odchyliłem głowę, by zmienić kąt odbicia i nie patrzeć na te słoneczne igraszki. W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem. Wiosna nad dołem splecionych nawzajem rąk, nóg, wykrzywionych twarzy, zlepionych włosów, oficerskich butów, strupieszających mundurów, pasów. Pomyśleć sobie, że każda z tych pozycji leżących, skrzywienie kolana, odrzut głowy był ostatnim odruchem najwyższej męki, rozpacz, strachu, bólu... czy ja wiem zresztą, jakich najgorszych odczuwać ludzkich.

– Nie stawiali oporu?

– Owszem, stawiali. Znaczna część skrępowana była sznurami, niektórzy pokłuci bagnetami. Tego dnia, gdy opuszczałem Katyń, wydobyto zwłoki, które tym się różniły od innych, że nie były strzelane tym stereotypowym strzałem w potylicę czaszki, jak to już powszechnie wiadomo, a wykazywały postrzał z tyłu między łopatkami, przebite poza tym prawie na wylot bagnetem i kilkakrotnie jeszcze pokłute w różnych miejscach. Właśnie stawiających opór, jak to wykazały badania, krępowano. Widziałem ten charakterystyczny węzeł. Nie potrafię go powtórzyć, ale chodzi w nim głównie o to, że którąkolwiek bądź rękę poruszy delikwent, zaciska wszystkie więzy. Niektórym sznury założone były na szyi, w takim wypadku szarpnięcie skrępowaną ręką zaciskało jednocześnie pętlę na szyi i dusiło. Ostatni raport dr Mariana Wodzińskiego, przesłany do centrali Polskiego Czerwonego Krzyża mówi, że 0,4 procent zwłok wykazało podwójny postrzał w potylicę, zaś 1,5 procent podwójny postrzał szyi. Kaliber jak wiadomo był zawsze ten sam 7,63,¹ nie dający zresztą dużej detonacji. Również na kilka dni przed moim przybyciem dokonano wstrząsającego odkrycia, o którym doprawdy mówić można tylko przez zaciśnięte zęby: oto w jednym z dołów znaleziono warstwy oficerów, których kładziono żywcem twarzami na dół na poprzednio już zabite warstwy albo jeszcze drgające w konwulsjach przedśmiertnych, i strzelano ich w pozycji leżącej.

– Ach, jakież to straszne! W jaki sposób fakt ten został ustalony?

– W ten sposób, że delikwent leżał twarzą w dół, w czapce. Daszek tej czapki był załamany na czole, a kula tkwiła w daszku. W każdej innej pozycji taka okoliczność byłaby niemożliwa.

¹ Jak wykazały szczegółowe badania niemieckie kaliber amunicji wynosił 7,65. Jest to kaliber pistoletów typu „Walther”, z których, jak dowiedziono już w ostatnim czasie, strzelano w zasadzie do polskich oficerów we wszystkich miejscach kaźni. (przyp. wyd.)

– Jak dokonywano tych zbrodni? To znaczy chodzi mi o techniczny po prostu przebieg. Przecież tyle tysięcy oficerów...

– Widzi pan, poruszamy tu temat może kulminacyjny tej tragedii, która dziś nie jest już tragedią poszczególnych osób czy ich rodzin, ale całego Narodu. Wiem, że pytanie postawione jest po to, aby odpowiedź, czy opowieść następnie opublikować. Jestem zupełnie głęboko przekonany i nie wstydzę się tego, i nie ukrywam, i nie ukrywałem nigdy, że najszerze warstwy naszego Narodu, jak zresztą wszystkich narodów, powinny zrozumieć głębszy sens i niebezpieczeństwo bolszewizmu. Sięgamy tu jednak w dziedzinę okropności. Dla obcych być ona może źródłem sensacyjnych dreszczów tylko. Dla Polaków winna być sprawą ich wewnętrznej przeżywaną dziś męki. Nie chciałbym, aby cokolwiek powiem, miało posmak sensacji. Otóż pytanie, które pan postawił, przyznam, mrozące krew w żyłach, zadawałem sobie i innym w Katyniu nieraz. W tej chwili nie znamy świadka, który by na nie mógł dać wyczerpującą odpowiedź. Istnieją hipotezy, które ozdobić możemy literacko-psychologiczną fantazją. O tym nie chcę mówić. Skąpych wiadomości udzielić mogą miejscowi mieszkańcy. Właśnie na skraju drogi, dalej od złego powietrza miejscowi robotnicy, Rosjanie, rozpalili ognisko. Stał tam m.in. ów słynny dziś staruszek, siedemdziesięcioletni Kisielew, który figurował już na ilustracjach, jako „ten, który wskazał”. Rozmawiałem z nim i innymi. Dym, zapach smolnego drzewa łagodził odór. Przy ognisku przyjemnie było posiedzieć. Zapaliliśmy papierosy. Naturalnie z ludzi tych nie jest łatwo cośkolwiek wydobyć. Ludzie sowieccy tym się różnią od innych, że najlepiej umieją milczeć i wartość milczenia ocenić. Taki to zawsze woli, żeby sąsiad mówił, a on sobie tymczasem trochę pomilczy. Nie są też przyzwyczajeni do formułowania jawnych sądów. Trzeba z nich wydobywać słowo po słowie. Z tych słów jednak mogłem wysnuć następujący bieg zdarzeń:

W marcu, kwietniu roku 1940 na stację Gniezdowo koło Smoleńska, o 4 kilometry od Katynia, codziennie przybywał pociąg, złożony z trzech wagonów i parowozu.² Z wagonów tych wyladowywano oficerów polskich. Wyladowywano do samochodów więziennych, znanych zarówno w Smoleńsku jak całej Rosji pod nazwą „czernyj woron” (czarny kruk). Samochody pochodziły ze Smoleńska, których tamtejsze NKWD posiadało cztery sztuki. Do Katynia chodziło ich trzy. Przodem jechała ciężarówka z rzeczami, za nią „czernyje worony”, zaś karawanę zamykał samochód osobowy z urzędnikami NKWD. Ponieważ oficerowie przywożeni byli z rze-

² Dziś wiadomo, że transporty przybywały w kwietniu i jeszcze w maju. Nie codziennie. Być może jedną, niewielką grupę rozstrzelano w lesie katyńskim w połowie marca. (przyp. wyd.)

czami, wynika z tego, że do ostatniej chwili nie wiedzieli, co ich czeka. Po pewnym czasie auta zawracały na stację i w ten sposób kursowały cały dzień tam i z powrotem. Nazajutrz przychodziły nowe wagony, nowy transport. Ilu w ten sposób tracono dziennie, ustalić trudno. Obszar lasu katyńskiego od lat już znany był okolicznym mieszkańcom jako miejsce kaźni. Otoczony drutem kolczastym, obstawiony wartami, które krążyły z psami. Nikt się doń nie mógł zbliżyć i oczywiście każdy, kto zna stosunki sowieckie, rozumie, że nikt zbliżyć się nie miał ochoty, ani mówić, co tam się dzieje, ani szeptać, ani patrzeć, ani domyślać się, ani w ogóle myśleć nawet. To jest zupełnie zrozumiałe. Czego się spodziewali nasi oficerowie, jadąc w ten sposób te cztery krótkie kilometry, co czuli i przeczuwali, o czym między sobą mówili, możemy snuć tylko domysły, my wszyscy, zarówno ja i ci, którzy byli w Katyniu, jak panowie którzyście tam nie byli. Być może to najstraszniejsze, które rozegrało się później, które następowało natychmiast po przybyciu do lasu, zostanie ujawnione w przyszłości. Być może zezna ktoś z agentów NKWD, ktoś z wartowników, żołnierzy sowieckich wówczas obecnych, jak ginęli nasi oficerowie, ofiary bezbronne, jeńcy wojenni bez wojny. Z jakimi słowami na ustach, z jakim gestem, protestem, przerażeniem czy bohaterstwem. Zapewne byli tam różni ludzie i różnie się zachowywali. Życie i śmierć to sprawa arcyłudzka. Tylko sposób, w jaki śmierć ta została zadana, pretekst i towarzyszące okoliczności są tak nieludzkie, że jakkolwiek zdarzać się mogą w historii wojen, historia... „pokoju” dotychczas ich nie znała.

– Proszę nam powiedzieć – odezwaliliśmy się po krótkiej chwili milczenia – czy istnieje jeszcze jakokolwiek wątpliwość, że zabici w lesie katyńskim nie są oficerami polskimi?

– Nie, wątpliwość taka nie istnieje.

– A czy istnieje jakokolwiek wątpliwość, że zamordowani zostali nie przez bolszewików?

– Nie. Ja osobiście nie mam najmniejszej wątpliwości, żadnej absolutnie wątpliwości, że zamordowani zostali właśnie przez bolszewików. Przekonałem się naocznie na miejscu zbrodni w Katyniu.

– W jaki sposób się pan przekonał?

– Poza już wymienionymi zeznaniami świadków, byłem obecny przy pracy wydobywania zwłok i następnej identyfikacji. Zaznaczyłem już na początku, że trafilem w chwili, gdy prace te były w toku. Prace prowadzi Polski Czerwony Krzyż. Delegacja składa się z siedmiu osób, na czele z panem Wodzinowskim. Kieruje zaś robotami zaproszony przez Polski Czerwony Krzyż dr Marian Wo-

dziński z Instytutu Medycyny Sądowej w Krakowie. Tak jak wszystko w Katyniu widziałem również na własne oczy, jak się to robi.

– Mianowicie...

– Mianowicie robotnicy miejscowi wkraczają do dołów, w których spoczywają zabici, oddzielają pojedyncze zwłoki, często przy tym zmuszeni są je odrywać, tak bardzo spłaszczone i sprasowane są warstwy trupów. Układają je na nosze i niosą na wolną przestrzeń, gdzie zostają złożone na ziemi. Inna grupa robotników, pod ścisłym kierownictwem członków i funkcjonariuszów Polskiego Czerwonego Krzyża wydobywa wszystko, co się przy zwłokach znajduje. Widziałem stan zwłok i stan mundurów. Gleba piaszczysto-gliniana sprzyja częściowo mumifikacji znanej w nauce pod nazwą „tłuszczowosk”. Mundury są oczywiście sprasowane, zlepione, kleiste, bezbarwne. O odpinaniu guzików mowy być nie może. Opekuje się nożami. Rozcina się więc kieszenie i kieszonki, nawet cholewy butów, aby wydobyć wszystko, co człowiek ten nosił przy sobie za życia. I oto nastaje chwila, w której niemy, ponury grób zaczyna przemawiać. Przed oczyma naszymi przesuwają się obrazy prywatnego życia i politycznego, i duchowego, i rodzinnego, i więziennego, i... no i tak dalej. Przy niektórych zwłokach znajdują się tylko drobne ułamki ich osobistych spraw. Przy niektórych liczne i nawet bardzo liczne wskazówki, które pomagają stwierdzić datę, historię ostatnich tygodni, nastroje, nazwiska, stan rodzinny, stopień wojskowy, zawód cywilny. Nie wstydzmy się powiedzieć, że z grobu tego, z cuchnącej zbrodni, o której pokoleniom zapomnieć nie będzie wolno, idzie ku nam człowiek już nie żywy, który kiedyś żył jak inni, cieszył się, cierpiał, marzył, pił, modlił, romansował, płakał, czytał, pisał, myślał, grał, miał wady i zalety. Na światło dnia tej wiosny, wydobywane jest z grobu wszystko, co było jego: zgniecione zapalki, ostatnie nie wypalone papierosy, pieniądze, medaliki i legitymacje, order i portmonetki, książeczka do nabożeństwa obok gazety sowieckiej, świadectwa szczepienia w Kozielsku, pamiętnik i fotografie, a nade wszystko listy. Atrament i chemiczny ołówek najczęściej nie wytrzymują próby wilgotnego grobu. Natomiast świetnie zachowuje się pisane ołówkiem zwykłym i słowo drukowane. Oto proszę pana...

Pan Mackiewicz ma w tej chwili wyraz człowieka nad wyraz zmęczonego, gdy sięga po plik fotografii.

– ...oto proszę zobaczyć, jak się to robi, jak rozcina mundury, bada i sprawdza, segreguje rzeczy potrzebne od niepotrzebnych. A oto jeszcze dowód, bardzo przykry, bardzo cuchnący, ale cóż począć...

Sięga teraz po paczkę, zawiniętą w ogromną ilość gazet. Rozwija. Zwolna w powietrzu zawisa swąd trupi. Jeszcze jeden pa-

pier, jeszcze jeden papier. Potem widzimy mały, drewniany portcygar, w nim trzy, dobrze zachowane papierosy. Obok guziki z orłami. Gazetę sowiecką z grudnia 1939 roku. Papierowe 2 złote. Kulę wyjętą z czaszki. Naramienniki majora z liczbą trzy i naramienniki kapitana.

- I tak mniej więcej wyglądają wszystkie te rzeczy tam, w Katyniu. Taki jest ich stan. Oto na przykład kładą na stole zwłoki o nieco podkurczonych nogach, z głową odrzuconą na bok, z czoła której zieje dziura wylotowa kuli. Władysław Bielecki. Kartka pocztowa doskonale zachowana. Stempel pocztowy wskazuje datę. Białystok 14.I.1940 r. W bocznej kieszeni „Głos Radziecki” z dnia 29 marca 1940 r. Druk przebija wyraźnie poprzez lepka wilgoć: „Towarzysze. Idziemy ku lepszemu jutru. Przychodzą nowi ludzie, którzy naszą ojczyznę... Towarzysz Stalin...” no itd. Następny. List do Kozielska. Nazwisko nieczytelne. Książeczka do nabożeństwa. Portfel. Doktor Wodziński otwiera go i nagle na nas wszystkich, którzyśmy zbliżyli głowy, patrzy mokra, tak dziwnie wyraźna, kobieta, jasna, o dużych oczach, blondynka, z dzieckiem na ręku. Może ma na tej fotografii trochę niemodną i przydługą suknię, może się komuś wydać banalną... To jego żona z córeczką. Poszedł z nimi do grobu. Kula siedzi mu jeszcze w czaszce, co się zdarza rzadko.

- Tak, proszę panów - mówi dalej pan Mackiewicz - fotografii i listy, to drugi tom tej tragedii, a dla mnie osobiście ten tom drugi wydaje się jeszcze smutniejszy, jeszcze bardziej rozdzierający. Mówiłem poprzednio o kulminacyjnym punkcie tematu. Dotyczy on wszakże strony niejako rzeczowej, tych oficerów, tych mężczyzn rodaków naszych, którzy ginęli mordowani w nieludzki sposób przez największego z naszych wrogów. Jest jeszcze inny punkt kulminacyjny, gdy oderwawszy wzrok od trupów pomordowanych ojców, skierujemy go na listy ich dzieci. Te które miałem w ręku, wszystkie pisane były do Kozielska.

„Kochany Tatusiu. Jesteśmy niespokojni, bo nie mamy wiadomości ani listu. Wysłaliśmy 100 rubli i paczkę, i rzeczy, o które Tatusz prosił. My jesteśmy zdrowi i na tym samym miejscu. Proszę się o nas nie bać. Gdy się zobaczymy... Podpisane: Twoja Stacha. 15 lutego 1940 r.”

„Drogi Ojczulku. Dziękuję Ci bardzo i życzę również zdrowia i wszystkiego, wszystkiego najlepszego. Do szkoły nie chodzę. Z powodu mrozów jest zamknięta. Na Hnidówce nie byliśmy bo daleko i mróz. Znaczkę pocztową zbieram...”

Jakże ważną wydawała się ta wiadomość synka, która turkotała po szynach sowieckich kolei, zanim dosięgła ojca na niewiele dni przed jego straszliwą śmiercią: Tadzio zbiera znaczkę. Tadzio wierzy: „...kiedy wrócisz” - pisze. Ten refren powtarza się ciągle:

„gdy wrócisz”, „jak będziemy razem”, albo: „zobaczysz”, „Tatusz zobaczy”... Nie!! nie zobaczył już nigdy! Dzieci są pełne zaufania. Wierzą w dobry koniec, w samo przez się zrozumiały powrót do domu. Przebija w nich taka doza wiary i tęsknoty, że czytając te listy, tam w Katyniu, nad przedziurawionymi czaszkami, jakaś gorzka ślina dusi w gardle. Tu mam jeszcze jeden, tak pełny miłości dziecinnej, tak tchnący troską o los „najukochańszego Tatusia”, a jednocześnie wiarą i otuchą, że nie ważą się go przytoczyć, ani wymienić imienia. Mimo wszystko byłoby to świętokradztwem. List ten doszedł na krótko przed końcem. Widziałem na własne oczy, jak w stosie trupów wyglądał ten, do którego był adresowany. Złożył on to pismo dziecinne, pisane ołówkiem, wielkimi literami, skrupulatnie we czworo i schował w portfelu. Teraz dopiero go wydobyto z cuchnącego padołu. Ale nie zdaje mi się, żeby pisany był daremnie. Dziś już preadresowany jest na imię Boga i wolać będzie o pomstę.

- A jak wyglądała ta willa czy dom wypoczynkowy agentów NKWD, o którym wspominały komunikaty, że mieści się w lasku katyńskim?

- Leży w odległości niespełna kilometra od miejsca kaźni, prześlicznie położona na górze. U stóp wije się wśród zieleni Dniepr. Z tej strony leży weranda i w dół do Dniepru zbiegają schody. Widok stąd piękny. Istotnie trudno sobie uzmysłowić nastawienie psychiczne katów, którzy tu mieszkali i - „wypoczywali” po swojemu. Dla mnie osobiście zestawienie to jest nie do pojęcia.

- Czy znajdowano też inne ofiary poza oficerami polskimi?

- Owszem. Kopie się dalej i nieomal wszędzie natrafia się na trupy i starsze już kości ludzkie. To stare miejsce kaźni. Widziałem kilka takich dołów, w których szkielety leżą jeszcze skręcone w typowej pozycji z rękami założonymi na plecy. Sznur już przegnił oczywiście.

- A co się dzieje ze zwłokami naszych oficerów już zidentyfikowanych?

- Jak już powiedziałem, zwłoki są numerowane i odpowiedni numer otrzymuje również torebka zawierająca dokumenty i pamiątki. Dokumenty te idą na oddział identyfikacyjny, gdzie się sporządza liczby porządkowe, a następnie wszystko przesłane zostaje do centrali Polskiego Czerwonego Krzyża w Warszawie. Same zaś zwłoki chowane są we wspólnych grobach. Takich grobów istnieje już trzy. W największym złożono 980 oficerów polskich. Poza tym dwa groby, gdzie w drewnianych trumnach pochowano oddzielnie generała Smorawińskiego i generała Bohaterewicza.

- Podobno na miejscu przebywali również oficerowie polscy z obozu jeńców w Niemczech.

– Tak jest. Mówiono mi, że przyjeżdżała delegacja oficerów polskich na czele z generałem Bortnowskim. Byli również angielscy oficerowie jeńcy.

– Czy razem z panem byli też inni dziennikarze?

– O ile wiem, przyjeżdżało ich poprzednio dużo, zarówno z Polski jak z innych krajów. Ze mną przybyło dwóch dziennikarzy portugalskich i jeden Szwed. Jednocześnie z Warszawy przyjechała delegacja robotników, przedstawiciele różnych fabryk. Złożyli oni wieniec na grobie pochowanych już oficerów z szarfą o polskim napisie.³ Uczciliśmy pamięć trzyminutowym milczeniem.⁴

(„Goniec Codzienny” Wilno 1943, nr 577; 3 czerwca)

³ Jak donosił „Nowy Kurier Warszawski”, 1943, nr 126 z 28 maja, napis na szarfie brzmiał: „Pomordowanym przez bolszewików Oficerom Armii Polskiej – Rodacy”. (przyp. wyd.)

⁴ Jak pisze Józef Mackiewicz w relacji zamieszczonej w I wydaniu *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*, wywiad miał się kończyć zdaniem: „Nie mogliśmy nic więcej uczynić – na razie.” Zdanie to skreśliła cenzura niemiecka.

SPRAWOZDANIE Z PODRÓŻY

ODBYTEJ DO KATYNIA W MAJU 1943

Na wstępie zaznaczyć muszę, że piszę to sprawozdanie wyłącznie z pamięci. Miałem z Katynia bogaty materiał w postaci własnych notatek, fotosów, wycinków i publikacji niemieckich, oraz dowodów rzeczowych, przywiezionych stamtąd przedmiotów. Wszystkie te rzeczy utraciłem częściowo w Warszawie, resztę zaś podczas mojej pieszej ucieczki z Krakowa w dniu 18 stycznia 1945 r.

Przejęcia ostatnich lat, nawał wrażeń, niebezpieczeństw, spotykanych ludzi, ciągle zmiany miejsc pobytu itd. zatępiły w mojej pamięci niektóre nazwiska i daty. Dlatego w poniższym sprawozdaniu będę zmuszony braki te omawiać: „nie pamiętam”, „około” itp.

Sprawozdanie to piszę sucho nie nadając mu żadnej formy literackiej, nie zabarwiając subiektywnie, a tam gdzie wyrażam własny sąd, zaznaczam wyraźnie.

a) ZAPROSZENIE

Podczas okupacji niemieckiej mieszkałem w roku 1943 we własnej willi, 12 km od Wilna. Do Wilna przychodziłem (przeważnie pieszo) raz lub dwa razy na tydzień. W roku 1943, na kilka tygodni przed Wielkanocą, spotkałem na ulicy Mickiewicza b. członka Syndykatu Dziennikarzy Wileńskich, który pracował w wydawanym przez Niemców „Gońcu Codziennym”⁵ w dziale ogłoszeń administracji. Zatrzymał mnie w podnieceniu, powiadając, iż słyszał, że szef niemieckiego biura prasowego przy tzw. „Gebietskommissariat Wilna-Stadt”, Klau (czy też Klaue), od kilku dni gwałtownie poszukuje mego adresu, bo chce rzekomo zaprosić mnie na wyjazd do Katynia.

Wiadomość ta przejęła mnie od pierwszych słów. W moim przekonaniu była to sprawa doniosła, nie tylko dla mnie osobiście, któremu danym by było zobaczyć największą zbrodnię tej wojny na własne oczy, ale również dla Polski całej, gdyż niewątpliwie tylko bardzo nielicznym wypadnie kiedyś stanąć przed jakimś trybunałem czy po prostu sądem historii, w charakterze świadka tej sprawy.

⁵ Poprawiono błąd zapisu lub „przepisanie się” autora: „Goniec Wileński” na: „Goniec Codzienny”. (przyp. wyd.)

Poprosiłem go zatem, aby osobiście zawiadomił tego Klaua, że postara się odszukać mnie w ciągu trzech dni i z nim zetknąć. Te trzy dni chciałem wyzyskać dla skontaktowania z naszymi władzami podziemnymi i od ich decyzji uzależnić wyjazd do Katynia.

Trudności związane z nagłymi kontaktami ludzi podziemia są znane. Natychmiast zawiadomiłem najbliższemu mi osiągalnemu członkowi tajnej organizacji, R.R., aby w ciągu trzech dni skontaktował się z władzami i dał mi odpowiedź. Odpowiedział, że załatwi natychmiast, radził jednak niezależnie od tego, abym się skomunikował z Z.A. (moim byłym kolegą), bezpośrednio podległym wileńskiemu komendantowi AK. – Z.A. radził mi nie pytać nikogo, twierdząc, że najlepiej sam sobie zdaję sprawę, co mi czynić wypada, co jest politycznie ważne, a co nie. Postawiłem to jednak za warunek wyjazdu.

Po trzech dniach R. zawiadomił mnie, że otrzymał decyzję, żebym pojechał. Z.A. zaś oświadczył, że komendanta w Wilnie nie ma, natomiast zastępca komendanta, znany mi osobiście pod pseudonimem „pułkownik” vel „Michał”, stanowczo poleca jechać.

Sprawa wyjazdu odwołła się jednak niespodziewanie ze względu na niemiecką biurokrację wojskową. Klau wyjaśnił mi, że zaproszenie podchodzi od „Ostministerium” w Berlinie, natomiast władza wojskowa nic o tym nie wie i że trasa i sposób, w jaki miałbym się dostać do Katynia, nie jest ustalona. Prosił uprzejmie, żebym zgłosił się za tydzień. Po tygodniu oświadczył, że wyjazd mój bezpośrednio na Mińsk nie może być brany pod uwagę. Ze muszę jechać do Warszawy, tam się zameldować u odnośnych władz, skąd polecę samolotem. Wydał mi też przepustkę do Warszawy, ale prosił zgłosić się nazajutrz po dokument podróży. Nazajutrz zaś oświadczył, że sprawa znowu uległa zwłoce. Że otrzymał telefon z Berlina, iż do Katynia może jechać tylko zbiorowa wycieczka wprost z Berlina samolotem, w towarzystwie oficera łącznikowego.

b) ROZMOWA Z PROF. S.

W międzyczasie udałem się do profesora uniwersytetu polskiego S., znanego w Polsce autorytetu w dziedzinie medycyny sądowej. Prosiłem go o udzielenie mi pewnych wyjaśnień, wskazówek praktycznych. Chodziło mi o to, abym poza oficjalną wersją niemiecką mógł uzyskać własny pogląd w dziedzinie, w której jestem kompletnym laikiem. Profesor S. dał mi krótki wykład. Poleciał mi przede wszystkim zwrócić uwagę na glebę. Jeżeli jest tak, jak piszą Niemcy, że gleba w Katyniu jest gliniasto p i a s c z y s t a , to by się zgadzało z ich wywodami o konserwacji trupów. Taka gleba wytwarza połowiczną mumifikację, znaną w medycynie sądowej pod nazwą „tłuszczowosk”. Pokazał mi rysunki i fotografie, które na-

stępnie miałem możliwość porównać ze zwłokami w Katyniu. Powiedział mi nadto, że nazwisko szefa komisji niemieckiej do badania masowych grobów w Rosji, prof. Buhtza z Wrocławia, jest znane w Europie lekarskiej, że jest to sława w dziedzinie medycyny sądowej. Jest to człowiek prawy. Zna go osobiście jeszcze z ławy uniwersyteckiej i jest przekonany, iżby się nie dał nakłonić do żadnych niezgodnych z prawdą enuncjacji fachowych.

c) LOT DO SMOLEŃSKA

Dopiero po Wielkanocy (daty nie pamiętam) wyjechałem pociągiem do Berlina. Stamtąd zaś w towarzystwie dwóch dziennikarzy portugalskich i jednego szwedzkiego, przybyłego specjalnie w tym celu ze Sztokholmu, tudzież z towarzyszącym nam oficerem łącznikowym Wehrmachtu przy ministerstwie spraw zagranicznych, samolotem przez Warszawę do Smoleńska.

W Warszawie wzięliśmy ekipę około ośmiu czy dziesięciu robotników polskich z tamtejszych fabryk.

Zarówno w Berlinie jak podczas podróży traktowano mnie chłodno, ale ze zwykłą grzecznością, nie czyniąc prawie różnic pomiędzy mną jako Polakiem, a dziennikarzami neutralnymi. Sytuacja uległa zmianie w Smoleńsku. Wprawdzie zachowanie pozostało grzeczne, ale zimne. Odseparowano mnie też od dziennikarzy neutralnych, przydzielając pokój w hotelu oficerskim, ale na wyższym piętrze, obok robotników polskich, jednak oddzielnie.

Poruszać się po Smoleńsku nikt z nas na własną rękę nie miał prawa. W tym celu do dziennikarzy zagranicznych przydzielony był jeden Sonderführer, do robotników polskich inny, który znał język rosyjski. Moje zbliżenie do jednego z Portugalczyków i Szweda, którzy mnie, jako znającego kraj i język rosyjski, zarzucali początkowo mnóstwem pytań – zwróciło od razu uwagę. Kolację podano nam w kasynie oficerskiej. Ale już nazajutrz, pod grzecznym pretekstem, że chciałem rzekomo zwiedzić miasto, zaproponowano mi wycieczkę łącznie z robotnikami polskimi i od tej chwili pozostawałem i jadłem z nimi w kasynie podoficerskiej, widując się z cudzoziemcami jedynie podczas wyjazdów do Katynia.

d) CO MÓWIĄ MIESZKAŃCY

Kontakt z ludnością Smoleńska był utrudniony i minimalny. Z drugiej strony znana jest niechęć obywateli sowieckich do rozmów z nieznajomymi, a cudzoziemcami w szczególności. Z tych, z którymi rozmawiałem, jak na przykład posługaczkami w hotelu, staruszką na ulicy, stróżem cmentarza katolickiego, nie mogłem

wydobyć żadnego ich poglądu na sprawę masowego mordu. Wzruszali ramionami, tłumacząc, że nic nie wiedzieli, że usłyszeli o tym dopiero teraz. Nastrój w zupełności odpowiadał temu, jak znany nam jest z obrazów sowieckich. Każdy wolał raczej milczeć.

Pytałem ich, czy słyszeli o tym, że wiosną roku 1940 przywożono jakichś oficerów polskich? Wszyscy odpowiadali, że słyszeli. Nie mogłem im zadać pytań, czy widzieli w okresie pomiędzy wiosną 1940, a jesienią 1941 oficerów polskich, albo czy słyszeli o jakichś tu, w pobliżu zorganizowanych obozach jeńców polskich – bo pytanie podobne nie mogło mi przyjść do głowy; nie znałem wówczas oficjalnej wersji sowieckiej.

W samym lasku katyńskim, wśród grobów na Koziej Górze (Kosogory) rozmawiałem z ludnością. Z niej bowiem rekrutowali się robotnicy wolnego najmu, którzy pomagali przy wydobywaniu i przenoszeniu zwłok.

e) ŚWIADEK KISIELEW

Rozmawiałem też ze słynnym Kisielewem, tym starcem, który według wersji niemieckiej miał rzekomo pierwszy zawiadomić o masowych grobach. Kisielew nie zrobił na mnie osobiście dobrego wrażenia. Wyglądał jakby przyuczony do swej roli żywego manekina, mającego uzupełniać całokształt obrazu. Zupełnie stary, nieinteligentny, oczywiście pozbawiony wszelkiego wykształcenia, niepo-sowiecku gadatliwy, robił wrażenie człowieka nie tyle wyuczonego swej lekcji, ile powtarzającego ją już kilkakrotnie. Ponieważ przede mną przyjeżdżało już wiele wycieczek, delegacji, komisji, a każda z nich chciała rozmawiać z Kisielewem, starszek się musiał zmanierować tym bardziej, że znając metody niemieckie, nie mam wątpliwości, że był przez Niemców instruowany i reżyserowany, a żeby efekt na słuchaczy wypadł silniejszy. Jedyny Kisielew spośród wszystkich mieszkańców twierdził, że słyszał strzały. Zauważyłem, że robotnicy siedzący wokół ogniska traktowali go z pewnym lekceważeniem i odcieniem żartobliwości. Do słów Kisielewa nie przywiązuję większej wagi.

f) STRZAŁÓW NIE BYŁO SŁYCHAĆ

Inni chłopci okoliczni podawali mniej więcej zgodnie wersję następującą:

Wczesną wiosną r. 1949 przywożeni byli jeńcy – oficerowie polscy pociągiem na stację Gniezdowo, odległą o jakieś 4 km od lasku katyńskiego i tam ładowani do aut więziennych, znanych pod przezwiskiem „czerny woron”, a będących w rozporządzeniu smo-

leńskiego NKWD. Następnie auta te jechały szosą i niknęły w lasku na Koziej Górze (Kosogorach). Chłopi, jak to chłopci, lubujący się i gubiący w szczegółach, wszczynali wobec mnie dyskusję między sobą, czy NKWD smoleńskie posiadało cztery auta tego typu, czy też trzy? Jaki był porządek: czy z przodu i z tyłu, czy tylko z tyłu jeździło auto osobowe z „enkawudzystami”? Co do tych szczegółów były różne zdania. Natomiast wszyscy stwierdzali jednogłośnie, że auta jeździły regularnie i znikwały w lasku na Koziej Górze (Kosogorach). Nikt z nich strzałów nie słyszał. Dlaczego? Przy rozważaniu tej okoliczności należałoby wziąć pod uwagę przede wszystkim topografię miejscowości i odległość od zamieszkałych siedzib, oddalonych do dwóch i więcej kilometrów od miejsca straceń. Zanim przejdę do tej sprawy, streszczę na razie słowa chłopów. Ich zdaniem od dawna nikt nie zbliżał się do tego lasku, który zresztą otoczony był drutem kolczastym i wewnątrz którego chodziły ponoć nawet złe psy. Przede wszystkim zbliżać się nie było wolno, po drugie każdy się bał. Omijano go z daleka. Stali też wartownicy. „Patrząc w tę stronę nie chcieliśmy nawet.”

g) PROF. BUHTZ

Prof. Buhtz robił wrażenie kulturalnego Europejczyka, fachowca, do głębi przejętego pracą sobie powierzoną. Profesora S. przypomniał sobie dokładnie i prosił, żebym mu przekazał pozdrowienia. Po krótkim streszczeniu orzeczenia fachowego, znanego powszechnie z ogłoszonych przez Niemców komunikatów, nie ukrywał wcale faktu, który jak twierdzi, zastanowił go również, że okoliczni mieszkańcy nie słyszeli strzałów. Zaprowadził nas do obszernego garażu, położonego za willą „domu wypoczynkowego funkcjonariuszy NKWD” i pokazywał, że w tym garażu szukał śladów kul. Z jego obszernej praktyki, jaką miał z licznymi ośrodkami masowych miejsc straceń w Sowietach, przekonał się, że sam akt morderstwa odbywał się bardzo często w garażu, przy jednoczesnym zapuszczaniu motorów stojących na zewnątrz aut. Sądził zatem, że okoliczność nie słyszenia strzałów przez mieszkańców też tej metodzie przypisać należy. Tu jednak żadnych śladów kul nie znalazł. Musieli być zatem strzelani w lasku, a to że nie słyszano strzałów, należy tłumaczyć oddaleniem osiedli.

h) PORTUGALCZYK OPOWIADA NA LOTNISKU W WARSZAWIE

Muszę tu zaznaczyć, że nastrój ludności w stosunku do Niemców był wyraźnie wrogi, a objawiał się w źle maskowanej niechęci. Niewątpliwie wyzyskałaby ta ludność każdą wersję nieprzychylną dla Niemców w sprawie mordu katyńskiego, jak to było w

Polsce, gdzie krążyły na ten temat różne pogłoski. Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, iż gdyby prawdą było, co mówi wersja sowiecka, że ludzie zamieszkali w okolicach Smoleńska notorycznie widywali zatrudnionych koło poprawy szosy oficerów polskich, aż do lata 1941 roku, wiadomość o tym nie dałaby się utrzymać w tajemnicy, nie tylko w rejonie Smoleńska, na Białorusi sowieckiej, ale przeniknęłaby stamtąd dalej na zachód, na teren tzw. „Ostlandu” i „Generalnej Guberni” tzn. całej Polski. Tymczasem stwierdzić mogę z całą stanowczością, że o takiej wersji nigdy i nigdzie nie słyszałem, aż do ogłoszenia komunikatu sowieckiego, mimo że krążyły najbardziej fantastyczne opowiadania, jak na przykład to, które poniżej przytoczę.

W drodze powrotnej ze Smoleńska wylądowaliśmy znów na lotnisku w Warszawie (Okęcie) – nagle jeden z Portugalczyków wziął mnie pod rękę i odprowadzając na bok, powiedział:

„Zauważyłem, że Niemcy tak pilnie odseparowują Pana od nas, że nie miałem sposobności zadać panu najważniejszego pytania, a zdanie pańskie jest dla mnie miarodajne, jako Polaka znającego teren i stosunki. Czy pan jest przekonany, że to są oficerowie zabici przez bolszewików?”

„Tak” – odpowiedziałem – „jestem głęboko przekonany o tym. A jakiego rodzaju wątpliwości posiada pan?”

„Widzi pan, to było tak: jak pana pierwszego dnia zabrano od nas, niby to na zwiedzenie miasta, nas powieziono o kilka kilometrów od Smoleńska dla obejrzenia organizowanej przez Niemców „wzorowej wsi”. Był tam jakiś kabarecik, nawet tańce, wódka itd. Wszyscyśmy dużo wypili, a nasz „Oberleutnant” (chodziło o oficera łącznikowego, który sprawował rolę opiekuna wycieczki) zasnął. Ja zaś wdałem się w amory z jakąś ładną Rosjanką. I oóż ona mi po cichu powiedziała, pod największą tajemnicą i zaklęciami, że bym nikomu nie zdradził, że cały ten Katyń to jest wielkie kłamstwo, że u nich się mówi, że to wcale nie są żadni oficerowie polscy, tylko Żydzi wymordowani w Polsce przez Niemców i pogrzebani następnie w mundurach oficerskich, przewiezieni aż pod Smoleńsk.”

Dziś dodać tylko mogę, że gdyby komunikat sowiecki o istnieniu trzech obozów dla jeńców polskich pod Smoleńskiem, odpowiadał prawdzie, cóż prostszego byłoby ze strony wspomnianej Rosjanki, jak ujawnienie tej prawdy, gdyby ją chciała na ucho ujawniać, zamiast wysilania na fantastyczne i niewiarygodne opowiadania o żydowskich trupach...

i) CO TO JEST KATYŃ?

Jest to miejscowość położona o 16 km na zachód od Smoleńska, a 4 km odległa od stacji kolejowej Gniezdowo. Wzdłuż szosy spotykają się skąpe zabudowania pojedyncze. Od Gniezdowa do domu wypoczynkowego NKWD (miejsce zbrodni) ciągną się przeważnie błotniste wyręby i pastwiska. Tu i owdzie pojedyncze laski. Samego Katynia nie widziałem. Ma to być licha wioska oddalona o 3 do 4 km Tzw. „lasek katyński”, czyli Kozia Góra albo Kosogory, składa się z kilku hektarów zalesionych głównie sosną i krzakami jałowca. Położony pięknie nad Dnieprem, na lewo od szosy, jadąc ze Smoleńska, i stanowi jakby wyspę wśród pól, łatwą do strzeżenia od wewnątrz. Dom wypoczynkowy NKWD mieści się w drewnianej willi, budowli starej, zapewne należącej ongiś do bogatego właściciela w stylu rosyjskiej „daczy” z wieżyczką. Stamtąd prowadzą długie schody aż nad brzeg rzeki. Widok piękny.

j) PIERWSZE WRAŻENIE

Przyjechaliśmy do Katynia nazajutrz po południu. Padał drobny deszcz i było zimno, co dla pracy przy rozkładających się trupach stanowiło okoliczność pomyślną. Wjechaliśmy autobusem przez bramę z drutów kolczastych, strzeżoną przez żandarmów. Pierwszym wrażeniem był odór trupi, który dolatywał wszędzie. Cofnąłem się jakby mimo woli, stąpając w głębokim wrzosie, jaki tu rósł, niebacznie wlażłem na krzak jałowca i w tej chwili nastąpiłem na coś miękkiego. Pochyliłem się i podniosłem wojskową czapkę polską, kapitana artylerii, o wyraźnym, zielonym acz wypłowiałym otoku. Nie było ją czuć trupem. Widocznie spadła tu z głowy i przeleżała w gęstym krzaku wszystkie te lata, aż do chwili obecnej. Gdyśmy uszli kilkanaście kroków w kierunku dołów śmierci, las przybrał wygląd kompletnie zaśmieconego. To, co się najbardziej rzuciło w oczy, to były pieniądze: polskie papierowe banknoty stu złotych sprzed roku 1939, zarówno pojedyncze, ale głównie w paczkach po 20 i 100 złotych. Prześiknięte trupim sokiem, niektóre trochę odbarwione. Wśród nich widziałem tylko jeden banknot trzech czerwonych zupełnie odbarwiony. Pomiędzy tą masą pieniędzy leżały różne szpargały, kawałki gazet, portmonetki, cygarniczki, drewniane fajeczki, woreczek płócienny z tytoniem, guziki i strzępy mundurów, orzelki, pudełka od zapalek i papierosów, cygaretki kręczone ręcznie, a zawijane z dwóch końców, lusterko, grzebyki i moc najróżniejszych przedmiotów z tej kategorii i ich strzępów, wszystkie wydające ze siebie okropny trupi swąd.

W ten sam sposób, w mniejszym lub większym nasileniu grupowym, zaśmiecony był cały lasek koło dołów, z których wydobyto już zwłoki.

Szliśmy dalej ścieżką pomiędzy szpalerem leżących na ziemi trupów oficerów polskich, wydobytych właśnie i mających być zbadanymi. Widziałem na nich mundury, palta, pasy, gwiazdki z oznaczeniem rangi, wężyki na kołnierzach; ordery; wszystko zachowane w stanie łatwym do rozpoznania. Gleba wokół była głównie piaszczysta.

Minęliśmy doły już opróżnione, zbliżyliśmy się do tych, przy których trwała właśnie praca.

k) MOGLIŚMY SIĘ PORUSZAĆ ZUPEŁNIE SWOBODNIE

Tu muszę z całym naciskiem podkreślić, Niemcy wpuściwszy nas na teren właściwych mogił, cofnęli się pozostawiając nam wolną rękę. Mogliśmy się przyglądać, poruszać w dowolnym kierunku. Oberleutnant policji SS, o czeskim nazwisku (zapomniałem go) zakomunikował, że możemy wszystko, co znajdziemy na ziemi, zabierać ze sobą. Wokół kręcili się tylko żołnierze-fotografowie, którzy nas filmowali. Mogliśmy szperać, przeszukiwać krzaki, wlaźć do pustych już dołów i rozmawiać z pracującymi na terenie robotnikami.

l) MROŻĄCY KREW WIDOK

Całość przedstawiała się mniej więcej następująco: doły położone były blisko jedne od drugich. Niektóre wypróżnione, inne napoczęte. Ilości ich nie przypominam sobie dokładnie. Mimo iż piszę suche tylko sprawozdanie, nie uważam za możliwe pominąć w nim wstrząsającego wrażenia, jaki robił ten mrozący krew widok.

Wszędzie było widać trupy i trupy w mundurach oficerów polskich. W dołach napoczętych, a doprowadzonych z jednej strony do dna, warstwa trupów leżących obok przypominała swym wyglądem jakieś olbrzymie o koszarnej zawartości pudełko sardynek. Czasami trupy poukładane były na przemian to głowami, to nogami, aby wyrównać i ucieśnić warstwę.

Straszliwy ten widok potęgowany był przez odór, który początkowo zapierał po prostu dech w piersiach i powodował wymioty.

Twarzy wymordowanych nie podobna było rozpoznać. Przeważnie spadały na nie rozczochrane włosy, poklejone mazią. Niektórzy mieli usta szeroko otwarte, w niektórych widać było złote koronki. Stan trupów był bardzo różny, zależnie od miejsca, w którym się znajdowały. Od połowicznej mumifikacji, aż do daleko posuniętego rozkładu.

m) JAK SIĘ ODBYWAŁA PRACA

Bezpośrednio kierował pracą Polak, dr Wodziński. Robotnicy miejscowi wydobywali, a raczej odrywali z masy sklejonych trupów, pojedyncze zwłoki i na noszach wynosili je na otwarte miejsce, tam kładąc na ziemi. Obok dr Wodzińskiego pracował starszy jegomość, też Polak, woźny instytutu medycyny sądowej w Krakowie, ponoć doskonały fachowiec przy sekcjach. Poza tym zauważyłem jeszcze jednego pana, młodego Polaka w ciemnych okularach, który odgrywał rolę jakby asystenta dr Wodzińskiego.

Wszystkim wydobytym trupom rozcinano nożem boczne kieszenie mundurów, tudzież cholewy butów, częściowo kieszenie spodni. Stamtąd wydobywano wszystko skrupulatnie. Przedmioty wydobyte były pobieżnie oglądane na miejscu i segregowane.

A więc: dokumenty, legitymacje, kwity, notatki, pamiętniki, fotografie, listy i przedmioty nie ulegające psuciu, metalowe, jak medaliki, medale, ordery itd. itd. – wkładano do specjalnej torby oznaczonej kolejnym numerem. Ten sam numer (wybity na metalowym krążku) przyczepiano za pośrednictwem cienkiego drutu do czaszki zabitego. Resztę zaś nie mającą istotnego znaczenia, jak przede wszystkim pieniądze papierowe, przedmioty skórzane, drewniane, papierowe, gazety itd. wyrzucano, wprost do lasku. Stąd to powstało owe zaśmiecenie, które przede wszystkim rzucało się w oczy.

n) IDENTYFIKACJA

Wszystkie te, zaopatrzone numerami torby, odsyłano następnie do miejscowości, położonej w odległości kilku kilometrów, której nazwy zapomniałem, leżącej przy tej samej szosie, wiodącej do Smoleńska. Było tam kilka drewnianych domów. Jeden z nich, największy, z dużą werandą, zajmowała policja SS. Na werandzie poustawiano gablotki oszklone jak w muzeach i w nich wystawiono najcharakterystyczniejsze dowody rzeczowe, w postaci dokumentów, orderów, listów, kwitów itd.

Między innymi wystawione też były listy pisane z kraju przez dzieci do swych ojców, w oryginale, obok tłumaczenia w języku niemieckim. Były to listy istotnie wzruszające do łez wszystkich, którzy je czytali, nie tylko Polaków, ale i cudzoziemców. Każda wycieczka, sprowadzona przez Niemców, zwiedzała ten dom.

Wewnątrz domu mieściło się biuro dla badania znalezionych przy zwłokach dokumentów i identyfikowania trupów. Widziałem, jak pracę tę wykonywała kobieta, mówiąca biegle po polsku, ale z

pewnym akcentem niemieckim. Przyglądałem się jej pracy dwa razy. Moim zdaniem robiła to sprawnie. Pracowała w gumowych rękawiczkach, zaś do obracania sklejonych trupim sokiem kartek i notesów, posługiwała się specjalnymi łopatkami wyciętymi z drzewa. Tu też powstała główna lista ofiar znalezionych w Katyniu, zaopatrzonej odpowiednim numerem rejestracyjnym, z wyszczególnieniem przedmiotów i dokumentów przy każdym ze znalezionych. Odniosłem ogólne wrażenie takie: praca prowadzona była sumiennie i zupełnie jawnie. Moim zdaniem nie zachodziły żadne okoliczności, wymagające tajemnicy ze względu na propagandę, którą Niemcy postawili sobie za cel. Wszystko było jasne. Oczywiście nie wykluczam pomyłek przy identyfikacji. Ktoś mógł mieć przy sobie papierki innego, albo list pisany do innego.

W dołach, w lasku, wydobyto w mojej obecności pewne zwłoki, przy których nie znaleziono niczego prócz koperty listu poleconego pisanej atramentem. Zarówno nazwisko adresata jak nadawcy rozplynęło się. Pozostał jednak przyklejony nadruk „polecenia”, „Zamość” i numer. Według tego numeru, pouczone mnie, będzie się szukało w urzędzie pocztowym w Zamościu nadawcy i wyjaśniało nazwisko adresata.

o) ODKRYCIE, KTÓRE W MOIM PRZEKONANIU STWIERDZA DATĘ ZBRODNI

Przyglądałem się pilnie pracy wydobywania zwłok z dołów śmierci, przecinania kieszeni, przeszukiwania ogólnego, wyciągania przedmiotów znalezionych. Odbywało się to bez żadnej specjalnej kontroli ze strony Niemców, rękami miejscowych robotników, pod kierownictwem tych Polaków, o których wspomniałem. W trakcie tych prac zwróciłem specjalną uwagę na gazety. Bardzo wiele, absolutna większość tych trupów, przy których rewizji byłem obecny, posiadała przy sobie gazety. Były to gazety sowieckie zarówno w języku rosyjskim, jak też polskim. Tu muszę wtrącić jeszcze, że wszelki druk zachował się w grobach wyjątkowo dobrze. Litery przebijały na tle zwilgłego papieru bardziej ostro i wyraźniej niż normalnie. Niektórzy posiadali całe gazety złożone, widocznie przeznaczone do czytania. Inni, części gazet, bądź strzępy. Wreszcie znaczną ilość drobnych przedmiotów zawiniętą po prostu w papier gazetowy.

Poświęciłem wiele czasu na przeglądanie tych gazet. Żadna z nich, zarówno sądząc z daty jak z treści, nie była późniejsza od kwietnia 1940 roku. Przeważnie zaś marzec-kwiecień 1940 roku.

Przypominam raz jeszcze: wydobywane przy mnie zwłoki nie należały do okazów pokazowych. Praca zbliżała się ku końcowi. Główna fala wycieczek i komisji międzynarodowych już minęła.

Praca biegła normalnie. Robotnicy pracowali pod kierunkiem, ale wybór zwłok odrywanych w danej chwili od ogólnej masy zależał od ich decyzji. W każdej chwili mogli wziąć tego albo innego z zabitych oficerów na nosze. Czynili to w moich oczach.

To, że zamordowani mieli przy sobie gazety do czytania i przedmioty zawinięte w papier gazetowy, uważam za rzecz zupełnie normalną. Gazeta w obozie jenieckim zarówno dla czytania, jak dla wielu innych potrzeb, jest artykułem bardzo pożądanym.

Moim zdaniem gazety znalezione przy trupach obalają wersję sowiecką, że jeńcy zabici zostali we wrześniu roku 1941, a nie w marcu-kwietniu roku 1940. Nie do pomyślenia jest bowiem, ażeby jeńcy specjalnie chronili przy sobie gazety do czytania sprzed półtora roku, zwłaszcza wobec wypadków dziejowych w roku 1941.

Nie do pomyślenia jest dalej, ażeby papier gazetowy, w który owinięte były przedmioty w kieszeniach, w ciągu półtora roku nie uległ zniszczeniu od przetarcia, wskutek noszenia. I żeby jeńcy w ciągu tego półtora roku nie zdołali zdobyć żadnych nowych gazet, które by im zastąpiły stare, zwłaszcza, jak już nadmieniałem, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, niosącej ze sobą moc cennych dla każdego Polaka wiadomości.

Wersja sowiecka twierdzi, że w marcu roku 1943 zwłoki zostały przez Niemców wydobyte i zrewidowane. Z wersji tej wynika, że 500 jeńców sowieckich, znajdujących się w rękach niemieckich, miało rzekomo wydobywać trupy na powierzchnię, rozpinać im kieszenie, wyjmować z nich dokumenty, następnie zaś wkładać niektóre z powrotem, znów kieszenie zapinać itp. Miało się przez to usunąć wszelkie dokumenty późniejsze niż marzec-kwiecień 1940 roku. Przekonałem się na miejscu ze stanu trupów i wielu okoliczności towarzyszących, że praca tego rodzaju nie mogła mieć miejsca, gdyż trupy oglądane zaledwie po miesiącu lub dwóch od chwili ich wydobycia, musiałyby nosić ślady tej pracy. Po drugie [rzecz] robiona rękami jeńców sowieckich budziłaby obawę niedokładności wykonanej roboty. Ta okoliczność ze swej strony musiałaby Niemcom nasuwać obawy, że niepożądane dokumenty wyjdą na jaw i w żadnym wypadku nie mogliby zezwolić asystującym wycieczkom na tak daleko posuniętą swobodę poruszania, poszukiwań na własną rękę itd. Tym mniej powierzenie tej pracy Polakom, którzy w teoretycznym wypadku największego nawet oddania sprawie niemieckiej, nie mogliby nigdy budzić aż tyle zaufania, ażeby w ich ręce powierzać tajemnicę państwową o charakterze światowego skandalu.

Powracam jednak do gazet. W tym wypadku Niemcy musieli by nie tylko usunąć wszystkie gazety z roku 1941, ale wyszukać (zakupić) tysiące gazet sowieckich właśnie z marca-kwietnia 1940 roku, powtykać je w najróżniejszy, a nie budzący swą jednolitością

podejrzeń sposób; niektóre z nich podrzeć sztucznie, w niektóre pozawijać różne przedmioty znalezione u trupów, odwinąwszy stare opakowanie. Na przykład: komuś zawinąć rozsypany tytoń... innemu paczkę z drobiazgami – rzeczy te następnie powsadzać z powrotem, zapiąć kieszenie (które zresztą nie nadawały się do tego zabiegu), pracując w mazi rozkładających się trupów. Moim zdaniem byłby to pomysł równie fantastyczny, co niewykonalny.

Ale nawet w wypadku wykonalności tej koncepcji, wszystkie gazety wsadzone dopiero w marcu 1943 roku w kieszenie zabitych, oglądane w kwietniu-maju tegoż roku, czyli już po miesiącu lub dwóch, musiałyby razić swą świeżością i brakiem tych cech rozkładowych, które wykazywałyby przez porównanie inne papiery. Stanowiłyby więc dowód przeciwny, kompromitujący Niemców, a nie potwierdzający ich wersję. I trudno sobie wyobrazić, przy całej gruboskórności politycznej reżymu hitlerowskiego, aby na takie widowisko zapraszał fachowych gości z państw neutralnych i przedstawicieli Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Gazety znalezione w Katyniu w kieszeniach zamordowanych oficerów polskich są, moim zdaniem, jednym z głównych argumentów, obalających wersję sowiecką na temat tego mordu.

p) NIE 12.000, ALE 4.500

Nie wspominałem dotychczas, że w chwili mego przybycia duża część zwłok już zidentyfikowanych, pogrzebana została przez Niemców w ogólnych mogiłach, nad którymi poustawiano drewniane krzyże. Takich wspólnych mogił usypanych widziałem trzy. Prócz tego dwa groby oddzielnie generała Smorawińskiego i Bohaterewicza, każdy z nich zaopatrzony specjalnym krzyżem. Posiadałem dokładne notatki, co do ilości zwłok w każdej z poszczególnych mogił. Cyfr tych teraz nie pamiętam. Wiem tylko, że największy z tych grobów zawierał przeszło 900 zwłok. Dwa mniejsze coś pomiędzy 600, a przeszło 700.

Pierwszego dnia pobytu w Katyniu podszedłem do wspomnianego już raz pomocnika dr Wodzińskiego, młodego Polaka w ciemnych okularach, z opaską Czerwonego Krzyża na rękę i biorąc go na bok, zapytałem wprost:

„Czy może mi pan powiedzieć w trzech słowach, co tu jest nie w porządku?”

„A o co panu chodzi?”

„Czy istnieje jakakolwiek wątpliwość, że to zrobili bolszewicy?”

„Nie ma takiej wątpliwości.”

„A coś takiego, czego Niemcy nie podali, co ukrywają? Czy jest coś takiego?”

„Oczywiście, przede wszystkim liczba.”

Byłem zaskoczony.

„Jak to, nie ma 10 czy 12 tysięcy oficerów?”

„Ale skąd.”

Wzruszył ramionami. Następnie zaczął dokładnie wyliczać, ilu leży już na nowo pogrzebanych, w każdej mogile z osobna. Później w tym dole napoczętym, w tamtym otwartym do połowy i jeszcze jednym małym (niestety cyfr nie pamiętam). Zakończył tymi słowami:

„Mogę panu powiedzieć z całą dokładnością do dwustu-trzystu. W Katyniu znajduje się od 4.200 do 4.500 zamordowanych oficerów polskich. Liczbę tę Niemcy ukrywają, ponieważ wyskoczyli z cyfrą do 12.000. Jak pan widzi, ci wokół pracujący jeńcy sowieccy, to są właśnie prace dokonywane celem wyszukania brakujących. Szukają, ale nie mogą znaleźć. Znajdują inne trupy, ale nie polskich oficerów.”

Istotnie, gdy chodziłem następnie po lasku, widziałem w wielu miejscach pokopane doły – puste. W jednym widziałem na dnie kościotrupa. Ciało i ubranie już zgniło, ale ręce ułożone były w charakterystyczny sposób, jak związane z tyłu (sznur oczywiście przegnił). Na kończynach nożnych miał buty typu rosyjskiego.

Gdy przybył nazajutrz, byłem świadkiem podnieconej wymiany zdań pomiędzy dr Wodzińskim i jakimś oficerem niemieckim, którego nie znałem. Ten sam Polak wyjaśnił mi:

„Chodzi właśnie o to, że w tym małym dole, który pan widzi (stała tam woda na dnie, bardzo cuchnąca o barwie brudno-zielonej cieczy) – pływa trochę trupów po powierzchni, a na dnie leży może jeszcze kilkudziesięciu. My chcemy te trupy wydobyć, a Niemcy chcieliby dół zakopać, twierdząc, że zwłoki są już w stanie kompletnego rozkładu. Jestem pewien, że Niemcom chodzi o to, ażeby stworzyć precedens, że nie wszystkie zwłoki zostały wydobyte i głosić, że niektóre doły musiały być zasypane ze względu na wodę podskórną i ogólny stan trupów, ażeby w ten sposób ukryć dokładną cyfrę i móc ją naciągnąć do zaokrąglonej liczby 10-12 tysięcy, z którą wyskoczyli w swej propagandzie, a teraz nie chcą się cofnąć.”

Przypuszczać należy, że Niemcy podali tę cyfrę dlatego, że mieli wiadomości o liczbie zaginionych oficerów polskich w Sowietach – takie jest moje zdanie. Innego wytłumaczenia nie znajdują.

Charakterystycznym jest natomiast, że bolszewicy potwierdzają w swym komunikacie o zbrodni katyńskiej, którą przypisują Niemcom, cyfrę powyższą, obniżając [ją] cokolwiek, a mianowicie do 11.000. Wersja niemiecka jest dla nich w tym wypadku niezmiernie wygodną, uchyla bowiem nowe przykre dla nich pytanie, co się stało z resztą oficerów, których w Katyniu nie znaleziono? I ukrywa jednocześnie drugą zbrodnię popełnioną w nieznanym do tychczas nikomu miejscu.

r) JAK ZABIJANO OFICERÓW POLSKICH?

Nie jestem w stanie przytoczyć żadnych nowych danych, dotyczących ekspertyzy sądowo-lekarskiej. W dziedzinie tej jestem laikiem, a wskazówki udzielone mi przez prof. S. były natury powierzchniowej i nic nie rzuciło mi się w oczy, co by podważało którąkolwiek ze znanych mi z niemieckich komunikatów tez.

Wszystkie zwłoki oficerów, które oglądałem, nosiły ślady strzału w potylicę u nasady czaszki. Wiadomo powszechnie, że oficerowie strzelani byli z bliskiej odległości z pistoletu kal. 7 mm.⁶ Niektórzy mieli na sobie ślady ułucia bagnetem.

Niektórzy stawiali opór. Tak należy wnioskować z faktu, że mieli skrępowane ręce na plecach. Według słów dra Wodzińskiego liczba zwłok z rękami skrępowanymi nie przekracza 4%. Istnieje hipoteza, że oficerowie strzelani byli bezpośrednio na krawędzi dołu w pozycji stojącej. Na drugi dzień naszego pobytu w Smoleńsku zjawił się wspomniany już oficer policji (o czeskim nazwisku), który oświadczył, że wczoraj znaleziono trupa, którego dokładne oględziny wykazały, że musiał być zastrzelony w pozycji leżącej, żywcem położony do grobu na warstwę martwych już kolegów. Miał on na głowie mianowicie czapkę z daszkiem. Otóż daszek był złamany na czole, a kula tkwiła w daszku.⁷ W żadnej innej pozycji taka sytuacja nie byłaby możliwa.

s) TAJEMNICA ŁUSEK

Jeszcze w Wilnie w rozmowie z prof. S. poruszaliśmy temat, że jednym z notorycznych środków śledztwa przy badaniu morderstwa popełnionego za pośrednictwem pistoletu – bywa znalezienie wystrzelonej łuski, zabezpieczenie jej i poddanie gruntownym oględzinom. Zwróciłem już uwagę profesora, że żaden ze znanych w

⁶ Był to kaliber 7,65 mm, a używano pistoletów typu „Walther”. (przyp. wyd.)

⁷ Teza ta nie została potwierdzona. (przyp. wyd.)

prasie komunikatów niemieckich ani jednym słowem nie wspomina o łuskach. Tymczasem trudno jest przypuścić, ażeby przy tej ilości oddanych strzałów nie znaleziono ani jednej łuski pistoletowej, czy to w samych dołach, czy też w rozkopanych następnie terenach. Łuski musiałyby niewątpliwie ustalić nie tylko kaliber wystrzelonego pocisku, ale również rodzaj pistoletu.

Niepomału się też zdziwiłem, zastawszy w Katyniu sprawę łusek pomijaną kompletnym milczeniem, ba, jakby tajemniczością. Zapytałem wprost o to wymienionego już kilkakrotnie oficera o czeskim nazwisku. Zrazu odpowiedział wymijająco, następnie zaś dodał:

„Proszę pana, robimy wielki hałas koło wykopalisk w Katyniu i propaganda ta może się wydać komuś niesmaczna. Bylibyśmy jednak zaprawdę upadli na głowę, odkrywszy te groby i nie robiąc z nich antysowieckiej propagandy i to właśnie w chwili, gdy stosunki polsko-sowieckie zaczynają się psuć. Ale podkreślamy w niej momenty najbardziej jaskrawe, istotne. Kwestia łusek nie jest istotna. Owszem, znajdowaliśmy łuski i poddawaliśmy je gruntownemu badaniu, nie naprowadzając jednak na żaden konkretny wniosek.”

Któryś z oficerów niemieckich (nie pamiętam który) mówił mi, że największa ilość znalezionych łusek pochodzi rzekomo ze specjalnych pistoletów, wyrabianych przez fabryki zagraniczne na zamówienie sowieckie. Być może, iż zamówienia te czynione były przez Sowiety w okresie ich współpracy z Niemcami.

To samo dotyczyło kul. Któryś z Polaków pracujących przy wydobywaniu zwłok powiedział do mnie:

„O, kul nikomu oni nie pozwalają zabierać.”

Bezpośrednio po tym wypowiedzeniu byłem świadkiem oględzin zwłok, [gdzie] z czoła wystawała kula. Lekarz wyjął ją lancetem. Stał przy tym major niemiecki (nazwiska nie pamiętam). Zapytałem go, czy mogę zabrać ze sobą kulę. W odpowiedzi wziął ją do ręki, zważył w dłoni jakby w zamyśleniu, a potem oddając mi ją odpowiedział:

„Ja, ja, das können sie haben”.

Kulę zabrałem. „Miał pan wyjątkowe szczęście” – powiedział ów Polak.

Charakterystycznym jest, że „tajemnica łusek” utrzymana jest również w wersji sowieckiej. Ani sowiecki oficjalny komunikat katyński, ani poprzednie enuncjacje na ten temat ze strony sowieckiej, ani słowem nie poruszyły sprawy wystrzelonych łusek pistoletowych.

t) ŻYDZI W KATYNIU

Na listach ofiar katyńskich spotkało się wiele nazwisk, a zwłaszcza imion żydowskich. Fakt ten pomijali Niemcy zupełnym milczeniem w swej propagandzie, ale imion tych z list nie skreślali, ani ich nie ukrywali. Fakt ten uważam z następujących względów za ważny:

Kto poznał jednostronność, tendencyjność i bezkompromisową zaciekłość antyżydowskiej propagandy w okresie wojny, propagandy, która absolutnie identyfikowała Sowiety z interesami i rządami żydowskimi, ten nie mógłby wątpić, że w wypadku sfałszowania przez Niemców dokumentów znalezionych u ofiar katyńskich, jak to twierdzi wersja sowiecka – przede wszystkim usunięte by zostały wszystkie dokumenty, świadczące o żydowskim pochodzeniu zamordowanego. Za długo bowiem i za intensywnie wma- wiano światu, że w Sowietach nie może się stać żadna krzywda żadnemu Żydowi.

W rozmowie z oficerem (o czeskim nazwisku) zwróciłem na to uwagę. Odparł z wyraźną niechęcią:

„Tak, tak, wiem, są Żydzi. Stosunkowo ich nie dużo”. Po czym dodał:

„No, ale nie sędzę, żeby należało ten moment specjalnie podkreślać”.

u) UWAGI LUŻNE

Na zakończenie chciałbym dodać luźne uwagi w sprawie, co do której nie mam żadnych konkretnych danych, ale na pytania jej dotyczące wypadało mi nieraz odpowiadać rodakom w kraju. Chodzi tu o termin odkrycia grobów przez Niemców. Będąc głęboko przekonany, że zbrodni katyńskiej dopuścili się bolszewicy, z drugiej strony przekonany jestem, że Niemcy dokonali odkrycia o wiele wcześniej niż do tego się przyznali. Niewątpliwie czekali z tym aż do momentu odpowiedniego politycznie oraz ugruntowania pewności, że całe odkrycie nie chybi celu propagandowego. Wskazywałyby na to dosyć mętne okoliczności, towarzyszące odkryciu zbrodni.⁸

⁸ Prawdopodobnie tak nie było. Wiadomo tylko o jednym meldunku złożonym wojskowym władzom niemieckim przez jeńca rosyjskiego w roku 1941 o rozstrzelaniach jeńców polskich, jednak w toku zwycięskiej niemieckiej ofen-

Kisielew, jak już zaznaczyłem, nie budzi we mnie zaufania. Mówiło się poza tym o jakichś szoferach Polakach na służbie niemieckiej itd. Dziś nie potrafię już zreasumować tych wszystkich wątpliwości, które na podstawie szeregu przesłanek budził we mnie niemiecki termin odkrycia Katynia.

Drugie pytanie, które wypadło mi często rozważać, było: jak bolszewicy mogli być tak nieostrożni, ażeby zakopać tysiące zamordowanych przez się ludzi, pozostawiając tyle dowodów swej zbrodni w ich kieszeniach?

Na pytanie to odpowiadam: nie było to wcale nieostrożnością, a raczej dowodem przebiegłości i znajomości ludzi. Odbieranie dokumentów i osobista rewizja pochłonęłaby więcej niż drugie tyle czasu zużytego na zgładzenie oficerów. Uprzymiślałoby niejednemu grożące niebezpieczeństwo, o którym dowiadywał się zapewne dopiero w ostatniej chwili, należałoby się zatem liczyć z oporem jeńców. Pociągnęłaby za sobą stworzenie dodatkowego aparatu przeglądającego względnie niszczącego te dokumenty. Nie mogłoby się też obyć bez odbierania rzeczy wartościowych, a nawet odzieży, na przykład butów oficerskich polskich, które wśród nędzy panującej w Sowietach stanowiłyby ponętną zdobycz. Przedmioty te następnie trafiłyby niewątpliwie na wolny rynek, byłyby obnoszone i mogły być pokazane w chwilach niebacznego zapomnienia wraz z komentarzami. Sprawa ta mogłaby przez to nabrać większego rozgłosu, o który chodziło, ażeby go uniknąć. Bolszewicy postanowili zatem postąpić w myśl popularnego określenia: „jakby pod ziemię się zapadł”. Pod tę ziemię zapaść się tedy miało tysiące oficerów polskich wraz ze wszystkim, cokolwiek mieli przy sobie. Wiadomym jest bowiem, że oprawcy zdzierali z ofiar tylko rzeczy wartościowe, uwidocznione na zewnątrz, jak zegarki ręczne, pierścionki itp.

W roku 1940 panowały tego rodzaju stosunki polityczne pomiędzy Sowietami i Niemcami, iż na pewno nie mogli się liczyć z przypuszczeniem, że w kilka lat później ci sami Niemcy będą się grzebać w ziemi het pod Smoleńskiem.

w) POWRÓT, SPRAWOZDANIA, WYWIAD

Po trzech dniach pobytu opuściliśmy w tym samym składzie Smoleńsk. Z nieznanym mi bliżej przyczyn zachowanie oficera łącznikowego w stosunku do mnie nabrało cech wyraźnie nie-

sywy meldunek poszedł ad acta. Jak wskazały na to zwłaszcza zeznania Iwana Kriwoziercewa, Niemcy przystąpili do badań i ekshumacji w krótkim czasie po wskazaniu przez niego i Kisielewa grobów w lutym 1943 roku. (przyp. wyd.)

uprzejmych. Po zaproszeniu do samolotu dziennikarzy neutralnych wsiadł sam przede mną, nie zapraszając mnie wcale. W Warszawie postanowiłem skorzystać z wystawionej uprzednio przepustki na Warszawę, ażeby w niej wysiąść. Oficer łącznikowy zapytał mnie ostro, dlaczego tu wysiadam? Odpowiedziałem, że mam wrócić do domu najkrótszą drogą. „Wer hat das Ihnen gesagt?” (Kto to panu powiedział?) Na dowód wyjąłem uprzednią przepustkę z Wilna do Warszawy i z powrotem. To go przekonało.

W Warszawie złożyłem sprawozdanie stenograficzne naszym władzom podziemnym, na ręce redaktora P., byłego pracownika Polskiej Agencji Telegraficznej (PAT). Stenogram prowadził były stenograf oddziału wileńskiego tejże Agencji, W. Omawiając następnie w rozmowie prywatnej moje wrażenia na temat Katynia, powiedział mi redaktor P., że Delegatura Podziemnego Rządu w Warszawie posiada już informacje, że w Katyniu znaleziono o wiele mniejszą ilość zwłok, niż podała propaganda niemiecka.

W Wilnie złożyłem sprawozdanie ustne zastępcy komendanta Armii Krajowej, o którym wspomniałem, że znałem go pod pseudonimem „pułkownik” vel „Michał”, w obecności wspomnianego Z.A., oraz dwóch jeszcze nie znanych mi panów tajnej organizacji. Posiedzenie odbyło się w mieszkaniu siostry A., na przedmieściu, za Wilią. Przyniosłem ze sobą przywiezione z Katynia następujące dowody rzeczowe, w charakterze egzemplarzy pokazowych: dwa naramienniki z gwiazdkami oficerskimi, drewniane pudełko do tytoniu, ręcznie kręcone cygaretki, gazety, pieniądze papierowe, kulę wyjętą z głowy. Przyniosłem też fotosy robione przez Niemców podczas mojej bytności w Katyniu.

Na prośbę „pułkownika” złożyłem poza tym sprawozdanie na piśmie. W sprawozdaniu tym zazaczyłem, że pomijam całość opisu znanego już wszystkim z relacji niemieckich, a ograniczam się jedynie do okoliczności przez Niemców przemilczanych.

Po oczekiwanym żądaniu ze strony Klaua, ażebym opublikował swe wrażenia w wydawanym przez Niemców „Gońcu Codziennym”⁹, odpowiedziałem, że pisać nie będę, a mogę co najwyżej udzielić wywiadu i to pod warunkiem autoryzacji i nie dokonywania w nim żadnych zmian. Wywiadu takiego udzieliłem. Został zamieszczony bez żadnych zmian i docisków. Jedynie w ostatnim u-

⁹ Znów „przepisanie się” autora. W oryginale było „Goniec Wileński”. (przyp. wyd.)

stępie, w którym mówię o złożeniu wieńca na grobach przez robotników polskich, skreślone zostały słowa:

„Nie mogliśmy nic więcej uczynić – na razie”.

Rzym, dnia 12 czerwca 1945 roku

Podpis

(Sprawozdanie red. J. Mackiewicza z podróży odbytej do Katynia w maju r. 1943; [w:] Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów. Z przedmową Władysława Andersa. Londyn 1948. [wyd. 1]; s. 261-280.)

[Artykuł ten drukowany w piśmie „Lwów i Wilno” 1947, nr 10, 11 – został w całości, w zasadzie dosłownie, włączony do polskiego tekstu książki Mackiewicza o Katyniu. (rozdział: *Moje odkrycia w Katyniu*). Drobne ingerencje w tekst wskazują, że pierwotny druk w piśmie „Lwów i Wilno” został potem jeszcze odredagowany. Nie są to jednak poprawki znaczące. Z tego względu tekst ten został w obecnym wydaniu opuszczony. Zamieszczam jedynie poniżej dwa małe fragmenty, opuszczone przez autora w książce.]

Po upływie kilkunastu dni rzecz przestała być rewelacją. Zarówno raport policyjny sekretarza Geheime Feldpolizei Voßa, jak bardzo sumienne sprawozdanie prof. Buhtza, ustaliły oficjalnie, że w siedmiu grobach znaleziono 4.143 zwłoki. Tylko.

To nie są rzeczy nowe, o których tu pisałem. Dziesiątki „miarodajnych” osób zna je doskonale. To są tylko rzeczy, których się nie publikuje, aby kogoś nie rozdrażnić, komuś innemu się nie narazić.

(„Lwów i Wilno” 1947, nr 10 z 19 stycznia, nr 11 z 26 stycznia)

Rząd sowiecki zdawał sobie od początku i zdaje w dalszym ciągu sprawę z jakościowej wagi zbrodni katyńskiej. Rząd sowiecki nie może sobie pozwolić na przyznanie się wobec światowej opinii publicznej do tej zbrodni, którą popełnił, nie może się ani tłumaczyć, ani wykręcać, ani uzasadniać. Może jedynie zaprzeczać w sposób najbardziej kategoryczny. Ponieważ jednak kłamstwo na tak wielką miarę nie da się i nie dało się utrzymać w obliczu ogromnej ilości poszlak, czynniki sowieckie, słusznie oceniając sytuację, postanowiły za wszelką cenę nie dopuścić, aby poszlaki przeistoczyły się w dowody. W tym celu, począwszy od momentu wykrycia zbrodni, to znaczy od roku 1943, umyślnie wytwarzały wokół sprawy Katynia chaos, wprowadzając własne, ale jednocześnie popierając wszystkie inne wersje, podsycając je i rozdmuchując te spośród nich zwłaszcza, które się nawzajem wykluczały, przeciwstawiały, przeczyły jedna drugiej itd. W ten sposób, ludzie, którzy by chcieli dojść prawdy, zaplątywali się w sieć nieraz najbardziej bzdurnych relacji, a w rezultacie szeroka opinia publiczna nabierała przekonania, że: „Sprawa daleka jest jeszcze od ostatecznego jej wyświeślenia...” Właśnie o wywołanie takiego wrażenia chodzi bolszewikom najbardziej. Niewątpliwie o wiele bardziej niż na zapoznaniu świata z treścią ich oficjalnego komunikatu.

ŚWIADEK MOSKOWSKAJA

Komunikat sowiecki zredagowany jest na sposób typowo bolszewicki, tzn. cynicznie lekceważący poważną jego krytykę. Przy tym kłamstwo, które jak przysłowiowe szydło, zawsze musi wyleźć z worka, splatało redaktorom tego komunikatu fatalnego figla. Kto go przeczytał choć raz uważnie, musi dojść do przekonania, że szczytowym jego punktem, spajającym koncepcje tzw. „Komisji Specjalnej”, badającej rzekomo groby katyńskie ze strony sowieckiej, są zeznania niejakiej Moskowskiej, mieszkanki Smoleńska, w szczególności zaś relacja niejakiego Jegorowa, który przed swym tajemniczym zniknięciem najważniejszą rzecz sprawy opowiedział właśnie tej Moskowskiej, a ona dopiero Komisji „śledczej”. Pech jednak chciał, że Jegorow, według treści komunikatu, widział się z Moskowską w marcu 1943, natomiast opowiadał jej, co się działo, w ... kwietniu 1943 roku!

Komunikat jednak nie został ani zmieniony, ani sprostowany. Wydrukowano go w wielu językach i na tym się oficjalna rola rządu sowieckiego skończyła. Wyszedł on z trafnego założenia, że ci którzy mu są posłuszni zarówno w granicach jak poza granicami Związku Sowieckiego i tak muszą twierdzić, że zbrodni dokonali

Niemcy. Tych zaś, którzy by chcieli znać prawdę, nie komunikat oficjalny, to właśnie chaos stworzony wokół spraw Katynia, odstraszy od sprecyzowania definitywnego oskarżenia pod adresem Sowietów.

ROTMISTRZ ANTON I „PEWNA PANI”

Jak wiadomo, oficjalna wersja sowiecka od roku 1943 twierdziła, że oficerów polskich w Katyniu wymordowali nie bolszewicy w roku 1940, a Niemcy, w roku 1941. Wersja ta jednak nie mogła być popularną na ziemiach polskich, ponieważ rodziny wywiezionych oficerów przestały od nich otrzymywać listy, jak nożem uciął, właśnie od wiosny 1940 roku. Przeciwnie, raczej wzbudzała podejrzenie. To też po odkryciu grobów katyńskich przez Niemców, bolszewicy bynajmniej jej w Polsce nie lansowali. Robili co innego. Oto przez swoich agentów, którymi szpikowali nasze organizacje podziemne, rozpuszczali najprzeróżniejsze wersje i relacje, nie troszcząc się bynajmniej o to, że były sprzeczne z oficjalną wersją sowiecką. Jedna z takich wersji twierdziła, że odnalezione trupy „to Żydzi wymordowani przez Niemców i poprzebierani w mundury polskie”. Druga, że „jeńcy sowieccy” w ten sam sposób poprzebierani. Trzecia, że „trupy przywieziono z Oświęcimia”. Czwarta, że „oficerowie polscy, ale z Oflagów”. Piąta, że „Niemcy chodzą do każdej rodziny, o której się dowiedzą, że jeden z jej członków wpadł do niewoli sowieckiej i spisują jego nazwisko, aby następnie umieścić na liście wymordowanych w Katyniu” itd. itd.

Wersje te padały na podatny grunt nienawiści do Niemców i do wszelkich ich enuncjacji i pleniły się w ten sposób w nieskończoność. W rezultacie, nawet czysta polska wersja propagowana z podziemia przyjęła za podstawę, że: „Jakkolwiek nie ulega wątpliwości, iż to bolszewicy wymordowali gros oficerów polskich w Katyniu, to jednak Niemcy musieli tam coś... dorzucić ze swej strony”. Tego czysto zresztą propagandowego stanowiska nie należy utożsamiać z materiałem dowodowym, na podstawie którego w tajemniczone „góry” podziemia posiadły względnie dokładny i prawdziwy obraz Katynia już na jesieni roku 1943 i w ciągu 1944.

Nie przeszkadzało to jednak, że na tle ówczesnych nastrojów, największą popularnością cieszyły się kolportowane przez agentów sowieckich szlagiery, które skuteczniej od ukutej wersji obiegają zupełnie bezkrytycznie całą Polskę. Takim szlagierem na terenie Wilna na przykład, była osoba rotmistrza Konstantego Antona, z 4 pułku ulanów nadniemeńskich, który figurował na niemieckim wykazie ofiar katyńskich. Pewnego dnia rozeszła się plotka, że jego żona, zamieszkała w Wilnie, otrzymała odeń list z Bliskiego Wschodu via Turcja. W ciągu następnych kilku dni wersja ta

obiegła całe miasto, a w ciągu tygodni prowincję. Powtarzana była z takim uporem i przekonaniem, że nikt w nią nie wątpił. Jako przykład przytoczę siebie samego. Oglądałem Katyń na własne oczy, ale wobec uporczywości tej plotki, uwierzyłem w nią, sądząc, iż może Anton uciekając z niewoli sowieckiej zamienił się z kimś dokumentami. Bolszewicy są doskonałymi psychologami. Wiedzą, że na tysiąc osób, które powtarzają plotkę, ani jedna nie pofatyguje się, by ją sprawdzić. I ja też nie poszedłem do żony stwierdzać, jakkolwiek Anton był moim kolegą. Każdy miał wówczas więcej kłopotów na głowie. Dopiero po latach, już w Italii, dowiedziałem się, że Anton wywieziony do Kozielska nigdy stamtąd nie wyszedł i że żadnego listu do swej żony z Bliskiego Wschodu nie mógł pisać...

Bardziej totalnym powodzeniem cieszył się szlagier warszawski. Brzmiał on, jak następuje: „Pewna pani, przeczytawszy na niemieckiej liście ofiar zbrodni katyńskiej nazwisko swego męża, który nigdy w Rosji nie był, natomiast osadzony został przez Niemców w Oświęcimiu, poszła do Gestapo (ach, jaka głupia!), aby wyjaśnić sprawę. Poszła i... nie wróciła”. Jakkolwiek nikt nie podawał ani nazwiska, ani adresu tej pani, ani jej męża, jakkolwiek nie ulega wątpliwości, że pani ta wcale nie egzystowała – plotka obiegła dosłownie całą Polskę jak była długa i szeroką przed rokiem 1939!

Jeżeli tak działo się w Polsce, bezpośrednio zainteresowanej i dobrze zorientowanej w sprawach bolszewickich, to można sobie łatwo wyobrazić, co sobie o Katyniu szeptano w podziemiach reszty Europy, jęczącej pod jarzmem hitlerowskim!

BUJACZ Z „NOWEGO ŚWIATA”

Sytuacja nie zmieniła się do dziś dnia. Jakkolwiek zbrodnia katyńska wyświeclona jest do najdrobniejszych szczegółów, jakkolwiek na terenie zachodnim, poza zasięgiem władzy sowieckiej, znajdują się nie tylko naoczni jej świadkowie, ale i pewien major NKWD, zbiegły z Sowietów, a współodpowiedzialny za zbrodnię,¹⁰ definitywne, sprecyzowane oskarżenie nie zostało opublikowane. Liczne, wzajem kłócące się i sprzeczne wersje, w dalszym ciągu obiegają prasę światową. Z panującego wokół tej sprawy chaosu profitują nie tylko agenci sowieccy, ale również niesumienni informatorzy. Jesienią roku zeszłego w wychodzącym w Ameryce czasopiśmie „Nowy Świat”, ukazała się relacja anonimowa, człowieka, który się podał za oficera polskiego ocalałego z Katynia... Zawiera-

¹⁰ Wersja "majora NKWD" nie potwierdziła się prawdopodobnie, gdyż Mackiewicz nigdy już do niej nie powrócił. Nie jest też znana innym opracowaniem. (przyp. wyd.)

ła stek bzdur. Facet ten oświadczył w redakcji, iż nie może wyjawić swego nazwiska, bo związany jest jakimś tajemniczym słowem z 2 Korpusem (!). W sprawozdaniu swym twierdzi, że masakry dokonali wprawdzie bolszewicy, ale nie wiosną roku 1940, a latem roku 1941, w chwili zbliżania się Niemców. Że zginęło 11 tysięcy oficerów. Że dostał kulę w bok. Że wygrzebał się spod usypanej ziemi itp. bujdy. Oczywiście, że kuli w bok nie mógł dostać, ponieważ ani jedna ofiara nie była strzelana inaczej jak w potylicę. Wygrzebać się również nie mógł, ponieważ górna warstwa ziemi wynosiła 2 metry. Zastanawiającym jest natomiast, iż data zbrodni i liczba ofiar zbiega się raczej z wersją sowiecką, zapewne jedynym jego źródłem informacji.

Czyżbyśmy mieli do czynienia z nową prowokacją sowiecką? Po szczegółowym przestudiowaniu tej fantastycznej relacji dochodzi się do wniosku, że raczej nie. Po prostu facet chciał zarobić kilka dolarów i skorzystał z nieświadomości, nadużył zaufanie redakcji.

SABAT NA KOŻŁIM WZGÓRZU

Z prawdziwą przykrością przeczytałem w numerze „Wiadomości” z dnia 27 kwietnia, z przygotowywanej przez p. Janusza Laskowskiego książki pt. *Sabat na Koźlim Wzgórzu*, wyjątek: *Krzyże z brzeziny*. Jest to relacja z rozmowy z niejakim Niemcem, nazwiskiem Germandt, który niewątpliwie, a podobnie jak anonimowy facet, [nadużywając] zaufania p. Laskowskiego, naopowiadał mu trochę bredni własnego pomysłu, w większości jednak poprzekręcał w sposób fatalny zapewne tylko zasłyszane przez siebie fakty, a w rezultacie przyczynił się do nowego zamętu i podważenia znanych już, stwierdzonych z absolutną pewnością okoliczności zbrodni.

Publikując swą rozmowę z tym Niemcem, p. Laskowski wychodzi z błędnego założenia, że:

... wśród ogłoszonych przez nich (Niemców) dokumentów, nie ma takich, które by mówiły, jak władze niemieckie doszły do tego odkrycia.

Nie tylko w zbiorze dokumentów niemieckich (*Amtliches Material...*) sprawa ta jest szczegółowo omówiona. Podana została przez radio Berlin już dnia 13 kwietnia 1943 zaraz w następnych audycjach, po pierwszej, obwieszczającej odkrycie grobów w Katyniu. Ale dziś (i nie od dziś) wiemy o wiele więcej i wiele dokładniej, jak to było, a wcale nie było tak, jak to opowiada Niemiec Germandt.

POLACY Z TODT'U

Istotnie, w jednym z oddziałów organizacji Todt, który stacjonował w pobliżu Katynia, znajdowali się Polacy, którzy dowiedzieli się od okolicznych mieszkańców, że w pobliżu bolszewicy rozstrzelali oficerów polskich. Rzecz jednak nie działa się

... W lutym, albo początkach marca 1943 roku.

Albowiem w lutym Niemcy już mieli dokładne informacje o ludności, a dnia 29 marca rozpoczęli pierwsze prace ekshumacyjne. Gdy Polacy z Todtu dowiedzieli się o mogiłach oficerów polskich, na świecie był *lipiec roku 1942*.¹¹ Mieszkali oni w wagonach towarowych, które stały koło tzw. Brieckowo Mosta, na skrzyżowaniu dwóch odnóg kolejowych ze Smoleńska, Aleksandrowskiej i Lichorłowskiej. Nie wycinali też oni „w nocy” brzoźki na krzyże, a w biały dzień. Nie potrzebowali się bowiem spieszyć, bo nieprawdą jest, że

... pozostali tylko jedną noc. Nazajutrz o świcie ruszyli w dalszą drogę ku frontowi.

Pozostawali oni przez czas dłuższy, około kilku tygodni, i zatrudnieni byli gromadzeniem łomu żelaznego. Istotnie postawili dwa krzyże z drzewa brzoźowego, jeden większy, drugi mniejszy. Przetrwały one na tych grobach około 8 miesięcy, od lipca roku 1942, aż do dnia 18 lutego 1943, gdy dokonano pierwszego próbnego kopania ze strony Niemców.

537 BATALION SAPERÓW NIEMIECKICH

Zanim przejdę do opowiedzenia, jak do tego doszło, należy zwrócić uwagę na jeszcze jedną niedokładność p. Germandta, pozornie błahą, a w rzeczywistości ważną, jeżeli chodzi o rozwikłanie kłamstw komunikatu sowieckiego. Oto Niemiec ten opowiada p. Laskowskiemu:

Mieliśmy w najbliższej okolicy rozrzucone oddziały 537 pułku łączności...

Chodzi o to, iż bolszewicy stwierdzają istnienie jakowejś zakamuflowanej jednostki pod nazwą „Sztab 537 batalionu roboczego”, która miała być rzekomo właściwym wykonawcą zbrodni. Udało się ustalić, iż nie była to jednostka zakamuflowana, nie nazywała się wcale „batalionem roboczym”, a po prostu 537 batalionem sape-

¹¹ Według opublikowanych relacji T. Dolata i jego koledzy odkryli groby oficerów polskich w Katyniu wcześniej: w marcu-kwietniu 1942 r. Zachowały się fotografie z r. 1942, tych krzyży i ludzi, którzy je postawili. Por. J. Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, jw. s. 194-195. (przyp. wyd.)

rów, a sztab jego nigdy nie stacjonował w Katyniu, ale w gmachu sanatorium BWO (Białoruskiego Okręgu Wojennego), tuż przy stacji Gniezdowo, o 4 kilometry od Kosogorów. Germandt, nazywając go „pulkim łączności”, wprowadza nową wersję i nowe zamieszanie.¹²

PARFEMON KISIELEW I WASYL KISIELEW

Kompletnie nie do rozwikłania jest dalsza jego relacja na temat, kto mianowicie wskazał władzom niemieckim istnienie grobów? Z początku powiada:

... żołnierze tego pułku... (537) zauważyli krzyże ze świeżej brzeziny... zameldowali o tym swoim zwierzchnikom. Odkopano ziemię... I wówczas przekonaliśmy się o zawartości...

Następnie o kilka ustępów poniżej:

Kiedy akcja odkopywania grobów katyńskich była już w pełnym toku... Wasyl Kisielew zjawiał się pod eskortą i zgłosił się na stację w Katyniu... (nie było takiej stacji nigdy!) [por. przypis niżej] ... we wszystkich miejscach, które Kisielew wskazał, znaleźliśmy groby oficerów polskich.

Trudno jest z tego opowiadania wyrozumieć: czy żołnierze „537 pułku łączności” wskazali na miejsce zbrodni, czy też Wasyl Kisielew, rzekomy jeńiec sowiecki właśnie świeżo wzięty do niewoli, jak chce pan Germandt? I skąd się w ogóle tu wziął Wasyl Kisielew? Kto zna sprawę, łatwo odgadnie, że p. Germandt wszystko poplątał. W rzeczywistości było tak:

Wspomnieni wyżej Polacy z organizacji Todtu, szukali kogoś, kto by im mógł wskazać dokładne miejsce zakopania oficerów polskich, o których rozstrzelaniu mówili okoliczni mieszkańcy. Poradzono im, ażeby udali się do chaty Parfemona Kisielewa, który najwięcej wie. Parfemon Gawryłowicz Kisielew, urodzony w r. 1870, a więc już staruszek siedemdziesięcioletni, pożyczył Polakom łopat, wskazał im miejsce (w lipcu 1942). Na tym się skończyło. Minęło pół roku. Wreszcie, w lutym 1943 roku, zameldował Niemcom o zbrodni katyńskiej Iwan Kriwoziercew i Andriejew. Gdy

¹² Stacja Katyń istniała. Nie odgrywała roli w czasie popełnienia zbrodni. Słowo „Katyń” wprowadzili Niemcy ze względu na „las katyński” i bliskość miejscowości Katyń, gdzie mieścił się sztab niemiecki. (przyp. wyd.)

Jednak podczas przesłuchania pułk. Ahrensa w ramach Procesu Norymberskiego niemiecki prawnik dr Stahmer mówi do niego: „Pańskim pulkiem był 537 pułk łączności (Nachrichtenregiment)”. [w:] Hendrik van Bergh: Die Wahrheit über Katyn. Berg am See 1986, s. 345. (przyp. wyd.)

przybyli do lasu na Kosogorach, nie mogli ustalić dokładnego położenia grobów. Andriejew zwrócił uwagę, że położenie to będzie znał na pewno Parfemon Kisielew. Ten istotnie przybył i pokazał zarówno groby, jak i postawione na nich krzyże z brzeziny. Stąd traktowany był za właściwego odkrywcę zbrodni.

Dalsze jego losy były smutne. Wywiad sowiecki opłatał go w ten sposób, jeszcze w okresie okupacji niemieckiej, że staruszek się nie ruszył, nie uciekł. NKWD, które przybyło „po wyzwoleniu”, połamało mu na śledztwie rękę i biło po głowie, aż ogłuchiło. W komunikacie sowieckim stwierdzono, że to Gestapo go tak oporządziło.

Powracam jednak do pytania: skąd tu się wzięło nazwisko Wasyl Kisielew? Otóż Wasyl Kisielew, urodzony w r. 1911, syn Parfemona, wraz z matką swoją Aksinią i żoną Marią, był jednym z tych, którzy w śledztwie NKWD figurują jako potwierdzający (fałszywe) zeznania, że jego ojca Niemcy bili i okaleczyli. (Nawiasem muszę dodać, że z Parfemonem Kisielewem rozmawiałem przy końcu prac ekshumacyjnych, a więc już dawno po badaniach niemieckich. Był on zupełnie zdrowy i słyszał doskonale. Istnieją świadkowie, którzy go widzieli na jesieni roku 1943, w chwili cofania Niemców również zdrowego.) Na tym rola Wasyla w aferze katyńskiej wyczerpała się. Nigdy nie figurował w śledztwie niemieckim, nie brał udziału w rozkopywaniach zwłok, nie wskazywał miejsca grobów, ani w żaden inny sposób nie przyczynił się do ich odkrycia. Cała długa opowieść Germandta, przytoczona przez p. Laskowskiego, została po prostu wyssana z palca... Niewątpliwie autor jej coś słyszał czy zasłyszał, o Kisielewch, ale pomieszał imiona i daty, a dla urozmaicenia dokooptował wymyśloną przez siebie historyjkę.

LICZBA

Liczba trupów wykopanych w Katyniu jest dokładnie znana. Jest poza tym jednym z bezpośrednich dowodów, że zbrodni dokonali bolszewicy. Omawiając ją, informator p. Laskowskiego, zapewne bezwiednie, wprowadza w tę sprawę zamęt, na którym tak bardzo zależy stronie sowieckiej. Pisze:

Właściwie nigdy nie doszliśmy do jej określenia. Pierwsze ekshumacje stwierdzały, iż około 3.000 oficerów pochowano w grobach. Potem liczba ta wzrosła... Być może ogólna liczba ofiar obliczona przez Niemców na 11 tysięcy jest prawdziwa. Wątpię jednak, ponieważ nigdy nie odkopaliśmy więcej niż 5 tysięcy. Jeśli chodzi o stronę niemiecką, liczbę wzięto z ksiąg ruchu stacji Gniezdowo.

W tym wszystkim nie ma ani jednego słowa prawdy. Nie: „pierwsze ekshumacje stwierdzały” 3 tysiące, a jedynie zawartość

największego grobu oznaczonego nr 1 lub literą „L” (ze względu na jego kształt). Przy tym komisja międzynarodowa obniżyła szacunek do 2.500. Nigdy Niemcy nie podali cyfry 11 tysięcy. Podawali zawsze 10 tysięcy, a później 12 tysięcy. „11 tysięcy” jest cyfrą wykonywaną przez bolszewików i ogłoszoną przez nich w ich komunikacie oficjalnym, jako pośrednia pomiędzy 10 i 12 tysiącami, ponieważ stronie sowieckiej zależało na utrzymaniu wersji niemieckiej, dotyczącej ilości znalezionych zwłok. (Ażeby uchylić się od odpowiedzi na pytanie, gdzie zginęła reszta, w Katyniu nie znaleziono zaginionych jeńców polskich?) Wcale też: „...być może liczba ofiar obliczona przez Niemców jest prawdziwa”, a wręcz przeciwnie: wiadomo jest dziś bardzo dokładnie, że liczba ta jest nieprawdziwa. Nieprawdą też jest, że: „nie odkopaliśmy nigdy więcej niż 5 tysięcy”. Niemcy wykopali z siedmiu grobów dokładnie 4.143 zwłoki i z ósmego grobu 13 zwłok. Razem więc ściśle 4.156 i ani jednego więcej. Później dopiero (poza badaniem niemieckim) udało się stwierdzić, że grób nr 8 zawierał nie więcej niż ponad 100 zwłok.¹³ Wcale też Niemcy nie dokonali swych obliczeń na podstawie „ksiąg ruchu stacji Gniezdowo”. Obliczenia ich bazowały pierwotnie na przypuszczeniu, że całe wzgórze stanowi jeden wielki grób, a nie poszczególne groby. Poza tym na relacjach z zagranicy, że tylu właśnie jeńców polskich zginęło w Sowietach. Głównie zaś na propagandzie, której zależało na wyolbrzymieniu zbrodni ilościowo.

W ogóle zaś opowiadanie Germandta budzi podejrzenie, iż człowiek ten chyba nigdy w Katyniu nie był. Opowiada bowiem:

... na łagodnie opadającym ku Dnieprowi wzgórzu można było zobaczyć długie zagony świeżo poruszonych ziemi.

W rzeczywistości wykopane groby znajdowały się w dość gęstym lesie, w odległości 250 do 300 metrów od Dniepru,¹⁴ którego zresztą brzegi wcale nie opadały łagodnie, a stromo. Wewnątrz lasu znajdowało się wzgórze, właśnie Kosogora czy jak go tam przezwano Kozie Góry. Doły, w których zakopano trupy, znajdowały się na jednym ze zboczów tego wzgórza, ale nie opadającego „ku Dnieprowi”, a wręcz przeciwnie, od Dniepru w głąb lasu. Dojrzeć je z odległości kilkunastu metrów było niepodobieństwem.

¹³ W świetle dzisiejszych danych te liczby globalne mogą zostać zwiększone jedynie o kilkaset zwłok. Na sowieckich listach wywózkowych z Kozielska do Katynia figuruje 4420 nazwisk. Analiza różnic szacunkowych – por. J.Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, jw., rozdz. *Ostatnia droga*. (przyp. wyd.)

¹⁴ Naprawdę około 600 metrów. Por. J.Trznadel: tamże, rozdział: *Topografia katyńska*, jw. (przyp. wyd.)

OŚMIESZANIE MATERIAŁU DOWODOWEGO

Pomijając fakt, że przedstawiona przez informatora p. Laskowskiego relacja dotycząca rewizji na stacji Gniezdowo i cały inny szereg okoliczności nie odpowiada prawdzie, największą pretensję można mieć do niego za następujące zdanie:

Bodaj najbardziej przekonywującym dowodem dokonania morderstwa przez Rosjan był brak zegarków u ofiar lasku katyńskiego.

W tej chwili istnieje potężny i miażdżący stronę sowiecką materiał dowodowy, stwierdzający jednoznacznie, iż tej straszliwej zbrodni dokonali bolszewicy. Na tle tego stanu faktycznego ogłaszać, że „najbardziej przekonywującym dowodem jest brak zegarków u ofiar...” jest już nie tylko podważaniem istniejącego materiału dowodowego, jest po prostu jego ośmieszaniem.

(„Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 23, z 11 maja)

TAJEMNICA MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI

W KATYNIU

Minęło już przeszło pół roku od chwili, gdy dr Naville, profesor medycyny sądowej w Genewie, złożył swe oświadczenie w sprawie Katynia. Prof. Naville był członkiem Międzynarodowej Komisji ekspertów zaproszonej przez Niemców dla przeprowadzenia ekspertyzy sądowo-lekarskiej na miejscu zbrodni. Oprócz niego uczestniczyli w tej komisji:

Dr Speleers, prof. okulistyki w uniwersytecie w Gandawie, dr Markow, docent medycyny sądowej w Kopenhadze, dr Saxén, profesor anatomii patologicznej w Helsinkach, dr Miloslavich, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Zagrzebiu, dr Palmieri, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Neapolu, dr de Burlet, profesor anatomii uniwersytetu w Groningen (Holandia), dr Hájek, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Pradze, dr Birkle, rzeczoznawca medycyny sądowej rumuńskiego ministerstwa spraw wewnętrznych, dr Šubik, profesor anatomii patologicznej w Bratysławie, dr Orsós, profesor medycyny sądowej i kryminologii w Budapeszcie.

Oświadczenie prof. Naville, który w tej komisji reprezentował Szwajcarię, wywołało trochę komentarzy, spowodowało kilka przedruków, polemik i wymysłów z innej strony i poszło w niepamięć. A przecież rzecz dotyczyła największej, a jak chcą niektórzy, jednej z największych zbrodni w tej wojnie, co do których świat cały otrzymał uroczyste przyrzeczenie, że będą ukarane. Jakże więc stać się mogło, że trybunały alianckie, że opinia, że mężowie stanu, że narody, że ten świat cały przeszedł po prostu do porządku nad oświadczeniem starego i poważnego profesora, fachowca, członka Komisji, który na własne oczy oglądał i badał zbrodnie?

Gdybyż jeszcze prof. Naville wyrażał tylko własne, subiektywne zdanie, merytorycznie dotyczące samego przestępstwa. Nie, prof. Naville oświadczył w imieniu i za komisję, w imieniu grona profesorów, docentów i rzeczoznawców europejskich, znanych z nazwiska i autorytetu naukowego. Ani jeden z nich, poza prof. Markowem z Sofii, ujętym przez władze sowieckie, nie zaprzeczył, nie zdezawuował słów prof. Naville.¹⁵ Sprawa jest jasna. Sprawa z drugiej strony wygląda dziwnie tajemniczo...

¹⁵ Swój sąd o zbrodni sowieckiej i podpis pod orzeczeniem Międzynarodowej Komisji odwołał także prof. Hájek z Pragi, po wkroczeniu tam Sowieców w roku 1945. Prawdopodobnie jednak nie dał się „użyć” do dalszych zeznań, gdyż Rosjanie nie zawieźli go do Norymbergi. (przyp. wyd.)

Zadne z czynników angielskich, ani amerykańskich nie dały się poruszyć słowami profesora. Profesor Naville niedwuznacznie oświadczył, że głos w tej sprawie winni zabrać przede wszystkim bezpośrednio zainteresowani, tzn. Polacy. Ale i Polacy, poza kilku notatkami w gazetach, z wezwania tego nie korzystają. Jakaż działa tu siła, czyja ręka przesłania usta opinii światowej? W czyim interesie się milczy? Za jakie srebrniki?

Niestety, jest to tylko pozorna tajemnica, bardzo nietrudna do rozszyfrowania. Zbrodni dokonali bolszewicy. Anglicy zaś, Amerykanie i Francuzi, czynnie i bezpośrednio, z początku nie w Norymberdze, a później w Norymberdze przyczynili się i pomogli bolszewikom, by tę ich zbrodnię zatuzować i ukryć. Nie może więc zależeć na jej ujawnieniu ani sprawcom, ani współwinnym w jej ukryciu. A Polacy? A Polacy znajdują się niestety w tej fatalnej sytuacji, że są albo pod presją Sowieców, albo pod presją Anglików i Amerykanów. Oto i cała tajemnica. Niektóre zaś jej szczegóły, zwłaszcza w odniesieniu do Komisji Międzynarodowej, przedstawiają się, jak następuje.

KOMISJA RZEKOMO „NIEMIECKA”

W przestępczej akcji ukrycia sprawy zbrodni, najtrudniej było przejść do porządku nad orzeczeniem wspomnianej wyżej Komisji, która w roku 1943 ogłosiła swój historyczny raport. Ale jednocześnie nadarzała się ku temu jedna z najbardziej notorycznych okazji: uczeni i profesorowie, bez względu na ich osobisty autorytet, pochodzili wszyscy z państw bądź okupowanych bezpośrednio przez Niemców, bądź też satelickich. A zatem: „orzeczenie ich należy potraktować jako z góry stronnicze, jeżeli nie w ogóle wymuszone...”

Takie stanowisko zajęto od początku i w tej formie utrzymano je do dnia dzisiejszego. Było ono od tego początku, do dnia dzisiejszego faryzeuszowskie.

Przede wszystkim Niemcy zwrócili się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, który ze względu na swój światowy, blisko osiemdziesięcioletni autorytet, nie mógł być podejrzewany, że wyda opinię wymuszoną, czy zgola przekupną, nieobiektywną, czy w ogóle niezgodną z prawdą lub sumieniem członków, których by delegował na miejsce zbrodni. Odnośną depeszę niemieckiego Czerwonego Krzyża, podpisaną przez Grawitza, otrzymano w Genewie dnia 16 kwietnia 1943 roku, potwierdzoną następnie przez drugą depeszę prezesa tejże organizacji niemieckiej, księcia von Coburg.

Wynika z tego jednoznacznie, że Niemcy w wypadku Katynia nie obawiali się odsłonić i przekazać dla badania największemu autorytetowi międzynarodowemu w podobnych okolicznościach całej prawdy.

Niemcy, jak wiadomo, zwozili na teren Katynia liczne wycieczki z całej Europy, z Polski, zatrudnili nawet personel Polskiego Czerwonego Krzyża itd. Przywieźli też nie tylko jeńców polskich z „Oflagów”, ale też oficerów jeńców angielskich, kanadyjskich, amerykańskich. Ci ostatni, w przeciwieństwie do swoich polskich kolegów, którzy okazali przesadną już może powściągliwość nie wzbraniali, by ich fotografowano na miejscu. Ich też podobizny ukazały się w zbiorze dokumentów niemieckich w sprawie Katynia. (Gdzie oni się podzieli? Dlaczego nie występowali jako świadkowie w Norymberdze?...)¹⁶

Komisję zaś ekspertów europejskich powołali Niemcy dopiero wtedy, gdy zamierzana interwencja Międzynarodowego Czerwonego Krzyża została stordedowana przez Sowietów. Z gruntu zatem musi odpaść zarzut premedytacji w doborze jej członków. Tym bardziej, jeżeli weźmiemy pod uwagę fakt względnie mało znany, że do komisji tej zaproszony został również delegat Rządu Polskiego w Londynie... Rząd Polski nie przyjął zaproszenia. Wreszcie uczestniczył w niej ten właśnie prof. Naville z Genewy, reprezentujący państwo neutralne, pod żadnym wpływem politycznym Niemiec nie pozostające.

Dlaczegoż nie powołano go w Norymberdze na świadka, jeżeli członkom Międzynarodowego Trybunału „Sprawiedliwości” tak zależało, by wykryć zbrodniarzy i powiesić ich na szubienicy? Dlaczego nie zawołano żadnego z liczby pozostałych 12 uczestników Komisji ekspertów, prócz jednego tylko, jedyne prof. Markowa z Sofii, którego przywieźli bolszewicy?

CZASZKA Nr 562

Komisja ekspertów medycyny sądowej przybyła na miejsce zbrodni dnia 28 kwietnia 1943 roku. Dnia 31 kwietnia członkowie

¹⁶ Píše o tym Mackiewicz w posłowie do swej książki z r. 1983, cytując badania prof. Zawodnego. Np. raport płk Van Vlieta, który złożył on po wyzwoleniu jego Oflagu w 1945 r. gen. Bissellowi, a który został natychmiast utajniony i prawdopodobnie zniszczony. (przyp. wyd.)

jej podpisali w Smoleńsku ekspertyzę,¹⁷ a w pierwszych dniach maja ogłosili komunikat zawierający szczegółowy raport.

Raport ten potwierdził z grubsza znane już okoliczności dotyczące zeznań świadków, stanu konserwacji trupów, zachowania mundurów, dużą ilość dokumentów, notatek, gazet itd., znalezionych w kieszeniach. Na uwagę zasługuje, że raport nie wypowiada się wcale w sprawie lansowanej przez Niemców ogólnej ilości znalezionych zwłok. Natomiast pierwotny szacunek niemiecki, dotyczący największego grobu tzw. „L”, redukuje z liczby „około 3 tysiące”, na : „około 2 i pół”.

Jako pewnego rodzaju rewelację w dziedzinie medycyny sądowej, komisja przyjęła do wiadomości odkrycie dokonane przez profesora Orsósza z Budapesztu. Uczony ten stwierdził mianowicie na podstawie doświadczeń, że czaszki ludzkie przebywające w ziemi, ulegają przemianom w postaci skorupień, tworzących na powierzchni mózgu masę podobną do glinki. Czaszki przebywające w ziemi mniej niż trzy lata, nie ulegają tym przemianom. Natomiast znalezione w Katyniu...

... Wykopano zwłoki oficera polskiego, którego mundur wskazywał wyraźne dystynkcje porucznika. Nie miał przy sobie niczego ponad dwa listy ukryte na piersi, fotografię kobiety, medalik z Matką Boską Ostrobramską. Nazwiska nie można było zidentyfikować, bo i listy były bez kopert. „Kochany”... zaczynał się jeden z nich, dalej w litery imienia wgrzyzła się ciecz trupia i przeżarła je, unicestwiła. Nie można mu było zatem nawet imienia nadać i tylko oznaczono kolejnym numerem identyfikacyjnym: 526.

Tym to właśnie numerem zajął się specjalnie prof. Orsós z Budapesztu. Czaszka, czaszka „kochanego”... przez kogoś, leży teraz na stole sekcyjnym,¹⁸ a profesor węgierski w rękawiczkach gumowych, uzbrojony lancetem, obraca ją na wsze strony. Rzecz tak normalna w prosektoriach i tak wyświechtana w zestawieniach literackich. Uczony tłumaczy członkom Komisji wyniki swoich doświadczeń: numer 526 – powiada – wykazuje najwyraźniej fenomen przemiany, jakiej ulega czaszka zwłok, która leży w ziemi dłużej niż trzy lata. To znaczy, że numer 526, tym oto tu wystrzałem w tył głowy, po którym pozostał wyraźny wlotowy i wylotowy otwór kuli, zabity został nie później, niż w roku 1940... A w roku 1940 pod Smoleńskiej mogli to uczynić tylko – bolszewicy...

¹⁷ Prawdopodobnie akt podpisania nastąpił jednak podczas „międzylądowania” komisji w drodze do Berlina, na lotnisku w Białymstoku, co tłumaczyłoby uwagę prof. Markowa o „izolowanym lotnisku”. (przyp. wyd.)

¹⁸ W pierwodruku pomyłkowo chyba: „stole konferencyjnym” (przyp. wyd.)

Szczegółowy raport Komisji jest na ogół znany. Wielki nacisk kładzie ona na fakt zlepiania, zlutowania niejako zwłok przez trupią ciecz i szczególne zdeformowanie wskutek nacisku. Co wskazuje, że zwłoki te nie były i nie mogły być ruszane od czasu, gdy je wrzucono do dołów śmierci, zaś wszystkie inne okoliczności stwierdzają z absolutną pewnością, że wrzucono je tam wiosną roku 1940.

Tak sobie, jednym machnięciem ręki i głośnym zarzutem stronnictwa, nie można było zbyć ekspertyzy Komisji Międzynarodowej. Najmarniejsza nawet szopka musi mieć swoje dekoracje. Za taką dekorację, która umownie miała zastępować rzeczywistość, posłużyła osoba prof. Markowa z Sofii, który fatalnym zbiegiem okoliczności znalazł się w zasięgu sowieckiego NKWD. Przywożą go zatem do Norymbergi i on opowiada.¹⁹

Opowiada, że członków Komisji Niemcy spuścili gdzieś na odosobnionym lotnisku, otoczonym przez żołnierzy niemieckich i tu zmuszono ich do podpisania ekspertyzy, która odpowiedzialność za zbrodnię skierowuje na bolszewików.²⁰ Markow opowiada o działaniu jakiejś „ostrej psychologii”, którą zastosowali Niemcy dla wymuszenia podpisów na dokumencie, którego rzekomo eksperci nie mieli czasu nawet przeczytać. Wszyscy członkowie Komisji złożyli posłusznie swoje podpisy, a i on, Markow, nie miał odwagi nie podpisać!...

Tak mówił Markow na procesie w Norymberdze, a sędziowie amerykańscy, angielscy i francuscy brali udział w tej makabrycznej komedii i poważnie kiwali głowami, udając, że od dziecka nigdy nie słyszeli jak zeznają oskarżeni czy świadkowie, którzy sami lub ich rodziny pozostają w zasięgu władania GPU-NKWD! Ale jeżeli o tym na prawdę nie słyszeli, to musieli z obowiązku do sprawy, którą prowadzili, słyszeć, że w Komisji tej brał udział również znany profesor genewski, nazwiskiem Naville, zamieszkujący pań-

¹⁹ Prof. Markow został zastraszony już wcześniej, gdy w Bułgarii postawiono mu zarzut procesowy uczestniczenia w komisji powołanej przez Niemców i badającej zwłoki odnalezione w Winnicy. Został jednak zwolniony, zapewne po obietnicy zeznawania w Norymberdze w sprawie Katynia. Brak przebadanych dokumentów o kulisach tej sprawy. (przyp. wyd.)

²⁰ W sprawie "odosobnionego lotniska" por. przypis wyżej. Warto podkreślić, że ten „chwyt” relacji Markowa nie trzymał się, gdyż i w Katyniu, i w Smoleńsku, całkowitą kontrolę nad grupą Komisji mógł w każdej chwili sprawować Wehrmacht czy SS. (przyp. wyd.)

stwo neutralne, a więc bezstronne, i bardziej nadający się do złożenia świadectwa prawdzie.

Teraz prof. Naville powiedział, że wszystko, co zeznawał Markow, było oczywistym łgarstwem.

A JAK BYŁO NAPRAWDĘ?

Profesor Naville złożył swoje oświadczenie nie z własnego impulsu, a zmuszony do tłumaczenia się przed Grand Conseil szwajcarskim. To jednak, że nie bał się mówić otwarcie, niedwuznacznie i osobiście, należy do wyjątków w obecnej sytuacji europejskiej. Zanim ta Europa, przez zapowiedziany Plan Marshalla rozpadnie się na dwa bloki, ekonomiczno-polityczne, na razie podzielona pozostaje na dwa bloki psychiczno-moralne. Różnią się one między sobą tym głównie, że w jednym można łąć głośno i natchalnie, w drugim mówić prawdę szeptem i na ucho. Dotychczas nikt z pozostałych na Zachodzie członków Komisji nie ośmielił się wypowiedzieć głośno.

W kwietniu roku bieżącego odwiedziłem jednego z profesorów, który brał w niej udział, a który teraz zamieszkuje z dala od granicy sowieckiej. Wszelako pierwsze słowa odeń usłyszane brzmiały: „Tylko błagam, niech pan nie wymienia mego nazwiska!”

Odmachnąłem ręką. Ten wieczny strach zaczyna już nudzić! Niechże profesor zamknie sobie drzwi, ale na miłość boską, nie mówi szeptem!

– Szczegóły poprzedzające powołanie Komisji pan pewnie zna. Niemcy zdecydowali się na nią niejako jak na *malum necessarium*, po odrzuceniu propozycji przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Delegat Rządu Polskiego też miał być...

– To już wiem.

– W Berlinie zebrało się nas trzynastu. Nie było ani jednego Niemca. Prof. Buhtz z Wrocławia, zresztą znakomitość w dziedzinie medycyny sądowej, był naszym łącznikiem z władzami niemieckimi. Otrzymaliśmy bilety darmowe na przejazdy i rachunki w hotelach były opłacone przez rząd niemiecki, co zresztą nie wykroczało poza powszechnie przyjęte zwyczaje gościnności w podobnych wypadkach. To wszystko. To znaczy, nikt z nas nie otrzymywał nie tylko żadnego honorarium i to pod żadną postacią, ale nie pobierał nawet diet, ani też w żaden inny, pośredni lub bezpośredni sposób, nie był wynagradzany.

O odbyliśmy pierwsze posiedzenie wspólne, na którym jednogłośnie zdecydowano, że rola nasza sprowadzona zostanie wyłącznie do badania metodą naukową, a rezolucje wykluczać będą

wszelkie momenty polityczne, polemiczne itd. Ustaliliśmy trzy zasadnicze pytania, na które winniśmy znaleźć odpowiedź: 1) Kim są znaleźieni w Katyniu? 2) Co było przyczyną ich śmierci? 3) W jakim terminie zmarli, ewentualnie zostali zamordowani?

Niemcy przyrzekli nam w Katyniu zupełną swobodę ruchów i wszelkie środki techniczne, których będziemy wymagali. Mogliśmy robić, co się nam podobało i gdzie podobało. Schodziliśmy osobiście do grobów, kierowaliśmy ekshumacją, wskazywaliśmy na te zwłoki, które chcieliśmy, aby zostały wydobyte i poddane obdukcji. Niemcy dotrzymali swych przyrzeczeń. Mieliśmy kompletną swobodę. O żadnym nacisku z ich strony mowy nie było.

W Katyniu skontaktowałem się z delegacją Polskiego Czerwonego Krzyża. Rozmawiałem z tymi panami na temat rezultatów ich badań. Mówili mi prywatnie, że doszli do rezultatów, które jak się później okazało, pokrywały się najzupełniej z wnioskami naszej Komisji. Przy opracowaniu tych wniosków, muszę to podkreślić w sposób zupełnie kategoryczny, osiągnęliśmy kompletną zgodę wszystkich członków Komisji, łącznie z prof. Markowem...

Po powrocie do Berlina, złożyliśmy znane już powszechnie sprawozdanie na ręce dr Conti, szefa Państwowego Biura Zdrowia, następnie Komisja została rozwiązana. Przy opracowaniu i redakcji naszego raportu nie odczuliśmy nie tylko nacisku, ale najłżejszej nawet sugestii. Wyniki naszych badań były najzupełniej obiektywne, oparte na metodzie ściśle naukowej. To, co powiedział prof. Naville, jest najzupełniej zgodne z prawdą.

– A co prof. Markow?

– Ach, biedny człowiek... jak rozumiem, on musiał... ja na szczęście nie musiałem, ale przyznam się panu, choć się to może wydać przesadą z tej strony „żelaznej kurtyny”, ale nie czuję się pełnoprawnym panem swego życia...

(„Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 35, z 3 sierpnia)

HISTORIA „CIEPŁYCH UBRAŃ”

Wspomniałem już kiedyś na tym miejscu, że najważniejsza okoliczność w ustaleniu sprawców zbrodni sprowadzona jest przez Komunikat sowiecki do jednego „świadka”, który w marcu roku 1943 opowiadał to, co było w kwietniu tegoż samego 1943 roku!... Wersja ta ukazała się we wszystkich językach, w jakich Komunikat sowiecki był drukowany i oczywiście bolszewicy ani jej nie poprawiali, ani dementowali, ani nie wyjaśniali. Taki drobiazg! Co najwyżej, może bezpośrednio odpowiedzialny za opracowanie tego fragmenty enkawudzista poszedł gnić gdzieś na Kołymę. Drobiazg.

Trochę więcej kłopotu sprawiło Sowietom inne fatalne przeoczenie. A wszystko przez niechlujne traktowanie ważnej sztuki kłamstwa. Sprawa miała się, jak następuje.

Jeńcy polscy, jak wiadomo, wymordowani zostali przez bolszewików na wiosnę roku 1940, przeważnie w kwietniu. Zdajemy sobie sprawę, jaka jest pogoda w okolicach Kozielska, Smoleńska w kwietniu w ogóle, a pamiętamy ją w szczególności z roku 1940. Jest zimno. Oficerowie polscy mieli zatem na sobie rzeczy ciepłe: płaszcze, kurtki ciepłe, ciepłą bieliznę. Ponieważ mordowano ich i zasypanyo w tym, w czym stali, więc też w tym samym ich odkopano w roku 1943.

Bolszewicy, którzy zaklinali się dotychczas, że nic o losie tych jeńców nie wiedzą, już na trzeci dzień po ogłoszeniu rewelacji niemieckich spreparowali w pośpiechu swoją wersję, zrzucili winę na Niemców, a pośpiech ten wpłynął, że termin rzekomego wymordowania przez Niemców określili na rok 1941 "sierpień-wrzesień". Przy czym na sierpień kładziono większy nacisk.

I znowu wiadome jest nam wszystkim, jaka pogoda panuje pod Smoleńskiem w sierpniu. Jest ciepło. Najczęściej bywa gorąco. Nikt wtedy nie nosi ciepłych płaszczy, a tym bardziej ciepłej bielizny. Ale autorzy sowieckiej wersji lekceważąc sobie sprawę, nie przywiązywali do tego faktu żadnego znaczenia.

W styczniu 1944 roku, po odebraniu Smoleńska od Niemców, zjeżdża tam „Komisja”, z gotową oczywiście redakcją śledztwa i odbywa się, typowo-sowiecka, operetkowa inscenizacja „dochodzenia”. W Komisji zasiadają naturalnie sami obywatele sowieccy, ale zaproszono na ten pokaz kilku dziennikarzy zagranicznych. Pokazują im trupy z przestrzeloną czaszką i mówią, że to zrobili Niemcy. Dziennikarze naturalnie nic nie mogą z tego osądzić, ale na wszelki wypadek kiwają głowami potakująco. Nagle,

któremuś z tych dziennikarzy rzuciło się w oczy, że trupy są przecie w ciepłych ubraniach.

- Dlaczego? – pyta.
- Jak to dlaczego?
- No przecież w sierpniu jest tu gorąco.

Sprawa stała się głośna. (Opisał ją zresztą szczegółowo W.L. White na str. 133 i 134 swej książki pt.: *Raport on the Russians*, wydanej w Ameryce.) Dziennikarze pokazywali sobie [odzież] palcami. Zdawałoby się, mordercy i fałszerze przyłapani na gorącym uczynku łgarstwa. Ale trzeba znać metody sowieckie! Ich się takimi drobnostkami nie speszzy. Rzeczywiście w sierpniu jest gorąco. Nie podoba się wam sierpień!?

Na tym incydencie budowali już niektórzy możliwą kompromitację Sowietów. Nic podobnego. Komisja Sowiecka jednym pociągnięciem pióra wykreśliła po prostu... sierpień. Ażeby zaś już zaspokoić na wyrost pretensję, zdecydowała, że mordu dokonano w miesiącach: październik, listopad, grudzień... A w grudniu, listopadzie i w październiku jest pod Smoleńskiem zimno albo bardzo zimno.

Dla laików sprawa mogła być na tym wyczerpana, ale dla ludzi zobowiązanych do jej szczegółowego wglądu, za jakich niewątpliwie traktować winniśmy sędziów w Norymberdze, wyłaniałaby się nowa sprawa, gdyby ją chcieli uczciwie przewertować, bardziej jeszcze drastyczna od poprzedniej: oto bowiem „Komisja sowiecka” (jeżeli całą tę szopkę traktować literalnie) w orzeczeniu swym obala w sposób decydujący wiarygodność własnych „świadców”. A na tych rzekomych świadkach przecie i tylko na świadkach oparta jest konstrukcja całego Komunikatu sowieckiego.

Jakże się to stać mogło?

A no po prostu: słowo „sierpień” wykreślono i zastąpiono go słowami „pomiędzy wrześniem i grudniem”, ale tylko w „Orzeczeniu Komisji Specjalnej”, zapewne w ostatniej chwili. Natomiast całą resztą treści Komunikatu, składającą się z zeznań „świadców”, a przygotowaną i zredagowaną w ostatecznej formie zawczasu, pozostawiono w stanie poprzednim, niezmienionym. Wynikła z tego groteskowa sprzeczność. Wszyscy świadkowie sowieccy mówią o sierpniu, niektórzy z nich z dużym naciskiem. Natomiast **ani jedna osoba** figurująca w Komunikacie, **ani jednym słowem** nie wspomina nie tylko o grudniu, ale nawet o listopadzie czy październiku.

Tak na przykład Aleksiejewa ma stwierdzać, że Niemcy dokonywali egzekucji w **końcu sierpnia**... Michajłowa i Konachow-

skaja, na których „zeznaniach” opiera się cała wersja o tajemniczym „sztabie 537 batalionu roboczego”, potakują, że „jeńcy polscy rozstrzelani zostali w miesiącach **sierpień-wrzesień**”... Astronom Bazilewskij, którego bolszewicy taskali nawet do Norymbergi, opowiada o rozmowie z niejakim Mienszaginem, odbytej w **początku września**, w której Mienszagin miał powiedzieć: „Z nimi (Polakami) zrobiono już koniec”.²¹ To zeznanie Bazilewskiego jest specjalnie uwypuklone przez Komunikat sowiecki, a wynika z niego, że już w **początkach września** wszyscy jeńcy polscy mieli być zastrzeleni. Ponieważ jednak Komunikat sowiecki upiera się jednocześnie przy ich liczbie 11 tysięcy i stwierdza w innym miejscu, że dostarczano ich na miejsce kaźni „w niewielkich grupkach”, po 20-30 ludzi, przeto wynika, że gros ich rozstrzelanych musiało być w każdym razie **w sierpniu**, jeżeli nie jeszcze w lipcu... itd. itd.

Gdybyż jeszcze orzeczenie Komisji opiewało: „pomiędzy sierpniem i grudniem”, moglibyśmy sądzić, że termin sierpnia opiera się na zeznaniach „świadców”, a do terminów październik, listopad, grudzień doszli członkowie Komisji na podstawie jakichś innych, tajemniczych przesłanek, o których w Komunikacie nie ma **ani jednego słowa**. Ale nie: „sierpień” został zupełnie, natomiast co do września, w punkcie I „Wnioseków ogólnych” tego orzeczenia czytamy, że jeńcy „znajdowali się tam żywi w obozach do września 1941 r. włącznie”... A więc i we wrześniu mieli jeszcze żyć!

Wynikało by z tego jedno: Komisja sowiecka nie dała żadnej wiary własnym świadkom! A tym samym sprowadza cały Komunikat do absurdu.

Poruszyłem tu specjalnie historię „ciepłych ubrań”, w jej ostatecznej relacji, bo fragment ten, jako bardziej znany, zawdzięczając niedyskrecji dziennikarzy amerykańskich, komentowany już był kilkakrotnie. Ale cały Komunikat sowiecki, skonstruowany na fałszu, wypełniony jest podobnym nonsensem.

Sprawa jest jasna. Sprawa jest zupełnie jasna, tą przeraźliwą jasnością nagiej, wykrytej zbrodni, i na jej tle Komunikat sowiecki można by równie dobrze nazwać fantastycznym, jak bezczelnym. Naiwnie-nieudolnym, jak szyderczym, szyderstwem z tego świata, którego skorumpowanie pozwala dziś bolszewikom rzucić coś podobnego w twarz, jak ochłap dla zaspokojenia ich tam, burżuazyjno „demokratycznych” pozorów! Lepiej by może było powiedzieć po rosyjsku **pazarów**, tzn. wstydu, hańby.

²¹ Mienszagin, burmistrz Smoleńska w czasie okupacji niemieckiej, nie mógłby temu zaprzeczyć, nawet gdyby chciał, gdyż został wywieziony – jak dziś wiadomo – przez NKWD do obozu poza koło polarne. (przyp. wyd.)

A my tymczasem cieszymy się i dumni jesteśmy z naszych sojuszników i chwalimy ich za odwagę cywilną i poczucie sprawiedliwości, że: „jednak (a widzi pan! – i palec do góry!) Trybunał nie obciążył Niemców w Norymberdze zbrodnią katyńską, to znaczy...”

(„Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 38, z 31 sierpnia)

MIKOŁAJCZYK O KATYNIU

Pan Mikołajczyk w cyklu swoich artykułów ogłaszanych obecnie w prasie amerykańskiej wystąpił z rewelacjami na temat zbrodni katyńskiej. Jakkolwiek stwierdza, że dokonali jej bolszewicy, chaos, który wprowadza do tej sprawy, jest niewątpliwie wodą na młyn sowiecki. Jak to już pisałem swojego czasu, w interesie zbrodniarzy, w interesie sprawców leży przede wszystkim maksymalne zamącenie, a przez to zatarcie śladów zbrodni i wywołanie wrażenia w opinii publicznej świata, iż rzecz wygląda w gruncie tak tajemniczo i zawikłanie, że każdy mówi o niej coś innego, że przeto ostateczne wyświechtanie jej jest prawie niemożliwe. Pan Mikołajczyk pomieszał też cyfry, daty, kolejność niektórych zdarzeń, a co gorsza podtrzymał tezę sowiecką w głównych jej punktach: 1) że w Katyniu wymordowano 11 tysięcy; 2) że dokonano tego w roku 1941.

Oczywiście nie może być mowy, aby Mikołajczyk działał tu w jakowejś zmowie z czynnikami sowieckimi. Działał po prostu z własnego impulsu i ambicji do zabierania głosu we wszystkich ważnych sprawach dotyczących Polski, co wypadło fatalnie. Co gorzej, wykazał zdumiewającą ignorancję, lekceważenie i nieznamość przedmiotu, który powinien był znać chociażby w głównych zarysach jako b. premier Rządu Polskiego na emigracji w czasie, gdy tragedia katyńska została ujawniona i była badana.

Nigdy w Katyniu nie wymordowano 11 tysięcy oficerów. Skąd się ta cyfra w ogóle wzięła? Wzięła się stąd, że Niemcy wykrywszy groby katyńskie, a wiedząc o tym, że nie możemy się doszukać w Rosji przeszło 10 tysięcy jeńców, nie przeliczywszy i nie wykopawszy jeszcze nawet wszystkich trupów, rozgłosili na cały świat, że natrafili na „10 do 12 tysięcy zwłok oficerów polskich”. Później tej cyfry nie chcieli zdezwauować, ażeby nie podrywać autorytetu własnej propagandy. Bolszewicy zaś, którzy wymordowali w Katyniu tylko obóz jeńców z Kozielska, a obozy ze Starobielska i Ostaszkowa – w innych miejscach, przypisując dokonanie zbrodni Niemcom, skorzystali z ich wersji, aby uniknąć pytania: gdzie reszta? Pytanie to byłoby niewątpliwie im postawione, gdyby ujawniono prawdziwą liczbę znalezionych w Katyniu, to jest zaledwie ponad 4 tysiące trupów. A zatem z cyfry „od 10 do 12 tysięcy”, propagowanej przez Niemców, wyciągnęli średnią i ogłosili w urzędowym swoim komunikacie, że w Katyniu leży „11 tysięcy”. Teraz wersję tą Mikołajczyk powtarza.

Zdumiewające jest również, że wicepremier a później premier Rządu Polskiego nie wie o tym, że bolszewicy wymordowali nie tylko „oficerów”, jak to powtarza za wersją niemiecko-

sowiecką. Ogólna bowiem liczba wymordowanych przez bolszewików jeńców polskich sięga 15 tysięcy, a w tej liczbie 6.500 osadzonych w obozie w Ostaszkowie, z których zaledwie około 400 tylko było oficerami.

Natomiast niesłychane już zgoła lekceważenie w odniesieniu do jednej z największych tragedii naszych w tej wojnie wykazuje p. Mikołajczyk, nie racząc sobie nawet przypomnieć dokładnej daty, w której straszliwa zbrodnia katyńska została popełniona. Sposób, w jaki powtarza ciągle „wiosna 1941”, a nie jak było naprawdę: wiosna 1940, nasuwać może przypuszczenie, że zaszedł tu po prostu błąd korektorski. Ale błędu tego, tak niezmiernie istotnego, zasadniczego, p. Mikołajczyk dotychczas nie sprostował. W ten sposób wprowadza nie tylko zamęt, ale wręcz już podważa cały materiał dowodowy obciążający bolszewików. Olbrzymi materiał, który z najdokładniejszą i jasną precyzją świadczyć może przed każdym uczciwym trybunałem świata, że ludzie ci nie żyli od wiosny r. 1940. Kto stawia tę datę pod znakiem zapytania, ten nie przygląda się sprawców zbrodni, a bezpośrednio albo pośrednio i mimo woli, jak to czyni p. Mikołajczyk – działa na korzyść ich wykrętów i mactactw. Pan Mikołajczyk w innym miejscu powołuje się na wiek drzewek zasadzonych na grobach katyńskich, który oczywiście może mieć tylko znaczenie przekonywające, jeżeli pochodziły z roku 1940, więc z tego widać, że chciał powiedzieć prawdę, ale wszystko poplątał i odniósł się do niej z lekceważeniem, jak do czytanej ongiś powieści kryminalnej, a nie jak powinien się być odnieść premier Rządu do wielkiego dramatu swego narodu.

Z tego samego też tytułu nie może przedstawiać żadnej wartości nowa, jakoby sensacyjna wersja, wprowadzona przez Mikołajczyka o jakowychś 30 tysiącach Ukraińców, których Hitler ćwiczył w rzemiośle wojennym „wiosną r. 1941”, a których w porozumieniu ze Stalinem postanowił rzekomo wymienić na jeńców polskich w Sowietach, następnie zaś zrezygnował i bolszewikom „powiedział, że mogą tych jeńców wymordować”... W tym czasie ci jeńcy polscy od roku już nie istnieli, a więc i cała sensacja p. Mikołajczyka istnieć nie mogła. Na marginesie należałoby jeszcze dodać, że stała tendencja wprowadzania, pod tym czy innym pretekstem, czynnika niemieckiego, jako w mniejszym lub większym stopniu odpowiedzialnego za trupy katyńskie, również przyczynia się do zagmatwania sprawy i ożywia jedynie kolory tezy sowieckiej. Poza tym, że jest nieprawdą, jest w dodatku nieprawdą niepotrzebną. Prawo kryminalne przewiduje, że za „działanie w bandzie” ponosi się większą odpowiedzialność. Byłoby zatem wskazanym takie podkreślenie, gdyby bandyta niemiecki do spółki z bandytą bolszewickim dokonali mordu pospolitego. Ale mord dokonany w Katyniu należy do rzędu jednego z takich, o których się zwykło mówić, a w danym wypadku słusznie: że jest niesłychanym w dziejach. W takim

więc wypadku przierzucanie zań chociażby minimalnej współodpowiedzialności na Niemcy, abstrahując od nieprawdy oczywistej, pomniejsza plastyczną wyrazistość wyłącznej odpowiedzialności sowieckiej. – Co to znaczy, że „Niemcy powiedzieli bolszewikom, że mogą wymordować”? Czy to ma znaczyć, że bolszewicy to są tacy porządni ludzie, którzy bez natchnienia niemieckiego, nigdy by się na ten mord nie zdecydowali?...

Z karygodną niesumiennością i lekceważeniem wprowadza p. Mikołajczyk do swych rewelacji szereg bzdur, przekręcając lub zaciemniając fakty. Pisze więc, że jeńców ze Starobielska i Ostaszkowa wymordowano w Katyniu, podczas gdy ich wymordowano gdzie indziej. – Że „każdy” z oficerów miał ręce związane na plecach drutem, podczas gdy w istocie związanych było około 4 do 5 % i nie drutem, a specjalnym sznurem. – Że „ciała wszystkich wrzucono do jednego długiego, wspólnego grobu”, podczas gdy naprawdę wrzucono je do ośmiu grobów oddzielnych. – Że „każdego” można było zidentyfikować przy ekshumacji, podczas gdy w rzeczywistości zidentyfikowano personalia 67,9 %.

Pan Mikołajczyk pisze dalej, że pierwszą wiadomość o wykryciu zbrodni katyńskiej nadali Niemcy 12 kwietnia 1943. Niemcy nadali ją 13 kwietnia. Pisze, że strona polska zwróciła się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża 14 kwietnia. W istocie zwróciła się 17 [kwietnia], wręczając notę o godzinie wpół do piątej popołudniu. Itp. – szereg nieścisłości.

Mikołajczyk opisuje w dalszym ciągu rzekomy zamiar rządu warszawskiego wytoczenia pokazowego procesu katyńskiego w Warszawie i swoją rolę, którą w zaniechaniu tego projektu odegrał. Mnie się zdaje, że tu też coś płacze, albo po prostu zmyśla. W jednym bowiem zdaniu stwierdza, że wszedł do rządu „opanowanego przez komunistów”, a dalej, że wyraził zdanie, że „uczciwy proces wykaze, kim byli mordercy”. Jakże można sobie przedstawić proces bolszewicki „uczciwym”, w dodatku stwierdzającym winę Stalina! – Naturalnie stanowisko w tym wypadku Mikołajczyka można komentować jako rozmyślane udawanie głupiego („walanje duraka”), ale to wszystko, co w roku 1945 miał mówić prokuratorowi generalnemu Sawickiemu, wypada odnieść do rzędu fantazji. Nie mam żadnych dowodów na stwierdzenie kłamstwa, ale nigdy nie uwierzę, żeby pan Mikołajczyk był tym właśnie szaleńcem, który siedząc z łaski bolszewików za ich żelazną kurtyną, odgrażał się, że powie i zezna przed sądem całą prawdę o Katyniu, dając jednocześnie do zrozumienia, że obciąży stronę sowiecką! Nie, tu coś musiało być nie tak. Zwłaszcza jeżeli się weźmie pod uwagę, że po tej rozmowie siedział sobie w Warszawie jeszcze przez dwa lata...

Prawdą natomiast i smutną prawdą, którą usiłowałem przedstawić w zobrazowaniu sytuacji w Kraju w okresie okupacji

niemieckiej, jest to, co wyznaje p. Mikołajczyk o polskich posunięciach politycznych na skutek ujawnienia przez Niemców zbrodni katyńskiej w 1943:

„Ze swej strony – powiada – rozwinęliśmy kontrpropagandę.”

Szkoda, że fatalnych skutków tej „kontrpropagandy”, które musiał zauważyć w kraju, nie chce przed czytelnikiem rozwinąć. Ani tych konsekwencji, wynikających z jego polityki, do której przyznaje się w swym katyńskim artykule, że Sowiety – „mimo zniepraw z ich strony, nadal nazywaliśmy sojusznikiem”.

(„Lwów i Wilno” Londyn 1948, nr 59; z 8 lutego)

SZCZEGÓŁY NIE WYJAŚNIONE

Na skutek artykułów Mikołajczyka z jednej strony, a z drugiej rewelacji ogłaszanych w szwedzkiej „Dagens Nyheter”, sprawa mordu katyńskiego znowu zaczyna przybierać na rozgłosie. Ostatnio „Dziennik Polski” w Londynie powtórzył za pismem szwedzkim nazwiska przypuszczalnych morderców (raczej wykonawców mordu, ponieważ właściwym mordercą jest rząd sowiecki), traktując je jako rewelacje, a zapominając, że niektóre z nich już rok przeszło temu wymienione zostały na tym samym miejscu w „Lwowie i Wilnie” w moich wspomnieniach pt. *Dymy nad Katyniem*. Nadmieniałem, że z tej liczby: Lew Rybak, Chaim Finberg i Abraham Borissowicz (nie „Borusowicz”) ze szczególnym podkreśleniem wypominane były przez propagandę niemiecką, której zależało na uwypukleniu ich żydowskiego brzmienia. Nie są to zatem żadne nowe rewelacje, a rzeczy wiadome od lat bez mała pięciu. Otwartym pozostaje jedynie pytanie: czy to są rzeczy ściśle?

Charakterystycznym jest, że w oficjalnym, ostatecznie zamykającym sprawę Katynia, zbiorze dokumentów niemieckich, nazwiska wymieniane uprzednio przez ich propagandę nie figurują. Świadczy to raczej dobrze o książce niemieckiej, która zawiera jedynie fakty i dokumenty bezsporne. Wyjątek pod tym względem stanowi fatalna ilość zwłok. Ale i ta podana jest błędnie tylko w nieoficjalnym wstępie, natomiast w części dokumentarycznej wymieniona [została] ich właściwa liczba (4.143) i pozostawiona otwarta furtka w postaci grobu nr 8. „którego, dla raptem nastających upałów i plagi much, nie można było zbadać”...

Wynika z tego, że Niemcy nie mieli w ręku żadnych bezpośrednich dowodów stwierdzających wykonanie morderstwa przez tych, wymienionych z nazwiska, a nie innych ludzi. Skąd się zatem te nazwiska wzięły? W sposób nader prosty: w ręce niemieckie wpadły archiwa mińskiego NKWD w r. 1941, a wśród nich spisy jego pracowników. Ponieważ dalej, wiadomym jest, że mińskie NKWD wykonywało zbrodnię katyńską, przeto na podstawie skrupulatnej selekcji nazwisk jego członków, ich rang, ich kwalifikacji i zaufania, jakim się cieszyli w hierarchii tej organizacji, tudzież niektórych przypadkowych wskazówek, można było ustalić przypuszczalną listę nazwisk. Rzecz cała jednak nie wykraczała poza sferę hipotetyczną. Nie wiadomo też z jaką sumiennością była przez Niemców zbadana. Zachodzić może obawa, że nazwiska wylapane zostały na chybił-trafił ze spisów mińskich. Prawdopodobnie nigdy nie dojdziemy w tym względzie prawdy i nigdy nie dowiemy się z całą pewnością, kto mianowicie, personalnie, strzelał w tył głowy naszym jeńcom wiosną roku 1940. Panujący w Sowietach system terroru pozwala na uzasadnioną obawę, że tym „murzynom, którym

kazano zrobić swoje”, ułatwiono też w swoisty, sowiecki sposób, możliwość odejścia... Prawdopodobnie na wieki wieczne. Wprawdzie na terenie Zachodniej Europy znajduje się w tej chwili pewien major NKWD, który... Ale to są jeszcze sprawy nie wyjaśnione.²²

Powracając natomiast do rzeczy ustalonych, powrócić zarazem musimy do pytania kapitałnego: skąd wiadomo, że mord wykonywany był nie przez inne, a właśnie mińskie NKWD? Istnieją pewne kategorie rzeczy wiadomych notorycznie, które nie mogą być poparte dowodami na poczekaniu. Podobnie rzecz się ma w tej sprawie. Tak na przykład wiadomo, że inne NKWD transportowało jeńców, inne je przyjmowało na miejscu, a jeszcze trzecie dokonywało egzekucji. Tym trzecim było to z Mińska. Słyszałem o tym wielokrotnie na miejscu w Katyniu. Mówili o tym świadkowie, którzy mieli znajomych wśród znajomych itd., jeden nawet krewniaka w mińskim NKWD. Przytaczanie w tym miejscu całego łańcucha okoliczności dowodowych zajęłoby zbyt dużo szpalt. Sprawa jest definitywnie wyjaśniona: jeżeli nie był to właśnie Lew Rybak, Finberg czy Siekhanow, to w każdym razie ich najbliżsi koledzy.

Nie poruszałem dotychczas sprawy o stosunkowo podrzędnej doniosłości, tym niemniej stanowiącej dotychczas lukę w całości obrazu tragedii katyńskiej. Właściwy teren morderstwa, Kosogory, leży na lewo od szosy, jadąc od stacji Gniezdowo. Jest to las. Leśna, piaszczysta droga prowadzi od szosy do willi wypoczynkowej funkcjonariuszy NKWD. Masowe groby znajdują się mniej więcej w połowie, między wjazdem z szosy i tą willą, oddaloną stąd o kilkaset metrów nad Dnieprem. Las jest na tyle gęsty, że jej stąd nie widać.

Gdy Niemcy w kwietniu roku 1943 wydobywali zwłoki oficerów z głównego grobu, czterysta dziewięćdziesiątym z kolei był trup majora Solskiego z 57 pułku piechoty. W kieszeniach jego znaleziono szereg przedmiotów: świadectwo szczepienia w Kozielsku, jakiś rachunek, 2 medaliki, list pisany po rosyjsku, świadectwo lekarskie, kartka z adresami i aż dwa notesy. W jednym z nich major Solski prowadził dzienniczek wydarzeń bardzo skrupulatny. Tylko niektóre miejsca były nieczytelne. Resztę można było przeczytać zupełnie gładko. Ostatnie ustępy tego pamiętniczka brzmią, jak następuje:

8.IV. godz. 330 wyjazd ze stacji Kozielsk na zachód. 9⁴⁵ na stacji Jelnia.

8.IV.40 od godziny 12 stoimy w Smoleńsku na boczniczy.

²² Por. wyżej przypis w tej samej sprawie (przyp. wyd.)

9.IV. rano paręnaście minut przed 5-tą pobudka w więziennych wagonach i przygotowanie się do wychodzenia. Gdzieś mamy jechać samochodami. I co dalej?

9.IV od świtu dzień rozpoczął się szczególnie. Wyjazd karetką więzienną w celkach (straszne). Przywieziono gdzieś do lasu, coś w rodzaju letniska. Tu szczegółowa rewizja. Zabrano zegarek, na którym była godzina 6³⁰ (8³⁰) pytano mnie o obrączkę. Zabrano ruble, pas główny, szczyryk...

Na tym urywa się ten straszny pamiętnik.

W tej chwili nie chodzi mi wszakże o jego tragiczną wymowę, a o pewien szczegół. Mianowicie słowa: „...coś w rodzaju letniska”. Co było to „coś”? Bo wokół, powtarzam, las. Normalny las, niczym nie różniący się od naszych, głównie sosnowy, ze znaczną przymieszką świerków, podszyty tu i ówdzie krzakami jałowca, małymi świerczkami. Las w leśnej okolicy i dlatego śp. major Solski nazwał [go] raptem „rodzajem letniska”? Nie istnieją ku temu żadne wytłumaczalne powody, poza jednym chyba, że major Solski widział chyba ten pawilon, stał przed willą leśną w chwili ostatniej rewizji, bo tylko ją mógł nazwać „rodzajem letniska”. Wynikałoby z tego, że oficerów ze stacji Gniezdowo nie wieziono bezpośrednio nad wykopane doły śmierci, a do willi NKWD.

Hipotezę tę potwierdzali mi niektórzy ludzie, z którymi rozmawiałem w Katyniu. Ludzie nie wyszkoleni w wykładzie, ani precyzowaniu zaobserwowanych zjawisk, jak to często z ludźmi takiego typu bywa, nie umieli wytłumaczyć, na czym opierają swoje twierdzenia. Być może wiedzieli coś więcej, być może nie chcieli powoływać się na świadków nie wciągniętych w orbitę śledztwa, którego obywatel Sowietów tak bardzo stara się uniknąć. Jeden z nich mówił mi wprost: „To jasne. Przywozili najpierw do daczy, rewidowali, a stąd dopiero prowadzili na śmierć”.

Z drugiej jednak strony narzucałoby się pytanie: po co? Miejsce straceń leży koło samej drogi. Musiano by zatem robić dwa razy, tam i z powrotem te kilkaset metrów drogi, tylko dlatego, żeby odebrać zegarki i szczyryki, obrączki? Boć przecie dokumentów, listów i innych przedmiotów nie ruszano. Zresztą główna rewizja odbywała się przy wyjeździe z Kozielska. Miała być zapewne ostateczną i pomordowani zakopani ze wszystkim, co posiadają. Musiał być pod tym względem na pewno nakaz z góry, gdyż jak wiadomo nie ściągano z nóg nie tylko cennych w Sowietach butów, jakie mieli nasi oficerowie, ale rewizje w lasku robiono bardzo pobieżnie, pośpiesznie, co wykazały późniejsze ekshumacje. [gdym] znaleziono przy zwłokach wiele wartościowych przedmiotów. Przemawiało by zatem, że kaci z mińskiego NKWD robili ją już na własną rękę. Czy po to mieli nakładać drogi do swej „daczy” i wracać nią z powrotem?

Robiąc pierwszy krok od drogi w kierunku największego grobu, znalazłem w krzaku bardzo gęstego jałowca wyblakłą już i poszarzałą czapkę mundurową (rogatywkę) oficera polskiego, z wyleniałym, ale wyraźnym zielonym otokiem artylerii. Był to jedyny przedmiot, który nie cuchnął trupem. Musiała tedy spaść z głowy zawczasu i w grobie nie była. Tkwiła w krzaku na deszczu i śniegu lata, ale przetrwała. Nie mógł ją zerwać z głowy wiatr. Wskazywałaby raczej miejsce, gdzie się mogła odbywać przedśmiertna rewizja, a może szamotanie i rozpaczliwy opór. Ta okoliczność przemawiałaby znowuż przeciwko przypuszczalnemu wożeniu jeńców aż do „daczy”.

Przytaczam te rozważania nad okolicznościami nawzajem sprzecznymi, dla podkreślenia, że istnieją jeszcze różne szczegóły ostatecznie nie wyjaśnione, które w rezultacie nigdy może wyjaśnione nie będą. Nie dojdziemy ich zapewne też drogą koncygowania teoretycznych formuł. Życie i śmierć są elastyczne, giętkie, związane z masą przypadków. Być może niektórzy jeńcy sprowadzani byli aż do willi, a inni nie. Dla tych lub innych powodów. Są to wszystko szczegóły drugorzędne, które stanowią lukę, ale w niczym nie zaciemniają dokładnego obrazu całości, jaki posiadamy w tej chwili o zbrodni katyńskiej.

(„Lwów i Wilno”, Londyn 1948, nr 62; z 7 marca)

HITLER MIAŁ ZGINĄĆ W KATYNIU

1.

KŁOPOTLIWE DLA SOWIETÓW REWELACJE

Niewątpliwie zamach na Hitlera z dnia 20 lipa 1944 r. przejdzie do historii jako jedna z najbardziej sensacyjnych okoliczności wojny ubiegłej. Wystarczy choćby skupić uwagę na jej sprawcy: pułkownik hrabia Klaus Schenk von Stauffenberg, 37-letni oficer kawalerii (Bamberger Reiter), fanatyczny katolik, odbywa kampanię wojenną w północnej Afryce. W jednej z bitew traci jedno oko, prawą rękę i dwa palce ręki lewej. I oto ten kaleki hrabia o jednym oku i trzech tylko pozostałych mu palcach, dokonuje dzieła, na które nie zdobył się nikt z pośród milionów komunistów i demokratów całego świata. Bomba wybuchła i jak wiadomo Hitler wyszedł cało tylko cudem, jeżeli rzeczownik „cud” możemy zastosować w jego wypadku. Zamach się nie udał, ale stał się głośnym. Natomiast zupełnie prawie nieznaną pozostał pierwszy zamach na Hitlera, z dnia 13 marca 1943 r.

Istnieje wiele, zarówno obiektywnych jak subiektywnych przyczyn, dla których antyhitlerowska akcja generałów, konserwatyistów, a przede wszystkim arystokratów niemieckich nie jest popularną w opinii światowej. Wspomina się więc tylko rzeczy, które nie mogą nie być wspomniane. Nie będę poniżej tematu tego rozwijać. Natomiast poświęcając się już od lat badaniu sprawy Katynia, chciałbym zwrócić uwagę, że jedną z przyczyn, dla których pogłębienie okoliczności zamachu z 13 marca 1943 wypadła bardzo nie na rękę Sowietom, może być ta właśnie sprawa Katynia...

PECHOWY KOMUNIKAT

Są kłamstwa o długich albo krótkich nogach, ale zdarzają się poniektóre wyjątkowo pechowe. Do takich zaliczyć wypada sowieckie kłamstwo zawarte w urzędowej interpretacji mordu katyńskiego. Wielokrotnie w tym miejscu poruszałem już sedno sprawy, jak też niefortunnie zełgany komunikat sowiecki, spreparowany w pośpiechu, na kolanie, bez należytą ostrożności, którą każde wielkie kłamstwo przede wszystkim winno mieć na uwadze. Pisałem już, że punktem ciężkości koncepcji sowieckiej, który to punkt całą resztę utrzymać ma w jakiej-takiej równowadze prawdopodobieństwa, jest wersja, że Niemcy dokonali rzekomo niesamowitej rewizji wszystkich trupów, wyciągając je w marcu 1943 r. z ziemi, niszcząc jedne dokumenty, a wsadzając im w kieszenie inne itd. W tym celu

sprawdzili rzekomo 500 jeńców sowieckich z obozu nr 126 pod Smoleńskiem, którym kazali te trupy wykopywać, rewidować itd. Potem zaś tych jeńców po prostu rozstrzelali. W ogóle zaś rzekome fałszerstwo mogił katyńskich zakrojone było przez Niemców na olbrzymią skalę – powiada w dalszym ciągu komunikat sowiecki: do Katynia zwożono zewsząd ciężarówkami trupy ludzkie i zrzucano je do mogił. Akcja ta nie mogła oczywiście ujść uwadze okolicznych mieszkańców... A więc stwierdzają to jeden i drugi Jegorow; stwierdza Suchaczew – inżynier-mechanik, Jakowlew Sokołow Flor Maksymowicz i wielu innych rzekomych świadków. Sprawa miała być powszechnie znana, choć omawiana szeptem: dziesiątki „ciężarówek napelnionych trupami”, a strzeżonych przez Niemców „uzbrojonych w automaty, zjeżdżały notorycznie do Katynia...

Więc zapytamy teraz, czy mógłby o tym nie wiedzieć Fabian von Schlabnerdorff?

MARZEC 1943

Sowiety preparując swój komunikat, przedstawiły w nim całą sprawę w ten sposób, że wymordowanie oficerów polskich pod Smoleńskiem rzekomo dokonane zostało przez Niemców przy wykorzystaniu całego aparatu wojska, policji i tych wszystkich innych środków, jakimi notorycznie rozporządzają władze okupacyjne. Musiał być zatem puszczony w ruch wielki, rozgałęziony i dobrze obmyślony mechanizm masowego mordu i prowokacji, a niewątpliwie jeden z największych tego typu, którego ośrodkiem stały się okolice Smoleńska.

To, czego Sowiety wszakże nie wiedziały, redagując swą wersję, gdyż wówczas wiedzieć jeszcze nie mogły, to zbieg okoliczności, że... właśnie w tym samym okresie Smoleńsk stał się ośrodkiem największego, wewnętrznego spisku – antyhitlerowskiego. Z ujawnionych teraz szczegółów tego spisku wynika, że w tym samym marcu 1943, w którym według wersji sowieckiej wojskowe władze niemieckie pod Smoleńskiem zajęte były fałszowaniem mordu, zwożeniem trupów i kolejnym, masowym rozstrzelaniem, tym razem jeńców sowieckich – w rzeczywistości zajęte były akcją, którą w pewnej interpretacji można by scharakteryzować jako: wręcz odwrotną. W tym celu ściągnięto pod Smoleńsk pułk kawalerii barona Jerzego von Boeselager... Ale nie zabiegajmy naprzód.

W POSZUKIWANIU OŚRODKA FRONTOWEGO

Nie będę tu przytaczał tych szczegółów spisku, które po bieżnie są znane. Z grubsza wypada tylko przypomnieć: szefem i głową spisku był gen Ludwik Beck, b. szef sztabu generalnego; du-

szą dr Karol Goerdeler, nadburmistrz z Lipska, przewidziany na kanclerza Rzeszy w razie udanego przewrotu. Dowódcą sił zbrojnych miał w tym samym wypadku zostać generał feldmarszałek von Witzleben. Na razie siłę wojskową, na którą mogło liczyć sprzysiężenie wewnątrz Rzeszy, reprezentował gen. Olbricht, piastujący nieco przydługi tytuł funkcyjny: „Chef des allegemeinen Heeresamtes beim Befehlshaber des Ersatzheeres”, tzn. szef ogólnego urzędu wojskowego przy dowódcy armii zastępczej. Ośrodkiem skupiającym nici spisku był generał-major Hans Oster, prawa ręka admirała Canaris, szefa wywiadu niemieckiego, również zresztą należącego do spisku. Plan, w najgrubszych jego zarysach, przewidywał zamordowanie Hitlera, opanowanie przez wojsko głównych ośrodków wewnątrz państwa. Do tego ledwo starczało tych jednostek, które by ewentualnie mógł zgromadzić gen. Olbricht, a które niewątpliwie od pierwszej chwili natrafiłyby na opór oddziałów SS. Zapewnić powodzenie mogły wyłącznie oddziały frontowe. W ten sposób punkt ciężkości leżał nie wewnątrz państwa, a na zewnątrz, na frontach, a sukces zależał od dobrych czy złych chęci, od dzielności i zdolności tych generałów, którzy posiadali w swoim ręku armie.

Zasadniczo wszyscy generałowie Wehrmachtu, z małymi wyjątkami, albo byli niechętni, albo zgola nienawidzili Hitlera, ale zwycięskie wojny z jednej strony, a strach i oportunizm z drugiej, hamowały ich decyzje. Hamująco też wpływało stanowisko przeciwników w wojnie, które działało na skupienie pod sztandarem swastyki wszystkich sił walczących, ale to już specjalny rozdział. Gen. Brauchitsch, jakkolwiek od początku sympatyzował z zamierzonym przewrotem, nie dał się doń wciągnąć czynnie. Pierwsze lata wojny zeszyły tedy prawie wyłącznie na poszukiwaniu odpowiednio zdeterminowanych, a rozporządzających faktyczną siłą wojskową, generałów frontowych.

VON TRESCKOW TWORZY GŁÓWNĄ KWATERĘ SPISKU

Jednym z najbardziej czynnych i zarazem najbardziej fanatycznych wrogów Hitlera w armii był generał Hennig von Tresckow. Zawdzięczając swym zdolnościom, a jak twierdzi wspomniany wyżej Fabian von Schlabnerdorff w swych pamiętnikach, również osobistemu urokowi, Tresckow potrafił jednać dla sprawy otaczających go oficerów. Z początkiem kampanii sowieckiej 1941 r. mianowany zostaje pierwszym oficerem sztabu Armii Grupy Operacyjnej „Środek” (Heeresgruppe Mitte), którą dowodził generał feldmarszałek von Bock. (Nie: Beck!) Bock uważany był powszechnie za bardzo zdolnego oficera i jego to upatruje sobie Tresckow na wodza, który ma wesprzeć przewrót w Niemczech armią frontową. Ale Bock nie jest zdecydowany. Von Tresckow ze swego centralnego stanowiska rozwija energiczną akcję celem obsadzenia maksimum kluczo-

wych stanowisk przez oficerów wtajemniczonych. Między innymi otacza von Bocka dwoma spiskowcami: hrabią Hansem von Hardenbergiem i hr. Henrykiem von Lehndorfem, dając mu ich za adiutantów. Sam zaś ściąga sobie do pomocy Fabiana von Schlabnerdorffa. – Ale von Bock wciąż jeszcze się waha.

W tym czasie sztab Grupy Środek znajduje się w Borysowie. Następnie przechodzi do Smoleńska.

Koniec roku 1941 przynosi znane niepowodzenia. Załamania pod Moskwą, ustąpienie Rostowa, powszechne rozczarowanie, gdyż nie tylko Hitler, ale nawet Brauchitsch, liczył się poważnie z możliwością zakończenia całej kampanii sowieckiej w – sześć tygodni! W armii następują zmiany. Hitler usuwa Brauchitscha. Wtedy to von Bock zgłasza swe ustąpienie z zajmowanego stanowiska. – Jego następcą zostaje generał feldmarszałek von Kluge. Dzieje się to w grudniu 1941 r. w Smoleńsku. Tresckow rozwija z kolei wścickłą kampanię celem zjednania von Klugego, co mu się w znacznej mierze udaje. – Oto więc od jakiej daty i w jaki sposób Smoleńsk staje się główną kwaterą spisku.

NA OSI BERLIN – SMOLEŃSK

W ciągu całego roku 1942 i pierwszej połowy 43 akcja konspiracyjna rozwija się terenowo niemal wyłącznie na osi Berlin-Smoleńsk, przy tym ten ostatni nabiera charakteru bardziej definitywnego w miarę niepowodzeń niemieckich na wschodzie, dojrzewania planu działania, a głównie zapobiegliwości von Tresckowa i jego pomysłu, ażeby Hitlera ściągnąć do Smoleńska i tu go zamordować. Pomysł zostaje z grubsza akceptowany, chodzi jedynie o rozpracowanie szczegółów i o termin.

W tym celu teren wokół Smoleńska, jak długi i szeroki, zostaje rozpracowany taktycznie i wtedy to skoncentrowano dla ochrony działania i osobistego niejako rozporządzenia sztabu Grupy Środek, pułk kawalerii, dowodzony przez wspomnianego barona von Boeselagera wciągniętego do sprzysiężenia. Pułk ten miał tradycję arystokratyczną, a służyło w nim wielu oficerów z tak zwanych najlepszych rodzin.

Łącznikiem pomiędzy Smoleńskiem a resztą rozgałęzionego spisku w Berlinie pozostaje w dalszym ciągu generał Oster. – Latem 1942 przybywa do Smoleńska, zaopatrzony w fałszywe papiery, upatrzone na przyszłego kanclerza Goerdeler, odbywając z generałami Kluge i Tresckowem konferencje. Z początkiem roku 1943 zjeżdża do Smoleńska szef kontrwywiadu, admirał Canaris, jak wiadomo, powieszony w r. 1944 bestialsko na rozkaz Hitlera.

WYMOWNE ZESTAWIENIA

We wspomnieniach swoich, wydanych w Szwajcarii w roku 1946, pt. *Offiziere gegen Hitler*, Fabian von Schlabnerdorff występuje nie tylko jako ideowy wróg narodowego socjalizmu, rzecznik porozumienia z demokracjami zachodnimi, ale również jako oskarżyciel Hitlera w jego niezliczonych zbrodniach, dokonanych na terenach okupowanych. Chwilami czyni to nawet przesadnym podkreśleniem, z niejaką zapobiegliwą skrętnością. Ponieważ nie posiada talentu literackiego, niektóre ustępy wypadają nieco płasko. Stąd można go podejrzewać nawet o chęć w schlebieniu i przystosowaniu do popularnego gustu, a brak jakiegokolwiek złego słowa o bolszewikach i kilka wyraźnych komplementów pod adresem Stalina nadaje tym wynurzeniom ten właśnie charakter, który posłużyć nam może za argument do pewnych zestawień.

Schlabnerdorff twierdzi, że jednym z celów planowanego przewrotu było przywrócenie praworządności nie tylko wewnątrz Niemiec, ale zahamowanie długiego szeregu zbrodni i aktów sprzecznych z prawem międzynarodowym, dokonywanych przez Hitlera na ziemiach okupowanych. Oburza się, że generałowie na odprawie u Hitlera przed kampanią polską nie zaprotestowali przeciw projektowanemu régime'owi terroru. Dodaje jednak, że później terror ten doprowadził do poważnego konfliktu pomiędzy SS i generałem Blaskowitzem w Polsce. Wspomina następnie odprawę przed kampanią sowiecką, na której Hitler zapowiedział, że wszystkich wziętych do niewoli komisarzy politycznych i oficerów sowieckich należy rozstrzeliwać. Brauchitsch przeciwstawił się tej decyzji, którą zmieniono o tyle, że nie miała dotyczyć oficerów, a tylko komisarzy. Von Bock i Tresckow wystąpili również w obronie komisarzy i jakkolwiek bez powodzenia, to jednak pierwszych komisarzy wziętych do niewoli von Tresckow zakazał rozstrzeliwać. – Oburza się dalej, na sprzeczny z prawem fakt przebrania dywizji-Brandenburg w uniformy sowieckie przy zdobywaniu Brześcia Litewskiego. Opisuje następnie straszliwą masakrę Żydów w Borysowie, dokonaną przez SS, przeciwko której protestowali rzekomo gwałtownie oficerowie armii, domagając się od Bocka wystąpienia przeciw tym Sonderkommando nawet z bronią w rękę! Cytuje rozkaz wydany o rozstrzeliwaniu wszystkich jeńców członków partii komunistycznej, przeciwko któremu wystąpili znowu oficerowie. Opisuje, jak wciągnięto do spisku SS-Gruppenführera Nebe, za pośrednictwem którego udało się wyratować wielu skazanych na śmierć Rosjan, za co później tenże Nebe zawisł na szubienicy itd. itd. Cytuje trochę naiwnie plan Hitlera, według którego cała Moskwa, wraz ze wszystkimi mieszkańcami, miała zostać zatopiona i na tym miejscu pozostać tylko – jezioro.

Nie chodzi mi wszakże o analizę intencji autora, ani słuszność jego tez, czy nawet o prawdę obiektywną przytaczanych faktów. Natomiast z zestawień cytowanych wynika rzecz bezsporna: gdyby Schlabnerdorff wiedział, czy chociażby podejrzewał, że masakry katyńskiej dokonali Niemcy i następnie zrzucili winę na bolszewików, on, który przez cały czas siedział właśnie pod tym Smoleńskiem, to by nie tylko wypomnił tę zbrodnię, ale by ją ujął za czołową ilustrację dla tych pogwałceń praw i norm międzynarodowych, które stanowią główną treść jego zarzutów przeciw Hitlerowi.

Nienawiść spiskowców do Hitlera, do jego régime'u, do SS, można uważać za absolutnie dowiedzioną. I właśnie pech, o którym wspominamy powyżej, fatalny pech dla wersji sowieckiej, chciał, że panowie ci obrali sobie za teren działania właśnie Smoleńsk, że rozłożyli się kwaterą Grupy „Środek” w lasach na zachód od Smoleńska, w pobliżu Katynia, że nie mogli nie wiedzieć dokładnie wszystkiego, co się tam wokół dzieje, i że – tej wersji sowieckiej nie mogą potwierdzić...

Oto dlaczego szczegółowe rozpracowanie tła i zaplecza terenowego jest dla Sowietów co najmniej kłopotliwe w całej aferze tego zamachu, którego dalszy przebieg był następujący. (d.n.)

(„Lwów i Wilno” 1948, nr 78; z 4 lipca)

13 MARCA 1943 ROKU

II.

W poprzednim artykule wymieniłem kilka głównych nazwisk osób biorących udział w próbie przewrotu antyhitlerowskiego. Początkowo rozważany był problem, czy można dokonać go bez mordowania Hitlera, czy też sprzątnięcia go jest konieczne? Większość zawyrokowała, iż bez usunięcia Hitlera mowy o żadnym przewrocie być nie może. Każde jego uwięzienie czy aresztowanie, pociągnie za sobą tylko jego odbicie. Hitler musi zginąć.

Jak i gdzie? Minęły lata, zanim wytworzyła się sytuacja, którą uważano za dostatecznie dojrzałą do zamachu. Było to w roku 1942. Plan został z grubsza aprobowany: ściągnąć Hitlera do Kwatery Operacyjnej Grupy Środkowej w Smoleńsku, opanowanej przez sprysiężonych i tam go zabić. Dowódcą „Heeresgruppe Mitte” był generał feldmarszałek von Kluge, a inspiratorem zamachu pierwszy oficer jego sztabu, generał von Tresckow.

W końcu roku 1942 generał Olbricht i Oster prosili Tresckowa, aby dał im jeszcze kilka tygodni czasu dla dokonania ostatecznych przygotowań w Berlinie. Plany opanowania stolicy, Kolonii, Monachium i Wiednia nie były jeszcze dostatecznie rozpracowane i przygotowane. Niezależnie, gen. von Kluge nie był wciąż ostatecznie przekonany. W szczególności zaś wzdragał się na samą myśl, że Hitler ma być zabity właśnie w jego Kwaterze. Zdaje się, że Tresckow miał z nim dużo kłopotu.

ŚCIAĞNAĆ HITLERA DO SMOLEŃSKA

Główną jednak troską były zabiegi wokół ściągnięcia Hitlera do Smoleńska. Nastal rok 1943. W tym czasie szefem adiutantury osobistej Hitlera był niezmiernie przezeń ceniony gen. Schmudt, duszą i ciałem mu zresztą oddany. (Zginął podczas zamachu 20 lipca 1944.) Tresckow znał go dobrze. Drogą osobistego kontaktu usiłował go przekonać, aby namówił Hitlera do odwiedzenia Smoleńska. Oczywiście argumentów i pretekstów w tym okresie znaleźć było można pod dostatkiem. Schmudt nie był człowiekiem podejrzliwym i dał się przekonać.

Hitler zapowiedział swoją wizytę w Smoleńsku, ale zaraz potem ją znowu odwołał. „Leżało w jego zwyczaju” – pisze Schlabnerdorff – zapowiadać i odwoływać”. W ten też sposób było i z wizytą na środkowy odcinek frontu. Kilkakrotnie przychodziła depecha i kilkakrotnie była odwołana. Wytworzyło to stan nerwowy w kwaterze Klugego, doprowadzony do najwyższego napięcia.

Tresckow postanowił, że sztab zostanie otoczony pułkiem kawalerii barona von Boeselagera i Hitler zamordowany zaraz po przybyciu, strzałami z pistoletu.

ZMIANA PLANU

Gdy już wszystko prawie było przygotowane w najdrobniejszych szczegółach, nagle... von Kluge się załamał. – Nie i nie. Przede wszystkim – powiada – nie nastąpiła jeszcze taka sytuacja na froncie, która by unaoczniała konieczność usunięcia Hitlera dla ratowania Niemiec. Trzeba zaczekać... Tresckow domyśla się, że Klugemu chodzi nie tylko o moment psychologiczny opinii, co o niechęć do zamachu w jego Kwaterze. Postanowiono zatem działać bez jego wiedzy, a postawić go przed faktem dokonanym.

Plan został zmieniony: nie strzelać do Hitlera otwarcie, a przesmuglować do jego samolotu bombę zegarową, która by rozniosła cały aparat w powietrzu. Plan wydawał się o tyle lepszy, iż uniknie się w ten sposób całej afery morderstwa, zwali się rzecz na katastrofę albo zestrzelenie przez nieprzyjaciela. Następna konieczność objęcia władzy przez armię podczas wojny byłaby już tylko konsekwencją logiczną, przeciwko której mogłaby protestować najwyżej nieznaczna klika partyjna. Sprawa zastępstwa Göringa w ogóle nie była brana poważnie w rachubę.

Więc bomba. Ale jaka? Niemieckie bomby zegarowe miały duży defekt techniczny. Polegał on głównie na tym, że nie dawało się uniknąć pewnego, acz cichego, syczenia przewodnika zapalającego, co mogło zwrócić przypadkowo uwagę. O wiele lepsze były bomby angielskie. W tym czasie Anglicy zrzucaли większe ilości materiałów wybuchowych, przeznaczonych dla akcji oporu i sabotażu. Większość tych zrzutów dostawała się w ręce niemieckie.

DWIE „FLASZKI KONIAKU”

Angielski materiał wybuchowy, o wielkości średniej książki, był w stanie zmieść i zniszczyć wszystko, co się znajdowało w obrębie jednego pokoju. Zapalniki angielskie skonstruowane były bardzo pomysłowo. Zresztą było ich trzy rodzaje. Jedne z nich działały po 10 minutach, inne po pół godziny, wreszcie takie po dwóch godzinach. Za pośrednictwem zwyczajnego naciśnięcia na szyjkę zapalnika pękała mała flaszeczka; wydobywała się z niej następnie gryząca ciecz, która przeżerała drucik utrzymujący iglicę; po pęknięciu drucika iglica uderzała w piston, a ten zapalał bombę.

Rzeczy proste natrafiają jednak czasem na nieprzewidziane przeszkody. Zdawałoby się bomb i materiałów wybuchowych jest

dużo podczas wojny, zdawałoby się, nie budzi żadnego podejrzenia fakt, że jakiś generał potrzebuje materiału wybuchowego... A po co? W jakim, ściśle, celu?... Tymczasem czas naglił. Z opresji ratuje von Tresckowa pułkownik baron von Gersdorff, drugi oficer sztabu. W tym czasie nie należał on jeszcze do sprzysiężenia, ale właśnie charakterystyczne jest dla nastrojów wśród arystokracji niemieckiej tego okresu, że Tresckow nie waha się wyjawić swego planu baronowi von Gersdorff, z chwilą gdy jedynie za jego pośrednictwem służbowym mógł uzyskać potrzebny materiał wybuchowy, a baron von Gersdorff nie waha się pięciu minut, gdy się dowiaduje, że chodzi tu o... zabicie Hitlera!

Następnie dokonywują prób. Nie zawsze wypadają one dobrze. Dlaczego? Pod jakimś pretekstem interpelowany w tej sprawie fachowiec saper wyjaśnia, że niska temperatura zimy rosyjskiej przedłuża znacznie działania gąsienicy żrącej.

W międzyczasie nadchodzi wiadomość, że Hitler wyznaczył swoje przybycie do Smoleńska nieodwołalnie na dzień 13 marca. Trzeba się było śpieszyć. Próby zakończono i materiał wybuchowy zapakowany został w kształt, mający imitować dwie flaszki koniaku. Trzeba było o tym pamiętać, iżby opakowanie nie przeszkadzało w puszczeniu w ruch mechanizmu zapalnika. Wszystko przygotowane.

HITLER LECI

Gdy czytam teraz opis Schlabnerdorffa, staje mi jak żywo przed oczami lotnisko w Smoleńsku. Wypada się nagle z chmur i widzi rudawe brzegi Dniepru, niebieską jego wstęgę, spalone miasto, biały sobór na wzgórzu. Olbrzymie lotnisko ubite z gliny, jak kort tenisowy. W suszę jest dobre, w deszcz, w półwiosnę marcową, pokryte w łacie plamy śniegu, jak skóra wielkiej krowy rozciągniętej daleko na ziemi, jest grząskie, czepia się butów i opon samochodowych. Dnia 13 marca 1943 r. obstawione było wartą wojskową, kordonem Feldpolizei, SS. Hitler przybył jak zawsze w dużej asyście. Dwum samolotom, wiozącym jego sztab przyboczny, towarzyszyły myśliwce eskortujące. Przybył naturalnie kucharz Hitlera i lekarz.

Samoloty obstawione zostały natychmiast przez przewidziane warty SS. Dostęp do nich był praktycznie niemożliwy. O przemyceniu do wewnątrz bomby mowy być nie mogło.

Bezpośrednio po przylocie odbyła się narada w sztabie, w pokoju gen. Kluge. Tu już łatwo byłoby zaaranżować zamach, ale ofiarą jego padliby również ci oficerowie, którzy należeli do sprzy-

siężenia i przewidziani na kierownicze stanowiska po udanym przewrocie. Rzecz zatem była niewykonalna.

HITLER JE

Po skończonej naradzie odbył się uroczysty obiad. – Schlabnerdorff twierdzi, że widok jedzącego Hitlera zrobił nań odrażające wrażenie. Jadł tylko rzeczy przygotowane bezpośrednio przez swego kucharza. Była to jakiegoś nieokreślonego gatunku jarzyna. Nie krępując się, podsuwał uprzednio swój talerz lekarzowi, aby ten wypróbował... Obecni udawali, że nie widzą. Hitler opiera lewą rękę o udo, sam się pochyla do stołu, prawy łokieć wspiera na blacie i je łyżką, nie unosząc ręki. W międzyczasie popija różne bezalkoholowe trunki przygotowane dlań tylko specjalnie.

Przed obiadem zapowiedziano wszystkim obecnym, aby się powstrzymali od palenia tytoniu.

Właśnie podczas tego obiadu odbyła się wymiana zdań, która miała zaważyć na losach świata: Tresckow zwrócił się do przybyłego z Hitlerem pułkownika Brandta, który należał do najbliższego jego otoczenia, z zapytaniem, czy zechce być tak grzeczny i zabrać ze sobą dla generała Stieffa... Tak jest, dla generała Stieffa z Oberkommando des Heeres, adresowaną paczkę?

– Ach, drobiazg... To są dwie flaszki koniaku. Nie zajmą dużo miejsca w samolocie.

Pułkownik Brandt zgodził się chętnie zabrać koniak i odesłać go następnie na adres gen. Stieffa.

Schlabnerdorff połączył się z Berlinem i nadał dla kapitana Gehre, najbliższego współpracownika gen. Ostera, umówiony sygnał, zapowiadając, że zamach dokonany zostanie lada chwila. Oster miał zawiadomić o tym Olbrichta, celem wydania ostatnich zarządzeń przed przewrotem.

DECYDUJĄCA CHWILA

Po obiedzie wszyscy obecni udali się na lotnisko. Bezpośrednio odprowadzali Hitlera Kluge i Tresckow. Motory dwóch samolotów transportowych i eskorty myśliwskiej były już zapuszczone.

Schlabnerdorff niósł dwie butelki koniaku. Hitler pożegnał się i skierował do swojej maszyny. Za nim siedł plk Brandt. Tresckow w tym momencie dał znak ruchem głowy, aby wręczyć mu

paczkę. Schlabnerdorff miał w ręku schowany kluczyk, którym przez specjalnie pozostawiony maleńki otworek w miejscu rzekomych korków butelki, nacisnął zapalnik. Nastawiony był na pół godziny. Opowiada, że całym wysiłkiem woli musiał powstrzymać drżenie rąk, gdy wręczał paczkę Brandtowi. – Zatrzasnęły się drzwiczki. Samoloty wzniosły się, poleciały. Los Hitlera był przypieczętowany.

Kapitan Gehre w Berlinie otrzymał ze Smoleńska umówiony sygnał, że zamach „jest w toku”.

UPŁYWAJĄ MINUTY

Nie trudno sobie wyobrazić napięcie, jakie zapanowało wśród wtajemniczonych w Kwaterze Smoleńskiej. Nie należał do nich wszakże Kluge. Miał się dowiedzieć post factum. – Upływały minuty...

Wiadomym było, że samolot Hitlera zaopatrzone jest w specjalne udoskonalenia. Kabina Führera była opancerzona i posiadała automatyczny spadochron. Wszystko to jednak wzięte było pod uwagę i w kalkulowane. Siła bomby była tak duża, iż powinna rozrwać samolot w strzępy. W najgorszym wypadku musiała spowodować tak wielką wyrwę, iżby runął jak kamień na ziemię.

Upływały minuty...

Pierwszej wiadomości oczekiwano nadanej drogą radiową od któregośkolwiek z myśliwców eskortujących. Wybuch winien był nastąpić jeszcze przed Mińskiem.

Upływały minuty... nic nie nadchodziło. Kwadrans. Pół godziny. Godzina. Nic. Po dwóch godzinach nadeszła wiadomość, że samolot Führera wylądował szczęśliwie na lotnisku w Rastenburg w Prusach Wschodnich!

PRAWDZIWY KONIAK RATUJE SPISKOWCÓW

Kompletne fiasko, którego przyczyny na razie nie są znane. Przede wszystkim ze Smoleńska do Berlina idzie kolejny szyfr do kpt. Gehre. Następnie zaś pytanie: co robić? Jeżeli plk Brandt odda paczkę, jak był proszony, gen. Stieffowi, nastąpi inna katastrofa, ale nie ta jaką oczekiwano między Smoleńskiem a Mińskiem, tylko – wykrzyk planowanego zamachu, ponieważ gen. Stieff nie należał do wtajemniczonych! Tresckow łączy się więc natychmiast z Kwaterą Główną Hitlera, prosi Brandta i zapytuje, czy odesłał już butelki z koniakiem?

– Nie.

– Ach, to szczęśliwie! Bo zaszło nieporozumienie i wręcz one zostały nie te butelki. Schlabnerdorff leci właśnie kurierskim samolotem do waszej kwatery służbowo i przy okazji zabierze ze sobą właściwy koniak. Proszę mu natomiast oddać tamten.

– Ależ, doskonale.

Pakuje się więc autentyczne dwie flaszki koniaku, który zabiera Schlabnerdorff i leci tego samego dnia do Prus, pod jakimś pretekstem wojskowej natury. Brandt z uśmiechem, potrząsając straszliwą bombą w powietrzu oddaje mu ją do rąk. Schlabnerdorff błędnie przy tym z lekka. Oddaje prawdziwy koniak, opuszcza natychmiast Kwaterę Hitlera i łapie pociąg na stacji Korschen, gdzie ma zamówiony przedział do Berlina. Z wielką ostrożnością rozpakowuje bombę, rozładowuje zapalnik. Wszystko była w porządku: iglica uderzyła w kapsel. Materiał wybuchowy po prostu dla czegoś się nie zapalił.

Może by jakiś ekspert angielski, gdyby mu dano do ekspertyzy wyrabiane w Anglii bomby wykrył drobny zapewne błąd, jakąś maleńką techniczną usterkę, która spowodowała, że – bieg dziejów wojny nie poszedł innym torem...

Ciekawe jest zestawienie listy osób rozstrzelanych, głównie zaś powieszonych po nieudanym, drugim zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 r. Otóż 50% nazwisk posiada dodatek „von”, względnie „zu”, w tej liczbie 18 hrabiów, 9 baronów (Freiherren), 16 generałów, a których tylko nieduży odsetek zdążył przed aresztowaniem popełnić samobójstwo.

(„Lwów i Wilno” 1948, nr 79; z 11 lipca)

ECHA KATYNIA

Do redaktora "Wiadomości"

W.A. Zbyszewski w artykule pt. *Zamachy na Hitlera* ("Wiadomości" nr 128) wspominając o ukutym przez wojskowe sfery niemieckie zamachu na Hitlera w marcu 1943, wtrącił uwagę:

Józef Mackiewicz trafnie podkreślił w "Lwowie i Wilnie", że data tego spisku, właśnie w Smoleńsku, zupełnie obala bolszewicką tezę, że akurat w tym czasie Niemcy mieli wymordować polskich oficerów w pobliskim Katyniu.

Zaszło tu nieporozumienie, które chciałbym sprostować: nie mogłem podkreślać, że „akurat w tym czasie Niemcy mieli wymordować polskich oficerów”, gdyż według wersji sowieckiej mordstwa mieli dokonać na jesieni 1941, a nie w marcu 1943. Natomiast komunikat sowiecki głosi, że właśnie w marcu 1943 mieli zacierać ślady zbrodni i dokonać niebывałego w dziejach fałszerstwa, na skalę, która wymagała użycia olbrzymiego aparatu wojskowego pod Smoleńskiem. Otóż dziś wiemy, że aparat ten pochłonięty był akurat wtedy... planem przewrotu i zamachu na Hitlera! W wymienionym zatem przez p. Zbyszewskiego artykule, w „Lwowie i Wilnie”, podkreślałem, że data tego spisku jest jeszcze jednym dowodem, obalającym tezę sowiecką o rzekomym sfalszowaniu Katynia przez Niemców.

Skoro już mowa o Katyniu, chciałbym przy okazji zamieścić drobne wyjaśnienie w związku z artykułem prof. Stanisława Strońskiego (nr 125/126 „Wiadomości”), omawiającym opracowaną przeze mnie książkę.²³ Wszystkie uwagi prof. Strońskiego uważam za słuszne, prócz jednej na temat brzmienia nazwy miejsca straceń: „Kosogory”, czy jak sugeruje raczej „Kozogory”. Otóż: „Kozogory” w żadnym wypadku. Natomiast pytanie: „Kosogory” czy „Kozie Góry” nie zostało rozstrzygnięte. W moim przekonaniu i tak, i tak. Od miejscowej ludności słyszałem, jak mówiła o wzgórzach, gdzie bolszewicy wymordowali naszych oficerów, raz: „Kosogory”, tzn. po polsku: „Skośne Góry”, raz znowuż: „Kozji Gory”, czyli „Kozie Góry”. Również w indywidualnych relacjach

²³ Artykuł S. Strońskiego dotyczył *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*, która ukazała się z początkiem roku 1948. Mackiewicz w sposób „naturalny” określa tę książkę, jako „przez siebie opracowaną”, co akceptują „Wiadomości” i Grydzewski i co nie spokoło się z żadną polemiką ze strony wydawcy książki, wydawnictwa „Gryf”, oraz redagującego w ostatnim okresie książkę Z. Stahla. Jeszcze jedno potwierdzenie autorstwa Mackiewicza. (przyp. wyd.)

powtarza się to jedna, to druga nazwa. Stąd uważam, że obydwie powinny być zachowane, mimo ich tak różnych znaczeń, i cytowane obok, w nawiasie. Jeżeli chodzi o Niemców, częściej używali drugiej nazwy, pisząc ją fonetycznie: „Kosi Gory”. Tak np. w raporcie końcowym z 10 czerwca 1943, podpisanym przez sekretarza policji polowej Voßa, na str. 33 niemieckiego zbioru dokumentów, czytamy: „...Kosi Gory, d[as]. h[eißt]. Ziegenberg”.

W sowieckim komunikacie urzędowym, drukowanym w Moskwie po polsku, znajdujemy „Kozie Góry”.

(„Wiadomości”, Londyn 1948, nr 40)

KATYŃ W „DAILY TELEGRAPH”

Niespodziewanie na łamach „Daily Telegraph” rozpętała się dyskusja o Katyniu.

Mr Pritt, komunista czy komunizujący (nie wiem, co jest gorsze?) oświadczył, że mord katyński dokonany został przez Niemców, do czego przecież przyznaje się sam Goebbels w swych pamiętnikach! Nie ulega wątpliwości, że p. Pritt słyszał dzwon sowiecki, w który uderzono w Moskwie po ogłoszeniu przez Lochnera prywatnego dziennika Goebbelsa, ale zapomniał, jaki był jego dźwięk, innymi słowy, o który mianowicie z ustępów dziennika chodziło propagandzie sowieckiej i najniefortunniej wyjechał ze sprawą amunicji znalezionej w grobach, czyli z rzeczą, którą nawet oficjalny komunikat sowiecki wołał swojego czasu pominąć milczeniem.

Bolszewicy istotnie niedawno uczepili się oburącz ustępu dziennika, zanotowanego pod datą 29 września 1943 r., czyli bynajmniej nie tego, z którym wyjechał p. Pritt. Liczyli przy tym swoim zwyczajem, że ich krzykliwa propaganda dotrze do stu na jednego, który by pamiętniki Goebbelsa przeczytał naprawdę. Należy im przyznać, że jak zawsze zresztą w sprawach propagandy, okazali się mistrzami i w znacznym stopniu cel zamierzony osiągnęli. Do tego stopnia, że nawet wśród najlepiej poinformowanych sfer polskich słyszałem głosy, że Goebbels podobno przyznał się itd. „W każdym razie bolszewicy mieli rację: tych, którzy czytali Goebbelsa okazała się nieskończona mniejszość w zestawieniu z tymi, którzy coś zasłyszeli, „że podobno tam coś takiego napisał”...

Jakkolwiek zatem dziennik Goebbelsa dotyczący Katynia jest tylko marginesem ubocznym, w zestawieniu z konkretnym materiałem znajdującym się w rękach polskich, to jednak ze względu na echo, komentarze i pogłoski, jakie wywołał i wywołuje w dalszym ciągu – byłoby rzeczą pożyteczną, aby raz wreszcie i ten margines rozpracować i zapoznać z nim czytelnika polskiego.

W oryginale niemieckim, wydanym przez Atlantis Verlag w Szwajcarii, pierwszą wzmiankę o Katyniu znajdujemy na str. 289, zanotowaną pod datą 9 kwietnia 1943 r. Brzmi ona, jak następuje:

W bliskości Smoleńska zostały odnalezione polskie groby masowe. Bolszewicy trzasnęli tu po prostu 10.000 jeńców polskich, w tej liczbie więźniów cywilnych, biskupów, inteligentów, artystów itd. i zaryli w grobach masowych. Na tych grobach założyli plantacje, ażeby ukryć ślady swego przestępczego czynu. Dzięki wskazówkom mieszkańców doszło się tajemnicy tych rozstrzeliwań i oto ukazuje się nam straszliwe spustoszenie ludzkiej duszy. Spowoduje, a-

by polskie groby masowe zostały odwiedzone przez znajdujących się w Berlinie dziennikarzy zagranicznych. Polecę również skierowanie tam intelektualistów polskich. Niech się przekonają wreszcie naocznie, co ich oczekuje, gdy[by] wielokrotnie przez nich żywione intencje pobicia Niemców przez bolszewików, spełnić się miały.

Pierwsza ta notatka pisana jest niewątpliwie pod wrażeniem, impulsywnie, z przesadą. Jak wiadomo, w Katyniu nie znaleziono 10 tysięcy, a tylko ponad 4 tysiące trupów; nie było tam też żadnych biskupów.

14 kwietnia 1943... Znalezienie 12 tysięcy oficerów polskich wymordowanych przez GPU zostanie włączone do antybolszewickiej propagandy w wielkim stylu. Skierowałem tam dziennikarzy itd.... Teraz udzielił również Führer zezwolenia na danie prasie niemieckiej dramatycznego meldunku. Udzieliłem wskazówek, aby materiał propagandowy wyzyskany był w największym rozmiarze. Będziemy mogli żyć z tego kilka tygodni.

Ta druga notatka, w połączeniu z pierwszą, potwierdza wszystko, cośmy dotychczas wiedzieli o działaniach niemieckich w stosunku do Katynia: radość z powodu nadarzającej się świetnej okazji propagandowej; wyzyskanie tej propagandy na wielką skalę. Zupelne zaskoczenie i nieznanomość stanu faktycznego wobec dopiero rozpoczętych ekshumacji. Goebbels zamiast przezornie wycofać się z poprzedniej liczby „10 tysięcy”, winduje ją do „12 tysięcy”.

16 kwietnia 1943... Wieczorem Röhlenberg pokazuje mi zdjęcia z grobów masowych w Katyniu, przeznaczonych na ekrany zagraniczne... Trudno sobie wyobrazić, co by Niemcy, co by Europę oczekiwało, gdyby ta azjatycko-żydowska nawała miała zalać naszą część świata. Wszystkie siły, aż do ostatniego tchu, winny być zmobilizowane celem przeszkodzenia podobnemu nieszczęściu.

Zważmy, iż w ten sposób pisał Goebbels w swym dzienniczku prywatnym, bynajmniej nie przeznaczonym do publikacji, jak to jednoznacznie i niewątpliwie wynika z tych licznych zakulisowych i drastycznych tematów hitlerowskiego życia wewnętrznego, w jakich się grzebie. Nie może być zatem mowy o tym, iżby sam nie wierzył, że zbrodni katyńskiej dokonali bolszewicy... Jak też dalej:

17 kwietnia 1943... Cała sprawa Katynia staje się olbrzymim politycznym problemem... Musimy ją rozegrać według wszelkich prawideł sztuki. Ponieważ te 10 do 12 tysięcy oficerów²⁴ polskich raz już straciło swe życie, zresztą niezupełnie bez własnej winy, gdyż byli właściwymi naganiancami do wojny, niechże przynajmniej do tego posłużą, aby narodom Europy otworzyć oczy na bolszewizm.

W dalszym ciągu pod wymienioną datą omawia wiadomość o zwróceniu się Rządu Polskiego do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, oraz niemiecką inicjatywę w tym kierunku.

18 kwiecień 1943... Wieczorem przedstawiono mi fotosy z Katynia. Są tak straszne, iż tylko częściowo nadają się do publikacji. Dokumentaryczne podłoże, które tu w fotograficznych odbitkach zostaje przedłożone, jest drastycznym dowodem mordy bolszewickiego, który obecnie nie może już być negowany.

Dalej następuje utyskiwanie na prasę szwedzką, która „nogami i rękami” broni się przed zamieszczaniem sprawozdań korespondentów berlińskich. – „Widać z tego – dodaje Goebbels – jak mało neutralną jest Szwecja”. – w końcu tegoż dnia notuje jeszcze ciekawą uwagę na marginesie niejako sprawy katyńskiej:

Tu i ówdzie daje się słyszeć w pewnych sferach narodu niemieckiego, zwłaszcza wśród intelektualistów, że bolszewizm wcale nie jest tak złym, jak go Naziści przedstawiają. Pochodzi to stąd, żeśmy dotychczas bolszewickie „Greueln” z uwagi na członków rodzin tych, którzy zaginęli na froncie wschodnim, niezupełnie tak przedstawiali, jakimi one są. Wypadek katyński pozwoli nam powetować stracone.

Z grubsza zatem powtarza się ciągle ta sama nić przewodnia: bezwzględne przekonanie w winę sowiecką, oraz możliwe wszechstronne wyzyskiwanie, zdyskontowanie jej na forum politycznym, a przede wszystkim propagandowym.

W następnym artykule postaram się omówić te ustępy, które niektórym wydają się „wątpliwe”, a wyzyskane zostały przez akcję sowiecką.

(„Lwów i Wilno”, Londyn 1949, nr 101; z 16 stycznia)

²⁴ W tekście, chyba pomyłkowo: „ofiar”. (przyp. wyd.)

DALSZA Dyskusja o KATYNIU

Już w poprzednim artykule (patrz „Lwów i Wilno” z dn. 15 bm.) stwierdziłem, że wszystkie zawarte w pamiętniku Goebbelsa wzmianki dotyczące Katynia nie stanowią same przez się żadnej rewelacji, a raczej tylko potwierdzenie tego wszystkiego, cośmy o działaniu i wyzyskaniu mordu katyńskiego przez stronę niemiecką wiedzieli. W ten sposób rzecz całą można by śmiało pominąć milczeniem, gdyby do ponownego jej omówienia nie sprowokował nas chwyt propagandy sowieckiej i wytoczony przez Pritta argument w dyskusji toczącej się aktualnie na łamach „Daily Telegraph”. Dlatego rozpracowanie, po raz pierwszy zresztą, tej części pamiętników Goebbelsa i konfrontacja ich z materiałem przez nas posiadanym wydaje się rzeczą pożyteczną.

W rozpoczętym w poprzednim numerze omówieniu zwróciłem uwagę na wyraźnie wynikający z notatek Goebbelsa charakterystyczny moment zaskoczenia, jakim było dla Niemców odkrycie zbrodni katyńskiej, tudzież gorączkowe z ich strony starania, aby sprawie nadać możliwie największy rozgłos i możliwie skutecznie wyzyskać dla własnych celów. Rzecz oczywiście zrozumiała. Zatrzymałem się na dacie, pod którą Goebbels po raz pierwszy wspominał o inicjatywie zbadania sprawy przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. W dalszym ciągu, pod datą 19 kwietnia 1943, pisał:

Międzynarodowy Czerwony Krzyż nie dał jeszcze odpowiedzi decydującej. Zmyślnie wyzyskuje on jako wymówkę fakt, że w Genewie nie pracuje się w soboty i niedziele. Ci neutralni mają dobre. Siedzą sobie daleko od strzału i jeszcze są zapraszani do roli sędziów rozjemczych pomiędzy mocarstwami.

20 kwiecień 1943. Po prostu zabawnie działają te oświadczenia Czerwonego Krzyża w Genewie. Czerwony Krzyż odbywa nieustanne posiedzenia. Można sobie wyobrazić, jak oni sobie tam głowy rozwalają dyskusją, czy jechać do Katynia, czy nie.

23 kwiecień 1943. Sprawa Katynia rozwija się dalej. Czerwony Krzyż wciąż się zastanawia. Widzi się po prostu tych kantonalnych dyplomatów, jak siedzą w pocie czoła (im Schwitzkasten sitzen).

Zc swej strony można by powiedzieć, że widzimy po prostu Goebbelsa, jak się pieni sarkazmem i wścieka na Czerwony Krzyż. Rzecz bowiem w tym, że bezpośrednio po inicjatywie polskiej, aby zbadanie Katynia powierzyć instytucji genewskiej, z identyczną i-

nicjatywą wystąpiły Niemcy.²⁵ Nie ulega wątpliwości, że nigdy by tego nie uczyniły, gdyby mord katyński dokonany został przez nich samych. Gdyby bowiem miało być prawdą przedstawienie Komisji Sowieckiej, że Niemcy w marcu tegoż roku 1943 zrewidowali wszystkie trupy, wsadzili im w kieszenie fałszywe dokumenty i ponownie zasypali – czyż mogliby już w kwietniu ponownie zapraszać na zbadanie podobnej ordynarnej mistyfikacji komisję śledczą takiej instytucji jak Międzynarodowy Czerwony Krzyż w Genewie!... Nie czyniąc przy tym żadnych zastrzeżeń z góry, a przeciwnie, zabiegając o możliwy udział przedstawicieli państw neutralnych! Czy podobna było przypuścić, aby Czerwony Krzyż powołał ludzi, którzy by się na całej maskaradzie nie poznali? Poddali się jakiejś presji niemieckiej i powiedzieli to tylko, co im strona niemiecka podyktuje? Zresztą jakimi środkami presji mogli Niemcy rozporządzać w stosunku do Komisji Czerwonego Krzyża, ażeby zmusić ją do świadczenia w ewentualnym kłamstwie? Chyba po uzyskaniu podpisu pod sfałszowaną ekspertyzą wymordować całą Komisję do nogi, albo nie wypuścić z zasięgu niemieckich władz państwowych... W przeciwnym bowiem wypadku członkowie Komisji rozjechawszy się do państw neutralnych, rozgłosiliby światu nie tylko całą prawdę, jaką zastali w Katyniu, ale i sposoby presji wywieranej na nich przy podpisywaniu orzeczenia. W ten sposób Niemcy uzyskałyby w każdym wypadku efekt odwrotny od zamierzonego, czyli rozpętana przez siebie aferę katyńską zwrócili przeciwko sobie samym.

Ich zabiegi tedy wokół Komisji Genewskiej w śledztwie są jeszcze jednym z liczby oczywistych dowodów, że to nie oni dokonali mordu katyńskiego. Dr Goebbels, cokolwiek by się powiedziało o jego osobie, należy przyznać, nie był naiwnym durkiem. Poza tym wyznawał się doskonale w swoim zawodzie propagandzisty. Rozumiał, jak wielki cios moralny zadany zostanie bolszewikom z chwilą, gdy szereg autorytetów neutralnych będzie musiało sumiennie przyznać, że straszliwego mordu dokonano na rozkaz z Moskwy. Stąd uchwycił się oburącz inicjatywy zaproszenia Czerwonego Krzyża, stąd też jego rozgoryczenie, że instytucja genewska uchylila się od udziału w śledztwie. – Pod datą 23 kwietnia 1943, pisze:

Czerwony Krzyż powziął oto w końcu decyzję. Przesyła nam telegram, w którym zawiadamia, iż gotów jest posłać rzeczoznawców, ale tylko pod warunkiem, że wszystkie zainteresowane strony, a więc w tej liczbie i Sowiety, go o to poproszą. To mi na to wygląda, jakby (na przykład) ktoś oskarżony o morderstwo miał stanąć

²⁵ Niemiecki Czerwony Krzyż wystosował depezę w sprawie Katynia do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie już 16 kwietnia, dzień przed złożeniem tam noty polskiej przez S. Radziwiłła. (przyp. wyd.)

przed sądem nie tylko w charakterze oskarżonego, ale jednocześnie rzeczoznawcy zaproszonego do współudziału w wydawaniu wyroku.

W tym miejscu wypada zanotować, iż ironia dr Goebbelsa przewidywała możliwość raczej optymistyczną... Rzeczywistość wypadła bowiem nieco pesymistyczniej w Norymberdze, gdy morderca zaproszony został nie tylko w charakterze rzeczoznawcy, ale i prokuratora, i – sędziego!

Jak bardzo Niemcy pragnęli udziału Czerwonego Krzyża w zbadaniu sprawy katyńskiej i jak wielki spotkał ich zawód po jego odmowie, dowodzi to, że w Berlinie musiano się nawet zastanawiać nad możliwością zerwania z instytucją genewską, skoro Goebbels pisze w dalszym ciągu pod tą samą datą:

Mimo wszystko nie uważam za słuszne atakować Czerwonego Krzyża. Jesteśmy przede wszystkim w sprawie jeńców wojennych tak bardzo od Czerwonego Krzyża uzależnieni, iż nie wydaje się rzeczą rozsądną doprowadzenie rzeczy do lekkomyślnego krachu...

Nie znajdujemy też nic specjalnie nowego w następnych notatkach Goebbelsa, w których omawiając przebieg kryzysu polsko-sowieckiego, wynikłego na tle tragedii katyńskiej, lwia część „zasługi” w wywołaniu tego kryzysu przypisuje sobie i swojej propagandzie. W wielu miejscach jego pamiętników spotkamy się z podobną autoreklamą, gdy np. przypisuje przesadne znaczenie swoim polityczno-propagandowym artykułom w „Das Reich”. Oczywiście, że sprawa Katynia to nie jakiś tam polityczny artykuł i Goebbels ma wszelkie dane, aby zacierać ręce. Pod datą 27 kwietnia (1943) pisze, iż zerwanie polsko-sowieckie odkłada na razie na jeden dzień, by odczekać dalszego przebiegu wypadków. Zaś pod datą dnia następnego, 28 kwietnia, przechwala się:

Najważniejszym tematem międzynarodowych debat jest naturalnie zerwanie pomiędzy polskim rządem emigracyjnym a sowieckim. Zgodna jest opinia wszystkich wrogich rozgłośni i gazet, że zerwanie to jest totalnym sukcesem propagandy niemieckiej. Podziwia się wyjątkową przebiegłość i zręczność, z jaką potrafiliśmy sprawie Katynia nadać charakter wielkiego problemu politycznego itd....

W międzyczasie pogłębiła się na marginesie sprawy Katynia, o czym już wspomniałem w pierwszym artykule, rozbieżność pomiędzy ministerstwem propagandy a Wehrmachtem na temat przedstawiania i komentowania okrucieństw sowieckich w ogóle, a fotosów propagandowych katyńskich w szczególności. Wehrmacht reprezentuje pogląd, aby w ilustrowaniu tych okrucieństw nie przesadzać, ze względu na nastroje w kraju i morale licznych rodzin, których członkowie dostali się do niewoli sowieckiej. Natomiast dr Goebbels pisze (tego samego 28 kwietnia):

Wojskowym w Głównej Kwaterze Führera udało się istotnie wycofanie zdjęć katyńskich z tygodniowego dodatku filmowego. Führer nie ma niestety czasu, aby je osobiście przejrzeć i chce ewentualnie zezwolić na ich wyświetlanie dopiero w tygodniu przyszłym. Wtedy będą te zdjęcia na tyle przestarzałe, iż utracą swą wartość aktualną. Wojskowi (Die Militärs) powołują się głównie na nastrojów wśród krewnych naszych zaginionych. Mamy tu dokonać wyboru pomiędzy względami na tych rodaków, a interesem całego narodu niemieckiego. Szacuję ten ostatni wyżej i dlatego jestem za tym, aby bolszewizm przedstawiać takim, jakim on jest.

Dnia 29 kwietnia Goebbels jeszcze raz daje wyraz swemu zadowoleniu z powodu rozłamu w obozie alianckim. – „Polacy – pi-sze – zostali przez Anglików i Amerykanów wyklęci z ambony (abgekanzelt), jakby należeli do obozu wrogiego. Kryzys jest większy niż pomiędzy Darlanem i de Gaullem...”

30 kwietnia (piątek). Ze wszystkich stron naraz podejrzewa się naszą propagandę, żeśmy dlatego sprawę Katynia rozdęli, aby dojść do separatystycznego pokoju bądź z Anglikami, bądź z Sowie-tami. To nie leżało naturalnie w naszych zamiarach, jakkolwiek możliwość podobna byłaby przyjemną.

Następuje kilka dni, w ciągu których Goebbels nic odnoszącego się do Katynia nie notował. Dopiero 8 maja (1943) pisze, co następuje:

Niestety w grobach Katynia znaleziono amunicję niemiecką.
²⁶ Albo chodzi tu o amunicję, którąśmy w okresie naszego dobrotliwego porozumienia z Sowie-tami im sprzedawali, albo też Sowiety same ją tam wrzuciły. W każdym wypadku koniecznym jest na razie utrzymanie tej sprawy w tajemnicy; gdyby doszła do wiadomości naszych wrogów, groziłaby jej zawaleniem.

Oto jak brzmi notatka, na którą powołał się Pritt w swym liście do „Daily Telegraph”, dowodząc, że sam Goebbels „wyznał” itd. Oczywiście powoływanie się w danym wypadku na opinię Goebbelsa jest co najmniej ryzykowne. Mówi on bowiem wyraźnie, wypowiada swoje przekonanie bez ogródek, przekonanie, które reprezentuje od początku, że mordu dokonali bolszewicy, amunicję niemiecką albo wrzucali sami, albo użyli tą, którą dostali swojego czasu na podstawie umów handlowych. O żadnym więc „przyznaniu się” z jego strony mowy być nie może. Bolszewicy zagrabili poza tym moc amunicji w Polsce i państwach bałtyckich po roku 1939, której znaczna część, zwłaszcza amunicja pistoletowa, również była pochodzenia niemieckiego. W gruncie więc rzeczy sam fakt użycia w morderstwie katyńskim tej lub innej amunicji o niczym jeszcze nie świadczy. Ale Goebbels miał rację: sprawa z punktu efektywno-

²⁶ Opuszczono ułomne zdanie cytatu, nie tłumaczące się w kontekście: „Musi się naszą propagandę, żeśmy dlatego dostała.” (przyp. wyd.)

ści propagandowej doznałaby poważnego uszczerbku, gdyby świat się dowiedział, że jeńcy polscy zamordowani byli amunicją niemiecką... Warunkiem pierwszym śledztwa w każdym morderstwie popolitym jest zbadanie pochodzenia narzędzia mordu i przyznanie się do własności tego narzędzia, bez posiadania równocześnie solidnego alibi, jest co najmniej – rzeczą nieprzyjemną... Ale w tej chwili nie chodzi o tłumaczenie Goebbelsa, ile o skonfrontowanie jeszcze raz, że notatka Goebbelsa w zupełności potwierdza to, cośmy dotychczas wiedzieli o tej ważnej sprawie. A ważnej dlatego, że ilustruje nam bardzo wyraźnie do jakiego stopnia Niemcy byli zaskoczeni, skonfundowani, zdezorientowani niespodziewanym odkryciem własnej amunicji w grobach katyńskich. Sprawę amunicji opracowałem swojego czasu szczegółowo i raz już na ten temat pisałem w „Lwowie i Wilnie” z własnych wspomnień i wrażeń, doznanych na miejscu w Katyniu. Nie będę więc tej sprawy powtarzał, dorzucę jedynie, iż podobnie jak Goebbelsa trudno jest traktować jako naiwnego durnia, tak samo trudno jest podejrzewać całej hitlerowskiej maszyny o brak fachowości w dziedzinie morderczej. Gdyby więc Niemcy dokonali masakry katyńskiej, to nie ulega wątpliwości, iż albo użyliby amunicji sowieckiej, której mieli pod dostatkiem, po wzięciu do niewoli szeregu armii czerwonych, albo posiadali z góry przygotowaną odpowiedź, a nie znaleźliby się w sytuacji zaskoczonego, jak to miało miejsce. Wiemy, że ostateczne wyjaśnienie sprawy nastąpiło dopiero 31 maja 1943 r. po zbadaniu, ze zwykłą skrupulatnością niemiecką, sprawy dostaw amunicji fabryki „Genschow Co” w Karlsruhe do Sowietów w latach dwudziestych bieżącego stulecia. Aż do tego wyjaśnienia sprawa amunicji trzymana była w tajemnicy. Całość sprawy przedstawiała się w końcu tak przekonywająco, że jak to wspominałem już, bolszewicy woleli w swoich oficjalnych enuncjacjach pominąć ją kompletnym milczeniem. – Tyle o wzmiance dotyczącej amunicji.

Z następnej notatki Goebbelsa pod datą 10 maja, zdaje się wynikać, że odniósł on zupełne zwycięstwo nad panami z Wehrmachtu w sprawie sposobu prowadzenia propagandy antybolszewickiej:

Sprawa Katynia szczególnie zaimponowała Führerowi. Uznał w związku z nią, jak wielkie możliwości leżą dziś jeszcze w propagandzie antybolszewickiej. Wehrmacht nie ma w tej sprawie w ogóle nic do powiedzenia. Niech się troszczy o wojskową stronę prowadzenia wojny, a problemy psychologiczne prowadzenia narodu pozostawi wyłącznej kompetencji ministerstwa propagandy.

Jeszcze raz 20 maja 1943 r.:

Otrzymuję zeznania świadków z Katynia, przede wszystkim zaś raporty z zeznań złożonych przez rosyjskich robotników, w szczególności kolejarzy... Te sprawozdania mrożą krew... Polecam rozpracować je dla propagandy zagranicznej itd.

Nie zdaje się, ażeby z tej notatki, podobnie jak z poprzednich, można było wywnioskować, że Goebbels miał jakiegokolwiek wątpliwości co do sprawcy mordu...

Na dacie 28 maja urywa się pamiętnik Goebbelsa. Ponoć nie zostały znalezione kartki z miesięcy letnich, za wyjątkiem dni od 25 do 29 lipca. Rozpoczyna się dopiero od 8 września 1943 roku. Czy w ciągu tych miesięcy, jak również całego następnego okresu, który brakuje, pisał cokolwiek o Katyniu, oczywiście wiedzieć nie możemy, natomiast pod datą 29 września 1943 roku znajdujemy ostateczną wzmiankę, wyzyskiwaną następnie w wielkim stylu przez propagandę sowiecką. Notatka ta ma treść następującą:

Niestety musieliśmy porzucić również Katyń. Bolszewicy na pewno stwierdzą teraz wkrótce, że (to) my rozstrzelaliśmy tych 12.000 oficerów polskich. W ogóle jest to sprawa, która nam na pewno w przyszłości przyczyni nieco kłopotu (einigen zu schaffen machen wird). Sowiety bez wątpienia dołożą starań, aby możliwie dużo podobnych grobów masowych odnaleźć, celem przypisania ich nam.

Ostatni ten zwrot nie da się dokładnie przetłumaczyć, brzmi on woryginalie niemieckim:

Die Sowjets werden zweifellos ihr Bestreben darein setzen, möglichst viele solcher Massegräber ausfindig zu machen, um sie uns in die Schuhe zu schieben.

Notatka ta istotnie mówi sama za siebie i nawet gdybyśmy nie znali wszystkich poprzednich, najwyraźniej utrzymana jest w tonie ironicznym, przy tym ironia dwóch poprzednich zdań, ażeby nikt nie miał złudzeń, podkreślona i niejako wytłumaczona: że „Sowiety postarają się nam wepchnąć w trzewiki”, co jest odpowiednikiem polskiego powiedzenia, gdy złodziej woła „łapaj złodzieja”. Doszukać się w niej „wyznania” czy „przyznania” Goebbelsa do mordu katyńskiego, znaczyłoby po prostu, że się nie rozumie tego, co się czyta. Zaś w połączeniu ze wszystkimi cytowanymi powyżej wypowiedziami, wyciągnąć z całości pamiętnika Goebbelsa korzystny dla Sowietów wniosek... no, na to chyba tylko trzeba – bolszewików!

Oczywiście, iż materiały, którymi rozporządza strona polska są tak przekonywające i tak dalece kompletne, że żadne wypowiedzi Goebbelsa nie mogły je zachwiać, gdyby nawet mówił co innego. Ale jak widzimy, mówił to samo, o czym wszyscy wiemy.

(„Lwów i Wilno” nr 102, Londyn 1949; z 23 stycznia)

JEŃCÓW WYMORDOWANO W UROCZYSKU

(Do Redaktora „Wiadomości”)

Pomiędzy prof. Stanisławem Strońskim i mną wynikła polemika na temat nazwy miejsca straceń naszych jeńców w Katyniu. Prof. Stroński twierdzi, iż miejscowość nazywa się tylko Kozie Góry, a ja – że posiada jeszcze drugą nazwę: Kosogory. W liście do redakcji [„Wiadomości”] (nr 144) prof. Stroński pisze słusznie:

A trzeba, żebyśmy znali nazwę tego straszliwego miejsca, którego pamięć przetrwa wieki.

Ponieważ podzielałam w zupełności to zdanie prof. Strońskiego, pozwałam sobie jeszcze raz podjąć sprawę, która niektórym czytelnikom może wydać się bląhą. W poprzednim liście („Wiadomości” nr 131) stwierdziłam, że będąc na miejscu w Katyniu, słyszałam, iż obok nazwy najbardziej rozpowszechnionej i przyjętej następnie w komunikatach urzędowych, Kozji Gory (Kozie Góry), miejscowi mieszkańcy używają też nazwy Kosogory (czyli Skośne Góry). Prof. Stroński oświadczył w odpowiedzi, że mieszkańcy tej nazwy nie używają i że ja jej słyszeć nie mogłam, z czego wynika, iż zarzuca mi... fałszywe świadectwo. Ten niewątpliwie ciężki a krzywdzący mnie zarzut opiera na dwóch przesłankach.

Po pierwsze, jak sam pisze:

Ta podwójność nazwy, kozie lub skośne, wydaje mi się zgoła nieprawdopodobną językoznawczo...

Po drugie, przytacza zdanie prof. Wacława Lednickiego, który przed trzydziestu z górą laty zajeżdżał tam często konno i dziś sobie przypomina, że miejscowość nazywano Kozji Horbyli, przy czym dopuszcza obok tego (jakkolwiek jej nie słyszał) nazwę „Kozie Góry”, ale wyklucza „Kosogory”.

Łatwo mi w ten sposób ustalić genezę całego nieporozumienia. Wynika bowiem z tego, co napisał prof. Stroński, że nie zna on tradycji podwójnych nazw, nadawanych miejscowościom w naszym kraju, bo gdyby ją znał, nie wydałyby się mu nieprawdopodobne językowo. Nie wiem dokładnie, jak było w dawnej Koronie, ale na terenie b. Wielkiego Księstwa Litewskiego rzecz była bardzo rozpowszechniona, oczywiście nie w odniesieniu do miejscowości zamieszkałych. Nie mam pod ręką w tej chwili odpowiedniego materiału, ale sądzę, iż gdybym go miał, mógłbym ilością podwójnych, a nawet potrójnych nazw, wypełnić stronicę większą niżli niniejsze siedem szpalt „Wiadomości”. Tak np. największe jezioro na Biało-

rusi nazywało się albo Książ, albo Żyd, przy czym nawet na mapach uwidaczniano podwójną nomenklaturę, która, zgódźmy się, jest bardziej od się odległa znaczeniem niż Kozie Góry od Skośnych Gór. Przypomina sobie rzeczkę w pobliżu Narocza, którą nazywano Szyrmą, Lipą, albo Szemietówką. Ale zwyczaj nadawania podwójnych czy nawet potrójnych nazw był o wiele mniej rozpowszechniony, jeśli chodzi o rzeki i jeziora niż o tzw. uroczyska. Przypominam sobie na Polesiu Niskie Błoto vel Żórawinki, Brzeźniaki vel Kobylę... Pamięć mnie w tej chwili zawodzi, ale sądzę że niejedyn z moich rodaków mógłby podpowiedzieć dziesiątki podobnych przykładów. Oto np. Edward Skirmuntt przypomniał mi na poczekaniu nazwy z własnych posiadłości: Podlipie, jednocześnie Lipa albo Perkop; Lasy Kobylnickie albo Łamaniki; Borsuczyna albo Borówka; Biały Mech albo Sajewo itd. Obawiam się przeto, że to co napisał prof. Stroński o „nieprawdopodobieństwie językoznawczym podwójnej nazwy”, dowodzić może, że w ogóle nie wie, co to jest uroczysko (uroczyszcz - akcent na o)? A właśnie Kozie Góry vel Kosogory są typowym uroczyskiem. To znaczy teren niezamieszkały, stanowiący część, partię lasu, błót, mszarów itp. dla jakichś szczególnych cech, czy to terenowych, czy historyczno-tradycyjnych, noszących szczególną... jakby to powiedzieć, nawet nie nazwę, ale raczej przezwisko. Właściwością charakterystyczną tych przezwisk jest nie tylko ich częsta wieloimiennosc, ale również zmienność. (nie zawsze, naturalnie, niektóre są jednoimiennie i bardzo stare). Tak np. na niemieckich mapach sztabowych naszego kraju, wydanych przed r. 1914, widniały często nazwy uroczysk (i to często właśnie podwójne), przez ludność już nie używane, zarzucone lub zapomniane.

Dalej, to co prof. Stroński w dalszym ciągu swego listu przytacza ze słów prof. Lednickiego, zdaje się iść raczej w sukurs temu, co wyłożyłem wyżej. Naszych jeńców wymordowano w uroczysku. Trzydzieści czy czterdzieści lat temu, za czasów prof. Lednickiego, nazywano to uroczysko, jak sam twierdzi, Kozji Horbyli (co zresztą wcale nie znaczy „pagórki”, ale raczej „garby”). Pięć zaś lat temu, za moich czasów, pamięć o prof. Lednickim zagięła, należący doń ponoć domek²⁷, późniejszą willę NKWD, nazywano po prostu „daczą”, a pobliskie uroczysko, w odrębności od „daczy”, Kozie Góry albo Kosogory (niektóre z tych pagórków istotnie były skośne). Nie znaczy to jeszcze, żeby tak nie przeżywało wcześniej, o czym prof. Lednicki mógł nie słyszeć albo zapomnieć, nie znaczy też, że za lat nowych 30-40 smutne to miejsce nie przezwane zostanie popularnym dla uroczysk mianem: „Mogily” albo „Polskie Mogily”, albo „Krwawe Mogily”, albo coś pokrewnego

²⁷ Według relacji I. Kriwoziercewa „daczę” wybudowano już po pierwszej wojnie jako dom dla pracowników bezpieczeństwa. (przyp. wyd.)

z tamtymi strasznymi wypadkami, bo uroczyska w naszym kraju pochodzą chyba nie od słowa „uroczy”, lecz częściej od uroków, jakie rzucają na wyobraźnię ludzką.

(„Wiadomości”, Londyn 1949, nr 5)

TAJEMNICA SZWEDZKIEGO DOSSIER

Słusznie uczyniły „Wiadomości” (nr 175), zwracając uwagę w artykule „Groby wołają” na wystąpienie Juliusa Epsteina w „New York Herald Tribune” w sprawie Katynia. Jest to bowiem do dziś najgłośniejsze z tego rodzaju publicznych oświadczeń. Artykuł Epsteina ukazał się zresztą nie tylko w „New York Herald”, ale jednocześnie w szwajcarskiej „Die Wochenzeitung”, w hamburskiej „Die Zeit” i zdaje się, jeszcze kilku innych pismach świata. Zrobił ogromne wrażenie, poruszył opinię i oby jej sumienie.

Epstein jest inicjatorem komitetu amerykańskiego, który zamierza raz wreszcie położyć kres oficjalnym „wątpliwościom” na temat faktycznego sprawcy mordu katyńskiego. Urzeczywistnienie tego projektu ma doniosłe znaczenie nie tylko dla sprawy Katynia, ale w ogóle dla przywrócenia poczucia sprawiedliwości i zaufania w całym świecie, nadszarpniętego procesem norymberskim, tudzież zakłamaniem i kryzysem hasel demokratycznych. Dlatego dzieło Epsteina nazwać by można dziełem wielkim.

W artykule swym Epstein twierdzi, iż w stosunku do sprawy Katynia działa „sprzysiężenie milczenia”, które powinno być zde-maskowane. Następnie podaje znane już nam fakty, dowodzące winy sowieckiej, przytacza dodatkowe a niezmiernie cenne wypowiedzi członków międzynarodowej komisji lekarskiej, którzy raz jeszcze potwierdzają prawdę i treść podpisanego przez nich w Smoleńsku protokołu badań, następnie... Zanim przejdę do omówienia dalszych jego wywodów, pozwolę sobie stwierdzić, co następuje.

Epstein myli się twierdząc, że w sprawie Katynia działa tylko „sprzysiężenie milczenia”. Sprawa w jej dzisiejszym stadium ulega podwójnej dywersji. Przeciwno ujawnieniu prawdy działa z jednej strony sprzysiężenie kłamstwa sowieckiego, któremu istotnie odpowiada milczenie na Zachodzie, ale działa też inne sprzysiężenie, mianowicie ludzi mącących wodę, a przez to świadomie lub nieświadomie działających również na korzyść sprawców zbrodni, którym zależy na ukryciu prawdy. I oto Epstein, który powodowany najlepszą wolą podejmuje walkę z tym pierwszy sprzysiężeniem, z miejsca wpada w sidła drugiego sprzysiężenia.

„Panem X ze Sztokholmu” nazywa Epstein „prawnika polskiego”, na którego mu zwrócił uwagę prof. Naville w liście z 28 czerwca 1948. Epstein, jak twierdzi, poszedł tym śladem i oto, co nam opowiada: p. X nie posiada, jak to błędnie sądził prof. Naville, własnych notatek dotyczących Katynia, ale rozporządza całym dossier, które złożył u niego jego przyjaciel, prawnik z Krakowa, niejaki dr Roman Martini, już nie żyjący. Materiał owego Martiniego

przekazał pan X pismu szwedzkiemu „Dagens Nyheter”, które opublikowało go w rewelacyjnym artykule z 13 lutego 1948 roku. Następnie Epstein cytuje ów artykuł i nie waha się nazwać go „jednym z najważniejszych dokumentów” dotyczących mordu katyńskiego.

Rzecz miała się odbyć, jak następuje. W r. 1947 agentura sowiecka w postaci marionetkowego rządu warszawskiego wpadła na pomysł zorganizowania pokazowego procesu katyńskiego w Warszawie, który by opinię polską w kraju przekonał, że mordu dokonali Niemcy, a więc nie bolszewicy.

Od razu nasuwają się poważne wątpliwości. Przede wszystkim wydaje się wątpliwe, by agentura warszawska mogła w tak dalece dla Sowietów drażliwej sprawie wykazywać własną inicjatywę. Sądzę, że nie. Ale założmy nawet, że sam pomysł wyszedł z Warszawy. Dalszy jego przebieg nie mógł by być inny, niż przedstawienie projektu do najwyższej moskiewskiej aprobaty. Gdyby z kolei taka aprobata została udzielona, nie możemy mieć złudzeń, jak by się sprawa potoczyła dalej. Przeszłaby mianowicie w ręce bolszewickie i powtórzono by całą komedię śledztwa sowieckiego, raz już dokonanego przez komisję sowiecką w Smoleńsku. Jest bowiem nie do pomyślenia by najbliższy chociaż epizod nie zgadzał się z uprzednim, sowieckim w tej sprawie werdyktem. Dalej, kłamstwo skonstruowane na tak wielką skalę, jakim jest oficjalna sowiecka wersja katyńska, może się opierać tylko na równie wielkim aparacie, jakim rozporządza Związek Sowiecki. W istniejącym stanie faktycznym wykluczone jest, aby rząd sowiecki mógł się zgodzić na badanie sprawy przez osobę trzecią, której najmniejszy krok, ruch, notatka nie zostałaby skontrolowana przedtem tysiąc razy.

Tymczasem „Dagens Nyheter” pisze, że rząd warszawski w osobie ministra sprawiedliwości Świątkowskiego na własną rękę (!) miał powołać w początku r. 1947 dr Martiniego z Krakowa, polecając mu dokonanie śledztwa. Ów Martini oświadczyć ma z miejsca, że sprawy się podejmie jedynie pod warunkiem udzielenie mu zupełnej swobody działania i gwarancji, że będzie mógł „zachować kompletną bezstronność” (!). Po takim oświadczeniu nie tylko rząd warszawski, ale i rząd sowiecki udziela mu wszelkich pomocy i ułatwień (!). Dr Martini zwija się w ciągu kilku zaledwie miesięcy i działając na własną rękę potrafi nie tylko zdemaskować sowieckich zbrodniarzy, ale nawet przeniknąć takie tajemnice, jak nazwiska enkawudzistów, bezpośrednich wykonawców mordu!... Które też przytacza: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham... itd.

Kto choć pobieżnie obeznany jest z tym, czym jest dziś państwo sowieckie, od razu pojmie, iż sprawa zatracą o fantazję. Przypominamy sobie, jak to prawowity rząd polski w przeciągu dwóch lat, rozporządzając aparatem swych placówek na miejscu, w

Sowietach, nie mógł odszukać nawet w przybliżeniu miejsca pobytu czy śmierci 15.000 swych oficerów i żołnierzy... Józef Czapski opisał, w jaki sposób i w jakich warunkach odbywały się te żmudne i daremne poszukiwania. Któż z nas nie wie, do jakiego nieludzkiego stopnia strzeżona jest w Sowietach każda, najmniejsza nawet tajemnica! Aż tu raptem niejaki pan Roman z Krakowa miałby nie tylko dojść własnymi środkami straszliwej tajemnicy, ale przeniknąć tajne z najtajniejszych sanktuarium sowieckiego NKGB (ludowy komisariat bezpieczeństwa), dobrać się do personaliów, dowiedzieć się, kto mianowicie z imienia i nazwiska był mordercą!... Czyli rzeczy, o których założyć by można, że nie na byle jakim stanowisku siedzący enkawudzista nie tylko nie wie, ale nawet pomyśleć się boi, czy zapytać innego, a już co do rozprowadzania takich rzeczy panu Romanowi z Krakowa... Nie, nie, takie wypadki w Sowietach się nie zdarzają.

Skąd w takim razie przytoczone nazwiska? Chwileczkę cierpliwości, a wszystko wyjaśnię. Powróćmy na razie do osoby dr Martini.

Otóż człowiek ten, jak wynika ze „szwedzkiego dossier”, mający być obdarzony raczej niezwykłą inteligencją i sprytem, okazuje najniespodziewaniej bezbrzeżną wprost naiwność, gdyż idzie do agenta sowieckiego w osobie członka rządu warszawskiego i melduje mu: „Zebrałem material, ale ten material dowodzi, że zbrodni dokonali nie Niemcy, tylko bolszewicy”. Minister Świątkowski na takie *dictum* nie tylko nie każe go aresztować, ale nawet, jak czytamy w dalszym ciągu opowiadania, puszcza go z całym tym materiałem w prywatnej teczce pod pachą, samopas do Krakowa. Dopiero po pewnym czasie, w jakiś niezrozumiały sposób ma się dowiedzieć o raporcie dr Martiniego dwoje młodych komunistów i zamordować go w jego mieszkaniu przy ul. Krupniczej 10. Zanim jednak to nastąpi, naiwniak Martini zdążył przeistoczyć się jeszcze raz w dawnego spryciarza i cały material, o którym wprzód zameldował rządowi warszawskiemu, że go posiada (!) wysłał do Sztokholmu. Przyznajmy, że w podobną bajeczkę trudno uwierzyć.²⁸

²⁸ Cała sprawa dr Martiniego wyglądała trochę inaczej. Przede wszystkim nikt nie mógł powierzyć Martiniemu prowadzenia czegokolwiek w początkach 1947 r., gdyż od 30 marca 1946 Martini już nie żył. Nie ulega wątpliwości, że od wiosny 1945 r. polska komunistyczna prokuratura prowadziła przesłuchania polskich uczestników sprawy katyńskiej w r. 1943 i świadków katyńskich. Zachowały się akta tych przesłuchań, nieraz świadczące o moralnym ugięciu się przesłuchiwanych (np. ks. prałat Jasiński, poświęcający groby katyńskie w r. 1943 zeznał, że Katyń uważa za dzieło hitlerowców). Martini wysyłał także listy gończe za "kolaborantami" w tym za E. Skiwskim i świadkiem katyńskim, pisarzem F. Goetlem. Być może wszystkie te poczynania miały na celu dostarczenie polskich

A teraz przejdę do odpowiedzi na pytanie, skąd się wzięły nazwiska sprawców mordu katyńskiego.

One to właśnie doprowadzają do odsłonięcia tajemnicy „szwedzkiego dossier”. A rzecz się miała, jak następuje. W r. 1941 pancerne kliny armii niemieckiej z taką szybkością posunęły się w głąb, iż można powiedzieć, zaskoczyły sowieckie siły nieomal w negliżu. Bolszewicy uciekali na łeb i szyję, zostawiając w popłochu kancelarie, archiwa, dokumenty. Tak było w Kownie, tak było w Wilnie, tak było również w Mińsku. W rezultacie w ręce niemieckie wpadła m.in. część archiwum mińskiego NKWD (ludowy komisariat spraw wewnętrznych) i NKGB, a w tej liczbie jakieś listy personalne. Gdy w r. 1943, po odkryciu Katynia, wyszło na jaw, że bezpośrednim wykonawcą mordu było istotnie NKGB mińskie (nie będą się tu rozwodził nad szczegółami tej rewelacji, gdyż pochłonęłyby za dużo miejsca),²⁹ propaganda niemiecka wypożyczyła sobie z posiadanej listy nazwiska najbardziej brzmiące z żydowska i ogłosiła je w broszurach brukowych, rozpowszechnianych masowo na terytorium GG, jako nazwiska bezpośrednich sprawców. Ponieważ ludzie ci istotnie należeli do mińskiego NKGB, więc oczywiście mogli być, ale też mogli nie być sprawcami mordu. Dowodu na to nikt nie posiada. Osobiście wątpię, by kiedykolwiek mógł go kto posiadać. Jak dalece sami Niemcy nie brali rzeczy poważnie i brać

świadków na proces norymberski czy polski proces „pomocniczy”, ale nie badający sprawę katyńską, lecz tylko potępiający kolaborantów za współpracę z „propagandą Goebbelsa” i potwierdzający opinię Komisji sowieckiej. Tak czy inaczej, nie udało się to, także z powodu nieugiętego stanowiska niektórych oskarżonych lub przesłuchiowanych osób (dotyczy to na pewno Ferdynanda Goetla, Kazimierza Skarżyńskiego, Mariana Wodzińskiego, którzy w tej sytuacji zdecydowali się na ciężki los emigrantów). Sprawa zamordowania Martiniego, pono na tle osobistym przez parę: Stanisław Lubicz-Wróblewski (uciekł z więzienia, został znów ujęty i stracony) i Jolanta Ślapianka, przybrana córka kompozytora Maklakiewicza, ówczesnego dyrektora filharmonii krakowskiej – ma w sobie różne tajemnice, a może i jedną podstawową, której nikomu, jak dotąd, nie udało się rozwikłać. Oficjalne akta procesu morderców Martiniego są w posiadaniu Prokuratury Generalnej. Mowa w nich o różnych porachunkach osobistych, na tle erotycznych powikłań, w jednej z kopert jest nawet zawartość popielniczki Martiniego w wieczór zabójstwa. W polskich niedawnych publikacjach o tej sprawie silne jest domniemanie, że Martini został zamordowany przez NKWD, jako człowiek, który przekonał się do wersji zbrodni sowieckiej. Wreszcie, na liście zamordowanych w Katyniu jest dwu oficerów o nazwisku Martini, jeden z nich był bliskim krewnym prokuratora. (przyp. wyd.)

²⁹ Dziś jednak – w świetle zeznań świadków i dokumentów archiwalnych wydaje się, że w akcji rozstrzeliwania w Katyniu brali udział przede wszystkim funkcjonariusze ze Smoleńska. (przyp. wyd.)

jej zresztą nie mogli, świadczy fakt, że w urzędowym zbiorze dokumentów niemieckich, opracowanym, trzeba to przyznać, bardzo sumiennie, nie ma śladu tych nazwisk, wymienianych uprzednio w brukowych broszurach jedynie dla celów propagandy antysemickiej. (W niektórych wydaniach dorzucono zresztą po kilka nazwisk rosyjskich.)

Jeżeli chodzi o dowód, posiadam go tu, w Londynie, w postaci jednej z tych broszur, wydanych na terytorium GG w r. 1943. Odpowiedni ustęp brzmi, jak następuje: „Kierownikami masowych egzekucji byli członkowie mińskiego GPU. Już same nazwiska, a mianowicie: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham Borissowicz... świadczą o żydowskim charakterze... itd.” Nie żaden zatem legendarny Martini odkrył je na własną rękę w r. 1947, ale raczej p. X ze Sztokholmu przepisał jej po prostu z przypadkowo posiadanej broszurki, wydanej w r. 1943.³⁰

Idąc tym śladem łatwo już odcyfrować resztę „szwedzkiego dossier”. Dalsze bowiem rewelacje, zawarte w artykule „Dagens Nyheter”, nie są żadnymi rewelacjami, ale powtórzeniem wersji niemieckiej w jej jeszcze pierwotnym i popularno-propagandowym brzmieniu. Tak np. nie ma nawet wzmianki prostującej fałszywie obliczaną przez Niemców cyfrę zabitych. Autor dodał wprawdzie kilka szczegółów zasłyszanych widocznie przeczeń później, ale ignorancja walczy tu o lepsze z nonszalancją, czy też ze zwykłym niechlujstwem. Szczytowym punktem tego niechlujstwa jest ustęp traktujący sprawę łusek. Czytamy tam, że dr Martini pierwszy w r. 1947 dokonał odkrycia, iż łuski były pochodzenia niemieckiego i ustalił, skąd się tam wzięły. Pisze [się] dosłownie: „Niemcy nigdy nie próbowali nawet wyjaśnić tego stanu faktycznego”...

Otóż istotnie, w okresie, w którym się ukazały popularno-propagandowe broszurki niemieckie, nie było w nich słowa o łuskach. Rzecz wyjaśniła się dopiero w czerwcu 1943. Od tego czasu Niemcy nie tylko „próbowali”, ale oni sami właśnie wyjaśnili pochodzenie łusek, dosłownie na pięć lat przed ukazaniem się „rewelacji” p. X. w Sztokholmie! W *Amtliches Material zum Mas-*

³⁰ „Nowy Kurier Warszawski” 1943, nr 133 z 5-6 czerwca donosił o przechwyceniu akt ze smoleńskiego NKWD. Już wcześniej „Gazeta Lwowska” 1943, nr 91 z 17 kwietnia pod nagłówkiem „Żydzi prowadzili zbrodni” pisała, że „rozstrzeliwaniem kierowali” Lew Rybak, Chaim Finberg, Abram Borysowicz, Paweł Borodiński. Jednak „Nowy Kurier Warszawski” 1943, nr 143 z 18 czerwca, w obszernej relacji o funkcjonariuszach NKWD znanych z akt smoleńskiego NKWD, podaje szereg niewątpliwie autentycznych nazwisk, niektóre z nich dotarły do opinii polskiej dopiero czy na nowo w latach dziewięćdziesiątych, jak: Mierkułow, Kuprianow, Asarch, Elman, Soprunicenko. Potwierdza to autentyczność odnalezionych przez Niemców akt. (przyp. wyd.)

senmord von Katyn (Berlin 1943), mówi o niemieckim pochodzeniu łusek sekretarz tajnej policji polowej VoB; poświęca im całą rozprawę na trzech stronicach (73-75) prof. Buhtz; jak wiemy, wspominał o tym Goebbels. Następnie zaś sprawa łusek walcowana była w licznych polemikach i powstała wokół niej, rzecz można, cała „literatura”. Z zestawionych tu przykładów wynika, że szwedzkie dane nie pochodzą z żadnego „dossier”, ale ze starych broszur niemieckich, z dodaniem rzeczy późniejszych, o których autor wprawdzie słyszał, ale nie fatygował się nawet, aby je uszeregować czy po prostu przeczytać uważnie. (Nawet imion nie potrafił powtórzyć dosłownie, stąd znany w sprawie policjant niemiecki, Gregor Slowentchik, przybrał nagle miano Ernesta). Do tego skomponował przenajważniejszą, choć w gruncie nieszkodliwą bajeczkę o jakimś dr Martini i z tym wszystkim wystąpił przed światem jako największy rewelator.

Zdarzają się takie wypadki. Jak dotychczas rzecz nie wydawała się warta podobnie przydługiej polemiki. Swojego czasu czytałem ten artykuł, nie dostrzegając możliwości innej reakcji ponad wzruszenie ramion.

Bo dziś tworzy się w Ameryce komitet, który zamierza wyłonić sąd powołany do wydania wyroku w sprawie Katynia. Sekretarzem tego komitetu zostaje jego inicjator. Epstein, czyli od tej chwili osoba miarodajna. I oto tenże Epstein naiwną bajeczkę szwedzką bierze na poważnie, rozgłasza za „najważniejszy dokument”, a o dr Martini pisze: „Martini wydobył na światło dzienne dwa najdonioślejsze fakty: ustalił nazwiska sprawców mordu i pochodzenie łusek” (!). Przyznajmy więc, że w ten sposób treść artykułu w „Dagens Nyheter” z błahej przeistacza się w niepokojącą. Bo jeżeli na tego rodzaju „faktach” i „dokumentach” opierać się ma akt oskarżenia, to oskarżony, jeżeli zechce się bronić, z łatwością wykaże tych dowodów sprzeczność, albo co gorzej śmieszność.

Że Sowiety dokonały mordu katyńskiego jest dziś rzeczą bezsporną. Wszelkie dokumenty i dowody tej winy znajdują się w naszym posiadaniu i wymagają jedynie odpowiedniego zaaplikowania ich światowej opinii publicznej.

W jaki sposób jednak opinia ta może się ustalić, skoro wciąż ją ktoś mąci? Jeden z najpoważniejszych publicystów, człowiek o dużym i wnikliwym wyrobieniu politycznym, doskonały pisarz David Dallin, wpada w sieci innego „rewelatora”. Jak dużą sugestię wywierają mogą tego pokroju osobnicy, casus Dallin wydaje się świadczyć bardziej plastycznie niż casus Epstein.

Dallin styka się gdzieś na europejskich szlakach dipisowskich z b. funkcjonariuszem NKGB, który opowiada mu duby smalone, ale opowiada je po sowiecku, tzn. w typowym stylu, w jakim

się zazwyczaj tworzy sowieckie wersje, a więc przeplatając prawdę najbardziej fantastyczną nieprawdą. Nie będę wspominał całości, zatrzymam się jedynie na interesującym nas odcinku katyńskim. Rewelacje te, przed ich ogłoszeniem posiadałem w rękę i dokonałem ekspertyzy, przy czym sumiennie stwierdziłem, iż do wykazania ich fałszu nie trzeba być żadnym ekspertem sprawy Katynia, a wystarczy zdrowy rozsądek, znajomości początkowe, albo po prostu spojrzenie na mapę. Ale p. Dallin obdarza zaufaniem człowieka, który mu mówi, że Kozielsk „leży koło Smoleńska w odległości trzech kilometrów od Katynia” (!), że jeńcy polscy pracowali tam przy budowie szosy, mającej połączyć Kijów z Moskwą „przez Mińsk” (!), że rozstrzelani zostali dopiero latem 1941, z chwilą zbliżania się Niemców, i że on widział na własne oczy jak się to odbywało: oficerom kazano na oczekaniu wykopać doły, następnie ustawiono ich w liczbie 1.500 (!) w jednym rzędzie, z tyłu po jednym enkawudziście na dwóch jeńców i pif paf, egzekucja 1.500 ludzi z pistoletów trwała z zegarkiem 15 minut! Doły wypełnione, zasypane, bolszewicy uciekli.

Można zrozumieć, że jakiś enkawudzista, który zwiewa z Sowietów, a który coś zasłyszał z wersji sowieckiej, resztę dokooperował z fantazji, nie licząc się ani ze zdrowym rozsądkiem, ani z oczywistością geograficzną, czyni tak byle zaczepić się u kogoś, dostać trochę pieniędzy czy wizę do Ameryki. Ale żeby arcyważny p. Dallin nie pofatygował się nawet rzucić okiem na mapę i sprawdzić, że Kozielsk leży nie o trzy, ale o trzysta kilometrów od Katynia... że Kijów ma połączenie z Moskwą przez Kalugę, połączenie zaś „przez Mińsk” jest podobnym nonsensem co np. połączenie Wilna z Warszawą „przez Gdańsk”!... że rząd 1.500 ludzi musiałby rozciągnąć się na przestrzeni co najmniej kilometra, więc albo rów, do którego padali, musiał być odpowiedniej długości, albo znoszenie zwłok wymagało długich i żmudnych zabiegów... że ani jedno, ani drugie na pewno nie mogło być i nie było prawdą... że w ogóle cyfra, data i wszystko razem aż z daleka zalatują szczerą bujdą... że więc p. Dallin dał temu wiarę i wystąpił z tymi rewelacjami na cały świat, drukując je po angielsku i francusku jednocześnie w r. 1949, niech mi wybaczy, ale o to możemy mieć doń słuszny żal.

Dziwne dymy gromadzą się wciąż i osłaniają najstraszliwszą zbrodnię tej wojny. Czasem zdaje się doprawdy, że wszystkie występki ludzkie – od najcięższych: mordu, zdrady, fałszu, oszczerstwa, aż do najdrobniejszych i płytkich ambicji personalnych, plotkarstwa i próżności – podały sobie ręce nad tymi mogiłami.

Zaiste dziwne fatum. Istnieją przecież relacje o tak wielkiej wartości, jak np. dr Mariana Wodzińskiego, który wytrwał tam, w tym sosnowym lasku, jak go pamiętam jeszcze, przepojonym nie

życiowym, ale trupim odorem, aż do końca przy zwłokach naszych 4.200 oficerów, oddając im ostatnią usługę, jaką im oddać było można. O ile wiem, nie został ani wynagrodzony, ani odznaczony, ani wymieniony w żadnym z pochwalnych rozkazów. Dziś natomiast mnożą się ci, którzy po prostu „na Katyniu” chcą robić osobistą karierę, albo inni, którzy w pogoni za sensacją wprowadzają w błąd opinię i ludzi dobrej woli.³¹ Stąd wydaje mi się, że treść ostatnich enuncjacji w sprawie Katynia budzi z jednej strony radość, ale zarazem szczerą troskę, aby ze wszech miar słuszną inicjatywa nie została fatalnie zwichnięta.

(„Wiadomości”, Londyn 1949, nr 41.)

NIEMCY I KATYŃ

(Do Redaktora „Wiadomości”)

Wersja, wysunięta przez ks. Kamila Kantaka w liście [do „Wiadomości”] (nr 277) *Katyń a Niemcy*, zgadza się w głównych zarysach z bałamutną wersją Mikołajczyka, ogłoszoną przezeń już kilka lat temu. Historia tego tematu jest bardzo stara. Sięga jeszcze r. 1943, gdy w odpowiedzi na rewelacje niemieckie obowiązywała w Kraju pierwsza, niejako oficjalna reakcja, w postaci bądź podawania w wątpliwość autentyczności wersji niemieckiej, bądź też, w nieokreślonej formie, współoskarżanie Niemców o dokonanie masakry. Był to jeszcze czas, gdy koncesja na jakiegokolwiek antysowieckie wystąpienie ze strony Polaków musiała być nie tylko okupowana, ale zgoła przelicytowana wystąpieniem antyniemieckim. Wszystkie późniejsze wersje o współwinie Niemców w zbrodni katyńskiej, jak się zdaje, pochodzą z tego pierwotnego źródła. Utrzymywały się one długo w bardzo licznych wariantach.

Opracowując i pisząc w r. 1946 polski tekst *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, zetknąłem się, jeszcze w Rzymie, ze szczątkowymi śladami tych wersji. Od tego czasu dzieje mordu katyńskiego są już dostatecznie wyjaśnione. Z jego dokonaniem Niemcy nie mieli nic wspólnego. Nie zamierzam przytaczać na tym miejscu argumentów merytorycznych, których jest za dużo, by je można było zmieścić w jednym liście. Zresztą dziś rozprawić się z przedawnionymi wersjami, znaczyłoby sprawę cofać wstecz lub zgoła zaciemniać jej jasność.

Natomiast w liście ks. Kantaka zadziwia taki np. zwrot:

Ambasador Schulenberg... Miał on niezawodnie doskonałą służbę wywiadowczą. Czyżby doprawdy nie wiedział o wymordowaniu jeńców polskich? Bolszewicy nie mieli powodu taić tego przed Niemcami...

A zatem Schulenberg wiedziałby od początku, siedząc sobie spokojnie w Moskwie! A wiedząc, nie wyzyskał tej wiedzy, ani on, ani nikt z jego „doskonałej służby wywiadowczej”, ani po r. 1941, ani później, ani w Norymberdze, ani dziś! „Bolszewicy nie mieli powodu taić”... Doprawdy, ta rozbrajająca szczerłość, jaką ks. Kantak przypisuje metodom sowieckim, dowodzi, że nawet lata spędzone w Sowietach nie potrafią nauczyć niektórych z nas, czym jest

³¹ Z dzisiejszego punktu widzenia pozostaje jeszcze pytanie, czy artykuł w „Dagens Nyheter” powołujący się na Martiniego był grafomanią publicystyczną jakiegoś amatora, czy sterowaną przez KGB dezinformacją, mającą wprowadzić poczucie niepewności co do zasadności wszelkich rzeczy publikowanych na Zachodzie o Katyniu. Późniejszy od artykułu w „Dagens Nyheter” tzw. „raport Tarkakowa” ogłoszony w „7 Tage”, był także tego typu dezinformacją, podważającą zaufanie do dokumentów oskarżających Sowiety. Prosiłaby się ankietą w Szwecji, wokół byłych współpracowników „Dagens Nyheter”. (przyp. wyd.)

bolszewizm i jak działa jego aparat. A mamy pretensje do Anglików i Amerykanów, że nie rozumieją spraw sowieckich.

(„Wiadomości”, Londyn 1951, nr 33)

KLUCZ DO „PARKU KULTURY I ODPOCZYNKU”

Zbrodnia katyńska nie wymagałaby tylu komentarzy, gdybyśmy od początku podeszli do sprawy od obiektywnej sprawy jej notoryczności, nie podlegającej dyskusji. Podobnie dziś tylko komuniści i ich najlepsi przyjaciele mogą zaprzeczać, ale cały świat uznał istnienie obozów koncentracyjnych w Sowietach za rzecz notoryczną. Natomiast masakra w Katyniu przedstawiona została jako rzecz szczególna. Szczególną jest istotnie, ale wyłącznie ze względu, że ofiarą padli jeńcy obcego państwa, a przede wszystkim jego korpus oficerski. Podkreślenie tego faktu jest słuszne, albowiem niezwykłość jego przemawia bardziej do wyobraźni zachodniego świata niż okoliczności, nazwijmy, zwykłego ludobójstwa. Na tym jednak niezwykłość Katynia się wyczerpuje. Po zdjęciu z ofiar mundurów, pozostają one zaledwie częścią w łańcuchu takich samych już uprzednio popełnionych zbrodni masowych, których początek sięga czasów, gdy Hitlerowi nawet nie śniły się jego Oświęcimy.

Faktu tego dotychczas dostatecznie nie unaoczono. Stąd w opinii Zachodu wciąż jeszcze pokutuje, często nawet szczerze zdziwienie: czyżby to było możliwe? Otóż możliwe było zawsze, to znaczy odkąd w Rosji panują bolszewicy. To niedomówienie rzeczy kapitalnej, nie otworzenie z klucza drzwi na oścież, przypisać należy wielu czynnikom. Jeden z nich wynikł ubocznie z drażliwego położenia, w jakim znalazła się sama Polska. Współpraca Polski z bolszewikami podczas wojny wymagała, zarówno ze względów zewnętrznych jak wewnętrznych, udawania, przynajmniej taktycznego, że jesteśmy zaskoczeni niektórymi objawami rzeczywistości sowieckiej. Stanowisko: „współpracujemy i pomagamy do zwycięstwa największym zbrodniarzom, jakich świat wydał”, byłoby absurdalne i niemożliwe ze względu na politykę narzuconą Krajowi, a co najmniej – nietaktowne... w ośrodku narodów sprzymierzonych. Zresztą oficjalne stanowisko Polski i w tej chwili nie uległo zmianie. Oświadczenia zarówno pierwszych generałów emigracji jak też drugorzędne, wspominkarskie, dokumentalne itd. w dalszym ciągu bronią słuszności sowiecko-polskiej współpracy wojennej, a żale skierowane są jedynie do zawodu, jaki nas spotkał ze strony naszego sojusznika. Wydaje mi się, że zarzucamy mocarstwu zachodnim ten błąd, któryśmy sami popełnili; tego rodzaju grę, w której trzymaliśmy jeśli nie pierwsze, to w każdym razie nie jakie skrzypce. Czy to będzie książka Czapskiego, czy to będą opowiadania żołnierzy Armii Krajowej, czy wystąpienia gen. Bora przez radio BBC, wszystkie w większym lub mniejszym stopniu zmierzają do szczególnego uwypuklenia faktu: „Oto jakżeśmy pomagali tym

bolszewikom, a jakże strasznie nas oni oszukali!”... Na liście tych oszustw widnieje i rozbrojenie Armii Krajowej, i historia, którą opisuje p. Stypulkowski, i obecna tragedia Polski, no i oczywiście Katyń.

Drugą przyczyną, hamującą otwarcie z klucza całej prawdy, była raczej szczerą niemożność przeniknięcia systemu sowieckiego aż do jego trzewi. Świetna praca p. Zamorskiego i Starzewskiego *Sprawiedliwość sowiecka* jest skrupulatną syntezą zewnętrznej strony prawnej, skonfrontowanej na podstawie praktyki osobistej autorów. Ale nawet ta kapitalna praca nie uwzględnia masowych mordów jako procedury systematycznej. Mamy w niej potworność sądów zaocznych i administracyjnych, straszliwsze od nich obozy, paragrafy służące przemocy i swoistemu pojmowaniu i wykonywaniu sprawiedliwości, nie liczącej się ani ze zdrowym sensem, ani obiektywizmem, ani metodami stosowanymi przez resztę świata cywilizowanego. Autorom jednak zdawało się (i chyba słusznie!), że kogoś, kogo skazano na 10 czy 15 lat obozu, czeka już dostatecznie tragiczny los, aby powstała przyczyna mogąca wykonanie tego losu zmienić na coś bardziej jeszcze tragicznego. Jeżeli tysiące w ten sposób zginęły bez śladu, nie było w tym nic dziwnego, w obozach bowiem umierają miliony. Nie jest to zarzut, który stawiam autorom. Przeciwnie, myślę, że nawet większość obywateli sowieckich sądzi w ten sam sposób. Osobiście też przyznaję się do błędu i jeżeli w moich pracach o Katyniu wspominałem o masowych mordach więźniów, to dla podkreślenia jedynie, że działo się to podczas wojny i że na tle tych zestawień nie podobna wierzyć, aby bolszewicy mogli rzekomo zostawić pod Smoleńskiem rzekome obozy jenieckie, nie wymordowawszy ich do nogi, jak to czynili gdzie indziej podczas odwrotu roku 1941.

Trzecim hamulcem jest naturalnie ograniczenie wyobraźni ludzkiej, która o wiele częściej napotyka w życiu na zapory niż nam się to zdaje. Możemy nawet jakąś rzecz znać, a przecież nie dość dokładnie wyobrażać ją sobie w szczegółach. Podobnie znając z teorii i praktyki system sowiecki, zastrachanie i apatię ludności z jednej strony, a dławiącą tajemnicę NKWD z drugiej, ciągle jeszcze nie zdajemy sobie sprawy ze stopnia tego paraliżu psychicznego, któremu ulegają obywatele sowieccy, a który doprowadza do tego, że nie tylko NKWD nie chce, by ludność wiedziała o pewnych faktach, ale sama ludność, szczerze i rzetelnie nie chce o nich wiedzieć.

Czwartym wreszcie czynnikiem była propaganda niemiecka, która zmuszała wojujący z Niemcami świat do odnoszenia się albo sceptycznie do jej odkryć na terenie sowieckim, albo zgoła wrogo lub w sposób uproszczenie-odwrotny, jak się działo na przykład na terenie Polski.

Jeżeli z Katyniem mieliśmy i mamy tyle trudności w przeorsowaniu prawdy, nie można się dziwić, że zbrodnia wykryta w Winnicy tegoż 1943 roku, przeszła prawie bez echa. Niedawno udało mi się zdobyć wyczerpujące materiały dotyczące tej sprawy.³² Po ich zbadaniu przyszedłem do przekonania, że okoliczności towarzyszące tej masakrze, w małym miasteczku ukraińskim, są bardziej charakterystyczne, powiedziałbym – klasyczne, a o wiele bardziej pouczające od Katynia. Winnica jest nie tylko „drugim”, czy może właściwie „pierwszym” Katyniem, ale stanowi jego objaśnienie. Zaryzykowałbym zdanie, że bez zgłębienia sprawy Winnicy, nie podobna zgłębić sprawy Katynia.

W Winnicy wydobyto z grobów masowych 9 432 trupy, w tej liczbie zwłoki 169 kobiet. Jest to cyfra przekraczająca dwa razy liczbę ustaloną Katynia. Merytorycznie Winnica nie jest obciążona komplikacjami Katynia. Nie ma i nie mogło być sporu co do terminu popełnionej zbrodni. Znalezione trupy były w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że próba oskarżenia o tę masakrę Niemców, poza oficjalną propagandą sowiecką, która może powiedzieć wszystko, co chce, na wewnątrz, nie mogła być podjęta na zewnątrz i dlatego nigdy nie znajdowała się w norymberskim akcie oskarżenia.

Masowy ten mord, dokonany nie w okresie wojennym, ale w latach pełnego pokoju, nie był spowodowany jakimiś nadetatowymi okolicznościami czy warunkami zwierzęcymi. Ofiary jego nie stanowiły żadnej, szczególnie nowej pozycji, jak w wypadkach jeńców polskich. Wymordowano osiadłą, miejscową ludność. Procedura mordu wskazuje, że odbył się on bez cienia tzw. „nieuwiązki”, nie skoordynowanej improwizacji, w atmosferze nerwowości, pośpiechu czy zaskoczenia. Przeciwnie: bez błędu, metodycznie, nieomal chciałoby się powiedzieć – w spokoju ducha, jak rzecz z dawna wypraktykowana.

Rzecz miała się jak następuje. W latach 1937-1938 dokonano w miasteczku Winnica, a głównie w jego okolicach, masowych aresztów. Aresztowanych osadzono częściowo w więzieniu NKWD, częściowo w więzieniu miejskim. Przecpełnienie było takie, jakie znamy, może nawet trochę większe. W niektórych celach ludzie mogli tylko stać, a kto chciał do kubła, tego podawano nad głowami, bo przycisnąć się nie było można. To są rzeczy stare.

³² Być może chodzi tu o oficjalny, podobny do katyńskiego, dokument niemiecki: *Antliches Material zum Massenmord von Winniza*. Berlin 1944. (przyp. wyd.)

Żony, matki, córki, szły naturalnie z węzłkami i stawały w kolejce przed bramą więzienną. Dopuszczano i nie dopuszczano, szykanowano, kazano przychodzić za tydzień, za dwa itd. Jak dotychczas nic nowego. Wreszcie po upływie miesięcy, roku, molestującym rodzinom zaczęto oświadczać: „Twój itd. skazany został na 10, 12, 15 lat zesłania, z zastosowaniem surowej izolacji, bez prawa korespondencji”. Też nic nowego.

Ale już po tym pierwszym okresie, poszczególne wypadki wykazują przebieg bardzo zbliżony do przebiegu sprawy katyńskiej.

Oto żona aresztowanego, Ukrainka, obywatelka Anna Hodołańcowa, miała odwagę zwrócić się z podaniem do samego Stalina. I oto ten sam Wyszynski, w takich samych jak później słowach, odpisuje mianowicie, że „mąż jej został już wypuszczony na wolność”...

Obywatelce Winnicy Sawariewej, Rosjance, odpowiadają, że jej mąż, b. pułkownik armii carskiej, lat 72, zmarł na serce. Zresztą jego zesłanie mogło polegać też na omyłce. Być może więc: „sdielali oszybku”...

Maria Zorina, składa podanie do Berii, w sprawie swego męża Jakuba, lat 39, i otrzymuje odpowiedź, że mąż został zesłany na daleką północ.

Żona duchownego, Daria Bielecka, zwraca się również z pismem do Moskwy. Po upływie pół roku otrzymuje odpowiedź, że jej mąż, Leonid, lat 35, został zesłany bez prawa korespondencji. Katarzynie Godlewskiej ze Żmerynki odpowiedziano, że męża przekazano do więzienia w Kijowie. Gdy się tam zwróciła, odpowiedziano, że go nigdy w tym więzieniu nie było.

Żona Grzegorza Antoniuka z Szerokiej Hrebli otrzymała na swe podanie odpowiedź po 2 latach.

Marii Korsakowej, Polce, lat 30, zamieszkałej w rejonie Chmielnika, poradzono pół żartem, żeby sobie ponownie wyszła za mąż.

Z zapowiedzianej już analogii nie trudno się domyśleć, że zarówno Hodowaniec, który według słów Wyszynskiego miał już być na wolności, jak Sawariew, jak Zorin, rzekomo zesłany, jak Bielecki, jak Godlewski, rzekomo w Kijowie, Antoniuk, Korsak itd., wszyscy się odnaleźli, ale we wspólnych dołach z czaszką przestreloną w tyle głowy, razem z 9.500 innych.

Zanim jednak doszło do ustalenia tego faktu, życie popłynęło swoją koleją, normalnie, po sowiecku, szaro. Po wydeptanych ścieżkach szerokiej ongi Ukrainy. Zesłali, znaczy zesłali i nadziei

nie ma. Oto inna Bielecka, Olga Siergiejewna, *primo voto* Miśkie-wiczowa, po aresztowaniu jej męża w r. 1937, chodziła-wychadzała chodnik do bramy więziennej, aż gdy jej poradzono, podobnie jak Marii Korsakowej, żeby sobie znalazła drugiego... straciła nadzieję. W beznadziejności swej pojechała aż do Swierdłowska, do kuzynki. Tam po roku poznała istotnie drugiego, wyszła za mąż. A później wróciła z tym innym. NKWD co dwa miesiące przedłużało jej prawo pobytu w odległości 60 km od Winnicy i tak się żyło. No bo co robić? Aż po sześciu latach od dnia aresztowania pierwszego męża, rozpoznała go w dołach śmierci; rozpoznała po krótkim kożuchu, a rozpoznała dlatego, że w swoim czasie załatała go kawałkiem własnego półkożuszka. Bo przecież całe życie latało się jak można.

Życie, życie sowieckie! Ostrożnie z omówieniami, z omijaniem sedna sprawy. Podobnie i zeznania świadków zaczynają się od masy nieistotnych szczegółów. Na przykład, że niejakiego Masłowa znali wszyscy w Winnicy, przynajmniej ci, co mieszkali w pobliżu szosy prowadzącej do Litynia. Twarz miał raczej ponurą, przepią, pokrytą śladami ospy, i był stróżem sadu owocowego, i mieszkał tam sam jeden w małym budyneczku takim. Aha... Co robił? Pił. Żona mu umarła w r. 1935. A później żył z coraz to inną kobietą, które go wszelako opuszczały, bo je bił. Sam chodził w łachmanach, wiadomo, pijak. A ogród, za dobrych carskich czasów, należał do starowerskiej rodziny Stryłowych. A jakże, jeszcze tu mieszkają, ale w pobliżu mostu na Bugu... No więc, za bolszewickich czasów ogród ten wywłaszczono na rzecz NKWD, a Masłowa przepędzono. Co to wszystko ma do rzeczy? A no, w ten sposób historia dowiedzie nas do budowy nowego plotu, okalającego sad. NKWD zrobiło go tak szczelnym, żeby szpar nie było. Cóż działo się od tego czasu za tym plotem? Bóg ich wie? Czy to kto chciał się dowiadywać? Po co? Może... chyba że Skrepka, jeżeli coś wiedział...

Anafasij Skrepka, człowiek już stary. Urodził się w Połtawie w r. 1886. Kował, zamieszkały przy ul. Podlinnej 10, był pierwszy, który w marcu 1938 zapytał, ma się rozumieć tak niby, od niechcenia.

– A co za tym plotem będzie?

– Park Kultury i Otdycha.

– Aha, no cóż, może i dobra rzecz...

Ale w nocy wlaź na drzewo, żeby zajrzeć do środka. Zobaczył wykopanych sześć dołów i zlaź z drzewa. Tymczasem co noc zajeżdżały tam samochody ciężarowe, pokryte brezentem, i wyrzucały jakiś ładunek. Skrepka był zaprawdę dziwnym człowiekiem, bo po upływie roku jeszcze raz wlaź na to samo drzewo: widzi że za szeregami zasypanych już dołów powstał ich nowy długi rząd...

Jeszcze jeden, o nazwisku Hulewicz, ze stacji hydrobiologicznej, raz się zatrzymał, spojrzął.

– Ty! – krzyknął strażnik pod plotem – czego stanął! Proliwaj swoją drogą!

Tak mijał rok 1937-1938-1939. W miasteczku, liczącym zaledwie 70.000 mieszkańców, wymordowano z okolicznej ludności około 10.000 więźniów i zakopano ich w tymże miasteczku, a mianowicie: 5.644 trupy w 34 dołach na miejscu b. sadu owocowego, 2.405 trupów w 42 dołach na tzw. cmentarzu NKWD, 1.383 trupy w 13 dołach na miejscu innego sadu owocowego.

I nic. A „Park Kultury i Otdycha” założono na wyrównanych grobach. Postawiono huśtawki. Dzieci się huśtały, latem.

W świetle tego najprostszego rozwiązania zyskujemy inną perspektywę na mord katyński. Przewiezienie 4.200-4.300 oficerów z Kozielska aż pod Smoleńsk wydaje się w zestawieniu, szczytem trudu, jaki sobie bolszewicy zadali. Natomiast wersja o transporcie jeńców ze Starobielska pod Charków, oparta na jedynej wypowiedzi pewnego robotnika kolejowego, wydaje mi się dziś mniej konieczna niż w czasie, gdy w swojej relacji powtarzałem ją za, świetną zresztą, nie przeznaczoną do druku monografią opracowaną w biurze gen. Kukiela. Niedawno opowiadała mi pewna Polka, że w okresie po „amnestyjnym” spotkała w Kazachstanie w pociągu niejakiego Nieczajewa, Mikołaja Fiodorowicza z L., którego córka rzekomo pracowała w biurze starobielskiego obozu jenieckiego i miała wyznać ojcu, że tysiąc ludzi tego obozu wymordowano tuż pod miastem. Odrzuciłem tę wersję jako plotkę. Dziś rzecz ta nie wydaje mi się tak bardzo fantastyczna.

Co do losów przeszło 6.000 jeńców z Ostaszkowa, istnieją dotychczas dwie wersje: wspomniana, wyczerpująca monografia gen. Kukiela, wskazuje Wiaźmę jako miejsce ginącego śladu. Mnie na podstawie innej wersji, bardziej prawdopodobną wydaje się stacja Bologoje. Obydwie wersje były zresztą nikle.³³ Niedawno do-

³³ Jako jedyny, jak dotąd, badacz Katynia zwróciłem uwagę (por. mój *Powrót rozstrzelanej Armii*), że w obozie w Griazowcu przebywał prawie rok z kolegami por. lekarz Michał Romm, z obozu w Ostaszkowie, wyłączony z rozstrzelania w ostatniej chwili, już na miejscu mordu, podobnie jak w Gniezdowie Stanisław Swianiewicz. Romma wylądowano z kolegami nie w Bologoje, lecz w Kalininie, gdzie dokonywano rozstrzeliwań. Zdecydował telefon z Moskwy (por. zeznanie Tokariewa), prawdopodobnie dlatego, że był bratankiem znanego sowieckiego reżysera filmowego Michaiła Romma. Dlaczego nie powiedział o swej tajemnicy Czapskiemu lub gen. Wolkowickiemu? Dlaczego go o to nie zapytano? Jeszcze raz powtórzę: niestety wywiad polski miał krótkie ręce. (przyj. wyd.)

skonały znawca tych rzeczy zwrócił mi uwagę, czy nie prościej założyć, że wszystkich ostaszkowców wymordowano gdzieś na tym samym jeziorze otaczającym obóz, na przykład na okolicznych wysepkach? Istotnie, nam (a cóż dopiero mówić o opinii Zachodu!) trudno się oswoić z rozwiązaniem w tej sprawie najprostszym. Po prostu: oswoić.

Zachowanie się ludności sowieckiej jest właśnie najtrudniejszą rzeczą do wytłumaczenia obcemu. Sowiety są krajem śmiertelnego milczenia. W rozmowach prywatnych mówi się rzeczy błahe. Okrzyki wydaje jedynie na rozkaz i wraca z mitingu ze wzrokiem wbitym we własne kalosze, kto je ma, albo w końce butów, kto je ma. Wersja, że Niemcy musieli już uprzednio wiedzieć o grobach katyńskich, a ogłosili wiadomość dopiero w chwili dla siebie odpowiedniej, jest nonsensem. Winnicę wykryto dopiero w trzy miesiące po Katyniu, w czerwcu 1943. Okoliczności towarzyszące temu odkryciu były takie same: nawet pierwsze, nieśmiałe półśłówka, podszeptano też jakimś Polakom w armii niemieckiej, czy też tylko mówiącym po polsku, ale również bez większego efektu. Wiedziało sporo, domyślało się więcej, nie meldował nikt. A już absolutnie nie chciał być pierwszy. A przecież tam zakopani byli nie obcy przybysze, ale swoi, najbliżsi! – Świadkowie tych dni, Ukraińcy, rozproszeni są dziś po Europie i Ameryce.

Trzeba nie tylko znać, ale naprawdę rozumieć system sowiecki, by jak to powiedziałem, oswoić się, że – tam... mord masowy popełniony być może w każdym miejscu. Ale na jego wykrycie czekać można latami, nawet po przepędzeniu bolszewików.

Ani Winnica, ani Katyń nie są objawami jakiegoś odosobnionego wysokoku, ale ogniwami w łańcuchu systemu. Wskazują na to nie tylko analogie, ale i różnice między nimi. Katyń stanowił znaczne ułatwienie dla mechaniki samego mordu. Tam był las, a nie miasto. Można było więc strzelać wprost nad grobem i zwozić w tym celu żywych ludzi. Zakopywać nie śpiesząc w biały dzień i bardziej płytko. Jeden z grobów mieścił 2.500 zwłok. W Winnicy groby były w śródmieściu, więc mordowano na podwórzu więziennym, a trupy zwożono w nocy. Przygotowanie grobów w obydwóch wypadkach było równie solidne, fachowe. Ale w mieście musiały mieć mniejsze rozmiary, gdyż nie mogły, wypełnione trupami, pozostawać otwarte i zakopywane być musiały zaraz. Stąd największy z nich, nr 24a, zawierał 284 (w sadzie), najmniejsze (nr 35, 39, 40 na cmentarzu NKWD) zaledwie po 6, 8 i 4 trupy. Przeciętnie w „sadzie” od 100 do 200; na „cmentarzu NKWD” po kilkadziesiąt; w „Parku Kultury i Otdycha” po sto przeszło. Warstwa ziemi nawierzchniej musiała być prawie dwa razy grubsza niż w Katyniu, a

to w obawie, by swąd trupi się nie wydzielał. Wapno i inne środki dezynfekcyjne zastosowane były fachowo.

W Winnicy wszyscy mężczyźni mieli ręce skrępowane sznurami z powodu, o którym będę niżej mówił. Węzeł był mniej doskonały niż w Katyniu. Mężczyźni i kobiety starsze były ubrane. Wszystkie młode kobiety – nagie.

Najstraszniejszy jednak, budzący naprawdę dreszcz grozy, był sposób mordowania w Winnicy; w zestawieniu z nim niemieckie kurki gazowe i nawet strzały katyńskie jeszcze wydają się „humanitarne”!... W Katyniu, jak wiadomo, strzelano w głowę z pistoletu automatycznego kal. 7,65 kulą opancerzoną, a więc nie tylko większych rozmiarów, ale od razu przebijającą czaszkę. Z tego, że nikt prawie w okolicy Kozich Gór nie słyszał strzałów, wnioskować można, iż nośność głosu, odległość od domów, głuszące działanie lasu, procent możliwego zasłyszania huku przez mieszkańców itd., wszystko to wzięte było pod uwagę; broń użyta nie była przypadkowa, ale dobrana fachowo. Tak samo rzecz była uwzględniona w Winnicy, w warunkach odmiennych. Zastosowano tu wprawdzie stary, czekistowski sposób zapuszczanych motorów, widocznie jednak kal. 7,6 z opancerzoną kulą uznany był za zbyt głośny. Wobec tego mordowano ludzi z najmniejszego kalibru 5,6 nieopancerzoną kulą ołowianą! Kule tego typu nie zawsze i nie dość skutecznie przebijały kości czaszki, dlatego ludzie musieli być krępowani, aby wytrzymać dłuższą procedurę mordu i aby zapobiec wszelkim niespodziankom, szamotaniu się itd. Strzelano też z reguły do każdego człowieka dwa razy: w 78 wypadkach po trzy razy; w 2 wypadkach po cztery. Do wielu jednak, wbrew wyraźnej instrukcji, tylko raz. Ale nawet w wypadkach podwójnego strzelania, śmierć nie zawsze następowała natychmiast. W ten sposób niektórzy grzebani byli jeszcze żywcem, na co wskazała obdukcja, która u kilku ofiar ustaliła piasek głęboko w przetyku.

Ogółem musiano oddać około 20.000 strzałów, przytykając lufę z tyłu do głowy żyjącego człowieka. Ale ewentualne „nieuwiązki” i w tym wypadku były przewidziane. Człowiek po otrzymaniu nawet kilku małych, ołowianych kulek i mimo skrępowania, mógł się jeszcze rzucać i nawet bronić. Dowodzi tego fakt, że w 395 wypadkach roztrzaskano czaszkę, zdaje się nie kolbą karabinu, ale specjalnie w tym celu skonstruowaną maczugą.

Właściwym kluczem do rozpoznania systemu jest przede wszystkim sprawa dokumentów i ubrań.

Od kwietnia 1943, gdy się rozeszła pierwsza wieść o Katyniu, głosy sceptyczne głównie na ten szczegół kładły nacisk. Od chwili mego powrotu ze Smoleńska w końcu maja tamtego roku i

później, gdy poświęciłem się badaniom zbrodni katyńskiej aż do dziś, ciągle spotykałem się z niedowierzaniem i zapytaniem: w jaki sposób bolszewicy mogli dopuścić do takiej „nieostrożności”, by przy trupach pozostawić wszystkie ich osobiste dokumenty? W jaki sposób, przy głodzie ubrań, a zwłaszcza obuwia, nie pokusili się zedrzyć tysięcy, z najlepszej skóry, oficerskich butów, które sam oglądałem następnie rozmiękle na gąbkę i po wydobyciu z grobu robiące wrażenie gumowych?

Wyjaśnienie było raczej łatwe: nie mogli się wtedy spodziewać, że ktoś będzie w stanie rzeczy te wykopać. Następnie, chodziło widocznie o to, by fason butów i ubrań nie rozpełzł się po kraju i nie powodował drażliwych komentarzy itd. Przyznam jednak, że ta okoliczność budziła we mnie wrażenie czegoś zrobionego nagle, raczej nieprzemyślanej improwizacji, niż systemu. Otóż właśnie przeciwnie: to był najcharakterystyczniejszy szczegół systemu.

W Katyniu zaszła jedynie ta innowacja, że osobisty, ręczny „bagaż” oficerów, jakies tam ich węzełki, teczki, worki i temu podobna nędzarska własność obozowa, nie została zakopana wraz z trupami, ale odwieziona z powrotem na ciężarówkach z niewiadomym przeznaczeniem.

W Winnicy wywoływano ludzi z celi na śmierć „s wieszczami”, co normalnie istotnie oznacza raczej zesłanie. Po wyprawieniu na dziedziniec wewnętrzny, nie tylko nie obdzierano ich z ubrań (wyjątek stanowiły wspomniane już, młode kobiety), ale zwożono trupy do dołów, łącznie z ich „wieszczami”.

Bardziej jeszcze charakterystyczny był stosunek do dokumentów. W obozach jenieckich ludzie mieli je, w większości wypadków, przy sobie; ale nie dlatego i nie przypadkowo znalazły się w grobie. Wręcz przeciwnie: wymagał tego system: „Prowalis’ skwoz’ ziemi!” I człowiek, i jego rzeczy, i jego dokumenty! W więzieniu dokumenty były zabierane i wraz z aktami sprawy przechowywane w kancelarii. W wypadkach normalnego zesłania musiały iść „tu-daże”, za człowiekiem; w wypadkach zesłania na... śmierć szły więc również: „tu da-że”... w ziemię. – System ten można uważać za celowy lub nie, mnie osobiście zdaje się, że prościej było dokumenty spalić, ale co kraj to obyczaj, pozostaje tylko stwierdzenie, że taki system przyjęto. A stosowany był do tego stopnia rygorystycznie, że ponieważ więźniowie w Winnicy nie mieli dokumentów przy sobie, transportowano je z więzienia oddzielnie i zakopywano w specjalnym grobie. Tak np. odnaleziony w „sadzim” grób nr 15a wypełniony był wyłącznie dokumentami, nie tylko osobistymi, ale aktami sprawy wstecz, aż do protokołu „obyska”, rewizji, włącznie!

Wróćmy jeszcze raz do sprawy rzeczy: niektóre z nich, przynieszone przez rodziny, a nie oddane więźniom, segregowane były jeszcze za ich życia. Np. ubrania osobno, buty osobno. – Budowa Szczęśliwej Socjalistycznej Republiki nie działa w imię korzyści osobistych, ale w imię hasła wzniosłych. Nie rabuje się osobistej własności. Więc w Winnicy do grobu nr 18 zsypano całe obuwie, a do grobu nr 20 wszystkie nie doręczone ubrania. Natomiast z węzełków, które ludzie mieli przy sobie, gdy umierali na dziedzińcu więziennym, czyniono następnie w grobach górną warstwę, przykrywając nią warstwy trupów; w ten sposób uzyskiwano dodatkową izolację, na którą szła dopiero ziemia. Pomiedzy tymi węzełkami leżały jedynie nieliczne trupy. Były to zwłoki więźniów zatrudnionych przy zakopywaniu grobów. Co pewien czas strzelano ich, już na miejscu (niektórzy świadkowie słyszeli pojedyncze strzały w nocy, ale – powiadali – rzadko), zrzucano do jednego grobu, który już zakopywała obsługa NKWD. Żadnej improwizacji, wszystko było przewidziane do najdrobniejszych szczegółów.

Identyfikacja zwłok w r. 1943 w Winnicy odbywała się głównie w ten sposób, iż wydobytą odzież rozwieszano na sznurach. Tysiące okolicznych rodzin schodziło się na miejsce i szukało znajomych rzeczy, rozpoznawało łąty, guziki, wzory wyszywane na koszulach. Odcyfrowano również, co można było odczytać z dokumentów. Ciały były z reguły nie do poznania, prócz kilku charakterystycznych kalek. Natomiast raczej poznać że było po częściach ubrania: palto, kożuszek i znowu jakaś cera na łokciu, którą żona własnoręcznie wypracowała.

Zidentyfikowano zaledwie 679 zwłok na ogólną liczbę 9.432. – Kim byli pomordowani? Ukraińcy. W przytłaczającej większości chłopci, z pewną domieszką robotników, księży prawosławnych; znikomy procent inteligencji. Trochę Rosjan. Sporo Polaków.

Analiza strony politycznej wymagałaby osobnego rozdziału. Krótko nadmienić wypada, iż były to lata (1937) nie zakończonych czystek, okres po-kirowski, pojeżowszczyzny; ³⁴ poza tym likwidacja resztek religijnych „zabobonów”. Zlikwidowanie cerkwi pobudziło ruchy sekciarskie, a powstawały również i tajne bractwa. Jedno z takich nosiło nazwę „Prawdziwych Greko-Pravosławnych Chłopów Archaniola Michała”. Bliższych szczegółów nie udało mi się na razie uzyskać. Emigracyjne sfery ukraińskie przypuszczają, iż możliwie była to tylko sekta religijna.

³⁴ Pomyłka datowania autora. Rok 1937 jest szczytowym okresem czystek rządów Jeżowa w NKWD (1936-1938). (przyp. wyd.)

Powstaje pytanie: dlaczego ci właśnie, w bolszewickim systemie eksterminacyjnym, otrzymali kategorię „śmierć”, zamiast kategorii „obozy”? Jeden z wybitnych Ukraińców mówił mi, że w tym okresie wstrzymane były zsyłki do łagrów ludzi, których uznano za szczególnie niebezpieczny „aktyw kontrrewolucyjny”, wobec zaszłych wypadków buntu na północy. Że w tym czasie podobne masowe egzekucje odbywały się na terenie całej Ukrainy, tylko że miejsca kaźni pozostały nie wykryte. Osobiście sądzę, iż mogły tu działać również okoliczności poboczne, bądź przepelnienie na północy, bądź brak transportów, bądź wiele czynników łącznie. W zależności od tego, pojęcie „aktywu” przeznaczonego do uśmiercenia, musiało ulegać wahaniom. Ale mordy masowe były i pozostały regulą. ³⁵

Źródła niemieckie wśród listy zidentyfikowanych, wymieniają, jako narodowość ustaloną, 28 Polaków: Bonifacy Jakubowski, aresztowany 18 kwietnia 1938; Józef Brunecki, aresztowany 1 stycznia 1938; Bolesław Strzylecki, Chmielowski, Józef Merynowicz, Michał Radecki, aresztowani 27 listopada 1937; Adam, Józef i Wojciech Hłuszko, Wojciech Samosienko, Antoni Malicki, Kazimierz Bogucki, Leon Soroczyński, Albin Podhorecki, aresztowani w grudniu 1937; Feliks Petliński, Adam Krawiec, Dominik Kwaśnicki, Franciszek Harasz, Franciszek Krawczyk, Franciszek Nowicki, Stanisław Proźłowski, Józef Czajkowski, Zygmunt Kłodnicki, Stefan Antoniuk, Feliks Rybicki, Tadeusz Zalewski, Waclaw Konopko, aresztowani w różnych miesiącach 1938. Prócz tego jednak widnieje szereg nazwisk bez określonej narodowości, które z brzmienia również wydają się być polskie, np. Adolf Rutkowski, Stanisław Kowalski, Jadwiga Rolińska, Maria Waszniewska, Franciszek Jasiński, Apolinary Skrzyszewski, Bronisław Zaleski, Waclaw Łukasze-

³⁵ Artykuł niniejszy napisałem jeszcze przed zapoznaniem się z bardzo ciekawym listem p. Bohdana Dolińskiego w nr 293 „Wiadomości”. Mówi on o wrzeniu na Ukrainie i partyzantkach, do których należeli zarówno Polacy jak Ukraińcy, właśnie w latach 1936-1937. Nie jest wyłączone, że była to jedna, a może główna przyczyna masowych aresztów, a później masakry w Winnicy. Tym bardziej, że w grobach odnaleziono zarówno zwłoki Ukraińców jak Polaków. (przypis autora)

Analogię do grobów Winnicy wykazują odkryte dopiero niedawno masowe groby w Kuropatach pod Mińskiem, na Białorusi. Kryją one, nie oszacowaną bliżej ilość wielu dziesiątków tysięcy ofiar, w tym – podobnie jak w Winnicy – bardzo wielu Polaków, stanowiących szczególnie obiekt ludobójstwa. Jak wykazały najnowsze badania archiwalne to motywacje ideowe, a nie konsekwencje spisków i partyzantki, były powodem tej rzezi. Por. książkę: Jewgenij Gorelik: *Kuropaty. Polski ślad*. Warszawa 1996. (przyp. wyd.)

wicz, Feliks Radzichowski, Bronisław Żdanowicz. Stanowiłyby to około 6% zidentyfikowanych. Można by stąd wnioskować, iż leży tam około 560 Polaków, których krew zmieszana została z krwią i ziemią ukraińską.

Gdybyż przynajmniej ten straszny los stał się nie tylko kluczem do rozeznania morderców, ale również do zrozumienia więzów, jakie łączą tych wspólnie zakopanych pod Parkiem Kultury i Odpoczynku.

(„Wiadomości”, Londyn 1951, nr 48, z 2 grudnia)

KATYŃ – ZBRODNIA SOWIECKA

Czy rzeczywiście Niemcy ponoszą odpowiedzialność za masowy mord, popełniony na 11.000 polskich oficerów, w katyńskim lesie? Tym pytaniem zajmuje się w tej chwili Specjalna Komisja Kongresu USA, pod kierownictwem demokrata Ray Maddena, co oznacza rewizję dotychczasowego oficjalnego stanowiska amerykańskiego.

Jeden z najważniejszych świadków stających przed komisją, podpułkownik H. van Vliet, oświadczył, że Niemcy nie ponoszą za to odpowiedzialności. „Jestem zupełnie pewny, że tej masakry dokonali Rosjanie”.

Jako niemiecki jeńiec wojenny, van Vliet został wysłany do Katynia w kwietniu 1943 roku, wraz z Donaldem B. Stewardem i innymi jeńcami, oficerami alianckimi, aby mogli oni wyrobić sobie własne zdanie o odnalezionych dowodach zbrodni.

„Nienawidziłem Niemców” – wyjaśnia van Vliet – „i wzdrgałem się przed daniem im wiary. Ale w końcu, gdy ujrzałem to wszystko, musiałem przyznać, że mówią prawdę.”

Jako żołnierz van Vliet przyjrzał się uważnie przede wszystkim mundurów i butów ekshumowanych oficerów. Doszedł do wniosku, że są już bardzo zniszczone i wywnioskował stąd, że zwłoki musiały leżeć w ziemi więcej niż dwa lata.

Znaczyło to, że polscy oficerowie nie zostali rozstrzelani dopiero w roku 1941 po uderzeniu Niemców na Rosję, jak to twierdzili Rosjanie (a Amerykanie wierzyli do dzisiaj), ale już w roku 1940, gdy jeszcze noga niemieckiego żołnierza nie powstała na rosyjskiej ziemi.

Bezstronne poszukiwanie odpowiedzialności za Katyń, jak robią to dziś z dziewięcioletnim opóźnieniem Amerykanie, było prowadzone już od kwietnia 1943, zaraz po odkryciu grobów katyńskich, przez polską emigrację z Londynu. 17 kwietnia 1943 roku były polski rząd emigracyjny w Londynie zlecił swemu przedstawicielowi w Szwajcarii, by zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża z prośbą o wysłanie delegacji do Katynia, celem wyjaśnienia prawdziwego stanu rzeczy. Rosjanie natychmiast obrazili się i 26 kwietnia zerwali stosunki dyplomatyczne z polskim rządem londyńskim.

Ambasador tego rządu w Waszyngtonie, Ciechanowski, chciał się właśnie w tym dniu spotkać z amerykańskim sekretarzem stanu Sumner Welles'em, nie wiedząc jeszcze o sowieckim posunięciu. Natychmiast okazało się, że Welles jest w bardzo złym hu-

morze. W końcu padło z jego ust to zdanie: „Nie mogę zrozumieć, dlaczego polski rząd zwraca się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, by sprawdzać oskarżenie, wysunięte przez niemiecki urząd propagandy.”

Ciechanowski był przerażony tym zarzutem. Odpowiedział, że polski rząd już od dłuższego czasu starał się dojść, co stało się z 10.000 do 11.000 polskich oficerów, którzy pod koniec wojny w Polsce zostali wzięci do niewoli przez wkraczających Rosjan. „Czy amerykański rząd także pozostawiłby to w milczeniu, gdyby taka krwawa łaźnia, odkryta w grobach Katynia, dotyczyła waszych wojsk?” – zapytał ambasador.

Ale żądano tego od Polaków. Pod naciskiem amerykańskim i brytyjskim musieli 30 kwietnia wycofać swoją prośbę z Czerwonego Krzyża, aby nie drażnić uczuć sojusznicznych Rosjan. Ale i to nie uzdrowiło następnie stosunków polsko-sowieckich.

Polaków, którzy po wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej zaczęli w głębi Rosji, przy poparciu sojuszników, formować oddziały z byłych polskich jeńców wojennych, uderzyło już w 1941 roku, że do obozów zbiorowych meldowało się bardzo mało oficerów. Przybliżoną liczbę oficerów, którzy dostali się w ręce rosyjskie po wkroczeniu Rosjan do Polski w 1939 roku, podano w organie Czerwonej Armii „Krasnaja Zwiezda” w 1940 roku. Była tam mowa o co najmniej 12 generałach, 130 pułkownikach i 9.227 oficerach niższych stopni.

Oficerowie ci pisywali jeszcze do kwietnia-maja 1940 roku do swoich rodzin zamieszkujących na terenach zajętych przez Rosjan lub Niemców. Ale nagle korespondencja urwała się. Dlaczego oficerowie przestali pisać?

Dwa razy zapytano osobiście Stalina, dlaczego ci oficerowie nie zgłosili się do tworzących się polskich formacji. Za pierwszym razem pytał o to polski ambasador w Moskwie, profesor Stanisław Kot, za drugim – sam premier polskiego rządu emigracyjnego generał Sikorski.

TU MÓWI STALIN

Za pierwszym razem Stalin wyraził zdziwienie, że mogliby być jacyś Polacy nie zwolnieni, jak to zostało ustalone w porozumieniu. Kot opisuje, że Stalin podszedł do telefonu i wybrał numer: „Tu mówi Stalin” powiedział, „Czy wszyscy Polacy zostali zwolnieni z więzień?” Słuchał odpowiedzi, i następnie powiedział: „Dobrze, proszę do mnie później zatelefonować”.

Po chwili zadzwonił telefon. Stalin podniósł słuchawkę, bąknął: „Tak, tu Stalin” i długo słuchał. Kot śledził każdy jego ruch. Stalin odłożył słuchawkę, wrócił do stołu konferencyjnego i zmienił temat rozmowy.

Za drugim razem, w grudniu 1941 roku, do generała Sikorskiego pytającego w trybie nagłym o miejsce, gdzie znajdują się polscy oficerowie, Stalin powiedział: „Oni uciekli”. Zamiast Sikorskiego zabrał głos generał Anders, po wyjściu z moskiewskiego więzienia NKWD dowódca polskich oddziałów w Rosji. „Ależ panie prezydencie, dokądże mogli uciec?” Stalin: „No, do Mandżurii”.

W styczniu 1943 roku Polacy, których niepokoił los oficerów, znów wysłali do Moskwy komisję, która miała dalej prowadzić poszukiwania. Komisja ta posiadała dowody, że około 11.000 brakujących oficerów było pierwotnie rozlokowane w trzech wielkich obozach, a mianowicie w obozie w Kozielsku 4.500 oficerów, w Ostaszkowie 3.000 i w Starobielsku 3.920 oficerów. Opróżnianie wszystkich trzech obozów rozpoczęło się 5 kwietnia 1940 roku.

Ale już w lutym 1943 roku mieszkańcy Katynia zwrócili uwagę niemieckiej policji polowej na liczne pagórki, obsadzone młodymi sosenkami, znajdujące się na północny wschód od tej miejscowości, w lesie. Było to niedaleko od szosy Smoleńsk-Witebsk, mniej więcej w połowie drogi między stacjami kolejowymi Gniezdowo i Katyń.

W lutym 1943 roku, po ustąpieniu mrozów, rozpoczęto po raz pierwszy rozkopywanie pagórków. Na głębokości około dwu metrów rosyjscy robotnicy natknęli się na wiele zalegających w nieładzie zwłok. Sekretarz niemieckiej policji polowej Voß, który kierował tymi pracami, wziął w rękę guzik z munduru trupa. Na guziku był polski orzeł.

Przesłuchano wtedy pewną ilość rosyjskich świadków, którzy oświadczyli: w połowie kwietnia 1940 roku przyjeżdżały co dzień dwa-trzy składy na stację Gniezdowo. Wiele było wagonów-więźniarek. Znajdowali się w nich polscy jeńcy, co można było rozpoznać po czapkach. Byli w płaszczach, mieli bagaż: walizki, torby i worki. Pod dozorem rosyjskich strażników ładowano ich do samochodów więziennych zwanych „czernymi woronami”.

Samochody z więźniami odjeżdżały, potem wracały puste, aby zabrać nową partię jeńców, a ludzie mówili między sobą, że Polacy są rozstrzelani właśnie w katyńskim lesie.

Można bowiem było zauważyć, że samochody skręcają z szosy do lasu. Obszar lasu, strzeżony przez wartowników z psami, nazywał się Kosi Gory (Kozie Góry) i od 1925 roku służył jako miejsce straceń smoleńskiemu NKWD.

Ekshumowano stamtąd 4.143 zwłoki, które zalegały nieraz w 12 warstwach, z czego niewątpliwie zidentyfikowano 2.815. Do tego celu rozbudowano znacząco lekarskie laboratorium polowe w Smoleńsku. Ekshumacją i identyfikacją zwłok kierował lekarz medycyny sądowej, prof. Gerhard Buhtz z uniwersytetu we Wrocławiu, ze swoimi asystentami.

BRAK ŚLADÓW PO KOMARACH

Wśród zidentyfikowanych polskich ofiar było około 10% w ubraniach cywilnych i do 90% w mundurach. W tym 2 generałów brygady, 2.350 oficerów różnych stopni, 158 lekarzy i weterynarzy. Nie dało się określić rangi 406 żołnierzy. Wśród ofiar był także kapelan polowy.

Ofiary zastrzelono z bliskiej odległości strzałem w potylicę. U wielu stwierdzono przestrzelenie podniesionego w górę kołnierza od palta. Użyto amunicji pistoletowej kaliber 7,65 mm. Znalaziono także łuski. Na łuskach widniało oznaczenie: „Geco 7,65 D”. Była to amunicja wyprodukowana w firmie Gustaw Genschow und Co, w Karlsruhe-Durlach. Do 1928 roku firma ta dostarczała amunicję do Polski, ale także do Rosji.

O czasie wykonania egzekucji świadczą według niemieckiego śledztwa następujące dane:

* Posadzone na grobach młode sosenki były przynajmniej pięcioletnie. Zbadano przekroje tych pędów. Okazało się, że trzy roczne słoje drzewek rozwijały się podobnie. Między nimi i rdzeniem znajdowała się cienka linia oddzielająca. Oznacza to, że drzewka musiały być zasadzone w tym miejscu trzy lata wcześniej.

* Zwłoki w siedmiu grobach nosiły odzież zimową (futra, kurtki skórzane, swetry i szale) – a wkroczenie Niemców do Rosji odbyło się w czerwcu 1941 r.

* Na zwłokach nie było śladów ukąszeń komarów, co musiałyby nastąpić w porze letniej, w bagnistej okolicy.

* Odnalezione banknoty złotowe straciły moc obiegową w General Gouvernement 1 marca 1940 roku.

* Odnalezione listy miały niemieckie i rosyjskie stemple pocztowe z czasu między jesienią 1939 i kwietniem 1940.

* W wielu przypadkach listy nie zostały wysłane i zostały odnalezione w kopertach. Wszystkie były datowane z kwietnia 1940. W jednym z listów Jan Dąbrowski-Słonim dziękował za przesłane pieniądze. List miał datę z 22 kwietnia 1940.

Tak więc według niemieckich ustaleń czas rozstrzelania ofiar należy usytuować mniej więcej między końcem marca a początkiem maja 1940 roku.

W dzienniczku znalezionym przy polskim majorze Solskim był między innymi następujący zapis: „9.IV. piąta rano... Od świtu dzień rozpoczął się szczególnie. Wyjazd karetką więzienną, w celkach straż. Przywieziono gdzieś do lasu, coś w rodzaju letniska. Tu szczegółowa rewizja... Pytano mnie o obrączkę, zabrano ruble, pas główny, scyzoryk...”³⁶

W [drugiej] połowie kwietnia kierownik urzędu zdrowia Rzeszy dr Conti wysłała na miejsce odkrycia zbrodni zaproszoną międzynarodową komisję lekarską. Komisja dokonała obdukcji dziewięciu, przez samych lekarzy wskazanych, zwłok. W skład komisji wchodziła lekarze z następujących krajów: Belgia, Bułgaria, Dania, Finlandia, Holandia, Kroatja, ówczesny Protektorat Böhmen und Mähren,³⁷ Rumunia, Słowacja, Szwajcaria, Węgry i Włochy. 30 kwietnia 1943 komisja ogłosiła w Smoleńsku protokół, w którym między innymi napisano: „Z dowodów rzeczowych znalezionych przy zwłokach, kopert od listów, dzienników, gazet, itd. wynika, że rozstrzelania musiały mieć miejsce w marcu i kwietniu 1940 r.” Protokół został podpisany przez wszystkich dwunastu lekarzy.

NIKT NA NIM NICZEGO NIE WYMUSZAŁ

Bułgarski lekarz dr Markow później się załamał. Stawił się w Norymberdze jako świadek wersji rosyjskiej zdarzeń: że to mianowicie Niemcy po wkroczeniu na teren Rosji wymordowali tych Polaków. Jak powiedział, wymuszono na nim podpis pod protokołem.

Temu wszystkiemu zaprzeczył szwajcarski lekarz dr François Naville, w swoim wyjaśnieniu z lutego 1949 roku. Okoliczności złożenia podpisu pod protokołem objaśniał Naville w parlamencie Genewy, odpowiadając na zarzuty komunisty Vincenta. Vincent wyraził wtedy pogląd, że Naville musiał ulec niemieckiej presji lub został przekupiony sową nagrodą. Jednak Naville powiedział: „Nie zauważyłem nawet najmniejszego śladu nacisku ze strony Niemców na mnie i moich kolegów. Cały czas dyskutowaliśmy ze sobą z pełną swobodą i nie było przy tym żadnego Niemca. Nikt nie próbował na mnie wywrzeć nacisku lub mnie przekupić”.

³⁶ Mackiewicz posłużył się tą wersją dzienniczka Solskiego, gdzie odczytano: „w celkach straż”, a nie „w celkach (straszne)”. Por. analizę pamiętnika Solskiego w: J. Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii*, j.w.

³⁷ Czyli Czechy. (przyp. wyd.)

Gdy niemiecka propaganda rozpowszechniła w roku 1943 wiadomość o znalezieniu grobów, Rosjanie próbowali to najpierw zbagatelizować. 16 kwietnia 1943 podali informację, że chodzi prawdopodobnie o odkrycie archeologicznych wykopalisk „cementarzyska z Gniezdowa”.

Dopiero pod koniec kwietnia podali lepsze wyjaśnienie. Radio Moskwa zawiadamiło, że koło Katynia znajdował się obóz jeński. Niemcy posuwali się wtedy tak szybko, że obóz ten nie mógł zostać na czas ewakuowany. W obozie znajdowali się polscy jeńcy wojenni. Zostali następnie wszyscy bestialsko wymordowani przez Niemców.

Tę samą wersję powtórzył potem w Norymberdze sowiecki prokurator Pokrowski, w roku 1946. Wskazywał przy tym, że Niemcy mordowali Polaków w Oświęcimiu i Majdanku. Musieli więc dokonać zbrodni także w Katyniu.

W 1944 roku została powołana sowiecka Specjalna Komisja dla zbadania grobów katyńskich. Wynik badań tej komisji został przedłożony sądowi w zespole aktów sowieckich nr 54. Rzecznicy sowieccy określili liczbę zwłok na około 11.000.

To, co przedłożył sowiecki prokurator na bazie poszukiwań śledczych sowieckiej komisji, sprowadzało się zasadniczo do następujących twierdzeń:

* W 1941 roku polscy jeńcy wojenni znajdowali się w trzech obozach na zachód od Smoleńska. Zostali tam zaskoczeni we wrześniu 1941 przez niemieckich intruzów i wkrótce rozstrzelani.

* Masowych rozstrzeliwań miał dokonywać niemiecki oddział wojskowy pod przykrywką „Sztabu batalionu roboczego 537”. Kierowali tym podpułkownik Ahrens i Rex.

Aby świadczyć przeciwko tym oskarżeniom sowieckiego prokuratora zgłosił się pułkownik Ahrens, dowódca pułku łączności 537, oraz kilka osób ze sztabu Armii Środek, którym rzekomy oddział roboczy 537 bezpośrednio podlegał. Ale Pokrowski z powodzeniem sprzeciwiał się przesłuchaniu tych świadków.

(przekład z niemieckiego Jacek Trznadel)

(*Katyn – ein Verbrechen der Sowjets*. „Der Spiegel” 1952, nr 1, z 2 stycznia.)

ZEZNAНИЕ PRZED KOMISJĄ KONGRESU USA

[Przesłuchanie odbyło się w Londynie, 18 kwietnia 1952].

PUCINSKI: Świadek powiedział mi, że chce zeznawać po polsku.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Proszę o podanie pełnego nazwiska i adresu.

MACKIEWICZ: Józef Mackiewicz, 44 Malborough Place, London, N.W.8.

FLOOD: Czy świadek będzie zeznawać pod swoim nazwiskiem?

PUCINSKI: Tak.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Przed złożeniem zeznania chcemy pana uprzedzić, że ponosi pan ryzyko działań sądowych, które może podjąć każdy, kto uzna, że doznał przez pana jakiejś szkody. Równocześnie określe jasno, że rząd Stanów Zjednoczonych i Izba Reprezentantów nie przyjmują żadnej odpowiedzialności w związku z wystąpieniami o zniesławienie lub zniewagę, jakie mogą być wytoczone panu z powodu tego zeznania. Tłumacz zechce teraz powtórzyć to ostrzeżenia po polsku. (Tłumacz powtórzył.)

PUCINSKI: Świadek oświadcza, że rozumie przepisy i ostrzeżenia.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Teraz nastąpi zaprzysiężenie świadka: czy przysięga pan na Boga Wszechmogącego, że według pana najlepszej wiedzy powie pan czystą prawdę, całą prawdę i jedynie prawdę, w czym niech Bóg panu pomoże?

MACKIEWICZ: Przysięgam.

MACHROWICZ: Nazywa się pan Józef Mackiewicz, czy właśnie tak?

MACKIEWICZ: Dokładnie tak.

MACHROWICZ: Jest pan dziennikarzem i pisarzem?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Czy był pan kiedyś w Katyniu?

MACKIEWICZ: Tak, byłem.

MACHROWICZ: W którym roku?

MACKIEWICZ: W 1943.

MACHROWICZ: To było około 20 maja, czy tak?

MACKIEWICZ: Byłem tam po 20 maja. Dokładnej daty nie pamiętam.³⁸

MACHROWICZ: Jak się pan tam znalazł?

MACKIEWICZ: Zaprosili mnie tam Niemcy. Porozumiałem się z oficerem z dowództwa Polskiej Armii Podziemnej w Wilnie – nie pamiętam teraz jego nazwiska – pytając, czy powinienem lub nie pojechać do Katynia.

MACHROWICZ: Kiedy spytałem pana, czy to było w maju, czy określiłem rok? Mówimy o roku 1943?

MACKIEWICZ: Tak, oczywiście.

MACHROWICZ: I widział pan tam groby i zwłoki?

MACKIEWICZ: Oczywiście.

MACHROWICZ: Czy notował pan swoje spostrzeżenia?

MACKIEWICZ: Tak, oczywiście.

MACHROWICZ: Od tego czasu badał pan szczegółowo całą sprawę Katynia. Te zgromadzone fakty i poszukiwania stały się podstawą napisanej przez pana książki, czy tak?

MACKIEWICZ: Zgadza się.

MACHROWICZ: Muszę panu powiedzieć, że ja i kilku członków komisji mogliśmy przeczytać pańską książkę. Znaleźliśmy tam na prawdę ważne informacje. Ale teraz pragnąłbym skierować pańskie zeznanie raczej na sprawozdanie sowieckie. Czy pan je zna?

MACKIEWICZ: Oczywiście, znam.

MACHROWICZ: Czy je pan dokładnie studiował?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Czy próbował pan określić autentyczność zawartych tam stwierdzeń?

³⁸ Pobył „katyński” Józefa Mackiewicza, dziennikarza portugalskich i szwedzkiego oraz robotników polskich zaczął się w Smoleńsku 20 maja i trwał do 23 maja. Mackiewicz liczy prawdopodobnie tylko trzy dni samego „lasu katyńskiego”. W Katyniu Mackiewicz spotkał m.in. W. Kaweckiego, także przesłuchwanego przez komisję Kongresu. (przyp. wyd.)

MACKIEWICZ: Tak, dokonałem takiej analizy, a część spostrzeżeń jest w moich książkach.

MACHROWICZ: Czy mógłby pan teraz przekazać komisji swoje wnioski, dotyczące oficjalnego komunikatu władz rosyjskich?

DONDERO: Nie wiem, czy ma pan rosyjski komunikat? Jeśli to możliwe, poproszę o wnioski, związane z raportem rosyjskim, a potem poproszę o ukazanie jego sprzeczności.

MACHROWICZ: Dodam tylko, że mamy ten komunikat w naszych zbiorach w Waszyngtonie. Nie wiem, czy został zabrany, panie Pucinski?

PUCINSKI: Tak, mam go. Stanowi część materiału dowodowego nr 4, w części III.

MACHROWICZ: Proszę pokazać go świadkowi. (Komunikat rosyjski został przekazany świadkowi.)

MACHROWICZ: Czy teraz pan Mackiewicz zechciałby przekazać Komisji wnioski, które nasuwają mu się w związku z tym komunikatem i wskazać tę część komunikatu, którą chce pan skomentować?

MACKIEWICZ: Chciałbym, jeśli można, pominąć komentowanie tych fragmentów komunikatu rosyjskiego, gdzie są konstatacje medyczne, gdyż nie jestem lekarzem. Jeśli jest na to zgoda Komisji.

MACHROWICZ: Jak najbardziej. Proszę świadka. Słuchamy pana dalej.

MACKIEWICZ: Najpierw chciałbym sformułować kilka obserwacji ogólnych. Rosjanie oskarżyli Niemców, że dokonali oni tej zbrodni w 1941 r.

MACHROWICZ: Czy tłumacz przetłumaczył poprawnie to stwierdzenie? Czy chodzi o to, że Rosjanie wytoczyli oskarżenie w 1941 r., czy też oskarżyli oni Niemców, o popełnienie tej zbrodni w roku 1941?

PUCINSKI: Świadek wyjaśnił to mówiąc, że Rosjanie oskarżyli Niemców o dokonanie tej zbrodni w 1941 r.

FLOOD: Proszę świadka, czy może pan mówić głośnie, gdyż niektórzy członkowie Komisji znając dobrze polski, tak jak tłumacz, chcieliby słyszeć pana oryginalne polskie wypowiedzi.

MACKIEWICZ: Oczywiście.

FLOOD: Będzie pan więc mówić głośnie, nie zwracając się tylko do tłumacza?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Bardzo panu dziękuję.

MACKIEWICZ: Bolszewicy twierdzą, że Niemcy dokonali tej masakry w 1941 r. Natomiast Niemcy uważają, że zrobili to bolszewicy w roku 1940. Dlaczego jednak utrzymują, że Rosjanie zrobili to w 1940 r.? Przecież gdyby sami Niemcy dopuścili się tej masakry w 1941 r., to byłoby im znacznie wygodniej, łatwiej i prościej utrzymywać, że Rosjanie popełnili tę zbrodnię w czerwcu 1941 r. Wtedy nie nasuwałyby się problemy związane z lekarskimi obdukcjami zwłok i wnioskami medycznymi, datami dokumentów itd. Niemcy nie byłiby narażeni na rosyjskie oskarżenia, że sfabrykowali wiele szczegółów zbrodni dokonanej w Katyniu.

DONDERO: Mówiąc „dokumenty”, świadek ma na myśli dokumenty znalezione przy zwłokach?

MACKIEWICZ: Właśnie tak. Wiadomo, że Rosjanie wycofując się w czerwcu 1941 r. popełnili wiele strasznych masowych zbrodni, jak na przykład w Prowieniszkach na Litwie, w Berezewczu, w Wilejce, we Lwowie. W żadnym przypadku tych masowych rosyjskich zbrodni Niemcy nie oskarżyli Rosjan o popełnienie tych okropności przed latem 1941 r. Dodam, że wówczas nawet ja wiedziałem, że podczas odwrotu Rosjanie mordowali masowo ludność. Dla Niemców byłoby zatem prościej stwierdzić, że masakry katyńskiej dokonali Rosjanie w lecie 1941 roku. Trudno więc przypuścić, by Niemcy, którzy sami popełnili wiele okropności, nie rozeznali się w tej szczególnej sytuacji i nie doszli do wniosku, że dogodne byłoby dla nich mówienie o czerwcu 1941 r.

PUCINSKI: Świadek chciałby teraz wiedzieć, czy komisja zrozumiała ten szczególny punkt widzenia, jaki tu przedstawił.

MACHROWICZ: Proszę odpowiedzieć świadkowi, że uważam to za bardzo jasne. I sądzę, że członkowie Komisji dokładnie wszystko rozumieją.

MACKIEWICZ: Niemcy, jak wiadomo, nie popełnili żadnej masowej zbrodni przeciwko żołnierzom i całym obozom. Dlategoż więc w tym właśnie przypadku i to w czasie, gdy prowadzili wojnę z Rosjanami, Niemcy mieliby wymordować tych, którzy byli więźniami Rosjan. W związku z tym chciałbym zwrócić uwagę, a nawet uwydatnić sprawę obozu w Ostaszkowie. W Ostaszkowie było przeszło 6,5 tysięcy ludzi. Trzymano tam przede wszystkim policję, w większości umundurowaną całkowicie odmiennie od armii regularnej. Gdy Niemcy zaatakowali Polskę, a szczególnie gdy zajęli tę jej część, którą nazywali Ostlandem, zachowali część znajdujących się tam polskich sił policyjnych i rozpoczęli poszukiwanie dalszych polskich funkcjonariuszy spośród policji, która znajdowała się na

terenach Ostlandu przed 1941 r. Pamiętam, że w sierpniu 1941 roku Niemcy włożyli wiele wysiłku w poszukiwanie rekrutacji wśród byłych polskich policjantów, tak aby na tym terenie mogli oni utrzymać porządek jako siły cywilne. Dlaczego więc mieliby mordować 5 tysięcy polskich policjantów z obozu w Ostaszkowie, będących na domiar zdecydowanymi i zawziętymi przeciwnikami bolszewizmu.³⁹

DONDERO: Proszę zapytać świadka, przed dalszym wywoływaniem, o określenie dla protokołu, czy Ostland związany jest ze wschodnią Polską, czy Ostland jest wschodnim obszarem niemieckim.

MACKIEWICZ: Nie jest. Mówię o tym obszarze, który tworzyła Litwa, Białoruś, a częściowo wschodnia Polska i Łotwa. Ta część była znana jako Ostland i tak ją też nazywano.

DONDERO: Jest to jednak przede wszystkim wschodnia część Polski?

MACKIEWICZ: Tak. Jednak Niemcy nie mogli zamordować tych policjantów w Katyniu, ponieważ w Katyniu tych policjantów nie odnaleziono. Nikt ich tam nie odkrył, co z pewnością by nastąpiło, ponieważ nosili całkiem odmienne mundury. Żadna z dwu stron, Niemcy czy Rosjanie, nie twierdziła, że w Katyniu natrafiono na zwłoki policjantów. W związku z tym istotne jest określenie liczby zwłok znalezionych w Katyniu. Komunikat rosyjski określa liczbę zwłok w Katyniu na 11 tysięcy, ale jak dotąd znaleziono niewiele ponad 4 tysiące zwłok i nie było tam policjantów. Bolszewicy podali więc liczbę 11 tysięcy, jeśli jednak przypuścić, że te 4 tysiące, które znaleziono w Katyniu, rzeczywiście zamordowali Niemcy, to pozostaje pytanie: gdzie jest reszta. Ponadto łączy się z tym sprawa ostatniej korespondencji. Rosjanie twierdzą, że znaleźli przy zwłokach korespondencję, dodowdzącą, że ludzie ci utrzymywali pisemny kontakt z rodzinami aż do 1941 r. Powiedzmy, że w Katyniu było 11 tysięcy zwłok, a każdy z zamordowanych miał w zasadzie jakąś rodzinę w Polsce, składającą się z jednej do sześciu osób.

Wtedy liczba potencjalnych świadków w Polsce, mogących zeznać, że korespondowali z jakimś członkiem rodziny z tych obozów, aż po rok 1941, z tym rokiem włącznie – musiałaby osiągnąć liczbę, w zaokrągleniu, od 20 do 30 tysięcy. Niemcy, mający poważne zyski propagandowe dla własnych celów, musieliby u-

³⁹ Teren obozu ostaszkowskiego – inaczej niż w wypadku Kozielska i Starobielska – nie znalazł się w rękach niemieckich. Był tuż przy linii frontu. (przyp. wyd.)

względnie fakt, że w kraju zamieszkałym przez ludność ogólnie źle do Niemców nastawioną, wiadomość o niemieckim kłamstwie na pewno szybko by się rozeszła. Niemcy nigdy nie dopuściliby do takiej kompromitacji. To są najbardziej ogólne wnioski, które chciałem przedstawić Komisji. Pragnąłbym podnieść jeszcze jedną sprawę: to problem Żydów. Bardzo żywa niemiecka propaganda antysemicka miała na celu postawienie znaku równości między Żydami i bolszewikami. Na dowód, mogę przedstawić broszurkę opublikowaną przez Niemców, gdzie mówi się...

MACHROWICZ: Czy mógłby pan poinformować świadka, że komisja posiada tę broszurę? Była już analizowana.

MACKIEWICZ: W tej książeczce określa się często morderców z Katynia jako Żydów. Jeśliby więc dokumenty, które znaleziono przy zwłokach zostały sfalszowane przez Niemców, byłoby rzeczą prostą zniszczenie dokumentów, wskazujących, że pośród ofiar zbrodni katyńskiej znajdowało się wielu Żydów, ponieważ oczywiście taki fakt zmniejszał wartość ich propagandy. Jednak Niemcy do tego stopnia nie chcieli się narażać na kwestionowanie prawdy ich odkryć w Katyniu, że rzeczywiście ujawnili nazwiska Żydów, którzy byli wśród ofiar zbrodni katyńskiej. Oto kilka nazwisk: Waltenberg,⁴⁰ Man'el, Lippoman,⁴¹ Glikman czy jeszcze inne nazwiska wskazujące, że byli tam Żydzi, na przykład Abraham Engiel, Dawid Godel, Samuel Rozen, Izaak Gutman itd.

Teraz chciałbym zwrócić uwagę na kilka szczególnych elementów rosyjskiego komunikatu. Twierdzi się tam, że Polaków nie przywieziono do stacji kolejowej Gniezdowo w 1940 roku, że nie zostali wtedy zamordowani, lecz umieszczono ich w trzech obozach, Nr 1-ON, Nr 2-ON i Nr 3-ON, położonych 25 do 45 kilometrów na zachód od Smoleńska, a w czasie niemieckiej ofensywy dostali się w ręce Niemców. Jest to oczywiste kłamstwo, w tej okolicy nie było nigdy żadnych obozów. Komunikat rosyjski nie mówi dokładnie, gdzie znajdowały się te trzy obozy. Oczywiście, gdyby te trzy obozy naprawdę istniały, powiadomiono by o tym ambasadora Kota, generała Sikorskiego, generała Andersa i pana Czapskiego, którzy bardzo długo prowadzili poszukiwania tych ludzi.

MACHROWICZ: To znaczy, według pana, władze sowieckie odpowiedziałyby na liczne pytania tych osób, które pan wymienił, podając dokładnie miejsce pobytu więźniów. Czy to miał pan na myśli?

⁴⁰ Nie ma takiego nazwiska na liście katyńskiej. (przyp. wyd.)

⁴¹ W zeznaniu: Lippman. Nie ma takiego nazwiska na katyńskiej liście Moszyńskiego. Dopiero ostatnio nazwisko: Lippoman ustaliła lista Tucholskiego. (przyp. wyd.)

MACKIEWICZ: Oczywiście. Następnie, komunikat czy też raport rosyjski mówi, że oficerem dowodzącym obozem Nr 1-ON był major NKGB, o nazwisku Wietosznikow. Kiedy Niemcy byli już blisko, porozumiał się on z oficerem dowodzącym transportem w Smoleńsku, Iwanowem. Prosił go o wagony, by przeprowadzić ewakuację Polaków. Jednak nie udało się zorganizować tych wagonów, Polacy wpadli więc w ręce niemieckie, a sam Wietosznikow przyłączył się do oddziałów rosyjskich i nie dostał się do niewoli. Jeśli więc Wietosznikow, jako oficer bezpieczeństwa, znał miejsce pobytu tych żołnierzy, dlaczego nie wiedział o tym Stalin, Mołotow i Wyszynski w Moskwie? Tak więc przez dwa lata szukali pozornie miejsca pobytu tych żołnierzy. Wietosznikow na pewno musiałby zameldować swoim przełożonym, co stało się z tymi więźniami, a gdy Czapski wielokrotnie zapytywał NKWD, mogliby go natychmiast zawiadomić, że ci ludzie dostali się do niewoli niemieckiej.

FLOOD: Zwłaszcza jeśli przypomnieć sobie taką oczywistość, jak rozmowy telefoniczne Stalina z szefem NKWD na ten temat, prowadzone w obecności polskich negocjatorów.

MACKIEWICZ: Tak, a NKWD pozornie odpowiada, że nie znają miejsca pobytu tych ludzi. Załóżmy, że Wietosznikow nie mógł otrzymać żądanych wagonów od Iwanowa. Mógłby jednak ewakuować tych wojskowych pieszo, zwłaszcza że Wietosznikow domagał się tych wagonów 12 lipca, a oficjalny komunikat sowiecki z 23 lipca 1941 r. mówił, że Rosjanie nadal panują nad Smoleńskiem.

MACHROWICZ: Proszę świadka: w tej sprawie Wietosznikow twierdzi, że nie potrafił zdobyć niezbędnych wagonów do ewakuacji więźniów, czy mam rację?

MACKIEWICZ: Tak, właśnie to twierdzi.

MACHROWICZ: Następnie on pozostał w Rosji, jak to pan przed chwilą powiedział, czy właśnie tak?

MACKIEWICZ: On sam ewakuował się, twierdzi jednak, że pozostały tam obozy.

MACHROWICZ: Czy nie miał obowiązku złożenia meldunku przełożonym, że nie można zdobyć wagonów, a więc dokonać ewakuacji oficerów?

MACKIEWICZ: Niewątpliwie powinien był to zrobić.

MACHROWICZ: A zatem, w lipcu 1941 roku wyższe władze sowieckie powinny były dobrze wiedzieć, co stało się z polskimi oficerami, czy nie tak?

MACKIEWICZ: Niewątpliwie, to chciałem wyrazić..

MACHROWICZ: Pomimo to, nawet po roku 1941, na liczne zapytania władz polskich Rosjanie wciąż odpowiadają, że nie znają miejsca pobytu tych oficerów, prawda?

MACKIEWICZ: Dokładnie tak.

FLOOD: Warto zauważyć, w związku z tym i podobnymi szczegółami, że Niemcy mieli i mają szczególny talent gromadzenia danych i dokumentacji, list wszystkich nazwisk oraz wszystkich przedmiotów, będących własnością więźniów, których przetrzymują.

MACKIEWICZ: Tak, to prawda.

FLOOD: Tak że Niemcy z powodu tego zastanawiającego psychologicznego kaprysu nie mogliby zapewne powstrzymać się od sporządzenia listy czy nawet opisu materialnych szczegółów, dotyczących ludzi, na których dokonano egzekucji.

MACKIEWICZ: Tak, niewątpliwie.

FLOOD: A przede wszystkim, nawet zachowując się potwornie podczas działań wojennych, przywiązywali wielką wagę do sporządzania list wszystkich więźniów wojennych, każdej kategorii?

MACKIEWICZ: Tak.

FLOOD: Zważając na dokładne spisy osób cywilnych robione przez Niemców, musieliby mieć szczególnie dobre spisy jeńców wojennych.

MACKIEWICZ: Oczywiście.

FLOOD: Trudno sobie wyobrazić, że gdyby Niemcy przetrzymywali tysiące polskich oficerów, nie byłoby nigdzie żadnego zapisu o tych więźniach wojennych, byłoby to sprzeczne z całą niemiecką praktyką.

MACKIEWICZ: Na pewno mieliby takie spisy.

FLOOD: A my dotąd nie odkryliśmy w spisach Wehrmachtu niczego odnoszącego się do polskich oficerów na tamtym terenie i w tamtym czasie.

MACKIEWICZ: Właśnie tak.

MACHROWICZ: Proszę kontynuować wypowiedź.

MACKIEWICZ: Rosjanie przyznają w swoim komunikacie, że rozładowano czy wysadzono z pociągu Polaków na stacji kolejowej Gniezdowo wiosną 1940 roku, ale nie tłumaczą, dlaczego wybrali Gniezdowo do wyładowania tych ludzi, skoro chcieli ich internować w obozach oddalonych o 45 kilometrów, i skoro w okolicy znajdowały się inne stacje, blisko od tych rzekomych obozów.

MACHROWICZ: Ujmując inaczej, stwierdzają jedynie, że wyładowali ich w Gniezdowie i przewozili ciężarówkami czy też samochodami dalsze 15 do 30 mil, podczas gdy na tę odległość mogli przewieźć jeńców pociągiem, czy nie tak?

MACKIEWICZ: Nie. Rosjanie nie mówią w komunikacie o przewożeniu więźniów ciężarówkami, a tylko, że wyładowali ich w Gniezdowie. Natomiast w jaki sposób dowieźli więźniów do rzekomych obozów, pozostaje niewyjaśnione.

MACHROWICZ: Więc nie wyjaśniają w swoim raporcie, w jaki sposób jeńcy przebyli te 15 do 30 mil, które mogli łatwo przejechać pociągiem, czy tak?

MACKIEWICZ: Właśnie tak. Na pewno ci ludzie mogliby zostać dowiezieni pociągiem do obozów, gdyby nie to, że załadowani na ciężarówki zostali przewiezieni do lasu katyńskiego.

DONDERO: Chciałbym zapytać: czy gdzie indziej znajdowały się podobne obozy lub budynki?

MACHROWICZ: Stwierdzam do protokołu, że świadek oświadczył, że nie ma żadnych dowodów istnienia obozów na tym terenie. Czy tak?

MACKIEWICZ: Na tym terenie istotnie nie było żadnych obozów, do których, według Rosjan, zabrano by więźniów. Byłem bardzo zadowolony, gdy potwierdzili mi to w rozmowach mieszkańcy tej okolicy oraz Iwan Kriwoziercew. Wszyscy oni powiedzieli, że na tamtym terenie nigdy nie było żadnego obozu. Ale chciałbym jeszcze przedstawić komisji inny szczegół.

Wiosną 1943 roku, gdy Niemcy opublikowali wiadomości o Katyniu, w Polsce i w Rosji panowały tak ostre nastroje antyniemieckie, że powstało wiele rozmaitych wersji tego wydarzenia, negujących wersję niemiecką.

W tym czasie, przekazywanie wiadomości, szczególnie przez radio, było bardzo ograniczone, dlatego wielu ludzi nie znało wersji niemieckiej. Zaś agenci rosyjscy byli bardzo czynni na tym terenie, rozpowszechniali pogłoski związane z ich wersją, by zdyskredytować wersję niemiecką.

I tak, kiedy byłem w Katyniu, przebywało tam równocześnie dwóch korespondentów portugalskich. Jeden z nich powiedział mi, że zwiedzał małą wioskę, do której zabrali go Niemcy, a potem pytał mnie kilkakrotnie, czy jestem pewien, że jest to dzieło Rosjan. Zapytałem: "Dlaczego pan pyta?" Opowiedział mi o rozmowie w tej wiosce z młodą dziewczyną, która oświadczyła, że ci zamordowani ludzie "to naprawdę Żydzi, przebrani w polskie mundury".

Były więc w obiegu i takie fantastyczne opowieści. Gdyby na tym terenie naprawdę znajdowały się te trzy obozy, to oni wiedzieliby, że w tych obozach byli Polacy, że przyszli Niemcy i że uwięzili Polaków, a następnie ich zamordowali. Ale nikt nic nie słyszał o takich obozach na tym terenie.

DONDERO: Czy chce pan przez to powiedzieć, że na tym terenie nie było żadnych niemieckich obozów, ani też obozów, gdy byli tam Rosjanie?

MACKIEWICZ: Nie było tam nigdy żadnych obozów.

Rozpatrzmy teraz dokumenty, o których Rosjanie mówią, że znaleźli je przy zwłokach. Znajdowały się na nich daty późniejsze od wiosny 1940 r. Rosjanie przedstawili tylko dziewięć takich dokumentów, numer pierwszy i drugi to karty pocztowe nadane z Polski. Bardzo łatwo było uzyskać podobne karty na pocztę, jeśli były im potrzebne. To mogły być autentyczne karty. Następnie, mamy tu pokwitowania odbioru albo notatki, które rzekomo sporządzono w tych obozach. Mogły być bardzo łatwo sfalszowane. Następny dowód to list należący do Stanisława Kuczyńskiego, napisany 20 czerwca 1941 r. Ten list mógł być rzeczywiście wtedy pisany, ale Kuczyński był internowany w Starobielsku i wywieziony stamtąd już w grudniu 1939 roku.

Więc podkreślam: Kuczyńskiego wywieziono wówczas z tego obozu, po czym ślad po nim zaginął. Możliwe że mógł być przetrzymywany w jakimś innym więzieniu, i zgładzony nie wiadomo kiedy. Ale nigdy nie był w Kozielsku, a jego zwłok nie znalezione w Katyniu. Dalej, Rosjanie utrzymują, w jednym zdaniu czy fragmencie komunikatu, że Niemcy bardzo starannie badali zwłoki. W innym fragmencie komunikatu twierdzą jednak, że obdukcja zwłok była powierzchowna. Tak czy inaczej, wiemy, że Niemcy zbadali jedynie 4.143 zwłoki. Natomiast Rosjanie mocno podkreślają, że było tam 11 tysięcy zwłok. Gdzież więc są dokumenty tych pozostałych 7 tysięcy zwłok, których Niemcy nigdy nie badali? Skoro Niemcy utrzymują, że przy 4.143 ciałach znaleźli 3.940 dokumentów, listów i innych notatek, to logiczne jest pytanie: dlaczego Rosjanie znaleźli jedynie dziewięć listów przy 7.000 zwłok nie badanych przez Niemców? Jest także niewątpliwe, że w czasie wycofywania się Rosjan i postępów niemieckich, tych 11 tysięcy wojskowych z pewnością nie siedziałyby bez ruchu w tych trzech obozach.

MACHROWICZ: Innymi słowy, chciałby pan dać do zrozumienia, że po wycofaniu się Rosjan, a przed wejściem Niemców, musiałby być jakiś okres, kiedy nikt nie miałby kontroli nad tymi obozami?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: A część więźniów miałyby z pewnością znakomitą okazję do ucieczki?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Nie mieliby chęci czekać na Niemców i z nimi się zaznajamiać?

MACKIEWICZ: Tak. Jestem zupełnie przekonany, że w czasie pomiędzy wycofywaniem się jednych a nadejściem drugich w obozach nie pozostałby żaden wojskowy. Z pewnością wszyscy by się rozproszyli i zniknęli.

MACHROWICZ: Wiem, że badał pan gruntownie los tych 11 tysięcy oficerów, którzy według Rosjan mieli przebywać w tych obozach. Czy słyszał pan choćby o jednym uciekinierze?

MACKIEWICZ: Nie słyszałem, ani o jednym.

MACHROWICZ: Czy to logiczne przypuszczenie, co do tych 11 tysięcy oficerów, że gdyby w pewnej chwili nie sprawowano już nad nimi kontroli, przynajmniej jeden zdołałby uciec i o tym opowiedzieć?

MACKIEWICZ: Tak. Z całą siłą powtarzam, że gdyby było tak, jak twierdzą Rosjanie, to 11 tysięcy więźniów mogłoby uciec i nikt nie pozostałby w obozach, a komisja miałaby nie jednego, ale tysiące świadków, mogących dokładnie opowiedzieć, co i jak się tam wszystko działo. A nie macie przecież ani jednego.

Proszę wziąć pod uwagę niemiecką taktykę, a miałem okazję obserwować ją bezpośrednio, zajmowania przez Niemców różnych obszarów wojskowych. Posuwano się zagonami pancernymi, pozostawiając duże obszary, nie okupowane i nie strzeżone. Bywało i tak, podczas posuwania się ich pancernego klina, że w tyle pozostawały całe armie rosyjskie, nawet uzbrojone.

Jeden przykład, z okolic Wilna, z puszczy zwanej Rudnicką: Niemcy byli już prawie pod Moskwą, doszli do granic miasta, a w tej puszczy były jeszcze duże oddziały Rosjan. To absurdalny pogląd, że Niemcy podczas swojej ofensywy braliby pod uwagę te trzy obozy, zatrzymali więźniów przy pomocy straży, podczas gdy równocześnie pozostawiali w tyle całe uzbrojone armie.

DONDERO: Armie rosyjskie?

MACKIEWICZ: Tak, rosyjskie armie. Kraj był faktycznie szeroko otwarty przez bardzo wiele miesięcy i każdy mógł łatwo przemieszczać się skąd i dokąd chciał. Więc ci polscy wojskowi mogliby albo uciekać na teren rosyjski, albo wracać w stronę swoich rodzin i ojczystego kraju.

MACHROWICZ: Absurdalność twierdzeń rosyjskich określa fakt, że nie znalazł się ani jeden oficer, który by stamtąd uciekł, podczas gdy jest faktem historycznym, że nie tylko tysiące, ale wiele tysięcy polskich oficerów i żołnierzy uciekło rzeczywiście z różnych rosyjskich obozów, nawet z dalekiej Syberii i przyłączyło się do sił sojuszniczych? Czy nie tak było?

MACKIEWICZ: Nie wiem o żadnej ucieczce Polaków z obozów rosyjskich, ale wiem na pewno, że wielu Polaków uciekało w znacznie trudniejszej sytuacji. Jeśli nie było szybkiego odwrotu Niemców, uciekali z niemieckich obozów i przyłączali się do sił sojuszniczych. By ukazać jasno obraz okolic Smoleńska i panujących tam warunków, zwrócę uwagę komisji na artykuł, z rosyjskiej gazety „Izwestija”, nr 224 z 22 września 1945, napisany przez niejakiego Isakowskiego, a zatytułowany: *Na Smoleńszczyźnie*. Autor opisuje działania sowieckich partyzantów na tym terenie, jak przemieszczali się tam niszcząc mosty, magazyny zaopatrzenia i rozwijając różną działalność podziemną. Uważać, że w takich warunkach nie mogłoby uciec 11 tysięcy oficerów, i wręcz ani jeden, jest absurdem.

Zresztą oficjalny raport rosyjski mówi, że kilku z tych polskich oficerów uciekło, gdy obozy znajdowały się pod kontrolą niemiecką, i że Niemcy schwytyli ich, a nawet że schwytyli wszystkich. Byłoby to niemożliwe w ówczesnych warunkach, nie dałoby się ich wszystkich schwytać. Na temat tego punktu komunikatu sowieckiego prowadziłem rozmowę z Kriwoziercewem. Powiedział, że na tych terenach nigdy nie było obław czy poszukiwań, prócz jedynej obławy na kogoś ważnego, którą zawiniła pewna kobieta z podziemia. To był jedyny przypadek, jaki pamiętał. Chciałbym także zwrócić uwagę komisji na fragment komunikatu rosyjskiego, gdzie cytuje się oświadczenia wielu świadków. Proszę zastanowić się nad wartością zeznań złożonych przed komisją sowiecką. Jak wiadomo, od 1939 roku w czasie wszystkich przewodów sądowych i legalnych procesów i przesłuchań w Polsce, na Węgrzech i innych krajach pod okupacją sowiecką, oskarżeni nieodmiennie przyznają się do popełnienia zbrodni. Oczywiście, jest oskarżenie i akt oskarżenia. A czego można się spodziewać od świadków, którym nie wolno złożyć innych zeznań, niż nakazane? Są to fakty notorycznie znane, ale trzeba o tym stale pamiętać oceniając ten komunikat.

MACHROWICZ: W takim razie, co powiedziałby pan o oświadczeniu świadka, tak szczególnego, jak Moskowskaja. Mówi pan o tym w swojej książce.

MACKIEWICZ: Wspominam o niej w swojej książce, ale żeby było jasne, powiem, że nigdy z tą kobietą nie rozmawiałem. Zresztą nie wiem, czy ta osoba rzeczywiście istnieje.

MACHROWICZ: Czytał pan jej oświadczenie, nieprawdaż?

MACKIEWICZ: Tak, czytałem.

MACHROWICZ: I co pan o tym sądzi?

MACKIEWICZ: Podkreślałem, że świadectwo czy zeznanie tej Moskowskiej to najważniejszy składnik rosyjskiego raportu. To podług tego Niemcy otworzyli groby, ekshumowali wszystkie zwłoki, i usunęli wszystkie dokumenty i listy, które znaleźli przy tych zwłokach. Ale ja byłem tam i widziałem na własne oczy. Kiedy nas tam przywieziono, Niemcy zapewnili nam pełną swobodę, mogliśmy oglądać zwłoki, przyglądać się dokumentom, badać je, zabrać na pamiątkę, zabierać wszystko, co leży w lesie.

PUCINSKI: Świadek poprawia swoją wypowiedź, mówiąc, że jednak nie można było zabierać „wszystkich dowodów rzeczowych”. Świadek wyjaśnia, że dokumenty, związane z ustaleniem tożsamości ofiar, składano osobno, zaś takie przedmioty jak grzebyki, papierosnice, pieniądze i inne rzeczy osobiste, można było przeglądać swobodnie.⁴²

MACKIEWICZ: Niemcy wszystkie te rzeczy osobiste odrzucali między drzewa, leżały wszędzie na ziemi. Kiedy się tam znalazłem, jedną z pierwszych rzeczy, na które zwróciłem uwagę, były ogromne ilości gazet. Czasem były to całe gazety, a czasem wycinki lub po prostu kawałki papieru. Niekiedy w gazety zawinięty był tytoń. Przepatrywałem te gazety i stwierdziłem, bądź na podstawie tekstu, bądź ich dat, że żadna z tych gazet nie ukazała się później niż w kwietniu lub wiosną 1940 roku.

DONDERO: Proszę spytać świadka, co było potem z tą kobietą?

MACHROWICZ: Świadek przejdzie do tej sprawy. To jest wprowadzenie.

MACKIEWICZ: Oto problem: w jaki sposób 4 tysiące ludzi, którzy mieli te wszystkie dokumenty i gazety, mogłoby je zachować po kwietniu 1940 roku? Listy na pewno zachowywano jako pamiątki, ale trudno uwierzyć, by tak wielu ludzi miało zwyczaj trzymania starych gazet. Faktem jest zresztą, że nie mogłoby ich przechować tak długo, ponieważ te gazety były drukowane na wyjątkowo marnym papierze i nie przetrwałyby półtora roku. Jest nie do pomyślenia, że ci ludzie przechowywaliby gazety z 1940 roku. Nie miałyby to sensu, i byłoby bezcelowe, biorąc pod uwagę użytek,

⁴² W oryginale pomyłkowo połączono wypowiedź członka Komisji i Mackiewicza. (przyp. wyd.)

jaki z nich robiono, byłyby zbyt stare i zniszczone, było to widoczne i oczywiste.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Proszę zapytać świadka, ile czasu spędził przy grobach podczas ekshumacji: tydzień, miesiąc, jak długo?

MACKIEWICZ: Byłem tam trzy dni.⁴³

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Proszę spytać, czy świadek wie, jak długo trwała ekshumacja zwłok? Tydzień, czy może miesiąc?

MACKIEWICZ: Około dwóch miesięcy.

DONDERO: Chciałbym, aby poproszono świadka o opisanie w kilku słowach okolicy, w której znaleziono groby, rodzaju i koloru ziemi.

PUCINSKI: Czy mógłbym najpierw skończyć przesłuchanie związane z tą kobietą?

DONDERO: Tak, proszę kontynuować.

MACKIEWICZ: Jeśli więc Rosjanie twierdzą, że Niemcy sfalszowali dokumenty należące do tych zwłok, to Niemcy musieliby usunąć ze zwłok wszystko, co nosiło datę późniejszą niż wiosna 1940 roku. Jest jednak praktycznie niemożliwe, żeby mogli zdobyć tysiące gazet datowanych z tego okresu, i umieścić je przy zwłokach tych martwych mężczyzn. Wymagaloby to przerażającego wysiłku i przerażających przygotowań. Byłem tam i oglądałem dokładnie te ciała w grobach, jak sardynki, całkowicie ze sobą sprasowane. W czasie ekshumacji kieszenie musiały być rozcinane nożem, także cholewy wysokich butów musiały być tak rozcinane, wyciągano stamtąd różne dokumenty. Byłoby absolutnie absurdałne, gdyby przyjąć rosyjską tezę, że dokumenty zostały przez Niemców włożone do zwłok, a następnie te ciała zostały zakopane, a potem, w miesiąc później Niemcy mieliby sprowadzić w to miejsce ludzi, mówiąc: „Patrzcie, znaleźliśmy tutaj zwłoki”. Byłby to na pewno wysiłek nadludzki; i by dowieść, że Niemcy dokonali owego nadludzkiego wysiłku, Rosjanie mają tylko jednego świadka, którym jest ta Moskowskaja. Twierdzi ona, że pewnego ranka wyszła z domu, poszła do szopy i ujrzała tam rosyjskiego więźnia o nazwisku

⁴³ W swojej książce o Katyniu Mackiewicz mówi o czterech dniach, trzeciego dnia – jak relacjonuje – oglądał jeszcze gabloty pamiątek i dowodów wystawione we wsi Gruszczenka. Błąd mieści się zapewne w nieprecyzyjnej odpowiedzi na pytanie, które mówi o obecności „przy grobach”. Były to cztery dni zawarte między przylotem i odlotem ze Smoleńska. (przyp. wyd.)

Jegorow. Właśnie ten Jegorow miał jej rzekomo opowiedzieć ze wszystkimi szczegółami, jak ten plan wykonano.

W całej tej analizie przydarzył się jednak Rosjanom pewien fatalny przypadek, pomyłka, twierdzą bowiem, że Moskowskaja widziała Jegorowa w marcu.

MACHROWICZ: Którego roku?

MACKIEWICZ: W marcu 1943, i ten Jegorow opowiedział jej szczegółowo wszystko, a następnie doprowadził swoją opowieść do kwietnia 1943 roku. Ale kto jest zdolny opowiadać w marcu 1943, co zdarzyło się w kwietniu 1943?

DONDERO: W którym miesiącu Niemcy wkroczyli na te tereny?

MACKIEWICZ: W lipcu 1941.

MACHROWSKI: Czy może pan dokończyć swoją opowieść?

MACKIEWICZ: Utrzymuję, że wszystko, co Rosjanie twierdzą w swym oficjalnym oświadczeniu to kłamstwo i każdy, czytający raport, widzi, że jest to kłamstwo tak wszechogarniające, że nikt nawet nie zauważył tego błędu w oficjalnym komunikacie rosyjskim. W oficjalnym komunikacie rosyjskim opublikowanym 5 marca tego roku, błąd nadal istnieje.

MACHROWICZ: Jak mi się wydaje, pan Mackiewicz jeszcze nie wyjaśnił, co takiego stało się w marcu 1943 r., i co Jegorow powiedział Moskowskiej o wydarzeniach kwietnia 1943 r.

MACKIEWICZ: Jegorow opowiedział jej, że z niemieckiego obozu numer 126, gdzie więziono jeńców rosyjskich, nie podał zresztą dokładnie gdzie był ten obóz, Niemcy przewieźli rzekomo 500 więźniów do Katynia. I właśnie ci więźniowie mieli wykonać ogromną pracę ekshumowania zwłok i dokonać manipulacji z dokumentami przy zwłokach, pod ścisłą kontrolą niemiecką.

MACHROWICZ: Według raportu rosyjskiego te 500 osób, to Rosjanie, prawda?

MACKIEWICZ: Tak, to mieli być Rosjanie i wszystkich, według raportu rosyjskiego, rozstrzelano. I tylko Jegorowowi udało się przeżyć. Natomiast z nieznanых powodów oficjalny komunikat rosyjski nie mówi, dlaczego rozstrzelano tych pięćuset więźniów i gdzie znajdują się ich groby.⁴⁴ Zaś tego Jegorowa i tak następnie

⁴⁴ Por. dotyczący tej sprawy przypis wydawcy w części pierwszej. (przyp. wyd.)

schwyłali Niemcy,⁴⁵ więc zdążył opowiedzieć to wszystko tylko Moskowskiej.

MACHROWICZ: Jednak w marcu 1943 r. mówił Moskowskiej o pracach, rzekomo wykonywanych przez więźniów w kwietniu, czy tak?

MACKIEWICZ: Właśnie tak.

FLOOD: Czy ten rosyjski świadek był może jasnowidzem, czy pan to stwierdził?

MACKIEWICZ: Co do mnie, uważam, że ten mężczyzna nigdy po prostu nie istniał.⁴⁶

MACHROWICZ: Tych 500 Rosjan, zgodnie z rosyjską wersją, po ekshumacji zwłok i sfalszowaniu danych zostało rozstrzelanych przez Niemców, czy tak?

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Wersja rosyjska mówi o pięciuset??

MACKIEWICZ: Tak.

MACHROWICZ: Czy slyszal pan, w jakiejkolwiek wersji rosyjskiej, jakimkolwiek stwierdzeniu, że odnaleziono groby tych 500 Rosjan?

MACKIEWICZ: Nie slyszalem nigdy, gdzie bylyby te groby, a oficjalny komunikat rosyjski nic o tym nie mowi.

MACHROWICZ: Zatem, pięciuset Rosjan, zmuszonych rzekomo przez Niemców do rozkopywania grobów, a potem przez nich rozstrzelanych, po prostu rozplynęło się w powietrzu po wykonaniu pracy?

MACKIEWICZ: Właśnie tak. Chciałbym podkreślić, że rosyjski komunikat nie tylko nie lokalizuje ich grobów, ale nie podaje też, gdzie znajdował się obóz, z którego zabrano tych mężczyzn.

MACHROWICZ: Obóz nr 126?

MACKIEWICZ: Obóz nr 126.

⁴⁵ W oryginale ewidentny błąd: „Bolshevicks”. (przyp. wyd.)

⁴⁶ Sprawa Jegorowa z komunikatu Burdenki, na co w czasie przesłuchania Mackiewicz nie zwrócił uwagi, jest ciekawa jeszcze z tego względu, że Rosjanin o tym nazwisku (choć innym imieniem) został rzeczywiście rozstrzelany przez Niemców, za grabież grobów oficerów polskich w Katyniu, o czym opowiada Iwan Kriwoziercew w rozmowie z Józefem Mackiewiczem w jego książce o Katyniu (t. I). Być może właśnie ze względu na zgodność nazwiska wykorzystano ten fakt do nowej mistyfikacji. (przyp. wyd.)

FLOOD: Czy kiedykolwiek zajmował się pan osobą tak zwanego Mienszagina, rzekomo mianowanego przez Niemców burmistrzem Smoleńska, gdyż był prawnikiem, a o którym Rosjanie mówią, że potwierdził zamordowanie Polaków przez Niemców?

MACKIEWICZ: Nie. Nigdy tego Mienszagina nie spotkałem i nigdy nie miałem z nim kontaktu. Jednak całkiem niedawno, w Paryżu, czytałem w gazecie, że pewien Rosjanin po ucieczce z Rosji, złożył oświadczenie, że zeznania Mienszagina były fałszywe.

FLOOD: Czy wie pan coś o istnieniu osoby Mienszagina?

MACKIEWICZ: Nic na ten temat nie wiem.⁴⁷ Jest jeszcze jeden problem, do którego nie odniosłem się w moim zeznaniu. Wszyscy świadkowie, wymienieni w rosyjskim komunikacie, podają sierpień i wrzesień 1941 roku jako datę popełnienia zbrodni. Taka mówią świadkowie. Na przykład świadek Fatkow twierdził, że po wrześniu przerwano masowe egzekucje. Świadek Aleksiejewa zeznaje, że Niemcy dokonali egzekucji w końcu sierpnia ...

FLOOD: 1941?

MACKIEWICZ: Tak, 1941. Podobne oświadczenia złożyły przyjaciółki, Michajłowa i Konachowska. Także Mienszagin, o którego pytał pan Flood, powiedział rzekomo Bazilewskiemu, że wszystkich Polaków zastrzelono przed 15 września. Ani jeden świadek nie mówi, że ci ludzie zostali rozstrzelani w październiku czy listopadzie. Tymczasem oficjalne oświadczenie rosyjskie mówi, że Polaków zamordowano między wrześniem i grudniem 1941, a nie w sierpniu, jak chcą świadkowie.

Zachodzi pytanie, skąd taka różnica pomiędzy oficjalnym komunikatem rosyjskim a zeznaniami świadków? Dlaczego oficjalny komunikat rosyjski nie wierzy własnym świadkom i nie stwierdza, że tych wojskowych rozstrzelano w sierpniu lub we wrześniu, ale mówi o okresie między wrześniem aż po grudzień? Zagadka rozwiązuje się tak, że do Rosjan w Katyniu dotarła korespondencja z Moskwy. Zauważono, że zamordowani wojskowi w znacznym procencie byli ubrani w odzież zimową. Nikt na pewno nie nosiłby w tej okolicy takiego ubrania w sierpniu i wrześniu, kiedy jest tam bardzo ciepło.

To była rzecz tak ważna, że Rosjanie w ostatniej chwili zmienili swój oficjalny tekst pisząc tam o okresie pomiędzy wrześniem a grudniem. Zrobili to, by uzasadnić, dlaczego część zwłok

⁴⁷ Mienszagin jest postacią autentyczną. Był burmistrzem Smoleńska i po ujawnieniu sprawy mordu katyńskiego został wywieziony do łagru na dalekiej północy, gdzie spędził odosobniony wiele lat. W ten sposób miał zamknięte usta. (przyp. wyd.)

wojskowych ubrana była w zimową odzież. Gdyby im dziś powiedzieć, że Polaków znaleziono w zimowych ubraniach, odpowiedzą: „Oczywiście, na tym obszarze panują chłody między listopadem a grudniem”. Nie próbuje się uzasadnić i wyjaśnić sprzeczności pomiędzy zeznaniami świadków, a oficjalnymi wnioskami znajdującymi się w komunikacie sowieckim.

FLOOD: Jeśli chodzi o gazetę przyniesioną przez świadka, poświęciłem jej wraz z innymi członkami komisji dużo czasu, i naszym zdaniem, biorąc pod uwagę zawartość rosyjskiego komunikatu, niewiele może dać zajmowanie się tą gazetą, powiemy tylko, że świadek przedstawił nam wychodzący w Warszawie dziennik „Sztandar Młodych”, z dnia 5 marca 1952 roku. Na stronie drugiej gazeta ta drukuje początek komunikatu rosyjskiego na temat Katynia, a kończy się on na stronie 6. Warszawską gazetę przedrukowuje ten komunikat, nie opatrując go żadnym komentarzem.

MACHROWICZ: Chciałbym zauważyć dziwny zbieg okoliczności, że tyle lat po sporządzeniu oryginalnego raportu, zaraz po rozpoczęciu przesłuchań przez Komisję Kongresu, 5 marca 1952 roku władze rosyjskie uznały za celowy i konieczny przedruk całego rosyjskiego sprawozdania nie tylko w jednej, ale we wszystkich polskich gazetach.

DONDERO: Proszę teraz świadka, aby opisał Komisji, w kilku słowach, jak wyglądał tamten teren, gleba, drzewa i tym podobne.

MACKIEWICZ: Na las składały się przede wszystkim małe sosenki, niewielkie krzaki i małe nierozróżnione drzewka. Gleba była piaszczysta, koloru żółtego. Charakteryzowało to cały obszar, gdzie znajdowało się siedem grobów. Dalej, w miejscu ósmego grobu, gleba była bardziej gliniasta.

DONDERO: Jakie były drzewa, czy grube, czy cienkie? Czy rosły gęsto, czy w niewielkiej ilości?

MACKIEWICZ: Były względnie cienkie i oddalone od siebie.

DONDERO: To wszystko.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: To wszystko? Pytanie do świadka, czy ktokolwiek proponował mu zapłatę czy wynagrodzenie, by przyszedł tu dzisiaj zeznawać?

MACKIEWICZ: Nie.

PRZEWODNICZĄCY MADDEN: Proszę powiedzieć świadkowi, że wniósł bardzo ważny wkład do prac Komisji i jej członkowie bardzo mu dziękują za złożone zeznanie.

MACHROWICZ: Panie przewodniczący, normalnie pytamy świadków, co tutaj wydawałoby się nawet przesadne, ale przecież należy do protokołu, więc powinniśmy jeszcze zadać świadkowi pytanie podsumowujące, kto winien jest masakry katyńskiej?

MACKIEWICZ: Jestem przekonany, że zbrodnię popełnili Bolszewicy.

FLOOD: Chciałbym powiedzieć, że otrzymaliśmy wielką ilość świadectw pochodzących z autopsji i post mortem, i myślę, że powinniśmy wyrazić świadkowi naszą wdzięczność za te wszystkie informacje, zestawione przez świadka z komunikatem komisji rosyjskiej.

PUCINSKI: Panie Przewodniczący, świadek wyraża swoją wdzięczność Komisji. Mówi, że marzył o tym i miał nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł złożyć zeznanie, przedstawić swoje obserwacje i wnioski takiej właśnie Komisji.

(tłum. z angielskiego Jan Kapel)

(*The Katyn Forest Massacre. Hearings... Part 4. London, England. Washington 1952, s. 867-881.*)

TAJEMNICZA ŚMIERĆ IWANA KRIWOZIERCEWA, GŁÓWNEGO ŚWIADKA ZBRODNI KATYŃSKIEJ

Nie leży w moim zamiarze podawanie w wątpliwość wiarygodności orzeczenia brytyjskiego Home Office z 29 lutego 1952, które niżej przytoczę. Chciałbym tylko uszeregować i zestawić poszczególne momenty tej sprawy aż do dnia, w którym pismo Home Office doszło do moich rąk. Chodzi tu o sprawę Iwana Kriwoziercewa, głównego świadka zbrodni katyńskiej. Sprawy jego nie podobna wyodrębnić z tła, na którym się rozegrała, a tło oddaje z kolei najlepiej punkt drugi noty sowieckiej do Departamentu Stanu w Waszyngtonie z... (dziwnym trafem!) – też 29 lutego 1952. Nota sowiecka, upierając się oczywiście przy moskiewskiej wersji tak zwanej „komisji katyńskiej” z r. 1944, stwierdza, że rząd Stanów Zjednoczonych nie wysunął w ciągu 8 lat aż do ostatniego czasu żadnych zastrzeżeń wobec powyższego orzeczenia oficjalnej komisji.⁴⁸

Stwierdzenie to jest ściśle. Trudno zaprzeczyć. Tak było istotnie i oczywiście też przez cały ten czas, gdy Kriwoziercew jeszcze żył, to znaczy, gdy jeszcze był głównym świadkiem oskarżenia, a nikt nie chciał przyjąć jego świadectw do wiadomości.

29 czerwca 1951 ukazała się po angielsku moja książka *The Katyn Wood Murders*. Tegoż samego dnia ukazała się w „Daily Telegraph” pierwsza recenzja z tej książki, pióra Guy Ramsey, który m.in. napisał:

W końcu p. Mackiewicz odnalazł rosyjskiego „dipisa”, obecnie nie żyjącego, Iwana Kriwoziercewa, mieszkańca tej okolicy, który starał się zdać sprawę Amerykanom w Norymberdze z tego, co widział. Zagrożony przez nich wydaniem władzom rosyjskim, uciekł... by następnie prywatnie opowiedzieć to autorowi.

Dowód prawdy jest przedstawiony dokładnie; świadectwa doskonale zebrane. Wszystko jest tak sugestywne, że aż niemal przekonywające. Zawsze jednak chodzą po głowie nieuniknione wątpliwości nieodłączne od pełnych grozy książek, w których świadkowie są albo nieznani, albo anonimowi (*obscure and anonymous*)”...

Cytata ta jest ważna z tego względu, że pobudziła mnie do poczynienia jeszcze jednej próby zbadania okoliczności, w jakich Kriwoziercew przestał być świadkiem koronnym, a stał się świadkiem – „obscure and anonymous”. W swoich zabiegach pozwoliłem sobie na tę cytata się powołać.

⁴⁸ Por. tekst tej noty sowieckiej w I tomie, cz. II, obecnej książki. (przyp. wyd.)

A teraz mała dygresja.

W pierwszych dniach lutego br. stanął przed komisją kongresu amerykańskiego człowiek, który podał się za naocznego świadka zbrodni katyńskiej. Odbyło się to w sposób, który my, w Europie – słusznie czy niesłusznie – nazywamy amerykańskim. Mianowicie z dużą reklamą, maską na twarzy, w otoczeniu mnogich fotoreporterów, w dramatycznym nastroju, omdlewając i w tym podobnych rekwizytach. W tym, co mówił ów rzekomy świadek, nie było (omal dosłownie) ani jednego słowa prawdy. Okoliczności zbrodni są na tyle znane, że łatwo stwierdzić, iż „zakapturzony świadek” nie tylko nie był ich świadkiem naocznym, ale nawet być nie mógł. Nie zgadzała się ani data, ani żaden z przytoczonych przez niego szczegółów. Ponieważ sam byłem w Katyniu w ciągu trzech dni i poznałem teren, a znając zarówno metody NKWD jak całość sprawy bardzo dokładnie, zanim doczytałem do końca relacji w gazecie, wiedziałem że chodzi tu o szczerą fantazję, zobrażoną z wyjątkowym tupetem.

Mówiąc o „drodze w lesie”, którą rzekomo szedł, rzekomy świadek nie zdawał sobie nawet sprawy, jak wyglądał las katyński, czyli tak zwane Kozie Góry, gdzie dokonano egzekucji. Las ten był odosobniony i prowadziła do niego tylko jedna droga poprzez strzeżoną bramę. W ten sposób rzekomy świadek nie mógłby tam wkroczyć, chyba gdyby okazał legitymację zbiega z obozu... funkcjonariuszom NKWD!

Cały las otoczony był drutem kolczastym i obsadzony gęstą strażą z psami, a więc przedostanie się innym sposobem było niemożliwe ani we dnie, ani w nocy – co stwierdzili wszyscy mieszkańcy okoliczni.

Ani teren, ani drzewa w tym lasku, których rzekomy świadek oczywiście nigdy nie widział, nie nadawały się do obserwacji, o jakiej opowiadał.

Rozstrzeliwań dokonywano nie w nocy, ale we dnie.

Ani jedna ofiara ekshumowana z grobów katyńskich nie była zakopana żywcem, a wszystkie miały ślad postrzału w tył czaszki.

Tylko jedna ofiara na ogólną ilość przeszło 4.000 miała usta wypełnione trocinami i to w sposób zupełnie inny niż świadek w swoim uproszczeniu zeznał.

Strzelano nie z broni rosyjskiej, ale z niemieckiej.

Ręce skrępowane były sznurem, a nie drutem.

Poza tym cały tenor opowiadania wykazuje daleko idące i naiwne uproszczenia charakterystyczne dla zeznań zmyślonych. Trudno jest zrozumieć, dlaczego przy takiej obfitości materiału, przy tak poważnych i niezbitych dowodach, jakie istnieją w sprawie Katynia, dano rozgłos nie tylko fałszywym, ale potracającym o anegdotę zeznaniom rzekomego świadka. Ośmieszenie całej procedury śledczej w tej tragicznej sprawie leżeć może oczywiście tylko w interesie strony – winnej zbrodni. A więc w interesie sowieckim. Szkoda, wyrządzona reklamą przydaną zeznaniom „zakupowanego świadka”, nie dała na siebie długo czekać. Wszystkie pisma za żelazną kurtyną, a przede wszystkim polskie gazety reżimowe cieszą się z tego prezentu. Komentarzom, kpinom, karykaturom⁴⁹ nie ma końca. Przecież ludzie za żelazną kurtyną stosunkowo dobrze znają – NKWD. A ci co znają NKWD, jego metody i obostrzenia normalne, a cóż dopiero stosowane podczas masowych egzekucji! – wiedzą, że np. wdrapanie się na drzewo o kilka czy kilkanaście kroków od miejsca egzekucji i siedzenie na gałęzi z księdzem w celu przyglądania się i liczenia ofiar, należałoby zaliczyć do rzędu zabawnych anegdot, gdyby nie dotyczyły rzeczy tak strasznej, jak mord katyński.

Na szczęście, jak słyszymy, zarówno komisja kongresu, której zasługi dla podjęcia sprawy Katynia są ogromne, jak również prasa amerykańska zorientowały się już i wycofały swe zaufanie tak niebacznie zaangażowane w sztucznie udratyzowaną scenę zeznań rzekomego świadka.

Nie, nie żaden zakupowany świadek w Ameryce, ale znany dobrze ze sprawy, Iwan Kriwoziercew w Anglii, był dotychczas głównym świadkiem zbrodni katyńskiej.

Nie będę tu opisywał wszystkiego, co wiem o nim. W mojej książce – dzieje jego urodzenia we wsi Nowe Batioki pod Smoleńskiem, w sąsiedztwie Gniezdowa, gdzie wylądowywano jeńców, i Katynia, gdzie ich rozstrzeliwano, poprzez wszystko co widział i wiedział, aż do jego ucieczki przed armią czerwoną – zajęły wiele miejsca. To są rzeczy znane.

Opisałem też, jak się po raz pierwszy w r. 1945 zgłosił do władz sojusznicznych i – omal nie został wydany w ręce sowieckie. Widziałem go w Katyniu. Ale w pamięci pozostał mi takim, jakim oglądałem go we Włoszech, w Anconie: siedział na pryczy drewnianej, zgarbiony niepokojem o własny los, rozczochrując włosy nerwowym drapaniem.

⁴⁹ Np. karykatura „człowieka w masce” przed komisją Kongresu Symona Kobylińskiego, „Szpilki” 1952, nr 11. (przyp. wyd.)

Gdy przypominam dziś sobie tamtą sylwetkę i zestawiam los Kriwoziercewa, autentycznego świadka największej zbrodni popełnionej w czasie ubiegłej wojny, z dziwnymi kolejami losu, jaki wynosi na powierzchnię zakupowanego człowieka w Waszyngtonie – odczuwam to jak temat wielkiej, ludzkiej powieści, z jej nigdy nie zbadanymi wyrokami. W danym wypadku powieści o wielkiej niesprawiedliwości świata i ponurego epilogu.

31 maja 1945 Kriwoziercew zgłosił się do obozu D.P. w Verden (Aller), w strefie brytyjskiej. Wylegitymował się Arbeitskartą Nr 6910/40/439014, wystawioną 2 września 1944 przez Arbeitsamt Berlin Dlg.Br. Już 1 czerwca złożył meldunek, że jest świadkiem zbrodni katyńskiej. Tegoż dnia złożony został meldunek piśmienny dowódcy 102 Mil. Gov. Det. (R), brytyjskiemu majorowi Hart. Mjr Hart wykazał minimalne zainteresowanie sprawą, ale lojalnie zwrócił się do swych władz przełożonych o instrukcje. Instrukcje nie nadeszły.

Kriwoziercew, nauczony doświadczeniem, bał się, by nie wydano go Sowietom. Bał się też, by go agenci sowieccy nie sprzątnęli. Toteż, gdy na jesieni 1946 przybył do Wielkiej Brytanii, przybrał pseudonim: Michał Łoboda, rzekomo urodzony 6 czerwca 1916 w Wilejce, na Wileńszczyźnie. Towarzyszył mu zawsze jego serdeczny przyjaciel, Jan Chomiuk, z zawodu marynarz. W Anglii znaleźli się razem w obozie West Chilmington Camp, Sussex. Stamtąd po krótkim pobycie przeniesieni zostali do Stowell Park, nr Cheltenham, Glos.

Tymczasem trwał ciągle ten stan, który ukazałem na początku, z drugiego punktu noty sowieckiej, to znaczy żadnych zastrzeżeń wobec oficjalnej sowieckiej wersji mordu katyńskiego. Przyznam szczerze, że Polakom nie dzieje się jeszcze tak źle, w zestawieniu z napięciem nerwowym, w jakim żyło wielu moich przyjaciół Rosjan w okresie dalszego ciągu porooseveltowskiej polityki. A z drugiej strony zaczęły się już budzić wielkie nadzieje. Bo ja wiem, może właśnie ta ciągła szarpanina pomiędzy strachem i nadzieją była istotną przyczyną końca, jaki spotkał Kriwoziercewa? Nie wiem. W każdym razie należy przypomnieć, że Kriwoziercew był młodym chłopem rosyjskim o bardzo średniej inteligencji i niebacznie rozbudzonych ambicjach. Zaryzykuję nawet twierdzenie: łapczywie rozbudzonych. Trzeba bowiem pamiętać, iż przeżył on nie tylko strach przed wydaniem go władzom sowieckim, ale też jak inni, przeżywał nastroje naszeptywane wciąż przez pierwszą i drugą rękę propagandy sowieckiej: amerykańskie dolary! antysowiecka robota amerykańskiego kapitału! dolary, dolary, dolary na antysowiecką propagandę! amerykańska agentura, amerykańscy agenci! – Takie wersje się rozchodzą, krążą, dezorientują. Powstają legendy o agentach amerykańskich opływających w dolary, powta-

rzają je ludzie nieraz bardzo inteligentni i na wysokich stanowiskach. Cóż się dziwić Iwanowi o bardzo średniej inteligencji i na stanowisku najniższym z możliwych na Zachodzie: robotnika w obozie, bez praw obywatelskich, dipisa! Przecież Kriwoziercew był tylko przeciętnym człowiekiem. Czy można mu się dziwić, że ważność świadectw, jakie nosił w swej pamięci rozbudzała w nim nadzieje i że świadectwa te chciał może sprzedać nie wiadomo jak drogo! Rozmawiał na ten temat z Chomiukiem, a bywało, podpiwszy, przechwalał się często przed otoczeniem. W ten sposób wszyscy wiedzieli, nie zawsze ci, co o tym wiedzieć by powinni, że jest najważniejszym świadkiem największej zbrodni. Nazajutrz przychodziło wytrzeźwienie, niesmak i znowu strach, aż do następnej wielkiej nadziei. Oczywiście Kriwoziercew nie zdawał sobie sprawy, że błędem Ameryki jest nie to, iż wyrzuca zbyt dużo pieniędzy na antysowiecką robotę, tylko to iż właśnie wydaje ich – za mało.

Zamiast w Ameryce, w październiku 1947 Kriwoziercew znalazł się w obozie Easton-in-Gordano. I... zupełnie raptownie znika z powierzchni ziemi!

Co stało się z Kriwoziercewem, najważniejszym świadkiem zbrodni katyńskiej? Nikt nic nie wie konkretnego. W każdym razie, to co uzyskało się od władz brytyjskich, wydaje się niezadowolające. Może niesłusznie, może lakoniczność jest nieraz wskazana. Ale nie wydaje się wskazana w przypadku Kriwoziercewa, gdyż na jego temat zaczynają krążyć coraz to nowe plotki: zabity w bójce, popełnił samobójstwo, przejechany przez samochód, porwany przez agentów sowieckich, wydany w ręce sowieckie, zabity przez nasłanych agentów, i znów da capo: zabity w bójce...

Ale gdzie jest jego przyjaciel Chomiuk? Rzekomy adres brzmi: 6, Beech Road, Horfield, Bristol 7. Nie, pod tym adresem już go nie ma.

Znany dziennikarz amerykański, Julius Epstein, sekretarz pierwszego komitetu katyńskiego, który powstał w Nowym Jorku pod przewodnictwem b. ambasadora Bliss-Lane, zapytuje mnie w liście z 25 października 1949: „Doszły mnie słuchy, że w ciągu tego lata, ważny świadek katyński miał zginąć «w wypadku samochodowym» w Londynie. Co Pan wie o tym?”

Niestety, nie wiem nic konkretnego. I to po dwóch latach od chwili jego zniknięcia. Do jakiego stopnia cała rzecz jest okryta mrokiem tajemnicy, dowodzi fakt, że jeszcze po czterech latach sądzono, że Kriwoziercew zmarł w r. 1949. 8 lipca 1951 ukazał się w „Wiadomościach” (nr 275) artykuł Ferdynanda Goetla, który pisał między innymi:

„Przed dwoma laty zmarł. Autentycznej wersji tego zgonu nie można ustalić... Pytam, czy znane jest orzeczenie coronera ustalające przyczynę gwałtownej śmierci?... Sądzę, że ów dalszy ciąg Katynia nie powinien być zlekceważony. Stanowi on ostrzeżenie nie tylko dla ludzi związanych ze sprawą Katynia pośrednio czy bezpośrednio. Jest przestrogą dla całego świata. Jest próbą posiania lęku i zdławienia każdego człowieka, który przewycięża znowu milczenia... Jest świadectwem, że ręka skrytobójcza i kierująca nią wola działa nieprzerwanie”.

Powracam do recenzji o mojej książce w „Daily Telegraph”. Sądziłem, iż skoro rzecz działa się w Anglii, głos jednego z najważniejszych pism angielskich, które świadka zagubionego na wyspie przeżywa „obscure and anonymous”, może być najlepszą drogą do sformułowania pytań skierowanych do najwyższych władz angielskich.

W sierpniu 1951 zwróciłem się z pismem bezpośrednio do ministra spraw wewnętrznych, w którym przedstawiwszy pokrótce sprawę, pisałem:

Nie ma żadnej wątpliwości, że z rosyjskiego punktu widzenia, Kriwoziercew mieszkający w Anglii był osobą wielce niepożądaną; agenci zaś sowieccy, którzy go zgładzili, mogli liczyć na sporą nagrodę.

Osobiście interesuję się bardzo tą sprawą z dwóch powodów: 1) ja także jestem naoczny świadkiem zbrodni katyńskiej; 2) przychylny krytyk w „Daily Telegraph” zarzucił mi włączenie do mojej książki zeznań „nieznanego” świadka...

Dlatego byłbym bardzo zobowiązany, jeśli mógłby Pan udzielić informacji, co w związku ze śmiercią Kriwoziercewa wykryło śledztwo, albo innych danych dotyczących tej sprawy...

List ten wraz z książką nadałem w urzędzie pocztowym przy Leicester Square, 13 sierpnia 1951. W ciągu następnego tygodnia od tej daty nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Osoby znające zwyczajnie angielskie wyłączały możliwość, aby odpowiedź mogła nie nadejść wcale. Nawet, przedkładano mi, gdyby pismo zlekceważono, przyjęto niechętnie lub bez zamiaru udzielenia informacji, w każdym wypadku, chociażby ze względu na dołączoną książkę, musi nadejść potwierdzenie odbioru i kilka, mniej lub więcej lakonicznych, słów odpowiedzi. W Anglii nie ma zwyczaju, powiadano, nie odpowiadania na listy!

Jednak odpowiedź ani następnego tygodnia, ani miesiąca, ani nigdy w ogóle nie nadeszła.

W tym stanie rzeczy pozwoliłem sobie zwrócić się do jednego z wybitnych członków Izby Gmin. Przedstawiłem mu całą sprawę, wskazałem na wagę, jaką posiada (czy posiadał) Kriwoziercew

dla wyjaśnienia i uwidocznienia przed całym światem rzeczywistych sprawców mordu katyńskiego. Zwróciłem jeszcze raz uwagę, że tylko Sowieci i ich agentom zależeć może na unieszkodliwieniu tego świadka. W wyniku interwencji podjętej przez członka parlamentu, otrzymał on pismo, datowane 29 lutego 1952, którego oryginał przekazał mi 5 marca 1952:

5 lutego 1952 napisał Pan do ministra spraw wewnętrznych w sprawie dociekań p. Mackiewicza w związku ze zbrodnią katyńską. Żałuję, że nie jesteśmy w stanie odnaleźć śladów jego poprzedniego listu.

Iwan Kriwoziercew alias Michał Łoboda przebywał przez pewien czas w Stowell Park Hostel i w październiku 1947 przeniósł się do innego obozu w Easton-in-Gordano w Somerset. 30 października 1947 ciało jego znaleziono w jednym z sadów. Badania, przeprowadzone 3 listopada 1947 w komisariacie policji w Flax Bourton, Somerset, stwierdziły, że zmarły popełnił samobójstwo przez powieszenie.

Tyle o najważniejszym świadku największej zbrodni wojennej.

(„Wiadomości”, Londyn 1952, nr 15-16, z 20 kwietnia)

PIERWSZA BOLSZEWICKA KSIĄŻKA O KATYNIU

W maju br. ukazała się w Warszawie książka Bolesława Wójcickiego *Prawda o Katyniu*.⁵⁰ Abstrahując od broszury wydanej zaraz po wojnie w Poznaniu, a zawierającej tylko przedruk kilku artykułów z r. 1944,⁵¹ obecna książka jest pierwszą w sprawie mordu katyńskiego publikacją bolszewicką. Trzeba przyznać, że ogłoszona z niejakim opóźnieniem... jeżeli się weźmie pod uwagę, że od wiosny r. 1943, gdy po raz pierwszy groby odkopano, upłynęło już lat dziewięć! Termin ten wskazuje, jak bardzo zależało Sowieciom na nieprzypominaniu tej sprawy. Przez wiele lat słowo „Katyn” przemilczane było systematycznie. W ostatecznym jednak wyniku przemilczeć się go nie dało. Cieszę się, że do przerwania tego milczenia i ja przyłożyłem niejedną cegielkę, ale oczywiście największa zasługa przypada Specjalnej Komisji Kongresu Amerykańskiego. Toteż książka, o której mowa, jest niejako odpowiedzią na działanie tej Komisji. Odpowiedzią oczywiście w stylu sowieckim.

FURIA ANTYAMERYKAŃSKA

Muszę zaznaczyć na wstępie, że osobiście wyszedłem z tego potoku ordynarnych „rugatielstw” obronną ręką. Wspominany wielokrotnie zawsze jako „reakcyjny”, raz tylko nazwany zostałem „prohitlerowskim”. Poza tym zaliczono mnie do grupy, której nazwiska nie upiększa żaden tytuł arystokratyczny. Znacznie gorzej wypada „baron” Anders „prowokator w czystym stylu goebbelsowskim”... hrabia Lipski, hrabia Skarżyński, hrabia Zaleski itd., to wszystko „agenci, szpiedzy, prowokatorzy na służbie Hitlera, Himmlera i Canarisa”. Canaris odgrywa poważną rolę. „Przekazywał instrukcje za pośrednictwem swego agenta Doboszyńskiego”, a Doboszyński dyktował, co ma pisać polska prasa emigracyjna w Londynie, ażeby pozostawać w zgodzie z linią wytyczoną przez Goebbelsa. „Sfóra wilków faszystowskich: Goebbels, reakcja polska, oraz amerykańscy wspólnicy Kruppa i Guderiana”... Bodaj jeszcze gorzej niż hitlerowcy i „ich agenci spośród reakcji polskiej”

⁵⁰ Drugie wydanie książki Wójcickiego ukazało się w 1953 r. (Warszawa, Czytelnik) i zawierało nowy rozdział XI, pt. *Mordercy zeznają pod przysięgą, że są niewinni*, „ustosunkowujący się” do przesłuchań niemieckich świadków przed Komisją Kongresu Amerykańskiego. (przyp. wyd.)

⁵¹ Autorowi chodzi o broszurę: *Prawda o Katyniu*, Moskwa, Związek Patriotów Polskich, 1944, s. 32 – przedrukowaną m.in. w Poznaniu przez Wojewódzki Urząd Informacji i Propagandy, 1945. s. 40. (przyp. wyd.)

wypadają Amerykanie: Julius Epstein, to „trockista i hitlerofil”. Bliss-Lane – „kierownik V kolumny”, Ray S. Madden „faszysta i mąż zaufania zdrajców Polski spod znaku Becka”, Alvin E. O’Konski „notoryczny hitlerowiec i oszust”. Nie lepszy jest naturalnie członek Kongresu Sheehan, albo Dondero, „gorący wielbiciel Mussoliniego, obecnie zaś aktywny współpracownik band gangsterskich”... Tadeusz Machrowicz „pozostawał zawsze ściśle związany z sanacyjną bandą grabarzy Polski. Propagował tę samą koncepcję, która leżała u źródeł goebbelsowskiej prowokacji w Katyniu”... itd. itd. Trudno omówić tu „zyciorysy” wszystkich innych wymienionych w tej książce. Resumé dałoby się streścić słowami autora w końcu X rozdziału: „Goebbels plus Ku-Klux-Klan”.

Już z tej próbki stylu czytelnik łatwo może sobie wyobrazić, jak pisana jest cała książka. Krótko mówiąc: co to jest za książka. Ale dla uzupełnienia jej charakterystyki warto zacytować również takie zdanie:

„...wojska radzieckie, kierowane genialną myślą strategiczną i wolą Stalina, dowodzone przez syna robotniczej Warszawy, marszałka Rokossowskiego”... Albo: „...siły wylonione z ludu polskiego... poprowadziły Polskę drogą jedynie słuszną. Niezlomnej, braterskiej przyjaźni z Krajem Rad, który narodowi polskiemu dwukrotnie (!) przyniósł niepodległość”...

Taka jest forma *Prawdy o Katyniu*. Formie tej odpowiada również treść, utrzymana na niskim poziomie demagogicznej, bolszewickiej propagandy. A zatem wielka ilość połajanek, przetykanych frazesami, które to frazesy zastępują w publicystyce bolszewickiej to, do czego w wolnym świecie służy obiektywna argumentacja. Wprawdzie książka o fizyczny mord w Katyniu oskarża Niemców, ale zdaje się z niej wynikać, że duchowymi inspiratorami tego mordu byli w rzeczywistości Amerykanie.

Bo *Prawda o Katyniu* jest utworem propagandowym, skierowanym przeciw Ameryce. Świadczy o tym m.in. dobór ilustracji. Jest ich 37. Z tej liczby tylko jedna dotyczy Katynia, z podpisem: „Tutaj w lesie Katyńskim, jesienią roku 1941, zezwierzęceni bandyci hitlerowscy rozstrzelali 11.000 jeńców wojennych żołnierzy i oficerów polskich. Żołnierzu Czerwonej Armii, pomścij ich!” Poza tym nie ma żadnej rzeczowej fotografii z Katynia. Natomiast aż 13 dotyczy Ameryki, a zwłaszcza Korei. Autor pisze we wstępie:

„Luty 1952. Nad udręczoną ziemią koreańską unoszą się kłęby dymu ze spalonych przez amerykańskie bombowce miast, osad i wsi i roje zarażonych bakteriami dżumy i cholery owadów, rozsianych przez amerykańskie samoloty... I w tymże lutym tegoż 1952 roku Kongres USA wznawia starą, hitlerowską prowokację: Katyń... Wróg Polski i Związku Radzieckiego: stary i nowy wróg, w gruncie rzeczy ten sam”.

Tego rodzaju prymitywny zlepek frazesów wydaje się skądinąd potwierdzać przypuszczenia, że nowa prowokacja sowiecka, oskarżająca Amerykę o rzekomą „wojnę bakteriologiczną” na Korei, jest w istocie próbą odwrócenia uwagi opinii publicznej od sprawy Katynia, podjętej przez Kongres Stanów Zjednoczonych.

PROPAGANDA, Z KTÓRĄ NIE NALEŻY SIĘ LICZYĆ

Nawiasem mówiąc, bolszewicka książka o Katyniu służyć może też za pouczający przyczynek dla tych, co mimo wszystkie doświadczenia nadal jeszcze liczą się z głosem propagandy komunistycznej. Świeżo z okazji pobytu amerykańskiej komisji katyńskiej w Europie i trudności, jakie napotkała ze strony rządu brytyjskiego, wszystkie sfery polskie unisono wypowiedziały się raczej za procedurą przy drzwiach zamkniętych małego pokoiczku w hotelu na Kensingtonie, niżli za jawną rozprawą we Frankfurcie, przy drzwiach szeroko otwartych na całą Europę. Dlaczego? Osobiście nie słyszałem innego argumentu niż ten: „Propaganda komunistyczna i tak już oskarża nas, że idziemy na rękę Niemcom, a gdyby to jeszcze zrobić w Niemczech... Po co dawać jej atut do ręki itd.” Zupełnie tak jakby propagandę bolszewicką można było ugłaskać, ułagodzić, zamknąć jej gębę, przelicytować, albo przekonać! Propagandy bolszewickiej ani przelicytować, ani przekonać nie można. A każda nawet próba w tym kierunku jest niebezpiecznym kompromisem, który może doprowadzić na krawędź równi pochyłej. Przecież wszystkie błędy, poczynione po wojnie przez świat zachodni w stosunku do Sowieców, wynikają z tego samego źródła: liczenie się z opinią Sowieców i zabieganie o ich ułagodzenie. Jest to zupełny nonsens, w którym my niestety bierzemy czynny udział w miarę naszych drobnych sił, wysilając się w pocie czoła, by dowieść, jak to dopomagaliśmy do zwycięstwa bolszewików podczas wojny. Otóż żadne tego rodzaju argumenty nie grają w rozgrywce z bolszewikami. Bolszewicy powiedziec mogą absolutnie wszystko, co chcą, i żadne dowody ani argumenty nie są im potrzebne. Oto przykład. Nie może być chyba bardziej obiektywnego argumentu dla Wielkiej Brytanii niż ten, że walczyła przez sześć lat z Niemcami, a dla Ameryki, że wspierała Sowietów materiałami wojennymi i dolarami, gdy Związek Sowiecki zepchnięty został na skraj przepaści pod Stalingradem. Cały świat ratował bolszewizm, jak mógł, i drżał o los Stalina jak o najdroższy klejnot. A cóż czytamy teraz w *Prawdzie o Katyniu* o celach, w jakich ta rzekomo niemiecka prowokacja została dokonana? Czytamy, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania zwlekały z utworzeniem drugiego frontu „w sposób wielce dla hitlerowców zachęcający”; że „Stalingrad wzmógł nienawiść kół reakcyjnych USA i Wielkiej Brytanii do Związku Radzieckiego” i... „tendencje do ratowania III Rzeszy”... Więc okazuje się, że Stany i Wielka Brytania chciały ratować, ale III Rzeszę! A przecież *Praw-*

da o Katyniu jest tylko drobnym urywkiem instrukcji propagandowych, jakie otrzymuje tysiące Wójcickich na całym obszarze sowieckiego władania.

Propagandy tego rodzaju nie obowiązują żadne logiczne, bo-daj najprymitywniejsze rygory. Oto inne przykłady: *Prawda o Katyniu* z jednej strony charakteryzuje Wehrmacht jako rodzaj bandy, z drugiej przytacza taką „prawdę” na str. 34: „Churchill... w grudniu 1944 roku kornie błagać będzie «barbarię rosyjską», aby przez wcześniejsze rozpoczęcie ofensywy na froncie wschodnim uratowała od klęski połączone armie Eisenhowera i Montgomery’ego, gromione przez znikomą część Wehrmachtu, którą von Rundstedt dysponował na froncie zachodnim”.

W jednym miejscu mówi się, że pamiętnik Goebbelsa, opracowany przez Lochnera, w istocie spreparowany został według intencji wywiadu amerykańskiego, a zaraz w następnym czerpie się z tego pamiętnika cytaty pełnymi garściami (nb. niefortunnie). Po wszystkich oskarżeniach „reakcji” amerykańskiej i brytyjskiej, już na odwrotnej stronie, p. Wójcicki powołuje się na najbardziej jej „reakcyjną” prasę, gdy tylko zachodzi potrzeba oczernienia polskiego obozu niepodległościowego na emigracji. I tak ciągle na przestrzeni całej książki.

Gdy do tego dodamy, że książka jest źle napisana, można sobie wyobrazić, jak trudno jest z owej gmatwaniny wyzwick, fantastycznych oskarżeń, przekreślonych faktów, nieprawdopodobnych kłamstw (np. Ameryka chce oddać Polskę Niemcom z Poznaniem, Łodzią i Krakowem włącznie), wyłowić coś, co by uznać można za rzeczowe kontrargumenty w samej sprawie Katynia. Po dłuższym studium dało by się uformować kilka takich kontrargumentów, ale żaden z nich, jak to zobaczyliśmy, nie ma istotnej wartości.

RZECZY NIEISTOTNE

Przede wszystkim, i to w rozrzuceniu po całej książce, autor podkreśla ze szczególną emfazą, jak bardzo Niemcom zależało na propagandowym wyzyskaniu mordu katyńskiego. Jest to rzecz stara, znana, setki razy już podkreślana przez wszystkich, nie wyłączając samych Niemców. Pan Wójcicki powinien sobie przypomnieć, że Niemcy znajdowały się w stanie wojny ze Związkiem Radzieckim, a więc rozgłos, nadany sprawie, z ich punktu widzenia nie wymaga tak wielu komentarzy. Nikt tego faktu nigdy nie negował. Nie zmienia on w niczym prawdy, że mordu katyńskiego dokonali bolszewicy.

Następnie: „Niemcy wiedzieli o popełnionej zbrodni wcześniej zanim to ogłosili”. Bardzo być może.⁵² Sam miałem kiedyś takie wrażenie, jakkolwiek po przeczytaniu pamiętnika Goebbelsa, nieco w tym przekonaniu zostałem zachwiany. Wydaje mi się, że kierownicze czynniki III Rzeszy nie były poinformowane zawczasu. Natomiast różni Niemcy oczywiście mogli wiedzieć. Tak na przykład kilku Polaków z organizacji Todt, którym Kisielew pokazał groby latem 1942⁵³ i którzy tam postawili krzyże, nie mieli żadnego powodu, aby ukrywać tę wiadomość przed Niemcami. Mordu, jak wiadomo, dokonano wiosną 1940; Niemcy okupowali Smoleńsk od r. 1941; nie byłoby zatem nic dziwnego, żeby do r. 1943 przenikały różnymi kanałami wiadomości o tym mordzie, nawet mimo notorycznej niechęci ludności do gadania i strachu przed powrotem NKWD. Ale co z tego? Jaki wniosek czy argument może wyniknąć z ustalenia tego faktu, który by przemawiał w obronie bolszewików, rzeczywistych sprawców mordu? Żaden.

Dalej: „że ekshumacji zwłok i badania znalezionych dokumentów dokonali Niemcy”. A kto miał dokonać, skoro teren znajdował się w ręku niemieckim? NKWD? Nie podobna jednak pominąć faktu, że Niemcy chcieli przekazać całość śledztwa w ręce Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, czyli organizacji cieszącej się największym autorytetem w całym świecie cywilizowanym, i że właśnie nikt inny niż bolszewicy do przekazania ekshumacji Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi nie dopuścili. Czy fakty te znane są autorowi książki? Tak, odpowiada na nie nową porcją połajanek i „argumentem”, że prezesem Niemieckiego Czerwonego Krzyża, który zwracał się do Szwajcarii, był ks. Coburg-Gotha, „kuzyn króla angielskiego”. Bardzo trudno jest polemizować z p. Wójcickim. Posiadamy ogromny materiał dotyczący sposobu ekshumacji pod bezpośrednim kierownictwem przedstawiciela Polskiego Czerwonego Krzyża, dr Wodzińskiego, liczne zeznania naocznych świadków z tego okresu, a także ekspertyzę międzynarodowej komisji lekarskiej. W świetle tego wyczerpującego materiału, którego przytoczenie zajęłoby więcej niż cała książka p. Wójcickiego, jego kilkanaście zdań, zaopatrzonych w wykrzykniki, nie ma absolutnie żadnej merytorycznej wartości. Na przykład jeżeli chodzi o komisję lekarską przytacza starą, wyciśniętą przez NKWD z prof. Markowa bajkę o tym, że go rzekomo zmuszono do podpisania raportu. Wszystkie rzeczy dawno już poddane gruntownej analizie, zbadane,

⁵² Mackiewicz podejmuje tu sąd Wójcickiego w innym znaczeniu, niż stał on wypowiedziany. Wójcicki mówi bowiem o wiedzy Niemców, tyczącej rzekomo przez nich popełnionego morderstwa. (przyp. wyd.)

⁵³ Datę tę należy przesunąć na kwiecień 1942 r. Por. Jacek Trznadel: *Powrót rozstrzelanej Armii, jw.* (przyp. wyd.)

porównane i obalone jako kłamstwo. W sprawie więc ekshumacji i badań, przeprowadzonych na miejscu, p. Wójcicki nie przytacza ani jednego nowego szczegółu.

SPRAWA AMUNICJI

Natomiast pewnego rodzaju nowością, nie tylko w książce *Prawda o Katyniu*, ale od dłuższego już czasu prowadzonej sowieckiej kampanii prasowej, jest podkreślenie niemieckiego pochodzenia amunicji użytej przy mordowaniu ofiar. Nowością nie dlatego, by sprawa ta nie była dotychczas znana. Wręcz przeciwnie, jest bardzo dobrze znana. Ale nowością dlatego, że właśnie sprawa amunicji była dotychczas pomijana zupełnym milczeniem jedynie przez stronę sowiecką. Omówienie całości sprawy zajęłoby naturalnie za dużo miejsca. Przypomnijmy więc tylko fakt na pozór paradoksalny, że oficjalny niemiecki zbiór dokumentów z r. 1943 stwierdza, iż amunicja była pochodzenia niemieckiego, natomiast oficjalny komunikat sowiecki, ogłoszony rok później w „Prawdzie” z 26 stycznia 1944 i dotychczas utrzymany w mocy obowiązującej, pomija ten fakt zupełnym milczeniem.

Przy bliższym jednak zapoznaniu się ze sprawą, paradoks jest tylko pozorny. Okazało się bowiem, że po pierwsze, amunicja fabryki Genschow dostarczana była Sowietom w dużej ilości w okresie przedhitlerowskiego zbliżenia niemiecko-sowieckiego; że po drugie, używano jej w Polsce i państwach bałtyckich, a przez to znaczne jej zapasy dostały się w ręce sowieckie po najeździe na Polskę w r. 1939; że po trzecie, propaganda niemiecka została tym zaskoczona. Ten stopień szczerego zaskoczenia, jaki potwierdzają wszystkie źródła (zresztą i sam p. Wójcicki), stanowi pośredni dowód, że Niemcy nie dokonali mordu, gdyż po pierwsze, mieliby gotową odpowiedź i nie zostaliby zaskoczeni, po drugie, trudno pośądzać hitlerowską machinę eksterminacyjną o taką naiwność, aby nie użyła amunicji rosyjskiej, której po r. 1941 miała pod dostatkiem. Ażeby więc uniknąć dyskusji na ten drażliwy temat, sowiecki komunikat oficjalny wolał sprawę w ogóle pominąć milczeniem. Obecnie uznano widocznie, że bliższe okoliczności towarzyszące całej sprawie mogły już ulec zapomnieniu. Inaczej trudno sobie wytłumaczyć, dlaczego sprawa amunicji została wyciągnięta po latach przez tych samych bolszewików, którzy milczeli o niej dotychczas.

To byłoby właściwie wszystko, co w *Prawdzie o Katyniu* dotyczy sprawy, plus oczywiście oficjalny komunikat sowiecki z r. 1944, przytoczony w załączniku. Miałem zaszczyt zeznawać niedawno jako rzeczoznawca do sprawy Katynia przed komisją kongresu amerykańskiego i nie po raz pierwszy poddać treść tego komunikatu szczegółowej analizie. W tej chwili powiem więc krótko, że

komunikat sowiecki zawiera tylko jedną prawdę, mianowicie że w Katyniu wymordowano oficerów polskich. Wszystko inne, poczyniwszy już od ich liczby, daty dokonanego mordu, poprzez przedstawione okoliczności i dowody, aż do rzekomych wyników ekspertyzy sądowo-lekarskiej, jest kłamstwem. Zresztą kłamstwem łatwym do zdemaskowania, a w poszczególnych wypadkach wręcz oczywistym.

Gdyby więc wydana obecnie w Warszawie, a właściwie pierwsza książka bolszewicka w sprawie Katynia, poprzestała na przytoczonych wyżej kilku nieudolnych impresjach i starym kłamstwie, obeszłoby się bez nowej kompromitacji. Niestety dla strony sowieckiej, p. Wójcicki okazał się nie tylko słabo zorientowany w sprawie, ale najwidoczniej pozbawiony przyrodzonej bystrości, i postanowił przytoczyć trochę „dowodów” z własnej inicjatywy. Uczynił to oczywiście bardzo nieśmiało, co jest zrozumiałe, gdyż na krytyczne rozwinięcie oficjalnego komunikatu sowieckiego nigdy by nie otrzymał zezwolenia, a dodam od siebie: słusznie. Zaplątałby bowiem swoich mocodawców jeszcze bardziej, jak tego mamy właśnie próbę.

ODGRZANY NONSENS

Jedna z nich dotyczy odgrzania starej, jeszcze z r. 1943 wersji, trzeba to autorowi przyznać, rozpowszechnianej nie tylko przez komunistów. Wersja ta opiewała, że Niemcy gromadzą rzekomo polskie legitymacje wojskowe gdzie się da, głównie pozostałe po ofiarach wymordowanych przez nich w Oświęcimiu i innych katech, w celu podrzucenia następnie tych legitymacji zwłokom katyńskim. Obecnie p. Wójcicki przytacza nazwiska niejakich Pinińskiego i Kołodziejczyka, którzy znajdowali się na liście zamordowanych w Katyniu, w rzeczywistości zaś nigdy w Katyniu nie byli, i w tej chwili są ponoć żywi i zdrowi, a na listę katyńską trafili jedynie na podstawie zabranych im legitymacji wojskowych.

Z tej odległości nie mogę powiedzieć nic o okolicznościach dotyczących specjalnie Pinińskiego i Kołodziejczyka. Przekonany jestem, że gdyby było mi dane sprawę zbadać z bliska, wiedziałbym, czym się ona tłumaczy. Ale abstrahując od tych konkretnych nazwisk (p. Wójcicki załącza fotograficzne odbitki gazet), warto się nad tym trochę zastanowić, po prostu dla stwierdzenia, jakimi drogami potrafi chodzić demagogiczna fantazja. Podobne wersje puszczano jeszcze w okresie, gdy nikt nic konkretnego nie wiedział, a wszelkimi sposobami usiłowano podważyć propagandę niemiecką, i to miało wówczas swoje uzasadnienie. Do jakiego jednak stopnia można być pozbawionym wszelkiego obiektywizmu, dowodzi fakt, że p. Wójcicki nie tylko tę wersję powtarza, ale nadto traktuje ją jako poważny argument dziś jeszcze! Zastanówmy się chwilę: po co

Niemcy mieli uciekać się do takich chwytów? Oczywiście tylko dla własnego interesu. A teraz: jaki mogli mieć interes w świetle stanu faktycznego? Żadna ze stron, ani niemiecka, ani sowiecka, ani polska, ani jakakolwiek na świecie, nie neguje, że w Katyniu znaleziono zwłoki oficerów polskich. Żadna ze stron nie neguje, że w kie-szeniach trupów znaleziono ich własne książeczki wojskowe, legitymacje, dowody tożsamości, umożliwiające w znacznym stopniu utożsamienie zwłok. Spór idzie o co innego, o listy, gazety, pamiętniki i inne dowody, świadczące o terminie mordu, ale nigdy o autentyczności znalezionych dowodów tożsamości. W jakim więc celu mógł jakikolwiek dyspozycyjny ośrodek niemiecki polecić: „Dorzućmy tu jeszcze legitymacje Ponińskiego i Kołodziejczyka, który siedzi w Oświęcimiu”... Po co? Ale to nie wszystko: „Ogłośmy później w gazetach wydawanych po polsku w GG nazwisko Kołodziejczyka”... Po co? Po to chyba, żeby rodzina i znajomi Kołodziejczyka rozpowszechnili po całym kraju wiadomość, że Niemcy lżą, bo w Katyniu leżą trupy ludzi wziętych w istocie do Oświęcimia. Czy coś podobnego mogło leżeć w interesie Niemców? Czy w Katyniu nie znaleziono autentycznych legitymacji? Ależ znaleziono ich tysiące! Więc? Odpowiem. Jakikolwiek głęboko jestem przekonany osobiście, że cała ta wersja jest i była nieprawdziwą, jedynym jej uzasadnieniem mogło być, że Niemcy, którzy znaleźli w Katyniu tylko 4.000 zwłok, chcieli tę liczbę sztucznie powiększyć do zapowiedzianej przez ich propagandę cyfry 10.000.

Niestety dla p. Wójcickiego! Zapomniał on o tym, że właśnie bolszewicy podtrzymali najuroczyściej w tym punkcie wersję niemiecką, podnosząc ją nawet do 11.000. Skoro więc Niemcy wykopali tylko 4.000, to według wersji sowieckiej musiało tam pozostać jeszcze 7.000 nie odkopanych. Po cóż więc Niemcy mieliby się bawić w kompromitującą ich zbiórkę fałszywych legitymacji po całym kraju, skoro wystarczyło sięgnąć do rzekomych 7.000 jeszcze nieekshumowanych?! Oto w jaki sposób niesprytny p. Wójcicki wyjechał z całą armatą „dowodów”, z której wystrzelił, ale w fałszywym kierunku... Podważając – wierząc, że niechcący – sowiecką tezę o rzekomych 11.000.

GAFFA BOREJSZY

Szereg pomniejszych gaff można mu darować, natomiast warto przytoczyć fatalną omyłkę, jaką uczynił przypominając *in extenso* w załącznikach, artykuł Jerzego Borejszy, ogłoszony w „Wolnej Polsce” z 1 lutego 1944. Jak wiadomo, jedną z najsłabszych stron wersji sowieckiej jest twierdzenie, że jeńcy polscy znajdowali się rzekomo w obozach pod Smoleńskiem w ilości 11.000, że nie zdążono ich ewakuować i że wpadli w ręce niemieckie w lipcu 1941. Twierdzenie to wypada absurdalnie w zestawieniu

z faktem, że w czasie pomiędzy odejściem jednego wroga, a nadejściem drugiego, oraz w ogólnym zamieszaniu, wywołanym wojną ruchomą, ani jednemu spośród tych rzekomych 11.000 nie udało się zbiec! Ani jednemu!... Oczywiście nikt w to wierzyć nie może. Tymczasem p. Borejsza wersję tę z nieprawdopodobnej przeistacza wręcz w śmieszną, gdy pisze we wspomnianym artykule: „Hitlerowcy po przybyciu na Smoleńszczyznę zastali tam w różnych obozach i po wsiach (podkr. moje) oficerów i żołnierzy polskich”.

Okazuje się więc, że oficerowie polscy przebywali również „po wsiach” i nie tylko z obozów, ale nawet z tych „wsi” nie udało się żadnemu z nich nigdy zbiec, nikomu z rzekomej liczby 11.000!...

Dodajmy od siebie, że taktyka ofensywy niemieckiej tego okresu polegała na rzucaniu naprzód, klinami, wojsk pancernych, że pozostawiały one wokół siebie tereny próżne. W znanej tej taktyce nie mieliby na pewno czasu zajmować się obozem bezbronnym jeńców, skoro omijali całe uzbrojone armie sowieckie. Znany jest też fakt, że w bezpośrednim zapleczu czołówek niemieckich operowały bez przeszkód oddziały partyzanckie i rozproszone oddziały armii czerwonej, co zresztą sam p. Borejsza przyznaje. I w takich warunkach ani jednemu z tysięcy oficerów polskich, rozłokowanych rzekomo... po wsiach, miałyby się nie udać przedrzeć i zaświadczyć o prawdziwości wersji sowieckiej? Cóż za bzdura!

Nie wierzył w nią naturalnie ani p. Borejsza w r. 1944, nie wierzy oczywiście i p. Wójcicki w r. 1952.

Ale książka nosi tytuł: *Prawda o Katyniu*.

W końcu chciałbym jeszcze podkreślić, że wprawdzie bolszewicka książka o Katyniu rozprawia się aż na kilku stronicach z „zakapturzonym świadkiem”, którego i tutaj nikt poważnie nie traktuje, natomiast olbrzymi materiał dowodowy, zgromadzony i ogłoszony na Zachodzie i przygważdżający winę sowiecką, pomija zupełnym milczeniem i poza kilkoma wymienionymi fragmentami, nawet nie próbuje go podważyć.

(„Wiadomości”, Londyn 1952, nr 28)

CZEGO JESZCZE NIE WIEMY O KATYNIU?

(W osiemną rocznicę zbrodni)

Koniec marca – kwiecień – początek maja roku bieżącego to osiemnasta rocznica popełnienia zbrodni katyńskiej i piętnasta rocznica jej wykrycia. Jakoś w zeszłym roku rocznica minęła prawie nie zauważona na emigracji. Tzw. „realna polityka” śnać przysłoniła kompletnie „nierealne” dziś refleksje...

Czego jeszcze nie wiemy o Katyniu? Innymi słowy: są jakieś tajemnice w tej sprawie, jakieś nie wyjaśnione dotychczas zagadki?

Konkretna odpowiedź winna by brzmieć: to zależy od tego, co rozumiemy pod słowem „zbrodnia katyńska”. Jeżeli tylko zamordowanych w lasu Kozie Góry pod Katyniem, koło Smoleńska, na terenie domu wypoczynkowego funkcjonariuszów NKGB – nie ma tajemnicy i nie ma zagadki. Naturalnie istnieje masa drobnych szczegółów nieznanych, gdyż jak wiadomo zbrodnia popełniona była w największej tajemnicy. Ale są to szczegóły nieistotne, to znaczy w najmniejszym nawet stopniu nie zaciemniające całej prawdy, którą znamy. Mianowicie: kogo zamordowano, kto zamordował, kiedy zamordował, po co zamordował, ilu zamordował i jak zamordował. Wszystko zostało już wyjaśnione, prześwietlone, zeznane, zaprotokółowane, ustalone. – Jeżeli jednak pod słowem „zbrodnia katyńska” rozumiemy nie ściśle katyński teren, lecz wymordowanie ponadto 10 tysięcy ludzi, którzy wiosną roku 1940 zniknęli w Sowietach z oblicza ziemi, to przeciwnie: wiemy minimalnie, a straszna tajemnica, która pokrywa ich los, stanowi jedną z najcharakterystyczniejszych tajemnic w dziejach zbrodni ludzkiej i wcale „realnie” wkracza w zastanowienie nad „realną” polityką dnia dzisiejszego.

JAK TO BYŁO?

Dla jasności przypomnę pokrótce rzeczy powszechnie znane: po najeździe na Polskę w roku 1939, bolszewicy deportowali w głąb Rosji 14.987 ludzi i osadzili ich w trzech łagrach. W Starobielsku: 3.920 oficerów, w Kozielsku 4.500 oficerów i w Ostaszkowie: 6.567 szeregowych i oficerów policji, żandarmerii, KOP-u, funkcjonariuszów więziennictwa, poza tym osoby cywilne, jak: prokuratorów, sędziów itp. – Tej liczby deportowanych i osadzonych w tych obozach nie należy mieszać z masą później deportowanych obywateli polskich. Los tej masy był notoryczny i dobrze znany. Natomiast owe 15 tysięcy osadzonych w trzech wymienionych obozach, wypeł-

nia specjalną kartę. O nich słusznie powiadano, że stanowili niejako „kwiat polskiej inteligencji”, gdyż byli to nie tylko oficerowie zawodowi, ale przeważnie rezerwy, a wśród nich wielu profesorów, artystów, literatów, adwokatów, lekarzy, księży itd. itd.

Otóż gdy w roku 1941, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej i nawiązaniu stosunków dyplomatycznych pomiędzy rządem polskim na emigracji i rządem sowieckim, miejsce pobytu masy aresztowanych i deportowanych obywateli polskich dało się na ogół łatwo ustalić, przyjść im z pomocą, uformować oddziały polskie i w rezultacie znaczną część wyprowadzić na Bliski Wschód z granic sowieckich, o tyle miejsce pobytu i los owych 15.000 z obozów Kozielsk, Starobielsk, Ostaszków, od razu stanowił nierozwiązalną zagadkę. Władze sowieckie nagle: „nie wiedziały, gdzie się ci ludzie podzieli”. Piętnaście tysięcy zniknęło i rozwiało się w powietrzu... Czy też przepadło pod ziemią?...

Nie będę powtarzał tak dobrze znanych zabiegów i poszukiwań władz polskich oraz nie mniej znanych wykrętów, sprzeczności, mylnych śladów i zacierania śladów ze strony władz sowieckich. O tych daremnych poszukiwaniach owych tysięcy oficerów, na których przecie najbardziej liczono przy odbudowie armii polskiej (wtedy jeszcze mówiono nie o 15, ale o 12 tysiącach; liczba nie była dokładnie znana), wiedział naturalnie wywiad niemiecki. I gdy w kwietniu 1943 roku Niemcy przypadkowo natrafili w Katyniu na masowe groby wymordowanych oficerów polskich, dr Goebbels obwieścił całemu światu: „Oto gdzie są oni, ci poszukiwani: 12 tysięcy oficerów”!

Tak się w kilku słowach przedstawiała sprawa do kwietnia 1943 roku.

MOJE ZETKNIĘCIE Z TAJEMNICĄ

Jak wiadomo, byłem osobiście w Katyniu. Nie będę tu przytaczał okoliczności i wrażeń, wielokrotnie już przeze mnie opisanych w relacjach i książkach. Wrażenie było wstrząsające, straszne. Najgorsze, na widok tej regularnej ciasnoty trupów, leżących na dnie jednego z grobów, uciśnionych niejako jak sardynki w pudełku, sklejonych wzajemnie, wbitych jeden w drugiego, w strasznej, trupiej mazi. Kierował robotami ekshumacyjnymi dr Wodziński z Krakowa, mając za podległy sobie personel również Polaków, a tylko do wyciągania trupów posługiwał się jeńcami sowieckimi. To wszystko znane.

Chciałbym natomiast odtworzyć tu raz jeszcze moje zetknięcie z tajemnicą... A było tak: gdyśmy przybyli na teren grobów (dziennikarze: portugalski, szwedzki, hiszpański, oraz delegacja

robotników warszawskich), Niemcy powiedzieli nam: „Możecie chodzić, gdzie się wam podoba, rozmawiać z miejscowymi mieszkańcami, zabierać na pamiątkę przedmioty poza dokumentami...”

Było jasne, że nie mieli niczego do ukrycia, a jak się później okazało: z wyjątkiem jednego... Ja podszedłem do człowieka z ekipy dra Wodzińskiego, który wydawał zlecenia. Był w ciemnych okularach, wydawał się starszym felczerem czy kimś w tym rodzaju.

– Proszę pana – zapytałem szeptem – czy jest tu coś takiego, co nie jest zgodne z tym, co Niemcy ogłaszają w gazetach? – Spojrzał na mnie podejrzliwie. Sekunda wahania:

– Naturalnie, że jest „coś takiego”.

– Co?

– Liczba.

– Jak to? Nie rozumiem.

– Bardzo prosto. Nie ma tu ani 12 tysięcy, ani nawet 10 tysięcy, o których trąbią Niemcy.

– Co pan mówi! A wielu jest?

Człowiek w ciemnych okularach znał zawartość poszczególnych grobów na pamięć. Pierwotnie znaleziono wszystkiego 7 mogił. Wszystkie zostały opróżnione. W tej największej zostało na dnie jeszcze ze sto, dwieście trupów. Razem zaledwie ponad 4 tysiące. Niemcy gorączkowo szukają więcej, nie mogą znaleźć. Z tamtej strony jaru wykryto tylko jedną mogiłę, oznaczoną teraz nr 8.⁵⁴ Już znamy jej zawartość: 80-100 trupów. Ale Niemcy ich nie chcą wydostać na zewnątrz. Więcej niczego nie znaleziono, poza kilkunastu zamordowanymi jeszcze w dawnych latach, z pośród ludności miejscowej.

Przerwałem mu:

– Znowu nie rozumiem. Po pierwsze, dlaczego Niemcy nie chcą wydostać trupów z mogiły nr 8? Po drugie, w jaki sposób wiadomość o tym, że jest tylko 4 tysiące, nie przedostała się dotychczas na zewnątrz? Przecież przyjeżdżało tu moc ludzi, delegacje, eksperci różnych krajów...

– Jasne dlaczego. Wszyscy, co przyjeżdżali, przyjeżdżali w trakcie prac ekshumacyjnych. Interesowała ich strona niejako jako-

⁵⁴ Dla celów narracji lub w wyniku kolizji pamięci – ten błąd powtórzył się w innym artykule – Mackiewicz antycypuje wykrycie grobu nr 8, które nastąpiło dopiero po jego wyjeździe z Katynia; ten fakt był jednak ogłoszony od dawna w relacji dra Wodzińskiego. (przyj. wyd.)

ściowa, a nie ilościowa. Zresztą, kto mógł przeliczać, gdy większość trupów była jeszcze pod ziemią. A pan przyjechał na zakończenie robót (było to w końcu maja) i liczba jest jak na dłoni. A dlaczego nie chcą wydobyć trupów z grobu nr 8, też jest jasne: propaganda niemiecka się zakłamała. Powiedziała 12 tysięcy, a teraz nie chce się wycofać. Żeby nie podważać autorytetu tej propagandy i słów samego Goebbelsa. Wyszło bardzo głupio. Jeżeli jakkolwiek mogiłę pozostawia nienaruszoną, będą mogli powiedzieć: „tyle-to wydobyto, zarejestrowano; reszta jeszcze w grobach”. Na razie pretekst, a później się okaże, co dalej. Z tej cyfry 10-12 tysięcy nie chcą jednak ustąpić.

CZŁOWIEK W CIEMNYCH OKULARACH MIAŁ RACJĘ

Człowiek w ciemnych okularach przewidział dokładnie. W końcu czerwca 1943 r. Niemcy ogłosili komunikat, że wydobyto w Katyniu 4.143 trupy. Natomiast: „Obecne upały i plaga much przeskoczyły na razie w dalszej ekshumacji”. Ostateczna więc cyfra pozostała zawieszona w powietrzu.

Tymczasem wyszła na jaw jeszcze jedna okoliczność. Oto w Katyniu znaleziono wyłącznie oficerów osadzonych uprzednio w obozie Kozielsk.

To że: „tylko Kozielsk”... nie zdawało się jeszcze tak ważne w roku 1943. Nikt się wówczas nie spodziewał, że stanowić to będzie początek tajemnicy nie rozwiązanej do dnia dzisiejszego. Bo cóż się stało dalej?

To, co wiemy: bolszewicy wyparli się tej zbrodni, którą dokonali wiosną 1940 i zarzucili Niemcom jej popełnienie. Rzekomo ci Polacy pracowali przy budowie dróg w okolicy Smoleńska i rzekomo Niemcy ich wymordowali na jesieni 1941 r., gdy te okolice zajęli. – Wersję tę Sowiety podtrzymały na procesie w Norymberdze, oskarżając Niemców o wymordowanie... „11 tysięcy oficerów polskich w Katyniu”...

Innymi słowy: Sowiety zaprzeczyły całej prawdzie ogłoszonej przez Niemców w 1943 r., zapożyczając od nich tylko: jedyne kłamstwo – cyfrę 11 tysięcy. A uczyniły tak dlatego, że nawet gdyby przyznać Sowietom rację i powiedzieć: „No dobrze, założmy, że 4.200 oficerów zamordowali w Katyniu Niemcy”, pozostawałoby otwarte pytanie: „Ale gdzie reszta? Gdzie jeszcze 10 tysięcy?”

Oto w jaki sposób propaganda Goebbelsa, podtrzymując do końca fałszywą cyfrę 10-12 tysięcy, sprawiła olbrzymią przysługę bolszewikom. Oto też dlaczego skwapliwie uchwycili się oni tego kłamstwa. Pytanie bowiem: Gdzie reszta? Gdzie jeszcze 10 tysięcy?

Gdzie ich wymordowano i zakopano? – było dla Sowietów miazdzące.

ZAGADKA DO DNIA DZISIEJSZEGO

Powtarzam raz jeszcze: sprawa trupów znalezionych w Katyniu jest dziś wyjaśniona bez reszty. Zamordowani zostali wiosną roku 1940 przez bolszewików, wykryci wiosną roku 1943 przez Niemców. Osobiście zbadałem tę sprawę na miejscu, a następnie poświęciłem wiele lat na badanie wszystkich dostępnych dokumentów. Książka moja na ten temat ukazała się w sześciu językach. W roku 1952 stanąłem przed Specjalną Komisją Kongresu Amerykańskiego w charakterze eksperta dla oceny rzekomej „ekspertyzy” sowieckiej, zawierającej – mogę to powiedzieć bez zająknięcia – od początku do końca jedno pasmo kłamstw.

Komisja Kongresu Amerykańskiego zebrała olbrzymi materiał, zawarty dziś w kilku tomach. Tam jest wszystko: zeznania, dokumenty, noty dyplomatyczne, fotografie, wykresy, protokoły, imienny spis wymordowanych itd. itp. Wszystko jasne jak na dłoni. – Tak się przedstawia sprawa zbrodni na terenie Kozich Gór pod Smoleńskiem.

Natomiast miejsce „Katynia” pozostałych 10 tysięcy wymordowanych – jest zagadką do dnia dzisiejszego. Wiadomo, że wymordowani zostali przez tych samych bolszewików i w tym samym czasie, wiosną roku 1940. Nie wiadomo natomiast: jak? i gdzie?

Pokrótkę przypomnę: skąd i co o nich wiemy. Chodzi o to, że z wszystkich wymienionych obozów: Kozielsk – Ostaszków – Starobielsk, władze sowieckie dla różnych względów, których nie będę tu omawiał, wydzieliły grupy, które zostały przy życiu i przewiezione zostały do obozu w Griazowcu. Łącznie z trzech obozów: 406 ludzi. Ludzie byli wydzielani z tych obozów nie od razu, ale stopniowo, właśnie w trakcie ich likwidacji i wywożenia jeńców w nieznaną. Mieli więc okazję zapoznać się dokładnie z całą procedurą i na tej podstawie można było ustalić, że procedura rozładowania wszystkich trzech obozów była absolutnie identyczna, oraz że to rozładowanie odbyło się w identycznym terminie. Identyczność więc losów tych trzech obozów nie ulega najmniejszej wątpliwości. Los obozu w Kozielsku – zakończył się w Katyniu. Ale gdzie Ostaszkowa i Starobielska?

W tej sprawie istnieją tylko poszlaki i to oparte na domysłach dosłownie kilku osób. Mówiło się o zatopieniu w Morzu Białym, o śladzie urywającym się dla Ostaszkowa gdzieś w pobliżu stacji Bologoje, dla Starobielska w pobliżu Charkowa. Na tych poszlakach budować jednak niczego nie można. – Wiemy zatem do-

kładnie, że ci ludzie zniknęli z powierzchni ziemi wiosną 1940 roku. Ale gdzie – nie wiemy do dnia dzisiejszego.

SOWIETY – PAŃSTWEM DOSKONAŁEJ ZBRODNI

Ktoś z boku mógłby powiedzieć: czy to takie ważne? Przecież bolszewicy w ciągu 40 lat panowania wymordowali miliony. Dzieciść tysięcy mniej – więcej, cóż za różnica... Kropla w morzu przelanej krwi. – Niewątpliwie jest trochę racji w tym ponurym rozumowaniu. Z drugiej jednak strony ta zbrodnia, w jej całości, służyć może za najbardziej lapidarny przykład systemu, w którym największym przestępcą jest – samo państwo. I właśnie ta rzecz przesądza o „wzorcowym” charakterze zbrodni katyńskiej, a nie ilość wymordowanych, czy ich narodowość.

Ci ludzie nie zostali zabici ani w wojnie zewnętrznej, ani domowej; nie zginęli w warunkach wywołanych głodem lub społeczną przebudową państwa, jak to ginęli ludzie np. w okresie kolektywizacji; nie z wyroku, chociażby najbardziej występnego, sądu partyjnego lub zaocznego kolegium orzekającego;⁵⁵ nie wskutek wyczerpania i chorób w łagrach i więzieniach; nie gdzieś w szerokim rozproszeniu w przestrzeni i czasie. W wypadku „Katynia” mamy wszystkie elementy kryminalnego systemu ujawnione w klasycznym wzorze zbrodni: Bolszewicy, nie wypowiedając wojny, napadają na obce państwo, uprowadzają tyle-to ludzi i po pewnym czasie postanawiają ich zabić. A że ludzie ci są powszechnie znani i z nazwiska, i zawodu, i sytuacji społecznej, więc zabić tajnie i tajnie zakopać. Zatrzeć wszelkie ślady przestępstwa. Właśnie w ten sposób, jak to czyni notoryczny przestępca kryminalny.

Tu należy zwrócić uwagę na fakt znamieny. To że się udało trupy wykopane w lasu katyńskim tak łatwo zidentyfikować, zawdzięczamy właśnie tej procedurze: zacierania śladów. Gdyż wymordowani zakopani zostali „tak jak stali”, wraz ze wszystkimi dokumentami, listami, gazetami, zaświadczeniami itd. Ażeby nie mieć z tym żadnego kłopotu, nie prowadzić żadnej korespondencji; aby nie zostało żadnego archiwum, żadnych protokołów dotyczących pozostałych przedmiotów. Słowem: aby wszystko razem zginęło pod ziemią!

⁵⁵ A jednak, jak dziś wiemy, był to wyrok połączonych najwyższych organów władz Związku Sowieckiego, rządu i partii, ze Stalinem na czele, wydany po pracy „specjalnych trójek” i na wniosek Berii, 5 marca 1940 roku. Sam dokument ujawniono dopiero w roku 1992. Wylączywszy zbrodnie popelnione w czasie działań wojennych, dziesiątki milionów ludzi w ZSSR zostały zgładzone na zasadzie jednostkowych, najczęściej zaocznych wyroków. Na tym polega zasadnicza różnica między holocaustem nazistowskim i sowieckim. (przyp. wyd)

Dalej: system terroru i zastraszania, panujący w ustroju komunistycznym, ujawnił najpełniej swe praktyczne korzyści w takim wypadku, jak kryminalne przestępstwa dokonywane przez państwo. Podobnie jak postępuje banda zbrodniarzy, która zastrasza ewentualnych świadków: „A no, spróbuj tylko pisać słówko!” Albo terrorem zmusza świadków do składania fałszywych zeznań.

Najbardziej jednak charakterystyczną cechą tego rodzaju kryminalnego przestępstwa stanowi zawsze: zaparcie się winy, fałszywe alibi lub zgoła zrzućcie winy na kogo innego. – Nawet Hitler, mordując miliony Żydów, nie wypierał się tego czynu, tylko go usprawiedliwiał swoim światopoglądem. Komuniści natomiast, jak to wykazała sprawa katyńska, nie tylko się wyparli, lecz zrzucili winę na tego, kogo sami nazywają największym zbrodniarzem. W ten sposób przyznali, że ten czyn nie ma usprawiedliwienia ideologicznego, światopoglądowego, ale jest zbrodnią.. notoryczną.

Gdy nad globem ziemskim pojawił się pierwszy „Sputnik”, wszyscy komuniści i ich „sputnicy” na szerokim świecie zakrzykli wielkim głosem o niebywałych rzekomo osiągnięciach sowieckich. W rzeczywistości jednak, nie było to żadne „niebawale” osiągnięcie, a jak wiemy dziś, aż nadto „bywałe”, normalne dla epoki, w której żyjemy. Uwarunkowane jedynie środkami materialnymi. – Natomiast istnieje dziedzina, w której technika sowiecka istotnie prześcignęła wszystkie państwa na świecie. Jest to technika w dziedzinie zbrodni.

Minęło 18 lat od chwili, gdy 10 tysięcy ludzi, znanych z imienia i nazwiska, i sytuacji społecznej, osadzonych w obozach w Ostaszkowie i Starobielsku, zginęło raptem na oczach całej Europy, bez śladu. Mamy drugą połowę XX wieku. Technika w nauce kryminologii uczyniła olbrzymie postępy. Wykrywa się najbardziej skomplikowane przestępstwa, rozwiązuje najbardziej zawile zagadki kryminalistyczne. A oto nie możemy do dnia dzisiejszego ustalić, gdzie wymordowano i gdzie zakopano – nie jednego człowieka, ale 10 tysięcy ludzi.

Czy tego rodzaju tajemnica byłaby możliwa do utrzymania w Ameryce? W zachodniej Europie? W jakimkolwiek cywilizowanym kraju, w którym nie panują komuniści? Ale nawet nie cywilizowanym! Gdyby ci ludzie przepadli nawet w dziewiczych puszczech Nowej Gwinei, Kongo czy dorzecza Amazonki, gdyby byli zamordowani w Arktyce czy Antarktydzie, to przy dzisiejszym rozwoju techniki i nauki, znalazłoby się sto sposobów, aby ustalić nie tylko okoliczności, ale dokładne miejsce zbrodni i ukrycia 10 tysięcy trupów. Wszędzie na szerokim świecie, prócz – pod rządami komunistów, gdzie technika zbrodni jest udoskonalona i zabezpieczona przez aparat państwowy, samo państwo.

W TEJ DZIEDZINIE NIC SIĘ NIE ZMIENIŁO

Pouczają nas teraz... zyczliwi ludzie, że „komunizm się zmienia”, bo „zmieniają się komuniści”... Owszem, oni się zmieniają. Nawet zawsze się zmieniali. To tylko pamięć ludzka jest krótka. Gdy się „zmieniali” tacy ludzie jak Trocki, Bucharin, Zinowiew, Kamieniew, Krestinskij... etc. etc., przed dwudziestu przeszło laty, też rokowano wielkie nadzieje, z tą różnicą wszelako, iż nikomu wówczas nie przychodziło do głowy trockistów i bucharinistów traktować jako naszych – sojuszników w walce ze „stalinizmem”... Gdy się „zmieniał” Tuchaczewski, było więcej gadania niż dziś, gdy Żukow. Gdy rozstrzelano Jagodę i Jeżowa...

Dziś rozstrzelano Berię i Mierkułowa, jak wiemy, bezpośrednich wykonawców zbrodni katyńskiej. Umarł Stalin. Umarł Wyszynski, (prokurator, potem sowiecki minister spraw zagranicznych). Z całej ówczesnej szajki, odpowiedzialnej za tę zbrodnię, pozostał tylko Mołotow, a i ten w niełasce. Czy się jednak w sprawie zbrodni katyńskiej coś zmieniło? Nic a nic. Po dawnemu w Kozich Górach nad brzegiem Dniepru stoi pomnik łgarstwa, że to nie oni, nie bolszewicy, nie komuniści dokonali tej zbrodni. – Zmienił się Bierut i nastał Gomułka w Polsce. Czy się w tej sprawie, w sprawie Katynia, coś zmieniło? Ani o jotę. Po dawnemu nie wolno o tym ani mówić głośno, ani pisać. Zbrodnia, zatajanie zbrodni, współdziałanie ze zbrodnią, zacieranie śladów zbrodni, przemilczanie zbrodni – to wszystko w pojęciu naszym leży w płaszczyźnie tej samej – treści. Nie tylko zresztą w naszym.

Lenin był największym nauczycielem w dziedzinie: treści i formy. Zmianę formy dopuszczał, treści nigdy. Zmieniają się więc komuniści i zmienia się forma taktyczna. Treść pozostała ta sama.

I dlatego nie wiemy i Bóg raczy wiedzieć, czy dowiemy się kiedykolwiek, gdzie wymordowano i gdzie zakopano przeszło 6 tysięcy jeńców polskich z Ostaszkowa i prawie 4 tysiące jeńców polskich ze Starobielska.

(„Dodatek Tygodniowy” „Ostatnich Wiadomości”, Mannheim 1958, nr 16)

CZY NOWA „REWELACJA” W SPRAWIE KATYNIA?

W poprzednim moim artykule, pisany dla „Ostatnich Wiadomości”, wyjaśniłem, że w potocznej mowie „sprawą Katynia” nazywa się nie tylko wymordowanych w samym Katyniu jeńców polskich z Kozielska, ale też w Katyniu nie znalezionych, z Ostaszkowa i Starobielska, którzy wiosną roku 1940 w identycznym czasie i okolicznościach zginęli bez wieści. Przypomniałem też czytelnikom, że upowszechnienie tej nazwy na wszystkich zaginionych, wzięło się stąd, że Niemcy odkrywając groby pod Smoleńskiem w r. 1943, twierdzili, [że] leżą tam właśnie: wszyscy (podając cyfrę na 12 tysięcy), a Sowiety tę nieprawdziwą wersję podtrzymały; wyjaśniłem, dlaczego mianowicie to uczyniły. Tymczasem naprawdę w Katyniu znaleziono około 4.200 trupów, a gdzie zostali pomordowani jeńcy z pozostałych dwóch obozów, jest nadal tajemnicą.

Jak wiadomo, dotychczasowe poszlaki były skąpe. Na ich podstawie ustalono, że ślad wywożonych wiosną r. 1940 ze Starobielska ginął gdzieś w okolicach Charkowa; natomiast co do Ostaszkowa istniała rozbieżność zdań: ja twierdziłem, że ślad ten prowadzi do stacji Bologoje, położonej na linii Leningrad-Moskwa; inni, że ginie w okolicach Wiaźmy. Wszystko to tylko supozycje. Już po napisaniu tego artykułu otrzymałem do ręki nowy dokument. Po raz pierwszy ukazał się on w pewnym piśmie niemieckim... Ale zanim przejdę do jego omówienia, poruszę sprawę pewnej kategorii dokumentów, których w śledztwie katyńskim było brak.

TAJEMNICZY LOS MIŃSKIEGO ARCHIWUM NKWD

Dokumentów w sprawie właściwie Katynia zgromadzono bardzo dużo. Na ich podstawie Komisja Kongresu Amerykańskiego zdolala odtworzyć mord pod Smoleńskiem nieomal w najdrobniejszych szczegółach. Liczba świadków okazała się też bardzo pokazna. Natomiast brak jest zupełnie bezpośrednich dokumentów sowieckich.

Czy nikt ich nie miał nigdy w ręku? Owszem, istnieją wszelkie dane, że pewne ważne dokumenty wpadły w ręce niemieckie po zajęciu Mińska, w roku 1941. Błyskawiczny atak sprawił, że podobnie jak w Kownie i Wilnie, także i w Mińsku urzędy NKWD-NKGB uciekały w pośpiechu pozostawiając archiwa. Archiwa te potraktowane zostały przez Niemców, tak jak się właśnie traktuje archiwa – podczas wojny... To znaczy wszystko, co w pobieżnym przejrzaniu nie miało bezpośredniej styczności z operacjami wojennymi, zwalono na kupę, którą później żmudnie segregowali, najczę-

ściej przygodnie do tej pracy odkomenderowani, ludzie. Archiwa wileńskie i kowieńskie oddano następnie w ręce organizacji litewskiej, która je po latach bardzo skrupulatnie opracowała. Ale co się stało z archiwum mińskim?

Faktem jest też, że w rękach niemieckich znalazła się nawet lista urzędników i funkcjonariuszów mińskiego NKWD. Dlaczego właśnie interesuje nas NKWD mińskie, zaraz powiem. Oto od świadków, a przede wszystkim od jednego z głównych świadków Katynia, Iwana Kriwoziercewa (który po wojnie wydostawszy się do Anglii, w jakiś dziwnie tajemniczy sposób popełnił samobójstwo, rzekomo przez powieszenie). Niemcy w każdym razie już w roku 1943 mieli informacje, że egzekucji w Katyniu dokonywało w roku 1940 nie smoleńskie, ale – mińskie NKWD... Ogłaszając w Generalnej Gubernii broszurkę-uletkę w języku polskim, propaganda hitlerowska zacytowała nazwiska, jako oprawców katyńskich, zapożyczając je z posiadanej listy mińskiego NKWD, a dobierając takie o brzmieniu najbardziej żydowskim, co oczywiście miało podsycać nastroje antysemickie: Lew Rybak, Chaim Finberg, Josel (Osip) Lizak, Abraham Bomsowicz ... Ale znalazły się też: Boris Kuczow, Iwan Siekanow, a zwłaszcza niejaki towarzysz Burianow, rzekomy delegat moskiewskiej centrali NKWD... Ani te nazwiska, ani te okoliczności nie zostały powtórzone w opracowanej bardzo rzeczowo niemieckiej „Urzędowej Księdze o mordzie masowym w Katyniu”. Dlaczego?

Tłumaczenie może być dwojakie: albo niczego istotnego w odniesieniu do mordu katyńskiego w mińskim archiwum nie wykryto, albo przeciwnie: wykryto rzeczy zbyt istotne... Takie mianowicie, które niezbitcie ustalają cyfrę wymordowanych w Katyniu na 4 tysiące, a nie – 12 tysięcy, jak to ustalił Goebbels na niewidziane, a później nie chciał się wycofać. Ta fatalnie skłamana cyfra ciąży nad sprawą do dziś dnia i, jak wiemy, posłużyła stronie sowieckiej za pretekst do ukrycia dwóch innych „katyniów”. Sztywna propaganda niemiecka trzymała się tej cyfry do tego stopnia kurczowo – widocznie uważając że wszelkie poprawki mogą podważyć zaufanie do autorytetu samego Goebbelsa – iż w tym celu mogła nawet przemilczeć dokumenty znalezione w Mińsku.

Ale gdzie jest owo archiwum mińskie? Niewątpliwie musiało być przewiezione do Berlina; może dla późniejszego opracowania. Zniknęło bez śladu.

FALSZERZE

Zanim przejdę do omówienia nowego dokumentu, jaki się pojawił w tej sprawie, pozwolę sobie jeszcze na marginesową dygresję. Jasność „sprawy Katynia” zaciemnia nie tylko błakająca się

po gazetach świata fałszywa cyfra trupów znalezionych w Katyniu, ale też „rewelacje” różnych amatorów-falszerzy. Skwapliwa naiwność, z jaką drukowane są te fałszywe, znakomicie sprzyja myleniu śladu i wprowadza w błąd opinie publiczną Zachodu.

Jednym z najskuteczniejszych falsyfikatów tego typu był spreparowany przez pewnego rodaka z Szwecji, który wywędrował później do Argentyny. Ogłosił on przed laty w szwedzkim piśmie „Dagens Nyheter” niesamowitą kompilację o niejakim „Martinim”. Ten to Martini, adwokat z Krakowa, później zamordowany, miał rzekomo na polecenie rządu Bieruta wszcząć „polskie” śledztwo w sprawie Katynia. Pojechał na miejsce, na własną rękę rozkopywał groby, przeglądał dokumenty w mińskim archiwum NKWD i – „zamiast ustalić, że to zrobili Niemcy, jak chciał Bierut” – ustalił nawet nazwiska autentycznych oprawców... I tu następuje ich wyliczenie: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham Bomsowicz... itd. Pomijając już szczyt naiwności, aby władze sowieckie mogły pozwolić adwokatowi z Krakowa ryć się na własną rękę w grobach katyńskich lub archiwach NKWD (!) – na nieszczęście „rewelatora”, niemiecka ulotka z r. 1943, z tymi nazwiskami, była w moim posiadaniu w Londynie. Stąd łatwo można było ustalić, że nazwiska te, nawet w identycznej kolejności, autor „rewelacji” zaczerpnął nie od rzekomego „Martiniego”, a po prostu przepisał z ulotki sprzed pięciu laty.

Niestety na artykuł w „Dagens Nyheter” wpadł amerykański dziennikarz i twórca pierwszego Komitetu Katyńskiego, Julius Epstein, i w swoich – w wielu językach opublikowanych – artykułach przytoczył tę fantastyczną historię, rozgłaszając ją szeroko. Po wyjaśnieniach, w liście do mnie, p. Epstein przyznał się do fatalnego błędu, tym niemniej „afery Martini” po dziś dzień pokutuje w prasie światowej.

Innym był ów „świadek” w poszewce na głowie, który wystąpił przed Komisją Amerykańskiego Kongresu. Do dziś dnia trudno bez wstydu i oburzenia na tych, którzy dopuścili do tej maskarady, wspominać o tym fakcie, który omal nie podciął u nasady tak pożytecznych następnie prac Komisji.

Później co pewien czas wyskakiwał ktoś z nową bujdą. Ostatnim w tym szeregu jest niejaki rabbi Halsberg z Izraela. W europejskich i południowo-amerykańskich gazetach pojawiły się parę miesięcy temu jego oświadczenia jako: „jedynego, który uszedł mordu katyńskiego”, zawdzięczając strażnikowi sowieckiemu, który go ostrzegł w porę... Okoliczności, daty, cyfry, nazwy miejscowości pomieszczone są w tak naiwnie bezceremonialny sposób, że nie zasługują nawet na doczytanie do końca.

Naturalnie łatwo byłoby wystąpić z tezą, że wszystkie te fałszerstwa, stwarzające wokół Katynia atmosferę chaosu, kierowane są centralnie przez jakąś prowokacyjną instancję sowiecką. Ale zapewne tak nie jest. Znając ludzką słabość, tłumaczą się one w sposób bardziej prosty i naturalny, choć mogą robić wrażenie prowokacji, jak na przykład w ośmieszającej roli odegranej przez „zakapturzonego świadka”.

NOWY DOKUMENT

Przytoczyłem te fakty dla zilustrowania złej tradycji, jaka się wokół Katynia utarła w prasie światowej. Stąd uzasadniona z naszej strony podejrzliwość w stosunku do każdej nowej rewelacji. Dlatego może być nie zwrócono pierwotnie uwagi na pewien nowy dokument.

Ukazał się on dnia 7 lipca 1957 roku w bulwarowym niemieckim piśmie „7-Tage”, w Karlsruhe. Rodzaj gazety również nie sprzyjał poważnemu potraktowaniu dokumentu. Była to fotografia kopii raportu mińskiego Urzędu NKWD, przesłanego władzom centralnym w Moskwie.

Oto dosłowne jej tłumaczenie z rosyjskiego: ⁵⁶

⁵⁶ Tekst dokumentu w identycznym brzmieniu przytoczył autor także później jako składnik zamieszczonego dalej szerszego artykułu *Tajemnica archiwum mińskiego NKWD*, obok oryginału rosyjskiego. Aby uniknąć powtórzeń pozostawiono tam tylko tekst rosyjski. (przyp. wyd.)

Odpis

T A J N E

ZWIĄZEK SOCJALISTYCZNYCH
SOWIECKICH REPUBLIK
Ludowy Komisariat
SPRAW WEWNĘTRZNYCH

Urząd N K W D

Obszar Miński

Oddział (nieczytelne)

10 czerwca 1940

Do

Głównego Urzędu NKWD
m. M O S K W A

R A P O R T

Z rozporządzenia Głównego Urzędu NKWD z dnia 12-go lutego 1940 roku została dokonana likwidacja trzech obozów polskich jeńców wojennych, a mianowicie w rejonach m. Kozielska, Ostaszkowa i Starobielska. Akcja likwidacji wymienionych obozów była zakończona 6 czerwca r.b. Na odpowiedzialnego kierownika wyznaczony był, delegowany przez Centrum, tow. Burianow.

Na podstawie wyżej wymienionego rozkazu, zlikwidowany został w pierwszej kolejności w okresie od 1 marca do 3 maja rb. w rejonie m. Smoleńska, obóz Kozielsk, przez organy Mińskiego Urzędu NKWD. W charakterze osłaniających Oddziałów użyte zostały jednostki wojsk terytorialnych, w szczególności 190 pułku strzeleckiego.

Druga akcja na podstawie wyżej wymienionego rozkazu dokonana była przez organy Smoleńskiego Urzędu NKWD, w rejonie miasta Bołogoje, pod ochroną jednostek 129-go pułku strzelców (Wielkie Łuki) i zakończona 5 czerwca br.

Przeprowadzenie trzeciej akcji likwidacji obozu Starobielsk poruczone zostało Charkowskiemu Urzędowi NKWD, które to zadanie wypełniono w rejonie osady Dergacze i zakończono 2-go czerwca przy wykorzystaniu dla ochrony jednostek 68-go ukraiń-

skiego, strzeleckiego pułku terytorialnych wojsk. W danym wypadku odpowiedzialnością za wykonanie tej akcji obarczony został pułkownik NKWD tow. B. Kuczkw.

Odpisy niniejszego raportu skierowuje się również do wiadomości generałów NKWD RAJCHMANA i ZARUBINA.

Naczelnik Urzędu

N K W D

Mińskiego Obszaru

(Tartakow)

Sekretarz oddziału

Zgodne z oryginałem

Jak wynika z tekstu, dokument ten, gdyby okazał się prawdziwy, rozwiązałby definitywnie zagadkę, która od osiemnastu lat nie przestaje być tajemnicą: gdzie wymordowano jeńców Ostaszkowa i Starobielska. Ale: czy jest prawdziwy? ⁵⁷

NIE CHODZI O WERSJĘ, CHODZI O DOKUMENT

Fotografia oryginalnej kopii rzekomego raportu, zamieszczona w piśmie „7-Tage”, wskazuje, że pisana była na blankiecie mińskiego urzędu NKWD. Jest bardzo zniszczona, jakkolwiek łatwa do odczytania. Wersja o pochodzeniu tego dokumentu, podana przez redakcję czasopisma, nie posiada dla wyjaśnienia sprawy żadnego znaczenia. Zdradza bowiem kompletną ignorancję. Naiwność tej wersji przypomina aferę „Martini” z tą różnicą, że tym razem nie Bierut, ale rzekomo Gomułka podjął się wydania białej księgi w sprawie Katynia; księga już była złożona, ale Chruszczew jakoś uprosił, aby Gomułka tego wydania zaniechał... Miała bowiem czarna na białym wykazać, że mordercami byli istotnie bolszewicy itd. Rozprawić się z tego rodzaju kompozycją oczywiście nie ma potrzeby.

W tym wypadku nie obchodzi nas ogłoszona wersja, ale – odfotografowany dokument. Jest on, w przeciwieństwie do licznych, puszczonech w świat falsyfikatów, zdumiewająco ścisły i pokrywający się z faktycznym stanem rzeczy: Niezależnie też od fantastycznej wersji „7-Tage”, że pochodzi z drukarni krakowskiej, gdzie przygotowywano „Białą Księgę”, pochodzić może z autentycznego,

⁵⁷ Por. na ten temat wywody autora dalej, w art. *Tajemnica archiwum mińskiego NKWD*, oraz przypisy wydawcy do tego artykułu. (przyp. wyd.)

przewiezionego swego czasu do Berlina, archiwum mińskiego NKWD, które gdzieś zniknęło. – Jeżeli jest prawdziwy...

POWAŻNE WĄTPLIWOŚCI

Treść ma wszelkie cechy autentyczności.

Pewną wątpliwość budzi: dlaczego mińskie NKWD miałyby raportować o tym, co wykonywało smoleńskie pod Bologoje, a zwłaszcza charkowskie w osadzie Dergacze? Wątpliwość nie wyklucza jednak możliwości. Mińskie NKWD mogło tego rodzaju zadanie, obejmujące całość akcji, dla względów nam bliżej nieznanych – otrzymać. Dalej błędna jest data zakończenia egzekucji w Katyniu: „3-go maja”. Wiemy bowiem, że ostatnie gazety znalezione przy zwłokach w grobie nr 8 noszą datę 6-go maja. Ale – tego rodzaju raportowanie o przedwczesnym wykonaniu zadania jest dosyć rozpowszechnione w Związku Sowieckim... Innych wątpliwości dokument ten w jego treści zdaje się nie nasuwać.

Jeżeli chodzi natomiast o formę dokumentu, jest tych wątpliwości sporo:

1. „Sekretno” – tajne, nie pisze się w NKWD pośrodku, lecz u góry z prawej strony.
2. Brak numeru! Dokument ten musiał być zaopatrzony w numer. Ślad numeru powinien pozostać i na kopii.
3. Adres nie jest ścisły. Nie było w Moskwie jednego „Głównego Urzędu NKWD”. Było ich osiem, obejmujących różne resorty i wszystkie nosiły tytuł: „Główny...” – Niezależnie od tego, że w takiej sprawie należało się raczej spodziewać meldunku na bezpośrednie imię Berii czy Mierkułowa...
4. Sam styl meldunku wydaje się trochę za pobieżny. Np. dlaczego przy tak ważnej osobie jak delegata centrum NKWD wymieniono tylko: „towarzysz Burianow”, bez wymienienia rangi? Itp.
5. Rozdzielnik. Nie pisze się w NKWD: „także skierowano do wiadomości”... tylko: skierowano: a) b) c) itd.; pod spodem każdy z nowej linii.
- 6) Błędy ortograficzne w języku rosyjskim: „terretorialnych” zamiast, jak powinno być, „territorialnych”. Są to jednak błędy wybacalne, mogące się zresztą tłumaczyć wpływem białoruskiej wymowy.

POWAŻNE „ZA”

Jako przeciwwagę tym wątpliwościom przytoczyć można argumenty przemawiające za autentycznością dokumentu. Wykazuje bowiem dokładną znajomość stanu faktycznego.

Charakterystyczne przesunięcie mińskiego NKWD do wykonania egzekucji pod Smoleńskiem, a smoleńskiego pod Bologoje, są na przykład typowe. Nazwiska, daty, wszystko się mniej więcej zgadza. Najważniejsze zaś, że zdaje się również zgadzać dyslokacja wymienionych pułków. Tak np. w wypadku 68 pułku strzelców, już udało się ustalić z całą pewnością, że wiosną roku 1940 stacjonował w bliskości Charkowa.

Do tego dochodzą argumenty psychologiczne. Zakładając, że to falsyfikat, wydaje się dziwne, że nie został sfabrykowany w okresie najwyższej „koniunktury” Katynia na Zachodzie, ale dopiero teraz. Skoro bowiem przypuszczalny autor falsyfikatu wykazał tak gruntowną znajomość rzeczy, tym samym musiał być gruntownie obznajmiony i z obecnym brakiem zainteresowania tą sprawą u czynników „zachodnich”. A więc zdawać sobie sprawę, że w tych warunkach praca nad falsyfikowaniem tego rodzaju dokumenty po prostu się nie opłaci. I to: ani politycznie, ani materialnie. Czego zresztą pośrednim dowodem jest fakt, że dokument – prawdziwy czy falszowy – ale o takiej doniosłości, wylądował w prowincjonalnym piśmie, prawie niezauważony.

(„Dodatek Tygodniowy” [do:] „Ostatnie Wiadomości”, Mannheim 1958, nr 40; 17 października)

DLACZEGO CHRUSZCZEW NIE MÓGŁ WSPOMNIEĆ

O KATYNIU

Gdyby tytuł niniejszego artykułu zaopatrzyć w znak zapytania, odpowiedź brzmiałaby nader prosto i jednoznacznie: dlatego że wspominając na XXII Zjeździe partii zbrodnie popelnione przez Stalina, nie wspominał ani jednej popelnionej w odniesieniu do n i e k o m u n i s t ó w . Kropka. Na tym można by poprzestać, wyczerpując temat.

Zdarzyło się jednak, że mimo oczywistości tego faktu, mimo iż znany jest on całemu światu, pewne sfery na Zachodzie próbują lansować dezinformujący opinię kąt widzenia, wytwarzać nastroj fałszywego optymizmu, jakoby Chruszczew potępił otwarcie Stalina za jego zbrodnie w ogóle. Stąd rzucono pytanie: dlaczego w ich liczbie nie wymienił zbrodni katyńskiej? Jest to wyraźne pomieszanie pojęć, umyślne lub bezmyślne przejście z płaszczyzny zewnętrznego antykomunizmu, w płaszczyznę wewnętrzną opozycji wobec – „stalinizmu” czy na polskie stosunki: „natoli[ni]zmu”. Czyli uznamy siebie za włączonych poniekąd w sferę wewnątrzkomunistycznych rozgrywek, zamiast jak dotychczas być ich postronnym obserwatorem.

Być może niektórzy uważają wiązanie sprawy Katynia z wynurzeniami Chruszczewa na XXII Zjeździe za posunięcie wyłącznie taktyczne, mające na celu tylko przypomnienie tej zbrodni. Sądzę, iż można by przypominać o niej w inny sposób, a nie akurat w kontekście zupełnie dla niej niewłaściwym.

Chruszczew nie wspominał i nie mógł wspomnieć o ofiarach Katynia, gdyż pomordowani tam oficerowie polscy nigdy nie należeli do partii, nigdy nie byli komunistami. A nie było wypadku, aby komuniści mordowanie przeciwników swego ustroju uznali kiedykolwiek za zbrodnię. Przeciwnie, zawsze przedtem i w dalszym ciągu uważają to nie za zbrodnię, a za dobry dla partii uczynek. Pod tym względem wystąpienie Chruszczewa na XXII Zjeździe nie zmieniło ani stanowiska, ani moralności komunistycznej o jotę.

CZEGO UCZY NAS HISTORIA

Ażeby wyjaśnić kompleks problemu, należy przede wszystkim uświadomić sobie pewne prawdy historyczne. Twórcą terroru był nie Stalin lecz Lenin. Z naszego punktu widzenia, z punktu wolnego świata, najwięcej zbrodni dokonał nie Stalin lecz Lenin. Lenin wymordował miliony wolnych ludzi, którzy się przeciwsta-

wiali wprowadzeniu systemu bolszewickiego; Lenin zburzył tysiące świątyń i pozamykał klasztory; Lenin stworzył obozy koncentracyjne pierwsze tego typu na świecie; Lenin zniszczył wolne życie jednostki zastępując je kolektywnym jarzmem; Lenin był twórcą swoistej moralności komunistycznej, dla której każdy środek służący dobru partii jest dobry; Lenin stworzył taktykę komunistyczną, której najwyższą wartością jest skuteczność w osiągnięciu celu. I temu celowi służył jego NEP, jak też rozmaite chwytaki taktyczne à la „własne drogi do socjalizmu”.

Stalin zastał teren po Leninie prawie oczyszczony ze zorganizowanego elementu antykomunistycznego. Nie miał potrzeby mordować aktywnej warstwy społecznej, bo wymordował ją Lenin. Natomiast przystąpił do rozprawienia się z masą chłopską, czego Lenin nie zdążył jeszcze zrobić za życia. Stalin przystąpił do tzw. „rozkułaczenia wsi” i jej przymusowej kolektywizacji. Pociągnęło to za sobą miliony ofiar w ludziach, zsyłki, mordy, głód, ludożerstwo. I to jest jego największa zbrodnia, w której nota bene brali udział zarówno dzisiejsi „stalinowcy”, jak „antystalinowcy”, ten sam Chruszczew, jak prześladowani przez niego przedstawiciele tzw. „grupy antypartyjnej”. Ale o tych zbrodniach Chruszczew nie mówi i nie ma zamiaru mówić, i mówić oczywiście nie może, gdyż są to zbrodnie systemu, a nie jednostki. Gdyby Chruszczew je chciał wytykać, występowałby przeciwko systemowi komunistycznemu jako całość. On zaś występuje tylko przeciwko jednostkom wewnątrz tego systemu.

ODWRÓCENIE POJĘĆ

To, o czym mówił Chruszczew na XX Zjeździe, a bardziej szeroko na ostatnim XXII Zjeździe, dotyczy wyłącznie represji Stalina w stosunku do członków partii, do komunistów. Stalin, jak wiadomo, po uporaniu się z przymusową kolektywizacją, zabrał się do tzw. „czystki” wewnątrzpartyjnej. Ofiarą jej padło setki tysięcy członków partii, a m.in. doprowadził do słynnych procesów moskiewskich, wytoczonych starym bolszewikom. Wywołało to sensację w całym świecie i wrażenie ponurej grozy. Zarazem jednak dosyć niejednorodną opinię, która dałaby się streścić w lapidarnym wówczas określeniu: „mordercy mordują się nawzajem”.

Naturalnie z punktu komunistycznego, z punktu obiektywnego prawa, były to zbrodnie niewątpliwe. Z punktu jednak, że się tak wyrażę, „interesu” całej ludzkości, wzajemne wymordowywanie się komunistów, czyli „mordowanie morderców”, przyjęte było z niejaka ulgą. – „Chwała Bogu...”, mówili nawet niektórzy ludzie, „niech się czym prędzej pomordują”. – Czyli to, co dziś Chruszczew wytyka jako jedyną „zbrodnicę” Stalina, w wolnym świecie poczytywano

za jedyną, wprawdzie koszmarną, ale „zasługę” Stalina. Wystarczy przypomnieć, że wypędzonemu przez Stalina Trockiemu, żadne państwo nie chciało udzielić u siebie azylu.

Nie może być dwóch zdań, że sposób, w jaki Stalin przeprowadzał swe wewnętrzno-partyjne „czystki”, był atakiem gwałtu kolidującym z poczuciem prawa i sprawiedliwości. Naturalnie, że wymordowanie przez Hitlera grupy Röhma jest z oceny obiektywnej z b r o d n i ą . Gdyby Himmler ze swej strony zamordował Hitlera, a Göring Himmlera, każdy z tych czynów podpadałby pod definicję zbrodni. Nie sądzę jednak, iż mielibyśmy specjalny powód do zmartwienia. Niech się tym martwią hitlerowcy, to ich sprawa wewnętrzna, ale nie nasza. Podobnie „czystkami” Stalina martwią się komuniści. To ich sprawa, ale nie nasza. Nasza sprawa, to nie ofiary komunistycznych rozgrywek między sobą, ale ofiary systemu komunistycznego poza partią.

PRAWDZIWE ZBRODNIENIE STALINA

Wspomnieliśmy powyżej, iż do największej należało wymordowanie milionów chłopów rosyjskich, ukraińskich, białoruskich etc. etc. w wyniku przeprowadzonej kolektywizacji i „rozkułaczenia wsi”.

Następną listę prawdziwych zbrodni Stalina wypełniają te wszystkie jego czyny, których dokonał od początku drugiej wojny światowej.

Złamanie zawartych traktatów. Podstępna napaść na Polskę. Zagrabienie Państw Bałtyckich. Napaść na Finlandię. Wymordowanie oficerów polskich w Katyniu. Masowe deportacje ludności. Masowe aresztowania, zsyłki, mordy, więzienia. Masowe represje w stosunku do Inguszków, Czeczeńców, Tatarów, Kozaków, Niemców Nadwołżańskich, Kałmyków i innych narodów podczas wojny. Wprowadzenie nowej fali terroru i prześladowań, i pozbawienie niepodległości milionów wolnych ludzi po wojnie, i zresztą mnogie inne.

Ani o jednej z tych zbrodni, wytaczając swe zarzuty przeciwko Stalinowi, Chruszczew nie wspomniał słowem i, jak się rzekło, wspomnieć nie mógł. Dlaczego w jednym wypadku miałby robić wyjątek dla zbrodni katyńskiej? Tego rodzaju supozycja pozbawiona jest logicznej podstawy.

GOMUŁKA POSTAWIŁ SPRAWĘ JASNO

Naturalnie mogłoby się zdarzyć, że dla celów taktycznych, po linii skutecznych chwytów dla popularyzacji komunizmu w Pol-

sce (wobec tego, że cała Polska i tak wie dobrze, kto mianowicie wymordował oficerów w Katyniu), uczyniono by istotnie taki wyjątek dla tej zbrodni. Podobnie jak dla ratowania komunizmu w Polsce poszło się nawet na porozumienie z Kościołem. Podobne chwytły zalecał Lenin. „Gomułkizm” w Polsce udał się komunistom świetnie i Chruszczew potrafił ocenić jego skuteczność. Nic jednak nie wskazuje, aby nawet dla celów taktycznych tego rodzaju odstępianie od reguły było możliwe. Toteż Gomułka postawił sprawę jasno, przemawiając na ostatnim, IX Plenum Komitetu Centralnego PZPR.:

– „Jest rzeczą oczywistą – powiedział – że sytuacja, w jakiej znajduje się Związek Sowiecki, zmusza wprost do surowej rozprawy z wrogami socjalizmu ...” – A więc nie tylko nie potępia zbrodni Stalina dokonanych w stosunku do niekomunistów, ale je w pełni usprawiedliwia. – „Konieczna była akcja represyjna przeciwko oporowi kułackiemu ...” – mówi Gomułka i w tym zgodny jest nie tylko z Chruszczewem personalnie, ale z całym zbrodniczym systemem komunistycznym. – „Rozmiary represji państwa dyktatury proletariatu powinny odpowiadać rozmiarom kontrrewolucji, powinny uderzać we wroga...” – wyjaśnia Gomułka i stawia kropkę nad „i”, że nie o zbrodnię w stosunku do „wroga” chodzi, lecz wyłącznie gdy: – „szło o rozprawę z przeciwnikami linii partyjnej...” – to znaczy gdy szło o rozgrywki wewnętrzno-partyjne „przekroczono miarę”. – Jasne i zrozumiałe postawienie rzeczy. Nie rozumieć może tylko ktoś, kto rozumieć nie chce.

Osobiście sądzę, iż w tym kontekście włączanie i zestawianie w jednej płaszczyźnie pomordowanych oficerów polskich z pomordowanymi komunistami i domaganie się, aby zostali wymienieni razem z różnymi „zinowjewcami”, „bucharincami”, „trockistami” etc., razem z szefami GPU Jagodą, Jeżowem, razem z Tuchaczewskim, Blücherem i innymi żołdatami armii bolszewickiej – raczej obraża pamięć ofiar katyńskich.

NIE UDOBRIJ SIĘ CHRUSZCZEWEM

Cała sprawa ma poza tym aspekt szerszy, zasadniczy. Wiemy, jak bardzo rozpowszechnione są na Zachodzie tendencje i „wunschtraumy” przedstawiania Chruszczewa „nie takim strasznym, jak się go maluje”. Tendencje koegzystencjalne, „neutralne”, filozoficzne wreszcie. Tym tendencjom służy zwłaszcza pojęcie „stalinizmu”, po którym to brzydkim okresie nastąpił rzekomo łagodny Chruszczew. Te różnorodne przejawy owego kursu politycznego, który przebiega i opinie, i gabinety mocarstw zachodnich, zbyt często wspominać, gdyż są one znane ogólnie. My, którzy znamy Sowiety i komunizm z bliska, lepiej od innych, a w każdym ra-

nie powinniśmy go znać dokładniej, powinniśmy również informować ściślej opinię zachodnią o faktycznym stanie rzeczy, a nigdy przyczyniać się do pogłębienia tej dezinformacji rozpuszczanej przez fellow travellerów całej kuli ziemskiej.

Do jednej z takich dezinformacji należy aktualnie wersja, która obiegła świat, jakoby Chruszczew gromi zbrodnie Stalina. Nic podobnego nie ma miejsca. Komunizm się nie zmienia, zmienia się tylko jego taktyka. Chruszczew gromi taktykę Stalina. Chruszczew potępia nie istotne zbrodnie Stalina, a to za co wiele ludzi było swojego czasu wdzięcznych Stalinowi: że zlikwidował zbyt dużo i zbyt dobrych komunistów.

Oczywiście winno się bacznie śledzić za tym, co się dzieje w Moskwie. Ale złe informacje o tym, co się tam naprawdę dzieje, mogą być gorsze od żadnych.

(„Ostatnie Wiadomości”. Mannheim 1962, nr 4; z 12 stycznia)

[OKOLICZNOŚCI WYJAZDU DO KATYNIA]

(z listu Józefa Mackiewicza do redakcji dziennika „Nowy Świat”, New York) ⁵⁸

Takie to bywały perypetie owych czasów, o których dziś czytamy tylko monotonną, licencjonowaną bohaterszczyznę. W takich to czasach, przyznaję się do popełnienia jeszcze jednej małoduszności. Wiosną roku 1943, dowiedziawszy się, że Niemcy poszukują mego adresu, aby zaprosić mnie na wyjazd do Katynia, ja, nie krępowany przecie niczym, uzależniłem tak niezmiernie ważną sprawę obejrzenia osobiście miejsca zbrodni od – decyzji władz podziemnych... Ukryłem się do czasu, aż przedstawiłem tę okazję na placet tych władz. Dziś wstydzę się tego i wykreślam z pamięci. W biografii mówię tylko: „pojechałem na zaproszenie niemieckie” i basta. Wszelako wspominałem o tym w poprzednich relacjach z Katynia i w zeznaniu przed Komisją Kongresu. Teraz zahaczam tu o ten epizod, gdyż wiąże się bezpośrednio ze szczytowym punktem rozpętanej na mnie nagonki. Na tajnym zebraniu odbytym w lokalu przy ul. Kalwaryjskiej w Wilnie zdecydowano, że nie tylko mam jechać, ale na żądanie Niemców – czego należało się oczywiście spodziewać – powinienem opublikować artykuł w ich „Gońcu Codziennym”, jako że pismo mimo wszystko jest czytane. Nic mając

⁵⁸ W odpowiedzi na ten list Stefan Korboński w liście do redakcji „Nowego Świata” z 18 maja 1970, piętnując Mackiewicza jako kolaboracjonistę, uważa, że Mackiewicz:

„przyznaje się już do następujących faktów:

1. że został zaproszony przez Niemców na wyjazd do Katynia, by obejrzeć miejsce zbrodni. Jednakże p. Mackiewicz nie wyjaśnia, dlaczego Niemcy jego właśnie, a nie kogo innego z elity wileńskiej, zaprosili do odegrania tej roli. Wyreczę go i odpowiem: dlatego że z nimi współpracował w „Gońcu Codziennym” i uważali go za swojego człowieka.

2. że udzielił wywiadu „Gońcowi Codziennemu” na temat tego, co widział w Katyniu. Dotychczas p. Mackiewicz wypierał się jakichkolwiek kontaktów z tym pismem.”

Jednak wiadomość o zaproszeniu i wywiadzie zawarta była już w sprawozdaniu Mackiewicza z podróży do Katynia, złożonym w 1945 roku władzom II Korpusu, a następnie ogłoszonym w I wydaniu *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*. Jak widać, Korboński oczerniał, podając nieprawdziwe fakty. (przyp. wyd)

zaufania do tej ostatniej decyzji oświadczyłem, że co najwyżej udzielię wywiadu o tym, co widziałem. – Wracając z Katynia przez Warszawę złożyłem stenograficzne sprawozdanie na ręce dwóch, znanych mi osobiście przedstawicieli „Podziemia”, w lokalu przy placu Dąbrowskiego. Ale już tam dowiedziałem się, że zapanowała oficjalna tendencja przedstawiać rzeczy tak, jakoby: „Niemcy ze swej strony też dosypali do grobów katyńskich trupy, przez siebie gdzie indziej pomordowanych”... Z tym kompromitującym fałszerstwem nie mogłem się zgodzić. (Później było ono starannie zacierane. Ale zetknąłem się z nim jeszcze, gdy zaraz po wojnie, na zlecenie 2 Korpusu w Rzymie, opracowywałem dokumenty do pierwszej książki o Katyniu.)

Po powrocie do Wilna, w maju 1943, złożyłem jeszcze sprawozdanie na ręce zastępcy komendanta AK, wręczyłem mu pełny koszyk dowodów rzeczowych zebranych na miejscu zbrodni (o strasznym, trupim smrodzie!), i udzieliłem przewidzianego wywiadu dla „Gońca Codziennego”, mówiąc o tym, co widziałem na własne oczy.

Od tej chwili datuje się rozpętanie zwielokrotnionej nagonki na moją osobę. Wymyślano najróżniejsze rzeczy, aż do takiego oszczerstwa, które sugeruje p. Korboński. Bolszewicy mogli mnie, gdyby chcieli, z łatwością zastrzelić. Mieszkałem w dalszym ciągu w małym, samotnym domku w lesie. Ale to mogłoby – po Katyniu sprawić złe wrażenie. Woleli zainspirować kampanię „polskimi” nie tyle rękami, co językami. Do tego włączyło się, jak mnie poinformowali zaufani ludzie, niezadowolone BIP-u Komendy Głównej AK w Warszawie z władz wileńskich, że udzieliły mi placet na wyjazd do Katynia. Tegoż samego BIP-u (Biuro Informacji i Propagandy), na czele którego stał znany płk Rzepecki, który za czasów Gomułki ogłosił w Warszawie swe mordercze ogonem przed komunistami *Wspomnienia*.

(„Nowy Świat”, Nowy Jork 1970, z 11 maja. Przedruk w: *Pod pręgierzem*. Londyn 1971. Nakładem Zarządu Głównego Koła Żołnierzy Armii Krajowej.)

KSIĄŻKA O KATYNIU

[list do redakcji „Dziennika Polskiego”]

Szanowny Panie Redaktorze!

Wśród ech na ponownie odżyła w opinii i prasie brytyjskiej sprawę mordu katyńskiego tak słusznie notowanych na łamach „Dziennika Polskiego” z pewnym zaskoczeniem przeczytałem artykuł w numerze z 23 kwietnia. pt. „*The Economist*” o zbrodni katyńskiej, a to dlatego, że autor poddając retrospekcji „dotychczasową zмовę milczenia” na temat Katynia, pisze, że dopiero „dzisiaj sytuacja się zmieniła”.

W „Dzienniku Polskim” z 25 października 1951 r. czyli dwadzieścia lat temu ukazał się [mój] *List do Redakcji*, w odpowiedzi na analogiczny zarzut pod adresem prasy brytyjskiej, postawiony przez śp. Zygmunta Nowakowskiego, a wynikiły z analogicznego przeoczenia. Pozwolę sobie treść tego listu zacytować z pewnymi skrótami:

... Od przeszło trzech miesięcy 30 pism angielskich pisze artykuły o Katyniu w związku z ukazaniem się mojej książki *The Katyn Wood Murders*. Używam celowo słowa: „artykuły”, gdyż przeważna ilość recenzji w małym jedynie stopniu poświęcona jest krytyce samej książki, a głównie, albo wyłącznie sprawie mordu katyńskiego i piętnowaniu jego sprawców. I to nie tylko w Anglii, ale również w dominiach. Spośród zgromadzonych przeze mnie mogę wyliczyć: „Times Literary Supplement”, „Daily Telegraph”, „Economist”, „Contemporary Issues”, „Daily Graphic”, „Birmingham Mail”, „Birmingham Post”, „Illustrated London News”, „Belfast Telegraph”, „Cork Examiner”, „West Morning News”, „Liverpool Post”, „Yorkshire Observer”, „Yorkshire Post”, „Northern Whig”, „Current Literature”, „Tablet”, „Catholic Herald”, „Recorder”, „Truth”, „Irish Press”, „Cambridge Daily News”, „Universe”, „Statesman” (Calcutta), „Sydney Morning Herald”, „Rhodesia Herald”, „Irish Independent”, „Belfast News Letter”.

... jedynie wychodzący w Kalkucie organ lewych liberalów, „The Statesman”, zajął stanowisko wyraźnie sceptyczne. Wszystkie inne wymienione wyżej pisma jednogłośnie wskazują na bolszewików jako na sprawców mordu...

„Daily Telegraph” pisał: „Nareszcie została podjęta z wielkim staraniem próba wyciągnięcia tej okropności na światło dzienne.”

„Daily Graphic”: „Wniosek dla nas, że już 10 lat temu polityka sowiecka rozstrzygnęła o okrutnym łamaniu każdego oporu narodów wschodniej Europy”.

„Birmingham Mail”: „Ludzie w rodzaju pana Bevana powinni być zmuszeni do przeczytania od deski do deski *The Katyn Wood Murders*”.

„Economist”: „... Winni zbrodni są żywi i dobrze jest, że świat dowie się o ich sposobie działania”.

„London News”: „Żaden z czytelników książki nie może mieć wątpliwości, że to bolszewicy wymordowali...”

„Yorkshire Post”: „Dowiadujemy się o wiele więcej o tej masakrze, niż Mr Churchill powiedział w swym ostatnim tomie...”

„Truth” daje tytuł: „Katyn a Remorseless Probe”. „The Black Story of Katyn Wood”, pod takim tytułem pisze duży artykuł „Irish Press”. „Universe”: The Murders have designs on you”. Najpoważniejszy organ liberalny w Australii, „The Sydney Morning Herald”, zamieszcza artykuł na pół strony z fotografią pt. „The Truth About Katyn”. „Gory Record of Russian Perfidy!” pisze „Rhodesia Herald” itd. itd. Ostatnio dłuższy artykuł pt. „A Terrible Crime” poświęca sprawie znany członek parlamentu, prof. D.L. Savory w „Belfast News-Letter”.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, prasa polska, zazwyczaj bardzo czuła na wypowiedzi pism angielskich w polskich sprawach, przeoczyła jakoś tę długą litanie głosów angielskich o Katyniu... Być może to nasunęło p. Nowakowskiemu jego uwagę pod błędnym adresem.

Z poważaniem

Józef Mackiewicz

Londyn

Już po tamtej dacie pisał „Daily Telegraph” z 28.12.51 o tej książce jeszcze raz w: „Books of the Year”; „New York Times” z 6.2.52; madrycki „YA” zamieścił półstronicowy artykuł 10.2.52; „Manchester Guardian” pisał 1.3.52 w artykule wstępnym: „The evidence is overwhelming as Mr Joseph Mackiewicz's book (published by Hollis and Carter las year) showed”; „The New Leader” w Nowym Jorku (W.H. Chamberlin) poświęcił mojej książce całostronicowy artykuł w numerze z 24.3.52; „New York Herald Tribune” prawie pół strony w numerze z 9 lutego 1952; „La Libre Belgique”. począwszy od numeru 8 lipca 1952 przedrukowała w odcinkach całą książkę in extenso; „Readers Digest” w lipcu-sierpniu, w wydaniu amerykańskim, brytyjskim i „Sélection” francuskim, poświęcił wielostronicowy artykuł pt. „Who Is Guilty of the Katyn Massacre?” etc. etc.

Ponieważ książka moja *The Katyn Wood Murders*, poza wydaniem przez Hollis and Carter, wydana została jednocześnie przez The World Affairs Book Club w Londynie, i jednocześnie przez

British Book Centre w New Yorku (1952), oraz ukazała się w przekładzie niemieckim w Szwajcarii, włoskim i hiszpańskim – ogólna liczba otrzymanych przeze mnie omówień sięga kilku setek, w 10 językach świata.

Z poważaniem

Józef Mackiewicz

Monachium

(„Dziennik Polski”, Londyn 1971, nr 123, z 25 maja)

POMNIK KATYŃSKI

Trudno się oprzeć pesymizmowi. Ideowe, polityczne i moralno-polityczne kryteria obowiązujące w postawie emigracji – opierają się na niedomówieniach. A więc, siłą rzeczy – na niekonsekwencjach w ustaleniu stanu faktycznego; na unikaniu porównań w ustalaniu prawdy obiektywnej. Na obawie dopowiedzenia rzeczy do końca. Gdyż z chwilą dopowiedzenia do końca, wywraca się postawa na niedomówieniach oparta. Pesymizm jest tu usprawiedliwiony, ponieważ okłamywaniem innych czasem się coś osiąga. Samo okłamywaniem nie osiąga się nigdy niczego.

Są to, naturalnie, problemy od wielkiego dzwonu, których nie zamierzam w tej chwili rozwijać. Prawdopodobnie też nie użyłbym „dozwolenia” na ich pełne rozwinięcie, gdyż automatycznie musiałoby ono zadrasnąć sprawy i osoby, które korzystają z immunitetu praw obowiązującego sloganu. (Tu zwróćmy uwagę, że rządzące niedomówienia podporządkowane są nie rozbieżnym interpretacjom racji stanu, lecz zbieżnym sloganom.) Poczynając od rozpiętości, jaka zachodzi w różnicy pomiędzy pojęciem utraty niepodległości, terytoriów i wszelkiej wolności, a – jednocześnie „odzyskaniem ziem”; pomiędzy pojęciem państwa polskiego”, a – pojęciem „okupacji Polski”... aż do tysiącznych konsekwencji wynikających z takich i podobnych niekonsekwencji – mamy do czynienia z ogromną ilością drobnych dzwonek brzęczących na fałszywą nutę.

Jednym z pokazowych była ostatnio akcja popierania na emigracji odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Jakkolwiek w tym wypadku przez absolutną większość odrzucona, sam fakt że lansowana kanałami rządu komunistycznego mogła się znaleźć na forum debat i dyskusji emigracyjnych – świadczy o zaniku podstawowego kryterium. Zdawałoby się, wystarczy już samo zestawienie z zamkiem carów rosyjskich, Kreml, który od 55 lat służy za siedzibę centrali międzynarodowego bolszewizmu. Mielibyśmy teraz akurat odbudowywać własnymi środkami zamek królów polskich, a żeby na przeciąg nieokreślonej ilości lat służył ku wygodzie i podniesieniu prestiżu polskiego bolszewizmu? Tak proste, zdawałoby się, zestawienia nie czyni się właśnie dla uniknięcia domówienia rzeczy do końca. Że niby polscy bolszewicy mają bardziej „ludzką twarz” od rosyjskich, żydowskich, gruzińskich?... Marchlewski, Kon. Unslicht, Dzierżyński... Którego imieniem przezywane są liczne place i ulice w PRL: Bierut, Ochab, Gomułka, Gierek? A jeżeli jest to tylko przejściowa okupacja, to czy moglibyśmy sobie wyobrazić nasze zabiegi lub chociażby dyskusje na temat restauracji całości lub części, np. Wawelu, dopóki rezydował w nim gubernator Frank?

Samym oburzeniem na to zestawienie sprawy się nie wyjaśni. Usłyszymy wprawdzie liczne i zawile interpretacje, że: „To nie jest to samo!...”, ale wszystkie one w mniejszym lub większym stopniu kolidować będą z interpretacją nie tylko samego pojęcia: „okupacja”, lecz z niezliczoną ilością pochodnych i potocznych, w niezliczonych ich zażębeniach. Słowem, w anegdotycznym skrócie: wychodząc z założenia „walki o niepodległość” („walki” przede wszystkim), czy należałoby Zamek odbudować, czy już odbudowany wysadzić raczej w powietrze łącznie z umieszczonym tam CK, Politbiurem, Plenum Partii i „Radą Państwa” (nawet żeby zasiadło w niej pół tuzina popieranym przez emigrację członków „ZNAK-u”) – jak to zamierzali uczynić kiedyś rosyjscy rewolucjoniści z Pałacem Zimowym w Petersburgu? Tego nikt nie wie. A co bardziej charakterystyczne: nikt wiedzieć nie pragnie, gdyż zakłóciłoby to spokojny tok obchodów, akademii, uchwał, protestów i deklamacji.

Przykład „odbudowania Zamku” jest tylko jednym z licznych chwytów taktycznych naszego wroga, komunistów polskich, którzy korzystając z braku jasnego kryterium po stronie emigracji politycznej, manipulują sloganami „patriotycznej solidarności”. Z.S. Siemaszko niewątpliwie miał rację, gdy w odczycie wygłoszonym w Londynie, powiedział, że: „Nacjonalizm polski, który był pierwotnie zdecydowanie antykomunistyczny, zaczął stopniowo zatracać swój charakter antykomunistyczny, czego jesteśmy obecnie świadkami.” I podkreślił to raz jeszcze w paryskich „Zeszytach Historycznych” (nr 21): „Istnieje dość rozpowszechniona opinia, iż obecnie następuje coraz większe zbliżenie pomiędzy polskim nacjonalizmem i PRL, głównie w kraju i częściowo na emigracji.”

Manipulacja komunistyczna polega na operowaniu znanymi przynętami, które „nas łączą”... Wydaje się, że zadaniem emigracji – zwłaszcza wobec niepokojących objawów, o których wspomina Siemaszko – byłoby uwydatnienie raczej tego: „co nas dzieli”.

I oto zachodzi nowy casus, jakże charakterystycznie ukryty w niedomówieniach. Gdyby nie artykuł Stefani Kossowskiej w „Tygodniu Polskim” (z 19 lutego br.), sprawa utonęłaby, jak wiele analogicznych, pod stertą uroczystych sloganów. Chodzi o sprawę pomnika katyńskiego w Londynie. Jeżeli nie leżało dotychczas w zwyczaju londyńskich „Wiadomości” cytowanie artykułów innych polskich pism londyńskich, to apelowałbym szczerze, a żeby redakcja zechciała łaskawie uczynić wyjątek z tej reguły. Do tego stopnia artykuł Kossowskiej wydaje się ważny i godny wielokrotnego nawet powtarzania. Stefania Kossowska pisze:

Żeby pomnik katyński spełniał swoje zadanie, żeby trafił do świadomości i sumienia świata... napis musi być lapidarny, nie wymagający długiego zastanowienia, natychmiast zrozumiały, uderzający jednym zamachem... Co ten napis na pomniku ma przecho-

dniowi powiedzieć? „Pomnik katyński – dowiadujemy się – ma być wzniesiony dla uczczenia 14.500 polskich oficerów, którzy zniknęli z obozów w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie w ZSSR na wiosnę 1940; ciała 4.500 z nich zostały znalezione w masowych grobach w Katyniu. Sprawa ta nigdy dotąd nie została osądzona i dokąd sprawiedliwości nie stanie się zadość, pomnik w Londynie ma być jedynym w wolnym świecie wyrazem uczczenia ofiar zbrodni katyńskiej. Ma również przynieść pociechę wdowom, rodzinom i kolegom, ma symbolizować walkę o sprawiedliwość i mówić dalej o sprawie, która była od tak dawna zasłonięta zimą milczenia.”

Wszystko to prawda, bardzo ładnie wyrażona – pisze dalej Kossowska – tylko że „zmowa milczenia” trwa nadal. Kto zamordował polskich oficerów w Katyniu? Nikt nie zaprzecza, że zostali zamordowani. Ale w odezwie komitetu budowy pomnika nie ma słowa o tym, kto dokonał zbrodni. Tym mniej można się spodziewać, że powie o tym napis na pomniku. Liczni szlachetni Brytyjczycy wyraźnie oświadczyli, że nie mają wątpliwości... Długie lata pobytu w Anglii mogły nas jednak były już czegoś nauczyć i powinniśmy dawno zrozumieć, że jakkolwiek partia będzie rządzić tym krajem, nigdy, nigdzie nie ukaże się oficjalne oświadczenie, że zbrodni tej dokonały Sowiety. I nigdy w żadnym publicznym miejscu w Anglii nie znajdzie się pomnik z takim napisem...

Więc jaki byłby cel dzisiaj takiego półprawdziwego pomnika?... Łatwo mogłoby się zdarzyć, że wdowy, rodziny, koledzy ofiar Katynia i delegacje niepodległościowych organizacji spotkałyby się pod pomnikiem z delegacją reżimu Warszawskiego, a może nawet sowieckiej ambasady, składającymi podobny biało-czerwony wieniec „ofiar Katynia”.

W „Życiu Warszawy” czytałam niedawno nekrolog wdowy po oficerze zamordowanym w Katyniu. Nie było to żadne bohaterkie wyznanie o politycznym znaczeniu, tylko stwierdzenie przyjętego faktu. „Zamordowany w Katyniu»? Przez kogo? Naturalnie przez Niemców...”

Tyle ze Stefani Kossowskiej. Niedomówienia, o których ona wspomina, może nawet ucieszyłyby serca poniektórych. Być może umożliwia [to] delegatowi prymasa do duszpasterstwa na emigracji uroczyste poświęcenie pomnika. Niemniej, nawet poświęcona, „półprawda” – jak ją Kossowska słusznie nazywa – nie stanie się przez to ani całą prawdą, ani jej wyrazem politycznym. A już na pewno żadną przeciwwagą tego wyrazu, jaki nadaje tej zbrodni kłamliwa wersja sowiecka: wyraźnie, krzykliwe, jednoznacznie, bez niedomówień.⁵⁹

⁵⁹ W tym miejscu tekstu zamieszczono fotografię pierwszej kłamliwej tablicy na cmentarzu katyńskim, zarządzanym przez NKWD. Do tekstu przeniesiono tylko treść napisu. (przyp. wyd.)

**Здесь в Катинском лесу
осенью 1941 года расстреляны
гитлеровскими звергами
11000 военнопленных
польских солдат
и офицеров
Воин Красной Армии О Т О М С Т И !**

Oto tablica postawiona przez bolszewików przy bramie wjazdowej do lasu katyńskiego już we wrześniu 1943.⁶⁰ (To znaczy zanim osławiona „komisja sowiecka” zdążyła podliczyć te rzekome 11 tysięcy i podpisać 24 stycznia 1944 [swoją komunikat].) Głosi ona: Tutaj, w lesie katyńskim, jesienią roku 1941, rozstrzelanych zostało przez hitlerowskich wyrodków 11.000 jeńców polskich, żołnierzy i oficerów. Wojownikowi Czerwonej Armii, pomścij!”⁶¹

... Pamiętam z maja 1943, tę posiniaczoną w asfalcie, raczej wąską szosę, która mijając bramę wjazdową do lasu, przecinała na czwartym stąd kilometry szyny kolejowe do Orszy. W tym miejscu był sośniak z dwóch stron drogi. Ale drzewa nie chroniły, ani zapach żywicy nie zdołał odeprzeć, i straszliwy w swej ckliwości zapach trupi zalatywał aż do drogi, kładł się przed otwartą bramą na asfalcie. I tylko ćwierkanie sikor było takie jak wszędzie na wiosnę... Jestem dziś bodaj jednym z ostatnich, jeżeli nie ostatnim Polakiem w wolnym świecie, który był tam i widział miejsce zbrodni.

„...Pomścij!” – kończył się napis na postawionej później sowieckiej tablicy. Stawiając dziś pomnik ofiarom zbrodni katyńskiej w Londynie, byłoby zapewne co najmniej *ridiculous* napisać: „Angliku, pomścij!” I nawet zwracać się do Polaka-emigranta z wezwaniem: „pomścij!” , świadczyłyby o patosie raczej w złym smaku sowieckiej manieri. Wszelako kurtuazja aż tak daleko posunięta, żeby nie dopowiedzieć prawdy, nie wymieniając sprawcy zbrodni – wydaje się co najmniej mijać z celem stawiania takiego pomnika. Bo co to znaczy: „zniknęli z obozów.. itd.”? – Zniknęli – odpowie może, jak to trafnie sugeruje Kossowska, ambasador PRL w Londynie, kładąc na pomniku biało-czerwone kwiaty – bo wtedy nie było kontaktów między rządem polskim i sowieckim. A później przyszli Niemcy i wymordowali tych rzekomo zaginionych. – Tak może wytłumaczyć albo podobnie. – *Oh, I see* – odpowie ze zrozumieniem

⁶⁰ Las katyński znalazł się znów w rękach sowieckich dopiero 26 września 1943 r. (przyp. wyd.)

⁶¹ Fotografia tej tablicy ukazała się w pismach sowieckich i była reprodukowana w PRL, w książce Bolesława Wójcickiego *Prawda o Katyniu*, Warszawa 1952. (przypis autora)

przeciętny mieszkaniec londyńskiego przedmieścia. I propagandzie sowieckiej stanie się zadość.

Może by tego pomnika – jeżeli z takim napisem – lepiej nie stawiać wcale. Albo już postawić np. w Watykanie, tradycyjnym dziś miejscu spotkań nie „konfrontacyjnych”, lecz „odprężeniowych”? Tam, we Włoszech, pod hasłem „kochajmy się, odbywają się coraz to zetknięcia we wspólnych z reżyserią „reżimową” (też definicja niedokończona) manifestacjach. Na Monte Cassino, ku czci Ojca Kolbego i innych. Tylko sprawozdania prasowe są notorycznie niedomówione.

Jeżeli to ma być wyrazem „walki”, o której się deklamuje bez przerwy, to co może być świadectwem dobrej woli w pokojowej koegzystencji z komunistycznym okupantem Polski?

(„Wiadomości”, Londyn 1972, nr 13/14, z 26 marca-2 kwietnia)

LITERATURA CONTRA FAKTOLOGIA

KATYŃ

Czytając jak zawsze od deski do deski, jak zawsze ciekawą, choć nie zawsze po mojej myśli, „Kulturę”, dostrzegłem w numerze z maja rzecz, wydaje mi się, godną głębszej medytacji.

Rozdział z powieści Włodzimierza Odojewskiego pt. *Podróż*, która jest podróżą do Katynia za czasów okupacji niemieckiej i przeprowadzonej tam ekshumacji oficerów polskich.

Katyń nie ma szczęścia do ścisłości przedstawienia. Wciąż, na świecie, zgłasza się jakiś nowy rewelator, który miesza łyżką sensacji przerzucając dawno już ustalone fakty. Sensacja robi swoje i w szerokiej opinii publicznej pozostaje osad, że właściwie to nic nie wiadomo o Katyniu dokładnie. Choć w rzeczywistości wszystko wiadomo dokładnie. Relacja Odojewskiego tylko pośrednio zahacza o ten stan rzeczy. Nie ma w niej żadnych nowych sensacji, jest za to dużo niedokładności. Ale „podróż” (do Katynia) Odojewskiego stanowi zarazem fragment większej powieści. I tu zaczyna się inna, a stara strona problemu: czy, i na ile „prawda artystyczna” utworu literackiego obowiązana jest zachowywać „prawdę historyczną”, trzymać się ścisłości faktów? Osobiście jestem za ścisłością. W powieściach na tle wypadków dziejowych fascynuje mnie to, co nazywam: konfrontacja losu człowieka z dokumentem historycznym. Zanim jednak przejdziemy do refleksji na ten temat, przedstawmy pokrótce fakty.

Pomijam nie ważne. Takie np. jak ten, że jeszcze nie dojeżdżając Krzemieńca, wuj August mówi w pociągu do Pawła: „Za dwie, trzy godziny miniemy Baranowicze...” Byłaby to szybkość pociągu w pokonaniu odległości, chyba 450 km, zbyt zawrotna, zwłaszcza na tamtejsze pociągi i w tamtych okolicznościach. No, ale po pierwsze mówi to w powieści nie rozkład jazdy, lecz wuj August. A po drugie, któż z pisarzy nie popełnia masy takich przeoczeń! Nieważnych, normalnie przez czytelnika nie zauważanych. Ja sam, w ostatniej powieści, umieściłem np. Dzisnę na linii kolejowej, choć byłem w niej z dziesięć razy i wiedziałem, że tam żadnej kolei nie ma. Dopiero zwrócił mi uwagę Z. S. Siemaszko. Takie zaskoki pamięciowe, mechaniczne, są w pisaniu chyba nieuniknione, skoro popełniają je wszyscy prawie pisarze. Jeżeli nie dotyczą sedna tematu, nie przynoszą większego uszczerbku.

Ale sednem *Podróży* Odojewskiego jest jednak Katyń. Miejsce jednej z największych zbrodni ostatniej wojny. Z zaciekleścią

zaprzeczanej przez stronę komunistyczną, podważanej w każdym szczególe, kwestionowanej w dowodzie prawdy z byle najmniejszej okazji fałszywego świadectwa. Tu już nie chodzi o okoliczność marginesową. Tymczasem oto, podróż Odojewskiego jak to autor stwierdza odbywa się „w środku lata” (co u nas potocznie oznacza lipiec); wuj August i Paweł przyjeżdżają na miejsce mordu w Kozich Górach, i zastają groby otwarte, a prace nad ekshumacją zwłok w całej pełni... To nieprawda. Prace ekshumacyjne przerwane zostały 3-go czerwca (1943 r.). A 7-go czerwca ustały wszelkie roboty na Kozich Górach.

Gorzej jest z inną datą. Paweł, Odojewskiego, przenosi się myślą do czasów, gdy zabijano tu oficerów polskich: „... w tamte wiosenne dni *sprzed dwóch lat*”... Ponieważ jest rok 1943, przeto „sprzed dwóch lat” wypada na rok 1941 (wersja sowiecka), a nie 1940, jak było naprawdę. Wprawdzie Paweł mówi o „wiosnie”, a sowiecka wersja o jesieni 1941 – lapsus nie jest błahy. I choć zapewne jest błędem mimowolnym, jest z tych zaciemniających prawdę, na który ktoś kiedyś, w wiadomych celach, może się powołać, skoro ukazał się w druku.

Jest dużo drobnych błędów. Od stacji Gniezdowaja do lasu katyńskiego jest ze cztery kilometry, a nie jeden kilometr, jak pisze Odojewski. Dlatego to oficerów polskich przeznaczonych do wymordowania, wożono stamtąd, wiosną 1940, do Kozich Gór, ciężarówkami. W przeciwnym razie pędzono by ich zapewne piechotą. Zaś strzały słyhać by było wyraźnie na stacji. Barak *Feldpolizei* i *ad hoc* zainstalowane laboratorium, gdzie też odbywała się weryfikacja ekshumowanych w roku 1943 przez Niemców dokumentów, znajdował się nie w Kozich Górach (lasku katyńskim), lecz w oddalonej o parę kilometrów miejscowości Gruszczanka itp.

Gdy ja przybyłem do Katynia, w końcu maja 1943, i wysiadłem z autobusu w tym straszliwym, dusząco-mdłym zaduchu trupim, zmieszanym z gryzącym dymem ognisk, którym ratowali się pracujący przy ekshumacji – uczyniłem coś, co opisałem następnie w moich książkach. Mianowicie zanim jeszcze rozejrzałem się w potwornym pejzażu, podszedłem do cywila w ciemnych okularach, który mi się wydał asystentem dr Wodzińskiego z ekipy Polskiego Czerwonego Krzyża, przy stole, na którym odbywała się pierwsza rewizja wydobywanych zwłok. Nie przedstawiając się, zapytałem go cicho:

– Co tu się nie zgadza?

Zmierzył mnie okularami od głowy do stóp, odwrócił twarz i wycedził przez zęby:

– Wszystko się zgadza. Z wyjątkiem liczby.

– Jak to? Nie ma 10 do 12 tysięcy?...

– Ale skąd! – wzruszył ramionami. – O tu, gdzie pływają trupy w tej wodzie, to jest ostatni ze znalezionych grobów, „grób numer 8”.⁶² Teraz woda tu podeszła. Ale wysondowaliśmy go pobieżnie. Mały. Najwyżej 80 do 100 trupów. Z poprzednich siedmiu wydobyto dotychczas przeszło cztery tysiące sto. Razem więc będzie, szacuję tak, cztery tysiące przeszło dwieście. Niemcy gorątkowo szukają więcej, bo ich propaganda zapewniała, że jest 10 do 12 tysięcy. Ale wykopują tylko stare trupy miejscowej ludności, dawne ofiary GPU. Naszych nigdzie.

Wtedy, w 1943, to było jeszcze sensacyjne odkrycie! Nie wiedzieliśmy przecie nic dokładnego.

(Jak dziś wiadomo, Niemcy nigdy nie zaprzeczyli swej pierwotnej wersji: „10 do 12 tysięcy”. Choć przyznali dokładną cyfrę wydobytych: 4.143. Grób „numer 8” kazali zasypać, nie licząc, i ogłosili, że „raptowne upały i plaga much zmusiły do przerwania dalszej ekshumacji”. Dziś wiemy, jak dużą tym ukryciem prawdy wyświadczyli usługę Sowiетom. Sowiety wykorzystały to jedyne kłamstwo niemieckie, ażeby ustalić swą oficjalną cyfrę na: „11 tysięcy”. Pozwoliło to im uniknąć odpowiedzi na fatalne pytanie: „Nawet, jeżeli założymy, że w Katyniu wymordowali Niemcy przeszło 4 tysiące gdzie jest reszta zaginionych?... W Katyniu nie znaleziona?...”)

Moją rozmowę w Katyniu z mężczyzną w ciemnych okularach, w nieco zmienionej formie, dosyć dokładnie powtarza Odojewski w swej powieści, jako rozmowę „Pawła z mężczyzną w białym kitlu” (Nikt w tym lesie białego, oczywiście, nie nosił.) Niepotrzebnie jednak uczynił zeń przewodnika w dziedzinę autorskiej fantazji, która znowu zniekształca dokładny obraz stanu faktycznego. Mianowicie ten jegomość „w białym kitlu” prowadzi do rzekomo założonego cmentarza, „ciągnącego się rzędami mogił”. Tu Paweł miał jakoby, „między trzecim a czwartym rzędem grobów”, znaleźć wetkniętą w grób tabliczkę z numerem 3798, którym oznaczone zostały zidentyfikowane zwłoki jego brata: „Aleksander Woynowicz”.

W rzeczywistości żadnego nowego cmentarza z zatkniętymi numerami nie było. Wszystkie 4.143 wydobyte z siedmiu grobów zwłoki, pochowane zostały w dwóch nowo utworzonych grobach ma-

⁶² Pisarza zawodzi pamięć, w stosunku do tego, co sam kiedyś ściśle relacjonował. Nie mógł widzieć grobu nr 8, ten bowiem odkryto dopiero 1 czerwca, gdy pisarza już w Katyniu nie było. Grób „podbiegnięty” wodą to był grób nr 5, jeszcze do końca nie opróżniony pod koniec maja, w czasie pobytu Mackiewicz w Katyniu. Nie poprawili tej pomyłki redaktorzy „Kultury”. (przyp. wyd.)

sowych.⁶³ Postawiono nad nimi krzyż. Jedyne generalowie Smorawiński i Bohaterewicz pochowani w grobach osobnych.⁶⁴ Wydobyte zaś 13 zwłok z grobu nr 8, złożone zostały tam z powrotem, do reszty nieekshumowanych. „Komisja sowiecka”, która zjechała do Katynia między 16 i 23 stycznia 1944 roku, nie wspominając o oddzielnych grobach Smorawińskiego i Bohaterewicza, ani o grobie nr 8, stwierdza, że zastała dwa masowe groby. Jeden o rozmiarze: 60 x 60 x 3 metrów, i drugi: 7 x 6 x 3,5 (w których miało leżeć owe „11 tysięcy”).

Na tle tych powieściowych dowolności w rodzaju „nowego cmentarza” z wetkniętymi numerami etc. razi mnie u Odojewskiego (powiedzmy: mnie osobiście, który tam był) nuta patosu w opisie hipnotycznego wrażenia, jakie robi na bohatera, Pawła: „... drewniana tabliczka z numerem 3793... Ten numer 3793 powtarzał Paweł bezwiednie w myśli, jakby to były słowa modlitwy... numer składający się z czterech cyfr... a w głębi... on, Aleksy, brat”. Bo wszystko w tym zamyśleniu, w tej sugestywności płynącej z czterech cyfr byłoby i naturalne, i wzruszające, gdyby... Tak, gdyby w rzeczywistości, przez lekceważące potraktowanie faktów, nie stało się raczej brakiem pietyzmu wobec człowieka prawdziwego. Tym prawdziwym człowiekiem, zamordowanym w Katyniu, którego zwłoki zarejestrowano pod numerem 3793, nie był żaden Aleksander Woynowicz, jak w powieści, lecz: „Chądzyński Bronisław, [w mundurze] list, medalik z łańcuszkiem”. To wszystko, co było jego w tamtej, strasznej chwili. A nie: „inkrustowana papierośnica pochodząca z roku 1863”, która następnie odgrywa rolę w powieści.

Ten numer 3793 istotnie może robić wrażenie. Jest ostatnią własnością nie znanego ani mnie, ani Odojewskiemu niejakiego Bronisława Chądzyńskiego. Czy można nią dysponować dowolnie w literackiej licencji?

Zdania będą zapewne podzielone.

⁶³ Jednak w wileńskim „Gońcu Codziennym” 1943, nr 597 z 29 czerwca, w art. mjr Rudolfa Balcera czytamy: „Na wielkich krzyżach były numery spoczywających pod nimi zidentyfikowanych polskich oficerów”. Chodziło zapewne o numery zbiorcze na krzyżach zbiorowych mogił. (przyp. wyd.)

⁶⁴ I tutaj Mackiewicz popełnia nieścisłości. Ekshumowane z siedmiu grobów masowych zwłoki złożono w sześciu nowych mogiłach, pomiędzy pierwszą a drugą były dwa indywidualne groby generalów. Grobom nadano charakter uporządkowany. Był to drugi cmentarz katyński, tak zwany „Cmentarz PCK”. (przyp. wyd.)

Proszę mi wybaczyć osobistą drażliwość. Jestem bodaj ostatnim z żyjących jeszcze w wolnym świecie Polakiem, który tam był i widział na własne oczy.

Odojewski napisał powieść, która być może jest doskonała; znam z niej tylko fragment. Sądzę jednak, że gdyby przedstawiał fragment, powiedzmy przykładowo: powstania warszawskiego, nie byłoby dopuszczalne, aby termin wybuchu przeniósł np. z sierpnia na maj, lub czas trwania skrócił do tygodnia, albo przedłużył do daty dowolnej; poprzestawiał, poprzecinął ustalone szczegóły historyczne celem przystosowania do własnego pomysłu powieściowego. To samo można powiedzieć w odniesieniu do bitwy pod Monte Cassino, obozu w Oświęcimiu itd. itd., jeżeli już ograniczymy się tylko do faktów własnej historii z ostatniej wojny, do której należy Katyń. Ale dlaczego nie rozciągnąć na całą historię w ogóle?

Jestem za ścisłością, gdyż wydaje mi się, że jedynie prawda jest ciekawa. Ale jednocześnie prawda jest z reguły bardziej bogata i wielostronna, i barwna, niż wykoncypowane jej przeróbki. To tak jak człowiek, który wychodzi z sali wystawowej obrazów współczesnego abstrakcjonizmu, w letni, kolorowy dzień życia, i raptem uprzytamnia sobie, o ile tamta sztuczność jest jednostajna i nudna w zestawieniu z różnorodnością prawdziwego otoczenia. Prawda bywa też z reguły bardziej wstrząsająca, bardziej ponura, czy bardziej podniecająca, bardziej „sensacyjna” i bardziej „kryminalna” od wymyślnych sensacyjnych i kryminalnych powieści. Zupełnie nie widzę powodu odbiegania w twórczości literackiej od prawdy historycznej, ażeby wywołać zamierzony efekt „prawdy artystycznej”.

Dlatego zabolalo mnie, gdy Adam Pragier – którego uznaję za największego z polskich pisarzy politycznych – w artykule ogłoszonym w „Wiadomościach” stawia pytanie: ile nieprawdy jest w mojej powieści *Nie trzeba głośno mówić*, i wyraża sąd, iż na pewno sporo, popełnionej w imię prawdy niejako nadrzędnej, „prawdy artystycznej”. Usprawiedliwia ją przy tym przykładami z cytatów takich pisarzy jak Henryk Sienkiewicz lub Jules Romains. Uważam tę ocenę za krzywdzącą. Albowiem ambicją moją było zawsze oddać prawdę jak najbardziej dokładną, chociażby z narażeniem na zły humor tych, którym jest ona nie na rękę.

Naturalnie, popada się przy pisaniu powieści w mimowolne błędy, jak ten np. ze wspomnianą już u mnie koleją do Dżisny; w przeoczeniu wzrokowe, jak to wytknięcie mi z wielu stron, że „otok 4 pułku ulanów nie był granatowy, lecz niebieski”, i może dużo podobnych. Naturalnie, że w przystosowaniu do ograniczonych ram możliwości wyrazu literackiego w przedstawianiu prawdy, powieść wymaga pewnego przesunięcia, skoncentrowania tego wyrazu; pewnego „rozdzielnika na glosy” powieściowe w wypowiedzianych zdaniach i nastrojach życia. Ale sądzę, w sposób zgodny z tym, co na-

zwałem: „konfrontacja losu człowieka z dokumentem historycznym”.

Dlaczego w takim razie – słyszałem – nie ograniczyć się do samego dokumentu? Po co stosować formę powieściową na przykład? Mnie się zdaje, że po to, aby oddać właśnie tej prawdy całość. Bo jakże w innej formie przedstawić nie tylko rzeczy, ale wyrazić stronę duchową (*Geist*), emocjonalną, minionych zdarzeń? Która bywa nie tylko drugą połową prawdy dokumentarnej, ale czasem nawet ważniejszą. Tego nie zastąpi najbardziej nawet precyzyjny, ale suchy zestaw faktów.

Może nie mam racji, ale wydaje mi się, że ją mam, gdy powiem, że powieść sięga głębiej niż opis, sprawozdanie. Dlatego Odojewski ma rację, że podjął się nowej powieści o tematyce z wstrząsającej przeszłości dziejowej. O ile nie stanie się – jak wiele, niestety – literaturą *contra* fakty. Gdyż forma powieściowa jest, moim zdaniem, po to, by *uzupełniać*, ale nigdy by *zniekształcać* prawdę.

(*Literatura contra faktologia*, „Kultura”, Paryż 1973, nr 7-8, lipiec-sierpień)

ZA POMOCĄ TRIKU

ZASŁONIĆ MASAKRĘ KATYŃSKĄ

W doniesieniu Heinza Lathe o pobycie Nixona w Mińsku można było przeczytać między innymi, co następuje:

„... później zobaczył Pomnik Bohaterów w Chatyniu [Khatyn], wielki zespół pamiątkowy niedaleko Mińska, poświęcony wsiom spalonym doszczętnie w czasie wojny i rozstrzelanym ludziom. W „Prawdzie” mówiło się przy tej okazji, że Amerykanie byli «pod głębokim wrażeniem».”

Wydaje się zupełnie oczywiste, że Sowieci przez szczególną umiejętność używania zapisu nazw miejscowości zwodzą zachodnią opinię i wciągają ją w sowieckie kłamstwo.

Co do Katynia zaś, jest to miejscowość leżąca nad Dnieprem w pobliżu Smoleńska gdzie wczesną wiosną 1940 r., na rozkaz Rządu Sowieckiego, wymordowano wiele tysięcy polskich oficerów. Wykonanie tego masowego morderstwa zostało przeprowadzone przez mińskie NKWD.

W roku 1943 jednostki niemieckiego Wehrmachtu odkryły pod Smoleńskiem ten masowy mord. Jako polski pisarz byłem obecny przy ekshumacji zwłok z masowych grobów. Po wojnie wydałem na ten temat książkę dokumentarną, której przekład ukazał się w wielu językach (po niemiecku pod tytułem *Katyn - ungesühntes Verbrechen* [Katyn - zbrodnia nie ukarana], Thomas-Verlag, Zürich [1949]. Dopelnieniem zbrodni były usiłowania Sowieców w czasie procesu norymberskiego, aby zwalić winę za ten masowy mord na Niemców. Ale nie udało im się.

W roku 1952 zostałem przesłuchany przez Komisję amerykańskiego Kongresu jako świadek koronny w sprawie Katynia i jako ekspert w sprawie oficjalnego komunikatu sowieckiego (82 kongres, drugie posiedzenie komisji, sprawozdanie nr 2430, z 2 lipca 1952, *Hearings...*). Przedstawiłem ogromny materiał dowodowy, i wyjaśniłem do końca wszystkie okoliczności masowego morderstwa w Katyniu nie pozostawiające wątpliwości co do sowieckiej winy za to przestępstwo.

Ale szybko amerykańska polityka wobec Związku Sowieckiego uległa zmianie i raport komisji Kongresu został włożony *ad acta*.

Dzisiaj usiłuje się zamazać zbrodnię katyńską jako obraz historii i w tym celu posługują się Sowieci następującym pomysłem:

W czasie wojny partyzanckiej na Białorusi pośród zniszczonych przez Niemców miejscowości znalazła się także wieś o nazwie Chatyn. I właśnie ta wieś – chociaż było tam tylko niewiele ofiar – została podniesiona do rangi symbolu potwornego panowania niemieckiego i została odbudowana jako ogromny pomnik bohaterów, dokąd przywozi się co ważniejsze osobistości z Zachodu.

Oszukańczy trik polega na tym, że w języku niemieckim i francuskim spółgłoska „ch” wymawiana jest jak „k” (np. Charków – Kharkow, a nawet pisze się tylko „k”). Z powodu tej zachodniej transkrypcji Chatyn zmienia się na Khatyn, albo nawet Katyn!

Czas postępuje naprzód. Dobrosąsiedzkie stosunki mają być pogłębione i wchodzi się w „odprężeniową grę” z Sowietami. Dlatego wszelkie masowe mordy i inne potworności popełnione przez świat komunistyczny muszą zejść na margines. O ilez lepiej odgrzewać wspomnienia braterstwa broni podczas ostatniej wojny. „Khatyn” może się przyczynić do przesunięcia zbrodni masowej w Katyniu w niepamięć i do wymazania związanych z nim wspomnień. Jak widać zwodniczy manewr powiódł się: pan Lathe pisze, że Amerykanie (Nixon) byli głęboko poruszeni tym, czym jest Khatyn...

Naturalnie, nie było ani słowa o tym, czy w swoim czasie wyniki poszukiwań komisji Kongresu amerykańskiego nad masową zbrodnią w Katyniu, wywarły na Nixonie podobnie głębokie wrażenie, jak Khatyn?... Raczej jednak rosyjskie nazwy miejscowości tak zatarły się w jego świadomości, że tylko te aktualne, odpowiadające najlepiej pragmatycznej polityce, mogą go przyprawić o lzy...

Józef Mackiewicz, Monachium

[przekład z niemieckiego: Jacek Trznadel]

(*Trick soll Massaker von Katyn verdrängen*. „Münchner Merkur” 1974 (20/21.VII))

TAJEMNICA ARCHIWUM MIŃSKIEGO NKWD ⁶⁵

Agencja Reutera nadała 10 czerwca 1975 roku komunikat, że brytyjski par, lord Barnaby, wezwał międzynarodową sprawiedliwość, aby orzekła wreszcie w sprawie mordu katyńskiego i zniknięcia, w innym miejscu, 10 tysięcy oficerów polskich podczas ostatniej wojny: „Par konserwatywnej partii podtrzymany został przez Mr Louis Fitzgibbona, który napisał dwie książki o Katyniu”. – Z innych depeesz dowiadujemy się, że tego dnia odbyła się: „Presse Conference in the House of Commons”, na której Mr. Fitzgibbon przedstawił nowy dokument, który jego zdaniem ostatecznie odsłania dotychczasową tajemnicę: gdzie i przez kogo wymordowani zostali w r. 1940 Jeńcy z obozów Starobielska i Ostaszkowa, w grobach katyńskich nie odnalezieni. Tym rozstrzygającym dokumentem jest tajny raport mińskiego NKWD z 10 czerwca 1940, opublikowany w niemieckim tygodniku „7-Tage” w 1957 r.

„The Guardian” (z 11 czerwca 1975) donosi, że: „Lord Monckton, który podtrzymał próbę przedłożenia Parlamentowi ciągle jeszcze poddawanej w wątpliwość kwestii odpowiedzialności za masakrę katyńską, powiedział wczoraj, że dokument zbadany został przez obserwatorów o dwudziestoletnim doświadczeniu w badaniu dokumentów sowieckiej tajnej policji, którzy orzekli, że jest autentyczny”. Sam Fitzgibbon oświadczył, że dopiero teraz zainteresował się „tajnym raportem”, raczej przypadkowo dowiedziawszy się o jego opublikowaniu w „7-Tage” (prawie 20 lat temu). Przy tym – jak pisze „Guardian” – zrobił uwagę, że: „gdyby miał to być dokument sfalszowany przez antysowieckich propagandzistów, to dziwne, że dotychczas nie zarejestrowano śladów opublikowania go w innych jeszcze antysowieckich... etc. etc.”

W tym miejscu wypada mi stwierdzić, że p. Fitzgibbon, tak zasłużony dla „sprawy Katynia”, wykazuje tu nieznaną rzecz. Zapewne nie z własnej winy. Niewątpliwie został źle poinformowany. Niewątpliwie też zbyt pochopnie przesądza autorytatywność owego tajnego „Raportu mińskiego NKWD”.

⁶⁵ Esej ukazał się z oznaczeniem (1) – jako pierwszy odcinek. Drugim odcinkiem był prawdopodobnie przedrukowany dalej „raport Tartakowa”. (przyp. wyd.)

„CZY NOWA REWELACJA W SPRAWIE KATYNIA?”⁶⁶

Pod tym tytułem ukazał się 13 października 1958 – a więc 17 lat temu – mój artykuł poświęcony tej sprawie. Zajął całą stronę w wychodzących w Mannheim „Ostatnich Wiadomościach”, redagowanych przez Józefa Tomeczka.

Nadmienić też wypada, że rewelacja ogłoszona w „7-Tage” trafiła wtedy również do rządu polskiego w Londynie, gdzie była szczegółowo omawiana. Osobiście podjąłem próbę zbadania rzeczy w ramach ówczesnych moich możliwości. Zwróciłem się do tygodnika.

List wyjaśniający, jaki otrzymałem wtedy na moje pytania z redakcji „7-Tage”, z Karlsruhe, datowany 26 czerwca 1958, nie wyjaśniał istoty rzeczy, a raczej nasuwał nowe poważne wątpliwości, o czym poniżej.

Z fotokopią „Raportu” udałem się do istniejącego wówczas w Monachium amerykańskiego Instytutu Badań ZSSR. Zatrudniał on rzeczoznawców, b. obywateli sowieckich, spośród wszystkich podsowieckich narodowości. Dużą pomoc okazał mi przy tym amerykański „adviser” Instytutu, Leonid Baratt. Zetknął mnie ze specjalistami do spraw Czerwonej Armii, NKWD etc., Mikołajem Gałajem, Achminowem i innymi. Wynik gruntownej analizy, jakiej podany został wtedy ów dokument, wraz z moimi komentarzami, opublikowany właśnie został w wymienionym powyżej moim artykule.

SPRAWA JEST WAŻNA

Nie chciałbym czytelników nudzić powtarzając rzeczy dla wielu znane. Wszelako niepodobna pominąć tu przypomnienia, że w potocznej mowie „sprawa Katynia” obejmuje nie tylko wymordowanych w samym Katyniu jeńców polskich z Kozielska, ale też tych w Katyniu nie znalezionych, z Ostaszkowa i Starobielska, którzy wiosną 1940 roku w identycznych okolicznościach zginęli bez wieści. Upowszechnienie tej nazwy na **w s z y s t k i c h** zaginionych (i pomordowanych) wzięło się stąd, że Niemcy odkrywając groby pod Smoleńskiem w r. 1943, twierdzili, że leżą tam właśnie **w s z y s c y** (podając cyfrę od 10 do 12 tysięcy), a Sowiety tę nieprawdziwą wersję podtrzymały (11 tysięcy). Wyjaśniałem już wielokrotnie (zarówno w moich książkach, licznych artykułach, w ekspertyzie sowieckiego komunikatu, złożonej przed Komisją Kongresu Amerykańskiego etc.), dlaczego – oskarżając o zbrodnię Niemców –

⁶⁶ W dalszym ciągu autor przytacza w tekście artykułu duże fragmenty z tekstu, publikowanego w 1958 roku. (przyp. wyd.)

to uczyniły. Aby mianowicie uniknąć pytania: a gdzie reszta?... Tymczasem naprawdę w Katyniu znaleziono około 4.200 trupów. Gdzie zostali wymordowani jeńcy z pozostałych dwóch obozów, jest nadal tajemnicą.

Dotychczasowe poszlaki były skąpe. Na ich podstawie ustalono, że ślad wywożonych wiosną 1940 ze Starobielska ginął gdzieś w okolicach Charkowa; natomiast co do Ostaszkowa istniała rozbieżność zdań. Ja twierdziłem, że ślad ten prowadzi i urywa się na stacji Bologoje, położonej na linii Leningrad-Moskwa. Tak też napisałem w moich książkach, a również w białej księdze anonimowej, którą opracowałem i napisałem w Rzymie (*Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*. Z przedmową gen. Andersa). Gdy jednak książka ta wymknęła się z moich rąk w Londynie, jako miejsce przypuszczalnego stracenia jeńców z Ostaszkowa wstawiono Wiaźmę, co uważam za błędne. Wszystko to jednak tylko supozycje, poszlaki.

I oto, dopiero w r. 1957, w niemieckim tygodniku „7-Tage” ukazuje się fotokopia dokumentu... Ale zanim przejdę do jego omówienia, poruszę sprawę pewnej kategorii dokumentów, których w śledztwie katyńskim było brak.

LOSY MIŃSKIEGO ARCHIWUM NKWD

Dokumentów w sprawie „właściwego” Katynia zgromadzono bardzo dużo. Na ich podstawie Komisja Kongresu Amerykańskiego zdołała odtworzyć mord pod Smoleńskiem nieomal w najdrobniejszych szczegółach. Liczba świadków okazała się też bardzo pokazana. Natomiast brak jest zupełnie bezpośrednich dokumentów sowieckich.

Czy nikt ich nie miał nigdy w ręku? Owszem, istnieją wszelkie dane ku temu, że ważne dokumenty musiały wpaść w ręce niemieckie po zajęciu przez nich Mińska w r. 1941. Błyskawiczny atak niemiecki sprawił, że podobnie jak w Kownie i Wilnie, tak też i w Mińsku urzędy NKWD-NKGB uciekały w pośpiechu pozostawiając archiwa. Archiwa te potraktowane zostały przez wojskowe władze niemieckie, tak jak się właśnie traktuje archiwa podczas wojny. To znaczy wszystko, co po pobieżnym przejrzaniu nie miało bezpośredniej styczności z operacjami wojennymi, zwalano na kupę, którą później zmuszeni segregowali najczęściej przygodnie do tej pracy odkomenderowani ludzie. Archiwa wileńskie i kowieńskie oddano następnie w ręce organizacji, która je po latach bardzo skrupulatnie opracowała. Ale co się stało z archiwum mińskim?

Wiemy, że w rękach niemieckich znalazła się nawet lista urzędników i funkcjonariuszy mińskiego NKWD, a to nas szczegól-

nie interesuje. Dlaczego, powiem: oto od świadków, a przede wszystkim od jednego z głównych świadków Katynia, Iwana Kriwoziercewa (który uszedł na Zachód, a po wojnie znalazł się w Anglii, w tajemniczych okolicznościach rzekomo popełnił samobójstwo przez powieszenie), Niemcy w każdym razie już w r. 1943 mieli informacje, że egzekucji w Katyniu dokonywano w r. 1940 nie smoleńskie, lecz – mińskie NKWD...

Po wykryciu grobów w Katyniu, propaganda hitlerowska wydała w Generalnej Gubernii broszurkę-ulotkę w języku polskim. W niej wymieniała nazwiska oprawców katyńskich, zapożyczając – jak ustalono – z przechwyconej listy mińskiego NKWD. Przede wszystkim dobrane były takie o brzmieniu najbardziej żydowskim, co oczywiście miało podsycać nastroje antysemickie. A więc: Lew Rybak, Chaim Finberg, Josel (Osip) Lizak, Abraham Bomsowicz...

Ale – znalazły się też inne: Boris Kuczow, Iwan Siekanow... I zwłaszcza: *towarzysz Burianow* (bez imienia), delegat moskiewskiej centrali NKWD. Zapamiętajmy sobie to nazwisko, gdyż odgrywa kluczową rolę w dokumencie ogłoszonym przez „7-Tage”, który stał się dziś sensacją.

Rzecz znamienna, że nazwiska te nie zostały powtórzone, ani w inny sposób wzmiankowane w opracowanej bardzo rzeczowo niemieckiej *Urzędowej Księdze o mordzie masowym w Katyniu*, wydanej w r. 1943. Dlaczego? Trudno odpowiedzieć na to pytanie z pewnością. Coś musiało stanąć na przeszkodzie. Być może iż dokumenty mińskiego archiwum NKWD zawierały właśnie owe fatalne cyfry, które nie koordynowały z rozgłoszoną już propagandą, to znaczy że w Katyniu wymordowano nie do 12 tysięcy, jak to ustalił sam Goebbels, lecz tylko 4 tysiące. Sztywna propaganda niemiecka trzymała się tej cyfry kurczowo aż do ostatka. Ta fatalnie skłamana cyfra ciąży nad sprawą do dziś dnia, i jak już wspomniano, posłużyła stronie sowieckiej za pretekst do ukrycia dwóch innych „katyniów”.

Jednocześnie nie wiemy, gdzie się podziało archiwum mińskie. Niewątpliwie musiało być swojego czasu przewiezione do Berlina. Zniknęło bez śladu. I dopiero teraz znalazł się ktoś...

FAŁSZERZE

Zanim przejdę do omówienia tego „kogoś” i jego dokumentu, pozwolę sobie raz jeszcze na marginesową dygresję. Jasność

⁶⁷ Inne przytoczenia tego nazwiska, w innych kontekstach, przez autora: Borissowicz. (przyp. wyd.)

„sprawy Katynia” zaciemnia nie tylko błakająca się po gazetach świata fałszywa liczba trupów znalezionych w Katyniu, ale też chroniczne „rewelacje” różnych amatorów-oszustów. Skwapliwa naiwność, z jaką drukowane są te fałsze, znakomicie sprzyja myleniu i wprowadza w błąd opinię publiczną.

Jednym z najskuteczniejszych fałszyfikatów tego typu był spreparowany przez pewnego rodaka w Szwecji, który wywędrował następnie do Argentyny. Ogłosił on w r. 1948 w szwedzkim piśmie „Dagens Nyheter” niesamowitą kompilację o niejakim „Martinim”. Ten to Martini, adwokat z Krakowa, później zamordowany, miał rzekomo na polecenie rządu Bieruta wszczać „polskie” śledztwo w sprawie Katynia. Pojechał na miejsce mordu, na własną rękę rozkopywał groby, przeglądał dokumenty w mińskim archiwum NKWD i – „zamiast ustalić, że to zrobili Niemcy, jak chciał Bierut” – ustalili nawet nazwiska autentycznych oprawców. ... I tu następuje ich wyliczenie: Lew Rybak, Chaim Finberg, Abraham Bomsowicz... itd. Pomijając już szczyt naiwności, aby władze sowieckie mogły zezwolić adwokatowi z Krakowa ryć się na własną rękę w grobach katyńskich lub archiwach NKWD (!) – na podstawie konfrontacji z niemiecką ulotką propagandową z r. 1943, łatwo dało się ustalić, że nazwiska te, bo nawet w identycznej kolejności, autor „rewelacji” zaczerpnął nie od rzekomego Martiniego, a po prostu przepisał z ulotki sprzed pięciu lat.

Na artykuł w „Dagens Nyheter” dał się nabrać amerykański dziennikarz i twórca pierwszego Komitetu Katyńskiego, Julius Epstein, i w swoich w wielu językach opublikowanych artykułach, przytoczył tę fantastyczną historię rozgłaszając ją szeroko. Po wyjaśnieniach, w liście do mnie, p. Epstein przyznał się do fatalnego błędu, niemniej „afery Martini” pokutowała długo w prasie światowej. Między innymi jako świadectwo pewnej „niezależności” komunistycznej Polski, ulubiony konik zarówno pewnej kategorii naszych patriotów, jak zagranicznych optymistów politycznych.⁶⁸

Innym był ów „świadek” w poszewce na głowie, który wystąpił przed Komisją Amerykańskiego Kongresu. Do dziś dnia trudno bez wstydu i zażenowania wspominać o tej maskaradzie i o tych, którzy do niej dopuścili. Omal nie podcięła ona u nasady tak doniosłych później prac Komisji Śledczej. Na szczęście w rezolucjach końcowych Komisja uznała zeznania tego symulatora za niewiarygodne i je odrzuciła. A przecież sugestywność początkowego rozgłosu w prasie, wywołanej sensacji i całej reklamy wokół tego „świadka”, który rzekomo miał siedzieć na sośnie i przyglądać się egzekucjom!... była tak wielka, iż oburzano się na tych, którzy protestowali przeciwko tej symulacji. Wystarczy powiedzieć, że na-

⁶⁸ Por. wyżej przypis wydawcy do „sprawy Martiniego”.

wet tak inteligentny i zasłużony człowiek, jak kongresman Tadeusz Machrowicz, dał się zasugerować tym widowiskiem. Prezydent August Zaleski pokazał mi pismo Machrowicza z dnia 21 marca 1952, skierowane do kancelarii cywilnej, w którym Machrowicz pisał: „... Komitet nasz jest zawiedziony ustawicznym kwestionowaniem zeznań «zakapturzonego świadka» przez pewne odłamy w Londynie, jak np. p. Mackiewicz, „Dziennik Polski” i „Orzeł Biały”. Nie możemy zrozumieć do czego dążą, tym bardziej że prasa niepolska z jednym tylko, i to bardzo drobnym wyjątkiem, przyjmuje dowody entuzjastycznie. Czy nie lepiej czekać do końca przesłuchów zamiast już przeszkadzać w naszej pracy, kiedy jest ona tak dobrze przyjęta ogólnie?...”

Później co pewien czas wyskakiwał ktoś z nową bujdą. To niejaki rabbi Halsberg, to ktoś inny z Izraela. W europejskich i południowo-amerykańskich gazetach pojawiły się oświadczenia jako: „jedynego, który uszedł mordu katyńskiego”, zawdzięczając [to] strażnikowi sowieckiemu, który ostrzegł go w porę... Okoliczności, daty, cyfry, nazwy miejscowości pomieszczone są w tak naiwnie bezceremonialny sposób, że nie zasługują nawet na doczytanie do końca. Otrzymałem kilka broszur i nawet całą książkę o mordzie katyńskim, które oskarżając o mord władze sowieckie, zniekształcają jednocześnie przebieg wypadków *ad absurdum*.⁶⁹

Naturalnie łatwo byłoby wystąpić z tezą, że wszystkie te fałszerstwa, stwarzające wokół Katynia atmosferę chaosu i sprzeczności, kierowane są centralnie przez jakąś prowokacyjną instancję sowiecką. Ale przekonany jestem, że tak nie jest. Znając słabość ludzką do łowienia ryb w zamąconej wodzie, do waśniactwa, do osobistego rozgłosu, tłumaczą się one w sposób bardziej prosty i naturalny. Choć niewątpliwie działają na korzyść sowiecką i mogą czynić wrażenie prowokacji, jak np. w ośmieszającej roli odegranej przez „zakapturzonego świadka”.

DOKUMENTY Z „7-TAGE”

Przytoczyłem te fakty dla zilustrowania złej tradycji, jaka się wokół Katynia utarła w prasie światowej. Stąd uzasadniona podejrzliwość w stosunku do każdej nowej rewelacji. A więc i do tej, która ukazała się 20 lipca 1957 w tygodniku niemieckim, wychodzącym w Karlsruhe, „7-Tage”, a która 10 czerwca 1975 na konfe-

⁶⁹ Np. kilkaset stron opowieści Janusza Rozwady (pod pseud. Janusz Widzialny-Niepokonany): *Człowiek z pola śmierci mówi: Katyń 1939-1960*. Clamart 1960. W książce tej autor opowiada, jak rozchylając strzechę chatki, w której kiedyś mieszkał w Katyniu Dzierżyński oglądał sceny egzekucji oficerów polskich... Książka miała 3 wydania! (przyp. wyd.)

rencji prasowej w Izbie Gmin w Londynie została uznana za rozstrzygającą w sprawie tajemnicy otaczającej dotychczas losy obozów w Starobielsku i Ostaszkowie.

Tym razem autor rewelacji nie występuje *in persona*. Pozostaje nieznany. Mamy tylko fotografie kopii raportu mińskiego Urzędu NKWD, przesłanego władzom centralnym w Moskwie 10 czerwca 1940 roku. (por. dalej oryginał i tłumaczenie z rosyjskiego)

Raport ten ma wszelkie cechy autentyczności, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Wykazuje też znajomość przebiegu wypadków co do czasu i miejsca potwierdzając niektóre fakty już znane.

Jeńcy polscy z Ostaszkowa, którzy się później znaleźli w Griazowcu, oficer policji, oraz wachmistrz żandarmerii J.B. (figurujący w naszej kartotece pod nr 11.173), oddzieleni od głównego transportu – zgodnie zeznali, że odczepiono ich na stacji Bologoje, na której reszta ich transportu została. Było to 28 kwietnia 1940. Zaś transporty w nieznane, po kilkaset (mniej lub więcej) ludzi, zaczęły odchodzić z Ostaszkowa począwszy od 4 kwietnia 1940. Z przerwami. Ludzi było w każdym razie ponad 6.500. „Raport” stwierdza, że „likwidacja” ich zakończona została 5 czerwca. To by się mogło też zgadzać. W lasach na północ od Bologoje.

Jeżeli chodzi o Starobielsk, nieznana dotychczas była nazwa osady („posiołek”) Dergacze. „Operację” (mordu) załatwiało charkowskie NKWD. To by się zgadzało. Kierował nią bezpośrednio – jak twierdzi Raport – „pułkownik NKWD tow. B. Kuczkow”. Ale przypomnijmy sobie, że we wspomnianej ulotce propagandowej niemieckiej, z listy mińskiego NKWD, figurował: *Boris Kuczow*... Pierwsza litera imienia by się zgadzała. Natomiast w druku mogła wypaść jedna litera (k) z nazwiska. Czy to ten sam? Ale w takim razie, albo nie należał do mińskiego NKWD, lecz charkowskiego, albo został z Mińska delegowany do Charkowa, o czym Raport nie wspomina. Nie jest to wykluczone, skoro dowiadujemy się z Raportu, że Urząd Mińskiego NKWD miał sobie poruczone wykonanie całości akcji (wymordowania) wszystkich trzech obozów. „Pod odpowiedzialnym kierownictwem delegowanego przez Centrum tow. Burianowa”... Nazwisko tego *Burianowa*, jak wspomnieliśmy, wymienione jest również w ulotce niemieckiej z okresu okupacji... Dlaczego jednak w Raporcie bez wymienienia imienia i rangi? To wydaje się co najmniej dziwne ze względu na kierownicze stanowisko, jakie zajmował w całości „operacji”. Ale jeszcze nie przesądza o autentyczności (lub nie) dokumentu.

Niejakie zastrzeżenie budzi też termin zakończenia likwidacji jeńców z Kozielska. Mianowicie: „3 maja”. Wiadomo bowiem,

że przy niektórych trupach w Katyniu znaleziono gazety jeszcze z 6 maja. A ostatnie transporty w nieznane (po 50 osób) wyjechały z Kozielska w dniach 10 i 11 maja. (Transport z 12 maja – 95 ludzi – przez Pawliszczew Bor trafił do Gрязowca i pozostał przy życiu.) Ale nie ludźmy się, że w straszliwym niechlujstwie ustroju sowieckiego aparat NKWD działał jak w zegarku! Zresztą najlepszym dowodem było wielokrotne porzucenie najtajniejszych dokumentów w r. 1941. Bałagan przenikał wszędzie, i do tajnych kancelarii. Fałszywa data w „wykonaniu planu” nie jest więc usprawiedliwiona, ale – nie wykluczona.

Jedno wydaje się pewne: „Raport” w tym stanie, dokument rozszyfrowujący tajemnice wszystkich trzech obozów jenieckich nie mógł znajdować się w latach 1941-1943 w rękach niemieckich. Chyba że wśród masy papierów został przez nich przeoczony. Nie byłoby bowiem żadnego usprawiedliwienia, dlaczego nie miał zostać przez Niemców wyzyskany, a w danym wypadku nie umniejszający liczby „12 tysięcy” (choć nie w samym Katyniu). Jest bowiem faktem, że Niemcy mając informacje o zaginionych w Sowietach jeńcach polskich, początkowo naprawdę wierzyli, że w Katyniu zamordowani zostali wszyscy.

Skądże zatem ten dokument się wziął, by zostać opublikowany w r. 1957? I tu dopiero zaczynają się największe wątpliwości.

WERSJA NIEPRAWDOPODOBNA

Redakcja tygodnika „7-Tage” w liście do mnie datowanym 26 czerwca 1958, pisze tak: „W sprawie opublikowanego przez nas dokumentu możemy Pana poufnie poinformować, że pochodzi z „Białej Księgi o Katyniu”, która najpierw w Polsce miała być wydana, ale po wyzwoleniu przez Rosjan nigdy się nie ukazała. Sam dokument trafił jako mikrofoto z krakowskiej drukarni, która miała zlecenie wydać książkę, do wschodniego Berlina i stamtąd przez Berlin zachodni do nas”.

Fitzgibbon podaje jeszcze bardziej fantastyczną wersję, pochodzącą z tego samego źródła: przez ambasadę niemiecką w Londynie mógł dotrzeć do redaktorów „7-Tage”, pp. Gunter Frasike (?) i Fryderyk Feez. Powiedzieli mu, że dokument dostarczony był przez Polaka, który podczas wojny był w armii niemieckiej „in a non-combatant capacity”, gdy zajęła ona Mińsk w r. 1941. Znalazł ten dokument w piwnicy należącej uprzednio do NKWD. Po wojnie próbował zainteresować nim polski rząd „Mr. Gomułki”. Ale bez powodzenia.

A więc mamy tu znowu wersję à la Martini – Bierut. Tym razem wszakże z odwrotnym zamiarem – Gomułki, który pragnął o-

publikować prawdę, ale mu „Rosjanie” zabronili... Pamiętajmy, że historia dokumentu pochodzi z początku roku 1957, a więc zaraz po „Polskim Październiku”, i wywindowaniu wówczas Gomułki na piedestał nieomal „bohatera narodowego”, nie tylko w kraju, ale zwłaszcza na Zachodzie, a już szczególnie w naszej emigracji... (Nie będę już przypominał i wytykał tej naiwnie odrażającej euforii tamtych czasów).

Pomijając jednak minione aspekty polityczne, sam przebieg jest absolutnie nieprawdopodobny. Jakiś Polak znajduje dokument stwierdzający niezbitą winę sowiecką w wymordowaniu ok. 14 tysięcy jeńców polskich. Chowa go, nie szuka kontaktów z polskim ruchem podziemnym, jakiegoś kontaktu z Londynem, lecz czeka aż Polskę okupują Sowiety; potem czeka aż przyjdzie do władzy Gomułka, i dopiero wtedy ujawnia ten dokument, starając się zainteresować nim nowego sekretarza partii komunistycznej... Wersja jest naiwnie fantastyczna, jeżeli nie zgoła śmieszna.

Odrzucając ją a priori, musimy jednocześnie stwierdzić, że na razie innej nie ma. Mogą być tylko domysły. Godne zachodu, jeżeli – dokument jest prawdziwy.

EKSPERTYZA

Nie wiem, o jakich ekspertach wspominał teraz lord Monckton i Fitzgibbon na konferencji prasowej w Londynie. Wspomniani na początku przez mnie eksperci, którzy badali dokument w r. 1958, zainteresowali się przede wszystkim jego wyglądem formalnym. Zakwestionowali mniej lub więcej ważne punkty:

1) „Siekrietno” – tajne, nie pisze się w NKWD po środku, lecz u góry z prawej strony.

2) Brak numeru! Dokument tego rodzaju jest nie do pomyślenia bez numeru. Kopia dokumentu jest wprawdzie podniszczona, ale czytelna. I na niej powinien być zostać ślad numeru.

3) Adres: do Głównego Urzędu NKWD w Moskwie – nie jest ścisły. Było osiem resortów NKWD, z których każdy nosił tytuł „Główny...” – Niezależnie od tego, że w takiej sprawie należało się raczej spodziewać meldunku na bezpośrednie imię Berii czy Mierkułowa... I dlaczego nie składał tego raportu sam tow. Burianow, skoro był do „operacji” delegowany przez centralę w Moskwie, a za niego: Tartakow z mińskiego NKWD?

4) Dlaczego wymieniony jest tow. Kuczkow z charkowskiego NKWD, który likwidował obóz starobielski, a nie wymienieni odpowiedzialni za likwidację bezpośrednią Kozielska i Ostaszkowa?

5) Sam s t y l meldunku (raportu) wydaje się trochę „za pobeżny”... Zbyt „narracyjny”... Przy najważniejszej osobie: „towarzysz Burianow” opuszczono imię i rangę.

6) Rozdzielnik. Nie pisze się w NKWD: „także skierowano do wiadomości”... Tylko: skierowano do: a) b) c) itd., każdy z nowej linii.

7) Błędy ortograficzne w języku rosyjskim „terretorialnych” zamiast, jak powinno być, „territorialnych”. Są to jednak błędy wybacalne, mogące się zresztą tłumaczyć wpływem białorusyfikacji.⁷⁰

Jako przeciwagę tym wątpliwościom przytoczyć można argumenty przemawiające za autentycznością. Poza już wspomnianą znajomością ogólnego stanu faktycznego. A więc charakterystyczne przesunięcia: mińskiego NKWD do wykonania egzekucji pod Smoleńskiem, a smoleńskiego pod Bologoje, są np. typowe.

Dyslokacja pułków „osłaniających operacje”. Tak, w jednym wypadku z całą pewnością można stwierdzić, że np. 68 pułk strzelców stacjonował wiosną 1940 w bliskości Charkowa.

W całości można powiedzieć: jeżeli dokument jest sfabrykowany w jakiś sposób, to zdaje się nie ulegać wątpliwości, że „fabrykant” musiał znać dobrze „towar, który fabrykuje”.

WŁASNE ORZECZENIE

Niech wolno mi będzie na zakończenie zgłosić własne orzeczenie do tej pasjonującej, a jednocześnie tak ważnej sprawy. Jestem chyba ostatnim z żyjących jeszcze w wolnym świecie Polaków, który oglądał Katyń na własne oczy, a jednym z ostatnich w ogóle; jestem świadkiem koronnym ekshumacji zwłok i ekspertem w ocenie wersji sowieckiej, także przed Komisją Kongresu Amerykańskiego; autorem wielu prac na ten temat i książek wydanych w sześciu językach. Jestem ponad wszystko badaczem sprawy mordu katyńskiego, począwszy od r. 1943 do dziś. Powołując się na te tytuły, chciałbym stwierdzić, że w „Sprawie Katynia” zebrany jest dotych-

⁷⁰ Na temat „raportu Tartakowa” wypowiadał się Aleksiej Pamiatnych: *Jeszcze raz o raporcie Tartakowa*. „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1990, nr 3/4, s. 439-440. Pamiatnych znalazł w raporcie o wiele więcej nieścisłości i błędów zapisu, nie pojawiających się w oficjalnych dokumentach urzędowych, m.in. aż 10 błędów ortograficzno-gramatycznych. Nie wykluczył, że ten dokument – raczej falsyfikat – został przetłumaczony na rosyjski z języka niemieckiego.

Dzisiaj, gdy znamy tajne dokumenty NKWD i wiele list sprawców, nie ulega już wątpliwości, że „raport Tartakowa” był apokryfem. (przyp. wyd.)

czas olbrzymi materiał dowodowy, który bez reszty ujawnia winę sowiecką w tej zbrodni. Wątpliwości nie ma żadnych. „Udowodniać dalej” nie ma żadnej potrzeby. Każdy uczciwie bezstronny trybunał międzynarodowy wyda orzeczenie na podstawie już zgromadzonych dowodów i stwierdzi, że masowego mordu jeńców polskich z obozów Kozielsk, Ostaszków i Starobielsk dokonali w r. 1940 bolszewicy. Jest fizycznie wykluczone, aby mógł tego dokonać kto inny. Dalsze, ciągle powtarzające się „przekonywanie” o tym opinii światowej, może tylko podrywać wiarygodność dotychczasowych, już dawno opublikowanych argumentów, jako rzekomo niewystarczających. Spycha sprawę z dziedziny bezspornej w dziedzinę sporną. Pomijając, iż jest poniekąd procedurą bezpłodną. Ci, którzy w świecie dzisiejszego zakłamania „przekonać się” nie chcą dotychczasowymi dowodami, nie dadzą się również przekonać nowymi. Czy można przekonywać w sprawach notorycznie jawnych? Że np. w ustroju komunistycznym nie ma i nie może być wolności? Że to nie Finlandia w r. 1939/40 napadła na Związek Sowiecki, a odwrotnie? Że np. to nie Południowy Wietnam dokonał agresji na Północny, lecz odwrotnie? etc. etc. Jak długo infiltracja sowiecka lub „realne polityki” niektórych mocarstw sobie tego nie życzą, większość opinii woli się nie dać przekonywać... w sprawach niezgodnych z obowiązującą linią „odprężenia”.

Ze „Sprawy Katynia” nie powinno się dziś robić przedmiotu ani propagandy, ani polemiki, ani spektakularnych trybunałów. Powinna być raczej przedmiotem ścisłej i obiektywnej historii jednego z największych w dziejach świata mordów masowych. Pozostaje – bez zabiegania u możliwych o łaskawą przychylność – dolożyć wszelkich starań, aby uzupełnić brakujące jeszcze ogniwa w łańcuchu szczegółów i okoliczności, dla odtworzenia historycznej całości obrazu, aby wzbogacić nim wiedzę ludzką o prawdziwym przebiegu dziejów i prawdziwym obliczu pewnych systemów ideologicznych.

Naturalnie, z polityczno-moralnego punktu, byłoby pięknie, gdyby jakiś autorytatywny Trybunał Sprawiedliwości światowej zechciał orzec i potępić sprawców zbrodni. Wiemy jednak, że zależy to dziś bardziej właśnie od jego chęci, niż od zgromadzonych dowodów rzeczowych.

Dokument opublikowany w „7-Tage” – sam w sobie – nie nadaje się na efektywne wniesienie go na wokandę Trybunału Haskiego, o czym wspomina Fitzgibbon, czy innego, a to ze względu na wątpliwe pochodzenie i inne, wspomniane wyżej wątpliwości, które budzi. Raczej mógłby zagrażać „Sprawie Katynia” przez cofnięcie jej z płaszczyzny bezspornej, ponownie na płaszczyznę polemiczną. Natomiast jest niewątpliwie godnym zbadania i może stać się ważnym przyczynkiem – przy konfrontacji z innymi – do wyjaśnienia ostatnich tajemnic ponurej całości.

[Załącznik:] RAPORT MIŃSKIEGO НКВД

Копия

С Е К Р Е Т Н О

СОЮЗ СОЦИАЛИСТИЧЕСКИХ

СОВЕТСКИХ РЕСПУБЛИК

Народный Комиссариат

ВНУТРЕННИХ ДЕЛ

Управление НКВД

Минская область

Главному Управлению НКВД

г. М О С К В А

Отдел

10-го июня 1940 г.

РАПОРТ

По распоряжению Главного Управления НКВД от 12-го февраля 1940 года были произведена ликвидации трех лагерей польских военно-пленных а именно в районах г. Козельск Осташково и Старобельска. Операции по ликвидации названных лагерей были закончены 6-го июля с.г. Ответственным руководителем был назначен откомандированный Центром тов. Бурьянов.

На основании вышеуказанного приказа, в первую очередь был ликвидирован в период времени с 1-го марта по 3-ье мая с.г. в районе г. Смоленска лагерь Козельск органами Минского Управления НКВД. В качестве загородительных Отрядов были использованы части территориальных войск, в частности, 190-го стрелкового полка.

Вторая акция на основании вышеуказанного приказа была проведена органами Смоленского Управления НКВД, в районе города Бологое под охраной частей 129-го стрелкового полка (Великие Луки) и закончена 5-го июня с.г.

Проведение третьей акции по ликвидации лагеря Старобельск было поручено Харьковскому Управлению НКВД, которое задание выполнено в районе поселка Дергачи и закончено – 2-го июня при использовании как охраны частей 68-го украинского стрелкового полка территориальных войск, в данном случае ответственность этой операции была возложена на полковника НКВД тов. Б. Кучкова.

Копии настоящего рапорта направляются для сведения также генералам НКВД РЕЙХМАНУ и ЗАРУБИНУ.

Начальник Управления

НКВД

Минской области

(Тартаков)

Секретарь отдела

С подлинном верно:

[Następował tekst tłumaczenia „raportu”, który autor zamieścił we wcześniejszym artykule Czy nowa „rewelacja” w sprawie Katynia. Por. wyżej. Nie wydało się celowe powtarzanie tego tekstu jeszcze raz. – uwaga wyd.]

(Tajemnica Archiwum Mińskiego NWD: „Wiadomości”, Londyn 1975, nr 35, z 31 sierpnia).

[CZY KOMISJA PCK NIECNIE GRABIŁA ZWŁOKI?]

Do Zeszytu NR 45

[fragment listu do redakcji „Zeszytów Historycznych”]

Nieraz już zwracałem uwagę bez intencji komplementu pod adresem redakcji, iż „Zeszyty Historyczne” są dziś najciekawszym czasopismem polskim na globie. W dosłownym znaczeniu. Gdyż wszelkie publikacje drukowane w PRL, ze względu na komunistyczną cenzurę, nie mogą być brane pod uwagę. A innej tego rodzaju na emigracji nie mamy. Jeżeli chodzi o przedstawienie faktów historycznych najważniejsza jest autentyczność wypowiedzi. Niezależnie od subiektywnych poglądów autora, słuszności lub nie, prawdy lub nie, tej czy innej tendencji tych, którzy byli świadkami lub mają coś do powiedzenia. Bo to też należy do historii. Jej naświetlanie i tłumaczenie. Dlatego czytam każdy „Zeszyt Historyczny” abstrahując od własnego stanowiska do poruszanych tematów z największym zainteresowaniem, prawie nigdy nie natrafiając na coś nie warte go przeczytania.

Z natury rzeczy „Zeszyty” stanowią największe dziś źródło informacji o faktach historycznych z naszych minionych już lat, a więc i źródło dla przyszłych badaczy. Ponieważ, jak się rzekło, pisane są przeważnie przez tzw. „świadków historii”, a więc z nieuniknionym, po ludzku, subiektywizmem, przeto niemniej cenne wydają mi się wszelkie zamieszczone w „Zeszytach” polemiki, prostowania faktów, wyjaśnienia etc., które w jakimś stopniu przyczynić się mogą do zbliżenia ku obiektywnej prawdzie historycznej. Chociażby chodziło tylko o skorygowanie drugorzędnych szczegółów, które jednak skorygowane być powinny.

W nadziei, że Redakcja nie weźmie mi za złe tego przydługiego wstępu, chciałbym poniżej zabrać głos na temat zamieszczonych w „Zeszytach” Nr 45 publikacji, o których, wydaje mi się, że miałbym coś do powiedzenia.

RELACJA KATYŃSKA

Na pierwszym miejscu zamieszczona jest: *Nieznana relacja o grobach katyńskich*, pióra Gracjana Jaworowskiego. Twierdzi on, że brał udział w, jak [to] nazywa: „drugiej polskiej Komisji Katyńskiej” w początkach maja 1943 roku. I że w samolocie do Smoleńska znaleźli się też dziennikarze z państw sprzymierzonych z Rzeszą, a m.in. jeden Bułgar. Ja byłem w Katyniu tegoż maja, ale w

końcu miesiąca. A więc nie w tym zespole. Było z nami trzech dziennikarzy zagranicznych z państw neutralnych: Portugalii, Szwecji i Hiszpanii.⁷¹ Ponadto leciała grupa Polaków ze sfer robotniczych Warszawy. Przyznam jednak, że ani przedtem, ani potem, nie słyszałem o jakowejś „polskiej Komisji Katyńskiej”, pierwszej czy drugiej. Nie natrafiłem też na taką w materiałach udostępnionych mi w Rzymie w roku 1945, gdy opracowywałem książkę o zbrodni katyńskiej. Wiadomo, że podczas prac ekshumacyjnych przebywało w Katyniu wielu Polaków, m.in. Ferdynand Goetel etc. etc. Z nazwą jednak: „Komisji polskiej” nie zetknąłem się nigdy. Jeżeli nie rozumieć pod nią stałej ekipy PCK, która pod kierownictwem dr Wodzińskiego prowadziła na miejscu prace ekshumacyjne. Ale najwyraźniej Jaworowski nie ją ma na myśli.

Jego relacja, poza drobnymi nieścisłościami, jest na ogół zgodna z prawdą, znaną już zresztą i potwierdzaną w licznych publikacjach późniejszych. Niewątpliwie Jaworowski tam był i wiele z opisywanych szczegółów musiał widzieć na własne oczy. Tym bardziej zdumiewa ustęp na s. 4, który obeznanemu z procedurą ekshumacji wydać się musi wręcz nonsensowny. Brzmi on:

Prace ekshumacyjne prowadził dr Wodziński, skądinąd wyraźny narkoman. Towarzyszyło mu dwóch pomocników prosektorów, człowiek starszy i młody. Obaj zachowywali się niecnie, grabili zwłoki, m.in. oddzielali nawet zelówki z butów pomordowanych...

Pomijam pierwsze zdanie, że dr Wodziński był „wyraźnym narkomanem”. Ani ja tego nie zauważyłem, ani nie słyszałem o tym od innych. Ale rzecz blaha. Natomiast: „grabienie zwłok” przez jego asystentów, czego przykładową ilustracją ma służyć, że „oddzielali zelówki z butów pomordowanych”... w znacznym stopniu podważa wartość relacji i to w jej najistotniejszym punkcie. Mianowicie stanu i sposobu przeszukiwania (rewidowania) zwłok.

Procedura była taka: między otwartymi już grobami postawiony był duży stół. Na ten stół kładziono zwłoki wydobyte, a czasem wprost wydarte ze sklezionej masy trupów w grobach. Tu słusznie zauważa Jaworowski, że: „przy wyjmowaniu często urywały się ręce lub głowa... często były już zmienione w cuchnącą mazię!” Po czym następowało dokładne przeszukanie. Specjalnymi nożami rozcinano kieszenie mundurów, wydobywając z nich wszelką zawartość; następnie przecinano nożami cholewy butów, oraz oddzierano zelówki. W stanie bowiem kompletnego sklejenia trupią mazią, nie mogło bowiem być mowy ani o rozpinaniu guzików kieszeni, ani o ściągnięciu butów. A właśnie w butach znajdowano czasem ważne

⁷¹ W poprzednich relacjach Mackiewicz nie stwierdzał obecności w „jego” grupie dziennikarza hiszpańskiego. (przyp. wyd.)

przedmioty... Jak np. zasunięte w cholewy gazety; a w oderwanych zelówkach np. wkładki poczynione z tych gazet. Zaś daty gazet (wszystkie wiosną 1940) były pośrednim, ale niezbitym dowodem sowieckiej winy zbrodni. Gazet było dużo. I ani jednej z datą późniejszą niż maj 1940... Sowiety oceniły wagę tego naocznego dowodu. Dlatego wykoncypowały wersję, że Niemcy zanim rozgłosili wiadomość i przystąpili do ekshumacji trupów, rzekomo zrewidowali je dokładnie, usuwając z kieszeni pomordowanych listy i gazety z późniejszą datą, a wsadzając im w kieszenie inne, z wcześniejszą datą. Otóż kto widział stan trupów i sklejenia ich odzieży, może dopiero zaświadczyć, że taka procedura byłaby fizycznie niewykonalna, tym samym urzędowa wersja sowiecka jest absurdalna.

Tymczasem Jaworowski o tym najważniejszym fragmencie podczas ekshumacji katyńskiej – o gazetach nie wspomina słowem. Za to ze swej strony występuje z absurdalną wersją, że odrywanie zelówek u butów przez pomocników dra Wodzińskiego, świadczyło o „nieczym grabieniu zwłok”... (*Nota-bene* butów od trzech lat gnijących w trupiej mazi grobów!)

Niestety więc jest to jeszcze jedna relacja, analogiczna do wielu już rozpowszechnionych, które choć mówią wiele prawdy, ale jednocześnie wprowadzają momenty sprzeczności i zamętu, i niejako ubocznie, ale podrywają wiarygodność prac ekshumacyjnych. Czy to dla sensacji, czy z manii osobistego wazniactwa?

I jeszcze na marginesie: Jaworowski mówi o sowieckim nalocie bombowym, tegoż maja 1943, na teren ekshumacji katyńskiej. Osobiście nigdy od nikogo na miejscu, a musiało to być przed kilku dniami, o takim nalocie nie słyszałem. Następnie opowiada, że prace „odbywały się pod nadzorem także jakiejś formacji żandarmerii polskiej”.⁷² Żadnego „nadzoru”, żadnej „żandarmerii polskiej” nie było, bo taka nigdy nie istniała. Sądząc z jego opisu, a zwłaszcza, że przyjechali oni ze Lwowa, mogli to być zaproszeni do Katynia funkcjonariusze tzw. *Bahnschutz*'u (ochrony kolei). Istotnie, słyszałem kiedyś, że była taka jednostka zorganizowana przez Niemców we Lwowie, wyłącznie (czy prawie wyłącznie?) z Polaków. Historia

⁷² Jednak w „Nowym Kurierze Warszawskim” 1943, nr 115 z 15-16 maja, znajdujemy notatkę: „Franciszek Orsós [członek Komisji Międzynarodowej] oświadczył, że lotnicy sowieccy strzelali z broni pokładowej w czasie prac komisji. Odpędzeni przez myśliwce niemieckie i artylerię przeciwlotniczą”.

Z kolei „Nowy Kurier Warszawski” 1943, nr 127 z 30 maja, donosił, że w czasie uroczystości uczczenia grobów oficerów polskich przez polskich robotników [chodzi właśnie o moment opisany przez Mackiewicza z autopsji]: „W tej chwili kompania policji polskiej, pełniąca służbę na terenie cmentarzyska koziegórskiego, sprezentowała broń”. (przyp. wyd.)

tego *Bahnschutz*'u trzymana jest dotychczas (może ze względów „patriotycznych”) pod korcem. A byłoby dobrze, żeby ktoś się nią wreszcie zajął, jeżeli jest jeszcze ktoś, kto zna sprawę dokładnie. Nie dla oceny zaraz „moralnej”, lecz ściśle historycznej.

(„Zeszyty Historyczne”, Paryż 1978, XLVI, s. 224-226)

LIST DO REDAKCJI [CZY PAPIEŻ POMODLI SIĘ ZA KATYŃ?]

Monachium, 7 sierpnia 1979

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

dnia 3 czerwca br. pozwoliłem sobie wystosować do londyńskiego czasopisma „Rzeczpospolita” załączony poniżej *List do Redakcji*.

List ten nie został zamieszczony i nie otrzymałem też żadnej odpowiedzi.

Byłbym wdzięczny Panu Redaktorowi, gdyby zechciał uznać za możliwe zamieszczenie tego *Listu do Redakcji* na łamach „Kultury”.

Józef Mackiewicz

LIST DO REDAKCJI

3 czerwca 1979

W nr 6, z czerwca 1979 r. londyńskiej „Rzeczpospolitej Polskiej” ukazał się doskonale artykuł A. Kajkowskiego pt. *Zbrodnia katyńska*. W szczególach wyborne streszczenie przebiegu znanej powszechnie pod tą nazwą zbrodni wymordowania przez bolszewików wiosną roku 1940 w Katyniu (i gdzie indziej, w nie ustalonych jeszcze miejscach) około 14.000 oficerów polskich. Charakteryzując pomordowanych, autor raczej słusznie uogólnia: „... najlepszych i najbardziej ideowych synów Ojczyzny”. Niewątpliwie zapożyczając z epokowej już dziś książki Józefa Czapkiego pt. *Wspomnienia starobielskie*, Kajkowski pisze:

„Zginęli w ten sposób generałowie, oficerowie niższych stopni, podoficerowie... etc. wśród nich uczeni polscy, kwiat polskiej inteligencji” (powołani do wojska z rezerwy).

I dalej:

„Nie wolno nam nigdy zapomnieć o tych nazwiskach zamordowanych, znanych nam tak bardzo z naszej historii, przypomnę tylko kilka z nich:

Gen. dyw. Stanisław Haller, stryjeczny brat Józefa Hallera, d-cy Armii Błękitnej. Gen. dyw. Leonard Skierski, d-ca 4 Armii z 1920 roku. Gen. Leon Billewicz, żołnierz wojny rosyjsko-japońskiej. Gen. Bronisław Bohaterewicz, znany z wojny 1918 roku. Gen. Piotr Skuratowicz, murmańczyk. Gen. Konstanty Plisowski, d-ca oddziału marszowego Odessa-Bobrujsk. Gen. Franciszek

Sikorski, obrońca Lwowa. Kontradmiral Ksawery Czernicki, twórca Polskiej Marynarki Wojennej. Inni, jak gen. Kazimierz Orlik-Lukowski, gen. Mieczysław Smorawiński, pułkownicy Konstanty Drucki-Lubecki, Jarosza Szafran, Alojzy Wir-Konasa, Bolesław Schwarzenberg-Czerny i wielu, wielu innych oficerów wszystkich stopni, lekarzy, profesorów etc., i wszystkich Polaków, dla których Wolna i Niepodległa Polska była najwyższą wartością.

Do kwalifikacji tej zbrodni dodać by może jeszcze należało, że w powodzi dokonanych w ostatniej wojnie masowych mordów, zbrodnię katyńską wyróżnia pewna specyfika: wyjątkowa czy też zgoła niebywała. Objęta potocznym pojęciem: „zbrodni wojennej”, wyróżnia się szczególnym ciężarem gatunkowym. I tym różni się od innych, w ich moralnych, prawnych czy ilościowych ocenach. Albowiem z jakości swojej jest zbrodnią bez precedensu w historii wojen. Gdyż pomordowani żołnierze polscy nie należeli nawet do strony walczącej. Formalnej wojny polsko-sowieckiej nie było wtedy. Nie byli więc według prawa wojennego nawet „jeńcami wojennymi”, a internowanymi na terytorium trzeciego państwa, w tym wypadku Związku Sowieckiego. Wymordowanie ich zatem nawet bez cienia chociażby pretekstu, nadaje właśnie to – co byśmy w potocznym wykrzykniku określić mogli, jako „niesłychaność” zbrodni katyńskiej.

Kajkowski pisze:

Zbrodnia nad oficerami polskimi w Katyniu obciąża władze NKWD ze Stalinem i Berią na czele. Obciąża również późniejsze władze sowieckie Chruszczowa, Breżniewa za zatajenie zbrodni ludobójstwa; obciąża władze PRL-u za zatajenie tej zbrodni, jak i również rządy krajów zachodnich za tchórzliwe milczenie i nikczemne zapomnienie o obywatelach swych sojuszników.

Pozwolę sobie jednak dodać nie w formie zarzutu, lecz konstatacji – że nastąpiło też „zapomnienie”, tym razem ze strony najmniej chyba spodziewanej. A to ze strony polskiego Kościoła katolickiego. Od trzydziestu z górą lat w żadnym kościele w Polsce nie odbyły się modły żałobne za dusze oficerów pomordowanych w Katyniu. Rzecz tłumaczyła się tym, że w PRL-u było to zakazane, choć formalnie – jako że zbrodnia katyńska zaliczona została przez komunistów do zbrodni „hitlerowskiej” – nie powinna powodować zakazu. Ale, powiedzmy, że było niemożliwością, której ocenić z dała się nie da. Choć przyznam, że osobiście w historii prześladowania Kościoła katolickiego w PRL nie słyszałem konkretnie ani o takich próbach, ani o takich zakazach. Faktem pozostaje niemniej, że ani Episkopat, ani Prymas, nie wymieniali geograficznej nazwy tej miejscowości. Od śmierci nieodżałowanej pamięci duchowego opiekuna emigracji, ks. arcybiskupa Józefa Gawliny który w oświadczeniu jeszcze z 15 października 1956 roku nazwał siebie: „jedynym członkiem Episkopatu Polskiego w wolnym świecie” – za-

den biskup polski nie celebrował mszy żałobnej za pomordowanych w Katyniu. Mianowany przez prymasa, po śmierci arcybiskupa Gawliny, duszpasterzem „uchodźstwa polskiego” biskup Rubin, dziś kardynał, nie odprawił nigdy w rocznicę lub nie rocznicę zbrodni katyńskiej, uroczystych modłów za dusze pomordowanych. Jeżeli się czasem ukazał przy poświęceniu jakiegoś pomnika katyńskiego na emigracji, zaliczano to nie do zwyczajnego, lecz nadzwyczajnego zdarzenia. Jedynie garstka, dosłownie, dostojnych i odważnych kapłanów na emigracji, odprawiała corocznie modły za dusze tamtych pomordowanych Polaków.

Żyjemy w okresie czasu, gdy wciąż jeszcze zapadają zbiorowe protesty przeciwko przedawnieniu i odpowiedzialności za zbrodnie wojenne, składane są masowo petycje o wydanie sądom i ukaranie zbrodniarzy wojennych. Czy z okazji pierwszego Polakapapieża w Rzymie nie daloby się zgromadzić podpisów pod petycją... Nie, nie domagając się ani kary, ani wydania, ani potępienia, ani innego aktu zaangażowania politycznego. Lecz złożenie petycji do stóp Ojca Świętego, Namiestnika Chrystusowego, z prośbą, aby raczył ze Stolicy Apostolskiej wznieść za dusze pomordowanych w Katyniu Polaków modły do Nieba?

Zwłaszcza że za niespełna rok przypada już czterdziesta rocznica. Może byłoby to zarazem większe upamiętnienie, niż skromne pomniki na obcej ziemi.⁷³

(„Kultura”, Paryż 1979, nr 9, wrzesień, s. 164-166)

⁷³ 27 kwietnia 1980 roku w Londynie, w kościele św. Andrzeja Boboli, kardynał Rubin odprawił mszę św. za Polaków zamordowanych w Katyniu i innych miejscach. W swoim kazaniu wspominał on o 40 rocznicy, wskazując pośrednio sprawców, powstrzymał się jednak od wymienienia ich konkretnie. Por.: Kard. Rubin: *Czcimy ofiary Katynia*. [w:] „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn 1980, nr 21 z 24 maja. (przyp. wyd.)

[DWOISTOŚĆ HOŁDÓW PAMIĘCI]

(list do redakcji „Kultury”)

Monachium, 3 października 1979

W liście do redakcji z 20 września 1979 Witold Zahorski zarzuca mi, że mijam się z prawdą pisząc (w „Kulturze” z września 1979, że biskup Rubin n i g d y nie odprawił modłów za dusze pomordowanych w Katyniu. Powołuje się przy tym na notatkę w „Wiadomościach” z roku 1970 (i w biuletynie „Kombatant” we Włoszech), że biskup Rubin nie tylko odprawił w kościele Św. Stanisława w Rzymie nabożeństwo w tamtym roku za pomordowanych w Katyniu, lecz i wygłosił podniosłe kazanie.

Przyznaję: nie wiedziałem o tym. *Mea culpa*. Niemniej wy daje mi się, że cała tonacja listu Zahorskiego raczej potwierdza intencję i myśl przewodnią wypowiedzianą przeze mnie we wrześniowej „Kulturze”, aniżeli im przeczy. Nabożeństwa w rocznicę mordu katyńskiego celebrowane są przez garstkę księży corocznie i uroczyste w polskim kościele w Londynie, przy tłumnym udziale emigracji polskiej, niejako na oczach wszystkich, notorycznie. Nie trzeba o tym wyszukiwać w starych gazetach sprzed dziesięciu laty. Udział natomiast episkopatu polskiego należy do szczególnych wyjątków. Jak to zresztą sam Zahorski mimo woli przyznaje, powołując się na wypadek sprzed dziesięciu laty, i odnośną notatkę w „Wiadomościach” z roku 1970.

Po co to samooszukiwanie wbrew faktom oczywistym. Udział episkopatu polskiego zarówno w kraju w otoczeniu dostojników komunistycznych, jak i poza komunistyczną Polską w uroczystościach żałobnych ku pamięci ofiar hitlerowskich należy do tradycji, jako objaw patriotyzmu narodowego. Nabożeństwa te celebrowane są wtedy z namaszczonej demonstracją, przy byle nadarzającej się ku temu okazji. Trudno w tym wypadku nie przyznać, że stanowią – powiedziałbym – rażącą odwrotność do okazji rocznic katyńskich, które pomijane są nieomal równie demonstracyjnie.

Tak np. we wrześniu 1979 odbyła się w Londynie wielka manifestacja ku czci ofiar katyńskich, z okazji trzeciej rocznicy wzniesienia pomnika katyńskiego. Zgromadziła liczne tłumy. Filmowana przez telewizję BBC i nagrywana przez inne stacje. Premier brytyjski, pani Thatcher, przysłała nawet orkiestrę swoich huzarów, oraz oficjalnie delegowała swojego reprezentanta w osobie

wiceministra obrony, Geoffrey Pattie. Zdawaloby się, że papież (Polak), jeżeli nie mógł sam przybyć zajęty innymi sprawami, mógłby co najmniej delegować swego reprezentanta, w osobie kardynała Rubina, nominalnego „duszpasterza uchodźstwa polskiego”. Lecz oto dowiadujemy się, że żaden delegat papieski nie przybył; modły odprawił biskup prawosławny Mateusz; po czym pastor polskiego kościoła ewangelickiego, Roman Dorda, i w końcu kapelan londyńskiego SPK, ks. pralat W.S. Jarecki.

W liście moim z września 1979 skrytykowanym przez Zahorskiego chodziło mi o złożenie do stóp Jego Świątobliwości w Rzymie petycji, aby zechciał położyć kres tej tradycyjnie zakorzenionej, a niesłusznej dwoistości zachodzącej w traktowaniu pamięci ofiar wymordowanych przez hitlerowców, a pomijaniu pamięci ofiar wymordowanych przez bolszewików.

Nawet tablica upamiętniająca ofiary katyńskie, na pozwolenie wmurowania której przy kościele Św. Stanisława w Rzymie czeka się już od roku – a którą nam obiecuje Zahorski – faktu tej dwoistości nie zmieni.

Powtarzam raz jeszcze: po co zamykać oczy na rzeczy, które nawet pod bogobojnie przysłoniętymi powiekami są aż nazbyt widoczne.

(„Kultura”, Paryż 1979, nr 12, grudzień)

BYŁEM W KATYNIU

[Przekład polski jednego rozdziału autorskiej książki Mackiewicz o Katyniu według wydania angielskiego: *The Katyn Wood Murders*. 1951. Rozdział: *My discovery in Katyn*.

[Przed pierwszym fragmentem (numer 94 z 21 kwietnia) umieszczono notkę redakcyjną, gdzie czytamy m.in.:]

Książka Mackiewicza [The Katyn Wood Murders. 1951] nigdy nie ukazała się po polsku. Polski rękopis książki zaginął. Zamieszczamy teraz tłumaczenie jednego rozdziału z książki: My discovery in Katyn. Tłumaczenie z angielskiego tekstu, dokonane pośpiesznie przez kilku członków redakcji, nie oddaje naturalnie piękna stylu Mackiewicza. Ale chodzi o relację osobistą, o fakty i wrażenia z tego katyńskiego lasu mordu.

[Autorzy przekładu nie dotarli do maszynopisu polskiego książki, sądząc że jest zaginiony, ale nie zauważyli także, że przelozony rozdział posiadał już pierwodruk w języku polskim: *Dymy nad Katyniem*. „Lwów i Wilno”, Londyn 1947. Ze zrozumiałych względów nie przedrukowuję tutaj tego przekładu.]

(„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn 1980, nr 94, 95, 96, 98, 100, 101, 102, 104.)

DR WODZIŃSKI

[w rubryce: Listy do redakcji]

W „Dzienniku Polskim” z 8 maja przeczytałem słuszne uwagi w liście do redakcji p. W. Brzezińskiego z Birmingham pt. *Świadkowie Katynia*. Autor zwraca uwagę, że „w okolicy Liverpoolu... żyje jeszcze na emeryturze doc. dr Wodziński” i że „dobrze by było go namówić, aby ogłosił swe wspomnienia z Katynia”. – Od lat mieszkając daleko od polskich środowisk w Anglii, byłem tym adresem zaskoczony.

W. Brzeziński ma nie tylko słuszność, ale ubocznie dotyka sprawy dla mnie nieco zawilej, a w gruncie niezwyklej, jeżeli chodzi o „sprawę Katynia”. Od dziesiątków lat nie było o dr Wodzińskim nic słyhać. Nie udało mi się też nigdy dowiedzieć o jego losie. Zacząłem myśleć, że „znikł”, tak jak znika wielu ludzi w dzisiejszych czasach. A jest on nie tylko „świadkiem Katynia”, ale – powiedziałbym – świadkiem pierwszej ręki. On to bowiem przeprowadzał pierwszą ekshumację zamordowanych; przez jego ręce przechodziły każde zwłoki, wydobyte wprost z masowych grobów. Po między tą bezpośrednią czynnością: wydarciem zamordowanego ze sklezionej masy trupów, a położeniem na stół sekcyjny przed dr Wodzińskim, nie istniała żadna „pośredniość”, która mogłaby wpłynąć na zdeformowanie orzeczenia.

Dr Wodziński jest więc najważniejszym tu świadkiem, nie tylko w skali naszych, polskich dochodzeń prawdy, ale i w skali światowej. Powinien być zatem pierwszą osobą figurującą na wszelkich zgromadzeniach poświęconych zbrodni katyńskiej; zapraszany do wygłoszenia odczytów o tej zbrodni nie tylko wśród emigracji polskiej, ale również w obcych językach w innych krajach. Dlaczego tak się nie dzieje? Przecież publikuje się na ten temat utwory ludzi, którzy w Katyniu nigdy nie byli. Nieraz cenne, ale czasem mniej lub więcej spekulatywne, a już zwłaszcza nadskakuje się autorom obcojęzycznym, którzy niejednokrotnie grzeszą spora dozą ignorancji. A o istnieniu wśród nas dra Wodzińskiego dowiadujemy się raptem w 40 rocznicę zbrodni, wiosną 1980, z listu do redakcji „Dziennika Polskiego”!...

Pomijam już własne doświadczenie w tej sprawie, wydaje mi się wszakże nie od dziś, że w pewnych środowiskach emigracyjnych istnieje tendencja do niejkiej zakulisowej manipulacji w doborze

tw. świadków historii minionej wojny. Nieraz, jak w tym wypadku, z uszczerbkiem dla tej historii.

Monachium

Józef Mackiewicz

(„Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” Londyn 1980, nr 121, z 22 maja)

[24 sierpnia 1985 ukazał się w piśmie „Gwiazda Polarna”, Nowy Jork, tekst Edwarda Duszy pt. *Czas na wyjaśnienie*. Większość tekstu zajmuje publikacja listu Józefa Mackiewicza do autora. Niniejszy przedruk listu zamieszczam jako całość z tekstem E. Duszy. Jak wynika z tekstu, list Mackiewicza został napisany w r. 1980 lub niedługo później.]

CZAS NA WYJAŚNIENIE

Książka Zbrodni katyńska w świetle dokumentów z przedmową gen. Andersa ma już dziesięć wydań. Jej popularność rośnie po przybyciu na Zachód nowej fali emigrantów „Solidarności”. A książka ta ma przedziwną historię...

Do dzisiaj bowiem czytelnik nie wie, kto jest jej autorem - pomimo że wiele listów w tej sprawie skierowano do redakcji różnych „niezależnych” pism. Sprawa nie została do końca należycie wyjaśniona.

Kiedy zmarł Józef Mackiewicz, w prasie ukazały się artykuły, omawiające jego twórczość. Między innymi napisano, że był autorem książki o Katyniu po angielsku, a polski tekst tej książki nigdy się nie ukazał.

W związku z tym pragnę zabrać głos publicznie.

Jako wydawca jednej z książek Mackiewicza w języku angielskim In the Shadow of the Cross (rok 1973), byłem zainteresowany wydaniem książki o Katyniu, stąd zwróciłem się do J. Mackiewicza z prośbą o przysłanie mi manuskryptu do druku. Na moją prośbę Józef Mackiewicz odpowiedział następująco:

*„A teraz muszę odpowiedzieć na Pański list z dn. 16 września 1980 roku, w którym zapytuje Pan mnie o „manuskrypt polski mojej książki o Katyniu”. Musiałem na to pytanie już wielokrotnie odpowiadać ostatnio. Poza prof. Zawodnym, nie ma innej książki o Katyniu na świecie,⁷⁴ tylko moja. *Zbrodnia katyńska w świetle do-**

⁷⁴ Być może ten sąd Mackiewicza ma charakter metaforyczny, trzeba jednak pamiętać o książce Henri de Montfort'a: *Massacre de Katyn. Crime russe ou crime allemand?* Paris 1966. Posiada ona niewątpliwie wysoki poziom i całościowy charakter. (przyp. wyd.)

kumentów, z przedmową gen. Andersa, w Londynie etc., po polsku i po angielsku, to jest też moja książka. A było tak:

W roku 1945, gdy przedostałem się z kraju do Włoch, „Biuro Studiów” II Korpusu Polskiego (Zdzisław Stahl) zwróciło się do mnie z propozycją napisania książki o zbrodni katyńskiej. Ale nie pod moim nazwiskiem, lecz w postaci „białej księgi”, urzędowego zbioru dokumentów i relacji. Zgodziłem się na to. Książkę napisałem. Była w niej również moja osobista relacja z pobytu w Katyniu w 1943 roku. Wszystko było dobrze, dopóki gen. Anders nie wpadł na pomysł wydania mojej książki po francusku, pod własnym nazwiskiem swoim. Wynikła z tego długotrwała kłótnia, której szczegółów nie będę tu opisywał. W rezultacie: zerwanie. Stahl zaczął się podawać za autora mojej książki, ponieważ był wtedy szefem tego Biura Studiów. Ja nie chciałem występować osobiście przeciwko gen. Andersowi ze względów politycznych. Były mediacje, sądy rozjemcze etc. Zresztą o tym, że to ja napisałem tę książkę, było w prasie emigracyjnej kilkakrotnie.

Stahl (Anders) wyrzucili w późniejszych wydaniach moją osobistą relację, którą ostatnio zamieścił „Dziennik Polski” w Londynie.⁷⁵ Stąd list Jędrzejewicza tamże zamieszczony, który przyczynił się jeszcze do zamieszania.

Bo było znowuż tak: zaraz po zerwaniu, ja napisałem bardziej potoczystą wersję własnej książki i przetłumaczyłem na angielski (tłumacz: [Lew] Sapieha). Ukazała się w wielu językach: angielskim, niemieckim, hiszpańskim, włoskim, portugalskim i francuskim. Po polsku nie mogłem jej wydać, gdyż byłyby to dwa grzyby w barszczu. To prawda, w późniejszych wydaniach, podjętych przez biuro Andersa, Stahl dołączył materiały, jakich ja nie miałem (na przykład zeznanie dr Wodzińskiego). Całość jednak i w piśmie, i w kompozycji, to jest ta sama moja książka.

W międzyczasie, jeszcze z Rzymu, przesłałem kopię Jędrzejewiczowi do Instytutu Piłsudskiego w Ameryce. Stąd jego list do „Dziennika Polskiego”...

Amerkańskie wydanie tej książki: British Book Centre, New York, 1952.

Czy ja dostatecznie jasno napisałem? Bo w ostatnich czasach jestem w złej formie. Każde pisanie sprawi mi trudność.

⁷⁵ Londyński „Dziennik Polski” zamieścił przekład jednego rozdziału z autorskiej książki Mackiewicza o Katyniu w wersji angielskiej (por. wyżej). Tekst nie jest identyczny ze sprawozdaniem Mackiewicza z podróży do Katynia, zamieszczonym w I wyd. *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*. (przyp. wyd.)

Najlepsze pozdrowienia od nas obojga. Ściskam dłoń serdecznie.

Józef Mackiewicz”

Wydaje mi się, że najwyższy czas, aby tę sprawę wyjaśnić definitywnie i przywrócić książce Zbrodnie katyńska w świetle dokumentów prawdziwego autora. Fotokopię listu Józefa Mackiewicza przedstawiłem redaktorowi naczelnemu pisma, p. Alfonsowi Herin-gowi.

Edward Dusza

Stevens Point, WI

(„Gwiazda Polarna”, New York, z 24 sierpnia 1985)

POSŁOWIE WYDAWCY

SOWIECKIE „JĄDRO CIEMNOŚCI”

(Józef Mackiewicz a Katyń)

Właściwą materię książek Józefa Mackiewicza stanowi historia, nawet wtedy gdy rzadko, na przykład w nowelach, zajmuje się przede wszystkim ludzką psychologią. A z historii Mackiewicz brał prawie wyłącznie to, co było związane z Polską, a nawet tylko to, co działo się na kresach Rzeczypospolitej, mówiąc szeroko: w Polsce wschodniej dwudziestolecia i na dawnych Ziemiach Zabranych. On sam określał to jako obszar Wielkiego Księstwa Litewskiego, odrębny od Korony.

Ta kresowa Polska to przede wszystkim historia zderzenia z Rosją. Ponieważ jednak Rosja za życia Mackiewicza przekształciła się w Rosję sowiecką (nominalnego upadku komunizmu Mackiewicz nie dożył), tematem historii dla pisarza stało się okrutne zderzenie kresów Rzeczypospolitej z rzeczywistością sowiecką, z sowieckim najazdem. *Lewa wolna* mówi o najeździe bolszewickim dwudziestego roku, dylogia: *Droga donikąd*, *Nie trzeba głośno mówić*, odbywa się na Wileńszczyźnie i na kresach północno wschodnich w strasznym czasie drugiej wojny.

Oskarżano Mackiewicza o wspomaganie propagandy hitlerowskiej. Chodziło o teksty pisarza, poczęte z chęci dania świadectwa ludobójczej obecności sowieckich okupantów na kresach Rzeczypospolitej. Opis mordy w Prowieniszkach to pierwszy z jego tekstów drukowanych w koncesjonowanym przez propagandę niemiecką „Gońcu Codziennym” w Wilnie, pozostałe teksty są także poświęcone problemowi sowieckiemu. Miało to być znamienne ostrzeżenie dla Polaków i zapelnienie luki, której akowska Polska podziemna niestety nie wypełniała. Te kilka tekstów w „Gońcu Codziennym” (z roku 1941) kosztowało Mackiewicza wyrok śmierci (około roku później), zawieszony na szczęście przez komendanta AK okręgu wileńskiego, „Wilka” Krzyżanowskiego. Ostatnim tekstem drukowanym w „Gońcu Codziennym”, tym razem za wyraźną, choć cichą zgodą władz AK, był reportaż z Katynia: *Widziałem na własne oczy*.

I tak się stało, że to co Mackiewicz zobaczył na własne oczy jadąc 20 maja 1943 roku do Katynia, miało się stać nigdy nie mijającą obsesją pisarza i argumentem nad argumenty, ukazującym straszność sowieckiego ludobójstwa. Zbrodni katyńskiej nie po-

święcił Mackiewicz żadnego osobnego utworu literackiego, stał się jedynie jej dociekliwym badaczem, pierwszym jej historykiem. Sam pisał o tym w roku 1975: „Jestem ponad wszystko badaczem sprawy mordu katyńskiego, począwszy od r. 1943 do dziś”. Można tę datę przesunąć aż po kres jego życia.

Badaczy i historyków Katynia jest legion. Ale pośród nich są tylko dwaj wybitni pisarze, którzy pisali o Katyniu jako świadkowie ekshumacji 1943 roku (jeśli nie liczyć Emila Skińskiego, który ogłosił tylko jeden krótki reportaż). To Ferdynand Goetel i właśnie Józef Mackiewicz. To, co zrobił dla rozświetlenia ponurej ciemności Katynia Goetel, zawarte jest w jego książce *Lata wojny* (Londyn 1956), w postaci dwu rozdziałów, własnego reportażu-refleksji oraz przesłuchania Iwana Kriwoziercewa, najważniejszego świadka katyńskiego.

Mackiewicz nigdy nie przestał myśleć i pisać o Katyniu. I to jemu właśnie, jeszcze „na ziemi włoskiej”, w Rzymie roku 1945, powierzono opracowanie „białej księgi” o zamordowaniu oficerów polskich. Pisarz beletrysta, który decyduje się uszczknąć drogocenne godziny swemu pisarstwu, by poświęcić je opracowaniu historycznemu, musi mieć ku temu ważne powody. Jednym z tych powodów było powstrzymanie się polskich władz emigracyjnych od publicznych wystąpień na ten temat.⁷⁶ Zdecydował się Mackiewicz na opracowanie książki o Katyniu i dlatego, gdyż wiedział dobrze, że akt oskarżenia reżimu sowieckiego w tej książce, przez niego sformułowany, stanowi także podstawową przesłankę jego historycznej postawy jako pisarza. Większość jego książek artystycznych (nie mówiąc o esejach) nie do pomyślenia jest bez obecnej w nich lub w ich tle – refleksji nad istotą i praktyką komunizmu. A w samym centrum tej praktyki znajdowało się dla Mackiewicza ludobójstwo popełnione w Katyniu.

Było ono niewątpliwie owym, parafrazując metaforę Josepha Conrada, komunistycznym „jądrem ciemności”.

Opisem Katynia i innych zbrodni sowieckich popełnionych na Polakach, potwierdzał także Mackiewicz swój związek w materii

⁷⁶ Wspominał o tym po kilkudziesięciu latach Zdzisław Stahl, że w 1945 r.: „[...] rozpoczęto zbierać źródłową dokumentację Katynia. [...] ośrodek rządowy przygotowywał memoriał poufny dla sprzymierzonych rządów, a ośrodek gen Andersa – książkową publikację dla opinii publicznej. Uzupełniały się tu wzajem dwie koncepcje: rządowa, że przedwczesne jest iść jawnie przeciw panującemu wówczas prądowi opinii światowej, oraz ofensywna – że trzeba tę opinię zacząć urabiać i nie pozwolić, aby czas przysypał sprawę Katynia pyłem fałszów i zapomnienia.” (*O pamięć i sprawiedliwość*. „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn 1980 nr 19, z 10 maja.)

historycznej z polskością. Rozliczne bowiem były zbrodnie komunizmu i wiele byłoby innych dowodów ludobójstwa. Ale Mackiewicza interesowała przede wszystkim zbrodnia na Polsce, choć pisarz ten potrafił pochylać się i nad innymi ofiarami przemocy, jak świadczy przykład opisanej przez niego zdrady nad Drawą, popełnionej przez aliantów wobec kozackiej „kontry”, wydanie tych ludzi Sowiетom.

Spisywanie prawdy z życia, „reportaż historyczny” – bo historykiem w akademickim znaczeniu pisarz nie był – to nie kłóciło się z metodą prozy artystycznej Mackiewicza. Było jej częścią. Interesowały go przecież przede wszystkim zdarzenie z życia i prawda historyczna. Ogłaszanie prawdy o zbrodni katyńskiej wyrażało jego program etyczno-polityczny, jakim była walka z komunizmem. Sprawa katyńska poświadczala także Mackiewiczowi ugięcie się demokracji zachodniej przed komunizmem, wyrażające się w przemilczaniu sprawców, zamazywaniu i odsuwaniu na bok katyńskiego ludobójstwa. Jednocześnie Katyń po 1943 roku stanowił dla Mackiewicza – i nie tylko dla niego – klasyczny przykład posługiwania się fałszerstwem historycznym przez ideologów komunistycznych i państwo sowieckie. Jeśli dobrze wyczytać się w książki Mackiewicza, zwłaszcza te odnoszące się do drugiej wojny światowej – to pojawiające się tam komentarze do postaw komunistycznych są także komentarzami do kontekstu, w jakim popełniono i ukrywano zbrodnię katyńską. Sądził, że w zbrodni katyńskiej i jej okolicznościach przegląda się cała prawda o komunizmie.

Katyń jest dla Mackiewicza klasycznym przykładem tego, co nazwał w osobnej książce „zwycięstwem prowokacji”. Oto z dwu równie zbrodniczych i ludobójczych ideologii: nazizmu hitlerowskiego i komunizmu sowieckiego, osądzono i wyklęto w Europie i świecie jedynie hitleryzm. Starto na proch państwo hitlerowskie, a imperium komunistycznemu pozwolono dalej istnieć. Z Oświęcimia uczyniono światowe mauzoleum pamięci, a Katyń odsunięto w niepamięć. Zakazano partii odwołujących się do hitleryzmu, a bezkarne zezwolono na istnienie partii komunistycznych. Hańbiącym symbolem tej prowokacji była dla pisarza także Norymberga. Mackiewicz pokazuje, że – jeśli chodzi o pogardę dla życia i wolności człowieka – oba te ustroje są równie zbrodnicze, więc nie liczytuje ilości zbrodni, w których komunizm przewyższył hitleryzm. Ale pod względem pewnych moralnych metod komunista jest czymś o wiele gorszym od hitlerowca. Nie jest tak głupi jak ten prawdomówny nihilistyczny nazista. Najgorsze zło ubiera w kłamstwo, aby świat mógł w nie uwierzyć i z nim współżyć. Pokazują to współczesne powieści Mackiewicza: *Droga donikąd* i *Nie trzeba głośno mówić*. Jeśli hitlerowcy zabijali za brak posłuszeństwa, komuniści rosyjscy zabijali i za brak posłuszeństwa, i za brak wiary w komunizm. Zachował się konspekt sowieckiej książki o hitleryzmie (Mackiewicz

nie mógł go znać), gdzie w rozdziale *Psychologia sadyzmu* miano objaśniać hitleryzm Katyniem.

Nic bardziej piekielnego nigdy świat nie wymyślił i dlatego Mackiewicz nigdy nie przestał pisać o Katyniu.

Nie będą cię przekonywać – mówi jeden z bohaterów tego pisarza – że czarny sufit jest biały. Każą ci w to ślepo wierzyć i to głosić. W tym także aktualność obecnej książki Mackiewicza, gdyż jeśli hitleryzm został wyklęty przez świat, wielka część bałwochwalstwa komunizmu ostała się, razem z tą gorzką prawdą, że Katynia i zbrodni komunizmu nigdy nie osądzono, nie ukarano.

Wróćmy do „białej księgi”, jakiej opracowania podjął się Józef Mackiewicz na zlecenie tak zwanego Biura Studiów przy II Korpusie gen. Andersa we Włoszech. Wszyscy znamy tę książkę, nosi ona tytuł *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*. Była wydawana bezimiennie, wiele razy, z przedmową gen. Andersa. Dlaczego nie nosi nazwiska pisarza? Sądzę, że – poza sekciarstwem emigracyjnym – z tego samego powodu, dla którego nie pomieszczano w kolejnych wydaniach żadnej relacji Mackiewicza (poza pierwszym wydaniem), a także Goetla. Określone czynniki byłego rządu londyńskiego bały się może także osądzeń o udział byłych „kolaborantów” w pracy nad katyńską „księgą”. Poszło to tak daleko, że z relacji Iwana Kriwoziercewa, koronnego świadka katyńskiego, relacji spisanej przez Ferdynanda Goetla, wykreślono informację, że był on w Gniezdowie członkiem niemieckiej *Ordnungsdienst* i że jego ojca rozstrzelało NKWD.

Jako autor *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów* zaczął występować Zdzisław Stahl, były zleceniodawca Mackiewicza w Biurze Studiów, który po „odebraniu” księgi Mackiewiczowi dokonał w niej jeszcze prac redakcyjnych i uzupełnił ją o nowo znalezione materiały. Próbowano odkupić książkę od Mackiewicza, za zrzeczenie się autorstwa, na co autor się nie zgodził, potem Mackiewicz myślał nawet o wytoczeniu procesu gen. Andersowi, pod którego nazwiskiem książka ukazała się we Francji. W końcu pisarz zrezygnował ze wszystkiego, dla dobra sprawy polskiej. Do końca życia jednak podtrzymywał wersję o swoim autorstwie, nigdy i nigdzie nie zdementowaną przez Stahla i wydawców.

O tym autorstwie świadczy mocno inna książka: *Mordercy z lasu katyńskiego*, podpisana nazwiskiem Mackiewicza, która ukazała się w przekładzie na osiem języków, począwszy od roku 1949 (wydanie po niemiecku: *Katyn ungesühntes Verbrechen*). Książka ta ukazuje swoim układem, rodzajem zebranego materiału, że jest inną wersją *Zbrodni katyńskiej*. Wersją, jak to sam Mackiewicz określił, bardziej potoczną, przystępną, bardziej dziennikarskoeseistyczną. Konkurencja jednak *Zbrodni katyńskiej* sprawiła, że

wersja polska książki Mackiewicza nie ukazała się nigdy za życia autora.

Na szczęście zachował się publikowany w obecnym zbiorze maszynopis polskiego tekstu książki, z odręcznymi poprawkami autora. Ta właśnie książka stanowi pierwszą część obecnego woluminu. Tak już jest w Polsce, że dzieła największych czekają na druk w atmosferze obojętności całe dziesięciolecia. Lub w atmosferze wrogości, jak w wypadku Mackiewicza.

Chociaż Józef Mackiewicz powracał do sprawy katyńskiej przez całe swoje życie, a ostatnim bodaj tekstem na ten temat jest posłowie umieszczone w niemieckim wydaniu książki o Katyniu (Possev – 1983, przedruk po rosyjsku w Kanadzie w r. 1988), nie danym mu było doczekać pierwszego po latach finału sprawy Katynia. Fakty i archiwa zaczęły się odsłaniać – można powiedzieć błyskawicznie – w kilka lat po śmierci pisarza. Pojawiały się nowe dokumenty, tym razem już sowiecko-rosyjskie i autentyczne, odkrywano nowych świadków i fakty, objawiły swą ponurą zawartość dwa nowe miejsca zbrodni. Na niczym może nie zależało mu tak w życiu, jak na doczekaniu tej chwili.

Jednak podstawowa masa ocen ogólnych i szczegółowych, wniknięcie w tzw. fakty klasyczne zbrodni, następnie w historię międzynarodowej recepcji sprawy Katynia, w tajniki propagandy sowieckiej, czynią z tekstów Mackiewicza źródła klasyczne, których waga nigdy nie ulegnie pomniejszeniu i które pozostaną odniesieniem dla historyków. Tyczy to także faktu, że był Mackiewicz jednym z najbardziej przejmujących wyrazieli reakcji opinii polskiej, polskiej świadomości i sumienia wobec takiej narodowej klęski. Są zresztą sprawy, związane a Katyniem, którymi zajmował się tylko Mackiewicz. Tyczy to także czulego rejestrowania w swych esejach rozwoju wiedzy o zbrodni katyńskiej, demaskowania kłamstw i rozsiewanych dezorientacji propagandy sowieckiej. W tym sensie książka obecna jest także „kroniką” czterdziestu lat sprawy Katynia, od 1943 roku aż prawie po śmierć autora.

To, co napisał Mackiewicz o Katyniu, czyli obecna książka, dystansuje wszystko inne, co o Katyniu napisano. To on właśnie na przestrzeni lat czterdziestu opisywał wiernie świadomość historyczną, rozpiętą między prawdą a mitem Katynia. Popelniał omyłki (ustosunkowuję się do nich w uwagach redakcyjnych), ale popelniał ich mniej, niż niektóre książki, uchodzące za wzorowe i wyprzedzające Mackiewicza w kontakcie z czytelnikiem w Polsce (prócz jego *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów*). Te książki zresztą pisało czerpiąc z niego.

Ale dziś, ze względu na dostępność niektórych nowych dokumentów, które pewne domysły i dedukcje, co do szczegółowych

faktów, zamieniły w ściśle konkretne pewniki, będziemy w tej książce szukać także, a czasem przede wszystkim Mackiewicza pisarza, którym był przecież nie tylko w swoich powieściach, ale także w esejach, artykułach i rozprawach historycznych.

Pisząc o Katyniu, Mackiewicz staje w szeregu bardzo wybitnych pisarzy historycznych, których teksty historyczne odległe od nudnej i pedantycznej naukowości czyta się z zapartym tchem, jak kawałek życia, tak jak czytano w XIX wieku Karola Szajnochę czy Ludwika Kubalę, przedstawicieli gatunku „opowiadanie historyczne”, czy „szkoly opowiadającej”, lub w czasie ostatniej wojny i po niej na przykład Melchiora Wańkowicza. To właśnie przez ten typ pisarstwa, który przecież nigdy nie odejdzie bezpowrotnie, czytelnik dowiadyuje się, że historia jest materią życia, a nie tylko jego – jak uczyli starożytni: nauczycielką (*magistra vitae*).

Nie suche fakty interesują więc Mackiewicza, ale ich pojawienie się z ludzką otoczką i ich znaczenie zawsze ludzkie, bez którego nie byłyby one dla pisarza interesujące. Tak jest w opisach ekshumacji katyńskich z 1943 roku, gdzie ważne jest wszystko: pejzaż, szczegół, sposób docierania wydarzeń do świadomości, wielowarstwowość historycznego znaczenia, ale i przeraźliwa bezpośredniość faktów i relacji świadków. Tak, powie ktoś, ale Mackiewicz był naocznym świadkiem tych wydarzeń. Znamy jednak wiele innych opisów pozostawionych przez świadków z katyńskiego lasu, żaden z nich nie pozostaje w pamięci, prócz krótkiego niestety opisu Ferdynanda Goetla. Bez opisów Mackiewicza dotyczących Katyniu musielibyśmy dziś mówić: pisarza przy tym nie było.

Ale był. Chodzi o to, że był nawet tam, gdzie cieleśnie go nie było. Przeżywamy wymowę realistycznych opisów takich szkiców, jak *Widziałem na własne oczy*, czy *Dymy nad Katyniem*, ale podobna, czasem wręcz powieściowa obrazowość towarzyszy szkicowi Mackiewicza o ludobójstwie sowieckim w Winnicy, gdzie pisarz wyszedł li tylko od niemieckiego raportu *Amtliches Material zum Massenmord von Winniza*. Jeśli przeczytać stroniczki o Winnicy innego, wybitnego przecież pisarza, jakim jest Sołżenicyn, widać jak jego opis ustępuje Mackiewiczowi. A przecież Mackiewicz w zasadzie nie wymyśla fikcji, czasem tylko dynamizuje statyczny obraz przekazu, za pomocą kilku zaledwie kresek. Oto, jak uruchamia Mackiewicz dwa–trzy zdania relacji:

Kowal, zamieszkały przy ul. Podlinnej 10, był pierwszy, który w marcu 1938 zapytał, ma się rozumieć tak niby, od niechcienia.

- A co za tym płotem będzie?
- Park Kultury i Otdycha.
- Aha, no cóż, może i dobra rzecz...

Ale w nocy wlaź na drzewo, żeby zajrzeć do środka. Zobaczył wykopanych sześć dołów i zlaź z drzewa. Tymczasem co noc zajeżdżały tam samochody ciężarowe, pokryte brezentem, i wyrzucały jakiś ładunek. Skrepka był naprawdę dziwnym człowiekiem, bo po upływie roku jeszcze raz wlaź na to samo drzewo: widzi że za szeregiem zasypanych już dołów powstał ich nowy długi rząd...

Jeszcze jeden, o nazwisku Hulewicz, ze stacji hydrobiologicznej, raz się zatrzymał, spojrzal.

– Ty! – krzyknął strażnik pod płotem – czego stanął! Proliwaj swoją drogą!

Wróćmy do właściwego tematu katyńskiego. W preambule niejako swojej książki Mackiewicz opisuje niedotrzymanie układu kapitulacyjnego zawartego między obrońcą Lwowa gen. Langnerem i jego garnizonem, a sowieckim generałem Timoszenką, w wyniku czego oficerowie, którym obiecano swobodne odejście, zostali wywiezieni do Starobielska, a następnie zamordowani w Charkowie. Poglądowa scena realizmu i ironii historycznej pisana jest z perspektywy „lotu ptaka”, gdy gen. Langner powraca samolotem ze swym adiutantem z Moskwy po nieudanym proteście.

I tutaj znajdujemy ten tok, charakterystyczny raczej dla opisów powieściowych Mackiewicza. Jednocześnie właściwie brak tak zwanej fikcji. Nasuwa się wniosek, że szkice katyńskie Mackiewicza mogą być analizowane nie tylko jako „opowiadania historyczne”, gdy je porównać z Szajnochą, Kubalą, czy Wańkowiczem. Stanowią także znakomity materiał do analizy prozy powieściowej pisarza. Okazuje się, że są to rzeczy strukturalnie podobne, jeśli nie jednorodne. U podstaw jednego i drugiego opisu leży owo zdanie, wypowiedziane przez pisarza przy okazji sporu z Włodzimierzem Odojewskim: „Tylko prawda jest ciekawa”.

Porównajmy, jak zestawienie porządku natury i porządku ludzkiego, który zadaje gwałt naturze podobne jest w reportażu historycznym Mackiewicza i w jego prozie artystycznej. Oto opis katyńskiego lasu, z maja 1943 roku:

Raptowne zahamowanie przed bramą i druty kolczaste przecinają pasmo wyobraźni. Wszystko naraz staje się realne. Zandarm, z blachą na piersi. Deszczyk, który wciąż kropi. Ptaszek, który słusznie o tej porze domaga się wiosny: „tiń–tiń–tiń!” A ponad tym wszystkim straszliwy, dławiący odór trupi. [...] Kwiat inteligencji, rycerstwo Narodu! Tworzą warstwy w głąb [...] Ułożone są jak sardynki, przekładane nawzajem to nogami to głową, sprasowane w trupim soku [...] martwej cieczy, nie odbijającej ani wierzchołków drzew, ani obłoków na niebie. Obnażyliśmy głowy i stali nieruchomo, jakies ptaszki ćwierkały na sośnie. Deszcz akurat przestał padać, błogosławiony wiatr odegnał na przeciwną stronę grobu odurzający śwąd. [...] I nawet na chwilę wyjrzało słońce. [...] promienie tego słońca padły i zabłysły nagle na złotym zębie czyichś

tam, w głębi na wół otwartych ust.[...] W takich chwilach samo życie wydaje się cynizmem.

W prozie artystycznej Mackiewicza środki takie zostaną rozbudowane, ale są podobne. Tak wygląda początek pierwszej wojny światowej w *Sprawie pułkownika Miasojedowa*:

Na brzoźkach zaczęły już zółknąć listeczki, dalej słał się dywan wrzosu. Przed oczami migotał, unosił się, to opadał rój komarów. [...] Lomot! Pocisk runął w to właśnie miejsce [...] Zabił trzysta komarów, dwie myszy polne, dwie glisty, tuzin czarnych żuczków, Michała Łukaszewicza, szeregowca...

Substancja reportażu nie jest dla Mackiewicza substancją anty-powieściową. Napisze przecież w przedmowie do powieści *Nie trzeba głośno mówić*:

Zastosowałem metodę wprowadzania postaci powieściowych w bezpośrednie zetknięcie nie tylko z autentycznymi wypadkami, ale też z autentycznymi ludźmi [...] surowe przestrzeganie podziału na „fiction” i „non-fiction” wydaje mi się anachronizmem.

To oczywiście w odniesieniu do formy powieści. Mackiewicz napisze zresztą w przedmowie do *Sprawy pułkownika Miasojedowa*, że: „nie jest studium historycznym, jest powieścią o tym, co było”. Tak więc prozie artystycznej przyznaje się tu nawet jakby większą bliskość życia. Choć nie ma zapewne dla Mackiewicza innej różnicy między dwoma tymi gatunkami, prócz tego, że studium historyczne powinno być bardziej kompletne w rejestracji faktów. Ale faktów nikomu nie wolno zmieniać. Tutaj warto przypomnieć polemikę Mackiewicza z Włodzimierzem Odojewskim.

Mackiewicz wytknął autorowi powieści *Zasypie wszystko*, zawieje nieścisłość pewnych realiów odnoszących się do Katynia (w pierwodruku tekstu). Jak wiadomo, bohater powieści Paweł, udaje się do Katynia, by szukać tam szczątków zamordowanego krewnego. Mackiewicz zwrócił uwagę, że inaczej niż u Odojewskiego ekshumacje nie odbywały się „w środku lata” (zakończono je w pierwszych dniach czerwca), las katyński odległy jest o 4 kilometry, nie zaś kilometr od Gniezdowa. Wydobyte zwłoki chowano w kilku nowych grobach masowych (Odojewski pisze o wielkiej ilości pojedynczych mogił), na grobach masowych postawiono krzyże po zakończeniu ekshumacji (Odojewski wspomina o krzyżu na każdej pojedynczej mogile). Inne szczegóły, na które zwrócił uwagę Mackiewicz są tego samego charakteru.⁷⁷

Choć dla całej powieści Odojewskiego szczegóły te nie miały większego znaczenia (część realiów została później zmieniona), go-

⁷⁷ Na ten sam temat polemizowałem z Włodzimierzem Odojewskim w esej: J. Trznadel: *Jedynie prawda jest ciekawa*. „Gazeta Polska” 1995, nr 8.

dzę się tutaj z argumentacją Mackiewicza. Tam, gdzie chodzi o mityczne, a jednocześnie szczegółowo znane i opisane, fotograficznie niemal, realia i wydarzenia historyczne, literatura powinna je relacjonować wiernie, a dla innych swych celów wciskać się w luki, zostawiające dosyć miejsca na mit, apokryf nawet. Mackiewicz:

Zupełnie nie widzę powodu odbiegania w twórczości literackiej od prawdy historycznej, żeby wywołać zamierzony efekt „prawdy artystycznej”.

Ale Mackiewicz wie zarazem, że nie może być mowy o sprowadzeniu literatury do reportażu. Prawda czysto artystyczna, powieściowa jest niezbędna:

aby oddać tej prawdzie całość. Bo jakże w innej formie przedstawić nie tylko rzeczy, ale wyrazić stronę duchową (*Geist*), emocjonalną minionych zdarzeń? która bywa nie tylko drugą połową prawdy dokumentarnej, ale czasem nawet ważniejszą. Tego nie zastąpi najbardziej nawet precyzyjny, ale suchy zestaw faktów.

Więc znów jakby pobrzmiwa nuta o wyższości literatury. Brzmi to zresztą jak autokomentarz do własnych publikacji o Katyniu. A może i żal, że w tym, co on sam napisał na ten temat przez całe życie, nie doszedł jednak do tej syntezy duchowego wrażenia, do której zdolna jest tylko literatura. Nie wiem, czy Mackiewiczowi marzyła się książka artystyczna o Katyniu (fragmenty jej na pewno zostały utrwalone w tej materii reportażowej). Sądzić należy, że nie powstały jednak warunki do napisania takiej prozy, Katyni nie stał się bowiem za życia pisarza całością niejako zamkniętą i wyjaśnioną. Był wciąż faktem politycznym, uosabiając jedną z największych zbrodni wieku i międzynarodowe fałszerstwo. Wiedział Józef Mackiewicz jako autor *Sprawy pułkownika Miasojedowa*, że prawda nie od razu zwycięża, że racja stanu wystarcza do popełnienia zbrodni i zatuszowania prawdy.

Dlaczego więc uważając prozę artystyczną za gatunek wyższy, nie pokusił się Mackiewicz o wyrażenie Katynia przez konstrukcję artystyczną, zawierającą owo „geistliches”? Czy nie dlatego także, bo wciąż musiał publicystycznie walczyć przeciw fałszowi, popełnianemu w imię cynicznej racji stanu?

I jeszcze jedno: każdy pisarz zbiera materiały do powieści realistycznej, niezależnie od sposobu, w jaki to czyni: w postaci wyciągów historycznych, lektur, czy wewnętrznej tylko rejestracji faktów i przemyśleń. Każdy pisarz wie także, jak niebezpieczne jest dla przyszłego dzieła ujawnianie tych studiów, w formie poprzedzających właściwe dzieło publikacji cząstkowych. Wie, jak można nie napisawszy nic jeszcze – już się wypisać. Mackiewicz rozumiał, że bezpośrednio świadectwo o Katyniu jest na razie dla Polski zbyt

ważne, aby łączyć je z fikcją. Zgodnie zresztą z analizowanym tu artystycznym credo pisarza Mackiewicz musiałyby przenieść akcję swej – powiedzmy – powieści w rejony geograficzne czy socjologiczne mniej sobie znane. A tego unikał. Zawsze zresztą swoją drogę pisarską znaczył podwójnym temperamentem: dziennikarza-publicyisty i twórcy form artystycznych. Stąd dwie linie jego twórczości.

Pierwsza linia to pozycje takie jak: *Bunt Rojstów*, *Kontra*, reportaże katyńskie rozpoczęte wywiadem: *Widziałem na własne oczy* i książką *Katyń – zbrodnia nie ukarana*, oraz publicystyka w ścisłym tego słowa znaczeniu, jak książki o Watykanie i *Zwycięstwo prowokacji*. Linia druga to przede wszystkim: dylogia wojenna *Droga donikąd*, *Nie trzeba głośno mówić*, wreszcie *Sprawa pułkownika Miasojedowa* i *Lewa wolna*. Są to dwie różne linie, a przecież wiemy, ile te formy łączy, nie tylko to samo pióro. Łączy je niewątpliwie Mackiewicz realistyczna wierność faktom i nieraz – także w prozie – dyskurs publicystyczny, gdyż prozę artystyczną miał Mackiewicz za formę synkretyczną.

Ale nie czujemy żalu z powodu nie napisanej przez Mackiewicza powieści o Katyniu. Gdyż powiew owego „*geistliches*” wkracza w reportaż publicystyczny, a zwłaszcza czujemy ten powiew w opisie tragedii elit polskich, wojskowych i umysłowych, których kres znaczyły doły Katynia i nieznane jeszcze Mackiewiczowi doły Charkowa i Miednoje.

Warto tu zauważyć, że wszystkie prawie książki Mackiewicza ukazują duch wojen i przemocy, w jego prozie dominują militaria związane z historią. Jednocześnie terenem ich dziania się – jak sygnalizowałem – jest obszar kresów polskich, a by rzecz ściślej: ta trwająca mimo podziałów, rozbiorów, zmiany epok i systemów trwałość pewnych cech na terytorium polskiej kresowej Rzeczypospolitej, tej niezmiernej połaci cywilizacyjnej Ziemi zabranych i kresów polskich, nie naruszonych w pewnych cechach przez stulecia, i zniszczonych dopiero przez komunizm. Mackiewicz wołał nazywać ten obszar Wielkim Księstwem Litewskim.

Jawi się w obserwacji spraw tego terenu Mackiewicz nie jako polski szlachcic czy polski nacjonalista lub odwrotnie, ludowiec czy broń Boże rewolucjonista, lecz tylko jako „człowiek stamtąd”, reprezentant wspólnoty, niejednorodnej, oczywiście, naznaczonej jednak przede wszystkim przez czynnik polski. Ten czynnik Mackiewicz czuje i rozumie najsilniej, w jego także interferencji z innymi etnicznymi społecznościami, tam że sobą współzyczącymi. I przeżywa Mackiewicz ich katastrofę, załamanie się. Nie czuł tego załamania się rozważając metody caratu (przesadna wyrozumiałość wobec dawnej Rosji zbliża tu jakby Mackiewicza do Sołżenicyna).

Bowiem apogeum nieludzkości nastąpiło po powstaniu czerwonego totalitaryzmu.

A jeszcze trzeba powiedzieć, że wszystkie gatunki pisarstwa Mackiewicza jednoczy i zespala jakby ten „uchwyt jednolitości” jakim jest polszczyzna Mackiewicza, z nalotem prowincjonalnym i kresowym. Ten prowincjonalizm kresowy, jak wiemy, wielkie obejmuje nazwiska. Wszystko to razem każe również pamiętać, że ten, który mówi, nie tylko opowiada o ludziach „tutejszych”, ale sam tym człowiekiem „tutejszym” jest. Widać to wszystko choćby w reportażu *Dymy nad Katyniem*, gdy Mackiewicz opisuje swoją rozmowę z chłopami pracującymi przy ekshumacji:

Twarze ich ożywiają się znacznie, gdy bez tłumacza zwracam się do nich płynną ruszczyzną.

– Wy co, będziecie Rosjanin?

– Nie, Polak.

– Aaaa...

– To lepiej czy gorzej?

Uśmiechają się.

Jeden zaczyna opowiadać. Rzeczy znane. Nagle spór wynika, gdy chodzi o liczbę aut, które transportowały jeńców z Gniezdowa do Katynia. „Cztery” mówi opowiadający.

– Nie briesz! – zaprzecza grzebiący patykiem w ogniu. – Cztery „czernyje worony” (czarne kruki) były wszystkiego w smoleńskim NKWD. A jeździły tylko trzy. Czwarty zostawał w mieście. Przodem auto osobowe z enkawudzistami. A na samym końcu ciężarówka pod rzeczy. Tak było.

– Ty może widziałeś trzy, a ja widziałem cztery.

– Ze strachu pewnie, żeby i ciebie na Kosogory nie zawieźli.

Spór wydaje się nieistotny.

– A to dawno tu już było miejsce kaźni, w Kosogorach, w Katyniu?

– Ooo-ho-ho-ho!! – odpowiadają prawie chórem i milkną.

– Ale nie zawsze – dorzucił któryś po chwili.

Jest to ten typ dialogu między ludźmi, który istnieje, jeśli istnieje to, co nazywa się wspólnym odczuwaniem. Dlatego pisarz polski dogaduje się przy ognisku w lesie katyńskim z rosyjskimi chłopami. Reprezentują tę samą starą kulturę kresową, w strefie polskich wpływów, choć języki mają inne.

Oczywiście obozy jenieckie dla oficerów polskich nie dotyczyły „ludzi stąd”, ale zbrodnia była kresowa. Jej akt ostatni doko-

nał się w lesie Koźlińskich, na tamtejszym, jak zauważył Mackiewicz, „uroczysku”, w okolicy posiadłości tychże Koźlińskich i Lednickich, w lesie podwójnej nazwy, Kose Góry lub Kozie Góry, tak charakterystycznej dla nazw „na terenie Wielkiego Księstwa Litewskiego”. A mord na oficerach polskich ukazuje Mackiewicz równoległe z ukazaniem szerzej komunistycznej zbrodni, niszczącej duchową niezawisłość tych kresów, obyczaj lokalny, aż po fizyczne unicestwienie milionów ludzi. Ukazując zbrodnie w Prowieniszkach i Berezeczu, w Ihumenu i Lwowie, w Winnicy jako tę samą zbrodnię, rozszerza Mackiewicz obraz zbrodni katyńskiej poza fakt i miejsce historycznie izolowane. Dziś moglibyśmy dorzucić tu Kuropaty i inne miejscowości tych kresów (wiemy, już z grubsza, jak ogromna była część wymordowanej tam ludności polskiej). W ten sposób mord katyński jawi się na tle szerszym, „jądro ciemności” rozlewa się na całe obszary, niszcząc bezpowrotnie kulturę stuleci, nie należącą ani tylko do Polaków, ani tylko do Rosjan, ani Ukraińców czy Białorusinów, Litwinów wreszcie, ale do ludzi całej formacji historycznej.

Bowiem komunistyczne jądro ciemności nie jest dla Mackiewicza wielkoruskie, choć naznaczy Rosjan na wiele pokoleń, jak hitlerizm Niemców – jest po prostu nieludzkie. Jest rakiem ludzkości. Zło, niestety, może być łatwe dla człowieka. Łatwe dla człowieka wykształconego, jakim był tak często Nazi, czy Komisarz i ideolog komunistyczny – dlatego że przeżarty ideologią. I zło bliższe prymitywnemu człowiekowi na Zachodzie i Wschodzie – dlatego że prymitywny moralnie, ciemny i niewykształcony.

Nie kontynuuje natomiast Mackiewicz tej naszej puścizny w literaturze o historii kresowej, która ukazywała tak często właśnie etniczne, jak we wspomnianych tu szkicach Kubali czy Szajnochy, jak w dramatach ukraińskich Słowackiego czy powieściach Sienkiewicza gdzie zło miało charakter zatargów etnicznych. To nie były zresztą czynniki nieistniejące w wieku dwudziestym i w czas drugiej wojny (te elementy są na przykład obecne w cytowanej powieści Odojewskiego). Jednak wobec komunizmu, te wszystkie sprawy przesuwały się dla Mackiewicza na plan dalszy. Komunizm jest czym innym. Jest on dla Mackiewicza taki straszny, bo niszczy nie tylko poszczególnych ludzi i społeczności, niszczy bezpowrotnie całą kulturę. Razem z polskością, najbliższą sercu Mackiewicza. W „jądrze ciemności” nie działają tu pojedynczy ludzie, jak u Conrada, jest to cała antyludzka formacja i ideologia.

A kiedy mówię o zniszczeniu pewnej kresowej kultury, która składała się z wielu elementów narodowościowych, ale tworzyła też pewną, przenikającą wszystkich własną jedność, jakby normę, trzymam może w rękę klucz do tego składnika powieści Mackiewicza, którym jest tworzenie bohaterów prostych i niewyrafinowanych. Bo

też Mackiewiczowi nie chodzi o starcie się z historią jednostki symbolicznej i wybitnej. Żadna z jego powieści nie dostarcza nam nowego Kmicica czy Wołodyjowskiego. Ani duchowych mocarzy, jak w kresowej prozie Tadeusza Micińskiego. Bohaterem jest tu pewna zbiorowość, niby przeciętna, w której jednak każda jednostka może pełnić rolę w powieści.

Zaś Katyń był dla Mackiewicza i konkretem, i symbolem zagłady zbiorowości. Dotyczył indywidualów, z których każdy został osądzony indywidualnie i zginął dlatego – jak dziś dobrze wiemy – że był tym, kim był, i należał do takiej, a nie innej zbiorowości. Zgadza się to z definicją ludobójstwa. Ale objęcie indywidualnymi wyrokami tak wielkich zbiorowości odróżniało komunistów od Nazi. Ludobójstwo sowieckie jest bardziej biurokratyczne. To połączenie pierwszy zauważył Mackiewicz:

Nie są to trupy anonimowe. Tu leży armia. Można by zaryzykować określenie – kwiat armii, oficerowie bojowi, niektórzy z trzech uprzednio przewalczonych wojen. To jednak, co najbardziej nęka wyobraźnię, to indywidualność morderstwa, zwielokrotniona w tej potwornej masie. Bo to nie jest masowe zagazowanie, ani ścięcie seriami karabinów maszynowych, gdzie w ciągu minuty czy sekundy przestają żyć setki. Tu przeciwnie, każdy umierał długie minuty, każdy zastrzelony był indywidualnie, każdy czekał swojej kolejki, każdy wleczony był nad brzeg grobu; tysiąc za tysiącem.

Ta długa historia Katynia, obserwowana i komentowana przez Mackiewicza jest fascynująca, gdyż odnosi się do jednego z najważniejszych faktów historii Polski. Ta książka jest źródłem historycznym, ale i częścią polskiej prozy, fragmentem nie napisanej powieści o Katyniu. I pomyśleć: nikt dotąd nie zebrał tego w całość, a polski tekst osobnej jego książki leżał nie wydany przeszło czterdzieści lat. Ale u nas wyżej się ceni abstrakcje czy przeciętność. Za sto lat, gdy nas już nie będzie, trafią także fragmenty Mackiewicza o Katyniu do antologii prozy polskiej. Wcześniej nie. Obym się mylił.

UWAGI EDYTORSKIE

Pomysł obecnej książki zrodził się około pięciu lat temu. Początkowo zwróciłem się z propozycją wydania takiej książki Józefa Mackiewicza do wydawnictwa Kontra i Niny Karsow. Odo-wiedź jej, przesłana na moje ręce na wiosnę 1992 roku była wymija-jąca, z biegiem lat okazała się, że była to odmowa. Zgadza się to z dziwną deklaracją Niny Karsow, że wydawanie książek Józefa Mackiewicza w Polsce jest jakoby sprzeczne z wolą pisarza.

Inicjatywę wzięła w swoje ręce Polska Fundacja Katyńska, uzyskując zgodę, córki pisarza, pani Haliny Mackiewicz.

Ponieważ obecna książka nie została zamyślona przez auto-ra, zatytułowanie jej przypadło wydawcy. Tytuł autorskiej książki o Katyniu jest tłumaczeniem tytułu wydania angielskiego – *The Katyn Wood Murders*, zaś tytuł części zbierającej szkice rozproszone – powtarza tytuł jego znamienego, i najgłębszego w roku 1943, „reportażu-wywiadu” o Katyniu. Tytuł całej książki, wzięłem z pierwszej książki Mackiewicza o Katyniu, mianowicie pierwszego wydania niemieckiego w Szwajcarii: *Katyn – ungesühntes Verbrechen*, wybierając pewien odcień znaczeniowy tego tytułu.

Niektóre fragmenty książki *Mordercy z lasu katyńskiego* były ogłaszane przez Józefa Mackiewicza w Londynie w czasopiśmie redagowanym przez jego brata, Stanisława Cat-Mackiewicza – „Lwów i Wilno”. Maszynopis znajdujący się w Nowym Jorku nie jest jednak „składanką” różnych artykułów, lecz zwartą, jednolicie już odredagowaną, ponumerowaną i przepisaną całością.

Fragmentów, ogłoszonych przez Mackiewicza osobno, a prawie identycznych z tekstem *Morderców z lasu katyńskiego*, nie przedrukowuję w tomie II tej książki. Opuszczam także z autorskiej książki Mackiewicza niektóre znane szeroko, duże teksty źródłowe, z części głównej i aneksu. Dotyczy to na przykład komunikatów ekspertów niemieckich czy komunikatu komisji Burdenki. Nie przedrukowano ich także w nowym wydaniu niemieckim książki Mackiewicza *Katyn – ungesühntes Verbrechen* (1983). Tutaj interesuje nas przede wszystkim słowo Mackiewicza.

Porównanie tekstu autorskiego książki Józefa Mackiewicza o Katyniu z tekstem *Zbrodni katyńskiej w świetle dokumentów* poświadcza atrybucję autorstwa Józefa Mackiewicza dla tej książki. Spod obróbki redakcyjnej przeziiera tekst pierwotny. Późniejszy redaktor, zapewne Zdzisław Stahl, dopisał pewne rzeczy lub dokonał zmian redakcyjnych. Jak wiemy, Mackiewicz nie redagował też materiałów, które napłynęły w końcowej fazie opracowania (np. re-

lacja dr Wodzińskiego). Fakt, że Stahl pobierał honoraria za kolej-ne wydania książki, nie jest dowodem jego autorstwa (jak przeko-nywał mnie w swoim czasie pewien publicysta).

Ponieważ Mackiewicz już wcześniej usystematyzował swoją – wtedy dostępną – wiedzę na temat Katynia w dwu książkach – nie wydało się celowe, aby układ drugiej części obecnego zbioru oprzeć na rekonstrukcji tematów. Dlatego szkice i artykuły Mackiewicza przedrukowuję w ścisłym układzie chronologicznym, według dat pierwodruków w czasopismach.

W niektórych przypadkach odmiennosc faktów czy interpre-tacji od stanu wiedzy aktualnej – sygnalizuję w przypisie wydawcy, jednak tylko tam, gdzie różnice szczegółów wiedzy dzisiejszej i wiedzy Mackiewicza są znaczące. Sprawdziłem też – na ile to było możliwe – i poprawiłem brzmienie nazwisk.

Prócz drobnych korektur ujednolicających interpunkcję i u-współcześniających pisownię, istotne poprawki redakcyjne sygnali-zuję w przypisach. Zachowano osobliwości językowe autora i jego fonetykę, poza oczywistymi potknięciami, być może maszynopisu czy pierwodruków. W wypadku osobliwości i odmiennosci języko-wych nigdy za mało podkreślenia, że – nie ma jednego polskiego języka. Świadczy o tym polszczyzna Mackiewicza z akcentami kre-sów północno-wschodnich. Sięgałem do pierwodruków, a nie rękopi-sów, gdyż archiwa Mackiewicza – i te ewentualnie znajdujące się w posiadaniu Niny Karsow, i te znajdujące się w Rapperswilu – po-zostały niedostępne dla wydawcy. Dlatego – w braku polskich ory-ginałów – niektóre niewielkie teksty trzeba było przetłumaczyć z pierwodruków obcojęzycznych.

Poprawiono w części pierwszej „maszynopisu nowojorskie-go” brzmienie „radzieckie” na „sowieckie” i odpowiednio „Związek Radziecki” na „Sowiecki”. Maszynopis przynosi tu niekonsekwent-ne odmiany, o których nie wiadomo, czy pochodzą od autora. W za-sadzie Mackiewicz używał brzmienia, przyjętego na emigracji: „sowiecki”. Zachowano natomiast brzmienie „radziecki” w cyta-tach oryginalnych dokumentów.

Nawiasy graniaste [] oznaczają zawsze ingerencję i tekst wydawcy. Dotyczy to także tytułów kilku szkiców, nie zatytułowa-nych przez autora.

Z materiału zdjęciowego *Morderców z lasu katyńskiego* po-zostawiono w samym tekście książki autorskie opisy zdjęć. W wyod-rębnionym w obecnej książce osobnym bloku zdjęć zamieszczono wiele ze zdjęć opisanych przez Mackiewicza (czytelnik łatwo je od-najdzie), starano się jednak o dorzucenie zdjęć mniej znanych i ta-kich, których autor nie mógł uwzględnić. Las Katyński z roku 1943 posiada dosyć bogatą dokumentację fotograficzną (jeśli doliczyć

także możliwe stop-klatki z filmów), część tych zdjęć znamy jednak jedynie z książek (*Amtliches Material...*, *Hearings...*) lub nawet tylko z dokonywanych z nich kserokopii. Prócz zdjęcia autora z lasu katyńskiego z roku 1943, zamieszczonego na okładce, istnieje ich jeszcze kilka w „Gońcu Codziennym” z r. 1943, jako ilustracja wywiadu Mackiewicza, nie nadają się jednak do reprodukcji.

Jest możliwe, że obecna bibliografia tekstów Józefa Mackiewicza o Katyniu nie jest pełna (chodzi o drobne publikacje, zwłaszcza w czasopismach obcojęzycznych, z którymi autor współpracował). Wykonane dotąd próby bibliograficzne twórczości Mackiewicza to tylko rekonesanse. Ale nie wydaje się, aby w sprawie katyńskiej, gdzie autor dokonuje wielu powtórzeń, umknęło coś bardzo istotnego.

Za udostępnienie kserokopii książki autorskiej Mackiewicza składam najserdeczniejsze podziękowanie Instytutowi Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku. Za pomoc w dotarciu do kilku drobnych tekstów dziękuję pani Ninie Kozłowskiej, panu Tomaszowi Mianowiczowi i panu Kazimierzowi Zamorskiemu – z Monachium. Panu Jerzemu Giedroycowi dziękuję za ofiarowanie całości akt Komisji Amerykańskiego Kongresu, ze znajdującym się tam zeznaniem Mackiewicza.

Jacek Trznadel

PUBLIKACJE JÓZEFA MACKIEWICZA O KATYNIU. ŹRÓDŁA TEKSTÓW

KSIAŻKI:

Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów. Londyn 1948 (i wydania późniejsze). [W podstawowym zrzębie książkę tę napisał i opracował Józef Mackiewicz w roku 1945. Po odebraniu książki Mackiewiczowi redakcji jej dokonywał jeszcze Zdzisław Stahl, dodano pewne materiały.]

[*Mordercy z Lasu Katyńskiego*] Maszynopis formatu A4, w posiadaniu Inst. J. Piłsudskiego w Nowym Jorku, Sygn. A 357 RB. Maszynopis nie posiada tytułu, obecny tytuł książki pochodzi od wydawcy, jest tytułem pierwszego wydania angielskiego. Dysponowałem jedynie kserokopią maszynopisu. Tekst maszynopisu jest jednolity, numeracja ciągła. Na tekście odręczne poprawki autora, atramentem. Zdjęcia, w tekście, mocowane mechaniczną zszywką. Objętość: 270 stron, jednak występują strony dublowane.

Przekłady i publikacje tej książki w językach obcych:

Katyn - ungesühntes Verbrechen. [niem.] Thomas Verlag, Zürich 1949.

wznów.: Bergstadt-Verlag, München 1958

wznów.: Possev-Verlag, Frankfurt/Main, 1983. [według wydania z 1949 r.] [Z posłowiem J. Mackiewicza:] *Nachwort von Josef Mackiewicz, Januar 1983*. Übersetzt aus dem Polnischen [dotyczy posłowia] von Prof. Dr Gotthold Rhode (Universität Mainz). Tekst posłowia obszerniejszy od tekstu z wyd. rosyjskiego 1988.]

The Katyn Wood Murders. [tłum. na angielski Lew Sapieha] Hollis and Carter. London 1951.

wznów.: The World Affairs Book Club, London 1951. [przedmowa: Arthur Bliss Lane]

wznów.: British Book Centre, New York, 1952.

Le massacre de la forêt de Katyn. [franc.] Libre Belgique, Brussels 1952.

Il massacro della foresta. [włoskie] Edizioni Paoline, Roma 1954.

Las fosas de Katyn. [hiszp.] Ediciones Paulinas, Madrid 1957.

O massacre da foresta de Katyn. [portug.] Curitiba 1976.

Катынь. [rosyjskie] [Z posłowiem J. Mackiewicza, 1983].
Послесловие 1983. Перевод з польского Сергея Крыжицкого. London – Kanada 1988. Wyd. „Заря”.

[W tekście przekładu posłowania opuszczenia wobec przekładu niemieckiego, dokonanego z polskiego. Inna wersja tekstu, czy wynik ocenzurowania – przez kogo?]

ROZPROSZONE TEKSTY O KATYNIU

[Tytuły w nawiasie graniastym pochodzą od wydawcy.]

Widziałem na własne oczy. Józef Mackiewicz o swoim pobycie w Katyniu. [wywiad red. Lubczyńskiego z J. Mackiewiczem] „Goniec Codzienny”, Wilno 1943, nr 577 (3 czerwca). [W reportażu zamieszczono kilka zdjęć Mackiewicza z Katynia.]

Dymy nad Katyniem. „Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 10 (19 stycznia); nr 11 (26 stycznia).

Ostrożnie z wiadomościami o Katyniu. „Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 23 (11 maja).

Tajemnica międzynarodowej komisji w Katyniu. „Lwów i Wilno”, Londyn 1947, nr 35 (3 sierpnia).

Historia „ciepłych ubrań”. „Lwów i Wilno” Londyn 1947, nr 38 (31 sierpnia).

Sprawozdanie z podróży odbytej do Katynia w maju 1943. [w:] *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, Londyn 1948, „Gryf”, s. 261-268. [Data pod tą relacją: Rzym, 12 czerwca 1945. W dalszych wydaniach tekst ten usunięto.]

Mikołajczyk o Katyniu. „Lwów i Wilno”, Londyn 1948, nr 59 (8 lutego).

Szczegóły nie wyjaśnione. „Lwów i Wilno”, Londyn 1948, nr 62 (7 marca).

Hitler miał zginąć w Katyniu. „Lwów i Wilno”, Londyn 1948, nr 78 (4 lipca).

13 marca 1943 roku. „Lwów i Wilno”, Londyn 1948, nr 79 (11 lipca).

Echa Katynia. Do redaktora „Wiadomości”. „Wiadomości”, Londyn 1948, nr 40.

Katyn w „Daily Telegraph”. „Lwów i Wilno”, Londyn 1949, nr 101 (16 stycznia).

Dalsza dyskusja o Katyniu. „Lwów i Wilno”, Londyn 1949, nr 102 (23 stycznia).

Jeńców wymordowano w uroczysku. Do Redaktora Wiadomości. „Wiadomości”, Londyn 1949, nr 5.

Tajemnica szwedzkiego dossier. „Wiadomości” Londyn 1949, nr 41.

Niemcy i Katyń. Do redaktora „Wiadomości”. „Wiadomości”, Londyn 1951, nr 33.

Klucz do „Parku Kultury i Odpoczynku”. „Wiadomości”, Londyn 1951, nr 48.

Katyn - ein Verbrechen der Sowjets. „Der Spiegel” 1952, nr 1 (2 stycznia).

[Zeznanie przed Komisją Kongresu, 1952]. *The Katyn Forest Massacre: Hearings before the Select Committee to conduct an investigation of the facts, evidence, and circumstance of the Katyn Forest massacre*. Part 4. (London, England). Washington 1952, s. 867-881.

Tajemnicza śmierć Iwana Kriwoziercewa, głównego świadka zbrodni katyńskiej. „Wiadomości”, Londyn 1952, nr 15/16.

Pierwsza bolszewicka książka o Katyniu. „Wiadomości” Londyn 1952, nr 28.

Czego jeszcze nie wiemy o Katyniu. „Dodatek Tygodniowy” „Ostatnich Wiadomości”. Mannheim 1958, nr 16.

Czy nowa „rewelacja” w sprawie Katynia? „Dodatek Tygodniowy” „Ostatnich Wiadomości”, Mannheim 1958, nr 40 (13 października).

Dlaczego Chruszczew nie mógł wspomnieć o Katyniu. „Ostatnie Wiadomości”, Mannheim 1962, nr 4 (12 stycznia).

[*Okoliczności wyjazdu do Katynia*] [list do red.] „Nowy Świat”, Nowy Jork 1970 (11 maja). [dot. wyjazdu do Katynia; przedruk w: *Pod pręgierzem*. Londyn 1971. Nakładem Zarządu Głównego Koła Żołnierzy Armii Krajowej.]

Książka o Katyniu. „Dziennik Polski”. Londyn 1971, nr 123 (25 maja).

Pomnik katyński. „Wiadomości”, Londyn 1972, nr 13/14 (26 marca-2 kwietnia).

Literatura contra faktologia. Katyń. „Kultura” Paryż, 1973, nr 7-8 (lipiec-sierpień).

Trick soll Massaker von Katyn verdrängen. „Münchener Merkur”. München 1974, (20/21 Juli).

Tajemnica archiwum mińskiego NKWD. „Wiadomości”, Londyn 1975, nr 35 (31 sierpnia).

List do Redakcji. [list do redakcji „Kultury”, z przytoczeniem własnego listu, którego nie zamieściła londyńska Rzeczpospolita] „Kultura”, Paryż 1974, nr 9 (wrzesień), 164-166.

Katyń. (list do redakcji „Wiadomości”). „Wiadomości”, Londyn 1977, nr 38/39.

Do Zeszytu nr 45. „Zeszyty Historyczne”, Paryż 1978, nr 46.

[*Czy Papież pomodli się za Katyń?*] (list do redakcji „Kultura”, Paryż 1979, nr 9 (wrzesień).

[*Dwoistość hołdów pamięci*] (list do redakcji „Kultura”, Paryż 1979, nr 12 (grudzień).

Byłem w Katyniu. „Dziennik Polski”, Londyn 1980, nr 94, 95, 96, 98, 100, 101, 102, 104. [przekład fragmentów książki autorskiej Mackiewicza o Katyniu według wydania angielskiego: *The Katyn Wood Murders*. 1951, rozdział: *My discovery in Katyn*. Autorzy przekładu nie dotarli do maszynopisu polskiego książki, sądząc że jest zaginiony, ale nie zauważyli też, że przełożone fragmenty posiadają pierwodruk w języku polskim: *Dymy Nad Katyniem*.]

Dr Wodziński. (list do redakcji): „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”. Londyn 1980, nr 121 (22 maja).

[*To jest też moja książka*] [list Józefa Mackiewicza (z 1980 lub niewiele później) cytowany przez Edwarda Duszę w jego artykule: *Czas na wyjaśnienie*, „Gwiazda Polarna”, New York 1985, (24 sierpnia).

TEKSTY, DO KTÓRYCH NIE UDAŁO SIĘ DOTRZEĆ:

Существует ли загадка Катынского преступления? (По случаю двадцатой годовщины некой советской лжи). „Русская Мысль” 1961, nr 1737, 1738.

Nowa próba podważenia prawdy o zbrodni katyńskiej. „Ostatnie Wiadomości”, Mannheim 1965, nr 53.

INDEKS NAZWISK

[nazwiska rosyjskie w transkrypcji]

Achminow 422
Ahrens Friedrich 152, 270, 346
Aleksandrowicz Antoni 192
Aleksiejewa Aleksandra M. 176, 282, 363
Anders Władysław 63, 70, 72, 74, 76, 90, 169, 174, 192,
194-197, 199, 263, 343, 352, 373, 446-447, 450, 452
Andriejew Ananij 149
Andriejew Iwan 108, 154-155, 157-158, 270
Andriejew Siemien 148
Anton Konstanty 110-111, 131, 266-267
Antoniuk Grzegorz 332
Antoniuk Stefan 339
Asarch 323

Banach R. 104
Baratt Leonid 422
Barnaby H.G. 421
Bartoszewski Hieronim 104
Bazilewskij Boris W. 176, 283, 363
Beck Józef 374
Beck Ludwig 294
Berensztejn Fajwisz 129
Berg Hendrik van 270
Beria Ławrentij P. 50-53, 63, 90, 196, 207, 332, 387, 389,
396, 429, 439

Berling Zygmunt 47-48, 50-53, 63, 90
Bermann 205
Bevan Ancurin 406
Bielecka Daria 332
Bielecka Olga Siergiejewna primo voto Miśkiewiczowa
333
Bielecki Leonid 332
Bielecki Władysław 242
Bierieszkow Aleksandr Grigoriewicz 39-40
Bierut Bolesław 389, 392, 395, 408, 425, 428
Bilewski Henryk (Józef?) 188
Billewicz Leon 190, 438
Birkle Aleksander 97, 274
Bissell Clayton L. 207-209, 276
B.K. 193
Blaskowitz gen. 297
Bliss Lane Arthur 370, 374, 465
Blücher Wasilij K. 401
Bock von gen. 295-297
Boeselager Georg von 296, 300
Bogomolow Aleksandr 68-69, 71, 199
Bogucki Kazimierz 399
Bogusławski Czesław lub Walerian 188
Bohaterewicz Bronisław 31, 36, 188, 256, 416, 438
Bohowski Z. 104
Bomsowicz Abraham [prawdop. błędnie, zob. też Borisso-
wicz Abraham] 391-392, 424-425
Borejsza Jerzy 171, 380-381

Borissowicz Abraham [zob. też Bomsowicz Abraham] 129,
289, 320, 323, 424

Borkowska 56

Bornemann 103

Borodinski Paweł 323

Bortnowski Władysław 244

Brandt płk 302-304

Brauchitsch gen. 295-297

Breżniew Leonid 439

Brunecki Józef 339

Brzeziński W. 444

Brzeziński Zbigniew 206

Brzozowski Alojzy 191

Bucharin Nikołaj I. 389

Buhtz Gerard 97, 100, 114, 118, 123, 125-126, 134, 136-
137, 142, 204, 247-248, 264, 279, 324, 344

Bukojemski-Nałęcz Leon 48, 51

Burianow 391, 394, 396, 424, 427, 429-430, 432

Burdenko Nikołaj N. 164-166, 175, 179, 205, 362, 462

Burdziński Jerzy Jan 188

Burlet M. de 97, 274

Bychowiec Jerzy 36

Bzyrow, gen. 73, 194-195

Canaris Wilhelm 295-296, 373

Carter John F. 207

Chamberlin W.H. 406

Chądzyński Bronisław 416

Chmielowski, ofiara Winnicy 339

Chodas 196

Chomicki Ludwik Antoni 132

Chomiuk Jan 144, 369-370

Chrustalew Roman 148

Chruszczew Nikita S. 395, 399, 401-402, 439, 468, 493

Chrystowski Lucjan 39

Churchill Winston 62, 87, 89, 376, 406

Ciechanowski Jan 341-342

Ciszewski Tadeusz 131

Coburg-Gotha Herzog von, książę 275, 377

Conrad Joseph 460

Conrad dr sędzia 102

Conti dr 101, 280, 345

Costedoat dr 97

Czajkowski Józef 339

Czapski Józef 38-39, 45, 73, 82, 169, 172, 190, 194, 197,
211, 321, 329, 334, 352-353, 438

Czernicki Ksawery 31, 189, 439

Czurkina „Ninka” 152

Czychiryn kpt 22

Dadej Kazimierz Władysław 191

Dallin Dawid 324-325

Darlan Jean François 313

Daszkiewicz Witold 57

Dawid 205

Dąbrowski-Słonim Jan 344

Doboszyński Adam 373

Dolata Teofil 78, 269

Doliński Bohdan 339
Domania Jan 189
Dondero George A. 349-351, 355-357, 359-361, 364, 374
Dorda Roman 442
Dowbór-Muśnicka zob. Lewandowska Janina
Downs Yeaton płk 207
Drexel Anthony J. 207
Drucki-Lubecki Konstanty 439
Dusza Edward 446, 448, 469
Dymidowicz 36
Dzierżyński Feliks 408, 426

Earle George H.E. 208
Eden Anthony 63, 89
Eiger A. 190
Eisenhower Dwight 376
Elman 323
Engel Abraham 129, 352
Epstein Julius 319-320, 324, 370, 374, 392, 425
Epstein Maurycy 129

Fatkow T.E. 176, 363
Feez Fryderyk 428
Fiedotow 195
Finberg Chaim 129, 289-290, 320, 323, 391-392, 424-425
Fitzgibbon Louis 421, 428-429, 431
Flood Daniel J. 347, 349, 353-354, 362-365
Frank Hans 408

Frasike Gunter 428
Frenkiel Izaak 129
Fryga Zygmunt 188
Fuhrman Jan 63
Furtck Władysław Jan 36-37

Gałąj Mikołaj 422
Gaulle Charles de 313
Gawlina Józef 439-440
Gąszińska Katarzyna 159, 161
Gehre kpt. 302-303
Genschow Gustaw 127
Germandt 268-272
Gersdorff von płk 105, 301
Giedroyc Jerzy 464
Giedroyć, sędzia 56
Gierek Edward 408
Glikman Leon 129, 352
Godel Dawid 129, 352
Godlewska Katarzyna 332
Godlewski 332
Godłowski prof. 190
Godunow Kuźma 107
Goebbels Joseph 89, 103, 307-315, 322, 324, 373, 376-377, 383, 385, 391, 424
Goerdeler Karl 295-296
Goetel Fedynand 104, 321-322, 370, 435, 450, 452, 454
Gomulka Władysław 389, 395, 400-401, 404, 408, 428-429

Gorczyński Eustachy 48, 51
Gorelik Jewgienij 339
Göring Hermann 300, 400
Graniczny Józef 35
Grawitz 275
Grodzki E. 104
Grydzewski Mieczysław 305
Grzybowski Wacław 12-13, 88
Guderian Heinz 373
Gumowski Kazimierz 57
Gundurow A.S. 165-166
Guttman Izaak 129, 352

Hájek František 97, 274
Halevy Daniel 191
Haller Józef 438
Haller Stanisław 190, 438
Halsberg, rabin 392, 426
Handy Jan 189
Harasz Franciszek 339
Hardenberg Hans von 296
Hart mjr 369
Hering Alfons 448
Heß Rudolf 210-211
Himmler Heinrich 373, 400
Hirszttritt Izrael 129
Hitler Adolf 6-8, 10, 12-13, 16, 34, 47-49, 54, 83, 87-88, 90, 95, 105, 146, 286, 293, 295-303, 305, 308, 313, 373, 388, 400, 493

Hłuszko Adam 339
Hłuszko Józef 339
Hłuszko Wojciech 339
Hodowaniec 332
Hodowańcowa Anna 332
Hofman Leon? 191
Hulewicz 334, 455
Hulls L. 207

Isakowskij Michail 358
Iwanow W.D. gen. 22-23
Iwanow S. inż. 169-171, 174, 353
Iwanuszko Bazyli 188

Jabłoński, oficer pol. 189
„Jadzia” pseud. łączniczka 113
J.B. 193
J.B., wachmistrz 41, 160, 427

Jaederlund Christer 105
Jagoda Gienrich 389, 401
Jakowlew Sokołow Flor Maksymowicz 294
Jakubowicz Dobiesław 189
Jakubowski Bonifacy 339
Jan Paweł II 211, 440, 469, 494
Jarecki W.S. 442
Jarnuszkiewicz Czesław 190
Jasiński Franciszek 339

Jasiński Stanisław 104, 321
Jawicz J. mjr 22, 24
Jaworowski Gracjan 434-436
Jegorow Aleksandr 153, 156, 362
Jegorow Nikołaj 180-181, 205, 294, 362
Jegorow Władimir Afanasjewicz 294
Jerzy VI 87
Jeżow Nikołaj 389, 401
Jędrzejewicz Waclaw 447
Jóźwiak Jan 189
Kajkowski A. 438-439
Kamieniew Siergiej 389
Kantak Kamil ks. 327
Kapel Jan 365
Karp Polina zob. Molotow Polina
Karsow Nina 462-463
Kawecki Władysław 348
Kennedy John 210
Kirszyn Michail M. 39
Kisielew Parfen (Parfemon) Gawriłowicz 77, 80, 98, 108, 123-125, 150, 154, 156-157, 175, 239, 248, 270-271, 377
Kisielew Wasyl 270-271
Kisielewa Aksinia 271
Kisielewa Maria 271
K.K. świadek 193
Klappert S. 104
Klau Werner 112-113, 245-246, 262
Kluge von gen. 296, 299-300, 302-303
Kłodnicki Zygmunt 339

Kobyliński Szymon 368
Kodymowski Stanisław Marian 132
Kolbe Maksymilian 412
Kolesnikow S.A. 166
Kołodziejczyk 379-380
Kołodziejski Jan dr 190
Kołodziejski S. 104
Komorowski Tadeusz („Bór”) 329
Kon Feliks 408
Konachowskaja Z.P. 176, 204, 282-283, 363
Konopacki Aleksander kpr. 193
Konopko Waclaw 339
Korboński Stefan 403-404
Korowajczyk Leonard 189
Korsak 332
Korsakowa Maria 332
Kossowska Stefania 409-411
Kot Stanisław 64-73, 75-77, 169, 197, 199-200, 342-343,
352
Kotecki oficer pol. 188
Kowalewicz Leszek 189
Kowalewski Aleksander 190
Kowalski Stanisław 339
Kozłowska Nina 464
Kozewnikow 185
Kozliński Piotr 145
Krahelski Piotr 132
Krawczyk Franciszek 339
Krawiec Adam 339

Krestinskij Nikołaj Nikołajewicz 389
Kriwoziercew Iwan 107-108, 142-158, 174-175, 205, 270,
317, 355, 358, 362, 366-372, 391, 450, 452, 468, 492, 493
Kriwoziercew Michail 205
Kriżyckij Siergiej 466
Kruk Waclaw 92, 188
Krupp 373
Krzemiński kpt. 18
Krzyżanowski Aleksander („Wilk”) 449
Kubała Ludwik 454-455, 460
Kuczkow B. 395, 427, 429, 433
Kuczow Boris 391, 424, 427
Kuczyńska Irena 192
Kuczyński Stanisław 173, 192, 356
Kudinow Nikołaj Iwanowicz 7
Kukiel Marian 84, 198, 334
Kunert Andrzej K. 52
Kuprianow 323
Kutyba Józef 94
Kwaśnicki Dominik 339

Langner Władysław 21-27, 70, 455, 491
Laskowski Janusz 268-269, 271, 273
Lassler 105
Lathe Heinz 419
Lednicki Waclaw 316-317
Lehndorf Heinrich von 296
Leitgeber Waclaw 189
Lenin Władimir Iljicz 389, 398-399, 401

Lewandowska Janina 105-106, 492
Lewinson Józef 129
Levittoux Henryk 190
Libkind-Lubodziecki Stanisław zob. Lubodziecki-Libkind
Stanisław
Lifschütz 205
Liliental Antoni Tadeusz 188
Lippoman Czesław 352
Lipski Józef 373
Litwinow M.M. 9
Lizak Josel (Osip) 391, 424
Lochner 307, 376
Lubicz-Wróblewski Stanisław 322
Lubodziecki-Libkind Stanisław 35
Lubieżyński, red. 467
Lurie Natan 205

Łoboda Michał pseud. zob. Kriwoziercew Iwan
Łopianowski Narcyz 52
Łukaszewicz Waclaw 339
Łukowski-Orlik Kazimierz, zob. Orlik-Łukowski

Machrowicz Thaddeus M. 347-349, 350, 352, 353-359,
361-362, 364-365, 374, 426
Mackiewicz Halina 462
Mackiewicz Stanisław Cat 462
Madden Ray J. 165, 341, 347, 360, 364, 374
Majewski, oficer pol. 188
Maklakiewicz Jan Adam 322

Malicki Antoni 339
Mantel Stanisław 352
Marchlewski Julian 408
Markow Marko A. 95, 99-100, 142, 274, 276, 278-280,
345, 377, 492
Martens Marian 104
Martini Roman 319-324, 326, 392, 395, 425, 428
Masłow 333
Mateusz, bp prawosławny 442
Merynowicz Józef 339
Mianowicz Tomasz 464
Michajłowa O.A. 176, 204, 282, 363
„Michał”, „pułkownik”, pseud. 246, 262
Miciński Tadeusz 461
Mielnikow R.E. 166
Mienszagin Boris G. 176, 283, 363
Mierkułow Wsiewołod N. 50-51, 90, 195-196, 207, 323,
389, 396, 429
Mikołaj, Metropolita 165-166
Mikołajczyk Stanisław 285-289, 327, 493
Miloslavich Edward Lucas 97, 274
Minkiewicz Henryk 36, 188, 190
Miśkiewiczowa zob. Bielecka
Miszka zob. Chomiuk Jan
Mitera Zygmunt 191
Młynarski Bronisław 32-33, 39, 43, 118
Mołotow Polina 8-9, 13
Mołotow Wiaczesław Michajłowicz 8-13, 16-17, 48-49,
62, 66-74, 88, 90, 170, 199, 353, 389, 491

Monckton lord 421, 429
Montfort Henri de 446
Montgomery Bernard Law 376
Mora Sylwester pseud. zob. Zamorski Kazimierz
Morawski Adolf 189-190
Moskowskaja Aleksandra Michajłowna 180-181, 265, 358-
362
Moszczeński Leon 188
Moszyński 352
Mussolini Benito 10, 374
Nasiedkin gen. 73, 170, 194-196
Naville François 96-97, 274-276, 278-280, 319, 345
Nebe gen SS 297
Nelken Jan Władysław 190
Nieczajew Nikołaj Fiodorowicz 334
Niemczyński Julian 188
Niewiarowski Kazimierz 39
Nikitin 41
Nikołajew Siergiej 156
Nirenberg Aleksander 129
Nixon Richard 210, 419-420
Nowakowski Zygmunt 405-406
Nowicki Franciszek 339
Ochab Edward 408
Ochocki Mieczysław 188
Odojewski Włodzimierz 413-418, 455-456, 460
O'Konski Alvin E. 374

Okulicki Leopold 74
Olbricht gen. 295, 299, 302
Orlik-Łukowski Kazimierz 190, 439
Orsós Ferenc 97-99, 274, 277, 436
Orzechowski K. 104
„Oskar”, pseud. 57
Oster Hans 295-296, 299, 302

P., red. PAT 262
Paciorkowski Stanisław 189
Palmieri Vincenzo Mario 95, 97, 100-101, 274, 492
Pamiętnych Aleksiej 430
Paniuszkina amb. 165
Pattie Geoffrey 442
Pawlikowski Ludwik 188
Petliński Feliks 339
Piatakow Grigorij 205
Pieńkowski Stefan Kazimierz 188, 190
Piłsudski Józef 190, 465
Piniński 379-380
Piotrowicz-Leliwa Karol Ludwik 190
Plisowski-Odrowąż Konstanty 190, 438
Podhorecki Albin 339
Pokrowskij J.W. prok. 346
Polanko Aleksander 57
Ponka Gustaw 155
Potiemkin W.P. 165-166
Potocki Jan 192

Pragier Adam 417
Prąglowski-Susz Tadeusz 104
Prauza Tadeusz 189
Press Dawid 129
Pritt 307, 310, 313
Prochownik Franciszek 104
Prozłowski Stanisław 339
Przygodziński Bronisław 188
Pucinski Roman 347, 349-350, 359-360, 365
„Pułkownik Sasza”, pseud. 152

Raczyński Edward 14, 68, 199
Radecki Michał 339
Radzichowski Feliks 340
Radziszewski kpt. 35
Radziwiłł Stanisław 85, 311
Rajchman Leonid Fiedorowicz 73, 170, 194, 196-197, 395
Rakowski W. T. gen. 22, 24
Ralski Edward 192
Ramsey Guy 366
Ramsin 205
Razuwajew Jakim („Kim”) 149
Rhode Gotthold 212, 465
Rex płk 346
Ribbentrop Joachim von 7-11, 13, 17, 48, 90
Robel Jan Zygmunt 94
Roguszczyk, oficer pol. 188
Röhm Ernst 400

Rojkiewicz Ludwik 104
Rokossowskij Konstantin 374
Rolińska Jadwiga 339
Röllenberg 308
Romains Jules 417
„Roman” pseud. zecer 113
Romer Tadeusz 88
Romm Michail reżyser 334
Romm Michał por. lekarz 334
Roosevelt Franklin Delano 83, 207-209
Rose prof. 190
Rosenzweig Aleksander 129
Rowiński Zbigniew 107
Rozen Samuel 129, 352
Rozwada Janusz 426
R.R. z AK Wilno 246
Rubin Władysław 440-442
Rueger z MCK 85
Rumianek Stanisław 189
Rundstedt Gerd von 376
Rutkowski Adolf 339
Rybak Lew 129, 289-290, 320, 323, 391-392, 424-425
Rybicki Feliks 339
Rzążewski Aleksander 189
Rzepecki Jan 404

S. prof. zob. Sengalewicz prof.
Samosienko Wojciech 339

Sanchez 105
Sankowski por. 58
Sapieha Adam Stefan 104
Sapieha Lew 447, 465
Saszniewa M.A. 175
Savory D.L. 406
Sawariew 332
Sawariewa 332
Sawicki Jerzy 287
Saxén A. 97, 274
Schipper radca niem. 105
Schlabnerdorff Fabian von 294-299, 301-304
Schmundt gen. 299
Schnetzer 105
Schulenberg Friedrich Werner 327
Schwarzenberg-Czerny Bolesław 439
Seeds William Sir 8
Sengalewicz prof. 114, 123, 246, 258
Seyfried Edmund 104
Sheehan Timothy P. 374
Siekanow Iwan 290, 391, 424
Siemaszko Zbigniew Sebastian 409, 413
Siemianienko Emilia Osipowna z d. Kozłowska 155
Siemianienko Eugeniusz 155, 158
Sienkiewicz Henryk 417, 460
Siergiejew Timofiej 157
Sikorski Franciszek 190, 438-439
Sikorski Władysław 62-63, 65-67, 70-73, 76, 83, 87-90,
135, 153, 169, 197, 199, 208, 342-343, 352, 491

Silwierstow Grigorij 108
 Skarżyński Kazimierz 104, 203, 322, 373
 Skierski Leonard 190, 438
 Skirmuntt Edward 317
 Skiwski Emil 104, 321, 450
 Skrepka Afanasij 333, 455
 Skriabin Michał 8
 Skriabin Wiaczesław zob. Mołotow
 Skrzyszewski Apolinary 339
 Skupień Sebastian 188
 Skuratowicz Piotr 190, 438
 Skwarczyński Stanisław 191
 Slowentchik Gregor 95-96, 118, 126, 258-260, 324, 492
 Słapianka Jolanta 322
 Słowacki Juliusz 460
 Smirnow Nikołaj Nikołajewicz 166
 Smorawiński Mieczysław 31, 36, 78, 188, 190, 256, 416,
 Sokolnicki Henryk 75-76
 Solski Adam 93-94, 126, 188, 290-291, 345
 Soltan Adam 63, 188
 Solżenicyn Aleksandr 454, 458
 Soprunienko Piotr Karpowicz 323
 Soroczyński Leon 339
 Sosnkowski Kazimierz 70
 Speleers dr 97, 274
 Stahl Zdzisław 305, 447, 450, 452, 462-463, 465
 Stahmer dr 270

Stalin Josif Wissarionowicz 7, 10, 53, 58, 62, 69-76, 80,
 82, 87, 90, 105, 135, 151, 169-170, 196, 199, 242, 286-287, 296,
 332, 342-343, 353, 374-375, 387, 389, 398-402, 491

Standley William H.S. 207
 Starzeński August 35
 Starzewski Stanisław 55, 205, 330
 Stauffenberg Klaus Schenk von 293
 Stefanowski Antoni 188, 190
 Steinberg Baruch 192
 Steward Donald B. 341
 Stieff gen. 302-303
 Strong George B. 207
 Stroński Stanisław 305, 316-317
 Stryłow 333
 Strzylecki Bolesław 339
 Studnicki Władysław 60
 Stypulkowski Andrzej 330
 Šubik František 97, 274
 Suchaczew P. F. 294
 Swianiewicz Stanisław 37-38, 189, 334
 Szafran Jarosza 439
 Szajnocha Karol 454-455, 460
 Szaposznikow Boris M. 22, 24-26, 491
 Szebesta Adam 104
 Szlaski-Prawdźic Janusz 55, 58
 Szyfter Paweł 94
 Szymański Henry J. 207
 Świątkowski Henryk 320-321

Targosz Tomasz 193
Tartakow 395, 421, 429-430, 433
Tatcher Margaret 441
Tichon, Patriarcha 211
Timoszenko Siemien K. 19, 22-27, 455, 491
Tokariew Dimitrij Stiepanowicz 334
Tolstoj Aleksiej 165-166
Tomczek Józef 422
Tramsen Helge 97
Trepiaak Józef 189
Tresckow Hennig von 295-297, 299-303
Trocki Lew 205, 389, 400
Trojanowski Sylwester 188
Trznadel Jacek 78, 94, 165, 175, 192, 212, 269, 272, 345-346, 377, 420, 456, 460
Tuchaczewskij Michaił N. 389, 401
Tucholski Jędrzej 352
Tucholski Tadeusz 189-190
Tyczkowski Franciszek ks. 192

Ulrichs Otton 188
Unszlicht Józef 408
Urbańska Aleksandra 45
Urbański Ryszard 45

Van Vliet John H. 207, 209, 276, 341
Vincent 345

Voß Ludwig 102-103, 118, 123, 136, 153, 155, 158, 204, 264, 306, 324, 343, 492

W. stenograf PAT 262
Wajda Karol 188
Wajs Bronisław 188
Waltenberg 352
Wańkowicz Melchior 454-455
Wasilkow Grigorij 154-155
Waszniewska Maria 339
Welles Sumner 341
Westerski Mieczysław Waclaw 188
White W.L. 163, 282
Wierszyłło Tadeusz (w źródłach na ogół: Wirszyłło) 131
Wietosznikow W.M. 169-171, 174, 353
Wilczyński-Olszyna Józef 18
Wir-Konas Alojzy 439
Wirszyłło Tadeusz zob. Wierszyłło Tadeusz
Witzleben von gen. 295
Wodzinowski Jerzy 104, 240
Wodziński Marian 116, 118, 121, 126, 238, 240-242, 253, 256-258, 322, 324, 377, 383-384, 414, 435-436, 444, 447, 463, 469, 494
Wojciechowski Józef Marian ? 188
Wołkowicki Jerzy 31, 190, 334
Wołoszyn Zygmunt Jan 188
Woronecki Antoni 41, 160
Wójcicki Bolesław 373, 376-381, 411
Wroczyński dr 190

Wyszynskij Andriej Januarjewicz 62, 64-68, 75-77, 81-82,
170, 197, 199, 332, 353, 389, 491

Z.A. czł. AK z Wilna 246, 262

Zacharow Matwiej 108, 157

Zahorski Witold 441-442

Zalasiak Mieczysław 188

Zaleski August 373, 426

Zaleski Bronisław 339

Zalewski mjr 39

Zalewski Tadeusz 339

Zamorski Kazimierz 205, 330, 464

Zarubin Wasilij. M. 395

Zawodny Janusz K. 206, 276, 447

Zbyszewski W.A. 305

Zięcina Józef 189

Zielińska Bronisława (zamiast: Zielnicka) 132

Zieliński Mateusz 190

Zielnicka Bronisława [w *Amtliches Material*, prawdopodobnie mylne odczytanie z reprodukowanej pocztówki. Wśród ofiar nie było Zielnickiego, jedynie kilku Zielińskich.] zob: Zielińska Bronisława

Zinowiew Georgij 389

Ziółkowski Jan 79

Znajdowski Wacław 186

Zorin Jakub 332

Zorina Maria 332

Zusman Zygmunt 129

Zwierniak Piotr pseud. zob. Starzewski Stanisław

„Zygmunt” pseud. 113

Żdanowicz Bronisław 340

Żółtowski Marek Marceł 189

Żukow, gen. NKWD 196

Żukow Georgij K. 389

Żygulew Michaił 107

Tom I. MORDERCY Z LASU KATYŃSKIEGO

CZEŚĆ I:

OD SPISU POLITYCZNEGO DO BEZKARNEJ ZBRODNI

Rozdział I: NAJWIĘKSZY SPISEK PRZECIW POKOJOWI ŚWIATA.	6
Rozdział II: ZDRADZIECKI NAPAD ZWIĄZKU SOWIECKIEGO. Poprzez strzepy traktatów do okłamania bezbronnych jeńców.	12
Rozdział III: JAK MARSZAŁKOWIE TIMOSZENKO I SZAPOZNIKOW OSZUKALI GEN. LANGNERA.	22
Rozdział IV: PIĘTNAŚCIE TYSIĘCY JEŃCÓW ZNIKA BEZ ŚLADU. Trzy obozy i tajemnica ich rozładowanie. Korespondencja i gazety. Uratowani spod Smoleńska. Późniejsze relacje grup „specjalnych”.	29
Rozdział V: NIEPOKÓJ OGARNIA RODZINY W KRAJU. Nagle urwanie korespondencji. „Miejsce pobytu nieznane” mówi prokurator.	43
Rozdział VI: PIERWSZE POTWIERDZENIE PONURYCH DOMYSŁÓW. „Zrobiliśmy wielki błąd”. Sowieckie plany polityczne.	47
Rozdział VII: CZERWIEC ROKU 1941. Klęska Armii Czerwonej. Władze sowieckie masakrują więźniów.	54
Rozdział VIII: NA ZMYLONYCH ŚLADACH ZBRODNI. Co mówi Stalin, Mołotow, Wyszynski o tajemniczym zniknięciu oficerów polskich? Daremne poszukiwania. Noty dyplomatyczne i konferencje. Sowieckie aide-mémoire zamyka dyskusję.	62
Rozdział IX: STRASZLIWA REWELACJA RADIA NIEMIECKIEGO. „Wszyscy zamordowani strzałem w kark! Pod Smoleńskiem wykopano 10 tysięcy oficerów polskich.”	77
Rozdział X: DLACZEGO MIĘDZYNARODOWY CZERWONY KRZYŻ NIE PODJĄŁ BADAŃ W KATYNIU. Skomplikowana sytuacja polityczna. Sowieckie zerwanie i tajemnicza śmierć gen. Sikorskiego w Gibraltarze.	83

Rozdział XI: GŁOSY ZZA GROBU.	92
Rozdział XII: ORZECZENIE I KULISY MIĘDZYNARODOWEJ KOMISJI EKSPERTÓW. Oberleutnant Slowentchik pisze do żony... Czaszka nr 526. Dr Markow i dr Palmieri.	95
Rozdział XIII: WALKA O TRZECIE PYTANIE. Dalsze chwytły propagandy niemieckiej. Przeoczony szczegół w raporcie Voß'a. Delegacje z Polski. Trup kobiety. Tajemnica wystrzelonych łusek. Krecia robota agentów sowieckich.	102
Rozdział XIV: MOJE ODKRYCIA W KATYNIU. Gazety znalezione ustalają datę mordu. Nie 10 i 12 tysięcy a... cztery! Tajemnica łusek się wyjaśnia. Żydzi świadczą...	112
Rozdział XV: W OBLICZU NOWEJ ZBRODNI. W Katyniu znaleziono tylko jeńców z Kozielska. Liczba demaskuje mordercę!	134
Rozdział XVI: SPRAWY, O KTÓRYCH SIĘ NIE MÓWI.	140
Rozdział XVII: SPOWIEDŹ IWANA KRIWOZIERCEWA.	145
Rozdział XVIII: GDZIE WYMORDOWANO RESZTĘ JEŃCÓW POLSKICH?	159

CZEŚĆ II:

KŁAMSTWO KOMUNIKATU SOWIECKIEGO.	163
Nota Rządu Sowieckiego do Stanów Zjednoczonych	164
STWIERDZENIE FAŁSZU.	166

CZEŚĆ III:

ZAŁĄCZNIKI	184
POSŁOWIE (1983)	206
ILUSTRACJE	213-232

Tom II: WIDZIAŁEM NA WŁASNE OCZY

(rozproszone szkice o Katyniu)

Widziałem na własne oczy	235
Sprawozdanie z podróży odbytej do Katynia w maju 1943	245
Dymy nad Katyniem	264
Ostrożnie z wiadomościami o Katyniu	265
Tajemnica międzynarodowej komisji w Katyniu	274
Historia „ciepłych ubrań”	281
Mikołajczyk o Katyniu	285
Szczegóły nie wyjaśnione	289
Hitler miał zginąć w Katyniu	293
13 marca 1943 roku	299
Echa Katynia	305
Katyń w „Daily Telegraph”	307
Dalsza dyskusja o Katyniu	310
Jeńców wymordowano w uroczysku	316
Tajemnica szwedzkiego dossier	319
Niemcy i Katyń	327
Klucz do Parku Kultury i Odpoczynku	329
Katyń – zbrodnia sowiecka	341
Zeznanie przed Komisją Kongresu USA	347
Tajemnicza śmierć Iwana Kriwoziercewa, głównego świadka zbrodni katyńskiej	366
Pierwsza bolszewicka książka o Katyniu	373
Czego jeszcze nie wiemy o Katyniu?	382
Czy nowa „rewelacja” w sprawie Katynia?	390
Dlaczego Chruszczew nie mógł wspomnieć o Katyniu	398
[Okoliczności wyjazdu do Katynia]	403
Książka o Katyniu	405

Pomnik katyński	408
Literatura kontra faktologia	413
Za pomocą triku zasłonić masakrę katyńską	419
Tajemnica archiwum mińskiego NKWD	421
[Czy komisja PCK niecznie grabiła zwłoki?]	434
List do Redakcji [Czy papież pomodli się za Katyń?]	438
[Dwoistość holdów pamięci]	441
Byłem w Katyniu	443
Dr Wodziński	444
[To jest też moja książka]	446
Posłowie wydawcy	449
Uwagi edytorskie	462
Publikacje Józefa Mackiewicza o Katyniu. Źródła tekstów	465
Indeks nazwisk	470